

## Pies i klecha

## Przeciwko-wszystkim

KC, I sekretarz KW PZPR w Katowicach — Andrzej Żabiński. Organizacja partyjna liczy tu ponad 1,8 tys. członków, z których 80 proc. — to robotnicy. Nie przypadkiem więc w wykładniach na konferencji tak mocno akcentowano potrzebę oparcia nowego stylu pracy partii na mądrości, inicjatywie i odpowiedzialności klasy robotniczej. W pełnej demokracji nowy styl partii — powiedział m.in. Aleksander Jaskólski — jest warunkiem odnowy, ale nie może być to warunek sam w sobie. Musimy stworzyć warunki, w których będzie można dać delegacji na zjazd w sposób demokratyczny. Wymaga to przede wszystkim nowego podejścia szeregi partyjnej — Jerzy Kęstowicz — nawołując do tak modnego obecnie o podejmowanych

**OKONCZENIE NA STR. 5)**



**SNA I PAP)**  
problemach społecznych, kraju toczy się przed IX zjazdach.

sekretarz KW PZPR w Katowicach — Andrzej Żabiński. Organizacja partyjna liczy tu ponad 1,8 tys. członków, z których 80 proc. — to robotnicy. Nie przypadkiem więc w wykładniach na konferencji tak mocno akcentowano potrzebę oparcia nowego stylu pracy partii na mądrości, inicjatywie i odpowiedzialności klasy robotniczej. W pełnej demokracji nowy styl partii — powiedział m.in. Aleksander Jaskólski — jest warunkiem odnowy, ale nie może być to warunek sam w sobie. Musimy stworzyć warunki, w których będzie można dać delegacji na zjazd w sposób demokratyczny. Wymaga to przede wszystkim nowego podejścia szeregi partyjnej — Jerzy Kęstowicz — nawołując do tak modnego

## Łukasz Orbitowski Jarosław Urbaniuk

Ilustracja to: konferencje sprawozdawczo-wyborcze PZPR w zakładach pracy, miastach i gminach, spotkania aktywu partyjnego, działalność komisji

KC, I sekretarz KW Katowicach — Andrzej Żabiński. Organizacja partyjna liczy tu ponad 1,8 tys. członków, z których 80 proc. — to robotnicy.



fabryka słów



# Łukasz Orbitowski Jarosław Urbaniuk

**PIES I KLECHA: PRZECIWKO WSZYSTKIM**

Pies i klecha (tom: I)



2007

# Spis treści

Karta tytułowa

Ptaki (I)

Prolog Żertwa

Ptaki (II)

Rozdział pierwszy Rozrywki inteligencji katolickiej

Rozdział drugi Osobiste demony

Rozdział trzeci Jedną nogą w piekle

Rozdział czwarty Szpital Przemienienia Pańskiego

Rozdział piąty Polska i ogród

Rozdział szósty Jeden! Dziewięć! Cztery! Jeden!

Rozdział siódmy Niebieski chłopiec

Rozdział ósmy Kolacja Wolności

Ptaki (III)

Rozdział dziewiąty Warszawa wzięta!

Rozdział dziesiąty Lepsza strona życia

Rozdział jedenasty Zdjęcie z Lechem Wałęsą

Rozdział dwunasty Andrzej Gil traci rozum

Rozdział trzynasty Trzy pieśni

Epilog Enka i Gil

Ptaki (IV) Ptaki spały

Przypisy

# Ptaki (I)

*Oto drzewo o srebrzystej korze, z którego widać krańce świata. Ma liście jak ostrza, lśniące w słońcu i drobne, czarne owoce, które giną w gęstwinie. Na gałęzi siedzi ptak o ciemnej główce i brązowych skrzydłach, z których jedno jest przetrącone. Chowa pod nim żółty dziób.*

*Patrzy w dół.*

*Na ziemi drugi ptak, podobny, lecz różny, zawzięcie wydziobuje twarde owoce z wysuszonej ziemi. Nieustannie pozostaje w ruchu, kręci głową, uderza dziobem, bije skrzydłami. Ten na gałęzi spogląda ku dołowi, ptak na dole przestaje dziobać, wlatuje i siada na drzewie.*

*Patrzą na siebie. Długo, długo. Ptak ze złamanym skrzydłem ma wzrok szklisty, ten który dziobał, podskakuje na gałązce i przekręca główkę, wreszcie nieruchomieją koło siebie. Jednocześnie obracają głowy ku skalistej równinie przed sobą, ku słońcu zmrożonemu pod trupio sinym niebem i dwóm niewyraźnym sylwetkom na ranie horyzontu.*

# Prolog

## Żertwa

### ***Rok 1233***

W chramie umierał stary człowiek.

Otaczały go misy z kaszą, rzepą, zimnym pieczonym mięsem. Otulony w futra, dygotał z zimna. Zza drzwi dochodziło zawodzenie płaczek, furczał wiatr. Stary człowiek próbował wsadzić kołpak głębiej na głowę, ale tylko przekrzywił go śmiesznie. Odślonił białe ucho. Ogień płonący pośrodku świątyni oświeślał rozłożyste drzewo.

Płaczki na zewnątrz ucichły. Stary człowiek obrócił twarz do wejścia. Zasłona uchyliła się i w progu stanął wysoki mężczyzna w benedyktyńskim habicie. Oczy starego człowieka zwięzły się na jego widok, benedyktyn skłonił się, coś wyszeptał, uklęknął.

– Przysiągłeś, synoczku – powiedział stary człowiek, któremu skóra pozółkła, a nos miał już długi. Mnich wybuchnął płaczem, przycisnął twarz do dłoni ojca, a ten szeptał: – Przysiągłeś, synoczku, przysiągłeś...

Umilkł. Mnich podniósł się nie bez wysiłku, zamknął zmarłemu oczy i, nie żegnając się, poszedł w głąb chramu. Spowita dymem świątynia sprawiała wrażenie większej niż w rzeczywistości. Nabrał garść ziół i spojrzał przed siebie. Wydało mu się, że na trzech konarach drzewa kora układa się w twarze i jedna z nich należy do ojca. Cisnął zioła do świętego ognia i, nie oglądając się, wyszedł.

Na widok mnicha płaczki zamilkły. Mężczyźni stali sztywno, opuściwszy czoła, benedyktyn rozkrzyżował ramiona, odchylił głowę, krzyknął: – Czas

nam, braty!

Lament kobiet nasilił się, mężczyźni zdawali się kurczyć, a z tłumu dobiegło wołanie: *gorze nam, gorze nam!* Mnich zgarbił się, jakby nagle lat mu przybyło i zanurzył osmoloną pochodnię w ogniu, wokół którego zgromadziły się płaczki. *Gorze nam! gorze nam!* – zawodzili mężczyźni, kobiety wyły i posypywały włosy ziemią. Świątynia stanęła w płomieniach, mnich popatrzył na ogień i odszedł, a ludzie rozstępowali się przed nim.

### **1987**

Jeśli mieszkanie porucznika Enki miało w sobie coś charakterystycznego, to chyba błyszczący lakier odchodzący szerokim płatem od meblościanki. Najwięcej miejsca zajmował tu sam porucznik Enka rozwalony na niskim łóżku. Jego włochata pierś wznosiła się i opadała, a wraz z nią drobna kobieca dłoń, której właścicielka spała spokojnie, twarzą do ściany. Na stole stała butelka po winie Klosterkeller, obok dwa kieliszki, jeden pusty, a drugi wprost przeciwnie. Żaden obraz czy zdjęcie nie mąciły bieli ścian, za to żyrandol ozdabiały damskie majtki, stanik zaś zwisał skromnie ze stopy samego gospodarza. Gdyby zły duch, poltergeist na przykład, wymiótł stos gazet spod telewizora i sam telewizor, kieliszki z winem, oraz gospodarza z towarzyszką, przykleił lakier w meblościance, można by odnieść wrażenie, że mieszkanie oddano do użytku wczoraj i czeka na właściciela, który uszanuje je bardziej niż porucznik Enka.

Enka miał zmartwienie – nie pamiętał bowiem, co wczoraj powiedział taksówkarzowi. Wiedział doskonale, że wyszedł od Rudego grubo przed dziesiątą, dobrze wstawiony, wiedział, że wsiadł do białego poloneza, a taksówkarz przypominał z profilu Karola Marksa (Enka utrzymywał, że Marks miał wyłącznie profil, z którejkolwiek strony by nie spojrzeć). Porucznik Enka przywitał się grzecznie i powiedział: „do mnie, czyli na aleję Pokoju”, zawahał się i zmienił zdanie: „nie, pojedzie pan na...”.

No właśnie – na tym kończyła się wiedza porucznika Enki. Nie wiedział, jakie słowo padło i co wydarzyło się potem. Nie miał pojęcia, o której wrócił i w czyim towarzystwie. Rozmyślał tak chwilę, podniósł się i nachylił się nad śpiącą. Włosy zasłaniały twarz dziewczyny, porucznik Enka zastanawiał się właśnie, czy powinien je odgarnąć, gdy zadzwonił telefon.

– Enka – wymamrotał Enka do słuchawki.

– Zbieraj się do nas – głos Gruli brzmiał zbyt rześko jak na wczesną porę – ale już, na raz, dwa, trzy. Dzwonili.

– Sam się zbieraj – poradził mu porucznik Enka.

– Stary szaleje. Z góry zadzwonili – wyjaśnił Grula. – Dostaję hyzia, więc nie marudź i rusz tyłek. Przecież...

Dziewczyna obróciła się.

– Jeśli chcesz mnie pocałować w dupę, adres znasz, a ja ci wyjaśnię, gdzie moja dupa się znajduje – rzekł słodko porucznik Enka. – Nie dziś. Nie teraz. Mam...

Jasne pukle zsunęły się, odsłaniając przepętnioną miłością twarz dziewczęcia. Oczy porucznika Enki rozszerzyły się gwałtownie.

– Rozumiem. To dla mnie zaszczyt, panie ministrze – powiedział miękko, a Grula zakaszłał po drugiej stronie kabla.

– Co tam się wyrabia, Zbyszek?

– Zaraz będę, panie ministrze. – Porucznik Enka odłożył słuchawkę i rzucił w stronę dziewczyny: – Musimy się zbierać!

W czasie, który wystarczył porucznikowi Ence do wskoczenia we wranglery, czarną koszulę i wojskową kurtkę, dziewczyna zdążyła założyć majtki i zapiąć stanik. Enka popchał ją do przedpokoju, przed drzwiami wręczył kłęb ciuchów i nim zdążyła otworzyć usta, już stali na korytarzu, a Enka zamykał drzwi.

– Zbyszku, oszalałeś? – Jednocześnie próbowała utrzymać ubrania i

chwycić się Enki. Jej słowa brzmiały coraz głośniej: – To ty myślisz, że tak można, tak po prostu, że mnie i ciebie...? Tak wyrzucić po prostu? Co? Że ja...

Porucznik Enka ujął jej twarz w dłonie.

– Kochanie – powiedziała, patrząc jej prosto w oczy. – Kiszczak, rozumiesz? Tyle tylko ci powiem – pocałował ją w czoło i powtórzył: – Kiszczak.

Maślany wzrok odprowadzał porucznika Enkę, który skręcił na schody i pognał z dziesiątego piętra, skacząc po trzy stopnie.

§ § §

– Gula, czyś ty zwariował?

Nad głową Gruli grube litery układały się w napis UCZCIWOŚĆ I SUMIENNOŚĆ WIZYTÓWKĄ SŁUŻB MUNDUROWYCH. Ścianę przecinała gęsta pajęczyna pęknięć zielonkawego tynku. Chudy młodzieniec przy biurku obok przerwał pisanie, popatrzył na Enkę i natychmiast skulił się nad maszyną. Pokój wypełnił dźwięk klawiszy, w które młodzieniec stukał jednym palcem.

– Dbam o ciebie – oświadczył Gula.

– Nie chcę myśleć, co by się działo, gdybyś przestał dbać. – Enka opadł na krzesło. – Co tu się wyrabia? Ledwo szósta minęła...

Podbródek Gruli zafalował nad kołnierzem flanelowej koszuli.

– Przypomnieli sobie o tobie – rzekł. – Ikony.

– Nie wiem, co to są ikony. Wiem, co to jest wolne.

– Ikony. Kanał przerzutowy, maszyny drukarskie, sukces w walce ze „sprzedawczykami ojczyzny”. No, człowieku, nie pamiętasz?

– Przypomnieli sobie?

– Pamiętali cały czas.

– Powiem ci coś, Gula – wyszczerzył się porucznik Enka. – Nauczę cię



nowego słowa. Słowo brzmi: „uprzejmość”. Uprzejmy człowiek odbiera telefony, nieuprzejmy, nie. Uprzejmy człowiek zaiwania przez miasto z kogutem i przez chodnik, a cham śpi dalej. Uprzejmy człowiek koniec końców dowiaduje się, że ktoś mu robi łaskę za to, że jest taki miły, zamyka mordę i słucha.

– Pojedziesz pod Płock – uśmiechnął się Grula.

– Podobno im dalej na północ w listopadzie tym piękniej – rozmarzył się Enka i nagle spoważniał. – Co właściwie się dzieje?

– Jest delikatna sprawa. – Grula podniósł się i zaczął spacerować po pokoju. Miał spodnie „piramidy” i marynarkę tak szarą, że pozazdrościłyby jej myszy. – Może uda się coś z awansem zrobić. Za długo tu tkwimy, nie? No, w każdym razie jest trup.

– Trup – powtórzył porucznik Enka.

– Ksiądz.

– Ksiądz – mruknął Enka. – No proszę, coś nowego.

– Wikary, konkretnie. Martwy. Paskudna sprawa. Nasz konsultant...

– Kupiony?

– Wikary? No skąd?

– Znow mi z wikarym wyjeżdżasz, biskup kupiony, nie? – prychnął Enka.

– Konsultant mówię.

– Ksiądz.

– Ksiądz wikary?

– Ksiądz konsultant.

– Pieprzyć to. – Enka odgiął głowę. – Jaki znowu ksiądz?

– Czeka w drugim pokoju – wyjaśnił Grula. – Profesorek. Mądra głowa.

Pojedziecie razem.

Porucznik Enka pogłaskał się po brodzie, wyduł wargi, jakby chciał splunąć. Popatrzył poważnie na Grulę, a Grula zgarbił się i usiadł.

– Potrzebują kogoś błyskotliwego – wyjaśnił spokojnie Gula. – No i padło na ciebie, więc nie wiem, o co się wku...

– Ja, co? – roześmiał się porucznik Enka. – Mam gacie pełne radosnego kału i tylko marzę o tym, by zapieprzać na drugi koniec Polski z jakimś klechą i zboczeńcem, by rozgrzebać francowaty zgon nie mniej francowatego syna Watykanu. Stary, czy ty mnie słyszysz w ogóle? Po co ja w tym wszystkim? Po co ten drugi? Czemu lokalni nie załatwią sprawy. Przecież...

– Martwy ksiądz – rzekł poważnie Gula.

– No i co?

– Martwy ksiądz – powtórzył. – I tamci, i my potrzebujemy tego teraz jak dziury w głowie.

Stuk, stuk. Samotny palec młodego milicjanta bił w czarne klawisze Łucznika.

– No dobra – rzekł porucznik Enka. – Gdzie jest ten tamten?

### § § §

Ksiądz doktor Andrzej Gil należał do ludzi, którzy lubią czekać. Myślał kiedyś o świecie, w którym wszystko dokonuje się natychmiast: nie ma kolejek po cukier i bekon, a raz otworzona flaszka niezwłocznie się opróżnia. Wówczas ludzkie życie skurczyłoby się do dwudziestu lat gnania z wywieszonym ozorem – smakowanie świata zaś byłoby pospiesznym zgarnianiem szlamu: wszystkiego, co się pod ozór nawinie. Ksiądz doktor Andrzej Gil czekał więc spokojnie na niewygodnym krześle, nogę założył na nogę, ręce splótł na kolanie, a oczy utkwiał w martwym punkcie, aby nic nie rozpraszało przyjemności oczekiwania.

Zabawne – dwaj gliniarze zmaterializowali się w drzwiach jednocześnie, jeden przepychał się przez drugiego i w końcu ten gruby przepchał szczuplejszego. Choć chudszy wcale taki chudy nie był. O ile wysoki grubas

w idiotycznej marynarce i nadmuchanych na tyłku spodniach, budził tylko rozbawienie, to w jego kumplu coś nie grało. Niby przysadzisty, a rusza się płynnie, niby tępą mordą – a w oczach błyszczą coś więcej niż bystrość, niby niski, a nie powiesz – kurdupel.

Wysoki grubas ostatecznie wszedł przodem, a jego niższy kumpel stanął w drzwiach, jakby nie wiedząc, co robić.

– Panowie się poznają – powiedział gruby dryblas. – Byłoby dobrze.

Przysadzisty gość wyciągnął kosmatą łapę.

– Zbigniew Enka – zabrzmiało.

– Andrzej Gil.

– No – powiedział porucznik Zbigniew Enka.

– No – powiedział ksiądz Andrzej Gil.

– Słyszałem – Enka usiadł pod ścianą – że ksiądz – cmoknął – że mogę pomóc, prawda?

Andrzej Gil wstał.

– Przysłał mnie tutaj biskup Rurak, jako konsultanta. Być może to się panu podoba, panie poruczniku. Być może nie.

– A co ten... biskup księdzu właściwie powiedział?

– Usłyszałem, że praca z panem porucznikiem to przyjemność.

Porucznik Enka pomyślał chwilę i odparł:

– To szczerą prawdą.

Andrzej Gil przesłał mu bolesne spojrzenie, poprawił marynarkę.

– Rozumiem dobrze, że pan zna świetnie swoją pracę – rzekł, a porucznik Enka uniósł brew – i nie wiem nawet, jak mógłbym panu, panie poruczniku, pomóc w czymkolwiek.

– Naprawdę ksiądz tak sądzi? – wtrącił Enka.

Gruła wykonał niezdarny pojednawczy gest – wyciągnął ręce przed siebie, jakby na znak, że wszystko będzie dobrze.

– Sądzę – powiedział Andrzej Gil – że żaden z nas nie chce tutaj być. A jednak jesteśmy. To powinno, panie poruczniku, dać panu do myślenia.

Zbigniew Enka spojrział na Grulę, na księdza Gila i na Grulę ponownie.

– Rozumiem – kiwnął głową – rozumiem, że ksiądz już wszystko sobie przemyślał.

### § § §

Enka cisnął teczkę z materiałami na tylne siedzenie poloneza.

– Porządna bryka, panie poruczniku – rzekł ksiądz Andrzej Gil. W świetle południa wydał się porucznikowi nienaturalnie blady. Był wyższy niż Enka początkowo ocenił i miał śmieszne chude dłonie dyndające przy udach. Enka pokiwał głową. Wskazał księdzu miejsce obok kierowcy, ale Gil podziwiał kształt maski i kiwał głową.

– Nowa rzecz – odparł Enka.

– Niech pan jeszcze powie, że to rajdowa wersja. – Ksiądz Andrzej Gil po raz pierwszy uśmiechnął się. – Dwieście na godzinę?

– Sto osiemdziesiąt – przyznał porucznik Enka. – No dobra, jedzie ksiądz czy nie jedzie? – Zmrużył oczy. – Woli ksiądz z przodu czy z tyłu?

Ręka porucznika Enki zatoczyła łuk od przedniego siedzenia do bagażnika. Wsiadli jednocześnie.

– Woził pan porucznik już jakichś księży? – zapytał pogodnie Andrzej Gil.

– Koledzy wozili. – Enka zapalił silnik, ruszyli. Ledwo wydostali się z Szerokiej, a wbili się w korek na Bohaterów Stalingradu. Enka kłął pod nosem, na Dietla korek stężał, porucznik Enka wycedził coś o torbie, która pękła, nałożył koguta na dach i popruł chodnikiem.

– No, namęczyłem się, żeby go dostać, genialna sprawa, w pracy i po pracy – powiedział. – Czym ksiądz jeździ?



– Nie mam samochodu.

– Może to i dobrze – mruknął Enka. – Po co ludziom tyle samochodów, no niech ksiądz patrzy, Święto Zmarłych, więc ci już jadą, wracają, mówię sobie, spokojnie, na własny pogrzeb każdy zdąży, ale nie, hołota musi, po prostu musi dymać na miasto całymi tuzinami, jedna kanalia z drugą byłaby chora, gdyby tego nie zrobiła. Myślał kiedyś ksiądz, czym Jezus by jeździł, gdyby żył dzisiaj? Grula twierdzi, że merolem, ale ja myślę, że nie ma racji. Niczym by nie jeździł, tylko siedział w domu, bo wyrzygałby się na widok zidiociałych owieczek w maluchach, syrenach i zaporozcach. Czy ksiądz...

Andrzej Gil uśmiechał się ironicznie.

– Czy ksiądz... – Enka ściszył głos – no dobra, w takim razie, może mi ksiądz powiedzieć, gdzie i po co właściwie jedziemy?

– Dlaczego pan porucznik myśli, że wiem? – zapytał Andrzej Gil, a Enka rzucił mu groźne spojrzenie. – Niech pan spróbuje sobie wyobrazić, że martwy ksiądz to problem nie tylko dla was. My, panie poruczniku, czyli Kościół, uprawiamy się w zatroskaniu. Wie pan, co to profanacja? Wikarego znaleziono martwego na moście, ale ślady krwi były w kościele, ktoś próbował je zatrzeć. Nie wiadomo, czy nie będzie trzeba kościoła na nowo wyświęcać.

– Może ksiądz na mnie liczyć – rzekł porucznik Enka i machnął ręką, jakby trzymał w niej kropidło.

– Bardzo dziękuję, panie poruczniku – odmruknął Gil. – Wikary nazywał się Spiski, Marcin Spiski, pracował pół roku na parafii i ludzie raczej go lubili, a ktoś mu gardło podciął. Duże, ostre narzędzie. Nikt nic nie widział, ludzie z proboszczem byli na cmentarzu po drugiej stronie wsi. Morderca przeniósł ciało kilkaset metrów aż na mostek nad Gardzianką, ktoś musiał się namęczyć.

– Don Johnson byłby z księdza dumny, ale mnie, prostemu glinie, zdaje

się, że cmentarze są przy kościołach – wtrącił Enka.

– W Stachowartach są dwa kościoły. Jeden nowy i stary przy cmentarzu.

– Nowy kościół, no proszę. – Enka cmoknął. – Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Czy te owieczki Boże... – przerwał – Stachowarty... No dobrze, jak już ksiądz tyle wie, to proszę mi powiedzieć, czemu my tam jedziemy.

– Wolałbym, żeby pan porucznik sam przeczytał. – Andrzej Gil kiwnął głową na znak, że chętnie by poprowadził. Porucznik Enka nadął się tylko.

– Wszystko utknęło – wyjaśniał dalej ksiądz doktor. – Naprawdę, niech pan poczyta sobie sam. Ja wiem, że wikarego ludzie lubili, a w okolicy kręciło się trochę podejrzanych osób. Jakiś domokrażca kury pozabijał przy plebanii, to ludzie go przepędzili. Tyle właściwie. Proboszcz mówił, że to musiał być ktoś obcy. Teraz kłócą się o zwłoki, bo chcą je pochować na parafii, rodzina się nie zgadza.

Milczeli przez chwilę.

– Ten wikary, Spiski – mruknął porucznik Enka. – Co z nim?

– Młody człowiek, pół roku pracował.

– Ja tam się na waszych świątkach i kościołach to nie bardzo znam, ale Stachowarty to chyba straszna dziura, nie?

– Dość dziwne miejsce – przyznał Andrzej Gil.

– To co, dwa kościoły w parafii i jeszcze stać ich na wikarego?

– Ludzie są bogaci, a parafia stoi na uboczu, oddalona od innych kościołów. Zawsze mieli wikarego. – Andrzej Gil wydobył dwie teczki. – Organizacja partyjna do niedawna wzorowa, teraz, niestety, coś trzeszczy.

– Strasznie mało ksiądz wie, jak na konsultanta. – Porucznik Enka zerknął na teczki.

Opuścili już Kraków.

– Mam tu trochę drobiazgu. – Gil otworzył pierwszą teczkę. – Kuria

udostępniła nam materiały na temat.

– No proszę. Co z proboszczem?

Andrzej Gil zanurzył się w materiałach.

– Nic szczególnego. Radosław Kalanda, po czterdziestce. Seminarium w Krakowie. Najpierw był wikarym, proboszczem został w 1984 roku. Porządny człowiek.

Porucznik Enka parsknął.

– W ogóle, wieś to oaza spokoju. Mądrzy ludzie tam żyją, panie poruczniku, sami się prawie skolektywizowali w latach czterdziestych, pracują na wspólnej ziemi. Mają spółdzielnię produkcyjną. Jak już mówiłem, panie poruczniku, podstawowa komórka partyjna działa wzorowo – uśmiechnął się złośliwie Gil.

– No, dwa kościoły mają.

– To jedna z najstarszych parafii w regionie – Andrzej Gil mówił z pamięci. – Był tam benedyktyński klasztor, ale spłonął jeszcze w średniowieczu. Kupka kamieni została. Ten stary kościółek też cudem uniknął ognia, ale to już było za rozbiorów. Parafia się spaliła cała. Wiem, bo przepadła wtedy masa cennych materiałów. Rozumie pan porucznik, kilkusetletnie księgi parafialne, dokumenty, wszystko poszło z dymem. Kościółek cudem ocalał. Niech pan zobaczy. Jest piękny.

Porucznik Enka zerknął na zdjęcie.

– Faktycznie. I co, cały czas tam cicho?

– Ludzie są spokojni – przyznał Gil. – Niech pan, panie poruczniku, poczyta sobie w naszych papierach. Nikt praktycznie nie wyjeżdża, a jak wyjeżdża to wraca. Rozmawiałem z prawnikiem z gminy, zdaje się reprezentuje interesy poszczególnych mieszkańców, ale nie ma za dużo roboty. Starszy facet. Prowadzi sprawy spadkowe, o grunty i takie tam. Jediną poważną robotę miał przy tych pożarach.

Porucznik Enka zerknął pytająco.

– Naprawdę nic pan nie czytał?

– Wyrwali mnie z łóżka – powiedział.

– Myślałem, że pan wie. Ludzie są spokojni – przypomniał Andrzej Gil – ale lubią poszaleć przy stypach. Raz spaliła się remiza, raz stodoła, raz dom.

– Trupy?

– Dwie wdowy. I raz młoda dziewczyna. Naprawdę wielkie pożary. Wiem, bo zapytałem o to tego adwokata i mówił chyba z dziesięć minut. Wyglądał na szczerze zatroskanego. Rozumie pan porucznik, mała, spokojna wieś. Pożar to wydarzenie.

– Dlaczego? Z tego, co ksiądz mówi, w kółko tam coś się pali – odpowiedział natychmiast Enka, myśląc jak wygląda zatroskany prawnik, ale Gil nie mógł doszukać się złośliwości w jego słowach. I szczerze się roześmiał. – Ja tak księdzu od serca powiem, co myślę – ciągnął Enka. – Jeśli tam jest wszystko w porządku, to ja jestem Wyszyński, a ksiądz Albin Siwak.

### § § §

Miasto gminne Olszynka przypominało porucznikowi Ence tysiąc innych spokojnych miast gminnych, które zjeździł, w których pił, spał, a czasem strzelał. Patrzył na asfaltowy plac, który wydawał się piaszczysty, na domy z pustaków, które wydawały się tekturowe, na ludzi, którzy wydawali się być mniej niż ludźmi i pomyślał, że może ktoś leci z nim w klipy – miasto gminne naprawdę jest jedno i powstaje zawsze tuż przed przyjazdem porucznika Enki gorączkową pracą robotniczych rąk w służbie kiepskiego dowcipu. Trzasnął drzwiami i przez plac poszła fala uderzeniowa: gołąb poderwał się do lotu, ludzie odwrócili głowy, pies przyspieszył, w odrapanym oknie poruszyły się firanki.

Komisariat mieścił się w brudnokremowym budynku wzniesionym i



pomalowanym w latach sześćdziesiątych. Andrzej Gil uśmiechnął się na widok samochodu na milicyjnych rejestracjach, za to bez przedniego koła, trącił Enkę, a Enka zacisnął zęby. Obok komisariatu widniał szyld pasmanterii, dalej fryzjer, sklep spożywczo-przemysłowy i mięsny, przed którym stał grubas w szarym fartuchu i palił.

– Ksiądz lepiej popatrzy na to.

Gil skierował spojrzenie na bury budynek z oknami przypominającymi jamy i kolorowy szyld z napisem WRÓŻBY zrobiony z grubej pilśni i pomalowany na złoto. Wzruszył ramionami.

– Bywa – oświadczył i poszedł na przystanek.

Enka pomachał ręką w geście pożegnania, odprowadzał księdza wzrokiem i myślał, że powinien go dawno rozgryźć i dziwne trochę, bo jeszcze tego nie zrobił.

Posterunkowy Remigiusz Tuta widział, jak porucznik Enka rozgląda się po placu, chwyta się pod boki, strzyka śliną, słowem, zachowuje się, jakby nie wiedział, dokąd idzie – a wiedział przecież. Tuta od razu rozpoznał oficera, był bowiem dobry w rozpoznawaniu ludzi. Wystarczy przyjrzeć się barkom, szyja zawsze je przekrzywi, choćby wcześniej kij połknął, człowiek prawy, nawet z garbem, barki będzie trzymał równolegle do ziemi. Milicjant zaś ma proste barki, ale wydają się krzywe i trzeba wprawnego oka, żeby się połapać. Tuta właśnie po barkach rozpoznał porucznika.

Napił się zimnej herbaty i wiedział już, co robi. „Gdy tylko ten facet wejdzie”, pomyślał, „dzień dobry, panie oficerze, bo jeśli tu przyjechał, to na pewno jest oficerem i gość będzie rozłożony”. Porucznik Enka energicznie otworzył drzwi, Tuta podniósł się sztywno.

– Porucznik Zbigniew Enka – wszedł Tucie w słowo. – Posterunkowy – spojrzał do karteczki ukrytej w dłoni – Tuta. Potrzebuję waszej pomocy.

Wargi posterunkowego Tuty kłapnęły w potwierdzeniu. Porucznik Enka

poparzył na odrapane ściany: orzeł wyglądał, jakby zaraz miały mu odpaść skrzydła, pękate, pokreślone teczki z papierami leżały w kupie pod ścianą. Wzrok Enki przewędrował przez rząd szklanek po kawie, po łyżeczkach zostawionych w zaschniętych brązowych plamach i spoczął na maszynie do pisania, w której brakowało „D”. Pod biurkiem stały cztery butelki z przezroczystym płynem, pod ścianą – kartonowe pudło.

– Już, już, oczywiście. – Remigiusz Tuta odzyskał głos. – Kawy może?

Enka pokręcił głową.

– Mielicie ostatnio trupa – stwierdził. – No to ja w sprawie tego trupa przyjechałem.

– Trup – powtórzył posterunkowy Tuta. Oczy mu się zwęziły. – No jasne, panie poruczniku. Obywatel Śpik. Obywatel wikary Śpik. Mam tu wszystko – porwał pękatą teczkę – i o nim, i o wsi pewno obywatel porucznik też chce wiedzieć, wszyściuteńko, pan pewno myśli, że jak skromnie, to zaraz nieporządnie. Juuuz – cmoknął – Stachowarty.

– Wiecie co? – Enka poparzył smutno na papierzyska śmigające w rękach posterunkowego Tuty. – Może lepiej zajmiecie się kołem od samochodu. Macie wróżkę, popytam.

Posterunkowy Tuta zrobił tak nieszczęśliwą minę, że Enka natychmiast pożałował swoich słów. Drzwi otworzyły się z hukiem i do komisariatu wparował wąsaty facet koło pięćdziesiątki, z malowniczym kolażem plam na tureckim swetrze. Twarz miał czerwoną jak radziecka flaga, z oczu bił zimny błękit Bajkału.

– Tutuś! – wychrypiał. – No dajże szklaneczkę na wyzdrowienie, co? Wiesz, co to bydlę, Pustułko, nawywijał?

Posterunkowy Tuta, dosłownie, wybił się zza biurka, zmaterializował się tuż przed wąsaczem, syknął coś i pchnął go w kierunku drzwi. Gdy się odwrócił, ujrzał porucznika Zbigniewa Enkę na swoim krześle: niedbale

przeglądał papiery, a lewą ręką turlikał butelkę wódki.

– Dobrze, posterunkowy Tutuś – rzekł Enka – to może wrócimy do naszego *corpus delicti* i nieszczęsnego denata.

– Tuta – zadudnił Tuta. – Remigiusz Tuta.

– Powiesz mi wreszcie, co tutaj się wywija? – huknął Enka, a Tuta przypadł do biurka, sięgnął do papierów i zaraz cofnął rękę.

– Więc ksiądz Śpik...

– Wikary Spiski – poprawił Enka. – Chodźcie, Remigiuszu, do kościoła?

– Nie! Czasem – sapnął Tuta. – Panie kapitanie, widzi pan, z tym wikarym to nikt nic nie wie, obcy ludzie musieli. Nikt nie widział, ludzie byli na cmentarzu, to drogi kawał. Wszyscy się dziwią, tu każdy religijny, żeby księdza zabić, jak to można?

– Księdza? A towarzysza sekretarza?

– Jezu – jęknął posterunkowy Tuta. – Sekretarza!

– Słuchajcie mnie, Tuta. Ja to wszystko wiem. Opowiedz mi o Stachowartach.

– Stachowarty, no co ja mogę? Toż tam się nic nie dzieje. Dobrzy ludzie żyją, ja tam spraw nie mam. Raz chłopinie rękę przy pile przycięło, nie wiem, naprawdę.

– Pożary – przypomniał porucznik Enka.

– No były pożary, ale ja, panie kapitanie kochany, ja tu od dwóch lat jestem, to nie wiem, nic się nie spaliło, ale jak tego księdza zabili, to zaraz pomyślałem, że będą problemy. Jak przejmowałem teren, to też nikt się nie skarżył. Pan kapitan pójdzie, pan pójdzie, pan się ludzi popyta, to złego słowa na Stachowarty nie usłyszy! Ludzie ich lubią, no bo bez nich byłoby ciężko. Wie pan, co się w szpitalu tutaj dzieje? Okropne rzeczy, strach iść, i nawet jak moja rodzila, to u baby, aż wstyd powiedzieć, właśnie w Stachowartach. Nasz szpital jest straszny! Widział pan Waldka? Toż mu

dziecko tam umarło. A stary doktor jeszcze chciał baby stachowarckie przepędzić z Olszynki i pewno by to zrobił, ale umarł nagle, we własnym szpitalu. – Tuta dostrzegł, że gość otwiera usta, by zadać pytanie. – Normalnie umarł, panie kapitanie, najpierw wrzód, potem zapalenie, to chłopu się zmarło i nie ma w tym żadnej tajemnicy.

– No dobrze – porucznik Enka wstał, strzelił z palców. – To jeszcze raz z tym wikarym, poproszę.

– Ja nie wiem, czemu pana kapitana tu wezwali. Już z województwa przyjechali, pochodzili, ale skończyło się na tym, że porobili zdjęcia, trupa zabrali i co, ani widu, ani słychu.

Porucznik Enka z uśmiechem odstawił półlitrowkę, niby przypadkiem trącił pudło przy ścianie (zabręczało) i uścisnął spoconą rękę posterunkowego Tuty.

– Jesteście, Tuta, porządnym człowiekiem. – Spojrzał mu w oczy. – Bardzoście pomogli.

Wyminął go, położył dłoń na klamce.

– Ja mogę jeszcze pomóc – rzekł Tuta rozbijając – tylko naprawdę nie wiem jak, panie kapitanie.

– Dobrze, że chcecie, Tuta – odparł porucznik Enka. – Dowiem się, w jaki sposób i wtedy pomożecie.

Na dworze świeciło słońce i można by zapomnieć, że mamy jesień. Porucznik Enka szybkim krokiem ruszył w stronę samochodu, zastanawiając się, czy ksiądz Gil dotarł już do Stachowart i czego tam się dowiedział. Kątem oka dostrzegł, że wąsaty facet, zgarbiony, ukradkiem wchodzi do komisariatu.

§ § §

Z początku ksiądz Andrzej Gil nie wiedział, co dziwnego jest w



Stachowartach. Może to, że zdawały się wyskakiwać z lasu: krok wcześniej widział tylko złoto i brąz jesiennych drzew, krok dalej – wyrastały kolorowe domy. Ksiądz przeszedł kilkadziesiąt metrów, nim zrozumiał, właśnie kolory sprawiały, że wieś odróżniała się od innych. Listopad, szary miesiąc szarego peerelu, a tutaj wiśniowe dwuspadowe dachy, żywa zieleń okiennic, większość budynków z drewna, pomalowanych na jasnożółto, biało, nawet seledynowo. Płatki dookoła ogródków miały najczęściej barwę intensywnego brązu, trafiały się karmelowe, jeden wściekle niebieski.

Ksiądz szedł przez Stachowarty ujęty spokojem miejscowości. Większość mieszkańców najpewniej jadła właśnie obiad, nieliczni, mijani na poboczu, kłaniali się nisko, mówiąc „pochwalony”. Kobiety miały na głowach kolorowe chusty i nosiły spódnice z mnóstwem wielobarwnych pasów. Sprawiały wrażenie lekko zaskoczonych widokiem mężczyzny w koloratce, ale największą uciechę miały dzieci: roje brzdąców podążały tropem księdza, kryjąc się za drzewami, w chaszczach, wpadając za domy i wybiegając z drugiej strony. Dzieci jak dzieci, w luźnych spodniach dresowych, znoszonych flanelowych koszulach i bluzach, a im dłużej Gil na nie patrzył, tym bardziej ganił się za to, że widzi w nich coś niepokojącego. Jakby skóra mogła być za biała i zbyt naciągnięta na kości, śmiech zbyt bezpośredni a krok mechaniczny.

Na przykład dziewczyna z naprzeciwka: na oko ledwo po dwudziestce, ale już po dzieciach. Szła szybko, posłała księdzu zdziwione spojrzenie, zaraz się skłoniła, a Andrzej Gil nabrał wrażenia, że pod piegowatą skórą skrywa się choroba i policzek pokruszyłby się, gdyby tylko go nacisnąć.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Którędy do kościoła? – zapytał.

– Pochwalony! – powtórzyła. – A do którego kościoła, starego czy nowego? Bo dwa kościoły mamy!

– Na plebanię.

– Jak na plebanię, to prosto jak strzelił – wyjaśniła – do nowego kościoła, ale będzie ksiądz musiał całą wieś przejść.

Podziękował. Poszedł dalej. Domy stały daleko od siebie, odgrozione tylko pasami schnącej trawy, drzewami i ogródkami. „Można by między jednym domem a drugim sporą stodołę postawić”, pomyślał Andrzej Gil i dostrzegł dziewczynę biegnącą od płotu do płotu wystarczająco blisko, żeby widział jej uśmiech i zarazem dość daleko, by nie dostrzegł wyrazu jej oczu. Nie wiedział czemu, ale był pewien, że są smutne.

Dziewczyna miała białą spódnicę zakrywającą stopy i jasną bluzeczkę na ramiączkach – za lekką na październik, nawet tak ciepły jak ten. Poruszała się płynnie, jakby sunęła nad ziemią, a kępki trawy falowały przed nią. Wywijiała giętym kijkiem, niby goniąc przed sobą psa lub inne zwierzę, a co chwilę podskakiwała, klaszcząc w powietrzu i księdzu wydawało się, że widzi wirujący punkcik nad jej głową, bardziej jednak podobny do płatka sadzy niż do motyla. Śpiewała, a ten śpiew dochodził do drogi:

---

*A Łado gardzina Jesze, Łado, Jasza, Kija, Nija.*

*Łado i Leli, Jasza, Tija.*

*Jesza, Łado i Leli, Jaja.*

*A, Łado! A, Jieszel<sup>[1]</sup>*

---

Melodia bez melodii, wiatr wplatał się w słowa, a księdzu coś brzmiało znajomo. Nie wiedział, czy to ten rytm senny, czy barwa głosu, czy wreszcie same słowa – znał. Przystanął i z wahaniem poszedł w stronę dziewczyny. Im śpiew brzmiał głośniej, tym księdza mocniej ogarniał niepokój. Dziewczyna spostrzegła księdza, zatrzymała się, urwała pieśń w środku nuty i ksiądz Gil poczuł dziwną pustkę, jakby nagle zatkano mu uszy.

– Niech będzie pochwalony! – powiedziała śpiewnie i ksiądz Gil miał wrażenie, że mówi to zupełnie inna dziewczyna. Chciał zagadać jeszcze o drogę do plebanii, ale tylko uśmiechnął się sztucznie i zawrócił. Dopiero na drodze zorientował się, że kieszeń marynarki, w której trzymał dłoń, jest mokra od potu.

### § § §

Plebania z daleka przypominała konglomerat gigantycznych białych klocków – z bliska okazała się przysadzistym budynkiem o wielkich oknach, otoczonym przez ogród i czerwone czapy drzew. Obok stała szopa, biała, niezgrabna – za to duża.

Kobieta, która otworzyła, wyglądała na zaskoczoną.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedział Andrzej Gil, a gospodyni patrzyła na niego, jakby był upiorem albo cyrkowym dziwadłem. Kiedyś musiała być bardzo piękna, teraz zmarszczki oplotły oczy, ale, gdyby księdzu Andrzejowi wolno było oceniać takie sprawy, stwierdziłby, że biust wciąż ma prężny, a nogi proste jak droga do piekła.

– Zastałem może księdza proboszcza? – Gil wszedł do środka. Gospodyni puściła go przodem i powiedziała: – Jest w ogrodzie. Zaraz przyjdzie. Zaraz go zawołam, powiem, że jest ksiądz... – zawiesiła głos – ksiądz...?

– Andrzej Gil.

Popatrzyła, niezdarnie dając do zrozumienia, że nazwisko Gil mówi jej cokolwiek. Pięć minut później Andrzej Gil siedział w przestronnej kuchni, pił herbatę i kontemlował ludowego świątka spoglądającego bezmyślnie nad szafki. Proboszcz wytoczył się z głębi domu z koszykiem pełnym ziół.

– Niech będzie pochwalony – powiedział i zaraz dorzucił, nie czekając na odpowiedź: – Smakuje księdzu herbata? Sam przyrządzam – potrząsnął koszykiem – herbata to moja pasja.

– Niech będzie pochwalony – odparł Andrzej Gil. Proboszcz zdawał się rozsadzać kuchnię. Bardzo wysoki i barczysty, chodził, kiwając się na boki. Twarz miał ogorzałą i poważną, choć śmiesznie wysunięta szczęka ujmowała trochę groźnego wyglądu. Dłonie bardziej nadawały się do wrywania drzew niż przycinania krzewów. Pod paznokciami zagnieździła się ziemia. Proboszcz miał też nogi tak grube, że sprawiały wrażenie napuchniętych.

– Janino – zawołał gospodynię. – Janina zrobi gościowi obiad. Na pewno ksiądz jest głodny.

Andrzej Gil nie miał powodu, by kłamać. Proboszcz poopowiadał o trudach prowadzenia wiejskiej parafii, co mogą wynagrodzić tylko uczciwi wierni i że najważniejsza jest zżyta społeczność. Mówiąc, cmokał i kaszłał. Ksiądz Gil odpowiadał półsłówkami. Na stół wjechał najpierw rosół z makaronem, zaraz po nim potrawka z kurczaka i mizeria ze szklarniowych ogórków. Proboszcz odkroił sobie mały kawałek mięsa, nałożył ziemniaki na widelec, przełknął.

– Więc z czym ksiądz do mnie przychodzi?

§ § §

– O to wszystko mnie już pytano. – Proboszcz lubił siedzieć, zakładając nogę na nogę i z głową lekko spuszczoną, tak że wydawał się niższy niż w rzeczywistości. – Nie widziałem, nie byłem, nikt nie widział.

– Ksiądz chyba rozumie, że nie jestem milicjantem.

Proboszcz zamrugał i pokiwał głową.

– Nie jestem milicjantem, ale jeśli ma ksiądz jakieś podejrzenia, szczególnie delikatnej natury, może byłoby lepiej, żeby ksiądz podzielił się nimi ze mną.

– Jest ksiądz sam? – wypalił proboszcz.

– W tej chwili tak.



– Powiem tyle, że to był ktoś z zewnątrz. W zeszłym tygodniu ktoś tu się kręcił. Jakiś łachudra, ankiety robił, próbował włamać się na plebanię. Odgrażał się, że wróci. Jest jeszcze... – chrząknął. – To może za chwilę. Przykra sprawa. – Spojrzał smutno na Gila. – Czy ksiądz przyjechał zamknąć nasz kościół?

Andrzej Gil przymknął oczy.

– Nie ja zamykam kościoły – powiedział. – Czy tam dokonano morderstwa?

– Nie wiadomo – proboszcz nachylił się do Andrzeja Gila. Sprawiał wrażenie szczerze zatroskanego – przecież znaleźli go przy moście, ale milicja uparła się, że w kruchcie są ślady krwi. Pewno są. Mówili, aż boję się o tym myśleć, że są przy ołtarzu. Co wtedy?

– Biskup może zamknąć kościół. Na pewno będzie trzeba go wyświęcić.

– Ja wiem, ja wiem – przyznał proboszcz. – Przecież w nim mszy nie odprawię. Przeniosłem się do starego kościółka. Co powiedział biskup?

– Nie rozmawiałem jeszcze z biskupem – przyznał Andrzej Gil, jakby kiedykolwiek miał taki zamiar. – Powiedział ksiądz, stary kościół.

– Mamy taki. Zabytkowy, bardzo stary.

– Wiem – rzekł ksiądz Gil.

Proboszcz otarł rękawem pot z czoła. Tęsknie spojrzał w stronę koszyka z ziołami na herbatę.

– Mamy mieć niedługo inspekcję z gminy. Będą też strażacy. Kościółek jest z drewna, suchy jak próchno, a w środku tyle cennych rzeczy. Wszystko może pójść z dymem, a tego już nie odratujemy. Raz już cudem ocalał, dawno temu. Boję się, że władze każą go zamknąć, jakby lato było, mógłbym jakiś ołtarz może... ale zima za pasem.

– Co na to konserwator zabytków?

– Nie wiem. – Proboszcz wzruszył ramionami. – Może to i dobry

człowiek. On myśli o przedmiotach, a ja o ludziach.

Zapadło milczenie. Proboszcz ożywił się nagle i zaproponował wino.

– Podziękuję. – Gil wstał. – Może będzie dobrze.

Proboszcz rozpromienił się.

– Póki co, pokaże mi ksiądz kościoły? – rzucił Gil niby obojętnie, patrząc na świątko.

– Kościoły? – Proboszcz złączył dłonie na brzuchu. – A po co zaraz kościoły? Przecież nieszczęsnego Marcina zabili w nowym. – Przygryzł wargi i zaraz się uśmiechnął. – Oczywiście, ma ksiądz rację. Pokażę oba kościoły.

### § § §

Proboszcz Kalanda musiał przystawać co kilka kroków, pochylał się, jakby zamierzał kaszlnąć, ale tylko wydmuchiwał ze świstem powietrze. Gil próbował na niego nie patrzeć i wodził wzrokiem po domach – kolory zdawały się głębsze niż w południe, ludzi było więcej, kłaniali się nisko, a ksiądz Gil nie mógł nadziwić się ozdobom kobiet. Mężczyźni wypadali przy nich szaro, tak jak inne wsie bladły przy żywych barwach stachowarckich domów. Nie pozbył się dziwnego wrażenia, że w ludziach czai się jakieś złamanie – w kościach, w kroku; może zwyczajnie, nieszczęście ich przygniotło?

Naprzeciw kościoła wznosił się budynek szkoły podstawowej, Kalanda akurat znów stanął, a Andrzej Gil zderzył się ze szczupłym mężczyzną po czterdziestce. Mężczyzna odruchowo rzucił „pochwalony” i podreptałby dalej, gdyby nie ksiądz Gil.

– Pan jest nauczycielem? – zagadnął, a mężczyzna rozchylił ze zdziwienia usta, jakby zapomniał o przezroczystej siatce z zeszytami.

– To ksiądz profesor Andrzej Gil – pospieszył z wyjaśnieniami proboszcz.

– Przyjechał aż z Krakowa, żeby zobaczyć nasz kościół. A to Robert Hardaj od klas pierwszych.

Nauczyciel odstawił siatkę i podał rękę: Gil nie znosił takiego uścisku, właściwie to nie uścisk, ale obmacywanie miękkiego mięsa.

– To już ksiądz wie. – Hardaj miał głos doskonale obojętny. Gil był przekonany, że gdyby belfer musiał błagać o życie, wydobywałby z siebie to samo buczenie na jednym tonie. – Takie nieszczęście – powtarzał Hardaj – takie nieszczęście.

– Znał pan wikarego?

– Wszyscy przecież go znali – mówił – i każdy chyba lubił...

„No, ktoś tu go jednak nie lubił”, pomyślał ksiądz Gil.

– Uczył religii, dzieci go uwielbiały. Sam nawet odnowił salkę przy parafii, ze szkoły pożyczylimy ławki – ciągnął Hardaj. – Pół roku był z nami, niby krótko, tak naprawdę dużo, a tak zupełnie szczerze, za krótko. Nigdy coś takiego się nam nie zdarzyło, bo widzi ksiądz, ja w tej szkole piętnaście lat pracuję. Tak już jest, ludzie nawet po studiach wracają – Hardaj rozgadał się, a Gil pożałował, że w ogóle go zatrzymał – czasem i po wielu latach. Tak samo lekarz, jak nauczyciele, nie zapomnieli, skąd są.

Hardaj otwierał usta do następnego zdania, gdy proboszcz zgromił go wzrokiem. Nauczyciel uśmiechnął się głupkowato, poderwał siatkę i poczłapał między domy.

– To dobry człowiek – rzekł przejęty Kalanda. – Wszyscy tutaj są podenerwowani.

– Nic dziwnego – przyznał obojętnie Andrzej Gil.

– To dobry człowiek – powtórzył Kalanda. Wydobył klucz od kościoła.

§ § §

Andrzej Gil przekroczył obrysowany na biało ślad po krwi i wszedł w

czerwień. Początkowo nie rozpoznał jej źródła, cofnął się i wpadł na proboszcza. Kalanda położył mu dłoń na ramieniu – będzie dobrze. Tylko że wszystko było czerwone: nawa, ławy, paskudny obraz ze Świętą Trójcą, ołtarz i ściany. Kalanda zapalił światło i niezwykły efekt zniknął. Tworzyło go słoneczne światło wpadające przez czerwone kwiaty na witrażach. Te kwiaty o ogromnych płatkach podobnych do płatów mięsa nie spodobały się księdzu Gilowi, a jeszcze bardziej nie spodobał mu się obraz za blatem ołtarza.

Gil twierdził, że w seminariach duchownych powinni uczyć estetyki, a przynajmniej nazw kolorów: niebo nad głową Pana Jezusa było seledynowe, a trawa chyba schła pod dotykiem boskiej stopy – była bowiem brązowa. Nad głową Zbawiciela fruwał gołąbek z laurowym liściem, a na wszystko spoglądał Bóg Ojciec, wzrokiem karczmarza, któremu właśnie rozniesiono lokal na cztery wiatry. Kościół parafialny w Stachowartach był pod wezwaniem Świętej Trójcy.

Ksiądz Gil przyklęknął, przeżegnał się i usłyszał, jak proboszcz Kalanda ciężko opada na prawe kolano. Popatrzył jeszcze chwilę i poprosił o wskazanie drogi do zakrystii.

– Myślałem trochę o tej sprawie. – Gil krążył po zakrystii. – Obiecuję, że w piśmie do ordynariusza wspomnę też o problemach księdza. Nie wiem, co na górze postanowią.

Proboszcz Kalanda siedział na zielonym krześle. Dłonie złączył na kolanach.

– Tak – mruknął – dobrze, ja to rozumiem.

Odwrócił głowę.

– Wiem, co biskup Rurak myśli – podjął Andrzej Gil. – U niego to łączy się w spójną całość. Morderstwo. Zbezczeszczone kościół. Ta tajemnicza zbrodnia i, w jej cieniu, zamknięcie kościoła.

– Jezu – wyrzucił z siebie proboszcz – przecież ja mówię cały czas, że co ja mogę, że nic nie wiem, przecież nie można karać tylko za to, że nie byłem, nie patrzyłem, nie mogłem. Biskup nie rozumie? Ja to nieważne, ale przecież ludzie, czy ksiądz tego nie rozumie – wyciągnął ręce – to dobrzy ludzie, prości ludzie Ale zawsze żyli spokojnie, blisko siebie i zawsze był nasz kościółek. – Spróbował się podnieść, ale zachwiał się i padł na kolana. Gil pochylił się, a Kalanda wczepił się w niego, przyciągnął i mówił, nie kryjąc łez. – Dobrze, powiem. – Chlipnął i rozplakał się na dobre. – Nie powinienem, ale powiem. To dobra kobieta. To pewno nie ona, ale powiem, skoro trzeba. Powiem.

Puścił wreszcie Gila, wdrapał się na stołek i mówił dalej, ocierając twarz rękawem.

– Mamy taką Jadźkę, Jadźka to nie zły człowiek, dużo wycierpiała. Najpierw umarł mąż, też dobry człowiek, a siedem lat temu, Jezus Maria – przeżegnał się – jej córka zmarła straszną śmiercią. Spaliła się, rozumie ksiądz? Na stypie, w stodole schowała się, nikt nawet nie wiedział... A właśnie jej, Zosi, narzeczonego chowali, już na ślub byli umówieni, pamiętam, dobry Boże...

Zgarbił się, łokcie wepchnął między kolana.

– No zwariowała od tego i z nożem po wsi lata. Czasem, rzadko, ostatnio było gorzej. Milicja sama do tego doszła, ale jej w końcu nie zabrali. Z niej nic ksiądz nie wyciągnie, a i tak zabiorą ją do szpitala – kaszlnął – na zawsze. Teraz ludzie ją karmią, inaczej by umarła, i właśnie mówili, że to może ona, bo w wikarym diabła się dopatrzyła. Ale nikt nie wie. Takie nieszczęście, każdy by oszalał – wstał gwałtownie – martwy mąż, spalona córka.

Gil pokiwał głową, a proboszcz wygrzebał szmacianą chustkę. Przetarł oczy. Gilowi zrobiło się go żal.

– A stypy? – zapytał łagodnie. – Słyszałem o tym.

– Stypy. Są stypy.

– Pożary na stypach. Trupy.

– U nas na każdej stypie jest cała wieś, stąd stodoły przeważnie. To dobrzy ludzie, ale jak nieszczęście, to lubią popić – po policzku zsunęła się łza – no to stąd pożary.

– Czemu ksiądz na to pozwala? – zapytał Gil, a Kalanda skrzywił się, jakby właśnie otrzymał cios na odlew.

– A co ja mogę? – Rozłożył ręce. – Znaczy mogę, ale ci ludzie tak zawsze robili. Ja też tu byłem wikarym i proboszcz nieboszczyk zaraz na wstępie mówił, że nie można występować przeciwko tradycji, bo tradycja to dobro w ludzkich sercach. – Targnęły nim dreszcze, kaszlnął, błyszcząca plwocina wylądowała na podłodze i Kalanda rozryczał się na nowo. – Ale teraz już rozumiem, że trzeba, po tym, co się stało. Ja to zrobię – chwycił księdza Gila za marynarkę i natychmiast puścił – jeśli to ma pomóc, to ja to zrobię.

Oczy powiększyły mu się nagle, spojrzął po zakrystii i podreptał, kołyszając sadłem, za róg. Księdza Gila dobiegł szum wody. Gdy Kalanda pojawił się ponownie, był jeszcze bardziej czerwony, ale trząsł się mniej.

– Ja bardzo przepraszam – wykrztusił.

Gil, jeśli coś zrozumiał, to tyle, że powinien poczuć się winny; poklepał proboszcza po przyjacielsku. Kalanda westchnął głęboko, zapytał, czy mają teraz iść do starego kościoła.

– Nie chce ksiądz odpocząć? – zapytał Andrzej Gil, a proboszcz zaprzeczył ruchem głowy.

– Spać? – wyszeptał. – Jak mam spać?

Nim wyszli, Kalanda zgasił światło i ostatnim, co ksiądz Andrzej Gil zapamiętał z wizyty w kościele Trójcy Świętej, był czerwony blask spływający z witraża wprost na jego stopy.

Porucznik Enka nabrał przekonania, że posterunkowy Tuta sprawdziłby się podczas przesłuchań i najtwardszy nawet opozycjonista śpiewałby jak na roratach. Od razu widać, że miał to w pięściach. Pierwszym, co Enka zrobił po zaparkowaniu w Stachowartach, była wizyta w geesie i wlanie w siebie litra szczyń, choć zapłacił za piwo. „Tuta, tuta” dźwięczało mu w głowie, nazwisko jak stukot pociągu, „tuta, tuta”, męcząca menda, jeden z tych gnojków, którzy płaszczą się przed każdym, a potem okładają własne dzieci osiką, głupek, dureń, buc. Enka czuł się zmęczony. Zmęczył go też obiad – ziemniaczana papka i kotlet tak cienki, że można by przez niego świat oglądać. Zadzwoił do Gruli i zdenerwował się jeszcze bardziej.

– Stachowarty? – mówił Enka do słuchawki. – Jestem w Stachowartach, patrzę sobie po ludziach i nic mi się tu nie podoba.

– A ksiądz? – zagulgotał Grula.

– Ksiądz to mądrała, ale zęby sobie tutaj połamię – cmoknął Enka. – Nie wiem, co on teraz robi. Wsadziłem go w autobus. Miał zapuścić żurawia między katabasy.

– To coś ty robił przez trzy godziny?

– Co robiłem? Właściwie nie wiem. Spotkałem idiotę stulecia, niejakiego Tutę, robi tutaj za handlarza udającego milicjanta, tak mnie bałwan wymęczył, że nie wiem właściwie, co się dzieje. Straszny człowiek, zresztą klecha nie lepszy. Przecież jego można moczem przeciąć w najgrubszym miejscu, mówisz do niego i mówisz, a on może i zrozumie, ale nie przyjmie, zrobi swoje.

– Przesadzasz.

– Znasz ten typ człowieka, który ma zamiast oczu dwa drogowskazy? No to taki gość. A teraz stoję sobie w tej dziurze i im dłużej patrzę, tym coraz lepiej rozumiem, że sprawa jest beznadziejna. Poczytałem akta, klecha z kimś zadarł, to ten ktoś go zabił, a wieś nabierze wody w usta. Mogę miesiąc tu

spędzić, chodzić od domu do domu i niczego się nie dowiem. Nie dziwię się, że tutejsi zęby sobie połamali.

Zapadła chwila milczenia i Enka wyobraził sobie Grulę, jak ten opada na fotel, przytrzymuje słuchawkę ramieniem i czyści paznokcie kartką złożoną na czworo.

– Rozmawiałeś chociaż z kimś? – rzekł wreszcie Gula.

– Jasne, z posterunkowym, z miejscowymi, widziałem mostek z kościołem – łągał Enka. – Zaraz będę rozmawiał. – Sapnął, wiedząc, że Gula nie opuszcza miasta. – Czy ty, Gula, kiedykolwiek byłeś na wsi?

– No pewnie.

– Takie sprawy jak nasza, na wsiach po prostu nie wychodzą. Są dwie możliwości – strzelił z palców – albo zabił go ktoś miejscowy, albo przyjezdny. Jak przyjezdny, to wszystkie dane mamy na dłoni, jak miejscowy, to się nie dowiemy. Tu nikt nikogo nie wyda, choćby jadał dzieci z kapustą. Tu, zrozum Gula, każdy ma sekret. Dom źle postawiony, szambo na drogę wylane. Wieś, Gula, polska wieś wesoła.

– Zupełnie cię nie rozumiem.

Enka westchnął.

– To ja ci, Gula, wyjaśnię. Jestem we wsi kolorowej jak klocki, i ludzie, jak klocki, będą milczeć. Daliście mi człowieka, który będzie robił tu własną robotę i ja mu nawet się nie dziwię. Pogadam z proboszczem, pójdę do sołtysa, jeszcze z kilkoma ludźmi, którzy byli blisko ze Spiskim i spieprzam stąd, bo każdy na widok władzy robi tylko oczy w słup. Ci z góry dostaną piękny raport.

Usłyszał, że Gula nabiera oddechu, by coś powiedzieć i odłożył słuchawkę. Wszystko, co miało mu pomóc: piwo, obiad, ksiądz Andrzej Gil, wydawało się szkodzić.



W Stachowartach nic do siebie nie pasowało: domy przypominały Ence atrapy, kosmyk rzeki za nimi sztuczne źródło, a ludzie maszyny. Szedł szybko i dziwił się, że jest właściwie sam. Inne wsie żyły, tu ludzie się pochowali. I jeszcze ta idiotyczna numeracja domów, dwójka koło siedemdziesiątki, nie sposób się połapać. Rozglądał się bezradnie i niemal wpadł na starą kobietę siedzącą po turecku na poboczu. Żuła skórkę chleba. Spojrzała na Enkę i Enka odniósł wrażenie, że starowinka patrzy przez niego na domy po drugiej stronie drogi.

– W porządku? – zagadnął Enka. – Może pani wstanie?

Kobieta niemal niedostrzegalnie kiwnęła głową. Z ust zwisała jej nić śliny. Miała grube dłonie, połamane paznokcie i żółte plamy na spódnicy. Z zawiniątka wydobyła pajdę chleba, długi nóż, odkroiła skórkę. Chleb poleciał pod nogi porucznika Enki, a kobiecina wgryzła się w skórkę.

– Wie pani, którędy do sołtysa? – zapytał Enka. Kobiecina nie drgnęła.

– Od niej nic pan się nie dowie – zabrzmiało. Przed Enką stał chudy facet z siatką pełną zeszytów. – A sołtys jest tam zaraz, drugi dom. – Ręka z siatką zatoczyła łuk, mężczyzna uśmiechnął się słabo i poszedł dalej. Enka strzyknął śliną.

– Na pewno wszystko w... – Enka urwał i odskoczył, klnąc głośno. Żłota struga spomiędzy nóg kobieciny opłynęła jego buty łagodnym łukiem i leniwie popłynęła dalej, w ślad za nauczycielem.

§ § §

Dom sołtysa był ogromny, a sołtys malutki. Porucznik Enka zderzył się z nim w drzwiach.

– Muszę teraz? – burknął sołtys, gdy tylko dowiedział się, o co chodzi. – Śpieszę się na cmentarz.

– Musi pan – odparł poważnie porucznik Enka.

Sołtys nazywał się Krzysztof Lej. Miał szczerze zęby i nos, zdaniem porucznika Enki, stworzony był do rycia w ziemi. Spodnie wisały na nim, jakby zamiast nóg miał dwa druty. Najwyraźniej nie kwapił się zaprosić porucznika Enki do środka. Zatrzaskał drzwi, skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o framugę.

– Wikarego ludzie lubili, a on nie narażał się nikomu, na tyle, na ile umiał – oświadczył. – To wszystko już wcześniej mówiłem. Ludzie go lubili – powtórzył.

Enka pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Mówi pan, że zabili go z miłości?

Sołtys Lej podrapał się po nosie.

– Tutaj zawsze był spokój. Wyjechałem na studia, a gdy wróciłem, wszystko było po staremu. Jesteśmy dumą gminy... – zaczął. – Może komuś o to chodzi? O nasze wyniki? Kogoś w oczy kłują – mruknął. – Ksiądz Spiski przyjechał do nas niedawno i ludzie witali go z radością. Pan jest z dużego miasta?

– To ma znaczenie?

– Ma. – Dłonie sołtysa zaczęły krążyć. – Pan przywykł do zmian, myśmy nie przywykli. Mamy telewizory i telefony, ale tutaj, we wsi – zabębnił palcami o balustradę – wciąż bije to samo serce, co pięćdziesiąt lat temu. Lubimy, żeby nasze dzieci uczyli ci sami ludzie, co nas. I nowy ksiądz, nawet wikary, to także nowe emocje. Czasem niezdrowe.

Enka błędził wzrokiem po fasadzie domu sołtysa.

– Niezdrowe emocje – powtórzył. – Mówi pan o spółdzielni produkcyjnej, której pan jest prezesem?

– Bez dobrych ludzi nie dalibyśmy rady.

– Spiski też dobry był?

– To był rzutki człowiek. Przyszedł i zaraz zaczął działać. Przed trzydziestką, miał mnóstwo sił. Zaraz by wszystko zmieniał. Najbardziej lubił uczyć, pracować z dziećmi. Uczył religii, podobno znakomicie. Ale ludzie mówili kilka razy, że on za bardzo lubi te dzieci. – Po twarzy Leja przemknęło zakłopotanie. – Słyszał pan o takich sprawach?

– Słyszałem, że za takie sprawy można zabić – rzekł porucznik Enka i zrobił krok do przodu, na znak, że chętnie wszedłby do środka. Krzysztof Lej wyminął go ostrożnie i stanął na drodze do furtki.

– Nie zabić i nie tutaj. – Rozłożył bezradnie dłonie. – Tutaj nie zabija się za plotkę. Tutaj w ogóle się nie zabija. Ludzie w Stachowartach są prości i lubią czasem wyolbrzymiać. Proboszcz twierdził, że to nieprawda, sam tak dalej twierdzą. Jeśli intencje księdza wikarego były nieczyste, to jest mnóstwo sposobów, żeby załatwić taką sprawę. Nie trzeba noża, prawda?

Porucznik Enka wyjął papierosa. Bawił się nim zamiast zapalić.

– Czemu nie powiedział pan o tym wcześniej?

– Może mówiłem, a może nie. Nie pamiętam. Takie słowa wywołują tylko niepotrzebne podejrzania.

Enka zapalił, wypuszczał dym prosto w twarz sołtysa.

– Kto mówił takie rzeczy?

– Nie wiem. Ksiądz proboszcz mi przekazał, i to dawno temu. Może pan z nim porozmawiać. Ja naprawdę muszę już iść. – Próbował wyminąć Enkę. Dodał nerwowo: – To dobrzy ludzie, spokojna wieś. To pierwsze takie zdarzenie i ja bardzo bym chciał, by nie pociągnęło za sobą następnych.

Pozostawił Enkę na środku ziemnej drogi i zatrzasnął za sobą furtkę. Stawiał drobne kroki, jakby wszedł między osty, pogwizdywał, a porucznik Enka zastanawiał się, po co właściwie przyjechał i co tutaj robi. Gdy Lej zniknął za zakrętem, Enka usiadł na stopniach i palił powoli. Zgniół niedopałek w palcach. Patrzył, jak drobinki żaru, wirując, opadają na mokrą

ziemię.

Im dłużej myślał, tym lepiej rozumiał, że przybył tutaj w efekcie bezradności przełożonych; zakpiono z niego tak, jak z Andrzeja Gila. Jeśli wikary naprawdę dobierał się do dzieci, nikt nie wyda jego zabójcy, a on, porucznik Enka, nie zamierza go szukać.

### § § §

– Śmierć wikarego była szokiem dla nas wszystkich, ale najbardziej dla dzieci i młodych. – Proboszcz Kalanda odzyskał spokój i maszerował rażno poboczem. – Niesłychanie ruchliwy człowiek. Musiałem go zaganiać do łóżka, jak brzdąca. Nic, tylko by działał.

Ksiądz Gil z trudem nadążał za proboszczem. Żałował, że nie poprosił o kawę – nogi mu zmiękły, oczy same się zamykały.

– Ja tak bym nie umiał, nigdy nie umiałem – mówił dalej Kalanda – jestem spokojnym człowiekiem. Lubię mówić kazania, lubię rozmawiać z ludźmi, ale dzień przelatuje mi przez palce. Potrzebowałem kogoś w typie Spiskiego, bardzo religijnego, bystrego, pełnego pomysłów. Przynosił mi konspekty lekcji, błyskotliwe. Gdyby nie umarł, Boże, tak okropnie umarł... – Westchnął. – Ale gdyby tak się nie stało, zaraz zrobiłby oazę i chór dziecięcy.

Stachowarty pociemniały, Gil zastanawiał się, co porabia porucznik Enka. Jego zjadliwy humor być może podziałałby ożywczo. Ludzie wypłynęli na drogę, niczym śnięte ryby, każdy z mnóstwem świec i zniczy. Schodzili im z drogi, kłaniali się, a wypowiedane słowa docierały do Gila z opóźnieniem.

Zza domu na zakręcie wyłonił się drewniany kościół i ognisty dywan. W pierwszej chwili Andrzej Gil odniósł wrażenie, że cały cmentarz płonie. Z bliska, przez murek, widział setki świec, zniczy i kaganków na grobach. Płomienie układały się w falujący pomarańczowy kobierzec, nad którym wirował czarny dym. Wielkie cienie ścigały się po krzyżach i nagrobkach,

układały się w kształty zwierząt. Ludzie niemal zginęli w tym ogniu: Gil widział tylko czarne grzbiety zgarbione w modlitwie, a płomień zdawał się wzmacniać, jakby cmentarz był dla niego za mały. Zaraz wespnie się na drzewa, wyleje się szeroką rzeką przez mur i bramę. Gil przyznał, że nigdy nie widział niczego podobnego.

– Zazdroszczę księdzu – powiedział proboszcz. Stał oparty o cmentarny mur i zerkał przez ramię. – Po dwudziestu latach trochę brakuje serca, żeby się zachwycać. Szczególnie w tym roku.

Andrzej Gil odparł po chwili namysłu:

– Teraz żałuję, że żyję w mieście. – Uniósł rękę do ust, popatrzył poważnie na Kalandę. – Czuć Ducha w tym ogniu.

Oszołomiony Andrzej Gil z początku nie zwrócił uwagi na kościół za cmentarzem. Trójkątny dach odbijał się ostrą linią od granatowego nieba, a gdy ksiądz wyteżył wzrok, zobaczył stromą fasadę, szeroką bramę i wielką kłódkę. Po lewej stronie stał krzyż, po prawej – figura świętego, którego Gil w półmroku nie zdołał zidentyfikować.

– Nasz kościół – powiedział Kalanda. – Oby nieszczęście, które nad nami zawisło, odeszło – westchnął, spuścił oczy. – Przez księdza dłonie, słowa i serce.

§ § §

Jedyne światło pochodziło z trzech gołych żarówek zawieszonych pod sufitem. Proboszcz prowadził, pokazując drogę, a ksiądz Gil został szybko w tyle. Ta sama siła, która ciągnęła do wnętrza, próbowała wypchać go za bramę. W starym kościele cienie miały ostre krawędzie, kroki po klepisku brzmiały donośniej. Gil nie potrzebował już kawy, mógłby krzyczeć i biegać, ale jego myśli również się rozbiegły. Czuł taki sam niepokój, jak przy oczekiwaniu na ważny telefon, jak przed egzaminacyjną salą lub w dniu

wyświęcenia.

– Nie ma innego światła? – rzucił. Nawet okna były zabite.

– Było piękne oświetlenie – proboszcz rzucił przez ramię. – Strażacy kazali dawno temu odłączyć.

Gil nie widział sufitu, tylko ciemność. Szedł z zadartą głową. Kalanda wyrósł przed nim, chwycił za ramiona, na twarz księdza Gila spadły kropelki śliny.

– Niech ksiądz uważa! – dyszał. – Boże, przestraszyłem się. Jak ja się przestraszyłem.

Gdyby Andrzej Gil zrobił kolejny krok, wpadłby do płytkiego dołu pośrodku głównej nawy.

– Niedawno wykopali. Kable sprawdzali – gorączkował się Kalanda – zapomniałem przez to wszystko.

W dole można by pochować dużego kota.

– Mógł ksiądz skręcić nogę – uspokoił się proboszcz. – Już dobrze? Rany boskie...

Gil uśmiechnął się pojednawczo.

– To co? Pokaże mi ksiądz kościół?

– Oczywiście. – Kalanda wreszcie go puścił. Zapalił latarkę. – Z tym będzie nam łatwiej. Nie wszystko tutaj się księdzu spodoba, czasem jest tak – pociągnął nosem – że ludzie mają więcej wiary, serca, no, niż talentu. Ale to zabytki, i na swój sposób piękne.

Ujął Gila pod ramię i pociągnął do ściany, mocniej i szybciej, niż Andrzej Gil by sobie życzył. Wciąż patrzył pod nogi, cienie umykały przed światłem latarki, zatrzymali się gwałtownie. Proboszcz, któremu pot wystąpił na czoło, uniósł latarkę z taką miną, jakby ważyła więcej niż wszystkie grzechy świata.

Snop światła padł na owalne malowidło przedstawiające Jonasza połkniętego przez wieloryba. Pysk zwierzęcia przypominał łeb rekini, a jego

nieproporcjonalnie wielka płetwa ogonowa sterczała sztucznie nad falami. Jonasz nie próbował bronić się przed przeznaczeniem i potulnie wpływał między zęby. Miał jasne włosy i muskularne ciało, składające się głównie z nóg i ramion. Na całą scenę spoglądał znad burty rząd smutnych oczu.

– To zwykłe ludowe malowidło – wyjaśnił proboszcz.

Szli powoli wzdłuż ściany, mijając kolejne malowane na drewnie biblijne sceny. Kalanda musiał zdawać sobie sprawę, że nie są najwyższych lotów, kręcił głową i nalegał, by ruszali dalej. Najlepsze wrażenie ze wszystkich robiło malowidło przedstawiające Daniela obwieszczającego złą wróżbę królowi Baltazarowi. Prorok stał w rozkroku, król kulił się na stronie, ale ściany pałacu były nienaturalnie przekrzywione. Gil doszedł do wniosku, że obraz wypada lepiej od pozostałych tylko dlatego, że kolory wyblakły i nie raziły już intensywnością. Na malowidle obok twarz Józefa wpadającego do studni była beżowa, a sam patriarcha miał szerokie bary i tak potężne brzuch, że powinien w tej studni utknąć. Dziura, do której właśnie wpadał nieszczęsny Jeremiasz, przypominała piekielną jamę, a król Saul wywalał bezmyślne oczy przed wróżką z Endor. Kolory zbyt żywe, proporcje zaburzone, im dłużej szli, tym bardziej proboszcz przyspieszał i Gil zastanawiał się, kiedy ruszą galopem.

Zatrzymali się przed podłużnym malowidłem. Przy niskiej ławie tłoczyli się apostołowie, Pan Jezus stał z uniesioną dłonią, tułów przechylił do tyłu, a lewą nogę wysunął naprzód, jakby malarz uchwycił go w połowie tanecznego kroku. Skupione twarze zgromadzonych kontrastowały z pogodnym obliczem Zbawiciela. Ława ugięła się od jada, a przez okno wpadało czerwone słońce. Jezus miał otwarte usta i można by pomyśleć, że właśnie przypominał sobie coś cholernie zabawnego.

– No tak – powiedział Andrzej Gil.

– Ja w tym widzę miłość ludzi do Boga. – Proboszcz odciągnął go od

ściany. – Zawsze mówię: kto śpiewa, ten modli się dwa razy, kto pisze – razy cztery, a kto maluje – razy sześć.

Ominęli dziurę pośrodku (ksiądz Gil był pewien, że Kalanda przeniósłby go, gdyby tylko poprosić), latarka oświetliła obraz za ołtarzem. Gil wypuścił powietrze ze świstem. Rzadko widywał podobne obrazy: patrzysz na nie i czujesz się przedziwnie, jakby duch otarł się o twarz, a diabeł dał w plecy powietrzem pełnym żaru.

Oto srebrna płyta wielkości okna. Po prawej piekielna brama na podobieństwo tryumfalnego łuku, na fundamentach z czaszek i kości, otoczona przez ostre jęzory ognia, spowita dymem, a w jej głębi nienawistne twarze, bardziej ludzkie niż diabelskie. Do bramy wiodła droga, drogę obrosły skały, a środkiem szedł Chrystus w koronie cierniowej, w jednej dłoni trzymał kij pastuszy, w drugiej miecz. Spod stóp Jezusa pierzchały szczury, z nieba spadał ptak z ludzką głową w dziobie. Gil patrzył uważnie: Chrystus stał twarzą do wiernych i nie sposób stwierdzić, czy schodził właśnie do piekieł, czy już powracał.

– Jest piękna płaskorzeźba – rzekł Kalanda – bardzo się o nią boję.

Spostrzegł, że Gil zapisuje coś w notatniku. Odwrócił głowę.

– Rzeczywiście, jest piękna – przyznał Gil – ale słyszałem, że macie tu coś jeszcze.

Kalanda zatrzepotał powiekami.

– Czytałem o tym i dziwne, że ksiądz nie wspomniał. Podobno jest tutaj obraz Trójcy Świętej na desce lipowej. Bardzo piękny i bardzo stary.

Proboszcz zatarł dłonie, podgardle mu zafalowało i nagle rozpromienił się.

– Mamy! Mamy – wyrzucił z siebie – nie wiedziałem, że ksiądz jest tak dobrze poinformowany. Zaraz, zaraz pokażę. – W kilku susach znalazł się przy ścianie obok ołtarza. – Tylko niech ksiądz się nie zdziwi. – Znieruchomiał z ręką przy przycisku. – Nie pokazujemy go często, bo to



dziwny obraz. Najmłodszy nawet go nie widzieli.

Srebrna płyta opornie powędrowała w górę. Ksiądz Gil pomyślał, że gdyby dodać trąby, byłoby jak w Częstochowie.

– Nie pokazuję, bo chociaż jest piękny, może budzić dziwne skojarzenia – powiedział powoli proboszcz Kalanda.

Budzić dziwne skojarzenia, powtórzył w myślach Andrzej Gil, od takich skojarzeń czasem głowy pękają. Cofnął się, zmrużył oczy, nie był pewny, czy dobrze widzi. Znad ołtarza spoglądał na niego brodaty Jezus o pooranych bruzdami policzkach. Usta były nieco za szerokie, końcówki opadały łagodnie ku pomarszczonej brodzie. Po obu stronach wydatnego nosa płonęły dzikie oczy. Gil nie był już pewien, czy to Jezus, czy Bóg Ojciec, szczególnie, że z pierwszej twarzy wyrastały dwie następne.

W pierwszej chwili Gil miał pewność, że twarz po lewej wykrzywiła wściekłość, a ta po prawej niemal się śmieje. Wyjął Kalandzie latarkę, przyświecił – złudzenie. To trzy identyczne oblicza, jedno en face i dwa z profilu. Łączyły je oczy i czapa, którą Gil początkowo wziął za włosy. Obraz musiał być bardzo stary i dawno nie odnawiany. Ten, kto ostatnio przy nim pracował, nie popisał się umiejętnościami. Farba blakła nierównomiernie, brzegi były odrapane. Ksiądz Gil patrzył długą chwilę i oddał Kalandzie latarkę.

– Może ksiądz zasłonić.

Kalanda kojarzył mu się z dzieckiem oczekującym pochwał za rysunek. Srebrna płyta zsunęła się bezgłośnie. Dwaj księża stanęli obok siebie, twarzami do ołtarza.

– Czytałem kiedyś o takich obrazach – rzekł Andrzej Gil. – Było ich bardzo dużo, zwłaszcza po takich parafiach. Przepadły w ogniu kontreformacji. Ten jest chyba późniejszy?

Kalanda skinął głową.

– Późniejszy – westchnął. – Jeszcze ksiądz się dziwi, że bardzo się boję?  
– Nie – automatycznie odrzekł ksiądz Gil – nie dziwię się ani trochę.  
Drzwi kościoła otworzyły się z impetem.

### § § §

W drzwiach stanęła ciemna postać – za nią pełzał ognisty dywan. Człowiek wydawał się ogromny, nienaturalnie szeroki w barach, a gdy ruszył w stronę ołtarza, jego kroki brzmiały donośnie, jakby szedł w stalowych butach. Gil poczuł nieprzyjemne ukłucie w żołądku, Kalanda cofnął się, wysunął ręce przed siebie. Postać garbiła się lekko, ugiwała kolana, jakby prężąc się do skoku, a w głowie księdza Andrzeja pojawił się szalony pomysł, by chwycić pierwszy ciężki przedmiot, który nadawałby się do obrony.

Postać szła wprost na nich. Przez otwarte drzwi bił chłód, z ust Gila i Kalandy dobywały się obłoki pary. Pomimo zimna Gil się pocił, a postać weszła w krąg światła. Ksiądz Andrzej odsapnął z ulgą.

– Co jest? – zapytał wesoło porucznik Enka. – Wszędzie księdza szukam.  
Gil chrząknął.

– Panowie się poznają. Porucznik Zbigniew Enka. Proboszcz Kalanda.

Uścisnęli sobie dłonie, trzymając dystans, jakby między nimi wyrosło mrowisko.

– Jak się panu podoba nasz kościół? – zapytał Enkę Kalanda. Enka wodził wzrokiem po klepisku, rzucił tylko wzrokiem na srebrną płytę.

– Cudny, księżo proboszczu. Możemy wyjść na zewnątrz? Nie lubię rozmawiać po ciemku. – Odwrócił się i, nie czekając na nikogo, wyszedł. Ksiądz Andrzej Gil wzruszył ramionami, Kalanda uśmiechnął się smutno, a gdy zbliżyli się do drzwi, Gil wzdrygnął się, bo miał wrażenie, że oczy na obrazach, skryte w ciemności, podążają za całą ich trójką.

Enka zażyczył sobie rozmowy z proboszczem, w której Gil nie zamierzał brać udziału. Wątpił, czy Kalanda zdobędzie się na wylewność i po prawdzie miał dosyć całej sprawy. Patrzył na żar papierosa krążący w ręku milicjanta i zaczął żałować, że sam nie pali. Odwrócił się, opadł łokciami o cmentarny murek i patrzył w ogień.

Z bliska to, co wydawało się dywanem ognia, rozdrobniło się na setki małych płomyczków. Na niektórych grobach brakowało już miejsca i znicze stały na obmurowaniu lub trawie. Wierni tłoczyli się w bramie po drugiej stronie. Gil nie widział ich twarzy – tylko mechaniczne cienie o rwanych ruchach, jakby w stawy dosypano piasku. Zlewały się ze sobą, jeden wychodził z drugiego, a wokoło cisza, aż Gil pożałował, że Enka nie znajduje się bliżej. Jego głos podziałałby być może kojąco. Gil słyszał tylko stąpanie po żwirze, cichy brzęk znicza trącającego inny znicz. Żadnych rozmów. Ludzie zastygali nad grobami niemal synchronicznie, stali tak chwilę i raptownie odchodzili, jakby całą ceremonię mieli przeciwioną. Zauroczenie pięknem cmentarza odeszło i Gil poczuł się nieswojo.

Wodził oczyma po grobach i dostrzegł ciemną wyspę pomiędzy światłami. Najpierw myślał, że nie ma tam grobu, ale znicze oświetlały kopę ziemną i dolną część krzyża. Gil po chwili wahania przesadził niski murek i ciemne twarze zebranych zwróciły się w jego stronę. Ludzie zrobili mu miejsce.

Grób był wyraźnie mniejszy od innych, ot, podłużna kupa ziemi na wysokość kolan i przekrzywione ku dołowi ramiona krzyża. Gil domyślił się, że krzyża użyto za punkt zaczepienia liny holowniczej podczas ekshumacji czy montażu płyty na sąsiednim grobie.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – Andrzej Gil zwrócił się do człowieka przy grobie obok. Facet podskoczył, zamrugął małymi oczkami.

W jego siatce zabręczały znicze.

– Na wieki wieków – odparł, nie kryjąc zaskoczenia.

– Kto tutaj leży? – zapytał ksiądz Gil.

Facet podrapał się w łysinę.

– Zośka leży – odparł, jakby Gil wiedział świetnie, kim była Zośka i kiedy ją pochowali. Gil popatrzył pytająco.

– Córka starej Żertowowej. Tej wariatki, słyszał ksiądz? Biedna dziewczyna w sumie. Głupia, ale biedna.

– Co się jej stało?

– Podczas stypy się spaliła. Jej narzeczonego pochowaliśmy. Dobry chłopak był, póki jej nie spotkał. Taka to każdego zniszczy, ale Boża sprawiedliwość ich dopadła. – Kiwnął głową. – Boża sprawiedliwość.

– Słyszałem o tych waszych stypach – zaryzykował Andrzej Gil. – Może to nie Bóg, tylko ludzka głupota ją zabiła?

– To zła dziewczyna była. – Facet zadreptał w miejscu. – Wszystkich za nic miała, latawica jedna. Nosa zadzierała, aż na koniec najporządniejszego chłopaka zbałamuciła. Starą narzeczoną rzucił, wyjeżdżać do Olszyny chciał. Do Olszyny, mówię? Ba, może i do samej Warszawy. Ale chłopak na motorze się zabił i cała historia. Tu nikt po niej nie płacze. – Przełknął ślinę. – Po nim, tak.

Ksiądz Gil zasunął zamek kurtki. Nagle zrobiło się chłodniej. Facet pokiwał głową i podreptał w głąb cmentarza. Andrzej Gil zawołał za nim.

– Sprzedałby mi pan jeden znicz?

Facet potrząsnął siatką, po chwili wahania wepchnął znicz w rękę księdza Gila.

– Szczęść Boże – powiedział na odchodnym.

Andrzej Gil nie miał zapalek. Złamał suchą gałązkę, podpalił od świateł sąsiedniego grobu. Postawił znicz na grobie Zosi Żertowówny i zaczął się

modlić.

§ § §

Enka palił w polonezie. Bębnił palcami o kierownicę i co chwilę zerkał w stronę plebanii, nie mogąc się doczekać, kiedy klecha wreszcie skończy i pojedą do Krakowa. „Co za dzień”, myślał, „niby tyle się działo, a nic z tego nie wynika”. Nawet Bach puszczonego na cały regulator nie przynosił wytchnienia. Wreszcie w drzwiach plebanii pojawiła się znajoma sylwetka. Enka, który właśnie zgasił papierosa, natychmiast zapalił kolejnego i zmienił radio na program trzeci. Puszczał jednego z tych nieznośnie monottonnych anglojęzycznych wykonawców, których pakowano ostatnio w eter bez ładu i składu. Andrzej Gil usiadł obok Enki i natychmiast zakaszłał.

– Możemy wysiąść? – poprosił.

Enka nawet nie drgnął.

– Mam problemy z płucami – wykrztusił Gil. – Dym niemal odbiera mi oddech.

Milicjant westchnął, opuścił szybę, niedopałek poleciał na trawę. Enka ściszył radio i zapalił silnik.

– Gdzie chce pan jechać? – zapytał Gil. Był cały czerwony.

– Do domu – burknął Enka.

– Musimy tu jeszcze zostać.

Enka zaklął i zgasił silnik.

– Po co chce tu ksiądz zostać? Cały dzień żeśmy tu zmitrężyli. I nic! Po co dalej siedzieć?

– Właśnie dlatego, że nic nie wiemy.

– Nie przyjechałem się tutaj dowiadywać czegośkolwiek. Przyjechałem sprawdzić – Enka ściszył radio – tak jak mi kazali. Piszę raport i do widzenia. Nie chcę słyszeć o żadnych Stachowartach. Gil otarł twarz.

– Moim zdaniem za mało wiemy, żeby wyjeżdżać. Te dziwne stypy. Nie wiemy nawet, kto zabił wikarego.

– I nigdy się nie dowiemy. To nie jest sprawa księdza ani moja. Niech ci z województwa mordują się z tutejszą hołotą. Widział ksiądz te paskudne pyski?

– Mówię tylko, że nic nie wiemy. Ja muszę zostać choćby po to, żeby rozstrzygnąć, co naprawdę stało się w kościele. Myślałem – przygryzł wargi – że przydzielono mi pana, żeby pan mi pomógł.

– To zabawne – Enka przekręcił kluczyk – ja słyszałem, że to ksiądz ma mi pomagać.

Gil pokiwał głową, otworzył drzwi ze swojej strony i już miał wysiadać, gdy usłyszał znajomą melodię. *Łado i Leli, Jasza, Tija. Jesza, Łado i Leli, Jaja. A, Łado! A, Jiesz!* Niosło się między domami, doskonale słyszalne mimo radia i warczącego silnika. Gil nie potrafił zidentyfikować źródła dźwięku. Znajomy głos dziewczyny zdawał się dochodzić jednocześnie z ciemnych okien plebanii, skołtunionych krzewów, kościelnej bramy. Enka aż wystawił głowę za okno, a głos umilkł nagle i Andrzej Gil wysiadł z samochodu.

– Na pewno chce ksiądz tu zostać? – zapytał poważnie porucznik Enka. Gil tylko popatrzył na nowy kościół.

– Niech ksiądz uważa na siebie – rzekł Enka i odjechał, nie czekając na odpowiedź.

§ § §

Jeśli w Stachowartach był tej nocy ktoś bardziej zmęczony od księdza Andrzeja Gila, to chyba tylko proboszcz Kalanda.

Siedzieli naprzeciw siebie, jedli i nie mówili wiele. Janina podała chleb, grube płaty białego sera, herbatę ziołową, ogórki i pomidory ułożone w

półokręgi na wielkim półmisku. Gil dopiero teraz zorientował się, jak bardzo był głodny, bardziej pożerał niż się zajadał, a spokojny, przygaszony wzrok Kalandy śledził jego dłonie.

– Szkoda, że przyjaciel księdza już pojechał – powiedział Kalanda. – Chętnie byśmy go także ugościli.

– To nie jest mój przyjaciel.

– Wyglądaliście jak starzy przyjaciele.

– Wiele rzeczy dzisiaj to tylko pozory – mruknął ksiądz Gil.

Proboszcz podrapał się w brodę.

– Na pewno jest ksiądz zmęczony. Janina przygotowała księdzu pokój na górze. Po prawdzie, szykowaliśmy dwa pokoje.

– Wyszło jak wyszło. – Gil ugryzł ogórka.

– Zazdroszczę księdzu. – Kalanda dopił herbatę. – Ksiądz będzie zaraz smacznie spał, a przede mną ciężka noc. – Podszedł do okna. – Jak co roku, muszę czekać przy kościele, aż znicze się wypalą. Po prawdzie, czasem je zagaszam.

– Ludzie nie mogą przypilnować?

– Jasne, że mogą. – Proboszcz rozłożył ręce. – A jak się kościół spali, to co ja zrobię? Jaką pokutę im zadam, a jaką sobie?

Odprowadził księdza Gila do schodów. Podał dzbanek z herbatą, koszyk z serem i chlebem.

– Jeszcze raz księdzu dziękuję za wszystko. – Uścisnął mu rękę i dodał smutno: – Naprawdę, zazdroszczę księdzu. Rozumu, serca i nie tylko.

§ § §

Gil modlił się, nie prosząc ani o rozum, ani o serce, ani o inne przymioty. Prosił o spokój dla dusz księdza Spiskiego i Zofii Żertowówny. Krzyż na ścianie był prosty – dwie deseczki bez figurki Chrystusa dawały Gilowi

wytchnienie, jakże potrzebne po obrazach w kościele. Obiecywał sobie, że będzie długo się modlił, ale zmęczenie zwyciężyło i gdy zdejmował buty, ćmiło mu się w oczach. Zwalił się na łóżko w slipach, skarpetkach i koszuli. Skulił się i odwrócił plecami do ściany. I do Stachowart też.

Zawsze miał problemy z zasypianiem – często próbował zmęczyć oczy i czytał do świtu, stawiał pasjansa, słuchał radia, odganiając dziwaczne myśli. Tu sen nadchodził szybko. Gil myślał jeszcze o Zosi i o tym, czy to prawda, że śmierć w ogniu, wbrew pozorom, jest niemal bezbolesna. Końcówki nerwów spalają się w okamgnieniu, zaraz potem wysiada serce. Nie ma czego się bać? Ciekawe też, czy porucznik Enka dotrze spokojnie do domu. Zmęczony, zdenerwowany, śpiący, a droga śliska i trasa daleka. Porucznik Enka... w sumie dziwny facet.

Na granicy jawy i snu Andrzej Gil powrócił do seminarium i słyszał wyraźnie tubalny głos księdza profesora Bociana. Przypomniał sobie tę pocieszającą sylwetkę, twarz niczym księżyc w nowiu, z wielkim nosem i parą łagodnych oczu. *Non Lada, non Yassa, non Ma... non enim salvatur in hoc nomine Lado, Yasa, Quia, Nia, sed in nomine Iesus Christus* – mówił ksiądz profesor Bocian. Zabrzmiał trzask zamykanej książki. Gil odpłynął w sen, żegnany przez słowa: *Nie Łada, nie Jesza, nie Nija... Albowiem nie zbawia się człowiek w imię Łado, Jesza, Kija, Nija, tylko w imię Jezusa Chrystusa*<sup>[2]</sup>.

§ § §

Obudził go ból.

I dym.

Andrzej Gil sturlał się z łóżka, przyciskając ręce do klatki piersiowej. Gdyby chociaż mógł kaszlnąć, o tak, wypluć to paskudztwo, ale nie odetchnąć, miał wrażenie, że naczynia krwionośne wysychają, zlepiają się ze sobą. Z niewyobrażalnym trudem podniósł się na kolana. Dalej poszło już



łatwiej, dym był gęsty tylko na metr, nie wyżej. Gil, wstając, opadł na szafkę, odepchnął się i chwiejnie podążył pod drzwi, gdzie stała misa dymiących ziół.

Przez rękawy koszuli poderwał misę gwałtownym szarpnięciem, zapach omal nie odebrał mu przytomności. W pierwszym odruchu chciał cisnąć ją przez szybę. Przypadł do okna, otworzył i misa poleciała w ciemność. Gil wystawił głowę, wpuścił do płuc powietrze. Oddychał głęboko, ból mijał z wolna.

Przyłożył koszulę do ust i pootwierał wszystkie okna. Machając gazetą, próbował wywiać dym z pokoju, aż chwycił spodnie, marynarkę i wypadł na korytarz. Dym musiał wydostać się przez próg i Andrzej Gil popędził po schodach na poddasze. Wystawił głowę przez okienko. Odzyskał oddech, ale nie spokój. Plebania należała do najwyższych budynków w okolicy i Gil widział niemal całe Stachowarty: ciemne pasmo rzeki, kontury domów i ponure chmury nad lasami. Cmentarz płonął jakby słabiej, ale blask bił z wnętrza starego kościoła, spod zabitych lub zamalowanych okien. Podobny kolor, może bardziej czerwony. Można by pomyśleć, że kościół płonie od wewnątrz.

Gil wychylił się jeszcze. Drzwi wejściowe zamknęły się cicho i na dróźnie pojawiła się Janina obciążona siatką. Dotarła do furki i szybkim krokiem podążyła w stronę kościoła. Gil cofnął głowę, w obawie, by go nie dostrzegła. Ubrał się i zamiast iść na dół, przesiedział chwilę z głową w dłoniach. Spojrzał na zegarek. Nie było jeszcze dwunastej, spał niewiele ponad godzinę.

Oplukał twarz i ręce, puszczając cienki strumień wody. Planował opuścić plebanie najciszej jak się dało. Co dalej? Powinien jak najszybciej opuścić też wieś, dotrzeć na posterunek i dalej, do biskupa. „Dobrze”, pomyślał, patrząc w lustro, „co powiem? Wystawienie misy z ziołami to żadna zbrodnia.

Kalanda mógł zrobić to w dobrej wierze. Zioła to jego pasja. Pewno chciał pomóc. Skąd miał wiedzieć, że jestem chory?”

Proboszcz jeszcze nie wrócił z kościoła i Gil zaryzykował zapalenie światła w jego pokoju. Kalanda żył skromnie. Spał na szerokim, twardym łóżku, obok stała szafa na ubrania i półeczka z książkami. Kalanda lubił kryminały i Gil chciał już się wycofać, gdy zobaczył czworo oczu wpatrzonych w siebie. To Bóg o trzech twarzach spoglądał ze ściany. Kopia obrazu z kościoła wisiała naprzeciwko łóżka Kalandy i była tak dokładna, że można by pomylić ją z oryginałem.

Wycofał się, trącił szafkę w przejściu. Wrócił po teczkę z dokumentacją i, po chwili zastanowienia, wepchał ją w spodnie, żeby mieć wolne ręce. Przy wyjściu spotkało go rozczarowanie. Drzwi były zamknięte. Poszarpał klamką, popatrzył, czy nikt się nie zbliża i wyskoczył przez okno.

Wylądował miękko. Odbił od drogi i zgarbiony, skryty w cieniu drzew i płotów, skierował się w stronę starego kościoła.

### § § §

Porucznik Enka pruł szosą, bił się z myślami, a myśli wygrywały. Szybka jazda nocą, gdy nie ma innych samochodów, zazwyczaj wprawiała go w dobry humor. W radiu puszczali *Requiem* Mozarta i inne pogrzebowe pieśni, których Enka słuchał tylko dlatego, że na innych stacjach działo się jeszcze gorzej. Nie umiał posprzątać sobie w głowie i to nie było dobre, bo decyzje już zapadły i nie było odwrotu. „Klecha jest nawet w porządku”, myślał Enka, „ma swoje sprawy i nic mi do nich”.

Nie lubił zostawiać nierozwiązanych zagadek za sobą. To jak ucieczka w połowie randki, jak niedopita flaszka, takie sprawy rozwiązuje się raz – dwa, nie tylko dlatego, że ktoś ciśnie z góry, po prostu powinny zostać rozwiązane. Gdzie indziej byłoby łatwiej, tu kler wieś otumaniał. Kryją się wzajemnie.

Gdyby proboszcz trzymał w szafie trupy i jadł zupę z dziecięcych czaszek – nie wydaliby. Doprawdy, szkoda, że nie rozprawiono się z tą czarną hołotą jeszcze w latach pięćdziesiątych.

Enka myślał tak sobie, pruł zdrowo, tęskniąc do ciepłego łóżka i zimnej setki. Mijane drzewa zmieniły się w czarny pas. Wokoło ciemno, droga bez domów i świateł. Pogłodził radio i nagle wydało mu się, że słyszy coś jeszcze, coś, co wziął początkowo za zakłócenia, a co okazało się szumem drugiej stacji. Ręka porucznika Enki zbliżyła się do pokrętła, a melodia zabrzmiała znajomo: *Łado i Leli, Jasza, Tija. Jesza, Łado i Leli, Jaja. A, Łado! A, Jiesz!*, dziwne to, zarazem senne i drapieżne.

Nie dał za wygraną, przełączył na trójkę. Jakaś kobiecina piszczala o umieraniu, a w tle znowu to samo, niewyraźne przez szum: *A Łado gardzina Jesze, Łado, Jasza, Kija, Nija!* Dziewczęcy głos, smutniejszy od innych żałobnych pieśni, puszczonego a cappella, lekko fałszujący. I była w tym jakaś szczególna żałość, jakieś dziwaczne brzmienie, Enka pomyślał, że tak mogłoby zabrzmieć śpiewanie spod ziemi. Sprawdził jeszcze jedną stację, jeździł pokrętłem i nawet w szumie słyszał to samo:

---

*A Łado gardzina Jesze, Łado, Jasza, Kija, Nija.*

*Łado i Leli, Jasza, Tija.*

*Jesza, Łado i Leli, Jaja.*

*A, Łado! A, Jiesz!*

---

– Niech to szlag trafi – westchnął, zawrócił z piskiem opon i ruszył do Stachowart, po raz pierwszy osiągając pełną moc silnika. Dopiero po paru kilometrach zorientował się, że dziwne zakłócenie zniknęło, a chór ryczał wniebogłosy pieśń:

---

*Requiem aeternam dona eis!*

*Domine, et luxperpetua luceat eis!*

---

§ § §

Gil nie uszedł stu metrów, a już miał mokre buty. Tęsknie spoglądał na drogę, ale nie odważył się na nią wejść. Chmury przewalały się nad głową księdza Gila, księżyc łąpał niewidzącym okiem.

Wieś jakby zamarła. W żadnym domu nie paliło się światło, żaden głos nie przerwał ciszy. Gil czuł rosnący niepokój, a im bardziej zbliżał się do kościoła, tym lepiej rozumiał, że dzieje się tutaj coś naprawdę dziwnego i on, Andrzej Gil, nie bardzo nadaje się na tropiciela tajemnic. Gdyby jeszcze dwa dni temu student z sali wykładowej zadał pytanie: „Czy to prawda, że ksiądz w wolnych chwilach ugania się w bloku za nieznanym?”, Gil może nawet parsknąłby śmiechem przed popukaniem się w czoło. Teraz nie było już tak wesoło.

Od kościoła i cmentarza dzieliło go tylko kilka domów. Gil oparł się o płot, otarł czoło i myślał, co właściwie robi. Może szuka dziury w całym? A jeśli nie, to czego się spodziewa i czy jest gotów na spotkanie z tajemnicą Stachowart? Gil rozumiał już, że wszystko, co w życiu zrobił, przeczytane książki, mądrzy ludzie, których słuchał – jeśli rzeczywiście zdarzy się coś złego – wcale nie sfruną na chmurce, aby mu pomóc.

Podwinął rękawy, wcisnął teczkę głębiej w spodnie i, zgarbiony, ruszył dalej. Ogień na cmentarzu przygasł, tylko delikatna łuna widniała zza muru. Czerwona poświata biła spod zabitych, zamalowanych okien, długa smuga ziała spod progu starego kościoła. To, co z daleka wydawało się szumem wiatru, z bliska okazało się pieśnią, której Gil nie znał i nigdy by poznać nie chciał. Brzmiała trochę podobnie do tej, którą śpiewała dziewczyna w

Stachowartach. Melodia inna – ten sam niepokój, chłód na plecach. Niemal pozbawiona rytmu, rozciągnięta i brudna, rozłożona na dziesiątki głosów, ze słowami, a zarazem bez słów. Gil słuchał, przejęty i nagle coś czarnego uderzyło go między oczy i nie słyszał już nic.

### § § §

Znowu dym. Gil kaszlnął, na klepisko poleciała ślina z krwią. Wszystko wirowało przed oczyma, twarze jakieś, plamy ognia, wielkie dłonie, Gil spróbował się podnieść i rąbnął głową o podłogę. Zaklął, przekręcił się na plecy. Ręce i nogi miał skrępowane. Wziął głęboki oddech, spróbował wstać – bezskutecznie. Chór, gdzieś w głębi, snuł grobową melodię. Gil policzył do trzech, szarpnął się i uklęknął.

Zaczerpnął powietrza, przez usta, żeby nie czuć drażniącego zapachu. To były inne zioła niż na plebanii, dym szedł w górę i Gil mógł złapać oddech. Tylko ten śpiew, nieznośna sprawa, zdawał się wchodzić wprost do głowy, z pominięciem uszu. „To śpiew, który zatrzymuje serce i ścina wodę w lód. Ptaki spadają z nieba”, pomyślał Gil, „a ciebie jeden walnął w głowę i to zdrowo, bo zamiast próbować się uwolnić, myślisz o pierdołach”. Szarpnął się. Ręce związane mu na plecach, w łokciach.

Przez uchylone drzwi wpadało nocne powietrze i Gilem wstrząsnęły dreszcze. Para leciała mu z ust. Zakaszlał jeszcze i spojrzał wokoło.

Był w starym kościele. Płonęły świece. Przed sobą miał dół, w który wcześniej o mało nie wpadł. Setki świec płonęły na ławkach, obok nich starodawne kadzidła i misy z ziołami, a jeszcze dalej gęstniejąca ciemność ciżby ludzkiej. Falowali w takt śpiewanej pieśni, czarna masa pełna oczu i zębów. Twarze wysuwały się z mroku i wpadały w mrok ponownie, bliźniaczo podobne i bezpłciowe. Nie było już młodych i starych, niskich i wysokich, tylko rozkołysany mur, w którym niczym w bagnie pojawiała się

coś i nikło. Gil miał wrażenie, że oczy odłączają się od reszty twarzy i suną samopas między zebranymi. Dłonie krążyły bezładnie, jakby każdą kierował inny cel i rytm albo inaczej – wszystkie spajało coś więcej niż indywidualna ludzka wola.

Ludzie stali w półkolu, środkowa nawa pozostawała pusta, a Gil dostrzegł, że żywy mur wypuścił odnogi na belki i parapety kościoła. Odwrócił się i zobaczył Boga o trzech twarzach, a obok księdza Kalandę w rozpiętej sutannie.

Kalanda stał z rozkrzyżowanymi dłońmi, a biały brzuch wylewał się na szerokie majtki. Bezwłosa, pozbawiona mięśni klatka piersiowa przypominała odwłok wielkiego robala, piersi falowały przy każdym oddechu. Oczy zebranych spoglądały na niego z wyczekiwaniem. On patrzył wysoko, ponad tłum, odwrócił się i szybkim krokiem dotarł do ściany.

Gil obrócił się twarzą do ołtarza, a trzygłowy Jezus powędrował w górę, odsłaniając ciemną wnękę – w niej, pień metrowej wysokości rozgałęziający się na troje. Kalanda przyniósł światło. Kora drzewa była niemal czarna, gałęzie ginęły w mroku, a Gil nie wiedział już, czy wzrok go mami, czy sęki układają się w oczy bez powiek i rozwarte usta. Tłum szumiał.

– Coś ty tu zrobił! – warknął Gil. – Coś ty zrobił z domu Bożego?!

Kalanda przyklęknął.

– Tu nie ma domu Bożego. Nigdy nie było – dotknął czoła księdza Gila – tu zawsze jest to, co jest.

– Zapłacili ci czymś? Co oni mają, czego nie ma Chrystus?

Kalanda uklęknął naprzeciw księdza Gila.

– Nie wiem, co ma Chrystus. Nigdy mi tego nie pokazał. Widziałem – przygryzł wargi – rzeczy, o jakich ci się nie śniło. Widziałem planetników sznurujących chmury – uniósł dłoń – widziałem baby czyniące zaklęcia, po których ludzie padają jak od dzumy, słuchałem, człowieku, starców, którzy

wiedzą, co było, jest i będzie, widziałem takich, którzy widzą na siedem kilometrów, widziałem – głos Kalandy przeszedł w zduszony szept – widziałem umarłych zstępujących między żywych, umarłych jedzących pospołu z żywymi.

Otarł twarz rąbkiem sutanny. Pot błyszczał mu pod nosem i na brodzie.

– Mówię ci, żebyś rozumiał, masz prawo rozumieć – szeptał Kalanda. – Jak tu przyszedłem, gdy się dowiedziałem... Co mogłem sobie pomyśleć? Uczono nas cudów, Andrzej, przemienialiśmy wino w krew. Ciało Chrystusa nie może uleczyć. Widziałem prawdziwe cuda, widziałem starców odzyskujących młodość i dzieci, którym zwrócono życie, oddalając śmiertelną chorobę. Widziałem prawdziwe miłosierdzie. Cuda, prawdziwe cuda. Potrzebne ludziom.

– Cud ci się przyda. – Gil próbował się uśmiechnąć. – Całkiem spory, jeśli chcesz to ukryć.

– Ten cud się dzieje – rzekł natychmiast Kalanda. – Myślisz, że jesteśmy tutaj od wczoraj? Spójrz na to drzewo, jest starsze niż twój Bóg na tych ziemiach. Byliśmy tu zawsze. Patrzyliśmy, jak podrzynacie sobie gardła, jak królestwa giną i się rodzą, Andrzejku kochany, twojego Boga nigdy nie było w Stachowartach. Tylko pomyśl: jak przeżyć w czarne dni, w cieniu waszych katedr... – tłum mruczał złowrogo, Kalanda uniósł rękę i natychmiast zapadła cisza – tylko się do was przyłączyć. Myśmy nie bronili naszych chramów, stary kapłan sam wysłał syna do zakonu. Syn wrócił do nas, założył parafię. Jego dzieło trwa tutaj – wskazał palcem na klepisko.

– A co z prawdziwym Bogiem? – szepnął Gil. – Całą jego chwałą, kościołami i kaplicami budowanymi tutaj przez całe pokolenia? Co z Nim, Kalanda?

– Umarł – odparł śpiewnie Kalanda – a właściwie nigdy nie postawił nogi na tej ziemi. Mnich powrócił i pogrzebał ojca, zbudował kościół na miejscu

chramu, ale nie zapomniał o swojej przysiędze: wiara ojców nie zginie w Stachowartach. Wtajemniczyliśmy kolejnych księży, którzy zjawiali się na parafii i uwierz, proszę, mało który sprawiał problemy. Niektóre rzeczy są oczywiste jak słońce.

– Myślę, że Spiski by się z tobą nie zgodził – mruknął Andrzej Gil. – Powiedz mi, widziałeś kiedyś film o Bondzie?

– Spiski był porządnym człowiekiem – Kalanda pominął pytanie – i byłem pewien, że da się przekonać. Ale on dostał szału, gdy tylko usłyszał prawdę, chciał do biskupa lecieć i, wstyd się przyznać – spuścił głowę – spanikowałem. Być może powinienem rozegrać to inaczej, nam wszystkim oszczędziłoby to kłopotu. Potem zjawiłeś się ty i znów mi trochę przykro, może gdybyś nie wstał tak wcześnie... Może mógłbyś wtedy zostać z nami.

Mruczenie tłumu narastało. Kalanda skurczył się w sobie.

– Mało czasu, mało czasu – syczał – a ty musisz wiedzieć, chcę, żebyś wiedział.

Gil, który zrozumiał już, że gra idzie o życie, pomyślał, że być może wolałby nie wiedzieć nawet, co to są Stachowarty.

– Teraz ja ci coś powiem. – Spojrzał Kalandzie w oczy. – Wiesz pewno, że święci rodzą się z krwi męczenników. A wiesz, że tą krwią dławią się skurwysyny?

Twarz Kalandy stężała na moment.

– Nic nie wiesz o męczennikach – powiedział łagodnie. – Gdyby głupota mogła zbawić, Spiski niezawodnie trafiłby do swojego raju. Męczennicami były te dzielne kobiety, które z własnej woli spłonęły na stosie swoich mężów. Nie Spiski i obawiam się, że nie ty.

– Powiedz to Zosi.

– Zosia, Zosia – cmoknął Kalanda. – Nie chciała wiary ojców, to w ogniu wiary zginęła.



– Ten sam problem co Spiski? – zapytał Gil z ironią.

– Powiem ci, bo jesteś mądrym człowiekiem – szepnął Kalanda, jego wzrok błędził po twarzach w półmroku. – Zosi żałuję. Nie musiało tak się stać, za szybko, zbyt pochopnie. Człowieka naszej wiary można przekląć, ją trzeba było w ogień wrzucić. Źle, że na oczach matki to się stało. Źle – kręcił głową – źle, źle, źle.

Andrzej Gil zaczął się modlić. „W imieniu biskupa ordynariusza, któremu prawo to nadał sługa sług Bożych, wypędzam was z owczarni Pańskiej”, powtarzał i nie przestał, gdy Kalanda zaczął szeptać mu do ucha, obsypując kropelkami śliny.

– Mówię ci to tylko dlatego, że jesteś mądrym i dobrym człowiekiem. Niewiele brakowało, a zostałbyś z nami.

Gil odszepnął:

– W imieniu biskupa ordynariusza, któremu prawo to nadał sługa sług Bożych, wypędzam was z owczarni Pańskiej...

Poderwał się z klęczek i ryknął:

– Anatema! Anatema! Ana...

Na tył czaszki księdza opadł świecznik.

§ § §

Policyjny instynkt kazał porucznikowi Ence zaparkować przed wsią i pójść na piechotę. Enka miał dobry nos do smrodu, cuchnął mu więc proboszcz razem z sołtysem, cuchnął mu dziwaczny kościół, a najbardziej cuchnęła mu plebania. Obszedł ją, niby obwąchał, zastukał i, nie czekając, wlaź przez to samo okno, przez które wyskoczył ksiądz Gil. Enka obszedł parter, a w sypialni proboszcza był na tyle długo, by stwierdzić, że na ścianie wisi jakieś wyjątkowe paskudztwo. Nos czuły na smród pokierował porucznika w stronę schodów, gdzie dym jeszcze nie zdążył się rozwiać.

W pokoju księdza Gila aż w oczy gryzło. Enka popatrzył na rozwalone łóżko, uchylił szerzej okna i, nie bez wahania, zabrał różaniec leżący na stoliku koło poduszki. Nie patrząc, schował go do tylnej kieszeni. Zapalił, zastanawiając się, co dalej, i dostrzegł to samo, co wcześniej Andrzej Gil. Blask w oknach starego kościoła. Papieros, ledwo zapalony, poleciał na trawę.

Enka, idąc wzdłuż domów i płotów, nie miał pojęcia, że powtarza trasę księdza Gila. Szedł szybko, wyprostowany i niby ostrożny, marząc zarazem, żeby ktoś go zaczepił. Czuł się jak na cmentarzu, domy przypominały mu grobowce. Pamiętał wieś z popołudnia i doszedł do wniosku, że kolorowe domki to kłamstwo grubą dratwą szyte – naprawdę, Stachowarty są czarne, brudne i śmierdzą.

Na ziemi, ze sto metrów przed kościołem, leżało coś, czego Enka z daleka nie rozpoznał. Najpierw myślał, że to kupa szmatek, potem, że ktoś wyrzucił stare papierzyska za ogród, ale gdy się zbliżył, nie miał wątpliwości – dokumenty z teczki księdza Gila leżały rozrzucone, targał je wiatr. Samą teczkę ciśnięto pod siatkę. Enka schylił się po przypadkową kartkę i wiedział już, że się nie myli.

Zmiał papier, odrzucił od siebie i pobiegł do kościoła.

§ § §

Kalanda stał naprzeciw zebranych, u jego stóp nad dołkiem w klepisku leżał półprzytomny Andrzej Gil. Proboszcz lewą dłoń zacisnął w pięść, w prawej trzymał zakrzywiony nóż, ten sam, którym ciął zioła i gardła. Głos mu się przemienił, stał się wyższy i mocniejszy, brzmiał z głębi wielkiego ciała, a wargi prawie się nie poruszały.

– Drzwi kościoła zamknijcie! Okna kościoła zasłońcie! Niech księżyc tutaj nie wpada! – Rozprostował ramiona, światło świec odbiło się w ostrzu.

Kalanda odgiął głowę, parsknął: – Czyńcie obiatę!

Jeden po drugim ludzkie cienie uwalniały się z muru, za każdym sunęła ciemna smuga. Mężczyźni sypali zioła do ognia, kobiety, pochylone, wlewały do dołu mleko, miód i jakąś żółtawą ciecz, której Andrzej Gil nie mógł rozpoznać. Dym zgęstniał i Gil znów stracił oddech. Wydawało mu się, że ludzie wyrastają spod ziemi i sfruwają ze ścian, podobni w locie do czarnych szmat. Podłoga falowała, ale najgorszy był głos wydawany przez tłum, jakby skrzypienie, jęk starych ścian. Wraz z głosem Kalandy, szum też się przemienił. Gil wyczuwał w nim niecierpliwe oczekiwanie.

Nie próbował się wyrywać lub bronić, skrzywił się tylko, gdy poczuł na twarzy ciepły miód. Na moment wpadł w płytki sen, w którym ksiądz Bocian mówił: *Dół w ziemi, jeden łokieć szeroki i długi, dokoła libacyjne zmarłym leją strugi, najpierw sam miód i mleko, potem słodkie wino, w końcu wodę zmieszaną z męki odrobinę*<sup>[3]</sup>. Gil otworzył oczy – stara kobieta rozdziawiała nad nim bezzębne usta.

Coś zimnego dotknęło nadgarstków księdza Gila. Nie czuł bólu, gdy Kalanda przejechał nożem po nadgarstkach, tylko dziwne mrowienie, jakby napięta skóra sama się rozstąpiła. But Kalandy pchnął Gila w stronę dołu. Ksiądz leżał teraz na plecach, a Kalanda naciskał mu nogą na przedramiona. Krew spływała do dziury w klepisku, na mleko i miód. Kalanda wykrzykiwał: – Przyjdźcie po obiatę, ojce, dziady! Żertwa tu dla was też gotowa! Przyjdźcie do nas, ojce! Mamy tu, czego wam trzeba! Mamy miód i mleko! Mamy żertwę i jej krew!

Gil zakrztusił się śliną, przymknął oczy. *Onym owcom pokornym podciąłem gardziele, i krew w ten dół ściekała*<sup>[4]</sup>, mówił ksiądz Bocian. „Jezu, przebacz”, szepnął Andrzej Gil. Dym odbierał mu zmysły, ciepła krew koła do snu, Gil miał wrażenie, że cały kościół kołysze się lekko w rytm kropel kapiących z nadgarstków, zgodnie z szumem zgromadzonych, „Jezu,

przebacz”, powtórzył w myślach i, skupiwszy siły, otworzył szeroko oczy.

### § § §

Przed kościołem stało dwóch mężczyzn, po obu stronach drzwi. Palili papierosy bez filtra, pluli, spoglądali co chwilę na zabite okna, kołysząc się lekko. Enka obserwował ich zza cmentarnego murku i doszedł do wniosku, że mógłby przed nimi zacząć tańczyć – nie zauważyliby. Przypominali mu narkomanów, których lata temu zgarnął z ogródków działkowych, i którzy wydawali się stworem o wielu głowach, lecz jednym mózgu i sercu. Nawet do radiowozu szli synchronicznie.

Zrezygnował z podkradania się, wyskoczył, wyrósł przed strażnikami. Pierwszy leżał, nim się połapał, drugi cisnął papierosa i ruszył na porucznika, niczym byk, z opuszczoną głową. Enka uchylił się gładko, chciał trafić łokciem w środek pleców, ale przeciwnik odwrócił się i cios spadł na policzek. Chrupnęło, Enka gdyby tak oberwał, pewno leżałby i piszczał, ale wiejski łajdak tylko się otrzepał. Bił gorzej, niż zbierał ciosy, trafił porucznika tylko raz, pod oko, a Enka wykorzystał okazję i sprzedał mu kopniaka między nogi.

Wieśniak zrobił minę, jakby właśnie dotarła do niego jakaś straszliwa nowina – nasi przegrali, żona sołtysa porodziła chłopczyka o trzech półdupkach, ksiądz uciekł ze szkolnym intendentem – wypuścił nosem powietrze i opuścił dłonie. Zachwiał się lekko, a Enka zrobił to, czego zawsze pragnął, a do czego zawsze brakowało okazji. Kopnął z wysoku, w półobrocie, but wylądował na twarzy wieśniaka, znów chrupnęło, a nim Enka odzyskał równowagę, facet już leżał – z otwartymi ustami, ale za to bez nosa.

„No dobra”, pomyślał Enka, a nóż wbił się w jego lewy bok. Trzeci strażnik, który – jak Enka się domyślił – zszedł z posterunku za głosem natury, zaszedł od tyłu. Milicjant odskoczył, odwrócił się, ocenił

przeciwnika. Jeśli walczy tak, jak bije nożem, powinno być dobrze, ostrze uderzyło nad nerką i zsunęło się po żebrach. Enka tylko się rozszerzył.

Facet wymachiwał nożem, rysując literę „z” w powietrzu. „Tylko maski brak ci, gnoju”, pomyślał Enka, „maski i posiadłości” – i ruszył na przeciwnika. Za szybko, facet skoczył, ciachnął, ostrze rozcięło koszulę milicjanta i zostawiło na czole czerwoną smugę. Tym razem naprawdę bolało i porucznik Enka naprawdę się zdenerwował.

### § § §

Najpierw widział tylko ciemność i dym z ciemności spływający. Potem zamigotał ogień płonących ziół, miski chwiały się jakby kołysane na falach, a potem dym zgęstniał w brodatą twarz bez oczu, za to z gigantycznymi ustami oplatającymi całą głowę. Półprzezroczysta postać miała bardzo długie dłonie, niemal dziecinne palce, nogi ginęły w dymie. Za nią – następne cienie, kobiety o zmierzwionych włosach, dzieci o oczach starców, smutni mężczyźni. Duchy spływały z mroku nad głową księdza Gila, przesłoniły zebranych i tylko Kalanda stał jak skamieniały, z otwartych ust ciekła mu ślina.

„Jezu, przebacz”, szepnął ponownie Andrzej Gil. *Cały ten tłum do dołu ciśnie się i roi, wrzeszcząc tak, że aż przestraszył błądy mię owionie*<sup>[5]</sup>, mówił profesor Bocian. Dym zgęstniał, stał się biały. Zmarli nadpływali szeroką falą, pierwsi już dopadli dołu. Przez twarze pobiegły czarne smugi podobne do sieci żyłek, usta pociemniały, a Gilem targnął chłód. Półprzezroczyste języki zlizywały dary, dopadły ran na przegubach, Gil szarpnął się, zbyt słabo.

Biała chmura umarłych otoczyła dół, przy którym leżał Gil, ksiądz trząsł się z zimna, jeszcze zebrał siły („Jezu, przebacz”) i splunął na widma. Ślina przeleciała przez białe twarze. „Ijjjjjjj, Ijjjjj”, zabrzmiało. Głos podobny do

krzyku dziecka, krzyku przez brud i ziemię dobiegał z kątów kościoła. Usta umarłych poruszały się lekko, języki błędziły między wargami. Gruba twarz chłopca wyrosła tuż przed księdzem Gilem. Gil nie wiedział z początku, co nie w porządku jest w tych rysach. Chłopiec uśmiechnął się, a język długi na łokieć spłynął na dno dołu. Ksiądz już wiedział: widmo nie uformowało się do końca. Nie miało pieprzyków na twarzy, dołeczków, fałd, oczy zupełnie białe. „Ijjjjjj, ijjjjjj”, dobyło się z ciemnych ust, a drzwi kościoła otwarły się.

Ksiądz Andrzej Gil zemdlął.

### § § §

Ognie na cmentarzu pogasły. Przez otwarte drzwi kościoła wpadał księżyc. Chmura widm rozproszyła się natychmiast, z szumem i piskiem. Duchy wznosiły się, znikwały, przechodząc przez promień księżyca, i pojawiały się ponownie – w ciemności. Błądły i gasły. Tłum jęknął.

Biała postać kroczyła przez nawę. W srebrnym blasku zdawała się sunąć nad ziemią. Kredowe czoło przecinała czerwona blizna, krew ochlapała koszulę i niebieskie spodnie. Ręce zacisnęły się w pięści, ogromne oczy z rosnącym zdziwieniem krążyły po kościele, aż dojrzały skrzepowanego i nieprzytomnego księdza Gila. Można by pomyśleć, sam diabeł by tak nie wrzasnął. Porucznik Enka stał pośrodku kościoła i ryczał z wściekłości. Krew natychmiast popłynęła z czoła, a Enka z prawą nogą wysuniętą wyglądał tak, jakby chciał iść, a nie mógł, tylko machał pięściami.

– Upiór! – ktoś szepnął, „upiór” poniosło echo i czarny mur rozpadł się na dziesiątki ciemnych sylwetek gnających do wyjścia. Podobni teraz do gigantycznych owadów, sadzili wielkie susy, by natychmiast po opuszczeniu kościoła rozproszyć się we wszystkich kierunkach. Niektórzy umykali bocznymi wyjściami, jeden wyskoczył przez okno, wybijając deski. Enka nie próbował nikogo zatrzymać.

Przestał już wrzeszczeć i chciał pobiec w stronę Andrzeja Gila, gdy drogę przeciął mu Kalanda. Enka w pierwszej chwili nie miał pojęcia, kim jest ten facet w rozpiętej sutannie, z brzuchem jak wór mąki i tłustą mordą wykrzywioną przez wściekłość. Facet stał w rozkroku, błysnął nóż i Enka połapał się, z kim ma do czynienia. Kalanda natarł, wycinając ostrzem w powietrzu wielkie koła.

Porucznik Enka odzyskał spokój na tyle, by myśleć. Szybko myśleć. Wyszarpnął pistolet, czego Kalanda zdawał się nie widzieć. Enka doszedł do wniosku, że powinien strzelić w nogę albo bark, powalić przeciwnika, nie zabić. Dość już martwych księży. Zza szerokich pleców Kalandy mignęła umęczona twarz Andrzeja Gila, dół pełen krwi. „W nogę lub w bark”, pomyślał Enka, nacisnął spust i powalił Kalandę strzałem w sam środek czerwonego czoła.

Kościół zatrzęsł się od upadku, Enka przesadził drgające ciało i przypadł do Andrzeja Gila. Jeszcze w biegu zdarł z siebie koszulę, teraz darł ją na pasy.

– Kurwa, kurwa, kurwa.

Podwiązał nadgarstki, nożem Kalandy przeciął więzy. Gil nie oprzytomniał. Enka zdarł obrus z ołtarza, otulił nieprzytomnego, sapnął i, kurwując nieustannie, z Andrzejem Gilem na rękach popędził do wyjścia.

§ § §

Ksiądz Gil leżał w szpitalu i czuł się dobrze. Poczul się jeszcze lepiej, usłyszawszy głos porucznika Enki. Enka robił to, co umiał świetnie, czyli awanturę. Wściekał się z precyzją profesjonalisty i pasją neofity. Już z dala brzmiały groźne pohukiwania, im porucznik podchodził bliżej, tym jego krzyki brzmiały głośniejsze, słowa stały się zrozumiałe. Andrzej Gil poprawił poduszkę i usiadł na łóżku.

Enka wparował do pokoju, oblepiony przez dwie białe harpie, skrzeczące, że nie ma prawa tu wchodzić i stopień nie ma żadnego znaczenia. Milicjant odepchnął je sprawnym ruchem i znalazł się przy łóżku.

– Ma pan pięć minut – rzuciła starsza pielęgniarka. Miała czarny wąsik jak u nastolatka. – Potem dzwonię do pana przełożonego! Do ministerstwa! Ordynatora przyprowadzę!

– Dzwon po samego diabła, niech przyjdzie z Hitlerem – Enka zerknął na zegarek – za pięć minut rzeczywiście mnie tu nie będzie – rozpromienił się – pogadamy sobie o tym i owym – ciągnął słodko – o kopertach pogadamy, o zgonach, dużo dłużej niż pięć minut.

Pielęgniarka z wąsikiem spąsowiała, złożyła usta jakby chciała splunąć i wyszła bez słowa, ciągnąc za sobą koleżankę. Porucznik Enka przysunął sobie krzesło.

– Szczęść Boże – powiedział dźwięcznie Andrzej Gil.

– Jakie szczęście, taki Bóg – odparł Enka, przyglądając się obitej twarzy księdza Gila, zabandażowanym nadgarstkom i wielkiemu opatrunkowi na głowie. – Przyniosłem księdzu prezenty.

Wyjął różaniec i włożył Gilowi w dłonie, cały czas patrząc w okno.

– A to ode mnie. Pewno księdza tutaj szlag trafia.

Do różańca dołączyła piersiówka.

– Ano trafia, panie poruczniku.

Enka zorientował się, że Gil zamierza mu podziękować i powiedział:

– Nawet ksiądz nie wie, jaki jest cyrk teraz w tych Stachowartach.

– Dobrze, że przynajmniej bez trupów – odparł Gil, a porucznik Enka pomyślał, że ksiądz mówi o sobie.

– Niezupełnie bez trupów. Ta stara wariatka powiesiła się w nocy przed domem. Takie zamieszanie było, że dopiero koło południa ją zauważyli.

Gil położył różaniec na brudnoseledynowej szafce przy łóżku, piersiówkę



wepchnął pod materac.

– Dla pana sprawa się kończy, a dla nas zaczyna – rzekł. – Czasem chyba lepiej być milicjantem. Pan porucznik nawet nie wie, jaki to problem dla Kościoła. Palicho, że trzeba kościół wyświęcać... ale co z ludźmi?

– Ludzie pochowali łby w piasek – burknął Enka. – Wszyscy tej nocy byli w łóżkach. Nikt nic nie widział. A który kościół chce ksiądz wyświęcać, że tak zapytam, bo ten stary spalił się jeszcze tamtej nocy i tego oczywiście ludzie także nie widzieli. I tak pewno zostanie. W zaparte pójdą, a my połamiemy sobie zęby.

– Spalił się? – powtórzył Gil, a przed oczyma przemknął mu Jonasz, tańczący Chrystus, srebrna płaskorzeźba i drzewo za płaskorzeźbą. To ostatnie, był pewien, wyniesiono.

– A w drugim w ogóle korba – rozgadał się Enka. – Wszyscy się zjechali, najpierw od was, w czarnych marynarkach i pod koloratkami, straszliwy Watykanem, to poszedłem. A zaraz za nimi wparowali ci, no, księdza ulubieńcy, też w marynarkach. I wasi pokazali tamtym drzwi, siedzą teraz i nie wiadomo co robią. Tamci sobie poszli i wrócili w większej sile, to wasi ich wpuścili, ale złali z góry na dół, robili swoje, ale nie wiem co – roześmiał się – a na koniec przyjechał ten bałwan Tuta, mówiłem księdzu o Tucie?

Gil pokręcił głową.

– No to Tuta przyjechał, zadał milion durnych pytań, na które nie dostał odpowiedzi. I księza, i tamci, ja sam kazałem mu spieprzać.

– Nie widziałem, kto był w kościele – przyznał Andrzej Gil. – Aresztowaliście Kalandę?

Enka zrobił bezmyślną minę.

– No, Kalanda – rzekł smutno. – Ksiądz nie słyszał, ksiądz nie pamięta. Może w innych okolicznościach byłoby to zabawne, ale ci w czarnych marynarkach podeszli do mnie i mówili, że oni w żadnym razie sprawy nie

nagłośnią i żebyśmy też byli cicho. Coś podobnego, żeby mundurowy zabił księdza i cała kuria prosiła, by załatwić to tak, że sprawy nie ma.

– Sprawy nie ma. – Andrzej Gil wyjął piersiówkę, napił się i podał porucznikowi. Porucznik się przyssał, a ksiądz myślał o Kalandzie płaczącym w kościele.

– Dlaczego pan wrócił, panie poruczniku? – zapytał nagle, a Enka się zakrztusił.

– Myślałem kiedyś o przeczuciu i w tym nie ma nic niezwykłego. To kumulacja doświadczeń. Coś mi zaśmierdziało i nie mogłem odjechać spokojnie.

– No tak – Gil zakręcił piersiówkę – rzeczywiście, sprawy nie ma.

Za oknem z komina wydobywał się gęsty dym.

– Sprawy nie ma – powtórzył porucznik Enka.

### § § §

Ostatnie dni stały się dla posterunkowego Tuty koszmarem. Ci wszyscy ludzie, przyjeżdżający i odjeżdżający, proboszcz martwy, kościół spalony, do tego pan kapitan, taki miły i taki przepelniony gniewem. Wszystkie nieszczęścia splatały się w zapowiedź najgorszego – kontroli z centrali. To ostatecznie zniszczyłoby wiejski spokój dobrego Tuty, a spokój właśnie był tym, co Tuta cenił sobie najbardziej.

Tuta zamknął komisariat od środka i zszedł do niewielkiego pomieszczenia piwnicznego, oświetlając sobie drogę zapalniczką. Pod pachą niósł szary pakunek obwiązany sznurkiem. Przedostał się przez sterty pudeł, kopy ubrań i potrzaskane szafki do samego rogu, gdzie stała gruba płyta pilśniowa. Posterunkowy Tuta odłożył pakunek i odsunął ją, nie bez wysiłku.

W ścianie, na wysokości metra wykuto wnękę wielkości telewizora Rubin. We wnęce stała głowa kozła przemalowana na czarno i otoczona przez

znicze. Kozłu dolepiono wronie skrzydła, a całą wnękę pokrywały plamy zakrzepłej krwi. Tuta zapalił znicze, zwalił się na kolana i złączył dłonie.

– Książę tego świata – modlił się – Abaddonie, Apollonie, Lucyferze, ochroń mnie przed wrogami i moją babą.

Tuta wyjął składany nóż. Szary pakunek leżący nieopodal nagle ożył, a ze środka dobiegło gdakanie.

## Ptaki (II)

*Wciąż na gałęzi obok siebie, tak ciepłej.*

*– Może powinniśmy im pomóc? – Ptak, Który Dziobie. Skacze, przekręca łepiek. Robaczek zniknął mu w gardle.*

*– Jak to zrobić? Jak? – Ptak, Który Patrzy nie odrywa wzroku od widoku przed sobą.*

*– Powiedzmy im. Też mi kłopot. Powiesz i będzie po sprawie.*

*Ptak, Który Patrzy, parska. Kaszle. Śmieje się tak, jak umieją jedynie ptaki. Skurcz przechodzi przez jego ciało, sztywnieje przetrącone skrzydło.*

*– Przecież tak być nie może. Muszą dopełnić swój los. Jest też mur i brama wiodąca do nich. I my, ptaki, tej bramy przejść nie umiemy.*

*– Gdzieżby tak. Jesteśmy dokładnie z tego samego świata co oni, więc nie zwracaj mi głowy murem i bramą. No, chodź! Powiemy im! Inaczej – poważnie, bije dziobem w pień – nie mają żadnych szans. Tak ci się to uśmiecha?*

*– Ilu wcześniej nie miało cienia szansy? A przeszli, poznali prawdę bez naszej pomocy? – pyta Ptak, Który Patrzy. Oczy mu błyszczą, zupełnie nieruchome, jakby wwiercone w czaszkę.*

*– Nie dziś. Nie oni. Nie przeciw tej sile! – krzyczy Ptak, Który Dziobie. Prostuje skrzydła, przestępuje z nogi na nogę, niby szuka pożywienia, ale nieustannie zerka przed siebie. Na nich.*

*– Może dziś. Może oni. Może tej sile kark przetrącq. Wszystko co żywe ma jakąś nadzieję.*

*Ptak, Który Patrzy nie czeka na odpowiedź i wkłada głowę pod*

*skrzydło. Ptak, Który Dziobie chce wciąż mówić, ale milknie.  
Wzbija się w powietrze i okrąża koronę drzewa.*

# Rozdział pierwszy

## Rozrywki inteligencji katolickiej

Ksiądz doktor habilitowany Andrzej Gil przemierzał szarą przestrzeń hali odpraw dworca lotniczego Kraków Balice. Z trudem wyminął potężnego mężczyznę w seledynowym garniturze. Szedł na ślepo, zaczytany w pierwszym numerze „Tygodnika Solidarność”. Ten sposób czytania był popularny, o czym ksiądz Gil przekonał się, uderzając niespodziewanie nosem w wydrukowaną twarz Lecha Wałęsy. Gazeta zaszeleściła, mężczyzna, który ją trzymał skłonił się niemal niedostrzegalnie, złożył płachtę, tak że Gil widział pół pierwszej strony i nagówek:

---

PRYMAS ROZMAWIA Z LECHEM WAŁĘSĄ O WYBORACH.

---

Lech Wałęsa spoglądał na doktora habilitowanego Andrzeja Gila z plakatów przyklejanych do szarych ścian i szyb terminalu, ścisnął ręce zadowolonych kandydatów lub układał palce w literę V. Obok wisiał duży podłużny plakat z trzema flagami: jedną czerwoną, drugą prawie czerwoną i trzecią o właściwych proporcjach.

Ludzie byli inni tej wiosny i Andrzej Gil nie wiedział, dlaczego. Może wiatr zmian odświeżył im twarze albo te chińskie kolorowe koszule, które ostatnio się pojawiły. Bardziej kolorowe od tych koszul były jedynie fryzury kobiet, jasne jak słońce i sztywne niczym druty. Tylko starzy ludzie się nie zmienili, sunęli jak dawniej w nieforemnych kostiumach i gierkowskich garniturach. Kobietom makijaż spływał w kanaliki zmarszczek, a mężczyźni przyglądali zaczeski i ruszali ustami, jakby coś żuli. Gil bywał wcześniej na terminalu, ale nie widział jeszcze tylu ludzi. Całe rodziny z plecakami,

torbami i dziećmi kłębiły się w hali odpraw. Czterdziestolatkowie mieli powpinane znaczki *Solidarności* na wysokości serca, młodszy woleli plakietki z flagą polską i napisem *bezpartyjny*.

Arcybiskup Rurak stał z dala od słońca wpadającego przez przeszkloną ścianę, w towarzystwie dwóch młodych księży. Młodzi nie mieli sutann ani koloratek, ale Gil znał dobrze biskupa Ruraka, a księdza w cywilu rozpoznawał bezbłędnie. Wystarczyło zerknąć na buty. Potrafił określić długość i ciężar doświadczeń duszpasterskich, wystarczyło, by spojrzeć w oczy: klerycy wyróżniali się rozedrganym, przerażonym wzrokiem, które to rozedrganie i przerażenie zmieniało się u wikarych w lekką płasawicę. Wikaremu zasiedzialemu z oczodołów ziała obojętność, proboszcz z reguły straszył alkoholową pustką lub idiotyczną jowialnością. Ci dwaj musieli być świeżo po seminarium i najpewniej pracowali przy Ruraku. Jego powaga i dostojność wprawiała ich w dygot, ale Gil mógł się założyć, że we własnym towarzystwie zadzierali nosy, krzyżowali ręce na piersiach i patrzyli ponad głowami rozmówców.

Doszedł do nich. Rurak otwierał akurat usta, by coś powiedzieć, ale dostrzegł Gila i uśmiechnął się słabo. Nim wymienili *szczęść Boże*, jeden z młodych księży – tłuściutki blondyn o oczach nerwowego kupca – przysunął się do biskupa. Twarz mu stężała. Gil pomyślał, że z Rurakiem musi być naprawdę niedobrze, skoro do Rzymu i na operację w Szwajcarii zabiera ze sobą największego wazeliniarza w całej kurii.

Biskup Rurak ponownie otworzył usta i znów nic nie powiedział, bo dostrzegł kolejnego księdza – w czarnym garniturze i szarej koszuli z koloratką – zmierzającego w ich stronę energicznym krokiem. Gil znał tę twarz z ponurym spojrzeniem mnicha i zwisającą smętnie dolną wargą, ale nie wiedział, skąd. Ksiądz dostrzegł biskupa, sprężył się, ale nie przyspieszył, Gil przypomniał sobie, skąd go zna. Takiego nosa się nie zapomina, długiego

i pogiętego jak u czarownicy. Ten ksiądz zjawił się w kurii tuż przed okrągłym stołem, nazywał się Krzysztof, nigdy się nie uśmiechał, a Gil nie wiedział, co Krzysztof właściwie robi.

Ksiądz Krzysztof nadciągał szybkim krokiem, a równocześnie od strony terminali ruszyła na nich krzepka czterdziestolatka z trwałą, w letniej sukience i czarnej długiej kurtce z kołnierzem, zdecydowanie za ciężkiej jak na taki upał. Ciągnęła, a właściwie targała ze sobą przerażonego brzdąca w sandałach, skarpetkach w szlaczki i krótkich spodenkach na szelkach. Gil rozejrzał się, a ksiądz Krzysztof wyraźnie zwolnił. Kobieta z dzieckiem była już przy Ruraku, uniosła skamieniałego chłopca i postawiła przed biskupem.

– Ksiądz pobłogosławi przed podróżą. Za ocean lecimy – powiedziała głosem nieuznającym sprzeciwu. Dziecko patrzyło na Ruraka wzrokiem nieszczęśliwego starca. Rurak uśmiechnął się smutno, zrobił znak na czole najpierw jej, potem chłopcu, pogłaskał go po jasnych włosach.

– Niech Bóg wam błogosławi – powiedział, jakby chodziło o sprawę życia i śmierci. Kobieta jeszcze spoważniała, szepnęła „Bóg zapłać” i pociągnęła syna w stronę wąsatego mężczyzny otoczonego kordonem toreb, plecaków i siatek.

Nie złapali oddechu, a ksiądz Krzysztof już był przy nich, bez słowa wręczył Rurakowi kartkę złożoną na czworo. Rurak oblizał blade wargi, posłał Krzysztofowi nieodgadnione spojrzenie i zaczął czytać, bardzo szybko – ogarniając wzrokiem całe akapity. Gil widział tylko czcionki maszynowe, odgniecione gęsto z drugiej strony. Ani jeden mięsień nie drgnął na twarzy Ruraka, zdawał się nawet nie oddychać, złożoną kartkę umieścił w wyciągniętej dłoni księdza Krzysztofa.

– Dziękuję – powiedział – niech ksiądz poczeka w samochodzie.

Chudszy ksiądz wytrzeszczał tylko oczy, tłusty blondyn przestępował z nogi na nogę, Gil próbował wyczytać coś z twarzy Ruraka. To musiało być



coś ważnego. Biskup zostanie w Polsce.

– Zanieście bagaże na taśmociąg – poprosił łagodnie ksiądz biskup i zwrócił się do szczuplejszego z młodych: – Możesz iść, tu ksiądz – wskazał na Gila – odjedzie z księdzem Krzysztofem. Ja zaraz idę na samolot.

Zamilkł, zapadła kłopotliwa cisza. Młodzi księża skinęli głowami. Jednocześnie.

– Niech księża biskupa Bóg prowadzi – powiedział chudszy nie wiedzieć czy z grzeczności, czy chęci awansu.

– Szczęść Boże – rzekł ciepło blondyn. Ruszył z torbami w kierunku odprawy. Gil i Rurak zostali sami, ludzie omijali ich z szacunkiem, niektórzy kłaniali się, mówiąc cicho „pochwalony”. Rurak utkwiał wzrok w księdzu Gilu. Wyglądał, jakby w jednej chwili zamarzał, tylko oczy mu się ruszały. Miały połysk lodu. Gil widywał go takim wcześniej. To spięcie nie wróżyło nic dobrego.

– Krzysztof czeka, pojedziesz z nim do Karkoszki. Karkoszka powie, co dalej. – Rurak mówił szybko, wypluwał słowa, jakby wypędzał z siebie chorobę i na ten czas stał się kimś innym. Gil widział go takim trzykrotnie: raz, gdy kazał mu jechać na te nieszczęsne egzorcyzmy do Radomia, drugi raz, kiedy później nakazywał mu urlop, proponując jednocześnie stypendium w Japonii i trzeci raz, ostatnio. W ten właśnie sposób, głosem cierpiącego żołnierza, skierował księdza Gila do porucznika Enki i Stachowart. Tak, żołnierski ton w ustach Ruraka nie wróżył raczej niczego dobrego.

– Co się właściwie stało, Ekscelencjo? – Gil próbował rozładować sytuację. Rurak, szara eminencja polskiego Kościoła i biskup od lat dwudziestu, wciąż reagował na *ekscelencję* rozbawieniem. Wyczuł intencje Gila i spróbował się roześmiać, ale coś mu nie poszło, usta rozjechały się, opadły jak żagle bez wiatru. Tylko oko na moment rozblęzło.

– Jest ciężko. – Westchnął, ale mówił już spokojniej. – Ciężko z Polską,

ciężko z Kościołem i ciężko z moim żołądkiem. Niestety, Polska, Kościół i mój żołądek nie poczekają. Dziwne rzeczy dzieją się w kraju, a teraz jeszcze wszystko się potwierdziło.

– Pomogę – wykrztusił ksiądz Andrzej Gil, nie pytając nawet, co miało się potwierdzić.

– Andrzeju, wiem, że pomożesz i poradzisz sobie świetnie, jak wczoraj, na obronie. Telefony są na podsłuchu, dlatego kazałem przyjechać ci tutaj. To nie budzi podejrzeń, ksiądz żegna swojego biskupa. – Zabrzmiało to, jakby widzieli się po raz ostatni. – Nie powiem ci wiele. Muszę jechać. Na mnie czeka Ratzinger, Ojciec Święty, a potem chirurg. – Położył mu rękę na ramieniu.

– Karkoszka wie – upewnił się Gil.

– On i tylko on. Pamiętaj, żadnych papierów, żadnych telefonów. Nie martw się niczym, może to tylko groźnie wygląda. Poradzisz sobie doskonale. Wiem o tym.

– Ja chciałem jednak...

– Oczywiście – Rurak wszedł mu w słowo – ale ja nie mam czasu ani siły. Cieszę się, że przyszedłeś. No. Spróbuj w tym wszystkim – westchnął – wziąć głębszy oddech.

Gil uściskał jego mokrą rękę. Biskup Rurak westchnął i odszedł, zgarbiony, jakby dźwigał niewidzialny ciężar. Już stojąc w kolejce, odwrócił się do osłupiałego Gila, pobłogosławił, rzekł:

– Wiem o tym.

Nic tu po mnie, pomyślał Gil i powędrował w kierunku wyjścia. Często myślał o Bogu, jak to ksiądz. Ostatnio, najczęściej o tym, jaki jest stosunek Wszechmogącego do pecha. Już nieraz było tak, że nic nieznaczące sprawy rozwijały się dla Gila w jakieś piramidalne perypetie. Teraz, dzień po habilitacji, zły los pozbawia go odpoczynku i pcha w dziwną stronę. Gdy

wyszedł na zewnątrz, uderzyła go fala gorąca. Ksiądz Krzysztof czekał w czarnej wołdze. Wystawiał łokieć przez okno, a wiatr rozwiewał po asfalcie popiół ze spalonej kartki. Na drzewie, koło samochodu, ktoś przykleił plakat: kowboj z gwiazdą szeryfa i plakieta *Solidarności* zdawał się wychodzić z papieru. Poniżej, napis głosił: *w samo południe. 4 czerwca 1989.*

Gil złapał się za głowę.

### § § §

Historia zatacza koło, myślał Andrzej Gil, siedząc obok księdza Krzysztofa. W średniowieczu kuria stanowiła przedziwne połączenie wpływowego ośrodka politycznego, ministerstwa spraw zagranicznych i koszar, a tu proszę – wybory za pasem, ludzie wyjeżdżają, a sytuacja zmienia się tak, że nawet czerwoni, czując pismo nosem, powracają masowo do Boga i jego Kościoła. Wraz z czerwonymi, zastanawiał się dalej, przychodzą ludzie tacy jak Krzysztof. Milczący, nienaturalnie ponurzy, niczym mnisi z jakiegoś pustynnego klasztoru, napływali całymi tuzinami. A jeszcze niedawno ich nie było, mieliśmy za to zakładać chrześcijańskie związki zawodowe. Uśmiechnął się do swoich wspomnień. Miętosił jedną z drewnianych kulek składających się na narzutę siedzenia.

Ksiądz Krzysztof brał ostro zakręty, raz zajechał nawet na niski chodnik, jego styl jazdy kojarzył się Gilowi z porucznikiem Enką. Ale Enka w drodze z Balic na Franciszkańską zdążyłby opowiedzieć przynajmniej o jednej rozróbie i trzech panienkach. Ksiądz Krzysztof ukochał milczenie. Odezwał się dopiero pod sam koniec jazdy. Stali na światłach, a z plakatu spoglądał Lech Wałęsa z Matką Boską w klapie.

– Zmiany to dziwna rzecz – powiedział ksiądz Krzysztof. – Wiadomo, na przykład, gdy człowiek zmienia się w potwora, ale z reguły nie wie, w jakiego i co go do tego doprowadziło.

Zdziwiony nagłą sentencją Gil być może znalazłby jakąś odpowiedź, ale już dojechali i trzeba było iść. Przed nimi wznosiły się piaskowe ściany Pałacu Biskupów z oknem na kościół Franciszkanów, przez które papież zawsze wyglądał do wiernych. Krzysztof zaparkował przy Plantach, zastygł za kierownicą, jego szare oczy śledziły przechodniów.

– Bóg zapłać – podziękował Andrzej Gil. Ksiądz Krzysztof skinął głową i tak się rozstali. Ksiądz Krzysztof zapalił silnik i odjechał, pisk opon poderwał do lotu szarą chmurę gołębi.

Drzwi do pałacu stały otworem, a woźny wciśnięty w różową koszulę non iron, wypuszczał akurat tłuściutkiego księdza. Spojrzał na Gila i rozpoznali się natychmiast. Marian Żółtek zmierzał w kierunku Andrzeja Gila cały przeschęśliwy. Krawat w zęby ściśle oplatał mu szyję. Gil zaś żałował, że nie jest nikim ważnym – wybitnych przedstawicieli kleru Marian Żółtek witał w podobnym zestawie uzupełnionym granatową marynarką pamiętającą jeszcze strzały na Wybrzeżu. Marynarka stłumiłaby zapach, który Gil musiał teraz wdychać.

– Szczęść Boże, księżu doktorze! Doktorze habilitowany! – Marian Żółtek był z nowościami na bieżąco. – Padam do nóżek! Pomóc coś, dokąd ksiądz habilitowany się wybiera?

– Coś tylko załatwię. Drobiazgi, panie Marianie. Poradzę sobie sam.

Marian Żółtek został woźnym w pałacu biskupim niedawno, ale o tę posadę zabiegał latami. Księdzu odpowiedzialnemu za decyzje kadrowe niskiego szczebla tak długo przynosił kielbasę wiejską i wędzone półgęski, aż biedak się uzależnił. Przeważyla opinia poprzedniego ciecia odchodzącego na emeryturę i Marian Żółtek został niepodzielnym władcą niewielkiej przestrzeni od drzwi do schodów. Decydował, kto wejdzie od razu, a kto poczeka, jaka informacja pójdzie dalej, a jaka na nim się zatrzyma. Gil słyszał również, że Marian Żółtek jest dobry w dawaniu łapówek, a i wziąć w

łapę lubi, a do kurii sływały przecież dary z całego świata. Korzyści z nowej pracy miały też inny, prestiżowy wymiar.

Brama zamknęła się za księdzem Gilem. Owiął go chłód. Przypomniał sobie opowieści o klubie obercieci, które sływał już od kilku znajomych, w tym porucznika Enki. Oczywiście klub nie nosił takiej nazwy (tę ukuli zazdrośnicy), po prawdzie w ogóle się nie nazywał, a jego członkowie zbierali się co piątek w restauracji Hawełka. Oprócz odźwiernego kurii, przychodził kierowca arcybiskupa, kierowca rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, tamtejszy szef cieni, a także pan Wiesław, pracujący jako Lajkonik. Pito i rozmawiano o poważnych sprawach: religii, polityce, przetasowaniach na górze. Klub zyskał chwilową sławę po prywatnym występie Lajkonika u Hawełki, a to oznaczało użycie do celów prywatnych stroju uszytego za państwowe pieniądze. Kostium wisiał odtąd w depozycie Muzeum Narodowego i pan Wiesław otrzymywał go tylko na czas publicznych pokazów. Przychodził do Hawełki smutny i zgaszony, jakby wraz z przebraniem utracił część osobistej chwały.

– Jeśliby czegoś ksiądz potrzebował, proszę zaraz przyjść! – Marian Żółtek wyrwał go z zamyślenia. – Ja tu ciągle jestem, a teraz to do nówek księdza dobrodzieja padam! Do nówek!

Skłonił się głęboko i, podskakując, oddalił się z powrotem w kierunku bramy. Gil wyszedł na dziedziniec w stylu barokowym, z loggią pomalowaną na jasny kolor i zupełnie niebarokowym, ale za to niemal czarnym pomnikiem Jana Pawła II. Pomnik wystawiono z zachodnich pieniędzy, był pierwszym i jak dotąd jedynym, jaki ksiądz Gil widział. Ojciec Święty stał w lekkim rozkroku, wyciągał ręce przed siebie i uśmiechał się z ufnością. Obok rosły dwa niskie drzewa.

Minął pomnik i z ulgą wszedł w przyjemny chłód klatki schodowej. Jej łagodne, lecz żywe kolory stanowiły prawdziwe wytchnienie od pstrokatej

wyborczej krzykliwości ulic. Parkiet był intarsjowany i lśniący, brąz poręczy – głęboki i jeśli coś raziło, to osobliwe przemieszanie wielkości i miernoty. Gil zerknął do pokoju ze słynnym oknem. Stare obrazy w zdobionych ramach, rzeźby i kryształowe lustra kontrastowały z topornym lakierem stołu i krzeseł. Jak to w kościele, westchnął tylko, minął jeszcze kilku księży, podekscytowaną wycieczkę świeckich i dotarł do znajomych drzwi. Zastukał.

Karkoszka zajmował ascetyczny gabinet, w którym Gil nigdy nie dopatrywał się jednej zbędnej rzeczy. Gdańską szafę, jak wiedział, wypełniały papiery spraw, którymi Karkoszka się zajmował, na regałach nie sposób było wypatrzeć jednej niepotrzebnej lub głupiej książki. Żadnych obrazów i lusterek, tylko drewniany Chrystus bez krzyża wiszący bezpośrednio na ścianie. Pół pomieszczenia zajmowało przysadziste biurko, na którym Karkoszka nieustannie walczył o porządek. Dziś walka została wygrana, a teczki i papierzyska stały w jednej kolumnie, obok faksu i telefonu.

Książd Karkoszka miał twarz starego pedagoga, który troszczy się tylko o to, by młodzież wciąż czytała i nie paliła papierosów. Dobiegał sześćdziesiątki, lecz jego włosów nie przyprószyła siwizna. Nosił niedopasowane kanciaste okulary, miał wąskie barki i różaniec na kościstym palcu. Oblicze rozjaśniał mu uśmiech, którego nie potrafiło przegnać najstraszliwsze nawet wydarzenie; z tym arcydobrotliwym grymasem odprawiał mszę po zamordowaniu księdza Popiełuszki, jakby nic na świecie nie mogło Karkoszce zgasić wiary w ludzi i Boskie miłosierdzie. Młodzi księża sądzili, że to grymas nerwowy, ale Gil miał swoją teorię: w jego opinii, gdyby tylko Karkoszka zdarł z twarzy ten swój uśmiech, straciłby go nieodwracalnie, zmieniając się w ponuraka zaambarasowanego wyłącznie archiwami.

A archiwa i tak określały życie księdza Karkoszki, który znał na pamięć każdą fizejonykę w całej kurii i właśnie przedzierał się przez kolejne arcyważne

teczki. Z niemałym trudem oderwał wzrok od papierzysk, poprawił okulary i spojrzał na księdza Andrzeja Gila. Rozpoznał go dopiero po chwili. Twarz mu się jeszcze rozjaśniła, nalała dobrem po czubki uszu, miękkim gestem wskazał wolne miejsce i Andrzej Gil usiadł. Karkoszka przesunął akta tak, że mogli patrzeć na siebie.

– Niech będzie pochwalony. Szybko ksiądz przyjechał, ale to dobrze. Jak długo żyję, z czymś takim nie miałem do czynienia. – Karkoszka wstał, niemal popłynął przez pokój do secesyjnej szafki z podręcznymi aktami. Dwie górne półki były przepakowane, jakby ktoś w pośpiechu przerzucił na nie mniej istotne dokumenty, Karkoszka zabrał teczkę z tej najniższej. Usiadł i z uśmiechem wręczył Gilowi dokumentację. Na teczce wykaligrafowano „JAN LIPIŃSKI” i jakieś numerki.

Gil oczywiście słyszał o Lipińskim, mijali się kilkakrotnie. Lipiński, za młodu aktywista ZMP, jak wszyscy w tamtych czasach, w konsekwencji nieznanego bliżej wstrząsu nawrócił się i zasilił Klub Inteligencji Katolickiej, współtworząc jego prawe, wściekle antykomunistyczne skrzydło. Wielkie chwile przeżywał u schyłku życia Wyszyńskiego, któremu doradzał, i zasiadając w radzie prymasowskiej w Kureniku. Kiedy nastał Glemp i jego doradcy, Lipiński odszedł w cień, koncentrując się na pracy w Znaku i okazjonalnych wykładach w Papieskiej Akademii Teologicznej, w 1986 przeszedł poważny atak serca, a obecnie uchodził za nieprzejednanego wroga wszystkiego, co czerwone, i tytana intelektu. Gil czytał kilka artykułów Lipińskiego i miał go za bezbarwnego inteligenta zakochanego w niuansach teologicznych i uczepionego polskiej tradycji niepodległościowej w nazbyt heroiczny sposób. A teraz patrzył w jego ponurą twarz na kolorowym zdjęciu: Lipiński stał pod transparentem „Solidarność. 26 września – 7 października 1981”, odziany w workowaty trzyczęściowy garnitur, który wyglądał jak świeżo wyciągnięty z wody. Twarz Lipińskiego była wielka i

kwadratowa, wyróżniająca się krzaczastymi brwiami, podkreconymi do góry i tak gęstymi, że gdyby je podpalić, cała twarz Lipińskiego stanęłaby w ogniu.

– Zna ksiądz Lipińskiego – zaczął Karkoszka – ale z mojego punktu widzenia to nie z nim mamy kłopot, tylko z pewną rzeźbą. To niezwykła rzeźba. Madonna skrzynkowa, oczywiście wie ksiądz, co to takiego?

Gil oczywiście wiedział. Takich rzeźb w Europie Środkowschodniej było raptem pięć czy sześć sztuk. Spokojny głos księdza Karkoszki płynął ponad stołem.

– Znaleziono ją podczas renowacji piwnic w pałacu biskupów krakowskich, o czym mało kto wiedział, bo chcieliśmy, żeby najpierw ją trochę odnowić, zbadać. Cicho i bez sensacji. Madonna poszła do renowacji i stamtąd też zniknęła. Znaleziono ją wczoraj.

A ja godzinę temu stałem z Rurakiem na lotnisku, pomyślał ksiądz Andrzej Gil.

– To chyba sprawa dla prokuratora – przypomniał. Karkoszka splótł dłonie nad papierzyskami. Nie przestawał się uśmiechać.

– Prokurator ma swoją pracę, a my swoją. To nie jest pierwsza lepsza rzeźba, a z tego co mi wiadomo, Lipiński i ludzie z nim związani użyli jej do pewnych celów. Widział ksiądz kiedyś Madonnę skrzynkową?

Gil znów powstrzymał pytanie cisnące się na usta.

– Ano, widziałem. Jedną w Sejnach i drugą w Muzeum Watykańskim.

– To dobrze. Mamy więc tu trzecią, którą musi ksiądz zobaczyć. – Karkoszka pogrzebał w szufladzie i wydobył klucze. Kiwnął na Gila, żeby wstali. – Ten egzemplarz pochodzi z XIV wieku, ale w dziewiętnastym zmodernizowano mu zamknięcie. Tak przynajmniej oceniamy.

Drzwi w rogu pokoju prowadziły do magazynu, niskiego i wypełnionego teczkami. Karkoszka poszedł przodem, prowadząc ks. Andrzeja do czegoś,



co wyglądało na pudło przykryte aksamitną tkaniną. Ksiądz Gil dziwił się, czemu Madonna – jeśli pod aksamitem to ona się znajdowała – nie stoi u konserwatorów, w muzeum kurii, kościelnym depozycie, ale w norze będącej najpewniej prywatnym archiwum księdza Karkoszki. Karkoszka zdjął narzutę i Andrzej Gil wytrzeszczył oczy.

Figura miała kształt kobiety w purpurowych szatach. Kolory wyblakły przez stulecia, tylko policzki i usta pozostały wściekle czerwone. W dłoni trzymała puchar wypełniony czymś brązowym, co w żaden sposób nie kojarzyło się ze świętością. Każdy palec zdobiła perła, rękawy były niegdyś złote, teraz bladożółtawe.

– Tu trzeba nacisnąć. – Ksiądz Karkoszka wskazał medalion na piersi figury. Gil pchnął medalion, nie bez wahania, i Madonna otworzyła się. Wnętrze było czarne. Tuziny potępionych maszerowały w górę wnętrza sukni, na lewym skrzydle wisiał księżyc czerwony jak krew, bez chmur i gwiazd, na prawym – czarne słońce z blednącymi promieniami. Tłum widziany z daleka przypominał dekorację, identyczni ludzie wędrujący oddać cześć Kurwie Babilońskiej i Smokowi.

Centralną część ołtarza zajmował wizerunek potwora. Średniowieczny twórca ubytki w talencie nadrobił zaangażowaniem i koślawa siedmiogłowa bestia zdawała się właśnie odrywać od poczernionej deski. Każdy łeb zdobiła korona, czasem róg albo i kilka, potwór stał na zwierzęcych łapach wyrastających z chudego łuskowatego korpusu. Wszystkie siedem paszcz rozwarło się szeroko, w oczach płonęła purpura, ta sama, którą pokryto kobiece szaty i zaznaczono barwę flag ludzi maszerujących po bokach. Potwór siedział na matowej trawie (niegdyś zielonej), pociemniałe słońce wisiało nad jednym z łbów.

– Proste – szepnął wreszcie pobladły Andrzej Gil.

– Ale ciekawe. – Karkoszka stał za nim. Ciepły uśmiech drażnił w takich

chwilach.

– Ksiądz powiedział, że tego niedawno użyto – przypomniał Andrzej Gil, próbując sobie wyobrazić, do czego właściwie można by wykorzystać taką rzeźbę.

– Mogę się tylko domyślać, że używano jej wcześniej – rzekł słodko ksiądz Karkoszka – ale ostatni raz miał miejsce wczoraj. Na czarnej mszy w mieszkaniu Lipińskiego.

### § § §

Na oknie stały paprotki, a tuż przed twarzą księdza Gila Danuta Lato wypinała obfity biust. Któryś milicjant zdradzał sentyment do tych piersi i nie przewracał karty kalendarza, więc na komisariacie wciąż panował marzec. Nawet ściany miały kolor wczesnej wiosny: skąpej trawy i szlamu.

Gil siedział, usiłując nie patrzeć na ścianę, paprotki ani cycki, wbił więc smutne spojrzenie w porucznika Grulę, który cały zaaferowany tańcował z czajnikiem, szklanką i torebką herbaty. Grula również był marcowy – wdział workowate spodnie i brudnopomarańczowy golf o wytartych łokciach. Każda część ciała porucznika Gruli kołysała się do innej melodii, a całość sprawiała wrażenie wielkiego worka na błoto, uwikłanego w walkę z aluminiowym czajnikiem elektrycznym. Ksiądz Gil w ogóle herbaty nie chciał, ale Grula tak się szczyrzył, tak skłaniał i prosił, że odmówić nie wypadało. Wreszcie zdołał uwolnić wodę, w pośpiechu wygrzebał torebkę herbaty Ceylon i odrzucił pudełko, jak wyrzut sumienia.

Kalendarz zatrzymał się nie tylko na marcu, ale i poprzednim roku – maślane oczy Danuty Lato już kilkanaście miesięcy przyglądały się pracy dzielnych milicjantów. Czas wraz z nią się zatrzymał i Gil pomyślał, że jeśli Danuta stąd zniknie, być może na komisariat zawitają dobra dostępne na każdym placu: herbata Lipton, ładne białe czajniki i, być może, nowoczesne

maszyny do pisania, które widział niedawno w lombardzie naprzeciwko Korony.

– Już prawie gotowe, księżę profesorze – grzmiał Grula, twarz spowił mu obłok pary. – Mówili mi, że ksiądz przyjdzie, ale nie spodziewałem się, że tak szybko. Zmiany, prawda? Wszystko się zmienia, a my pracujemy.

Gil skinął głową i wrócił myślami do księdza Karkoszki, jego spokojnego uśmiechu i jeszcze spokojniejszych słów. „Wszystko się zmienia”, przypomniał sobie, „i teraz Kościół może więcej niż kiedyś. Pamięta ksiądz Stachowarty? Tu sytuacja się powtarza i nikt, ani my, ani władza, nie chce, żeby sprawa Lipińskiego wypłynęła na wierzch”. Gil powtórzył to w milczeniu, patrząc na Grulę, który właśnie rozchlapał wodę na talerzyku, i doszedł do wniosku, że jeszcze lepiej by się stało, gdyby ta sprawa w ogóle tu nie dotarła.

„Już chyba wie ksiądz, do czego jest w tej konkretnej sytuacji potrzebny”, mówił dalej Karkoszka, „ksiądz musi dołączyć do grupy prowadzącej śledztwo. Wszystko już zostało ustalone. Doświadczenie czyni księdza, powiedziałbym, niezastąpionym, a niezastąpionych ludzi zawsze brakuje w dziwnych czasach”.

Herbata wylądowała przed księdzem Gilem. Zabrzęczało, Grula błysnął żółtym uśmiechem. Gil znów odpłynął – zachodził w głowę, jakim cudem dał się wpleść w tak dziwny ciąg wydarzeń i czemu nieustannie ma wrażenie, że nigdy nie dostrzeże ich końca. Jakby, ruszając rok temu do Stachowart, wjechali w zupełnie inny świat. Są w nim do dziś, ale kto wie, jak wyglądają z zewnątrz? Czy ksiądz doktor habilitowany Andrzej Gil zwariował, czy może coś podpisał, że wciąż na komendę gania?

„Wszystko będzie dobrze, to ostatni zakręt historii”, szeptał Karkoszka. „Ksiądz ma żal, że właśnie on musi się z nimi kontaktować, to musi go przemóc. To, że zna ksiądz człowieka, z którym będzie pracował, jest nawet

nieważne, ważne tylko, że tylko ksiądz nas nie zawiedzie. Każdy inny, możliwe, ksiądz nie, no i przecież ksiądz zna człowieka”. Tak, znam porucznika Grulę, pomyślał Gil i napił się herbaty. Na plastikowej tacce widniał napis: „X olimpiada resortów spraw wewnętrznych, Soczi 1982”, w rogach lekko wytłaczanych liter załagał się brud. Karkoszka zniknęła, w głowie księdza doktora pozostało tylko wspomnienie uśmiechu.

Gruła usiadł przed Gilem. Pot pod pachami przebarwił golf na brąz.

– Jakbym wszystko rozumiał, to byśmy księdza nie wzywali – wyjaśnił i zaraz się stropił. – Bardzo nam zależało, żeby ksiądz miał czas.

Gil skinął głową.

– Powie mi pan, panie poruczniku, co właściwie się wydarzyło? Mówi pan o czasie, a zdaje się, że za wiele go nie mamy.

Porucznik Gruła mruknął, że rozumie, ale więcej się nie odezwał. Wokoło panowała cisza, obicie na drzwiach tłumiło dźwięk. Za oknem prażyło słońce, ludzie szli w pośpiechu. Nikt nie spoglądał na budynek komisariatu. Gil zrozumiał, że prędko nie wyjdzie.

– Słyszał kiedyś pan porucznik o satanizmie? O kulcie sił nieczystych?

– Tak! – rzekł natychmiast Gruła, zadowolony z siebie. – Ale myślałem, że takie rzeczy dzieją się tylko u amerykańskich milionerów. W dupach im się przewracało od dobrobytu. Niedobrze.

– A czarna msza? – naciskał Gil.

Gruła sposepniał.

– Nie chodzę do kościoła. Ale żona powiedziała, że powinienem zacząć, bo łatwiej iść przez życie, jak się wierzy w opatrzność Bożą. Tak właśnie powiedziała, ale nie wiem, co to jest czarna msza. To w każdym kościele?

Danuta Lato uśmiechała się z kalendarza i ksiądz Gil dostrzegł w tym uśmiechu coś szyderczego. Herbata smakowała okropnie.

– Czarna msza to odwrócenie chrześcijańskiej mszy świętej, gdzie zamiast

Bogu, oddaje się cześć diabłu. Zdaniem moich przełożonych, właśnie taki obrzęd miał miejsce w mieszkaniu pana Lipińskiego.

Gruła natychmiast wszedł mu w słowo.

– No tak, obywatel Lipiński. – Zerwał się z krzesła i przytargał zaraz teczkę pełną papierów, fiszek, zdjęć i różności. – Nawet tego uporządkować nie zdążyłem.

„Gdzie jest Enka”, pomyślał ksiądz Andrzej Gil i zaraz uświadomił sobie, że Zbigniew Enka może figlować z panienkami na drugim końcu Polski i nie wiedzieć o niczym.

– Tu się zabawiali. – Gruła położył między nimi fotografię. Jego bielusieńkie paluchy sprawiały wrażenie pozbawionych mięśni i kości. Gil przeniósł wzrok na fotografię. Na pierwszym planie widniał stół, który na pierwszy rzut oka wyglądał na secesyjny, a okazał się zwykłą przemysłową podróbką o nieforemnych nogach. Na obrusie przykrywającym blat widniały ślady po wosku, a sam stół stał na podwyższeniu, jakie czasem widuje się w pracowniach malarzy. Panował półmrok, ściany były brudne. Gil zmarszczył brwi.

– Pan porucznik spojrzy. Ten obrus ma naśladować nakrycie ołtarza w kościołach katolickich.

– Koronka? – zapytał Gruła.

Gil westchnął:

– No, koronka. Co mamy jeszcze?

– Pewnie, księżo profesorze. My tutaj nie zasypiamy gruszek w popiele.

– Więc, jest Lipiński... – Gruła podsunął zdjęcie portretowe Lipińskiego.

– O nim już wiem – uciął ksiądz Andrzej Gil.

– Czyli wspaniale. – Gruła otarł czoło, upił herbatę, nie wyjmując łyżeczki, i znalazł zdjęcie kobiety z burzą tlenionych włosów i we wścikłym makijażu. Dziewczyna wyglądała na dwadzieścia parę lat, z uszu zwisały jej

wielkie kolczyki, głęboki dekolt odsłaniał połowę biustu, nieporównywalnego zresztą z bujną seksualnością Danuty Lato. Spod grzywki dziewczyny spoglądały boleśnie tępe oczy. Grula podsunął Gilowi zdjęcie pod sam nos.

– A o tej kobietce na pewno ksiądz profesor nie słyszał. Aneta Krawczyńska, prostytutka, mówiąc krótko, mieszka po hotelach. Znana milicji. Coś straszego, prawda? To od niej wiemy, co wiemy. Z pozostałymi na razie nie da się gadać.

– Nie wiedziałem, że w znajomości z milicją jest coś straszego – rzekł Andrzej Gil tak miękko, że w pierwszej chwili Grula nie rozpoznał ironii. Twarz milicjanta spochmurniała, zmarszczył czoło, jakby przeliczał w myślach jakieś duże liczby i nagle pojaśniał znowu. Dolał sobie wrzątku.

– A teraz, panie poruczniku, pan spróbuje mi streścić, co się tam konkretnie wydarzyło.

Kompletnie już skołowany Grula oklapł na krzesło, zgarbił się i mówił, patrząc w okno:

– prostytutka była w pestkę pijana, mówi i mówi, a połapać się w tym nie sposób. – Przerzucał karty z zeznaniami. – Ja to wszystko dam księdzu potem, ale jak ksiądz chce teraz wiedzieć, to opowiem. Jest ich piątka...

– Szóstka – wtrącił machinalnie ksiądz Andrzej Gil.

– No tak, z dziwką szóstka – zgodził się Grula i natychmiast przeraził się własnych słów. Mówił już ciszej. – Więc nim zaczęli ceremonię, to wszyscy mieli na sobie takie o, oponcze, z wyjątkiem pani Krawczyńskiej, która, ksiądz wybaczy, była naga.

Podsunał zdjęcie. Zamiast nagiej Krawczyńskiej, przedstawiało dowód rzeczowy, czyli wdzianko po kostki, zakładane przez głowę, ze spiczastym kapturem, który, gdyby był niebieski, przypominałby czapkę czarodzieja.

– No tak – nic mądrzejszego nie przyszło księdzu Gilowi do głowy.

– Pierwsze, co chyba zrobili, to otworzyli dach. Ksiądz doktor rozumie, to było ostatnie piętro, takie atelier – zaakcentował ostatnią głoskę i mówił dalej, pomagając sobie rękoma – i dach był przeszkłony, rozsuwany, to go rozsunęli. Było bardzo gorąco i nie padało.

– Czarna msza musi odbywać się pod gołym niebem. Dlatego otworzyli dach – wyjaśnił ksiądz Gil, a Gula coś zanotował.

– Tu mam coś obrzydliwego – wyjął zdjęcie, ale nim położył na stole, ksiądz Gil sam wyjął mu je z rąk. Nie wiedział, co obrzydliwego można dostrzec we wgłębieniu wykutym w podłodze. Być może Gruli chodziło o milicyjne karteczki z numerami porozstawiane specjalnie do zdjęcia. Jednak przyjrzał się dobrze i zaczął rozumieć.

– To mocz – Gula utwierdził go w podejrzeniach. – Z tym też mamy bałagan, wszyscy jak jeden mąż tam się zsiusiali, no ale na to nie ma paragrafu. Nie ma paragrafu, to jest kłopot, mówię, jest paragraf, to kłopotu nie ma. Nie wiem, modlili się do tego, czy jak? To trochę, jakby do samych siebie. Bo w tym, no, maczali palce.

– Maczali palce i co? – zapytał Gil. Gula zmarkotniał, zadzwonił łyżeczką, przygryzł wargi, spuścił oczy i podniósł na powrót, tym razem pełne zakłopotania, aż Gil musiał go zachęcić.

– Księżę profesorze, przepraszam, że o to proszę – rzekł Gula – ale czy mógłby ksiądz profesor się przeżegnać?

Oniemiały Gil, nie spuszczać wzroku z zapatrzonego Gruli, przyłożył trzy palce do czoła. Bardzo wolno wykonał znak krzyża. Porucznik śledził z uwagą jego ruchy. Ksiądz usiadł. Gula natychmiast odzyskał żywotność.

– Krawczyńska mówiła, że oni tak się żegnali tylko odwrotnie – wyjaśnił, próbując wykonać to samo – i coś z palcami robili. Pytałem ich, po co to wszystko, a oni, że całość musi być na odwrot. Tak to zrozumiałem. Bo niełatwo ich zrozumieć, właściwie to się nie da.

– Dwa palce – rzekł głucho Andrzej Gil. Grula popatrzył pytająco. Gil westchnął i pomyślał, że jak na urzniętą w pestkę, Krawczyńska ma świetną pamięć. – Dwa albo cztery palce. Nimi się zegnali – uzupełnił.

Jeju, jeju, a jaka różnica, mówiły oczy Gruli.

– Napije się ksiądz profesor herbaty? – Włączył czajnik, wracając, trącił kalendarz i papierowy, kredowany biust Danuty Lato zafalował na ścianie. Grula zaś opadł niezdarnie prosto między papierzyska w otwartej teczce. Rozpoczął: – Widzę to w ten sposób. Weszli w tych wdziankach, przeżegnali się moczem, tu Krawczyńska się nie gubi – zaznaczył zadowolony. – W każdym razie, jak się przeżegnali, to zaczęło się nabożeństwo.

– Czarna msza – uzupełnił Andrzej Gil.

– Krawczyńska miała to we włosach – pokazał zdjęcie pomiętej rośliny, w której Gil z trudem rozpoznał werbenę kwitnącą – no i z dziewczyną mam problem. Ale wołami ciągnąłem, wyciągnąłem w końcu. Otóż, księżu profesorze, ta kobieta leżała naga na tym obrusie. Kto by pomyślał – przyglądnał się zdjęciu Lipińskiego.

Gil nie odpowiedział.

– Jakoś im to poszło. Zebrani wychwalali, jak mi powiedziała, swojego nowego pana, to znaczy diabła, tyle wyciągnąłem. Straszna afery z punktu widzenia księdza, co? Oni rozpaczali, że to wszystko z szacunku dla krzywdy i że diabła skrzywdzono jak i Polskę. Tak zrozumiałem. Może dlatego go całowali.

– Co konkretnie całowali?

– A co mieli całować? – Grula wydobył zdjęcie Madonny skrzynkowej. Była otwarta – tu, w środku – wskazał palcem – jeden po drugim. Potem się zaczęło. Otóż ta pani Krawczyńska leżała na stole brzuchem do dołu i naga jak, nie przymierzając, ją Pan Bóg stworzył. Tu się jej gadane skończyło. Wysypali jej zboże na tył, znaczy pupę, proszę księdza profesora, a potem



wypuścili dziewięć szarych gołębi. Dokładnie dziewięć, każdy powiedział tyle samo, co nie można powiedzieć o białej gołębiczy.

– Zabili tego ptaka. Przypuszczalnie Krawczyńska ukręciła mu głowę – domyślił się ksiądz Gil.

– Zgadza się! I tu zaczyna się sprawa polityczna. Raz, że to wrogowie ludowej ojczyzny, a dwa, że, jak się domyśliłem, wszystko było ukartowane przeciw jakiemuś Filipowi, któremu Krawczyńska złorzeczyła. Nie wydobyłem nazwiska, ale sprawdzamy teraz powiązania. Nie wiemy nawet, czy to partyjny, czy solidarnościowy. Gil podrapał się po głowie.

– To Filip Walezjusz, najprawdopodobniej – powiedział. Gula natychmiast mu przerwał, zapisał nazwisko.

– Co z nim? – zapytał.

– Niewiele – odparł zrezygnowany ksiądz doktor – od bardzo dawna nie żyje.

Gula otworzył usta do następnego pytania, zapewne o to, jak zmarł Filip Walezjusz, kiedy, a przede wszystkim, czy sprawa uległa przedawnieniu. Pytanie jednak nie padło, bo drzwi otworzyły się z impetem. Na progu stał porucznik Enka. W szarych spodniach, niebieskiej, wyprasowanej koszuli, z zadowoleniem wypisanym na twarzy, wydawał się przynależeć do ciut innego świata niż wysłużone kalendarze i olimpiady mundurowych. Pod pachą targał potężny neseser, a w prawej ręce trzymał pękata teczkę związaną na troczki. Jego oczy błyszczały, jakby ukradły światło umordowanemu spojrzeniu księdza Andrzeja Gila.

– Już tu księdza doktora ściągnęli? – rzucił, ściskając rękę najpierw jemu, potem Gruli. – A ja chciałem być wcześniej i wszystko naszykować.

– Habilitowanego księdza doktora – westchnął Andrzej Gil, pamiętając, że jest w Krakowie, gdzie tytuły są najważniejszą kwestią. Dostrzegł, że porucznik Enka ma na szyi czerwoną plamkę wielkości dziesięciozłotówki.

Malinka wyglądała na całkiem świeżą i Gil chciał nawet zapytać, czy pan porucznik nie zaniedbuje obowiązków służbowych. Ten chyba odgadł jego myśli, potarł się po szyi.

– No to moje gratulacje – powiedział wesoło. – Akurat w sam raz na teraz. Kiedy to się wydarzyło?

– Parę dni temu – syknął ksiądz doktor.

Enka położył neseser na biurku, obok teczkę i zaczął krążyć po komisariacie, tak zadowolony, jak Gil był wściekły. Grula obserwował z uwagą to jednego, to drugiego.

– Myślałem, że ksiądz zadzwoni, to poświęcimy. A teraz, cholera, żadnego świętowania, koledzy patrioci narobili nam ambarasu. Pan porucznik Grula wyjaśnił mniej więcej, co tam się stało? – Enka nie czekał na odpowiedź i ciągnął dalej. – Ludzie się uspokoili, na Wybrzeżu podobno nawet kieszonkowcy nie pracują, pełna mobilizacja po obu stronach, a tutaj taki syf. Swoją drogą, miałem koniak na tę okazję. To, znaczy, habilitacji księdza doktora habilitowanego. Ale takie jest życie, prędzej ksiądz trafi na milicję niż milicja do księdza.

Wyszczrzył się i usiadł, wyraźnie czekał, aż Gil coś odpowie. Ten zaś milczał, nie znajdował słów i wcale nie było mu do śmiechu. Jeśli nawet zapomnieć o niedawnych wydarzeniach – dziwnym zachowaniu Ruraka i ponurym księdzu Krzysztofie – to samo spotkanie na komisariacie nie wróżyło niczego dobrego. Porucznik Enka, zdaniem księdza, miał tę szczególną cechę, że mógłby aresztować samego Lucyfera, a potem pójść na piwo i zapomnieć, Gil zaś – niekoniecznie.

– Świętowanie świętowaniem, ale chciałbym obgadać parę drobiazgów z panem porucznikiem, najlepiej w cztery oczy – powiedział. Grula natychmiast skinął głową.

– Właśnie planowałem pokazać księdzu coś ciekawego. – Enka poklepał

w neseser. Malinka na jego szyi przechodziła z czerwieni w jasny fiolet. – Edziu – to było do Gruli – jakbyś był tak miły i pogonił Nącka, żeby machnął nam szybki raport. Góra zaraz zniesie jajo.

– Jajo – uśmiechnął się Andrzej Gil, bez cienia wesołości. Enka westchnął, a Grula zebrał się do wyjścia, jego twarz zdradzała ślady walki, która niedawno się dokonała, jakby gdzieś w tym ogromnym ciele człowiek posłuszny brał się za łby ze szpiclem. Drzwi się za nim zamknęły. Enka natychmiast spoważniał, usiadł naprzeciwko księdza Gila, który podobnie jak Grula toczył walkę ze sobą. Chciał zostać i iść zarazem. Popatrzyli po sobie.

– To wielka sprawa za księdzem – rzekł porucznik Enka.

– Za to u pana porucznika wszystko po staremu. Czyli dobrze – odparł Andrzej Gil. Malinka na szyi osiągnęła już barwę śliwki.

– Podobnie jak tutaj – zauważył Enka.

Gil rozejrzał się.

– Pewne rzeczy się nie zmieniają – odparł. – Kiedy ostatni raz rozmawialiśmy, myślałem naprawdę, że normalność wraca, a tu proszę. Wpadł pan tutaj tak sobie? Bo ja mam pracować z pana kolegą, z Edkiem Grulą, jeśli się nie mylę. Nie śmiem na to narzekać, ale, niestety, nie umiem być tak zadowolony jak pan, panie poruczniku.

Enka machnął ręką.

– Edzio nie potrafi wyprowadzić na ludzi własnych dzieci, co dopiero pociągnąć taką sprawę. Podzieliliśmy się robotą, Grula prowadzi ją na komendzie, co oczywiście nie wróży nam dobrze, a być może nie wróży wcale. Góra preferuje sprawdzone układy i coś mi się zdaje, że ci nad księdzem doktorem myślą podobnie. Gil przypomniał sobie o herbacie.

– To punkt pierwszy, a drugi jest taki, że nawet na naszej komendzie coś czasem się pozmienia. – Enka otworzył szafkę, odsłaniając telewizor i magnetowid Otake, następnie pogrzebał w neseserze, gdzie leżały ułożone

równiusieńko czarne kasety wideo. Wybrał pierwszą z brzegu, włożył w kieszeń odtwarzacza.

– Teraz nagrywamy co ważniejsze przesłuchania, a ta sprawa jest dla góry w jakiś sposób istotna, a nawet jakby mi tego nie powiedzieli, wiedziałbym swoje, bo jeśli gdzieś pojawia się ksiądz doktor – błysnął zębami, wycodził – habilitowany, to sprawa jest raczej istotna, a przynajmniej ciekawa. Mamy też trzeci powód, bo to, co tam się działo, warto utrwalić, a nawet pokazać młodszemu.

Porucznik Enka pogmerał przy magnetowidzie, zaklął pod nosem, ekran wyświetlał śnieg.

– Niech ksiądz doktor niczemu się nie dziwi. Ja już zdziwienie mam za sobą, pewno za nas dwóch. Nawet nie wiedziałem czemu z tą sprawą jest taka afera. Opozycja najczęściej donosi sama na siebie, zwłaszcza jak się bawi. Diabeł to także nie temat, nie na te czasy, prawda?

– Diabeł to dobry temat na każde czasy – odezwał się Andrzej Gil. Chciał wytłumaczyć, co tak naprawdę wydarzyło się w mieszkaniu Lipińskiego, Enka przerwał mu, położył rękę na ramieniu.

– Tak, chyba wiem, co chciał zrobić Lipiński z kolegami, a jak nie wiem, to wiem, że ksiądz wie i jesteśmy w domu. – Zaśmiał się tak dziwnie, jakby dźwięk dobywał się z całej czaszki naraz, nie tylko z ust. Wygrzebał camela, ale nie zapalił, tylko miał w palcach. Kręcił czymś przy magnetowidzie i nagle na ekranie pojawił się obraz. Enka natychmiast nacisnął pauzę i mówił dalej.

– Mamy pracować razem. – Usiadł naprzeciwko księdza, magnetowid miał na wyciągnięcie ręki. – Może ktoś mięknie, może idą inne czasy, ale zwyczajnie nie zdarza nam się na komendzie wtyczka kurii, jak nie przymierzając ksiądz, księżę doktorze. Na odwrót to co innego – zaśmiał się.

– Dzięki piękne – wypalił Andrzej Gil, a Enka puścił taśmę. Malinka

osiągnęła dojrzałą barwę i gdyby była owocem, właśnie spadałaby z krzaka.

– Nie wiem, czy to fart, ale ma ksiądz rzadką okazję, w pewien sposób oczywiście, widzieć przesłuchanie, nie będąc przesłuchiwanym, czyli czasy jednak idą naprzód – zaczął Enka. Pokój przesłuchań tonął w szarości, tej samej, która spowija brudne zaułki o świcie, skrywając wszystko za szkaradnością twarzy i murów. Tej szarości nie rozjaśniała nawet goła żarówka, za to nad nią gęstniał mrok i Gil pomyślał, że do kompletu brakuje tylko lampy świecącej prosto w oczy. Pokój kręcono z kamery wideo ustawionej na statywie. Zegar w rogu wskazywał szóstą z minutami. Weszli jacyś ludzie, ale znajdowali się poza kadrem, rzucali tylko cienie, długie, o kształtach noży. Enka nacisnął pauzę i powiedział: – Jak przywieźli towarzystwo od Lipińskiego, z nikim nie dało się rozmawiać. Nawet ci od ćpunów zrobili wielkie oczy, a jedyne co wymyślili, to jakieś środki na uspokojenie. Jednemu omal serce nie padło, to zaraz zawieźli na pogotowie, ale nie wybudzili i nie wiadomo, czy wybudzą.

Herbata straciła smak.

– Resztę jakoś doprowadziliśmy do pionu, ale z przesłuchaniem trzeba było poczekać do rana. Poza tą panią Krawczyńską. Nie wiem właściwie, co im jest i to pół biedy, cała bieda, że Nącek, nasz psycholog też nie ma pojęcia. Mówi do mnie, używa mądrych słów, ale widzę, że chłopak tylko próbuje nie wyjść na durnia i rzecz go przerasta. – Znalazł już pilota i usiadł obok księdza Gila, tak, że dobrze widział ekran. Zmarszczył czoło i zrobił minę człowieka, który niespodziewanie odkrywa nowe równanie albo kontynent. Uderzył w stół otwartą dłonią.

– Powiedziałem, że wszyscy zapuszkowani byli dziwni, a to nie dotyczy dziwki, chyba że spicie się do nieprzytomności uważa ksiądz doktor za coś niezwykłego. – Enka nie odrywał wzroku od księdza Gila. – Już w samochodzie rozebrała się na nowo i nawet, ksiądz sobie wyobraża,

zapropowała seks oralny funkcjonariuszowi Gruli. – Wyszczrzył się, ale twarz księdza pozostała nieprzenikniona. Enka nacisnął *play*, westchnął: – Trochę minęło, nim wytrzeźwiała.

### § § §

Szklanka była już pusta, ale dłoń księdza Andrzeja Gila oplotła szczelnie plastikowy koszyk z uszkiem. Aż palce zbieleły, można by sądzić, że szkło zaraz pęknie. Na ekranie, w rogu pokoju przesłuchań stał cokolwiek zdezorientowany porucznik Enka z papierosem w zębach i rękami złączonymi z tyłu. Naprzeciw niego, oddzielony stołem, tkwił wymęczony mężczyzna, na wpół widoczny w szarości, a jeszcze dalej bokiem do kamery usadowił się czterdziestolatek w okularach o grubych czarnych oprawkach i coś notował. Zegar wskazywał już dziesiątą.

Nie bez trudu, Gil rozpoznał w wymęczonym mężczyźnie profesora Lipińskiego. Jego krzesło przytwierdzono do podłogi, samego Lipińskiego, obecnego chyba tylko ciałem przywiązano doń pasami, jakby chcąc powstrzymać przed odfrunięciem pod sufit, a może i z komisariatu. Ostatnie kilkudziesięć godzin postarzyły go gwałtownie, siedział w szarej o numer za małej koszuli, teraz rozpiętej. Na klatce piersiowej wiły się siwe włosy.

Metodycznie, niczym maszyna z ludzką głową, Lipiński okręcał się wokół krzesła, najpierw szły ramiona, potem tułów i nogi, a sama głowa zdawała się spóźniać, jakby należała do kogoś innego, w którym nie ma pokojów przesłuchań, poruczników ani psychologów. Oczy Lipiński miał białe, za usta czerwone i napuchnięte. Poruszał się szarpnięciami, fazowo i można by odnieść wrażenie, że on i krzesło stanowią jeden mechanizm, a jeśli nie, to w krześle jest więcej człowieka niż w Lipińskim. Ten z każdym ruchem wyrzucał z siebie kolejne słowo, metalicznym głosem, zniekształconym przez nagranie i głośniki w telewizorze:

---

*I pękło mi już nieraz łono Ducha... a na mnie walono kościoły Myśląc że nigdy więcej nie powstanę...*

*Lecz oto jestem! I na moją ranę Wskazuję Panie z uśmiechem – Anioły Patrzcie się: oto jestem żywy, cały; Jeszcze krok – a już wyraz ziemskiej chwały Nie wyobrazą mojego oblicza, Chyba słońc jaśnia, piorunów czerwoność.*

---

Kończąc, Lipiński odgiął twarz do sufitu, a jęk, który wydawał, przechodził powoli we wrzask, Lipiński wypręzał kręgosłup, prostował nogi i ramiona, napinał mięśnie, policzki zapadały się i bladły, a oczy... nie, te oczy nie widziały sufitu i gołej żarówki, ale patrzyły w burzowe niebo, kocioł chmur, popiół po pogorzeliakach niesiony ku wysokości. Wrzask wreszcie milknął, ciałem Lipińskiego płynęła fala dreszczy i niemal bez oddechu profesor rozpoczął sekwencję od nowa: szarpnięcie za szarpnięciem wokół krzesła i słowo za słowem. Gil uświadomił sobie nagle, że to wszystko rozegrało się tutaj, parę pięter niżej i to niedawno. Ta myśl napawała go przerażeniem.

– Jedziemy dalej, dobrze? – powiedział Enka i przewinał taśmę. Gil wypuścił powietrze ze świstem. Głos porucznika dobiegał jak zza okna.

– Dobrze, to trochę przyspieszymy. Niech ksiądz puści tę szklanę.

Nie puścił. Patrzył, krew ścinała się w żyłach od tego zapatrzenia, oto mantra Lipińskiego rozpisana na ludzi, ich gesty i nieszczęścia: kobieta wędrowała przez pokój drobnymi kroczkami, w ogóle nie uginając kolan, docierała do ściany, przykładła usta do tynku, szeptała, by z piskiem wykonać półobrót i powędrować w przeciwnym kierunku. Tak w kółko. Chudy facet o twarzy naiwnego ministranta walił w stół i wrzeszczał, ktoś inny siedział w kucki i nieustannie głaskał się po twarzy to lewą, to prawą

ręką, po dwa razy każdą, by znieruchomieć, wpatrzony we wnętrze lewej dłoni, jakby było lustrem. Mężczyzna tak drobny, że niemal dziecięcej postury, za to z twarzą starego prawnika, krążący na kolanach wokół niewidzialnego słupa, walący głową w nieistniejący mur i ten najmłodszy, chyba najgorszy, drący swoje ubranie, by zatamować krew buchającą z ran, których nikt inny nie mógł dostrzec.

– Elita myśli katolickiej, proszę księdza, wygląda właśnie w ten sposób – westchnął Enka. – I mówiąc szczerze, nie potrafimy im pomóc.

Gil zupełnie nie zrozumiał złośliwości. Przejechał dłonią po mokrych włosach i wydusił z siebie:

– A prostytutka?

Enka odwrócił twarz od telewizora. Zapalił.

– Wytrzeźwiała, ale była tak pijana i wygaduje takie bzdury, że nie wiadomo, czy jej wierzyć. Lipiński schlał ją dobrym koniakiem, żeby nie robiła kłopotów, tak że jej zeznanie możemy sobie wsadzić. To ani jej pierwsza orgia, ani wizyta na komisariacie, a jeszcze ma w zwyczaju składanie niemoralnych propozycji każdemu mundurowemu, jaki jest w jej zasięgu – mówiąc to, Enka niby to przypadkiem odchylił głowę, ukazując dokładniej pociemniałą malinkę. Gil próbował się roześmiać, ale nie zdołał.

Porucznik Enka zgasił telewizor.

– No i chyba już się napatrzyliśmy – powiedział, pierwszy kłęb dymu wydmuchnął prosto w księdza Gila, zreflektował się i nawet otworzył okno. – Nącek, ten, co nic nie wie, wydukał z siebie, że cała ekipa cierpi na jakiś zespół paranoidalno-schizofreniczny, i to z natręctwami, więc trzymanie ich u nas nie ma żadnego sensu. Idą na leczenie, tam to dopiero będą mieli z nimi przeboje. A że i szaleństwo, i orgie są w Polsce Ludowej legalne, sprawy nie będzie. Będę wnioskował o jej zamknięcie.

– A Madonna? Ukradli ją – odezwał się Gil.



– Ale się znalazła – wyjaśnił beztrąsko Enka. – Chyba że ksiądz będzie cisnął, to będzie sprawa i afera, na które kuria przed wyborami wyraźnie nie ma ochoty.

„Każdy nie ma na coś ochoty, a jednak to robi”, rzekł w duchu Andrzej Gil, „a najczęściej coś dzieje się zupełnie za niego, ale przez niego i kto to zrozumie? Czemu tu jestem? Dlaczego, mimo otwartego okna, dym z peta idzie mi prosto w twarz?”

– Można tu gdzieś porozmawiać? Naprawdę w cztery oczy?

Enka wskazał dźwiękoszczelne drzwi:

– Naprawdę, to nie mamy pluskwy pod każdym taborettem – powiedział.

§ § §

Okno pozostawało otwarte, a telewizor zgaszony. Gil i Enka stali naprzeciw siebie, między nimi był stół. W pomieszczeniu panował upał, zupełnie nie czerwcowy, na twarzach perlił się pot, oczy zbierały się na burzę.

– Jeśli sprawy nie ma, to co ja tu robię? – zapytał ksiądz. Enka zbierał się do odpowiedzi, ale Gil machnął ręką i mówił dalej: – Ci biedni ludzie potrzebują psychiatry, egzorcysty, na koniec spowiednika i wielkiej pokuty, ale to problem Kościoła, nie milicji, ale także nie mój, bo, pan porucznik rozumie, ja to niekoniecznie Kościół.

Enka kiwnął głową. Uniósł ręce, jakby chciał zacisnąć je na głowie, ocalić ją przed pęknięciem.

– Więc sprawy nie ma, ale i tak jestem tutaj, żeby wam wyjaśniać, tłumaczyć i nie mów mi, panie poruczniku, że to tylko mój obywatelski obowiązek – wymierzył w Enkę oskarżycielski palec – wyjaśnianie, wyjaśnianie, jakby to była moja wina, że tutaj nikt nic nie wie.

Zaczął krążyć po pokoju, ręka chodziła mu w pionie, raz-raz, bardzo

szybko. Stał przed Enką, wysapał:

– Tak poza wszystkim, dobrze? Lubię się z panem porucznikiem napić piwa, ale wie pan, w czym problem? Prędzej czy później nastaje taki dzień, że pan porucznik przychodzi, dzwoni albo wyciąga mnie za kudły z mysiej dziury, sam nie wiem, jak to się panu udaje.

– Może to opatrność – zażartował Enka.

Głos Gila zbliżył się do krzyku:

– A potem zawsze są śliskie sprawy, duchy, diabły, Rosjanie i wiem, że dla pana to po prostu kolejna przygoda, ale zrozum pan, że jestem księdzem, czyli nieco inaczej postrzegam sprawę ducha i diabelstwa niż wy mundurowi. Zawsze to samo, kanał, kłopoty i tak dalej. Jeśli więc można, a jak można to trzeba, niech pan porucznik nie gania za mną za każdym razem, gdy ktoś akurat okładany pałką wyjęczy słowo „diabeł” między jednym a drugim uderzeniem.

Próbował powiedzieć coś jeszcze, nie znalazł jednak słów albo spojrzał w spokojne oczy porucznika Enki i zamilkł. Obliznął wargę, skubał się za brodę. Gołąb przysiadł na parapecie.

– Uspokoi się ksiądz wreszcie? – zapytał Enka i nie dał czasu na odpowiedź. – To cholernie zabawne, bo jak wyszedłem z przesłuchania, omal nie udusiłem jakiejś sekretarki, która potrafiła mnie na korytarzu. To mały pikuś. Nącek omal nie udusił Gruli, bo Grula to fleja. Rozumie już ksiądz?

Gil pokiwał głową, ale wszystko – rozszerzone oczy, otwarte usta, nitka śliny rozpięta między wargą a brodą – wskazywały, że jednak nie rozumie. Porucznik Enka uśmiechnął się przyjaźnie, bez cienia złośliwości. Gil dawno nie widział takiego uśmiechu: jak w kotle dobrej czarownicy, wymieszało się zrozumienie, współczucie, rozbawienie i sympatia.

– To nim ksiądz doktor habilitowany rozumie, to niech ksiądz wreszcie puści tę szklanę z koszyczkiem, bo zaraz stanie się coś złego.

Zbielałe palce Gila wciąż oplatały pustą szklanę, sprawiały wrażenie z nią sklejonych. Usłuchał porucznika Enki zbyt dosłownie, bo rozwarł rękę i szkło rozprysnęło się na podłodze. Gil cofnął się, złapał głęboki oddech, a potem ramię pana porucznika.

– Chodźmy stąd – powiedział.

## Rozdział drugi

### Osobiste demony

Wylądowali w *Bawarii*, ciemnej knajpie, gdzie stoły i blat baru wykonano z grubego drewna, a klientela składała się z autochtonów krakowskiego Kazimierza, przybywających jak pijackie duchy z bram, jam i zaułków. Usiedli w kącie, naprzeciw siebie i nikt nie zwracał na nich uwagi. Tylko barman od czasu do czasu zerkał w ten ciemny kąt, gdzie facet wyglądający jak klecha bez koloratki wraz ze znajomym milicjantem pili chrzczone piwo i rozmawiali.

– To się kompletnie kupy nie trzyma – zawyrokował ksiądz doktor.

Enka przytaknął. Siedział bokiem, na sąsiednim stoliku miał popielniczkę i tam kiepował. Gil napił się piwa:

– Dziwne rzeczy dzieją się czasem, częściej niż zwyczajne, ale nie uwierzę, że tak po prostu perły inteligencji katolickiej zaczynają bawić się w czarne msze i klękać przed Szatanem.

– Mogliśmy o tym nie wiedzieć – wtrącił Enka.

– Akurat. Któryś by doniósł, poza tym, gdyby wcześniej zrobili coś podobnego, to prawdopodobnie spotkałoby ich to samo co teraz. I wylądowaliby w szpitalu. Musi pan zrozumieć, że pewne działania nie pozostają bez konsekwencji. – Opróżnił kufel i kiwnął na barmana, że chce następny. – Jeszcze parę takich spraw jak nasze i sami będziemy potrzebowali egzorcysty.

Śledził ruchy barmana: wydobycie kufła, przechył, uruchomienie dystrybutora, ścieżkę bladożółtego płynu spływającą na dno.

– Satanizm zawsze był rozrywką bogatych i znudzonych, jeśli nie liczyć

formy wiejskiej, wychodzącej z pogaństwa – zaakcentował ostatnie słowa. – Dawniej interesował arystokrację, która widziała w tym źródło uprzyjemniania sobie czasu. Najczęściej wyglądało to podobnie, grupa bogaczy i najęty człowiek, szarlatan, znający praktyki tajemne. Tak było choćby w wypadku hrabiny La Voisin, we Francji w siedemnastym wieku. La Voisin nabyła specjalną posiadłość, gdzie odbywały się obrzędy, właściwie orgie, parę osób zabito. Nie chodziło chyba tak naprawdę o diabła, ale o seks i krew.

– Seks i krew – powtórzył mechanicznie Enka. Knajpa kojarzyła mu się z patologiczną rodziną wielopokoleniową, jaką czasem pokazywano w filmach: mężczyźni kiwali się na wysokich stołkach, staruszkowie śmierdzieli nad kartami lub szachownicą, a matki, żony i kochanki skrzeczały coś w ich stronę, wydmuchując dym ze sportów prosto w wózki z dziećmi stojące przy ścianie. Zapity pięćdziesięciolatek krążył wśród klientów jak brudna kometa i chrząkał: *czy mają państwo może dwieście złotych?*

– Tu jednak jest inaczej – rzekł ksiądz doktor, a Enka w pierwszej chwili nie wiedział, czy chodzi o knajpę, czy satanistów. – Tam to była zabawa, której nawet morderstwa nie dodawały powagi. Lipiński odrzucił sztafaż, rzeczy poboczne, realizując, jak mi się zdaje, sam tron czarnej mszy, to co jest w niej najważniejsze.

– A goła baba?

– Taka specyfika. Wiem, że to było na poważnie, bo podziałało. Prawdziwa, sataniczna tradycja jest dużo starsza. – Andrzej Gil otrzymał swoje piwo. Człowiek proszący o *dwieście* złotych chciwie patrzył na banknot w jego ręce. – Tu opinie są podzielone, ale, jak powiedział Grula, podczas rytuału złorzeczono niejakiemu Filipowi. To Filip Walezjusz, król Francji. Za jego panowania Europę dotknął straszliwy głód. Ludzie najpierw wybili zwierzęta w lasach, potem te przy domu, zaczęli jeść korę i korzonki. Żywi

zaczęli odkopywać zmarłych, pan porucznik domyśli się, po co. Do tego szalała dżuma.

Enka westchnął. Stuknęli się kuflami.

– Rodzice zjadali własne dzieci. Organizowano zasadzki na samotnych podróżnych i pogromy Żydów, którzy mieli być temu wszystkiemu winni. Przez miasta maszerowały procesje biczowników, błagano Boga, by oddalił zły los, a że Bóg milczał, zwrócono się do Szatana. Rozerwanie gołębic, o którym mówił mi Gula, odnosi się do Baranka Bożego, któremu sataniści bluźnią, a że Bóg milczy, uznają, że odnieśli zwycięstwo.

– Nie rozumiem tego Filipa.

– Ludzie, nie bez racji, widzieli przyczynę głodu w wojnie stuletniej, którą Filip prowadził. Złorzeczono mu. Imię przetrwało w rytach satanicznych aż do dzisiaj. Chodzi mi o to, że wszystko składa się w całość. Przebieg rytuału, wykorzystanie tej skrzynkowej Madonny, ropucha, prostytutka i imię Filip, to coś więcej niż zarżnięcie kota na cmentarzu. Ktoś musiał ich instruować. Powiedzieć, co i jak.

Enka gapił się na camela, jakby zapomniał, do czego właściwie służy. Gwar w knajpie tężał, dziecko ryczało w wózku, mężczyźni z kartami rzucali gniewne spojrzenia w tamtą stronę, a jeden nawet powiedział, że to nie żłobek, ale lokal gastronomiczny.

– Sami nie mogli? – zapytał Enka.

– A widział ich pan?

„Jasne, widziałem”, przemknęło przez głowę porucznikowi Ence, „ludzie wykształceni i chyba porządni, inteligenci, poszperali w książkach i znaleźli, właśnie – co? Sposób na wezwanie diabła w modlitewniku? Przecież Lipiński nie potrafiłby nawet wygrać w wojnę bez oszukiwania”.

– No tak – rzekł markotnie porucznik Enka. Każdym gestem, wyrazem twarzy dawał do zrozumienia, że nic nie pojmuje.

– Tym razem przeczucie myli pana porucznika. Ta sprawa wcale się nie kończy, bo jeszcze się nie zaczęła. – Gil mówił powoli, pijąc małe łyki, gardło mu schło szybko. – Pan chce ją umorzyć i pewno słusznie, ale przełożeni akurat na to się nie zgodzą. Czyli – objął kufel obiema dłońmi – będziemy musieli jeździć, szukać, kombinować, nie wiedząc właściwie, po co.

– Znam się na przeczuciach i strasznie jestem ciekaw, skąd biorą się takie u księdza doktora – Enka odezwał się wesoło, patrząc prosto w oczy Gila. Ten zaś zrobił poważną minę, przymknął powieki, udając, że coś rozważa, wygrzebuje z pamięci, wyciąga za uszy jakieś pradawne wspomnienie.

– Zaczęło mi się mniej więcej wtedy, gdy zacząłem walczyć ze złem tego świata. Najpierw solo, potem razem z panem porucznikiem – wycedził, wciągnął łyk piwa przez zaciśnięte zęby i dodał, już poważniej. – Tym razem pan porucznik może pójdzie na to, żeby sprawę pociągnąć po mojemu.

– Nie ma żadnej sprawy – uciał Enka. – Robimy to, co ksiądz doktor sobie życzy. – Uniósł kufel. – No to za habilitację.

Gil stuknął się bez przekonania.

– Skąd ta pewność?

– Bo wiem, z kim rozmawiam, w mundur nie wszedłem wczoraj i mam swoje kontakty, wyżej, niż się księdzu wydaje. Nawet księdzu habilitowanemu, więc możemy spać spokojnie.

Po twarzy Gila przeszedł cień nie tylko dlatego, że w ich stronę zbliżał się pięćdziesięciolatek z prośbą o *dwiście*, lewą rękę wysunął przed siebie, a w prawej obracał banknoty. Na kciuku lśnił mu srebrny sygnet z literą N, wgnieciony z jednej strony.

– Niech będzie. Ale jak te cudowne kontakty pana porucznika się nie sprawdzą, to robimy tę sprawę tak, jak ja ją widzę.

– Nie będzie żadnej sprawy – zapewnił pan porucznik. A Andrzej Gil

wyciągnął rękę.

– To co? O dobry koniak?

Enka uśmiechnął się szeroko i uścisnął rękę księdza doktora, pieczętując zakład. Pijak uznał, że moment wspólnej radości księdza i milicjanta wróży mu jak najlepiej, przystanął, wywrócił oczyma, wychrypiał:

– Przeciąć, koledzy?

We wnętrzu jego ogromnej dłoni zebrał się brud, paznokcie przypominały połówki łupiny orzecha, a oczy były całkowicie puste. Enka rozwiązał uścisk i dał mu banknot, ale nim zdążył powiedzieć, co może zrobić z dwustuzłotówką, potężna siła pchnęła pijaka na stół i zaraz odrzuciła w bok między biesiadujących. Sapnął ze zdziwienia. Wcisnął pieniądze do kieszeni, zacisnął pięści, gotując się do ataku i w tej gotowości już został. Zadymioną przestrzeń pubu wypełnił sobą porucznik Gula z teczką pod pachą.

– Szukam cię, a ty poszedłeś – wysapał. Muszę zmienić knajpę, mówiły oczy Enki. Gula usiadł, a że się zadyszał i spocił, kiwnął, że też chce piwo, ale butelkowe. Wypił połowę naraz i odstawił.

– Szuchoy – poinformował. – Nącka też wywiało. Poszedł przekonywać studenta, żeby nie skakał z dachu akademika, tylko spróbował zmierzyć się z sesją, zawodem miłosnym czy czymś takim.

Wytańił twarz golfem, ukazując biały brzuch bez włosów. Rzekł z namaszczeniem:

– Stary sporządził, uważajcie, osobistą i odręczną notatkę, z której czarno na białym wynika, że jednak nie odpuszczamy i odtąd sprawa jest na twojej głowie, Zbyszek. – Wskazał na Enkę, żeby nikt, łącznie z pijakiem, który już się pozbierał, nie miał wątpliwości, o kogo chodzi – my wszyscy, czyli ja, jak i sztab ekspertów – skłonił się w kierunku Gila – musimy ganiać wokół tego, aż coś znajdziemy albo góra zmieni zdanie.

– Zrobi nową notatkę, też odręczną – powiedział głucho Enka. Gula nie



chwycił złościwości.

– Czy coś takiego. Raporty są na twojej głowie i raczej stary się ich będzie spodziewał – dodał Grula, pociągając nosem. Odzyskał oddech i zapytał księdza Gila, wyraźnie stropiony: – Przepraszam, ale dlaczego ksiądz się śmieje?

W głosie Gruli nie było ciekawości ani pretensji, tylko niepokój, że powiedział coś nie tak i wywołał rozbawienie. Gil dał znać ręką, że wszystko w porządku i to wyłącznie wina jego, księdza doktora, że tak głupio się śmieje, gdy sprawa czeka.

– Przyniosłem część materiałów. Głównie zdjęcia. – Grula zastukał w teczkę. Gil przestał się śmiać.

– To świetnie – rzekł.

– Potrzebujemy tylko zdjęć. – Enka wszedł mu w słowo, mówił i patrzył na Grulę. – Ty spróbuj może zrobić porządek w tym burdelu. Żeby dało się korzystać z tego, co mamy. Zwłaszcza w kasetach, zresztą we wszystkim. My... – urwał. „Właśnie”, dopowiedział w myślach, „co my teraz, księżo doktorze, zrobimy?”

Grula odstawił niedopite piwo.

– Weźmiemy to i pójdziemy – rzekł Gil, patrząc na zegarek. – Już teraz, wygrałem zakład i robimy po mojemu.

Enka odstawił kufel. Grula wyszedł za nimi i odłączył się bez słowa pożegnania. Odprowadzali go wzrokiem.

– To gdzie teraz pójdziemy? – zapytał Enka.

Gil podał mu paczkę cameli, zapomnianą ze stolika.

– Nad Wisłę. Poszukać kogoś, kto zna się na sprawie lepiej niż Milicja Obywatelska. A nawet ja, panie poruczniku.

Wisła cuchnęła gnijącym mięsem, chemią i szczurem i wraz z nielicznymi powiewami wiatru jej odór wznosił się nad bulwary – anioł smrodu, przecinający Polskę na pół. Gil i Enka szli w stronę mostu, w kierunku Zwierzyńca. Na zboczach bulwaru leżały parki młodych ludzi, wtulonych w siebie i wystawiających do słońca skrawki białego ciała wysupłane spod kołnierzyków polo, koszul flanelowych i jeansów. Starsi usadowiali się w pewnym oddaleniu od siebie, na kocach w kratę albo długich ręcznikach, leżeli bez koszul i zakładali ręce za głowy, w wielkich okularach, które upodabniały ich do much. Strzelały zatyczki jabczoków, syczało piwo. Wiosna.

Zobaczyli dwóch mężczyzn wędrujących z naprzeciwka roztańczonym krokiem, przypominali dwa drzewa złamane przez burzę, opierające się o siebie nawzajem. Jeden był wyraźnie starszy, lał z butelką wina w wielkiej łapie i papierosem bez filtra sterczącym spod czarnych wąsów. Włosy, zaczesane do tyłu, przypominały kornet zakonnicy. Mimo żaru nosił skórzaną kurtkę na gołym ciele, a na tej kurtce jeszcze jeansową kamizelkę pełną okrągłych wpinek. Obcisłe spodnie miał przycięte nad kolanami, a jego adidas, kiedyś białe, zatraciły swój kolor. Jego kolega, ciut młodszy, wyróżniał się strzechą jasnych włosów sterczących jak zboże ze snopka, miał też dwa pasy z łuskami po nabojach i spodnie tak wąskie, że zginanie nogi wydawało się niemożliwością. Na spranej koszulce kat w otoczeniu odwróconych krzyży szykował się do ścięcia głowy przerażonemu aniołowi.

Blondyn trzymał woreczek foliowy z czymś jasnobrazowym. Przyłożył go do nosa, zaciągnął się, zamykając oczy. Nastąpiła wymiana i przejął butelkę wina. W tym momencie minęli Enkę i Gila, wąsacz się zaciągał, prychnął pogardliwie na widok koloratki i złożył palce w diabelskie rogi. Jego kolega akurat się zachwiał, więc go podtrzymał i poszli. Gil dostrzegł, że wąsacz ma na plecach kostuchę liżącą po twarzy umęczonego Chrystusa. W świeżej

ranie na ramieniu Zbawiciela wiły się robaki.

– No tak – powiedział porucznik Enka, myśląc, że chyba rozprężenie jest większe niż sądził, skoro można już publicznie nie tylko pić jabłki, ale i wachać klej.

– Czy pan porucznik lubi szachy? – zagadnął niespodziewanie ksiądz Gil. Zza drzew wyłoniły się już stoliki o ciężkich blatach. Staruszkowie w otoczeniu kibiców, czyli innych staruszków, garbili się nad szachownicami. Jeszcze inni stali z boku, popijali herbatę albo i co innego. Patrzyli.

– Kiedyś grałem.

– A kojarzy pan Akibę Rubinsteina?

Enka podrapał się po brodzie.

– Coś mi dzwoni. Grywał chyba przed wojną, wybitny facet. – Dotarli już do pierwszej szachownicy. Zaszuszonego dziadek w berecie i brązowej marynarce właściwie rozbijał ostatnią linię obrony młodszego kolegi. Enka zapalił i dalej wspominał Rubinsteina: – Chyba nie gra już od bardzo dawna. Coś mu się stało i przestał.

– Antropofobia – stwierdził Gil, dostrzegł, że Enka nie ma pojęcia, co to takiego i wyjaśnił: – Strach przed ludźmi. Na pewnym etapie nie do przezwyciężenia.

– Znam paru takich, co na to chorują – odparł Enka. Ksiądz doktor nie odgadł, czy porucznik mówi poważnie, czy żartuje. – Swoją drogą byłem pewien, że zmarł dawno temu. – Enka omiół wzrokiem stoliki, jakby szukał kogoś znajomego. – Musi być straszliwie stary.

Gil się roześmiał.

– No skąd! Rubinstein dawno nie żyje. Jego siostrzeniec, owszem, i to właśnie do niego idziemy.

Wokół każdej pary szachistów stało przynajmniej dwóch kibiców, wirował papierosowy dym. Ostatni stolik przed mostem nie interesował

nikogo poza dwójką grających staruszków, mało tego, inni gracze nawet nie zerkali w tamtą stronę. Zbliżając się, Enka zrozumiał, czemu siostrzeniec Rubinsteina wybrał to miejsce – kilkanaście kroków dalej już brzmiałyby warkot ulicy, bliżej przeszkadzały rozmowy towarzystwa wokół szachistów. Tu ciszę przerywał jedynie dźwięk figur i pionków zbijanych z planszy.

Enka bez trudu rozpoznał siostrzeńca Rubinsteina, a to dzięki długiej białej brodzie i jarmułce prześwitującej spod taniego słomkowego kapelusza. Nosił garnitur ze stójką, podkreślający jeszcze zapadniętą klatkę piersiową i drobne ramiona. Z mankietów wystawały dłonie obleczone papierową skórą. Staruszek obrócił ku nim twarz, nienaturalnie bladą, głęboko osadzone oczy zwięzły się odrobinę. Wrócił do gry.

Po drugiej stronie szachownicy siedział okrągły ksiądz koło siedemdziesiątki, w czarnym garniturze i szarej koszuli z koloratką, która lśniła w słońcu, jakby natarta łojem. Twarz księdza była pełna, nabita i czerstwa, włosy układały się w naturalną tonsurę. Palce – którymi mógłby dusić byki albo wyrywać sosny razem z korzeniami – zamknął na gońcu i wykonał ruch.

– Ksiądz Witold Jarzyna i rabin Mordechaj Joselewicz – szepnął ksiądz Andrzej Gil.

Enka rzucił okiem na szachownicę.

– Zaraz będzie po księdzu – odmruknął.

Jeszcze nie przebrzmiały jego słowa, a koścista dłoń rabina przecięła szachownicę, strącając czarnego gońca. Rabin uniósł wzrok ponownie i spojrzał prosto na porucznika Enkę, w tym spojrzeniu, w oczach jak wiertła, odbijały się ulice przedwojennej Łodzi, heban maciupkich sklepików, rozcięte tętnice zwierząt, ludzie w chałatach, ogień Tory, żartów, przypowieści i płonących domów. Przymknął powieki. Ksiądz Jarzyna także podniósł głowę i tego, co zobaczył w jego oczach, Enka w ogóle nie umiał

określić. Złoty kielich – odbicie słońca i ciemność małych źrenic.

– Jędrus – odezwał się ksiądz Jarzyna na widok Andrzeja Gila. Ten schylił głowę i jakby się skurczył.

– Niech będzie pochwalony. Dzień dobry, rebe – odparł. Enka skinął głową. Gil przedstawił ich sobie. Nabrał powietrza, wyrzucił z siebie mnóstwo słów, na wydechu: – Mamy tutaj pewien kłopot, ja i pan porucznik, potrzebujemy rady. Mądrej rady w sprawie, która nie cierpi zwłoki i teraz...

Ręka Witolda Jarzyny wylądowała na ramieniu Gila. Ten prosty ruch kosztował to ogromne ciało sporo wysiłku. Jarzyna zmrużył oczy, wcale nie dlatego, że raziło go słońce.

– Trudno było się tego nie domyślić – oświadczył głosem człowieka, który wie wszystko, a jeśli nawet nie wie czegoś, to się domyśla, gdzie szukać. Rabin ponaglił go gniewnym ruchem, coś syknął i rzucił w stronę Enki: – *Ein moment*, gra jest grą, a to tylko życie.

Enka jeszcze nie zdążył rozgryźć, o co właściwie chodzi i czemu gra jest ważniejsza od życia lub może na odwrót, gdy kolumna wojsk rabina zmiotła fortyfikacje pośrodku planszy, dopadła redutę w rogu, szast-prast i było po księdzu Jarzynie. Ten sapnął, jakby właśnie przerzucił tonę węgla, gruba struga potu sunęła mu środkiem czoła. Otarł ją chusteczką, którą w roztargnieniu, zamiast wepchać w kieszeń, rzucił na ziemię.

– Ojciec szachista. Brat szachista. A ze mnie fajtłapa.

Rabi Mordechaj odchylił głowę, patrząc na szachownicę wzrokiem średniowiecznego króla, który ze wzgórza obserwuje pobojowisko i kruki wyjadające oczy pobitym wrogom. Gil za pozwoleniem Jarzyny sprzątnął figury z szachownicy, a Enka w to miejsce położył teczkę z dokumentami. Ksiądz i rabin podzielili się bez słowa. Mordechaj wziął zdjęcia, a Witold Jarzyna nałożył sobie na nos okulary w drucianej oprawie i odczytywał na głos co ważniejsze fragmenty zeznań i notatek. Nie podnosili wzroku, aż

Mordechaj Joselewicz dotarł do fotografii przesłuchiwanego powykręcane go Lipińskiego. Pogmerał w kosmyku brody, uderzył palcem w zdjęcie.

– *Heilel benschachar* – powiedział.

– Aż tak to widać? – zapytał Andrzej Gil. Ksiądz i rabin uśmiechnęli się jednocześnie. Zdjęcia trafiły na drugą stronę stołu, Mordechaj Joselewicz uniósł głowę ku jasnemu jak cholera niebu i zaczął recytować coś w jidysz. Enka nie pojmował ani słowa, ale natychmiast dał porwać się samej melodii, tej zapomnianej artykulacji, gdzie każde brzmienie ma właściwe miejsce, a potem zadziwił sam siebie, bo zaczął myśleć o tym, jak Adam siedział w ogrodzie rajskim, nadając imiona kolejnym zwierzętom. Wtedy też, nie wiedzieć czemu, zapragnął przestać słuchać, ale nie potrafił.

Rebe Mordechaj skończył, Enka jeszcze słyszał jego ostatnie słowa. Przemówił ksiądz Jarzyna, niżej, bardziej śpiewnie, nie przestając przeglądając zdjęć: *Jakożeś spadł z nieba, Lucyferze, któryś rano wschodził? Jako upadłeś na ziemię, któryś ranił narody? Któryś mówił w sercu swoim: „Wstąpię na niebo, nad gwiazdy Boże wywyższę stolicę moją, usiądę na górze testamentu, w stronach północnych; wstąpię na wysokość obłoków, będę podobny Najwyższemu!”*. *Wszakże aż do piekła strącony będziesz, w głębokość dołu!*<sup>[6]</sup>

„Cóż, ten dół nie jest taki znów głęboki, skoro przekopał go Lipiński ze swoimi staruszkami” – taka myśl znienacka pojawiła się w głowie porucznika Enki. Witold Jarzyna już zamilkł. Trzymał zdjęcie Lipińskiego, okręcone go wokół krzesła, z ustami rozwartymi tak szeroko, że można by włożyć w nie zaciśniętą pięść. Grube palce jeździły po obrzeżach zdjęcia. Dotknęły twarzy.

– On? – w głosie księdza Witolda brzmiało niedowierzanie, Gil przytaknął bez słowa, a Enka wciąż nic nie rozumiał.

– No tak. – Witold Jarzyna odłożył zdjęcie. – Czuję, że w powietrzu wisi coś niedobrego, ale, prawdę powiedziawszy, myślałem raczej o tych próbach

dogadywania się z komunistami. – Słyszając to słowo, rabin pokręcił głową i wyrzucił z siebie krótkie gniewne *myszogene*. – Diabeł, wybaczonej Andrzej, nie przyszedł mi do głowy.

Schował zdjęcia do teczki, pchnął ją w stronę Gila. Powiedział:

– Możesz to zabrać. Sam domyślasz się, co oni zobaczyli.

Andrzej Gil posłusznie wziął teczkę, wyglądało na to, że ma ochotę odejść czy odbiec nawet, jeśli oczywiście można dać nogę, okazując zarazem szacunek tym, których się zostawia. Zatrzymała go kwaśna mina porucznika Enki, który stał w prawdziwie milicyjnej pozie, na lekko rozstawionych nogach i z rękami założonymi do tyłu.

– Nie ma tajemnicy, której nie powierzyłbym temu człowiekowi – powiedział Andrzej Gil. Natychmiast usta Witolda Jarzyny ułożyły się w bezgłośnie słowo (*kłamiesz*, odczytał Enka, albo tylko mu się zdawało), by płynnie przejść w uśmiech. Stary ksiądz mówił do porucznika: – Mogli zobaczyć cherubina, panie oficerze. *Gdy szły, słyszałem poszum ich skrzydeł jak szum wielu wód, jak głos Wszchemogącego, odgłos ogłuszający jak zgiełk obozu żołnierskiego*<sup>[7]</sup>.

Rabin wszedł w słowo, dopowiedział z uśmiechem:

– *Ich całe ciało-plecy, ręce, skrzydła u wszystkich wypełnione były oczami.*

Popatrzył na księdza Jarzynę i dodał:

– Swoją drogą, paskudne tłumaczenie.

Jarzyna prychnął nerwowo.

Enka słuchał, zastanawiając się, czy takie informacje mogą im pomóc i jak zawrzeć je w raporcie oczekiwanym przecież przez komendanta i czy diabeł podpada w prawie polskim pod kategorię „podejrzany”.

Dwaj metale, których minęli niedawno, wracali, bez butelki, za to z woreczkiem i nadzieją kupienia kolejnego wina w pobliskim Jubilacie. Ech, o izbę się prosicie, dzieciaki, pomyślał i słuchał dalej.

– Otrzymał imię Syn Jutrzenki i z powodu swego pięknego wyglądu i ogromnej inteligencji cieszył się wśród aniołów wielkim szacunkiem – mówił ksiądz, a rabin się zachwycał. – Zajmował najwyższą pozycję w Niebie, ustępując tylko Bogu<sup>[8]</sup>. Tak właśnie było, panie poruczniku.

– Tak i nie tylko tak – natychmiast podjął rabin: – *bo z czasem pobudziło go to do próżności i zamiast kierować uwielbienie innych ku Stwórcy, zapragnął czci dla siebie*<sup>[9]</sup>.

Jarzyna próbował jeszcze coś dopowiedzieć, ale rabin go ubiegł:

– Uznał, że zasługuje na wyższą pozycję niż Mesjasz.

– Rozumiem – skłamał porucznik Enka.

– Odtąd zaczął się posługiwać otrzymaną od Boga inteligencją, aby siać w niebie niezadowolenie wobec Bożego porządku objawionego w Jego Prawie – ksiądz Witold mówił swobodnie, z uśmiechem, a twarz rabina skrzywiła się, jakby właśnie wypił setkę octu. – Zapragnął nowego porządku, i próbował przeciągnąć anioły na swoją stronę.

Metale akurat ich mijali. Blondyn był półprzytomny, a wąsacz szedł cudem. Blondyn zwolnił, słuchał księdza Witolda, a ksiądz mówił, unosząc rękę:

– *I ogon jego zmiata trzecią część gwiazd nieba: i rzucił je na ziemię. I stanął Smok przed mającą rodzić Niewiastą, ażeby skoro porodzi, pożreć jej dziecię*<sup>[10]</sup>.

Blondyn zachłysnął się powietrzem, jego palec po kolei wskazywał Enkę, rabina, księdza Witolda, Andrzeja Gila. Wytrzeszczył oczy, zamierdał woreczkiem i wrzasnął:

– Jego raj!

Oderwał się od kolegi i zaczął wirować po alejce, na przemian kirając z worka i krzyząc: *skoro porodzi, pożreć jej dziecię, jego raj! skoro porodzi, pożreć jej dziecię, jego raj!*, wąsacz zamrugał, dołączył, porwał worek z



klejem, wirowali wokół siebie niczym dwa brudne włochate bączki, krzycząc te same słowa, a potem jeszcze na zdartych gardłach:

– Śmierć i płacz! Śmierć i płacz!

Tak przepadli między drzewami.

§ § §

Ksiądz i rabin siedzieli jak poprzednio, ale zamiast gapić się na szachownicę, wodzili oczami za porucznikiem Enką, który chodził wokół stolika, spalił camela aż do filtra, przystawał, rzucał pytanie, słuchał odpowiedzi i rozważał ją, wciąż krążąc. Andrzej Gil stał oparty o drzewo, ze skrzyżowanymi ramionami i miną czeladnika, który chce pomóc radą, ale mistrz wciąż wchodzi mu w słowo.

– Więc chcecie powiedzieć, że Lipiński zobaczył Lucyfera? Władcę ciemności? Króla zła i tak dalej? Wezwał go, a ten przyszedł. I dlatego ci ludzie są jacy są?

Milczeli. Tylko patrzyli na niego. Zrobił kolejne kółko. Chciał powiedzieć coś, co wydawało się bardzo trudne. Przykucnął między rabinem a starym księdzem.

– Rozumiem i nie rozumiem. Próbuję uwierzyć. Gdybym nie napatrzył się na to i owo, pewno myślałbym inaczej. – Włożył papierosa między wargi i natychmiast wyjął. – Jestem milicjantem, nie mistykiem i gdybym zobaczył diabła, próbowałbym go zastrzelić.

Jarzyna zaczął się śmiać, pokiwał głową na znak, że doskonale wie, o co Ence chodzi.

– Prosto mówić o rzeczach trudnych? Toż najprościej to w pismach wyłożono. Pan tutaj o pisma się złości. – Ksiądz rozłożył dłonie, mówił z przedziwnym akcentem, jakby żartował sobie z żydowskiej mowy. – Tam stoi przecież, że upadłe anioły, już bez skrzydeł, włóczą się po ziemi aż do

Dnia Sądu. A potem trafią do piekła. Najpierw jednak ludzie poddadzą się woli Bestii, Antychrysta. Nastąpi bitwa. Siły światła poprowadzi anioł Zacharael i one zwyciężą.

Coś nieprawdopodobnego, powiedziały oczy porucznika Enki.

– Zacharael, anioł czwartku, zwycięży fałszywego mesjasza pod Megiddo i straci jego, jego wojsko w otchłań – wyliczył ksiądz Witold. Rabin podłubał w brodzie, poprawił słomkowy kapelusz i wszedł mu w słowo:

– Lucyfer, Władca Ciemności, pan mi mówi. To tylko anioł, jeden z wielu działających teraz przeciw Bogu i wcale tam nie najważniejszy. Adiutant, daj pan na to, pies Szemihaza. Szemihaz to ten sam, który sprawił, że na ziemi pojawili się nefilimowie.

Oczy księdza Gila rozświeciły się raptownie, za to ksiądz Witold lekceważąco machnął ręką, nie, to bzdury, on nie będzie tego słuchał.

– Anioły, którymi dowodził Szemihaz, przebywały kiedyś na ziemi i kładły się z ziemskimi kobietami – wyjaśnił rebe Mordechaj. – Kobiety porodziły gigantów, nefilimów. Nefilimowie gnębili cały rodzaj ludzki. Dwieście lat trwała walka, aż pobity Lucyfer spadł z nieba i schronił się w jaskini, tam Michał z Gabrielem znaleźli go, pokonali raz jeszcze. Spadł aż do piekła, a na ziemi nie ma już nefilimów.

– Pan tutaj pytał o coś innego. – Ksiądz Witold zwrócił się w stronę porucznika Enki. – Aby pojąć, czym naprawdę jest Lucyfer, musi pan przyswoić sobie tylko jedno. On łowi ludzi jak ślepe ryby, a łowi się zawsze na coś. Do Lucyfera ciągną ludzie zjedzeni przez rozpacz, tak puści, że poza nią nie ma w nich niczego innego. Jeszcze inni, dla których ambicja stała się wszystkim i zapomnieli, co to miłość. Tacy właśnie ludzie, niepełni i okaleczeni, mogą na chwilę przywołać go z otchłani – dudnił ksiądz Witold, a oczy Andrzeja Gila stawały się szersze z każdym kolejnym słowem. – Lucyfer żeruje na uczuciach ludzi, na nienawiści, na bólu, niespełnieniu i

żalu do świata. Tym można go zawezwać.

Rabin Mordechaj przytaknął z uznaniem księdzu i nie wiedział nawet, że oczy Gila zrobiły się wielkie jak spodki. Enka sprawiał wrażenie oświeconego. Przestał krążyć i coś sobie układał w głowie.

– Księżę proboszczu. Rebe. – Gil złożył dłonie. – Dokąd mam iść?

– Kto im to pokazał? – Dopytał rebe.

– Kto im pokazał? – powtórzył Gil. Witold Jarzyna odparł natychmiast: – Tylko Stefan Prokop.

To nazwisko nic nie mówiło porucznikowi Ence, za to najwyraźniej Gilowi bardzo wiele, bo jego twarz momentalnie nabrała barwy kredowej bieli.

– Przecież on nie wychodzi z domu. Nie wpuszcza nikogo – przypomniał.

– Prócz tych, których przyśle Wereński.

No to po sprawie, dało się odczytać z twarzy księdza Gila. Jarzyna spojrział mu w oczy, głęboko, zanurkował w nich, a potem wygrzebał skądś kartkę i zaczął na niej pisać.

– Mam przysługę u Wereńskiego. Poważną. Wciągnąłem jego żonę z wody, gdy się topiła. Byłem trochę młodszy – powiedział. Andrzej Gil, słysząc o wodzie i topieniu się, pobladł jeszcze bardziej, choć Ence wydawało się to zupełnie niemożliwe. Ksiądz Witold mówił: – Chciałem inaczej zużyć tę przysługę, ale tobie bardziej się przyda.

Skończył pisać, chciał dać Gilowi kartkę, ale Gil jej nie zabrał. Usta mu drżały, przycisnął do nich kredowobiałe palce.

– Nie – tylko tyle wykrztusił.

– Będziesz przed nim uciekał, aż nie umrze? – zapytał niespodziewanie rabin.

– Po prostu daj mu tę kartkę. – Ksiądz Witold podsunął mu ją pod nos. Gil zabrał papier, natychmiast złożył, wykrztusił podziękowanie, osobne dla

księdza proboszcza, osobne dla rabina i odszedł, właściwie popędził alejką. Enka skłonił się głęboko, pospiesznie zgarnął zdjęcia z papierzyskami i natychmiast ruszył za nim.

Dopał Gila, szli w milczeniu aż pod Wawel. Kolory mozolnie wracały na twarz księdza doktora.

– Co myśmy tam słyszeli? – zapytał Enka.

Ksiądz Andrzej Gil podniósł wzrok.

– Czy pan może jutro pójść ze mną na Grodzką do Instytutu Filozofii? O szesnastej profesor Wereński ma tam dyżur. Mam nadzieję, że nie zmienił – słowo *nadzieja* brzmiało nieszczerze. – Odkąd pamiętam, przyjmował właśnie we wtorki o szesnastej. Tak było, jak go poznałem.

– Mam nadzieję, że będzie bardziej konkretny niż ci dwaj, niesamowita para swoją drogą – stwierdził Enka, który wciąż nie porozstawił w swojej głowie nefilimów, Lucyfera, otchłani i bitwy na końcu świata. Gil odpowiedział: – Pan porucznik poczeka. Wejdę tam sam.

Enka prychnął:

– To co, mam księdza doktora trzymać na korytarzu za rękę?

Mewa przemknęła tuż nad nimi, a Gil spojrzał na pana porucznika takim wzrokiem, że Ence natychmiast przeszła ochota na żarty. Ksiądz doktor powiedział zimno: – Masz pan swoje demony, ja swoje. Ciesz się, poruczniku, że jutro nie spotkasz własnych.

§ § §

Siedząc na ławce przed Instytutem, Gil obserwował boczną ścianę kościoła Piotra i Pawła, plecy figur dwunastu apostołów, stojących w rzędzie na cokołach i odwrócony krzyż, który trzymał św. Piotr. Wokoło kłębili się studenci z papierosami: chude chłopaki z długimi włosami i w czarnych spodniach, chudsze chłopaki z dłuższymi włosami i w spodniach dzwonach,

pulchny chłopak ogolony na łyso, dziewczyny, które znalazły już dla siebie właściwe ubrania, ale nie umiały ich łączyć ze sobą: bluzka, spódniczka, korale wydawały się z innych światów. Wkoło bzyczały słowa, wzbijały się na wysokość pierwszego, drugiego piętra niczym kłęby dymu. Słowa, pomyślał ksiądz Andrzej Gil, te to umieją rozkwasić nos.

– Za dziesięć czwarta – obwieścił porucznik Enka. Gil podniósł głowę, w bladej twarzy, oplecione smugami cienia, płonęły przerażone oczy.

– To wielki człowiek – odparł.

„Ta, i dlatego czekamy tutaj zamiast pod salą, żeby przypadkiem nie wejść na tego wielkiego człowieka”, pomyślał Enka i milczał. Próbował nie patrzeć na Gila i czuł się źle. Nawet widok brunetki z piersiami jak dwie brzoskwinki przepełnione sokiem, nie przynosił mu ukojenia. Dziewczyna zalotnie zerknęła w jego stronę.

Gil odpłynął, osunął się na oparcie, zamknął oczy i wystawił twarz w słońce. Wspominał dawne czasy. Gwar studentów, nerwowy oddech Enki ucichły, siedział teraz w ławce, patrząc to na swoje znów dwudziestoletnie dłonie, to na Wereńskiego spacerującego po sali wykładowej, to na skórzaną kurtkę punka rząd dalej. Na plecach koślavo wymalowano olejną napis *Siekiera*. Wereński chodził jak żołnierz, niemal wyrzucał nogę daleko do przodu, ale jego głowa ani razu nie zmieniała wysokości. Opowiadał coś z entuzjazmem. W tym wspomnieniu Gil nie słyszał słów, tylko ich melodię. Nagle Wereński przystanął, strzelił z palców i zapytał o coś punka z *Siekierą* na plecach. Chłopak wstał, unosząc niepewnie rękę do głowy, jakby chciał przyglądzić irokeza, nim się odezwał. Andrzej Gil był już gdzie indziej.

Siedział naprzeciw profesora w kantorku pełnym książek i opowiadał, właściwie usiłował opowiedzieć o rytach Tolteków, usiłując wyczytać z oczu profesora, jak bardzo oddala się od prawdy. Wereński miał twarz jak cegła: kanciastą, czerwoną i nieruchomą, od nosa aż do brody szły głębokie bruzdy,

brwi układały się w kształt podobny do rozpostartych skrzydeł. Gil skończył, Wereński rozpoczął, rozstawiając Tolteków po kątach, każdy jego gest, mrugnięcie wydawały się natchnione.

I już był w domu profesora, dłonie mu zmęźniały. Siedział w fotelu zielonym jak Adriatyk, profesora nie było, wokoło piętrzyły się secesyjne meble, pełno na nich zgrubień, szlaczków, drewnianego drobiazgu, a ścianę zapępiały zdjęcia Wereńskiego z Egiptu, Meksyku, Luizjany, Litwy, Nigerii. Młody Wereński siedział w altance drewnianego domku obok stareńkiego Carla Gustawa Junga. Zdjęcie kolejne – czterdziestoletni profesor stoi w Afryce, na lekko rozstawionych nogach, w towarzystwie kapłana jakiegoś kultu o twarzy pomalowanej na biało. I Wereński w tym samym wieku w cieniu nachylającego się nad starodrukami Mircei Eliadego.

Zjawiała się dziewczyna, prawie że wyrosła z książek, zdjęć i mebli, nierzeczywiście długonoga, o migdałowych oczach, od których nie można było, po prostu nie dało się, oderwać wzroku. I zaraz znalazła się przy Gilu, rozerwała koszulę, na której jeszcze nie było koloratki, a Andrzej Gil, piękny dwudziestoletni, zupełnie nie radził sobie z guzikami jej bluzki. Wymykały się jego dłoniom, aż wreszcie podołał, opadli na leżankę pod galerią zdjęć, Gil próbował odepchnąć wspomnienie, ale nie mógł, tak jak wtedy nie odepchnął córki Wereńskiego.

Siedzieli nad strumieniem, w którym były raki i mogli je wyciągać spod kamieni. Pili wodę z butelki, na zmianę, Gil mówił i słyszał własne słowa, jak słowa kogoś innego.

– Zrozum, muszę. Nie wiem, co robić, więc zostanę księdzem. To jedyne wyjście, które mi przychodzi do głowy.

Szum wody.

Już ją chowali, samobójczynię w poświęconej ziemi, trumna zniknęła pod kwiatami i rozdzielała Andrzeja Gila, już pod koloratką, i profesora

Wereńskiego. Wereński patrzył na dół w ziemi szklanym wzrokiem, drżał cały, gryzł wargi i nagle przeniósł spojrzenie na Gila. Ten cofnął się, roztrącił żałobników i pobiegł na oślep w dół alejką cmentarza Podgórskiego, minął bramę, omal nie wpadł pod tramwaj. Nie zwolnił.

– Zaraz będzie po kartce.

Wyrwał się z zamyślenia. Patrzył na porucznika Enkę jak na ducha.

– Po kartce, mówię – powtórzył Enka i wskazał kciukiem na wejście do instytutu. – Właśnie przyszedł. Domyślam się, że to on, bo wygląda mi na starego wariata.

Gil rozprostował rękę. Kartka od proboszcza Jarzyny była pomięta i mokra od potu. Westchnął, włożył ją do tylnej kieszeni, by natychmiast sprawdzić, czy wciąż tam się znajduje. Wstał, omal nie stracił równowagi i poszedł do wejścia. Przypomniał sobie coś, zawołał przez ramię:

– Pan zaczeka!

Zrobił chwiejny krok:

– Dziękuję, panie poruczniku!

Instytut przywitał go chłodem. Minął kantorek portiera – ten siedział za szybą i odprowadzał Gila wzrokiem zarezerwowanym dla narkomanów i kompletnych świrów. Po lewej pięły się masywne schody, na wprost przy otwartych oknach stali studenci. Niektórzy palili, oparci na łokciach, z głowami na zewnątrz. Gil wbiegł po stopniach, minął sekretariat i gablotkę z dokonaniaми naukowców. Jeszcze raz w lewo. Przy drzwiach kłębiło się kilka osób: student w za małej marynarce, dziewczyna tak gruba, niska i nijaka, że przypominała piłkę lekarską, blondyna o nogach jak serdelki i nieszczęśliwy, nijaki szatyn w okropnych fioletowych spodniach.

Gil dotarł do połowy korytarza, gdy z pokoju wypadło dwóch straszliwie zadowolonych studentów, trzepocząc indeksami. Wspaniale, pomyślał ksiądz doktor. Dał tamtym odejść. Zapytał, kto ostatni w kolejce do profesora.

Nieszczęśliwy i nijaki człowiek ubiegł pozostałych:

– Nikt. Czekamy do kogoś innego.

Gilem szarpnęło. Za oknem widział dachy domów, mury średniowiecznego kościoła, chmury gołębi tańczące pod słońcem. Zapukał w szare drzwi. Były miękkie. Nikt nie usłyszy pukania.

– Proszę! – zabrzmiało ze środka.

Jeszcze sekunda. Może dwie. Gil rzucił bezradne spojrzenie za siebie, nacisnął kłamekę. Wszedł do środka. Wzdłuż ścian biegły regały z płyty pilśniowej, pełne książek i roczników czasopism oprawionych w płótno. Wereński siedział za blatem o żelaznych nogach. Nad głową profesora wisiała grafika w tandetnych ramach – doktor Faust rozmawiał z Małgorzatą, a za jego plecami stał zaintrygowany Mefistofeles.

Na widok Gila Wereński wyprostował się, ale tak dziwnie, jakby wypychał straszliwy ciężar:

– Przyszedłeś, ty skurwysynu.

– Tak – odparł ksiądz Andrzej Gil.

Twarz Wereńskiego skamieniała, ale dłonie krążyły w powietrzu, jakby szukając ratunku.

– Długo się chowałeś, pierdolony tchórze – rzekł Wereński.

– Nie wiedziałem, że znasz takie słowa. – Gil stanął po drugiej stronie stołu. Głos miał słaby, opierał się na własnej bezczelności.

– Nawet teraz nie umiesz spojrzeć mi w oczy. Nawet teraz. – Splótł dłonie. Gilowi uwiązał głos w gardle. Mógłby krzyczeć, ale mówić, nie. Wereński nachylił się do niego: – Jeden powód, dla którego nie mam wywalić cię za drzwi – zacisnął palce na telefonie – wyglądasz jak śmieć. Już dzwonię po portiera... Chyba że nie mogę, bo przecież z ciebie święty człowiek, ksiądz. Odpuszczasz grzechy i miażdżysz diabłu łeb. Nie tak jest, Andrzej, nie tak?



Gil pogrzebał w tylnej kieszeni. Zastygł, bo Wereński znów zaczął mówić:  
– Przecież przyszedłeś po coś.

Bez słowa Gil podał mu kartkę. Wereński zaczął czytać. Zaszła w nim przemiana, zmiękły mu policzki, oczy stały się wilgotne. Opadł na oparcie. Zatrzeszczało. Nie wiadomo, w nim czy w drewnie. Zdobył się na uśmiech. Usta miał rozchylone jak rana.

– Człowiek, który uratował mi żonę, prosi, bym pomógł mordercy mojej córki.

Odsunął kartkę i wyrwał nową z kratkowanego zeszytu. Napisał coś pośpiesznie, zmiął i cisnął pod nogi księdza Gila.

– Dobry dzień to taki, w którym rozumiesz, że nie jesteś nikomu nic winny – powiedział Wereński. Ksiądz Andrzej podniósł kartkę, rozprostował, złożył na pół. Zastygł, trzymając ją przed sobą.

– Odejdź! – jęknął Wereński.

Nie drgnął.

– Odejdź, mówię. Już nie mam po co cię oglądać.

Gil poszedł. Zsunął się ze schodów.

§ § §

Na widok księdza Andrzeja Gila, porucznik Enka porzucił towarzystwo brunetki o fajnych piersiach, coś tylko jej szepnął, zabrał świstek z telefonem i popędził w stronę wejścia do instytutu. Gil wpadł mu w ramiona wiotki, zrobiony z ciasta. Oplótł mu ręce na plecach i tak zawisnął. Trwali tak chwilę.

Enka odsunął go ostrożnie, potrząsnął. Oczy Gila odzyskały ostrość. Przepęniała je rozpacz, jeśli Jarzyna z rabinem mieli rację, Lucyfer mógłby złowić duszę Gila właśnie w takiej chwili. Zaraz jego twarz nabrała kolorów. Ksiądz doktor schował kartkę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Idziemy! – sapnął i ruszył w stronę Grodzkiej. Enka jeszcze pomachał brunetce – tak, na pewno się zobaczymy – i podążył za przyjacielem. Krok Gila odzyskiwał sprężystość.

– To dokąd teraz? Do kościoła? – śmiał się porucznik Enka.

Gil otarł oczy. Rozpacz ustąpiła miejsca melancholii. Przełykał ślinę.

– Otóż nie, panie poruczniku. Wręcz przeciwnie. Idziemy do człowieka, który jest już jedną nogą w piekle.

## Rozdział trzeci

### Jedną nogą w piekle

Polonez porucznika Enki wydawał się być zupełnie innym polonezem niż ten, który półtora roku wcześniej zawiózł ich do Stachowart. Przez przednie drzwi od strony kierowcy biegła głęboka rysa, lusterka były brudne, a pośrodku maski znajdowało się wgniecenie, jakby z nieba w tym miejscu spadł kamień albo zamrożona ryba. Silnik charczał. Po lewej minęli wawelskie wzgórze. Enka wziął zakręt i wypadł na Stradom. Rzucił wiąchę przekleństw i wyhamował, dołączając do sznura skód, maluchów, fiatów i syrenek tłoczących się w korku razem z brązowymi tramwajami. Opuścił szybę i wystawił łokieć przez okno. Podmuch ciepłego wiatru strącił popiół z camela.

– Wereński i Prokop znają się od szkoły średniej. Wtedy prawdopodobnie przywołali diabła po raz pierwszy – odezwał się Andrzej Gil z siedzenia obok. Jego twarz odzyskała kolory, ręce już nie drżały i ksiądz doktor habilitowany z wolna dochodził do siebie, jakby zgubił się na całe lata i właśnie zobaczył swój dom na horyzoncie. Mówił, opierając głowę o szybę. Patrzył na sznur samochodów spod półprzymkniętych powiek.

– Diabła. Ksiądz mi mówi, że diabeł ich połączył?

Palce Enki bębniły o deskę rozdzielczą. Korek ruszył i stanął znów po kilku metrach. Ktoś usiłował skręcić w przecznicę, padł mu silnik.

– Nie radziłbym żartować z takich rzeczy. Ale niech pan porucznik wierzy, chciałbym, żebyśmy się pośmiali. – Nabrał powietrza. – Próba odbyła się w mieszkaniu Wereńskiego, który mi o tym opowiadał. Pozornie można mówić o niepowodzeniu, bo diabeł im się nie objawił. Nie przybrał

postaci fizycznej. Wereński wspominał jednak, że w pewnej chwili zrobiło się zimno, tak że prawie para poszła im z ust, a ręce stały się fioletowe. Kiedy porozmawiali potem, okazało się, że ich doznania były identyczne.

– Wereński i Pokrop? – wtrącił Enka. Gdyby jego wzrok miał możliwość czynienia cudów, skoda przed nimi wzleciałaby w powietrze i roztrzaskała się z hukiem na fasadzie kościoła Nawrócenia św. Pawła.

– Prokop – poprawił ksiądz Andrzej Gil. Znów przejechali kawałeczek. – Diabeł więc nie pojawił się fizycznie, ale obaj doświadczyli straszliwego lęku przed śmiercią i pustką po tej śmierci. Jakby coś tuż obok szykowało się do zjedzenia najpierw ich ciał, a potem dusz.

– Ksiądz doktor próbuje mnie nastraszyć? – rzucił Enka. Ulica Stradom dobiegła końca, Enka dodał gazu i zaraz wyhamował, klnąc wniebogłosy – na Krakowskiej zaczynał się kolejny korek.

– Próbuję uświadomić panu, z czym mamy do czynienia.

– Więc wywołali diabła, który nie przyszedł, ale wysłał wizytówkę.

– Właśnie. Wereński wspominał, że w mieszkaniu był kanarek, który nagle wpadł w szal. Trzepotał skrzydełkami i obijał się o pręty klatki. Podobno wyglądał jak wirująca kula pierza. Omal nie zrzucił klatki ze stołu. Wereński z Prokopem rzucili się, żeby go uspokoić i dobrze zrobili. Poczucie grozy, demonicznej obecności, o którym panu mówiłem, natychmiast ich opuściło. Po prostu musieli prędko zająć się czymś innym.

– Rozumiem. I co z tym kanarkiem?

– Jakoś zdołali go uspokoić, ale ptaszek zdechł niedługo później. Cały się poobijał, złamał sobie coś i było po nim – Gil mówił tonem wykładowcy uniwersyteckiego. – Matka Wereńskiego nie uwierzyła oczywiście, że kanarek zaczął szaleć sam z siebie i oskarżyła syna, że specjalnie go skrzywdził, tak że stosunki z rodzicami trochę się Wereńskiemu popsęły. Tydzień później obaj, on i Prokop, mieli silny atak psychotyczny. Tego

samego wieczoru. Powróciło poczucie złowrogiej obecności, nieuchronnej i nieodwracalnej śmierci, a zewsząd sączył się czarny dym. Gęsty i lepki. Jak mówię zewsząd, to zewsząd: ze ścian i spod łóżka.

– Aha – skwitował porucznik Enka. Sunęli przez Krakowską w jednym – dla Enki nieznośnym – tempie, silnik poloneza burczał, wyraźnie niezadowolony. Brud i szarość kamienic kontrastowały z krzykliwością plakatów wyborczych, a wpinki z *Solidarnością* wydawali się mieć nawet menele.

– Potem ich drogi się rozeszły, ale pozostali przyjaciółmi. Nie trzeba widzieć się często, żeby się przyjaźnić – rzekł Gil. – Wereński odpuścił, a Prokop poszedł w ciemność. Przez długie lata było z nim wszystko w porządku. Skończył studia, tłumaczył pisma gnostyckie i książki ezoteryczne, a że znał się na okultyzmie jak nikt, został kimś w rodzaju niezależnego eksperta. Zapraszały go uniwersytety w całej Europie. – Przełknął ślinę i zapytał: – Co pan porucznik wie o chorobach psychicznych?

– Odkąd poznałem księdza doktora to coraz więcej. – Enka nacisnął klakson. – Czasem boję się, żebym nie dowiedział się zbyt wiele.

– Prokop to znany przypadek opisywany w czasopismach lekarskich. Przypominał kogoś z rozdwojeniem jaźni, ale u niego diagnozowano cztery osobowości, a przynajmniej o pięciu opowiadał.

– Razem dziewięć – zauważył od niechcenia porucznik Enka. Korek nieco przyspieszył. Widzieli już skrawek zieleni nad Wisłą i szare pasmo rzeki.

– Opowiadał, a potem w ogóle przestał mówić i zabrali go do Szpitala Przemienienia Pańskiego – Gil zaakcentował tę nazwę. – Tam siedział kilka lat, aż go odesłali. Można tylko domyślać się, dlaczego. Trudno mówić, żeby był niebezpieczny w pana rozumieniu, panie poruczniku. To chory człowiek. Myślę, że to Wereński chciał, żeby Prokop przynajmniej umarł w domu.

Nad mostem wirowały mewy. Drogę przed Gilem i Enką blokował stary

tramwaj z numerem osiem poruszający się szarpnięciami. Wyglądał na wykonany z tektury i grubego papieru. Twarze ludzi w oknach przypominały kolorowanki namalowane przez dziecko obdarzone niezwykłą wyobraźnią, ale wyposażone tylko w jedną, czarną kredkę.

– Więc, Prokop wrócił do swojego mieszkania, gdzie teraz jedziemy – opowiadał Gil. – Jeden Wereński ma z nim jakiś kontakt, posyła mu lekarstwa i coś do jedzenia, choć słyszałem też plotki, że Prokop już nic nie je poza pastylkami. Nie dopuszcza nikogo do siebie. Nawet lekarz, który go odwiedza, musi najpierw przepchać pod drzwiami karteczkę od Wereńskiego.

– To skąd wiemy, że on w ogóle żyje? – zagadnął Enka i splunął za okno, plwocina poleciała za barierkę mostu.

– Rok temu wrócił jeszcze do szpitala, bo wywołał awanturę. W jego mieszkaniu pękła rura i zalała ludzi na dole. Ci przyszli z milicją, a Prokop nie chciał otworzyć. Nikt nie wpadł na to, żeby pójść po Wereńskiego. Drzwi wybito, a Prokop powitał wszystkich z nożem kuchennym w dłoni. Kogoś dziabnął niegroźnie i znów go zamknęli. Słyszałem, że wyszedł.

– Więc jest jednak groźny w moim rozumieniu – zauważył Zbigniew Enka.

– Niekoniecznie. To przede wszystkim stary, słaby człowiek. Bierze takie ilości leków, że cud, iż jeszcze nie umarł. – Gil rozglądał się po Podgórzu. – Mamy kartkę od Wereńskiego. Sam Prokop też może mnie pamiętać, poznaliśmy się kiedyś w mieszkaniu Wereńskiego, więc jeśli nie uwierzył w ogólnościowy spis przeciw niemu, powinno pójść jak z płatka.

Ulica schodziła łagodnie w dół, po prawej wyłoniła się kanciasta bryła ośrodka sportowego Korona, ale skręcili w drugą stronę, na Rynek Podgórski, gdzie kobieciny sprzedawały kwiaty, a mężczyźni przepijali pieniądze od nich na pobliskich ławkach. Nad wszystkim górował neogotycki kościół z czerwonej cegły. Ciekawa sprawa, myślał Enka, dobrze to czy źle,

jeśli zna cię schizofrenik i to taki, co wywoływał diabła w wieku, gdy każdy normalny chłopak myśli tylko o cyckach.

– Poza tym jestem dobrej myśli – Gil wyrwał go z zadumy. – Przecież to pan porucznik pójdzie przodem. Prokop zaraz zorientuje się, że mamy pokojowe zamiary. Pan stanie, panie poruczniku. To już tutaj.

Enka zatrzymał się skołowany, ocenił miejsce pomiędzy zaparkowanymi samochodami, coś wymamrotał o kretynach, wskazał jeszcze na kościół, jakby chciał zapytać, czy księża wraz z milicjantami mogą parkować pod parafią i zaraz znalazł miejsce za rogiem, skręcając pod prąd. Wysiedli. Natychmiast owiała ich niepodrabialna woń Podgórze – starego tynku, mokrych drzew, potu, ugniecionego gówna, świeżej ziemi, kwiatów i staruchów. Na krawężniku siedział starszy facet z wyrazem błogości na brodatej twarzy, zadowolony z siebie psiak pomykał za nieco mniej szczęśliwym kotem, a dzieci przy sadzawce na środku rynku prały w nią kawałkami cegieł, aż woda rozchlapywała się wokoło. Wyżej zielenił się park.

Skręcili w ciemną bramę, owiał ich chłód, wspięli się po drewnianych schodach na pierwsze piętro. Enka czuł się, jakby wchodził do grobu, ściany przypominały warstwy ziemi podtrzymywane brudnym i chropowatym szkłem. Drzwi do mieszkania Prokopa wcale nie wyglądały lepiej. Spod ciemnobrązowej warstwy obłupanej olejnej farby przezierały pasma gołego drewna. Ktoś, prawdopodobnie sam Prokop, pokrył drzwi rysunczkami. Były tam postacie ludzkie, wysokie na palec i dziwnie zgarbione, skrzydlate zwierzęta, drzewa, wierszyki i planety. Niektóre miały kilka lat i prawie wyblakły. Inne, jak te przy dzwonku, wyglądały na całkiem świeże. Tu prawie nie dochodziło światło słoneczne. Drzwi Prokopa nieustannie wyczekiwały świtu.

Kamienice w Podgórzu nie znają ciszy i ta nie była wyjątkiem. Za

drzwiami po przeciwnej stronie telewizor chodził – jak powiedziała Enka – na pełny ful, wyżej ujadał pies, biegały dzieci, coś trzeszczało w suficie, brzmiały krzyki, pękało szkło. Słysząc było też inny dziwny odgłos, ni to śpiew, ni to zawodzenie. I uderzenia. Rwane, nie wiadomo czym i o co. Umilkły wraz ze śpiewem, gdy tylko Gil zadzwonił do mieszkania Prokopa.

Książd Gil schylił się i przepchał pod drzwiami karteczkę od Wereńskiego. Usłyszeli człapanie, róg kartki, wystający na progu wsunął się do środka. Ktoś zakaszlał po drugiej stronie. Szczęknięły zamki, ale nim Enka położył rękę na klamce, kroki znów zadudniły i ucichły w głębi mieszkania. W pierwszej chwili Enka myślał, że wewnątrz jest całkiem ciemno, a to za sprawą podwójnej czarnej kotary zwisającej z sufitu. Rozgarnął ją i wszedł w światło.

Szli przez długi przedpokój. U góry, na plątaninie kabli dyndało kilkanaście świecących żarówek-setek i co najmniej dwa razy tyle przepalonych. Przy białej ścianie stała drabina malarska. Podłogę zasłaniał szczelny dywan z papierów pokrytych drobnym staromodnym drukiem. Enka schylił się. Niemiecki. To były karty z przedwojennych książek, wrywane po trzy, cztery naraz i starannie rozłożone. Część akapitów została zakreślona i można by pomyśleć, że ktoś – Prokop, no bo kto, rzekł sobie Enka – czytał je, pełzną. Na nich walały się kłęby kurzu, pudełka po lekach i połamane ołówki.

„Ciekawe, czy ten twój Wereński opłaca też rachunki za prąd”, chciał zapytać Enka, ale nie zapytał. Ogarnął go lęk, wcale nie dlatego, że musiał mrużyć oczy w świetle i właściwie nie wiedział, dokąd idzie. Był to ten szczególny rodzaj niepokoju, który odczuł tylko kilkakrotnie, raz jako młody milicjant, kiedy poszedł sprawdzić, czemu pijak, który bił żonę i dziecko, już tego nie robi, a w jego mieszkaniu panuje cisza. Poszedł, sprawdził i nie zapomniał tego uczucia, kiedy bał się spotkania nie z żywymi, ale z



umarłymi. Teraz było podobnie. I jeszcze chłód. Nie wiadomo, skąd się wziął, skoro na zewnątrz panowało ciepło. Enka aż wstrząsnęły dreszcze. Zimno nadchodziło falami, sunęło podłogą i wzbijało się ku górze.

Bywał w niezliczonej ilości starych mieszkań: takich jak to, z sufitem na cztery metry, mieszkań w nowohuckich kłitkach, gdzie wciąż na balkonie trzyma się króliki, mieszkań stalinowsko-gomułkowskich z bateriami butelek po biovitalu na czarnych meblach, mieszkań papierowych, drewnianych i wodnistych; te miejsca miały jedną rzecz wspólną. Smród. Tu jednak pachniało inaczej. Tak może cuchnąć trup pod podłogą, stęchła woń waliła spod gazet, ze ścian i z oświetlonego sufitu. Jestem w grobie, pomyślał Enka, zaskakując samego siebie.

Wejście do pokoju odgradzała następna kotara. Enka zaplątał się w nią, stracił orientację i wypadł do pokoju jak dusza wyrywająca się z ciała do innego świata. Można by tu bez trudu rozegrać mecz koszykówki, nawet jeśli piłka potłukłaby niezliczoną ilość gołych żarówek zwisających na kablach z sufitu. Sam sufit pozostawał odległy i niewidoczny. Kolejna czarna kotara – na oko porucznika Enki, kurtyna podprowadzona z jakiegoś małego teatru – zasłaniała szczelnie wysokie okna. Na jej brzegach błyszcząły łebki gwoździ. Centralne miejsce w pomieszczeniu zajmował ogromny stół kreślarski, na którym można by zorganizować orgię albo przenocować pluton wojska. Teraz piętrzyły się tam książki, lekarstwa i papierzyska, a także deska i metalowy pręt, nad którymi wisiało kościste ramię lampy kreślarskiej. Żarówka była utłuczona.

Brakowało łóżka czy szafy na ubrania. Przy ścianie biegły regały opustoszałe z książek, jeśli nie liczyć kilkunastu przedwojennych woluminów, tulących się do siebie jak gołębie w mroźny dzień i szarych jak one. Wirował kurz. Żarówek było tak wiele, że Enka nie mógł unieść głowy bez mrużenia oczu. Powinny dawać ciepło, pomyślał, ale tu jest jeszcze

zimniej niż w przedpokoju.

Przy stole kreślarskim siedział Prokop, odwrócony tyłem, a jego plecy falowały. Pięść zaciskał na widelcu. Trzymał go jak tłuczek, złobił w blacie stołu koleinę i podśpiewywał. Nie mogli rozróżnić języka tej pieśni, o słowach nie wspominając. Ramię Prokopa przesuwano się płynnie, żyły pulsowały pod starą skórą. Nie śmieli się odezwać, a Prokopem wstrząsnął dreszcz. Odchylił głowę i Enka mógł przysiąc, że resztki włosów na tej biednej czaszce nastroszyły się lekko.

Odrzucił widelec. Porwał metalowy pręt, który zapewne był przepiłowanym pogrzebaczem i zaczął tłuc o deskę na stole. Walił tak z całej siły, ale pracowało tylko ramię i dłoń, zupełnie niezależne od reszty ciała, być może temu ciału wrogie – korpus falował niezależnym rytmem, a śpiew przeszedł w ciągłe zawrodożenie. Ktoś inny w tym wieku zmęczyłby się po paru ruchach, pomyślał Enka, uderzenia dzwoniły mu w głowie. Tak jak śpiew Prokopa. Czemu on dobiega zewsząd, tylko nie z jego ust?

Prokop odwrócił się ku nim gwałtownie, ogromne oczy tylko mignęły – starzec opadł, jakby ktoś właśnie wskoczył mu na plecy, opuścił ramiona, palce krążyły po ziemi, każdy bez związku z pozostałymi, blade robaki, niepotrzebnie sczepione z dłonią. Prokop wciąż śpiewał. Ogromnym wysiłkiem – znać po drzeniu barku i szyi, po żyłach z wrzącą krwią – porwał automatyczny ołówek, znieruchomiał, tylko przez łuk kręgosłupa, wyraźnie widoczny nawet pod grubym szlafrokiem, poszły dreszcze. Zaśpiewał jakoś wyżej, bardziej rozpaczliwie i machnął ramieniem, tak że dłoń z ołówkiem wylądowała tuż nad pośladkami. Podciągnął ją ku górze, po łopatkę. Poderwał głowę i wybałuszył oczy wprost na porucznika Enkę.

– Eeeeeeeeeeeeeeeeeooooooooooooooooooooo.

Twarz miał czerwoną i Enka z początku nie wiedział dlaczego, bo była to czerwień zupełnie inna niż u pijaka. To tysiące drobniutkich, popękanych

naczyń krwionośnych zlały się w jedną plamę, przeciętą żyłami niczym fioletowe sznury. Te oplatały nawet policzki i brodę pod czarną linią ust. Wszystko wychodziło na wierzch z Prokopa.

Wbił sobie ołówek w plecy pod łopatką i zaraz równomiernie z drugiej strony, potem niżej, trzykrotnie i znów w górę, pod samym barkiem, bardzo głęboko. Od brzucha poszła fala dreszczy. Nie przestał się kłuć. I nagle ołówek poleciał w górę, a za nim sam Prokop. Staął na rozstawionych nogach, w spodniach od pizamy i szlafroku narzuconym na podkoszulek. W kroczu miał plamę o kształcie Afryki i twardości chityny. Rozrzucił dłonie, wysuwając palce wskazujące. Drżały mu same łokcie.

Gil i Enka popatrzyli po sobie. Prokop w tej chrystusowej pozie mógł oczekiwać pokłonów i hołdów, nagle zatrząsł się, wygiął plecy, od brzucha poszła trzecia fala, mocniejsza niż poprzednie, a Enka mógł śledzić jej przebieg: do pępka i potem w dół, by zagubić się gdzieś przy kolanie, ku górze, bokiem, przez serce – Prokop wywalił ślepią i jednak zamilkł na sekundę – ku szyi, wykrzywiając usta, trzepocząc powieką i oddając źrenicy swoją siłę i ciemność.

Gil zrozumiał w czym rzecz i pociągnął przejętego Enkę w kierunku dwóch złożonych stołków wędkarskich leżących na półce obok woluminów. Zabrał jeden i zaczął rozkładać. Enka patrzył na to wszystko nieobecny wzrokiem, a Prokop zaczął krążyć po pokoju.

– Po prostu chce, żebyśmy sobie usiedli – szepnął Gil. Enka bardzo powoli skinął głową i zabrał się za rozkładanie swojego stołka, nie odrywając wzroku od roztańczonego Prokopa. A ten prawie że płynął nad ziemią, od ściany do ściany, wyśpiewując pieśni bez słów; w jego ruchach nie było sensu ani rytmu, nogi biegły same, a tułów chętnie by je zostawił, gdyby tylko zdołał. Enka tak długo manipulował przy stołku aż go popsuł. Pokazał Gilowi sterczące druty i powiedział, że psia bladź, w takim razie postoi.

Gil usiadł przy stole. Prokop trochę się uspokoił, szarpał tylko głową, dreptał w miejscu, znalazł inny ruch dla każdego palca. W rozwartych ustach mignął kanciasty język. Krzeselko było niewygodne i zbyt niskie. Czy to na nim siadał Wereński, kiedy przychodził odwiedzić przyjaciela? Czy jeszcze bywa tutaj?

– No i co? Mów zaraz, kolego, co u was dobrego, u ciebie, kolego, i u Wereńskiego! Najlepiej wybacza się o zmierzchu, wiedziałeś o tym? – zapytał niespodziewanie Prokop.

– Każdego dopadają jego demony – rzekł Andrzej Gil, żałując tych słów już w chwili wypowiedziania. Pusty śmiech Prokopa sprawił, że pożałował ich jeszcze bardziej.

– Ale większości wystarczy własny demon, a wy przyszłście po cudze – rzekł Prokop śpiewnie, a jego głos zdawał się dochodzić zza pleców Enki i Gila. Nie dał czasu na odpowiedź i mówił dalej, wysokim głosem, przechodzącym momentami w zaśpiew, to znów w charkot, jakby z każdym wypowiedzianym słowem wnętrzości Prokopa rozrywała nowa rana.

– Sedno wszystkich tradycji demonicznych czy też po prostu duchowych sprowadza się właściwie do dwóch bytów nadrzędnych, opisywanych na różne sposoby, podkreślających czy też wydobywających sens z zabytków i nowoczesności słowa pisanego. Liczy się oczywiście sens, a nie dokładne imię, ale myślę, że możemy tu się posłużyć imionami Lucyfera i Arymana. Arymana, co dziecko dusi z rana i Lucyfera, co trupa do kości obdziera. – Prokop drżał przed Enką, unosił dłonie, jakby próbował utrzymać nad głową trzepoczącą się rybę. – W kręgu chrześcijańskim, kurewsko mesjańskim, Antychrysta uznaje się za figurę lucyferyczną, poprzedzającą przyjście czy też intronizację inkarnowanego Szatana. Czyli możemy dokonać nowego utożsamienia. Lucyfer to Antychryst, a Aryman to Szatan. Szatan z człkiem się brata, na nożu to braterstwo i nożem morderstwo – pisnął, wykonał piruet

i pomknął na środek pokoju ze sprawnością lekkoatlety, stanął tyłem i nim się obrócił, Enka dostrzegł, że szlafrok faluje. Prokop złączył dłonie, stał kilka metrów od Enki, a ten słyszał każde jego słowo, rozbrzmiewające tuż przy własnym uchu. Nic z tego nie pojmował, miał tylko nadzieję, że Gil potem mu rzecz rozjaśni. Zachodził też w głowę, skąd ten wariat wiedział, że go odwiedzą.

– Na naszej płaszczyźnie istnienia, wobec obecnej perspektywy dziejów, te dwie siły współdziałają, choć ich cele są zasadniczo odmiennie. Trzeba tu zaznaczyć ich perspektywę spostrzegania człowieka. Oni potrzebują naszych myśli, marzeń, nagięcia naszej woli do własnego trwania. Dla Boga żarcie, odpadasz na starcie – próbował klasnąć w dłonie, ale nie zdołał. Teraz jego słowa spływały spomiędzy jaśniejących żarówek na suficie. – Ich przymierze jest dziwne, niemniej zrozumiałe.

Zatańczył, zgarnął fiolkę z lekarstwami, białe pastylki posypały się do gardła. Uwadze Enki nie uszło, że Prokop ma podniebienie białe od czopów ropnych. Patrzenie na szalonego starca było równie uciążliwe, co wysłuchiwanie jego mądrości – Enka połowy nie pojmował, to co rozumiał miał za brednie i gdyby nie oczywista bieda pokoju uznałby, że ma do czynienia z przemyślnym oszustwem. Jak to możliwe, że człowiek stoi tuż przed nim, porucznikiem Enką, mówi, a głos dochodzi z zupełnie innej strony?

– Lucyfer, którego planetą jest Wenus, kierunkuje człowieka na jego aspekt duchowy, pomijając całą resztę i w jego opinii jesteśmy wygnańcami. Jebanymi zesrańcami. Pielgrzym w rowie kona, pękła mu śledziona, nikt jęków nie słucha, tylko jucha bucha. Z tej właśnie przyczyny, moje skurwysyny, ciągną ku niemu asceci, mistycy, wszelkiego rodzaju artyści, ludzie, którzy stronią od własnej cielesności, a dla doświadczenia seksualnego pozostawiają jeden jego aspekt, ekstatyczny. – Dreszcze

wstrząsające Prokopem jeszcze się nasiliły, można by pomyśleć, że zaraz ma wypluć lub urodzić kulę światła. Robił drobne kroki, odgięty do tyłu, i trzepotał dłońmi.

– Noc pęka na części, niech nam się poszczęści. Aryman jest inny. On reprezentuje ciało oraz materię i konsekwentnie odcina człowieka od wszelkiej duchowości. W tym sensie jest odwrotnością ekstazy Lucyfery. Za Arymanem stoi nauka, kalkulacja i terror. Człowiek maszyna, pozbawiony potrzeby szukania prawdy, dobra i piękna dla nich samych, prawda myje gary, dobry człowiek stary, piękno w polu kracze, w grobie się kołacze, to właśnie figura arymaniczna. Czas totalitaryzmów był czasem Arymana, daj, daj, daj, daj, daj – skandował i zanosił się śmiechem.

Enka spostrzegł, że na twarzy Gila prócz niedowierzania i przejęcia maluje się coś jeszcze. Tak patrzy człowiek, któremu mówi się o prawdzie, a zarazem blokuje do niej dostęp. Enka zaryzykował i przerwał Prokopowi:

– Rozumiem – wyciągnął teczkę. – Nie byłby pan tak miły i zerknął na chwilę tutaj, na tę parę drobiazgów? Bardzo by nam to pomogło.

Nie traktuj go jak małpy, mówiły oczy księdza Gila. Żarówki u sufitu zamigotały, Prokop machnął głową, oczy wyszły mu z orbit, a język na brodę. Przycisnął ręce do piersi, wbijając paznokcie w podkoszulek, szlafrok załopotał za nim jak płaszcz.

– Jak pan mówisz tak do mnie we własnym domu, to weź pan od razu mnie zastrzel – skrzeknął. – Z tego nowiutkiego fasowanego wczoraj pistoleciku pe łośiemdziesiąty, numer dwasiempińczęszterydwa, wyciągnij pan i strzelaj śmiało, wszyscy się ucieszą.

Enka położył rękę na kieszeni kurtki, ale nie wyciągnął broni i już się nie odzywał. Prokop wyszarpnął plastikowe pudełeczko, wysypał na rękę trzy pastylki, dobrał jeszcze kilka z leżących luzem na parapecie, zamknął w dłoni. Zagrzechotał przy uchu i połknął. Spojrzał na Gila i wypiszczął:

– Kiedy demon przyjdzie do księdza, to pan go poznasz, poznanie to umieranie, nie dziw się i słuchaj, byś nie oddał ducha. Kobieta to Lucyfer, mężczyzna to Aryman, tak się zjawia, tak przyjdą, nie daj się oszukać, świat kłamie, siebie nie okłamuj.

Oparł się dłońmi o blat stołu, wyrzucił nogi w powietrze, na zmianę.

– Teraz się sprzymierzyli, także na płaszczyźnie historii. Lucyfer i Aryman ucieleśnieni w jedno noszą imię Sorat, to solarny demon, działający w naszym świecie, nawiedzający świat, co przepowiedział już święty Jan. Objawienie, kolan drżenie. Dwóch w jednym tylko czy o jednego więcej, dowiesz się w strachu i męce. Jego przybycie można przewidzieć, jak zrobiono to na początku zeszłego stulecia, a datę objęcia rządów wyznaczono na rok 1933 w sercu Europy. Europa stara ropa, siła Berlina Żydom kark nagina, gwiazda z nieba spada, czy jest na to rada? I to jest zapisane, znaleźć można w uniwersyteckim archiwum. Bez problemu.

– Czego oni chcą? – zapytał głucho ksiądz Andrzej Gil.

– Jeść – odparł natychmiast Prokop, zaskakująco przytomnie. – Lucyfer oferuje nam niebo, natychmiast, czyli zbyt wcześnie, co można przyrównać do człowieka, który daje niemowlakowi luksusowy samochód. Iiiiiiiiiiiii – wrzasnął, usiłując naśladować odgłos piszczących opon. – Sterują naszymi namiętnościami i odwracają je od ziemi. Aryman inaczej, on zostawia prezenty dla ciała, trąd, rak, grzech. Co z tego dla nas? Co z tego dla ciebie, człowiek tańczy na ziemi, a potem gnije w niebie, ach, wieczne gnienie to też wieczne życie, śmierć i nic.

Splunął żółcią. Oparł się o ścianę, szukał czegoś na swoim ciele.

– Powiem wam, skoro po to przyszliście. – Zjadł tabletkę i zaczął gryźć własne palce, nie przestając krążyć. – To już się dzieje i niebawem się dopełni. Lucyfer nakarmił ludzi iluzjami, Aryman przemienił im serca w maszyny, a krew w smar. Smar, to diabła dar, chcesz Bożego daru, dostaniesz

więcej smaru. Człowiek przeobraża się w inteligentną bestię, że tak powiem. Ucieknie w iluzję, w wielką fikcję, którą niedługo mu tu zbudują, pozostawiając sobie jedyną dostępną dla siebie realność. Przemoc. Przemoc czyli niemoc, przemoc czyli niemoc. Prokop znieruchomiał, parsknął śmiechem i kroplami ciemnej śliny, w nienaturalnym świetle podobnej do płatków sadzy. Zaczerpnął powietrza, przycisnął dłonie do policzków, skoczył – nie, przeleciał – w kierunku Enki i przysiadł na brzegu stołu. Enka natychmiast pożałował, że nie ma stołka. Wtedy siedziałby sobie cicho w kącie, a nie wachał wariata, który już za życia pachnie grobem. Za plecami Prokopa, kołysała się spalona żarówka.

– A śmierć? – zapytał głucho ksiądz Andrzej Gil. Prokop natychmiast się ożywił.

– Lucyfer daje życie w sobie, używając języka dawnych mistyków, na Wenus, gdzie ostatecznie stapiamy się z bóstwem, czyli jednak tracimy siebie aż do końca. – Zaczerpnął powietrza. – Dla bydła i maszyn życie wieczne pozostaje zamknięte, to z kolei świat Arymana, boskość posrana.

W jego ręce znalazła się kolejna fiolka, tym razem przezroczysta, wypełniona różowymi pastylkami. Otworzył ją, wsadził sobie do ust, potrząsnął. Opróżnił szklankę do połowy i postawił z taką siłą, że stęchła woda ochlapała porucznika Enkę. A Enka miał już dosyć wszystkiego, zwłaszcza smrodu i zimna bijącego zewsząd w ten czerwcowy dzień. Mógłby zwędrować każde miasto na ziemi, zajrzeć pod każdy kamień – nie widziałby równie chorego człowieka. Przeniósł wzrok na teczkę.

– Niedawno spotkaliśmy ludzi, którzy posunęli się trochę za daleko w tych, no, w tych sprawach – Enka w końcu odezwał się. Mówił ciszej z każdym kolejnym słowem, czując się jak facet, który przychodzi nagi na komunię własnej córki albo na imieninach biskupa pije denaturat wprost z butelki.



– Czy ja im dałem? – Prokop opróżnił fiolkę, kilkanaście pastylek zjechało mu do żołądka. Popił i odrzucił szklankę. Mówił wolno: – Czemu miałem im dać? Zeszyt z zapisem rytuału mógł im spaść pod nogi podczas niedzielnego spaceru. Takie księgi same wypadają z bibliotecznych półek i wiedzą, że zostaną podniesione. Słyszeliście, oficerze, o wolnej woli? O wolnej woli, jak ona nic nie boli.

Prokop poderwał się, załopotał szlafrokiem, przez jego klatkę piersiową przetoczyła się fala wstrząsów. Ence przypominał wówczas faceta, który przyjmuje na siebie serię z karabinu.

– Takie rzeczy się śnią, je się wybiera, woda albo wódka, co straszniejsze w skutkach, każdy tak wybiera, to jest prawda szczerą, można Najwyższego lub kogo innego? – zwrócił się do księdza Gila a w jego spojrzeniu złośliwość mieszała się ze smutkiem. Wyciągnął dłonie przed siebie.

– Niedługo będzie im lepiej, niepotrzebnie przysłiście tu na przedstawienie. Ze mną czy beze mnie wasza droga jest już nakreślona. Poprowadzą was ludzie, jak trzeba to ptaki i kamienie. Pójdziecie tam, gdzie ja byłem, ale mnie z wami nie będzie. – Znieruchomiał i przez sekundę przypominał zwyczajnego staruszka, o którym zapomniały choroby. Wyprężył chudą pierś, chrząknął, skłonił się i szepnął: – Ja już dziękuję.

Jedna z żarówek spaliła się i pękła z trzaskiem. Oczy Prokopa zgasły, otworzył usta i upadł na stół, twarzą do dołu, a każda część jego ciała spadała jakby osobno, roztrzęsione ręce, rozdygotane nogi, pierś, w której właśnie pękło serce. Gil pierwszy był przy nim, obrócił na plecy. Usta Prokopa łapały powietrze. Enka odsunął księdza. Ułożył konającego na podłodze, wrzasnął, wskazując na okno:

– Kotara! Kotara!

Podciągnął Prokopa do pozycji siedzącej. Przytrzymał. Jednym ruchem rozdarł mu koszulę przy szyi, ponaglił Gila. A Gil zupełnie nie radził sobie z

kotará. Nie miał za co chwycić, wreszcie wpił palce, szarpnął, rozdzierając materiał. Wokół gwoździ pozostały strzępy. Ksiądz Gil szarpnął za klamkę. Okno było zabite.

Prokop zacisnął szczęki, zamglone oczy nabiegły krwią. Sztywnym palcem wskazywał na kupkę zużytych żarówek w rogu pokoju.

– Książka! – warknął Enka. Gil natychmiast zrozumiał. Porwał pierwsze z brzegu opasłe tomiszczce i cisnął nim w okno. Szyba pękła, a książka, łopocząc okładkami, pomknęła w dół na spotkanie z betonem. Grzbietem drugiego tomu Gil postrzącał resztki szkła strzępiące się na brzegach framugi i przejął Prokopa od Enki.

Nogi starca już biły ziemię, śmierć obejmowała pierś i głowę, ale palec, sztywny i poczerniały jak gałązka, wskazywał kupę żarówek, że niby tam znajdzie się coś, co przyniesie mu ratunek. Enka podszedł tam płynnym krokiem, rozgarnął żarówki, potłukł je, skaleczył się w rękę. Odślonił podłogę, ale niczego nie znalazł. Tylko słowa zapisane po niemiecku. Stłumił *kurwa*, gdzieś między płucami a gardłem i rozrzucił żarówki dalej, ciskając je o ściany, każdą następną z większą siłą.

– Już nie trzeba – brzmiał głos Gila.

Rozgarniał je dalej.

– Już naprawdę nie trzeba.

Enka wstał i się odwrócił. Widział Andrzeja Gila kucającego przy stole, z nieruchomym Prokopem na kolanach. Ksiądz obejmował mu głowę, usta starca jeszcze się zamykały, ale oczy miał puste. Pierś uniosła się i znieruchomiła. W tej samej chwili żarówki na suficie pękły z hukiem, obsypał ich deszcz szkła, przez okno wpadł ciepły podmuch. A z nim słońce.

Czerwcowy żar wdarł się do środka, a gdy Enka popędził po karetkę, w mieszkaniu zimny był już tylko trup Prokopa.

Porucznik Edward Gula zadawał Gilowi pytanie za pytaniem, ale ksiądz doktor nie rozumiał ani słowa, więc nie odpowiadał. Stali przed bramą kamienicy, ludzie zbierali się na Rynku Podgórskim. Patrzyli. Stała nyska, polonez Enki i karetka – duży fiat pokryty jasnobezowym lakierem. Drzwi z tyłu miał uniesione. Oczekiwały na ciało Prokopa.

Fotograf z pomocnikiem skończyli robotę i palili w milczeniu na ławeczce, odwróceny plecami. Między nimi leżał wielki pentacon, w nim film i śmierć na każdej klatce. Gula wciąż mówił, a Gil zorientował się, że wcale go nie słyszy, jego słowa zlewały się w szum. Za to świetnie słyszał Łukasza Himlera, przezywanego na komendzie doktorem Mengele. Himler stał na lekko rozstawionych nogach i jechał po Ence jak po łysej kobyle.

– Czyś ty, Zbychu, na łeb upadł? Gdzie miałeś oczy? Panienek tam nie było, tylko ty, dziadek i ksiądz, otruł się przecież na twoich oczach. Tym, co ma w domu, można by zabić całe Podgórze i jeszcze starczyłoby dla durni u nas na komendzie. Zbychu, rany boskie, co się z tobą dzieje?

Enka nawet na niego nie spojrzał. Wbijał wzrok w ziemię, co chwilę przenosząc go na księdza Gila. Wyglądał, jakby właśnie sprano go po głowie własnymi wnętrznościami.

Gula w końcu pojął, że rozmowa z Gilem się nie uda, zamilkł i patrzył na chmury leniwie sunące po niebie. Drzwi kamienicy otworzyły się z impetem i wyjechał Prokop na noszach, z zasłoniętą twarzą, niesiony przez kierowcę karetki i młodego milicjanta. Za nimi szła pielęgniarka, wysoka aż do oblędu, o nierzeczywiście czerwonych i pełnych ustach. W jej oczach zawierał się wszechświat, włosy lśniły jak węzowa skóra. Minęła księdza Gila i coś było z nią bardzo nie w porządku, co, Gil zrozumiał dopiero wówczas, gdy trzasnęła drzwiami od karetki.

Kobiety pachną ciałem, perfumami, jeśli pracują w szpitalu, ciągnie się za nimi zimna woń leków. Ale ta dziewczyna była pozbawiona zapachu. Złapał

oddech. Kierowca – szpakowaty mężczyzna koło sześćdziesiątki, z garbatym nosem i nieruchomymi oczyma – załadował Prokopa do karetki i odpalił silnik. Ruszyli, a głos zmarłego rozbrzmiewał w głowie księdza Gila: *Kiedy demon przyjdzie do księdza to pan go poznasz, poznanie to umieranie, nie dziw się i słuchaj, byś nie oddał ducha. Kobieta to Lucyfer, mężczyzna to Aryman, tak się zjawia, tak przyjdą, nie daj się oszukać, świat kłamie, siebie nie okłamuj...*

Zza rogu wyłonił się chłopak na skuterze, o twarzy obojętnej aż po szaleństwo i wielkich pustych oczach. Słuchawki grały na pełnych obrotach, tak że Gil słyszał wyraźnie tępy niemiecki rytm. Chłopak nawet na nich nie spojrzał, tylko dobił do karetki i już się jej trzymał. Zniknął Gilowi z oczu.

Potem na komendzie opowiadano, że ten ksiądz konsultant od Zbycha to może i doktor habilitowany, ale z pewnością wariat, bo kto normalny pada na kolana, między ludźmi i w słońcu, składa dłonie i zaczyna się modlić na głos, zupełnie się nie przejmując, że ktoś usłyszy? Kto o zdrowych zmysłach żegna się na klęczkach, raz za razem, obok radiowozu. *Tak się zjawia, tak przyjdą, nie daj się oszukać, świat kłamie, siebie nie okłamuj.*

Himler i młody milicjant chcieli podnieść Gila, Enka ich odciągnął. Począł, aż ksiądz skończy się modlić, pomógł mu wstać i pociągnął w dół ulicy. Gil oddychał ciężko, ale chciał iść samodzielnie.

– Zawiozę księdza do domu – rzekł Enka. Gil milczał, a Enka mówił dalej: – Niepotrzebnie wpakowałem księdza w to wszystko. Też mam dosyć. Dzisiaj przekażę sprawę komuś innemu, a ten, kto ją poprowadzi, nie będzie już potrzebował księdza doktora. W porządku? To już jest za nami. Nie ma Lipińskich i Prokopów. Już. Wszystko się skończyło.

Przystanęli. Gil podniósł głowę, strzepał z kolan brud ulicy.

– Przepraszam puściły mi nerwy. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Może to szaleństwo jest zaraźliwe. Mogę już iść do domu? – zapytał.

– Jasne. Znaczy nie, zawiozę – poprawił się Enka.

– Nie. Nie. Ja pójdę – szepnął Gil i odszedł bez pożegnania. Słońce grzało go w plecy.

– Już po wszystkim! – wołał za nim Enka, ale Gil już tego nie słyszał. Potrzebował spaceru, wody, a najbardziej snu i ciszy. Podgórze pachniało teraz latem, nigdzie nie było cienia, tylko złoto, żar, ludzie i ptaki. Gil odczuwał ulgę z każdym kolejnym krokiem i wiedział, że musiałby iść tak do końca świata, żeby wreszcie poczuł się dobrze. Wiedział też, że bliżej mu do początku niż do końca i jutro z samego rana zbudzi go telefon od porucznika Enki.

## Rozdział czwarty

### Szpital Przemienienia Pańskiego

Przecucie oszukało księdza Gila. Jeszcze nie wszedł dobrze do domu, ledwo zdjął buty, za butami spodnie, a przemywając twarz, podziękował Bogu za niezwykle ciężkie, ale przecież potrzebne do zbawienia doświadczenie. Już dopadał lodówki i witał się z otwieraczem, gdy rozdzwonił się telefon. Brzmiały w nim i śmiech, i rozpacz księdza Andrzeja Gila. Gil nie odebrał od razu, przeciwnie, otworzył okocimia, odrzucony kapsel z brzękiem wylądował za zlewem. Gil wrócił do pokoju, gdzie między papierzyskami potrzebnymi do habilitacji, tuż obok komputera Mazovia, pod okiem świętego Tomasza z obrazu, podskakiwał telefon. Pozwolił mu zamilknąć. Telefon zaraz zadzwonił ponownie. Twarz, przed minutą umyta, pokryła się potem. Dzwonek za dzwonkiem. Cóż, Andrzej Gil i Zbigniew Enka znali się nie od dzisiaj.

– No, to ja, księżę doktorze – sapał porucznik. – Przepraszam, że zawracam głowę, ale straszny burdel się tutaj narobił.

Otępiały Gil napił się jeszcze, powiódł wzrokiem po pęknięciach na poszarzałych ścianach. Jedno, szczególnie ozdobne, sunęło wzdłuż brudnego okna, załamywało się pod sufitem i biegło dalej, rozwidlając się dokładnie nad habilitowaną głową.

– To było do przewidzenia – rzekł Gil, nie wiadomo po co, bo Enka w ogóle go nie słuchał.

– Przyjechałem, a tam wszyscy biegają, telefony dzwonią jak wściekłe, a każdy patrzy na mnie, jakbym własnoręcznie posłał Prokopa do piachu. Jest ksiądz pewien, księżę doktorze, że powiedział mi wszystko co istotne o

naszym zwariowanym, teraz martwym, dziaduniu?

Ten ton głosu nie podobał się księdzu Gilowi daleko bardziej niż szpary w ścianach i pozbawione goryczki piwo. Pił, patrzył. Powiedział:

– A jak pan sądzi, panie poruczniku?

– Ja ufam księdzu bez zastrzeżeń – zapewnił zaraz Enka. – Nie wie ksiądz, pod kim wisiał Prokop? Bo zwisał z bardzo wysoka.

Gil się pocił, wcale nie dlatego, że w mieszkaniu było gorąco.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– Też nie rozumiem. Wiem za to, że resort już dzwoni, firma, rozumie mnie, ksiądz doktor? Jeden taki gadał ze mną przez pół godziny, wypytywali co, gdzie, po co, choć przecież o tej mszy u Lipińskiego wiedzieli wszystko, pewno więcej niż my – słychać było, że Enka jest zadyszany, ale nie rezygnuje z papierosa. – No i musieliśmy się z Grolą przejechać, pogadać. O księdza też pytali. Teraz każdy trzęsie się przed koloratką. Skurwiele boją się, że dostaną za swoje. – Chrząknął, rzucił z przekąsem: – Nie dostaną, o to akurat jestem spokojny.

Gil próbował poukładać sobie te dziwne słowa, co to jest firma i czemu to skurwiele, a jak zrozumiał, porucznik Enka oznajmił obojętnym głosem.

– Jutro musimy być w Pińsku, tam mają specjalny szpital psychiatryczny, ministerstwo ma. Jak mogę podjechać po księdza doktora? – nawet się nie zająknął. – Pińsk to jednak trochę jest, prawda? To jak, gdybym przyjechał o dziewiętej, byłoby w porządku? Spokojnie, księżo doktorze, to przecież nie jest za darmo.

Piwo w ręce księdza Gila nagle stało się zimne. Pomyślał, że milicjanci muszą mieć niespecjalne zdanie o księżach, skoro chcą ich brać na kasę w takiej sytuacji.

– Niekoniecznie byłoby w porządku. – Chłód brzmiał także w jego głosie.  
– Dlaczego do Pińska?

Enka ciągnął niezrażony.

– Tam siedzi teraz Lipiński z kolegami. Przewieźli ich parę godzin temu. To dość specjalny szpital dla specjalnych wariatów. Musimy wyjechać wcześniej, bo to trochę, właściwie, poza Pińskiem. Ksiądz doktor rozumie, nikt nie chwali się ani takim budynkiem, ani takimi wariatami.

To dziwne, butelka była już pusta. Gil odłożył ją tak nieumiejętnie, że sturlała się po książkach, zostawiając wilgotny ślad, i spadła na podłogę. Ksiądz westchnął, właściwie jęknął. Szukał tego magicznego słowa, które sprawi, że Pińsk, telefon oraz porucznik Enka przeniosą się do innego świata.

– Księdzu się tam spodoba – przypomniał o sobie Enka. – W budynku szpitala był kiedyś klasztor.

Zaległa cisza. Święty, a przecież niewierny Tomasz patrzył spokojnie ze ściany, jakby wiedział, że Bóg wybrał księdzu Gilowi drogę, której nie można zmienić.

– Jak się nazywa ten szpital? – westchnął Andrzej Gil. Palce trzymał już na widelkach.

– To co, jutro ósma trzydzieści, podjadę pod księdza – rzucił Enka. W tle brzmiały głosy, ktoś go nawoływał. – To Szpital Przemienienia Pańskiego, tak mam zapisane. Zdaje się ksiądz o nim wspominał. Mówi to księdzu coś więcej? Ósma trzydzieści!

Na drugim końcu kabla Enka trzasnął słuchawką i popędził do swoich nieszczęść, Gil zaś znieruchomiał, wodząc wzrokiem to po szparach na suficie, to po butelce w kącie, to po papierzyskach do habilitacji, jeszcze niedawno bardzo potrzebnych, a teraz przynależących do zupełnie innego świata – tam, gdzie rosną spopielone domy, a powietrze pachnie pierwszą randką. Westchnął i w tym westchnieniu grała i rozpacz, i nadzieja, a przede wszystkim pytanie o siebie. Potrzebował piwa i dźwięku. „Zatopić, zagłuszyć, księżę doktorze habilitowany, kurwa twoja mać”. I zaraz – „nie



powinienem, nie wolno mi pić”.

§ § §

W lodówce stał rząderek okocimiów błyszczących jak paradne oficerki. Nawet nie pamiętał, kiedy otworzył pierwszego z brzegu i wypił do połowy. Na regale z meblościanki, wciśnięta między książki i segregatory, stała przyłożona adapterem wieża Unity i błyszczała nowością. Wokół niej, pod nią i na niej leżały kasety i płyty winylowe. Włączył radio i opadł na fotel. Wodził palcem po brnirze łuszczącym się na szafie z ubraniami.

A radio grało, ktoś basowym głosem opowiadał o ilości kwintali z hektara, gładko przechodząc do problemu właściwego zbilansowania białka i nawet otepiały Gil tego nie wytrzymał. *Spokojnie, księżo doktorze, to przecież nie jest za darmo*, przełączył, akurat wstrzeliwując się w refren Jana Pietrzaka: *Żeby Polska, żeby Polska, żeby Polska była Polską*<sup>[11]</sup>.

Tak, właśnie tak, a masło żeby było maślane, westchnął Gil i uświadomił sobie, że przecież wybory już za parę dni i może dlatego milicja płaci duchownym i sadza na przednim siedzeniu, zamiast wozić ich w bagażnikach. To przecież nie jest za darmo, ale pocieszenie! Gdyby nawet potrzebował kasy, to co można zrobić z takimi pieniędzmi? Opłacić mszę za Prokopa? Samemu ją odprawić, a forse przepić? Dać biednym, ale czy to na pewno właściwy podarunek? Przełączył stację, zabrzmiał Chopin w tak fatalnej wersji, że Gila aż zemdliło.

Napił się jeszcze i przełączył na adapter. Ze stosu winylowych syngli wygrzebał płytkę w czarno-białej obwolucie, z której patrzył poważny mężczyzna ze starodawnym wąsem i spojrzeniem, którym można by przewiercić granit. Jan Sibelius *Karelia*, op. 11, przeczytał Gil, wygrzebał czarne plastikowe kółko, nałożył je na adapter i właśnie sięgał po ramię, gdy znieruchomiał, zapomniał o adapterze i wyszarpnął książkę z najbliższej

półki.

Klapnął przy biurku, z piwem w jednej i *Historię Kościoła Polskiego 1945-1956* Kulickiego w drugiej. Piwo było nowe, ale książka stara, w okładkach trzepotały luźne kartki, a pierwszą stronę zdobiły orzeł i krzyż w koronie cierniowej, powszechny dla wydawnictw podziemnych.

Otworzył, zaczął kartkować. Przesunął się trochę i na ślepo opuścił ramię adapteru na wirującą już płytę. Przetarł oczy kciukiem i palcem wskazującym, oczekując na pierwszy z kojących dźwięków i nagle ryknęło tak, że Gil mało oka sobie nie wydlubał, podskakując na krześle.

---

---

*Szewc zabija szewca, bumtarara bumtarara*<sup>[12]</sup>.

---

---

Pozbierał się i już pamiętał – tę płytę pożyczył mu jakiś student, bo on, durny ksiądz doktor, ubzdurał sobie posłuchać czegoś nowoczesnego. Nowoczesność – motoryczny rytm perkusji, ściana gitar, krzyk wokalisty, wypływającego w kółko tę jedną linijkę – teraz roznosiła mu głowę i mieszkanie. Ściszył pośpiesznie i wyłączył płytę.

Czy wciąż jest księdzem? Kim jest ksiądz?

„Dobrze, miłosierny Boże, który umarłeś po to, by dać mi życie i nadzieję, Ty, który objawiłeś swoją prawdziwą postać, swoje Przemienienie trzem umiłowanym uczniom, powiedz mi, kim właściwie jestem? Wierzę w Ciebie i kocham, pamiętając o własnych winach, modłę się jak ksiądz, piję jak ksiądz, nie mam kobiet na boku, nie kradnę i nie kłamię, pchasz mnie gdzieś? To Twój plan i Twoi aniołowie? Dlaczego akurat Szpital Przemienia? Czemu to przeklęte miejsce? Krew”.

Gil patrzył w sufit, jakby ten miał się rozsunąć, odsłaniając oko w trójkacie. Ochłonął i poszedł po następne piwo. Oklapnął na krześle i zebrał

myśli. Uniósł głowę i usiłował poukładać sobie wszystko. „Czemu nie umarłem w Stachowartach? Po co ten Karkoszka, jego wesoła gęba? I ta sprawa dziwna, Zbyszek zagubiony? Po co ta sprawa, każdy by chętnie jej łeb urwał! A ona ciągnie się przeze mnie, przez stare rany, przez trup Prokopa. Panie, inaczej się nie dało? Kim jestem? Konsultantem czy może przykrywką? Jeszcze księdzem czy wcale nie? Daj mi choćby swoje milczenie”, prosił ksiądz Gil i właśnie milczenie otrzymał.

Uszczuplił pluton okocimiów i wrócił do biurka. Cisza była nieznośna, Gil jeszcze nie wymyślił sposobu, w jaki się jej pozbędzie. W zamian przypominał sobie sytuacje, w których tron i ołtarz dążyły do wspólnych celów, komu pisano laur, a komu piach i krzyż bez imienia. Albo grób bez krzyża.

Przeklęta cisza.

Włączył adapter, tym razem syngiel poszedł od początku.

Szewc zabija szewca.

Gil zagłębił się w książce, niepotrzebnie, bo świetnie wiedział, co zdarzyło się kiedyś w budynku zwanym teraz Szpitalem Przemienienia Pańskiego. Słyszał tę opowieść jeszcze na studiach, nawet wcześniej, ale mimo to groza była świeża, jakby właśnie odwrócił twarz od trupa. Już to znalazł, czytał, przeskakiwał po trumnach kolejnych słów – dwa miesiące po zajęciu Pińska miejscowy szef NKWD, niejaki Rotfeld, popił z kolegami i pojechał do pobliskiego klasztoru elżbietanek, tak, tego budynku. Żyło tam tylko sześć siostr wraz z przeoryszą, prowadziły szpital, już bez lekarza, którego zabrało wojsko ludowe. Ci pacjenci, którzy mogli chodzić, odeszli, a elżbietanki słały modły, aby śmierć pozostałych była senna i bezbolesna. Historia, która dotąd omijała klasztorny budynek, wróciła w sowieckich butach, siostry zgwałcono i zarżnięto, szpital spalono wraz z pacjentami. Ogień strawił część budynku. Potem przejęło go państwo, Gil już to sobie

poukładał.

Czy ja jestem wciąż księdzem?

---

---

*Szewc zabija szewca. Bumtarara bumtarara.*

---

---

§ § §

– Już zupełnie nie wiem, o co ci chodzi. Człowiek chce zdjąć ci garba z pleców, a ty nie, żebyś jeszcze głową kręcił. Ale ty lepiej, szarpiesz się, chwytasz ten garb i nie puszczasz – tak klarował porucznik Grula, usadowiony na przednim siedzeniu. Enka zaś nic nie mówił, tylko zaciskał palce na kierownicy, aż zbieleły jak rozgrzana stal. Patrzył przed siebie, na leśną drogę, a polonez podskakiwał na wybojach. Enka co chwilę otwierał usta, chcąc coś powiedzieć, ale nic nie mówił. Gil siedział na tylnym siedzeniu, z torbą na kolanach i podskakiwał za każdym razem, gdy polonez pokonywał kamień albo korzeń.

– Mówię po prostu, że mogę zdjąć to z ciebie. Tak naprawdę będzie lepiej. Zupełnie, zupełnie cię nie rozumiem. Przecież ciebie mdli od raportów.

– Edek. Ja cię proszę. To moja robota. Nie chce mi się, ale moja – Enka, odezawszy się wreszcie, uniósł oczy ku niebu przesłoniętemu tymczasowo przez głęboką zielenią. – Ile razy muszę ci to tłumaczyć?

– Ani razu, bo rozumiem od początku. A że rozumiem, to właśnie proponuję.

– Niech cię szlag, Edek, wiesz co?

– No co? Przecież ty nawet tego nie ogarniesz, a jak ktoś chce pomóc, to tylko się wydzierasz. Nie doceniasz pewnych rzeczy, taka jest prawda, Zbychu, bo dla ciebie cała robota to wyciągnąć, strzelić, iść do domu.

– Żesz cię...

– No nie żesz, tylko robota polega na czymś innym, wiesz co to jest praca? Nie ganiecie, załatwianie bohaterów, ale nos w papiery, szukasz, starasz się i masz. A ty nawet żywego nie umiesz upilnować.

– Co cię uwiera, Gula? Myślisz, że ja się pchałem? – Enka uderzył dłonią w kierownicę. – Jak cię znam, zesrałbyś się na pierwszej prostej. I tyle by z tego było. Ja cię proszę tylko o jedno, namyśl się teraz, ale tak porządnie i wymień mi trzy rzeczy, na których znasz się. Tylko trzy. Namyśl się i mów.

Tak rozmawiali, odkąd opuścili Kraków. Enka zapalił papierosa, wystawił rękę przez okno, aby nie udusić Gila. Pęd powietrza zrywał popiół i żar. Gil przytrzymał mocniej torbę, która, nieforemna, nieustannie próbowała uciekać mu z kolan. Miał w niej trzy koszule, bieliznę, zapasowe spodnie, kurtkę wiatrówkę, egzemplarz Biblii tak wymiętoszony i pokreślony, że chyba tylko Gil się w nim orientował, wreszcie kasetkę, tę tajemniczą trzymaną pod kluczem, którą zabierał ze sobą w takie miejsca i której najchętniej w ogóle by nie wyciągał.

Zastanawiał się, czy to przypadkiem nie jest przedstawienie odgrywane dla niego, syczenie, prężenie kołnierzy, kto jest ważniejszy i czy Gula rzeczywiście musiał pojechać z nimi, a nie mógł zostać w domu. Czemu trzymają tego człowieka? Jest tak niezdarny, że trafiłby sobie w tyłek, oddając strzał ostrzegawczy. Czemu ten szpital? Akurat ten – tak myślał, ale spod tej nawałnicy wciąż wyłaniało się wspomnienie utopionej dziewczyny, jej ojciec, martwy Prokop.

Szkoda, że nie zdążył porozmawiać z Enką. Gdy dziś rano zobaczył pana porucznika ciągnącego za sobą Grulę, nogi się pod nim ugięły. Zerkał co chwilę na teczki grube od dokumentów i żałował, że nie może ich otworzyć, a jeśli może – to lepiej, aby tego nie robił.

– Daleko jeszcze? – przerwał.

– Niedaleko – odburknął Enka. – Albo i daleko. Ludzie.

Strzelił niedopałkiem z palca. Jego przedramię, wysunięte za okno, zdążyło przez drogę poczerwieniec. Grula odwrócił się do Andrzeja Gila. Jego oczy patrzyły smutno.

– Mam niezręczną prośbę – zaczął. Z fotela obok zabrzmiało pełne zrezygnowania westchnienie. Grula nachylił się jeszcze, jego prawy bok, bark i ręka właściwie przelewały się przez oparcie.

– Chodzi... Znaczy, zastanawiam się, czy to właściwie jest konieczne. Czy ksiądz, no ksiądz...

Palec Gruli błędził tuż przed Gilem, wskazując na coś pomiędzy nosem a drugim guzikiem koszuli. Minęła dobra chwila, nim ksiądz zrozumiał, że chodzi o koloratkę wpiętą w nasiąknięty potem kołnierzyk.

– Nie wiedzą, że jestem księdzem? – zapytał Andrzej Gil.

– Pewno nie wiedzą – mówił Grula. Żółtawy sweter ze sztucznego włókna capił jak trupiarnia, czy ten facet nie czuje sam siebie? – Po prostu, z księdzem to oczywiście inna sprawa, ale w tym szpitalu były już problemy z duchownymi.

„Wiem, pozabijali ich w latach czterdziestych”, pomyślał ksiądz doktor habilitowany, a na głos powiedział:

– Z materiałów milicyjnych, które mi dostarczono, wynika, że w bezpośrednim sąsiedztwie szpitala, do którego zdążamy, znajduje się kościół – Gil łągał w żywe oczy, bo nie widział ani jednego świstka dotyczącego Szpitala Przemienienia Pańskiego. – Ten kościół pozostaje czynny i jest w nim kapłan.

– W kościele to nie wiem, ale w szpitalu ministerstwa na pewno nie ma kapłana i tam nie przychodzi – wyjaśnił Grula.

– Kochanemu Edziowi chodzi o pewne wydarzenie z początku lat osiemdziesiątych, właściwie aferę, a nie wydarzenie – rzekł porucznik Enka.

Las przerzedził się. – Była akurat Wielkanoc i dyrektor wystarał się o poświęcenie pokarmów u miejscowego księdza. Poprzedniego, jeśli idzie o ścisłość. Wybłagał to u władz. Więc zorganizowali to poświęcenie, większość więźniów, znaczy, pacjentów, przygotowała koszyczki. Różne rzeczy tam powadzali – prychnął. – Oczywiście nie było mowy, żeby pozwolić im przejść obok, do kościoła, więc ceremonię poświęcenia zorganizowano w zakładzie.

Coś mignęło między drzewami. Szaropopielaty cień, jak aleja skamieniałych zwierząt.

– Ksiądz przyszedł, pacjenci się zgromadzili – opowiadał Enka, rozglądając się wokoło. – Jak z kropidła spadły pierwsze krople, zaczęło się piekło. Czterech czy pięciu pacjentów wpadło w szal i to taki, że personel z trudem ich spacyfikował. I tak poranili się nawzajem, ksiądz ledwo uciekł, najpierw ze szpitala, potem z parafii. Dyrektor poleciał na pysk za taki numer, a sprawy właściwie nie wyjaśniono, bo nikt nie wiedział, czemu ksiądz czy to, co trzymał w ręce, tak rozwścieczyło tych ludzi.

Porucznik Gula kiwał głową do słów Enki.

– Rozumiem – rzekł ksiądz Andrzej Gil i zdjął koloratkę. Natychmiast rozpiął kołnierzyk, a jego twarz uległa głębokiej przemianie. Nawet Gula rozchylił usta, czując, nie pojmując. Gil wyglądał inaczej, jakby wraz z koloratką odjęto mu jasność, spokój spojrzenia, delikatność ruchów i inne drobiazgi, niespostrzeżenie zmieniające mężczyznę w księdza. Tymczasem niebo rozpięło się nad nimi błękitnym baldachimem, ptaki śmigały ze świstem, a między rzadkimi już drzewami wznosił się trupiozgniły mur okalający ogród Szpitala Przemienienia Pańskiego, dziś po prostu szpitala Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Zatrzymali się na żwirowanym podjeździe, Enka zaparkował w cieniu kasztanowca między ciemnogrnatowym mercedesem a biedną dostawczą

nyską. Wyszli z Gilem w zieleń, a Gula się wytoczył z teczkami pod pachą.

Za sobą mieli gęstniejące półkole lasu, po lewej biegł mur wysoki na cztery metry, zwieńczony drutem kolczastym. Zza niego dobiegał ledwo słyszalny szum wody. Gorący wiatr owiewał im twarze, powietrze drżało w słońcu. Przed nimi, otoczony przez pasma rabatek, kolorowych, niemalże wyszarpanych z pastelowej książeczki, wznosił się budynek Szpitala Przemienienia.

Jak skamieniałe zwierzę, niedawno wyrwane ziemi, przycupnął między drzewami. Tylko na chwilę. Zastygły w mrugnięciu i półślepy, z zamurowaną częścią okien, chylił się nad kwiatami, żwirowiskiem i trójką mężczyzn zmierzających w jego stronę. Wiatr trącał dach, rozwiewając kurz i ziemię, nad jego skośną linią przekrzywiało się słońce. Boczna linia muru załamywała się w zgrubieniu i dalej biegła pod ostrzejszym kątem. W żadnym z ocalałych okien nie paliło się światło, przeciwnie – zgęstniała ciemność i coś w niej sunęło. Coś, co przypominało gałgan ciśnięty na parapet, rozłożyło skrzydła i pomknęło między gałęzie. Gołęb.

Szpital rozszerzał się ku dołowi i niknął w spulchnionej ziemi, a Gilowi wydawało się, że pod murawą, pod żwirem od budynku rozchodzą się koncentrycznie wybrzuszenia niczym korzenie wiekowego drzewa. Wzdrygnął się, nie, to przecież nic takiego. Schylił się i niezwykle wrażenie zniknęło – najpewniej tworzyły je promienie słońca opadające na trawę. Po lewej stał kościół, w drodze z samochodu widzieli tylko barokową fasadę z ciężką bramą. Rzuciła słaby cień.

Pośrodku budynku widniały wysokie drzwi pomalowane na brązowo. To, że farba się łuszczy, widzieli nawet stąd, tylko czerwona tabliczka lśniła, jakby zawieszona wczoraj. Za to mężczyzna w roboczym ubraniu, z kiepem w nieogolonym pysku nie świecił wcale, a nawet wyglądał, jakby światłu sprzeciwiał się każdą komórką swego niedomytego ciała. Nienaturalnie



wielki na tle bramy, szpitala i wszystkich chorób tam zamkniętych, obserwował Enkę, Gila i Edwarda Grulę spod półprzymkniętych powiek. Cmokał coś i żuł filtr zupełnie jak patyk od lizaka. Cofnął się, patrząc, co zrobiją.

Ruszyli do wejścia. Mężczyzna w roboczym ubraniu nawet nie drgnął. Stał ze skrzyżowanymi ramionami i ćmił papierosa. Grula poszedł przodem, a Enka szepnął księdzu w ucho:

– Tu nie mamy przyjaciół, a inni mają. Uważa ksiądz na każde słowo.

Gil skinął głową. Enka jeszcze ściszył głos.

– Właściwie każdy tutaj jest bydlę, zaczynając od niego – łypnął na mężczyznę w roboczym ubraniu. – Ciec, czyli prawie dyrektor. Służyłby, nawet gdyby musiał do tego dopłacać. Kolega, który tu był ze dwa razy, mówił, że wołają na niego Kiepura, raz, że nie wyjmuje peta z gęby, a dwa, że jak się urznie, to śpiewa.

Ksiądz doktor stłumił śmiech, zmieniając go w krótkie kasznięcie. Grula zwolnił, tak że do Kiepury dotarli we trójkę, jeden rząd. Ten, gdy tylko dostrzegł, że nadciągają, wziął szlauch, odkręcił kurek i woda popłynęła do kratki ściekowej. Stał tak, podparty pod bok i udawał, że niczego nie widzi.

– Dzień dobry – powiedział porucznik Enka.

– Dobry – mruknął ciec Kiepura, nie odrywając wzroku od szlauchu.

– Do dyrektora Frączaka – rzekł Enka, a Kiepura westchnął, cisnął papierosa w wodę i przekręcił szlauch. Wzdychając, jakby dźwigał na plecach wszystkie nieszczęścia świata, wydobył kolejnego radomskiego z brązowej paczki i filtrem wskazał na czerwoną tabliczkę przy wejściu: *Zakład Opieki Zdrowotnej Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Pińsku*. No tak, Ministerstwa.

Grula podał Ence teczkę, a ten w niej pogrzebał, wydobył stosowny papier. Pokazał. Kiepura uniósł swoją ogromną łapę, już chciał papier

chwycić, ale Enka się cofnął. Błysk zdumienia rozjaśnił oczy ciecia, który wydał usta, popatrzył na własne paluchy, umorusane i mokre. Kiwnął głową. Można wejść.

Kiepura zapalił i, pomrukując, włożył klucz do zamka w solidnych drzwiach. Przekręcił, jednocześnie naciskając guzik przy framudze i drzwi otworzyły się bezgłośnie. Ksiądz Gil miał wrażenie, że, jeśli nie liczyć okien, właśnie drzwi są najmocniejszą częścią budynku – grube na dziesięć centymetrów, zbrojone, ze śrubami po bokach. Znaleźli się w sieni, Kiepura poszedł przodem i po chwili spoglądał na nich już przez szybę kantorka. Na nos nałożył sobie okulary w grubej półprzezroczystej oprawie, zapiął też koszulę, a ręce wytarł w ręcznik.

– Kogo wpisać? – mruknął i to mruknięcie miało być chyba gestem pojednania. Enka przycisnął pismo do szyby. Kiepura zanotował nazwiska, pisał, dysząc i wysuwając język przy każdej wielkiej literze.

– Dokumenty jeszcze – rzucił, nie odrywając wzroku od kartki. Enka z Grulą wyjęli legitymacje, a ksiądz Gil paszport, którym posługiwał się, wyjeżdżając do Włoch. Na widok tego rzadkiego dokumentu oczy Kiepurę rozszerzyły się.

– Fiu, fiu – zagwizdał, nacisnął coś i kolejne drzwi stanęły otworem; kątem oka Gil dostrzegł jeszcze, jak Kiepura odgina się na krześle i pali papierosa z wyrazem błogości odcisniętym na czerwonej twarzy. Zaciągnął się kilkakrotnie, zgasił i wyraźnie niezadowolony podążył za nimi.

Zaraz za drzwiami czekał ogromny mężczyzna w fartuchu pielęgniarza. Gilowi kojarzył się z gorylem, którego przemocą ogolono i wysłano na trening do ZOMO. Siedział z założonymi dłońmi, poderwał się na ich widok i zaraz oklapł, zobaczywszy Kiepurę. Enka z Grulą wzięli Gila w środek. Ściany miały kolor brudnej żółci, świeżą farbę znaczyły zadrapania i napisy, zupełnie nieczytelne, dziwne litery i słowa bez związku.

Gil zastanawiał się jeszcze, skąd biorą się ludzie w rodzaju Kiepury i jeśli cieć zachowuje się jak książkę, to byle pielęgniarz tutaj okaże się ważniejszy od prymasa. Wiedział też, że to miejsce różni się od innych szpitali, ale musieli przejść pół korytarza, żeby zrozumiał, czym – tu było czysto. Pamiętał, jak odwiedzał matkę, nawet opłacił lekarzy, ale chyba nie istniała łapówka zdolna wymieść tę furę syfu zalegającą w każdej sali i na korytarzach.

Minęli pielęgniarkę, młodą i chyba ładną – w każdym razie ładniejszą od tego miejsca. Ruszała się niczym modelka na wybiegu, a dobre wrażenie psuła fryzura nastroszona wokół przyjemnej okrągłej twarzy. Dziewczyna na pewno nie spodziewała się gości. Na widok Gila, Enki, a przede wszystkim rozkołysanego Gruli, omal nie upuściła rynienki z lekarstwami.

*Stanisław Frączak* – dyrektor, taką wizytówkę przylepiono do drzwi. Kiepura zapukał, przez głowę Gila przemknęło, że światem rządzą nie dyrektorzy, prezydenci i koronowane głowy, ale ciecie i sekretarki. Jak echo tej myśli zza drzwi zabrzmiało zaproszenie.

W gabinecie znajdowały się same duże rzeczy – mahoniowe biurko, meblościanka, telefon – oraz starodawny telewizor Rubin ustawiony na honorowym miejscu, a przede wszystkim dyrektor Frączak i jego uśmiech. Siwe włosy opadały na kark, policzki wisały jak białe firanki, a każdy palec miał grubość i miękkość niewypieczonego precla. Akurat drobił nimi pokarm dla rybek w zagłonionym akwarium. Okulary na haczykowatym nosie dodawały mu wyglądu dobrotliwego profesora, takiego, co wpisze trójkę, nawet jeśli student powie, że Himmler to sposób mrożenia fasoli, a Goering walczył o prawa Czarnych w Meksyku. Nosił szykowną marynarkę i spodnie w kant.

Jowialnym gestem zaprosił do środka. Telewizor chodził, ale głos był wyłączony. Jak to w rubinach, kolory się pokiełbasiły i zielonkawe Fasolki

tańcowały przed różowym Krzysiem z Tik-Taka. Kiepura wsunął się przed Enkę.

– Panowie są z milicji. Papiery są. Przyszli do dzieciuchów.

Gil przejechał dłonią po miejscu, gdzie zwykł nosić koloratkę. Frączak skończył więc karmić rybki, odstawił pokarm i podbiegł, ściskając każdemu dłoń. Tylko Grula przebił go w wylewności. Dyrektor skończył się witać i łopocząc połamami brązowego garnituru popędził w kierunku biurka.

– Panowie siądą – jego głos zadudnił. – Można zobaczyć to pismo?

Krzesła stały przy ścianie, niezadowolony Grula ruszył w ich kierunku, a Enka podał dokument Frączakowi. Dyrektor poprawił okulary, zaczął czytać i nagle twarz rozpląnęła mu się w nabożności, znać, że dotarł do faksymile podpisu, imię, nazwisko – Czesław Kiszczak. Te dwa mocarne słowa ożywiły Frączaka, rzucił się zza biurka, niemal wyrwał Gruli krzesło i zaraz dostawił dwa następne. Gil i Enka wymienili spojrzenia.

– To jak mogę pomóc, panowie? – zagadał, splatając dłonie. – Jak długo tu jestem, nie przyjechał nikt spoza resortu.

– My też z resortu – przypomniał Enka.

– No, ale nie z Warszawy. Może koniaku?

Pokręcili głowami. Gil niemal niezauważalnie.

– Jesteśmy w sprawie tych pacjentów przywiezionych wczoraj – wyjaśnił Enka. – Trochę więc zostaniemy.

– Ja się domyśliłem, że to o nich chodzi. Od wczoraj ruch jak nigdy. Przecież po to jestem, aby takie sprawy raz-dwa załatwić – zapewnił Frączak.

– Panowie dostaną pokoje, mamy takie dla gości. Jest też miejsce do przesłuchań, to znaczy pokoik, który można do tego wykorzystać – tłumaczył, machając rękami. – Za pół godziny będzie obiad, akurat panowie zdążyli. Więc pan tutaj – wskazał na Kiepurę – pokaże, gdzie będziecie spali, zjemy i zabieramy się do pracy.

Zatarł ręce.

– W jakim stanie są pacjenci? – zapytał Andrzej Gil, czując się jak w serialu kryminalnym.

– Z tego, co wiem, to w zaskakująco dobrym, panie oficerze, dwóch już nawet opuściło izolatkę. Po obiedzie skieruję do was doktora Wasilewskiego, on wam powie o szczegółach. Tyle pracy, panie oficerze – mówił, patrząc na Gila. – Na początek pościel i dobre jedzenie. Jeszcze raz, kogo mam anonsować?

Brzmiało to jak *anqsować*.

Enka i Grula przedstawili się wraz ze stopniem, twarz Andrzeja Gila przeciął uśmiech.

– Ksiądz Andrzej Gil – powiedział spokojnie. Wydobył portfel, a stamtąd obrazek ze świętym Antonim. Położył go przed oniemiałym Frączakiem i powiedział: – To dla pana, dyrektorze.

I wyszli za Kiepurą, pozostawiając Frączaka jego własnemu zdumieniu. Gil myślał, że Enka będzie się złościł, ale zaraz jak znaleźli się na korytarzu, pan porucznik nie zdołał stłumić śmiechu i poklepał go po ramieniu.

§ § §

Ksiądz Gil już rozłożył swoje rzeczy, znalazł nawet goły gwóźdź, na którym zawiesił krzyżyk by czuć się bezpieczniej. Wyjął też Pismo Święte i kasetkę – Biblię położył na środku stołu, a pudełko schował w szafie pod torbą z ubraniami. Usiadł na tapczanie, podciągnął kolana pod brodę i usiłował odpędzić ponure myśli zabawą, która właśnie wpadła mu do głowy. To proste w założeniu i niemal niemożliwe do wykonania – znaleźć jeden drobiazg wyróżniający ten pokój z wielkiego uśrednienia. Niestety, ani prosty regał, ani brązowy tapczan, dla Gruli z pewnością zbyt mały, ani nawet ściany w groszkowej zieleni z jaśniejszym pasem na wysokości ramion,

słowem nic nie wyróżniało tego pokoju spośród tysięcy innych pokoi w ośrodkach wypoczynkowych. No, ale to nie był ośrodek wypoczynkowy. Gil pomyślał, że Szpital Przemienienia to ostatnie miejsce nadające się do wypoczywania.

Wstał. Nie, jednak są jakieś różnice. Na przykład łazienka w ciemnych kafelkach, z których żaden się nie chwieje ani nie jest utłuczony, a brodzik błyszczący bielą jak zęby modelki z Ameryki. I obok kontaktu to dziwne, a przecież potrzebne urządzenie, skrzyneczka nie większa od paczki papierosów i dwa przyciski na skrzyneczce, jeden z napisem *pielęgniarka* pod spodem i drugi niepodpisany. Gil westchnął i wziął prysznic. Woda była ciepła i jakaś dziwna, jakby nic w niej nie żyło.

Wytańił się we własny ręcznik, ale zapomniał o stopach i wrócił do pokoju, pozostawiając mokre ślady. Narzucił koszulę, ale jej nie zapiął, za to rozsunął firanki i pozwolił opromienić się słońcu. Ot i kolejna różnica, tym razem do przewidzenia. Kraty, takie, że ich traktorem i żelazną liną nie wyrwiesz. Zastukał w jedną paznokciem i stwierdził, że potrzebuje innych dźwięków. Włączył więc radio ustawione na specjalnej półeczce, niepodłączone do anteny wydawało tylko brudny szum.

Zgasił więc radio, ubrał się i zaczął krążyć po pokoju bez wyraźnego celu. Widział mur i drut kolczasty spleciony na jego szczycie. Wrócił i z braku lepszego zajęcia zaczął przyglądać się ścianom. Stwierdził, że przemalowano je niedawno, ale nieudolnie, widział zgrubienia po gipsowaniu i coś jeszcze, coś, co z początku wziął za omam. Podstawił krzesło pod drzwi, wszedł na nie i dotknął ściany. Teraz już nie miał wątpliwości. Posłał smutny uśmiech w głąb siebie samego.

W tym pomieszczeniu, gdzie na co dzień nocowali pracownicy służby bezpieczeństwa i lekarze na ich łańcuchu, przez długie lata wisiał krzyż. Ślad odcisnął się na ścianie. Nie zdołano go dobrze zamalować albo nikt nie chciał

tego zrobić.

§ § §

Zeszli się na korytarzu, właściwie się zderzyli, a jeszcze właściwiej – Gil wpadł na Grulę, który wytoczył się z za rogu. Grola wymruczał przeprosiny. Woda kolońska, którą się skropił, tylko wzmocniła odór jego swetra.

– Bardzo porządne pokoje – powiedział Grola, chyba szczerze. – Szkoda, że to takie miejsce. Zielono wszędzie. Mógłbym z dziećmi jeździć.

– Ile dzieci ma pan porucznik? – zapytał Gil. Ruszyli korytarzem.

– Trójkę. Zawsze się żłoszczę na wyjazdy służbowe, bo powinienem spędzać czas z nimi. Mówię księdzu, nie jest dobrze być dzieckiem milicjanta. Nawet Zbyszka rozumiem – dodał, ocierając usta.

– No tak – przytaknął ksiądz Andrzej Gil, myśląc, że Grola musi mieć jakieś jasne cechy, jeśli nie liczyć posiadania duszy. Choć w istnienie duszy oficera Grola Gil nie wątpił wyłącznie z przyczyn zawodowych.

– Moim zdaniem to niedobrze, że księża nie mają dzieci. Niech nie mają kobiet, to miałyby nawet jakiś sens. Ale każdy, księżę doktorze, tak mi się wydaje, każdy właśnie powinien mieć dzieci.

– Poza porucznikiem Enką, zapewne – uzupełnił ksiądz Gil i spojrzał za siebie. Zwolnili, bo Enka właśnie zamknął swój pokój i szedł w ich stronę. A Grola się roześmiał:

– No nie, no nie! Po prostu nie czas na niego.

Enka dołączył do nich i zaraz przystanęli. Nikt nie wiedział, w którą stronę powinni pójść, a słaby zapach jedzenia zdawał się dochodzić zewsząd, nawet spod podłogi. Gil rozejrzał się bezradnie i jego wzrok padł na pielęgniarkę, młodą i ładną. Maszerowała, jakby właśnie przeskakiwała pagórki i chmury. Zeskoczyła akurat przy nich i Gil stwierdził, rzeczywiście jest prześliczna, długonoga, o jasnych oczach, z piegowatym noskiem i

uśmiechem, który nie schodził z jej twarzy.

– Zaprowadzę na obiad panów oficerów – powiedziała.

Ledwo spojrzała na zaaferowanego Grulę, z ociąganiem prześlizgnęła się po Ence i utkwiała wzrok w Gilu. Ten nie miał niczego, nawet koloratki, żeby się osłonić. Jej uśmiech stał się jeszcze bardziej promienny. Enka wyszczerzył się złośliwie. Grula zaś sapnęła:

– No to chodźmy. Głodny jestem.

Pielęgniarka poszła przodem, Gil za nią i widział aż za dobrze dwa jędrne, twarde pośladki kręcące się w najlepsze pod zbyt obcisłym fartuchem. Pamiętając jej świeże spojrzenie, z każdym drzeniem kształtnego tyłeczka ksiądz Gil obiecywał sobie, że odtąd będzie nosił koloratkę nawet na plaży i do pidżamy.

Drzwi do jadalni były zamknięte. Na wysokości oczu wisiała plastikowa ramka, ozdobiona napisem *Smacznego*, a w nią włożono karteczkę z jadłospisem na dziś. Na śniadanie wariat i jego lekarz wsuwali ser żółty z kielbaską, do tego bułeczki, masło i dżemik. W porze obiadowej zdrowy i chory na umyśle mogli się posilić ziemniaczanką, gulaszem z ziemniakami i kapustą, do tego kompotem i kisielem dla smakoszy. Wreszcie kolacja, czyli parówki z musztardą do woli i herbatą. Gilowi chciało się śmiać z dziwacznych skrótów: „gul. woł. + ziemn + sur z kisz. kap.”

– Trochę tu mało zdrowo jak na szpital – wyrwało się księdzu Gilowi, a pielęgniarka, pielęgniareczka pchnęła drzwi, nie zapominając o uśmiechu. Zabrzmiał gwar wielu głosów, który natychmiast umilkł, gdy tylko Grula, Gil i Enka przekroczyli próg. Ciszę mąciło tylko chichotanie żeńskiego personelu i miarowe siorbanie pielęgniarzy. Wariaci jedli w milczeniu albo wbijali nieobecne lub nadobecne oczy w nowo przybyłych.

Dla Enki i Gruli sala jadalna była zwyczajnym pomieszczeniem, tyle że zakratowanym i dość dużym, ale Gil natychmiast rozpoznał w tym miejscu



refektarz. Przy głównym, ustawionym w poprzek stole dyrektor Frączak zastąpił siostrę przeoryszę. Siedział w towarzystwie Kiepury, który na tę okazję umył sobie dłonie i założył dżinsową koszulę, oraz jeszcze jednego mężczyzny, prawdopodobnie Wasilewskiego. Ten jako jedyny nie zdradzał zainteresowania gośćmi i gapił się w stół, garbiąc się, dzięki czemu jego łysina jaśniała jak dolina księżycowa. Reszta lekarzy przycupnęła obok, przy mniejszym stoliku. Usiłowali nie patrzeć po sobie, wodząc oczyma to po talerzach, to po krawędzi blatu lub pustych ścianach. Łysieli, mieli brody lub wąsy albo przynajmniej plamy wątrobowe na dłoniach zniszczonych od ratowania życia i zdrowia.

Pielęgniarki siedziały po lewej, a między stołami krążyły kucharki w białych czepcach i o pulchnych dłoniach. Z drugiej strony Frączaka oskrzydłali pielęgniarze, ponure draby o niskich czołach i mętnych spojrzeniach, takie, jakich widywało się czasem w piwnicznych katowniach. Zezowali co chwilę na pacjentów. Ci jedli w milczeniu, usadzeni przy dwóch długich stołach.

Pielęgniarka-pielęgniareczka wskazała im miejsce, przyspieszyła i usiadła wśród koleżanek. I znów popatrzyła na księdza Gila. A ten znów spuścił głowę.

– Witam! Panowie proszę do nas! – dyrektor Frączak poderwał się z krzesła. Jeśli ktoś nie patrzył jeszcze na nowo przybyłych, zrobił to w tej chwili. A rozpromieniony Frączak kiwał ręką i prawie że rwał się do klepania po plecach: – Zapraszam serdecznie panów oficerów i księdza dobrodzieja!

Na dźwięk ostatnich słów, wpatrzona w Gila pielęgniarka-pielęgniareczka otworzyła szeroko swoje brązowe oczy, nachyliła się do koleżanki i zatoneła w szeptach. Tamta coś tłumaczyła jej pilnie, obie kiwały głową, aż pielęgniarka-pielęgniareczka spłoszowała jak dziecko złapane na gorącym uczynku, ale uśmiech, który wrócił na jej twarz, nie był ani dziecinny, ani

niewinny. Gil nie patrzył już w jej stronę, Grula owszem, a Enka obszedł pacjentów, chcąc przyjrzeć się pielęgniarzom. Siedziało ich czterech, w tym ten podobny do małpy, a dwóch następnych było z pewnością z nim spokrewnionych. Uwagę Enki przykuł czwarty, drobniejszy, zgarbiony nad zupą. Tamci trzej nieustannie zerkali na salę. Ten jadł i próbował nie patrzeć na nikogo.

– Proszę, proszę – rzekł Enka, który poznał, z kim ma do czynienia. – Cóż to, Tutuś, zostałeś pielęgniarzem?

Właściwie to nie powiedział *pielęgniarzem*, ale *pijelęnijjarzem*, co wystarczyło w zupełności, by były posterunkowy zeszywniał z łyżką uniesioną w geście podobnym do tego, który wykonuje ciężkozbrojny rycerz szykujący się do sparowania ciosu. Zamrugał jednocześnie z przestachem i nagle spojrzenie mu się rozjaśniło, a zrywając się z krzesła, już cały promieniał.

– Dzień dobry! Dzień dobry serdecznie, panie kapitanie!

Już potrząsał mu rękę, cały uszczęśliwiony. Wszystkie oczy były na nich zwrócone, pielęgniarze patrzyli z podejrzliwością.

– Dobrze, że akurat tu pracuję, pan kapitan wie, pomogę jak trzeba, a trzeba dobrym ludziom, prawda? Wszystko tu pokażę, w papierach porządek, jak zawsze u mnie, panie kapitanie. Pamiętam, jak pan kapitan powiedział mi, że jestem porządnym człowiekiem.

Porucznik Enka zdążył jeszcze się ucieszyć, że nie zwariował, bo mógłby trafić do takiego miłego miejsca i pod opiekę ludzi w rodzaju Tuty, no, dodał sobie na pocieszenie, ten to przynajmniej jest zwykłym milicjantem, a nie małpą z kazamatów służb specjalnych czy durniem oderwanym od pałki i okładania przechodnia.

– To co, znudziło się wam w Olszynie? – Enka przybrał oficjalny ton, a Tuta wypiął pierś i otarł usta z zupy.

– Gdzie tam znudziło. Tam cisza, spokój, ale awansowałem, to trzeba się pomęczyć – ściszył głos. – W resorcie, w resorcie, tu tylko przejściowo – cieszył się. – A i tak po cichutku da się przeciągnąć, jestem milicjantem i mam dodatek jak pielęgniarz, to i to, czyli doceniają. A pan kapitan, co u nas, w takim miejscu?

– W takim miejscu – przyznał Enka, poklepał Tutę po ramieniu i wrócił do swojego stolika, gdzie Frączak wciąż się radował, a ksiądz Gil spoglądał w zupę wzrokiem pełnym melancholii. Zezował co chwilę na gulasz, który jadł Kieपुरa. Kiedy upora się z ziemniaczanką, dostanie właśnie taki.

– Później przedstawię panom cały personel. I ustalimy, jakiej to pomocy zespół operacyjny od nas oczekuje – mówił Frączak, wiosłując łyżką. – Może was to dziwi, ale w ramach psychiatrii humanistycznej, którą się tu kierujemy, personel jada razem z chorymi. Pacjentom szalenie to dobrze robi – zawiesił głos.

Jak szarpnięte sznurem, głowy Enki, Gila i Gruli uniosły się znad talerzy. Kilku chorych zerkało w ich stronę, ale w tych umęczonych oczach nie sposób było znaleźć cokolwiek dobrego. Były jak drzwi, które zatrzaśnięto dla wszelkiej nadziei. Gil pomyślał, że dyrektorzy ze zwariowanymi pomysłami są chyba tradycją w tym szpitalu.

– Mieli już panowie do czynienia z chorymi psychicznie? – zagadnął Frączak, ale nie czekał na odpowiedź, a może nie chciał jej doczekać. – Mnie w ogóle, towarzysze – rozochocił się jeszcze bardziej – zdumiewa postęp, ale tu najbardziej. Wyobrażam sobie, że jeszcze sto lat temu tacy chorzy jak tutaj siedzieliby w stalowych klatkach, robili pod siebie – przełknął zupę – i chodzili na elektrowstrząsy. Rozumiecie dobrze, żadnej nadziei, żadnej bliskości.

– Ole! Ole! Ole! Nie damy się, nie damy się! – wrzasnął ktoś z sali i zaraz dorzucił: – Alleluja! Alleluja!

Gil pokiwał głową. Pewnie, że rozumiał. Łyżka zniknęła w zadowolonych ustach Frączaka.

– Jeśli cofniemy się jeszcze dalej, popatrzymy na historię, to zrozumiemy, że trzysta, pięćset lat temu część tych nieszczęsnych ludzi spłonęłaby na stosach, zadręczono by ich w lochach albo po prostu by ich zlinczowali. A teraz proszę, zmiana, siedzimy tutaj, jemy razem obiad. Humanizm, towarzysze.

Twarz porucznika Enki pofałdowała się, jakby rozwiązywał wyjątkowo trudną krzyżówkę i nagle, w jednym błysku myśli, odsłonił wszystkie właściwe słowa.

– No dobrze – rzekł, zezując w stronę kuchni – mnie też fascynują takie rzeczy, ale przyjechałem tu do pracy. Pokój przesłuchań ciągle macie? I inne drobiazgi. Nie mogę marnować czasu. Żeby mi ta nowoczesność w robocie nie przeszkadzała – dodał, małpując głos z kroniki filmowej.

Frączak aż sapnął, kąciki ust zjechały mu gwałtownie, wielkim wysiłkiem podciągnął je z powrotem w uśmiech.

– Bez obaw, panie oficerze – rzucił jowialnie. Enka dostrzegł, że Gil ze wszystkich sił toczy walkę, żeby się nie rozeźmiać i że wyciąga z siebie dla tego zmagania siłę pustelnika szarpiącego się z demonami. Wjechało drugie, pogniecione ziemniaki opryskane sosem i odrobina wodnistego gulaszu.

Enka przyglądał się pacjentom. Trącił Grulę, wymienili parę zdań.

– Ten facet na przykład – Grula zagadał Frączaka za plecami porucznika Enki – brodaty, co to za jeden?

Wskazywał na staruszkę w marynarce narzuconej na szpitalną koszulę. Enka nie mógł określić wieku tego mężczyzny – gdyby zgolić brodę, żywcem wyrwaną z Księgi Rodzaju, jej właściciel mógłby odmłodnieć o dwie dekady. W niepokojący sposób przypominał mu Prokopa. Aż się wzdrygnął. To dobrze, że Grula zapytał. Enka dopiero teraz skojarzył, że

staruszek jako jedyny w ogóle na nich nie spojrział, tylko spokojnie nabierał swoją zupę ruchem maszyny, ze wzrokiem przybitym do talerza. Co chwilę, bardzo spokojnie, ocierał sobie brodę i wracał do jedzenia. Enka był pewien, że stary słyszy każde ich słowo i z jakichś przyczyn ma je w czterech literach. Wariat to wariat.

Frączak wskazał go widelcem i szepnął tak cicho, że ledwo go słyszeli.

– Piotr Minder-Koszutski. Kto by pomyślał, że on tutaj trafi?

Enka pomyślał, że w podobnym tonie dyrektor cyrku chwaliłby się jakimś dziwnym zwierzęciem. To nazwisko nic nie powiedziało milicjantom, ale Gil był wyraźnie poruszony. Chciał coś powiedzieć. Zamilkł jednak i tylko wpatrywał się w staruszkę. Ten nic sobie z tego nie robił, jadł dalej, aż skończył zupę, mechanicznie podsunął sobie drugie i zaczął machać widelcem. Wariat obok, w którym rozpoznali jednego z grupy Lipińskiego, robił wszystko, by nie patrzeć w jego kierunku.

– Nazywają go tu Profesorem – dodał Frączak. – Mamy go od kilku tygodni, a już wyrobił sobie mir u pacjentów.

– No tak – rzekł odruchowo Enka, zastanawiając się, co sprawiło, że wystarczyło wspomnieć o Minderze, a z Frączaka zniknęła cała krzykliwość. Wypatrzył jeszcze trzech ludzi od Lipińskiego. Poznali go, dwóch usadzonych naprzeciw siebie szeptało gorączkowo.

– Alleluja! Alleluja! – to wrzeszczał pięćdziesięciolatek o wyglądzie kloszarda, w białym podkoszulku i spodniach od pidżamy tak podwiniętych, że wszyscy świetnie widzieli włochate nogi i sińce na tych nogach. Frączak już jął klarować Gilowi, że ten wariat, niejaki Pilcha, rzuca się na stopnie i trzeba go wnosić na piętro, inaczej się pokaleczy, no, czasem właśnie się kaleczy i stąd te sińce. Pilcha tymczasem uniósł się znad talerza, jedną rękę położył sobie na brzuchu, drugą przycisnął do ucha i zaśpiewał brudnym basem: – Płonie babilon na Manhatanie, gontyna diabła pali się, pali się i

nigdy nie zagaśnie, chuje katolskie cieszą się! Cieszą się, bo to oni podpalili...

– Szajbus, jak cię proszę – Frączak stłumił warknięcie.

Pilcha śpiewał dalej, niezrażony:

– ...oni złego doszczętnie zniszczyli, o Chrystusku, Chrystusku, Chrystusku, tyś najlepszy w świecie jest! Alleluja! Alleluja!

Ostatnie *alleluja* złamało się w skrzekliwym śmiechu. Adam Pilcha, zwany również Szajbusem, roztrącił innych jedzących, gnając w kierunku stolika z Frączakiem. Rozkładał ręce szeroko, nawet do tyłu, przecież nie można za bardzo biec w ten sposób.

– Szajbus! – To ochroniarz poderwał się znad talerza. Zaciskał pięści. – Szajbus! – powtórzył – Weź może daj sobie spokój. Nie przy gościach.

Szajbus natychmiast się skulił, tak posłusznie i śmiesznie, opuścił dłonie i jął wycofywać się w stronę swojego miejsca. Odbił się od ziemi, wylądował na stole, omijając gęsto rozstawione talerze i szklanki z kompotem. Wybuchnął śmiechem, wskazał palcem wprost na Gila, wrzasnął jeszcze:

– Alleluja!

Ochroniarz już zmierzał w jego stronę. Szajbus ocenił sytuację, wykonał ruch, jakby szykował się do przeskoczenia na stół obok i znieruchomiał. Coś szarpnęło nim od środka, jak gwałtowny skurcz żołądka, a Enka mógł przysiąc, że wianuszek włosów wokół białej łysiny nagle podnosi się ciągnięty tajemniczą siłą. Szajbus sapnął, spotulniał i wrócił na swoje miejsce bez pomocy pielęgniarza, który stał, wyraźnie zdziwiony, z rękami już wyciągniętymi do chwycenia za fraki. Uwadze porucznika Enki nie uszło, że ochroniarz i Szajbus zerkają z niechęcią na tego samego człowieka, profesora Mindera-Koszutkiego.

Frączak skończył już jeść i nerwowo popijał kompot.

– Wybaczcie, towarzysze. – Jego ręka wylądowała na ramieniu

niezadowolonego Gruli. – Jak sami widzicie, u nas to jednak nie uzdrowisko. Ale staramy się żyć jak jedna wielka rodzina.

Enka popatrzył na grube łapska pielęgniarki i pomyślał, że może to i dobrze, że on, Enka, akurat rodziny nie ma.

Dyrektor zabębnił łyżeczką o stół. Oczy pacjentów zwróciły się na niego, nawet Minder-Koszutski odłożył starannie sztucce i podniósł ciemne, nieodgadnione spojrzenie. Tylko Szajbus interesował się własnymi stopami i kiwał się na krześle. Frączak wstał, przed sobą rozłożył kartkę z notatkami, poprawił okulary.

– Najmilsi – powiedział. Szajbus się zaśmiał, a w tle tego śmiechu zabrzmiał drugi, słabszy, właściwie chichot, brzęczący niczym szkło. To śmiała się posiwiata kobiecina na końcu sali, odsłaniając czarną szczękę.

Frączak zastukał raz jeszcze.

– Najmilsi – powtórzył. – Mam nadzieję, że wszyscy wiedzą, że demokracja ludowa wchodzi w kolejny zakręt. Po każdym zakręcie zaś jest prosta droga w słońcu. I my właśnie w tę drogę skręcamy, w zmiany ku lepszemu. Nasz szpital, jak każdy zbudowany rękami przyjaciół Polski Ludowej, wchodzi w nowe rozumienie demokracji.

Po lewej stronie kaszlał były posterunkowy Remigiusz Tuta.

– Wszyscy jesteśmy ludźmi – ciągnął Frączak – takimi samymi ludźmi, żyjemy wspólnie i razem budujemy lepszą przyszłość. Przyszłość jest tak samo ważna jak przeszłość i teraźniejszość. Nigdy nie zapominamy, że jesteśmy ludźmi, a człowiek to dziś obywatel, obywatel ma bowiem prawa, ale i obowiązki. Jest to podstawą demokratycznego i ludowego humanizmu.

– No właśnie – skwitował cicho Edward Grula. Enka z Gilem nie wiedzieli, o co mu chodzi.

– Jutro jest ważny dzień, w którym każdy z nas może podjąć decyzję w zakresie losu naszej socjalistycznej ojczyzny, właśnie tej, która wykształciła

nas i nakarmiła. Mamy wybory i każdy obywatel ma prawo głosowania. A prawo to obowiązek wykonania właściwego wyboru.

– Tak ich wypuszczą na miasto? – Gil nachylił się do porucznika Enki.

– Niech mnie, jeśli on nie kandyduje – odszepnął Enka. Gula się zasłuchał, a Szajbus z bezzębną kobiecina znów zaczęli chichotać.

– Jutro rano zorganizuje się komisję – dyrektor Frączak przeszedł do konkretów – każdy otrzyma kartę do głosowania, a wraz z nią szansę na właściwy wybór. To nie tylko test dla kraju, ale dla nas wszystkich, czy zdołamy nie ulec pokusom i właściwie ocenić pracę i trud innych obywateli, którzy przez pół wieku budowali nam domy. – Przełknął ślinę, dodał: – Nasze domy. Teraz możemy się odwdzińczyć.

– Alleluja! – wrzasnął Szajbus.

Frączak skończył i usiadł, wyraźnie z siebie zadowolony. Kilku pacjentów, w tym Szajbus, biło brawo, ale tylko on jeden się śmiał.

### § § §

Obiad dobiegł końca, pacjenci rozchodzili się lub byli odprowadzani. Pierwszy wyszedł Minder-Koszutski, zniknął też Szajbus i bezzębna kobiecina zwana Królową. Maruderzy dojadali swoje porcje, zerkając w stronę głównego stołu, chłonąc informacje. Ence nie podobał się taki jeden gówniarz, przystojniacha, ale w typie oślizgłym. Specjalnie jadł ślamazarnie i zezował spod grzywki na boczek. O zamglonych oczach, ubrany w pełen strój szpitalny wyglądał, jakby urodził się w tym miejscu.

– Czyli coś już wiemy – Enka zwrócił się do Frączaka, odprowadzając wzrokiem zgaszonego Remigiusza Tutę. – Te wybory będą przez cały dzień? Strasznie dużo ruchu.

– Wiem, wiem. W teorii to jasne, ale po prostu sproszę tu pacjentów i do obiadu powinno być po wszystkim. Nie ma sensu tu ludzi trzymać.



– Średnio to obywatelskie – rzucił od niechcienia porucznik Enka. – Co, jeśli ktoś zbudzi się ze stuporu dopiero po obiedzie, zobaczy, że komisji nie ma, przerazi się, że już nie odda głosu, że nie wybiorą, na przykład towarzysza Jerzego, wpadnie w szal i narobi nam kłopotu – dostrzegł, że Frączak otwiera usta, a po skroni sunie mu pot – oczywiście, nic się nie dzieje, ale póki co, proszę pamiętać, że awantury nie są nam na rękę.

Frączak sapnął.

– Czego potrzebujecie?

– Tylko spokoju. – Zerknął na Gila, gaworzącego z Grulą o niebieskich migdałach. – Chętnie porozmawiałbym wieczorem z personelem, teraz zerknąłbym w papiery. Jeśli są przygotowane.

Frączak przytaknął. Młody człowiek zerwał się od stolika, potracił łysego czterdziestolatka, zainteresowanego głównie łapaniem oddechu i wylądował przed Grulą, potrząsnął mu dłoń i już był przy Gilu. Jego też uścisnął i coś klarował, wywalając oczy. Do Enki dotarły pojedyncze słowa, coś o jamach, cieniach i bramach.

– Młody! Daj może spokój – warknął Frączak, ale Młody nie dał spokoju. Przeciwnie, potrząsnął Gilem, uwiesił się na nim tak, że księdza doktora przygięło. Ochroniarze już wstali. Frączak w skalkulowanym odruchu litości kazał im się zatrzymać. Zawołał w kierunku stolika.

– Filemonie, byłbyś tak miły? Weź go ze sobą.

Łysy zerwał się natychmiast, delikatnie odciągnął Młodego, który do ostatniej chwili próbował przekonać do siebie księdza Gila. Mamrotał i obmacywał. Filemon szepnął mu coś do ucha, delikatnie chwycił za nadgarstki.

Młody się uspokoił, łagodna fala przeszła przez jego ciało, chwycił Filemona pod rękę. Tak odeszli. Frączak nachylił się do Enki z szelmowskim okiem, że niby świetnie się dogadają.

– Młody to akurat był wasz człowiek. Dali go do cudotwórcy, dziwna sprawa. Ten facet, Albin Oldsold, leczył ludzi, podobno cudownie, rany się zablizniały, niby był nasz, ale niebezpieczny, to Młodego mu przydzielono. Niby na ucznia. Panowie się zżyli – opowiadał Frączak – ale historia skończyła się smutno. Albin odkrył, kim naprawdę jest Młody, załamał się, no i, jak to bywa, znalazła się gałąź i sznur. Młody próbował nawet biznes przejąć, ale nie dał rady. Poczucie winy, tak myślę. A wasz człowiek, jak mówię.

Stary cap sądzi, że jesteśmy z pionu, który zarządza tym szpitalem, pomyślał Enka i postanowił nie wyprowadzać go z błędu. Odprowadził wzrokiem Młodego, któremu kolana ciążyły ku sobie jak namagnesowane, klepnął Frączaka po przyjacielsku i odparł:

– Nie. Teraz to już wasz człowiek.

§ § §

Enka wracał do pokoju obciążony teczką pełną dokumentów, z wolną ręką zawadiacko wepchniętą za pasek od spodni. Kłaniał się pielęgniarce, ignorował usługowe skłony pielęgniarzy, a wyciągnięte dłonie personelu ścisnął niechętnie i z ociąganiem, za to ochoczo i natychmiast poklepał księdza doktora habilitowanego, który właśnie mordował się z drzwiami swojego pokoju.

– I co? Obsłinił księdza dobrodzieja? Zwariować można z tymi wariatami – zagadnął Enka. Gil był blady, tylko usta miał popielate.

– Wszystko dzieje się po coś, nic bez celu – odparł filozoficznie ksiądz Andrzej Gil i wręczył pomietą serwetkę, najwyraźniej zabraną ze stołówki. Enka rozprostował ją, przeczytał kilka słów, zmarszczył czoło.

– Ktoś od Lipińskiego chce się jutro z nami widzieć – powiedział to, co już było wiadome. – Właściwie chyba to bardziej z księdzem niż ze mną –

oparł się o ścianę, skrzyżował ramiona na teczce. – Może rzeczywiście pójdzie nam tu łatwiej, niż sądziliśmy. – Otarł czoło i rzucił, w przyпіływie szczerości: – Jajo, nie?

Gil rozejrzał się, czy nikt ich nie podsłuchuje. Powiedział:

– Jajem jest co innego, panie poruczniku. – Gil podłubał w nosie. – Ten człowiek w długa broda, którego Frączak nazwał Profesorem, ma pan jakieś pojęcie, kim on naprawdę jest?

– A skąd – odparł Enka i pomyślał, że owszem, pojęcia nie ma, ale za to cholerną nadzieję, że wiatr historii zanieśie takich ludzi jak Frączak prosto w szambo zapomnienia i to na kopach. – Cokolwiek ksiądz doktor chce mi powiedzieć, lepiej zrobić to w pokoju.

Pomógł Gilowi otworzyć drzwi. Usiedli naprzeciw siebie. Enka słucał, Gil mówił i zerkał na kraty.

– Nazywa się Piotr Minder-Koszutski, ale tak naprawdę, to Pinkas Minder ze starej porządnej łódzkiej rodziny przemysłowców i żywa legenda. – Gil pociągnął nosem. – Nie mogę uwierzyć, że to on. Jakim sposobem trafił tutaj? On? – zaciągnął. – Swoją drogą to właściwie jeden z ostatnich komunistów swojego pokolenia.

– Wygląda najwyżej na siedemdziesiątkę. Broda go postarza – wtrącił machinalnie porucznik Enka, niezadowolony, że siedzą u księdza doktora, gdzie nie można palić i co najgorsze, on, Enka, ich tu zaciągnął.

– Przekroczył już dobrze osiemdziesiąt – konspiracyjny szept Andrzeja Gila rozbawił Enkę. – Trzyma się wspaniale, ale proszę zrozumieć, to prawie tak, jakby zamknęli tutaj Jaruzelskiego. Minder był komunistą jeszcze przed wojną, odsiedział swoje, przetrwał też dwa lata okupacji i zwiął do Rosji dopiero tuż przed Barbarossą. To mu uratowało życie. Stalin go wykorzystał, zrzucił do Polski, ale niedługo później zawezwał z powrotem i skierował do Puszkino. Wie pan poruczniku, co to takiego?

Enka przytaknęła.

– NKWD tam szkoliło swoich – przypomniał sobie. – Przy okazji, wódka i panienki. Tak słyszałem.

Uśmiechnął się szelmowsko. Gil machnął ręką.

– Wrócił już do Polski Ludowej jako uczony marksista, ale więcej uwagi poświęcał wywalaniu na pysk starych profesorów niż wykładom, które miał właściwie gdzie chciał – wyjaśniał dalej ksiądz Gil. – Dużo pisał. Księdzu trudno być marksistą czy nawet marksizm docenić, ale... – przygryzł wargę – z pewnym żalem muszę przyznać, że jego książki różniły się od bełkotu epigonów lat pięćdziesiątych. Nie tylko tym, że mało kto mógł je zrozumieć.

– No tak – przyznał Enka.

– Pinkas, już Piotr, jeździł po całym świecie z wykładami, a nie mówiono o nim inaczej niż po prostu Profesor. Z czasem wykładał coraz mniej, a jego znaczenie rosło nieproporcjonalnie w stosunku nawet do najtęższej głowy i największego agenta wszystkich służb bezpieczeństwa. Podobno wisiał bezpośrednio pod Kremlem, przywiózł coś z Rosji, coś szczególnego. Ważne jest to, panie poruczniku, że biegali do niego wszyscy święci wierchuszki partyjnej. Gomułka, Gierek, Kania zaczęli sprawowanie władzy od wizyty u Profesora. Przed jego domem nieustannie parkowały limuzyny generałów, sekretarzy, wszystkich świętych.

– Fiu, fiu – Enka próbował żartować, ale słuchał z uwagą.

– Działo się tak, mimo że Profesor – nawet w słowach Gila przebrzmiewał szacunek – od śmierci drugiej żony w latach sześćdziesiątych jakoś już nie jeździł, nie wykładał, raz na kilka lat ogłaszał kolejną książkę, na której nie bardzo mu zależało. Myślałem nawet, że umarł.

– A jednak żyje i chyba nie jest taki mocarny, skoro go tu zamknęli – mruknął Enka. – Ja wiem, że to wielki facet, ale muszę poprzeglądać papiery.

Gil rozejrzał się, jakby szukał podsłuchu, nachylił się i szepnął Ence

wprost do ucha świszczącym głosem:

– Tego właśnie nie rozumiem. Nie ma prawa znajdować się w takim miejscu. Ten człowiek powie słowo i wszyscy wyjeżdżamy nogami do przodu, rozumie pan porucznik. – Przełknął ślinę. – Słyszałem też, że Profesor, poza Puszkino, trafił na Kaukaz i coś stamtąd przywiózł. Coś straszego, o czym nikt nie wie. Tak słyszałem, ciągnąłem temat, ale każdy nabierał wody w usta. Nie wiadomo. Cisza i Moskwa. Jeden z moich znajomych napisał o nim książkę, oczywiście większości tego, co panu mówię, tam nie było.

Enka wstał. Zabębnił w teczkę.

– Czeka mnie randka z papierami. Jest ksiądz doktor pewien, że nie pomylił się z tym Profesorem? Może to banialuki?

Za oknem zaćwierkał ptak, jakoś dziwnie, jakby mu kazali. Gil uśmiechnął się, ale w jego spojrzeniu nie było wesołości.

– Tak właśnie myślałem – westchnął Enka, kładąc dłoń na kłamce. – Wcale nam to nie pomaga.

# Rozdział piąty

## Polska i ogród

Przez okno wpadało poranne słońce, nieśmiało i niewinnie, nie chcąc odebrać blasku plakatom, flagom, orłom i sztandarom rozwieszonym przez noc w sali jadalnej. Porucznik Enka wyobrażał sobie sanitariuszy wbijających po nocy gwoździe, mordujących się z całym tym szajsem i zaraz sobie dopowiedział, że to pewno wariaci tak rozwiesili. Nikt z resztką zdrowych zmysłów nie wykonałby czegoś podobnego.

– Jak ksiądz myśli, skąd oni pobrali te cudeńka? – zapytał. Gil akurat wyszedł z korytarza. Wyglądał na człowieka, który właśnie obudził się z koszmarnego snu i zastanawia się, czy przypadkiem nie śni dalej. Pokiwał głową bez zrozumienia i bez nadziei na zrozumienie. Enka trącił go po przyjacielsku.

– Z wielu miejsc, panie poruczniku. Z wielu miejsc.

Pośrodku stała urna wyborcza, rozmiaru i koloru dyrektora Frączaka, usadowionego obok na obrotowym krześle. Ucieszył się na ich widok, ale zaraz stracił zainteresowanie, wbijając szczęśliwy wzrok gdzieś w przyszłość. A za nim gromadziła się przeszłość – drapieżny orzeł bez korony, z gwiazdami w skrzydłach, przybity do wyblakłego sukna. W dziobie ptaka widać ostry język, łapy były mocne, ale sam łeb dziwnie mały, zaś oczy ślepe – gdyby jakimś cudem ptak urwał się z godła, zostawiłby mózg na najbliższej ścianie.

Po lewej wywieszono niemal zatarty plakat z łanem zboża i radosnym traktorzystą, tak wyblakłym, że przypominał ducha sprzężonego z widmową maszyną. Machał upiorną ręką w kierunku rzędu snopków, a faliste litery

układały się w słowa UKOCHANY KRAJ, UMIŁOWANY KRAJ. Ktoś próbował je zaczernić, by stały się lepiej widoczne, ale sił i czasu starczyło na poprawienie konturów. Wyzierały teraz z papierowej płachty, na wypadek, gdyby któryś z obłąkanych głosujących zapomniał, że kraj swój kocha i miłuje.

Nieco niżej dyndał napis skromniejszy, złożony z papierowych literek przyszpilonych do szarfy: LITERACI DO PIÓR, STUDENCI DO NAUKI, GŁUSUJĄCY DO GŁOSOWANI I Enka stwierdził po cichu, że z ojczyzną ludową musi być naprawdę niedobrze, skoro brakuje samogłosek. Z innym hasłem zgadzał się w zupełności, A LUDZIE ŻYLI DOSTATNIEJ, wypisano nad plakatem przedstawiającym szczęśliwą rodzinę złożoną z milicjanta, spracowanej kobieciny, chłopca o oczach kapusia i dorastającej dziewczynki, tak słodkiej, że zaraz pójdzie się puszczać. Ale najważniejsze hasło wisiało pod orłem i nad urną, różniło się od pozostałych wiekiem i wykonaniem, sporządzone niedawno, do tego ręcznie. Eleganckie litery, kreślone pedantyczną dłonią zaangażowanego inteligenta, układały się w słowa: JEŚLI KTOŚ PODNIESIE RĘKĘ NA WŁADZĘ LUDOWĄ TO WŁADZA LUDOWA MU TĘ RĘKĘ UTNIE. Gil z Enką popatrzyli po sobie i razem na dyrektora Frączaka.

Frączak siedział zadowolony i wpatrzony w nieruchomy punkt przed sobą. Po jego lewej stronie zajęła miejsce siostra przełożona, która na tę okoliczność przywidziała bury żakiet zamiast fartucha. Twarz też miała burą, za to usta czerwone jak słońce tonące w Bałtyku. Prawą stronę zajmował pełniący funkcję męża zaufania Remigiusz Tuta pod krawatem i w groszkowym garniturze.

– Mogłyby kwiatki na nim rosnąć – szepnął ksiądz Gil, a Enka stłumił śmiech, bo myślał dokładnie o tym samym.

– Ksiądz widział te hasła? – zagadnął Enka półszepem, jego słowa ginęły w pomruku szalonej kolejki przy ścianie. – Cała nasza historia. Kiedyś to

dopiero będą hasła, nie myśli ksiądz? Tyle zapamiętamy.

Gil chciał zapytać, co właściwie się stało, że pan porucznik schodzi na takie refleksje, zamiast podszczypywać pielęgniarki, ale nie zapytał. Za to Enka mówił, wyszarpywał z siebie kolejne słowa, werbalne skrzepy z głębi ciała:

– Raz na parę lat spadają głowy, zamiotą pod dywan i znów mamy ślicznie, jak w pierdolonej bajce i potem znów to samo, dowiaduję się, że każdy to skurwysyn, ale wreszcie przychodzą ci dobrzy do usrania, księżę doktorze, aż człowiek starzeje się, słabnie i nic już nie wie – obrócił twarz do księdza Gila i zaraz spuścił oczy, strzelił z palców i wypalił – no, ale ci też są dobrzy, prawda?

Wskazywał na falujący tłum pacjentów wciśniętych w białego robaka kolejkowego z zielonym łbem przepierzenia wokół stolika na oddanie głosu i twardym odwołaniem pielęgniacza. Każdy ludzki pierścień drżał, falował lub kołysał się sobie a muzom, nadając całości niezwykle rytm. Ludzie pluli, skrzeczeli, patrzyli w sufit, jeden pogwizdywał, a Królowa nieustannie rżała jak obłąkane źrebię. Jeden Profesor, który stał przy końcu, nic nie robił, tylko zerkał na Tutę, Gila i resztę z wyraźnym rozbawieniem.

Wypatrzili ludzi od Lipińskiego. Jednego chyba przywleczono tutaj wprost z izolatki, rozpościerał ręce na boki, badając nieistniejące ściany, a jego skóra miała kolor kości wypalonych słońcem. Był też młody człowiek o twarzy pawiana – teraz zadręczonego – którego zapamiętali z nagrania. Rzucił im spojrzenie. Greps dostał Gil.

Dyrektor Frączak podniósł się ciężko, odsunął na bok opasłą teczkę, kupkę kart do głosowania i stos należących do pacjentów dowodów osobistych. Rozglądął się po zebranych i to rozglądanie starczyło akurat porucznikowi Ence na zapalenie camela i strzepanie popiołu do pustej paczki. Frączak niemalże syknął, za to pielęgniacz w głębi sali się sprężył, no, w



innej sytuacji zeżarłbyś tego peta, mówiły jego oczy. Już to widzę, odmrugnął porucznik Enka.

– Już jestem! – to Edward Gula dotarł wreszcie na miejsce głosowania. W ten kolejny gorący dzień nie zrezygnował ze swetra, za to podciągnął rękawy pod łokcie. Podał rękę Ence i Gilowi, kiwnął głową w kierunku komisji i zapatrzył się w szalony sznur.

– Wszystkich zatroskanych losem naszej ludowej ojczyzny zachęcam w ten dzień do spełnienia swojego obywatelskiego obowiązku – powiedział głośno Frączak. Nagle odeszła mu ochota na długie przemówienia, wszyscy to widzieli. Wahał się, stać czy usiąść, przypomniał sobie coś i powiedział do księdza Gila:

– Ksiądz też, zapraszam.

Gil tylko zerknął na Enkę wydmuchującego właśnie gęsty kłęb dymu.

– Nam, księżom, nie wolno głosować. Uważamy, że w Polsce Ludowej powinien królować nam papież.

Gula wytrzeszczył gały. Frączak jakoś to przełknął, tylko westchnął, przywołał wysłużony już uśmiech, Z kolejki poniósł się śmiech.

– Może panowie oficerowie? – to Remigiusz Tuta postanowił rozładować sytuację, ale porucznik Enka wcale mu nie pomógł.

– Ja niestety nie mogę – powiedział, gapiąc się w sufit. – Zostawiłem dowód w domu.

– Przecież może pan, panie kapitanie, zaraz zagłosować na samą legitymację. – Tuta najwyraźniej nie zapomniał czasów spędzonych na posterunku. – Zapraszamy, zapraszamy.

– Widzicie, Tuta. – Enka patrzył na Frączaka, kiedy to mówił. – Kiedy głosuję, jestem obywatelem. A tu przyjechałem jako oficer milicji i tu sobie postoję.

Tuta zamyślił się nad tymi słowy, a na ich osłodę, Edward Gula wyminął

kolejkę, zabrał karty od Frączaka i poszedł za parawan. Parawan zaś zakrywał głównie ścianę i wszyscy widzieli, jak Gula z uwagą czyta nazwiska, z nieodgadnionym wyrazem twarzy dokonuje wyboru i skrupulatnie stawia trzy krzyżyki. Już rozjaśniony, pokołysał się do urny, dopełnił obowiązku i odszedł, wycierając ręce, jak z masła, o spodnie. Zerknął na wariatów i Gil zaczął się zastanawiać, o czym właściwie myśli ten człowiek, a jak nie myśli, to co dzieje się pod tą czaszką? Ma dzieci, to może je sobie przypomina.

Za przepierzenie chciał wejść pierwszy z pacjentów – długowłosy facet z wąsem i bakami jak u bosmana, który nieustannie uderzał pięściami o siebie, nie zaciskał ich całkiem, jakby trzymał dwa kijki – ale z końca kolejki wysunął się Profesor i zagłosował, nie zerkając na nikogo. Frączak skłonił się przed nim, a Tuta nastroszył, Profesor chyba tego nie dostrzegł. Starannie odłożył długopis, na sam skraj stołu. Wyszedł, kroki stawiał sztywno i po chwili widzieli go za oknem spacerującego w ogrodzie. Przysiadł na murku przy fontannie i patrzył na ptaki, krążące nisko, niemal gotowe, by uwić gniazdo w jego białej brodzie.

Gil przesunął się w stronę kolejki. Chłopak, który wczoraj tak go obłapiał, mrugnął. Próbował coś pokazać palcami, bał się unieść rękę, żeby pielęgniarz nie zobaczył. Gil rozejrzał się bezradnie, a pomoc przyszła przypadkiem, z niespodziewanej strony. Szajbus dodreptał, doskakał, porwał długopis, wykonał krzyżyki jak podpisy królewskie i wrzasnął na Frączaka:

– A co z tymi, co ich powybieramy, co? Do diabła pójdą?

Nie czekał na odpowiedź, wcisnął kartę tak intensywnie i głęboko, aż urna się zatrzęsła, a palce na moment zablokowały się w szparze. W świetle poranka wyglądał na starszego niż przy obiedzie, oczy ginęły pod czernią powiek, czoło pulsowało.

– Alleluja! Alleluja! – zawołał jeszcze, uspokoił się i odszedł nie

niepokojony przez nikogo. Między wrzaskami Gil usłyszał od Młodego to, co powinien usłyszeć. Zapamiętał.

---

---

*Po południu w ogrodzie.*

---

---

§ § §

Po południu w ogrodzie świeciło słońce, a pacjenci wygrzewali się na ławeczkach. Jeden Profesor stał w oddaleniu i nikt do niego nie podchodził. Gil także nie miał na to ochoty, nie chciał też stać w słońcu. Spróbował schronić się w niewielkim zagajniku położonym w rogu ogrodu. Gęsto posadzone drzewa dawały miły cień, ale ledwo poszedł w tę stronę, od pacjentów poniosły się szepty, popiskiwanie, beknięcia, klaskanie, więc odpuścił i przyglądał się aniołowi.

Anioł rozkładał skrzydła nad fontanną i klombem w kształcie krzyża. Jego szczupłe niby złożone wyłącznie z kości ciało wyginało się do przodu, w dziewczęcej dłoni trzymał przechylony dzban, z którego spływała szumiąca struga. Drugą dłoń anioł przykładął do zapłakanej twarzy, jakby rozpaczał nad nieszczęściem rezydentów Szpitala Przemienienia. Wiatr rozwiewał włosy z kamienia.

Porucznik Enka nie przejął się płaczem anielskim, usiadł na obmurowaniu fontanny i palił. W takich chwilach Gil nie miał pojęcia, o czym Enka myśli.

Ogród był ogromny i wspaniale utrzymany, można by pomyśleć, że każdy szalenciec w kraju opiekuje się tutaj osobnym źdźbłem trawy, kropi liście obłąkanym potem, grabi ziemię, poleruje anioła. Wszystko lśniło, równo jak w kartotece i tylko szumiący zagajnik w rogu był taki dziki, przyczajony. W tę zieleń wrzynała się szara fasada budynku.

Żaden kwiat nie szpecił równego trawnika. Od szpitalnej bramy biegła

żwirowa ścieżka, po jej obu stronach ustawiono ławki mieniące się zielenią. Ścieżka skręcała, obiegała fontannę i ginęła w trawie parę metrów od zagajnika. Właśnie, zagajnik, znów spojrzał w jego stronę, zrobił krok, spojrzał za siebie, na rozszerzone ze strachu oczy. Dziwne miejsce. W tych drzewach powinny ćwierkać ptaki. Dlaczego tu nie ma ani jednego? Czemu latają tak wysoko?

Zamurowane okna budziły niepokój w księdzu doktorze, a jeśli coś przerażało go bardziej, to ocalałe cyklopie okno pośrodku muru. Biła z niego ciemność, tak gęsta, jak słońce – rozpalone. Gil zastanawiał się, czy wysportowany szaleniec zdołałby stamtąd doskoczyć do samotnej topoli – jeśli nawet, musiałby przebić głową podwójną szybę. Ciekawe czy ktoś próbował?

Gil rozróżniał już wariatów: Młodego, Profesora, Królową, Szajbusa, kilku od Lipińskiego, znał ich ruchy i spojrzenia. Im bardziej unikał Profesora, tym ten przyglądał mu się z większym zainteresowaniem. Stał teraz, oddalony od pozostałych, plecami opierał się o mur i mrużył oczy w słońcu. Gilowi skojarzył się z obłąkanym królem, któremu zabrano władzę, pozostawiając berło z koroną i dwór cieni. Profesor jakby odgadł te myśli, przewędrował alejką i schronił się w zagajniku. Tam bawił się swoją brodą i zagubieniem księdza doktora.

W bramie pojawił się człowiek od Lipińskiego, ten z twarzą pawiana, zbyt wielką jak na to drobne ciało. Gil przeszedł w róg ogrodu i nim połapał się, co chory chce zrobić, ten już klęczał na trawie i całował księdza w róg marynarki.

– Spowiadam się Bogu Wszechmogącemu... – wybełkotał.

Gil spróbował go podnieść, ale chory pociągnął go ku sobie. Klęczeli teraz naprzeciw siebie.

– ...i wam bracia i siostry...

– Co chciałeś mi powiedzieć?

Tamten klasnął w dłonie i rozryczał się jak dziecko.

– ...że bardzo zgrzeszyłem, mową, myślą, uczynkiem i zaniedbaniem, mową, myślą, uczynkiem i zaniedbaniem...

Porucznik Enka podniósł się z murku wokół fontanny. Jednocześnie dwóch pielęgniarzy oderwało się od muru i ruszyło w kierunku księdza Gila. Ksiądz doktor zaraz dał znać ręką, nie potrzebuje pomocy, Enka stanął natychmiast, tamci tylko przyspieszyli. Enka przeciął im drogę, coś tłumaczył, potem wrzasnął raz i drugi. Odeszli.

– Dobrze – rzekł Gil, który właśnie przypomniał sobie, że jest księdzem – wypowiadam cię. Ale spokojnie. Powiedz, jakim grzechem obraziłeś... czym zgrzeszyłeś?

Tamten otarł łzy.

– Ja nie pamiętam! Ja nie wiem, naprawdę, jak sobie przypominam, to zaraz zamykam oczy i tego nie ma, tych ludzi wokoło, cienia i światła. Ja Matkę Najświętszą pamiętam, ja Matkę Najświętszą Chrystusową przepraszam, to profesor Lipiński był, ja nigdy, ja bym nie mógł...

Chwycił księdza doktora za przeguby:

– Ja wiem, ja wiem! Miałem złe myśli i czyny. Ja spałem... Tak, spałem z kobietą niedawno, a żonę mam, ona męża, spotkaliśmy się w przedszkolu u zakonnic, u zakonnic, Chryste Panie, tam dzieci odbieramy i tak wyszło, nie chcieliśmy, a wyszło, ona dobry człowiek, ja dobry, nie to co ten Białorusinek, łajdak, co sypia ze starymi poetami.

– A wtedy? – zapytał ksiądz Gil. – Co wydarzyło się tamtej nocy? Jak myślisz, dlaczego tu jesteś?

– A co ja wiem, Bóg kazał, to być muszę – szeptał i się ślinił. – Matka Boska była...

– Madonna skrzynkowa?

– Panienska Najświętsza! Przecież my nie wiemy, jak ja mam wiedzieć, sam ksiądz mnie pyta, że teraz jestem tutaj, to skąd mi wiadomo, że tam coś się stało. Ja dobry człowiek, za Natalię przepraszam, za pijaństwo przepraszam, za Białorusinka i żonie też powiedzcie. Księżę kochany, księżę kochany – obrócił oczami – czy Bóg może się mścić?

Andrzej Gil nabrał powietrza, które nagle stało się chłodne.

– Nie, nie może – powiedział i udzielił rozgrzeszenia.

### § § §

Wreszcie nadeszli, między spowiedzią a spowiedzią. Młody szedł z tyłu i nieustannie oglądał się za siebie. Królowa kroczyła, jakby chciała udowodnić, że tytuł przysługuje jej nie bez powodu. Przycupnęła obok księdza Gila, brązowa dłoń nieustannie mierzwiła kosmyk włosów. Gil dostrzegł dwie paskudne blizny na jej czole, biegnące równolegle w miejscach, gdzie po trzydziestce zwykli mieć zakola. Przyglądała je zaraz, może tak, żeby schować je przed Gilem albo ukazać porucznikowi Ence.

– Czemu tak się chowamy? – zapytał ksiądz Andrzej Gil. Próbował brzmieć przyjaźnie, z marnym skutkiem.

– A bo ja wiem, po co wy się chowacie? Po coście tu przyjechali? I skąd. Hihaaa! – zapiszczała wesoło. – Przecież od razu widać, że gracie w coś innego. Dobrze sobie. Milicjant i ksiądz.

– Milicjant i ksiądz – powtórzył Młody. – Mówiłem ci, żebyśmy tu nie przychodzili.

– Słuchaj, synuś, ja wiem, co robię, dobrze będzie, uch, uch, maleńki mój, nie bój się, trzeba nie kombinować, urwać się na wolność. – Królowa nachyliła się do Gila, pachniała starością. – Ty chyba księżulku nie wierzysz, że Frączak rządzi, pyk! – strzeliła z palców – i facet spada. Hiiiiih! Nie wierzysz, że to szpital.

– To katownia – mruknął Młody.

– Ja ci mówię tylko, uważaj, patrz za siebie, patrz! Psssssss! Uważaj, uważaj na Profesora. Wiesz, kto zacz, jakie znaki mu służą, zrozumiesz, zrozumiesz – niespodziewanie pocałowała go w policzek – jeśli nam pomożesz, ja pomogę tobie.

Mina Młodego wyrażała zażenowanie. Skubał dolną wargę i obserwował rosnącą kolejkę do spowiedzi.

– Chodźmy już.

Królowa mrugnęła. Pocałowała Gila w rękę, niby że spowiada się jak wszyscy, ksiądz podjął grę, kreśląc w powietrzu znak krzyża.

– Nie o siebie mi chodzi, księżulku, syneczku, ale o niego – syknęła, wskazując na Młodego – dla niego wszystko, dla mnie nawet nic.

### § § §

Każda minuta była jak roboczy dzień, a gdy Gil skończył, pot zalewał mu czoło, zmoczył koszulę pod pachami, na plecach i piersiach. Szklanek wody od porucznika przyjął z wdzięcznością, wypił, a Enka zaraz nalał mu jeszcze.

– Dobra woda, prawda? – zagadnął. – Aż dziwne, że z fontanny.

Oczy Gila zrobiły się wielkie, a Enka parsknął śmiechem.

– Trudno zresztą, żeby ktoś tu wyzdrowiał, skoro tym biednym ludziom urządzają takie cyrki z urną – zauważył Enka. – Najnormalniejszy człowiek zwariuje w takim miejscu. Jeszcze chwila takiego głosowania, a sam nabrałbym ochoty na leki.

Gil pokręcił z uśmiechem głową.

– Nie ta droga. Więc co? – rozejrzał się po ogrodzie. Profesor wciąż siedział w cieniu i wydawał się bez reszty pochłonięty śledzeniem poszarpanych wstęg na niebie. Żadna nie zasłaniała słońca. Wreszcie, westchnął i krokiem maszyny zawrócił w kierunku fontanny.

– To pan pokazał mi ten szpital, panie poruczniku – rzekł Andrzej Gil.

– Tak, wiem, ale teraz za to nie wiem, co to za miejsce. – Enka zapalił. Ściszył głos, tu nas przynajmniej nie podsłuchają, mówiły jego oczy. – To szpital Ministerstwa, a weszliśmy tu jak do siebie. Nie trzeba też być orłem, że każdemu tutaj czacha dymi od doświadczenia Boga, to znaczy nie jest to Bóg księdza, ale jest coś – prychnął – wiem to świetnie, chociaż jestem tylko milicjantem.

– Ja nie kupuję tego z Minderem – dopowiedział Gil. – Nie rozumiem, czemu tu się znalazł.

Enka machnął ręką.

– Ludzie spadają. Nie tacy pozlatywali. Dla mnie to nic dziwnego, że go tu trzymają. Odbiło facetowi, to gdzie miał iść? Do swoich! – Westchnął. – Ale to jakieś pieprzone królestwo. Szkoda, że ksiądz doktor nie widział tego pokoju przesłuchań, tam brakuje tylko swastyk na ścianie i idę o zakład, że Frączak dostarczyłby mi zdezynfekowane drzazgi do wbijania pod paznokcie, gdybym go o to poprosił. Księżę doktorze – zamachał papierosem – przecież nie jesteśmy pierwsi. Ktoś tu przyjeżdża i coś robi z tymi wariatami. Najgorsze, że jest tam zimno. Na dole – wskazał trawnik – nawet w taki dzień.

Zerknął za siebie, chciał jeszcze coś powiedzieć, ale jego słowa zginęły w zgrzycie maszyny. Potężny silnik zawarczał, zakaszłał za murem. W tle tego dźwięku brzmiało szuranie metalem o metal. Dźwięk był nieprzyjemny, aż Enka skrzywił usta. Pacjenci zbili się w jedną grupę, utkwili wzrok w niebie i ostrożnie, suwając nogami po ziemi, podreptali w kierunku wyjścia. Żaden nawet nie jęknął, ruszali się miarowo, wywracali oczami, aż zniknęli w szarości drzwi. Tylko dwóch zostało w ogrodzie – Profesor, zdający się w ogóle nie słyszeć niczego, i Szajbus, który wskoczył do fontanny i zaczął wrzeszczeć:



– Tchórze! Tchórze! Tchórz z wami! Alleluja! – I zaraz doszeptał: – Żebyście zdechli.

Wymierzył palec w Profesora.

– Oni! Tchórze! A ty złodziej! Komuch! Komuch i złodziej!

Profesor leniwie podniósł wzrok, westchnął, tak jak wzdycha człowiek ulegający prośbie, którą ani śni spełnić, i Szajbus zamknął się natychmiast. Był zdziwiony tym własnym zamilknięciem, cofnął się niby pchnięty przez niewidzialną siłę, zmełł przekleństwo albo groźbę i stał się miękki. Rozkiwał się przy fontannie. Łypnął jeszcze na Gila i zatopił się w sobie.

– Niech mnie – rzekł Enka. – Napiłbym się, księżu doktorze.

A ksiądz doktor nie wiedział już, czy przychylił się do tych słów głośno, czy tylko w swym sumieniu. Rozejrzał się bezradnie, uniósł głowę i jego wzrok padł na cyklopie okno. Za szybą, grubą na palec i najpewniej dźwiękoszczelną, pojawiła się twarz, niby ikona, płaska, stara, z ustami przewiazanymi kneblem. Twarz mignęła tylko na moment, bo mocarne ręce pociągnęły ją w ciemność.

§ § §

Przesłuchiwany nazywał się Tomasz Krukowiecki i nim zobaczył diabła, pisywał do „Tygodnika Powszechnego” o nauce społecznej Kościoła, a teraz wyglądał na niezdolnego do złożenia nawet trzech krzyżyków pod deklaracją współpracy. Siedział na drewnianym krześle z wysokim oparciem, tłumaczył Ence, że wszystko jest w porządku, a jak nie jest, to będzie niedługo. Przejeżdżał przy tym palcami po swoim policzku i zerkał ukradkiem na wnętrze własnej dłoni. Teraz dostał papierosa i cieszył się dymem. Enka zaś pomyślał, że niedługo zacznie przynosić przesłuchiwanym miednicę z ciepłą wodą i napoleonki z cukierni. Zadumał się nad sobą. Może się starzeje albo to straszne miejsce tak go zmieniło?

Siedział na chwiejnym taborecie bez oparcia, ale za żadne skarby świata nie zamieniłby się z Krukowieckim. Siadanie na tym drewnianym fotelu kojarzyło się Ence z przymierzaniem wózka inwalidzkiego albo krzesła elektrycznego. Nawet w betonowym półmroku piwnicy widział wyraźnie wgłębienia po zatraskach na kostki i nadgarstki oraz głębokie bruzdy w oparciu, po paznokciach. Co wam robiono w tym miejscu?

– Powinienem być w domu – oznajmił Krukowiecki. – Razem z moją rodziną. Od tygodnia nie widziałem córki.

Trzeba było o niej myśleć, nim pocałowałeś diabła w dupę, przeszło przez głowę porucznikowi Ence. Otarł czoło z potu. Powiedział:

– Już niedługo. Jeśli powiesz mi, kto z wami się kontaktował i jak zdobyliście „Madonnę”.

Krukowieckiemu oczy się rozszerzyły. Jak zawsze przy tym pytaniu.

– Przecież mówiłem.

– Właśnie nic nie mówiłeś.

– Bo nie mogę, bo nie pamiętam – rozmiękł, zupełnie jak dziecko. – Przecież mówię panu porucznikowi, to czarna dziura, nic nie wiem.

– Nie rozumiem, jak można nic nie wiedzieć.

– Ale to prawda. Ja bym wam nie kłamał. Nigdy nie kłamałem. Niech pan porucznik pogrzebie, zaraz pan się zorientuje, że jak trzeba było pomóc, pomagałem. Nigdy nie byłem przeciw władzy ludowej.

– Władzy ludowej nic do tego. Co zdarzyło się tamtej nocy? Kto załatwił „Madonnę”?

– Panie Jezu, ja naprawdę nie wiem. Córki nie widziałem – jęczał. – Weszliśmy i nic, czarna dziura. Pamiętam tylko czerwoną cegłę. Tak, właśnie to. Barwę czerwonej cegły, chropowatej i sypkiej. A potem ocknąłem się tutaj. Nie tutaj, gdzieś indziej – nabrał powietrza – w innej piwnicy.

Enka zapalił kolejnego papierosa. Równie dobrze mógłby gadać tak z

samym krzesłem. Może by Grulę tu ściągnąć? Albo Tutę? Taki to będzie nudził i mędził tak długo, aż facetowi otworzy się oko w głowie i pamięć z tym okiem.

– Kto jeszcze był z wami?

Krukowiecki usłużnie wymienił całą ekipę z imienia i nazwiska. Nic nowego.

– Powiedz mi – Enka zmienił front – kto ci ma pomóc, skoro nie pomagasz samemu sobie? – Podsunął Krukowieckiemu paczkę cameli. Ten wziął kolejnego papierosa drżącą dłonią. W oku zawirowała łza.

– To Janek! – wyjęczał. – On wiedział, nie my. Omamił nas, okłamał, gdybym wiedział, gdybym tylko wiedział, to już wcześniej rozmawiałbym z panem porucznikiem. Janek wszystko zorganizował, mówił, że to dla Polski. Głupi Janek, cwany Janek. – Krukowiecki piorunował na Lipińskiego. Zaciągnął się dymem, odsapnął. – Naprawdę chciałbym zobaczyć córkę...

„A ja w ogóle nie chciałbym cię widzieć”, dopowiedział w myślach Enka. Każdy przesłuchiwany mówił mniej więcej to samo, nic nie wie i to Lipiński winien, nikt inny. Enka wzięłby Lipińskiego w obroty, ale staruszek leżał w izolatce i wszyscy troszczyli się głównie o to, by nie narobił pod siebie. Enka zadrzał. Nagle zrobiło się zimniej. Co za dziwne miejsce?

Pamiętał wczorajszy wieczór – siedzieli w jadalni, z personelem Szpitala Przemienienia i wszystkimi pacjentami, jeśli nie liczyć tych, którzy zostali w izolatkach. Grał telewizor, czekano na wyniki głosowania, dyrektor Frączak, pod krawatem, nie odrywał wzroku od ekranu. Gdzieś tam w wyborczych urnach przesypywała się przyszłość Polski. Redaktorzy rozmawiali z ekspertami, kilku pacjentów posnęło na krzesłach, jakby wiedzieli, że nie ma takiego głosu, który ich wyzwoli z tej sali, tego szpitala. Uwadze Enki – który siedział z tyłu, razem z Gilem – nie uszło, że chorzy siedzą stłoczeni pośrodku, a między nimi, ale jak najdalej od siebie, usadowili się Profesor z

Szajbusem. Tylko jeden pacjent – drobniuteńki człowiek bez zębów na przedzie – siedział tuż przy telewizorze, zezując z boku, aby nikomu nie zasłaniać. Enka myślał, że facet ma słaby wzrok albo dyrektor oddelegował go w to miejsce, aby było komu walić w telewizor, gdy zacznie śnieżyć. Rzeczywiście, zaszumiało w połowie wypowiedzi jednego z dziennikarzy, dźwięk przeszedł w charkot, pojawiły się szare pasy. Sala zamruczała. Frączak poderwał się z krzesła.

– Panie Krajewski! No co pan!

Facet bez zębów, czyli pan Krajewski, skulił się i posłusznie wysunął lewą nogę tak, że czubek buta znalazł się o parę centymetrów od kabla antenowego, obraz natychmiast odzyskał ostrość.

Albo ta pielęgniareczka, przemiła dziewczyna, której Gil tak się podobał. Enka uśmiechnął się. Miła znajomość, ale zaczęła się dziwnie. Wracał wieczorem z ogrodu. Gil został. Pacjenci go oblegali, formułując pytania, jakie Ence nawet nie przyszyłyby do głowy, więc poszedł do swoich papierów i niemal wpadł na tę dziewczynę. Aż podskoczyła, rozszczebiotana i nagle jak nie wrzaśnie – fiolka w jej ręce pękła, rozcinając ciało aż do kości. Mała rana, ale mnóstwo krwi.

Enka nie wiedział, czy powinien pomóc, czy popędzić po lekarza. Druga pielęgniarka pisnęła i zniknęła za rogiem, wołając *Panie doktorze! Panie doktorze!* Enka spróbował przyjrzeć się ranie, ale dziewczyna nie pozwoliła mu podejść, tylko stała i krzyczała. Próbował ją uspokoić, obiecywał, że pomoże, jest milicjantem i zna się na tym. Nic z tego. Krew tryskała na ścianę, podłogę, fartuch i samego pana porucznika.

Jakby znikąd pojawił się ten sam chłopak, który zawisł na Gilu przy pierwszym obiedzie. Wołali na niego Młody, Enka to pamiętał. Więc Młody podszedł do dziewczyny, coś szepnął, pocałował w czoło, pogłaskał po zakrwawionym brzuchu, wreszcie delikatnie ujął skaleczoną rękę.

Dziewczyna natychmiast przestała krzyczeć, za to nogi ugięły się pod nią, upadłaby, gdyby nie Młody i ściana.

Enka odzyskał rozum, poleciał do pierwszego lepszego gabinetu, a gdy wrócił z gazą i wodą utlenioną, Młody już szedł korytarzem i potrząsał prawą dłonią, jakby chciał coś z niej strzepać. Niech idzie – Enka stanął przed dziewczyną. Tym razem pozwoliła się dotknąć. Nasączył gazę w wodzie utlenionej, a gdy oczyścił ranę, zorientował się, że to żadna rana, ale różowa blizna przynajmniej dziesięciodniowa.

Już o świcie pielęgniareczka – nazywała się Ewa – opowiedziała Ence, że Młody tak już ma i czasem leczy ludzi, gdy zdarzy się wypadek albo po prostu wrócą z dołu. Leżeli i Enka słuchał o szpitalu, że to jedyne takie miejsce na ziemi, a im niżej tym gorzej, piwnice ciągną się aż pod ogród i jest w nich mnóstwo drzwi, których lepiej nie otwierać.

Wspomnienia odeszły. Był tylko on, przesłuchiwany i ponury pokój. Enka patrzył przez chwilę na Krukowieckiego i kazał mu odejść.

### § § §

Kolację porucznik Enka kazał sobie przynieść do pokoju przesłuchań, nie tylko dlatego, że patrzeć na wariatów i Frączaka sprawiało, że sam czuł się ciężko chory. Mianowicie miał nadzieję, że jakaś głęboko ukryta inteligentna część umysłu dyrektora dostrzeże w tej prośbie wołanie o lepsze jedzenie, na które porucznik Enka zasłużył po całym dniu przesłuchiwania. Niestety – w progu zjawił się Tuta, niosąc dwie porcje stygnącego bigosu o mdlącym zapachu.

– O! Bigos! – ucieszył się porucznik Grula i wyrwał Tucie talerz, nim ten zdążył postawić go na stoliku. Tuta skrzywił się lekko, usłużnie uśmiechnął się do Enki, ale w jego oczach mignęło rozczarowanie, nie wiadomo jednak z jakiego powodu.

– Smacznego życzę panom kapitanom – powiedział, skłonił się i tyle go widzieli.

Bigos przypominał porucznikowi Ence bagno. Nabrał go na łyżkę, przelał, ostrożnie zbliżył do ust. Inaczej Gula, ten tylko podwinął rękaw, by go nie umoczyć i jął wiosłować, ile wlezie.

– Nie wiem, co ty chcesz od tego? – rzucił z pełnymi ustami. – Może wodniste, ale jadałem paskudniejsze.

Enka nie odpowiedział. Im dalej, tym bigos był gorszy, za to na kiełbasie pozostały resztki folii, której drobiny wirowały na powierzchni talerza. Gdzieś w połowie stwierdził, że jednak nie da rady.

– Mogę zjeść twoje? – zapytał Gula i Enka kiwnął głową.

– Powiedz mi Edek, ale tak szczerze, co sądzisz o tym miejscu? Po co tu przyjechaliśmy?

Gula zamrugał zdziwiony, chyba spodziewał się kojonej złośliwości.

– Normalnie chyba. Przesłuchać szatanów.

– Nie udawaj głupszego niż jesteś. Widziałeś, co to za miejsce?

– Ale bigos robią świetny – cieszył się Gula. – Ja chyba cię rozumiem, słuchaj, to są dwa wyjścia. Mogliśmy na przykład coś przeoczyć – ciamknął – ale to mało prawdopodobne, bo przecież kawę na ławę nam tu dali. Słuchaj, Zbyszek, może chcą cię przestraszyć? Ja tam się nie boję, ale wy z księdzem to macie różne dziwactwa.

– Zupełnie cię nie rozumiem.

– Ja siebie też nie rozumiem – rzekł Gula – bo dla mnie przyjechaliśmy tu gadać z szatanami. Ale wiesz, wy macie te swoje dziwne sprawy. Z diabłami. No to może ktoś chciał wam pokazać, gdzie traficie, jak będziecie kombinować. Ty i ksiądz profesor. – Odsunął pusty talerz. – Gdybym grał po stronie jakiegoś tam szatana, to tak bym właśnie zrobił.

– Szatana? – Enka nie chciał wierzyć w to, co słyszy.

– No. Zbyszek, ja mam dzieci, papierki. Ja pracuję. Ja nie wiem – zmarszczył brwi – pytałeś, to odpowiadam.

§ § §

Dochodziła dwudziesta trzecia. Enka w towarzystwie doktora Wasilewskiego patrzył na zielonego, jęczącego Grulę, z tym że w oczach Enki można było dostrzec współczucie, ponure ślepiec Wasilewskiego wyrażały jedynie zdenerwowanie.

– Och, jak boli! Och, jak boli – lamentował Gula, milknął i zaciskał dłonie na brzuchu. Pocił się cały i doktor nieustannie ocierał mu czoło. Na pościeli błyszczały świeże ślady wymiocin, takie same, jakie stygły na palcach Edwarda Gruli.

– Co mogło mu zaszkodzić? – zastanawiał się Wasilewski. Nerowo zerkał w okno.

Gula przymknął oczy, odpływał, jakby jego łóżko było statkiem tak małym, że zmieścił się na nim tylko jeden głupiec.

– Jedliśmy wszyscy to samo – rzekł Enka, szarpnął Wasilewskim i pociągnął w kąt pokoju. Lekarz poszedł posłusznie, tylko ruszał ustami, żując gumę. Enka wskazał na Grulę syknął – ten facet mógłby zeżreć kaczkę wraz z dziobem i piórami, do tego zapieć beczką smoły i nic by mu nie było.

– Na każdego przychodzi taki moment – odparł Wasilewski.

– Akurat. Struł się ktoś poza nim? Nie? No to jak nie, to pytam ponownie, co mu się stało?

Wasilewski zmarszczył brwi. Rozłożył dłonie, odsłaniając klatkę piersiową i falującą grdykę, zupełnie bezbronny.

– To prawdopodobnie salmonella.

– I z salmonellą jedzie stąd do innego szpitala, do Pińska? – warknął Enka. Nigdy nie przypuszczał, że będzie się tak wściekał o los głupiego

Gruli. Zastanawiał się, czy walnąć tego durnia Wasilewskiego, czy posłać go po Frączaka.

– Do Pińska – przyznał Wasilewski.

– Przecież to podobno szpital, prawda? Jakby jakiś wariat od was się pochorował, niebezpieczny wariat, to co, dalibyście go między ludzi na normalną salę, czy zdechłyby tutaj? – przerwał, zacisnął zęby, spojrzął tak, że Wasilewski złączył dłonie, delikatnie osłaniając twarz. W tej chwili tylko Bóg mógł przeszkodzić Ence w wyprowadzeniu ciosu i Bóg spisał się na medal, posyłając swego pokornego sługę, księdza Andrzeja Gila. Gil wpadł do pokoju i zahamował dopiero przy Ence.

– Czy to z ostatnim namaszczeniem? – zapytał Enka, nieudolnie udając uśmiech. Za to na twarzy Wasilewskiego wykwitł najszczęśliwy na świecie wyraz ulgi. Gil rozglądając się po pokoju. Na oparciu krzesła leżał sławetny sweter Gruli, obok rozrzucone buty, a ich właściciel był tak mokry i tłusty, że wyglądał, jakby sam siebie namaścił. Gil przeżegnał się w duchu – księdzu nie wolno mieć takich myśli.

– Boli – powiedział Grula Gilowi.

– Co on zjadł? – pytał Gil.

Enka tylko wzruszył ramionami. W drzwiach stanęło dwóch pielęgniarzy z noszami. Oczy Gruli rozszerzyły się z wyrazem ulgi, spróbował nawet się podnieść, ale ledwo uniósł głowę, bryznęło mu z ust. Aż Gil się odsunął. Wasilewski otarł czoło chorego. Jakimś cudem Grula zdołał przetoczyć się na nosze. Zapięli mu pasy i przykryli prześcieradłem pod samą brodę. Grula łąpał oczyma, zgnębiony i nieszczęśliwy. Policzki miał zielone jak trawa, za to nos biały i świecący. Ruszał opuchniętymi ustami i wreszcie nie wydawał się śmieszny. Pielęgniarze ponieśli go w stronę otwartych drzwi, Wasilewski szedł przodem. Za oknem migotały światła karetki.

Nagle Grula zaczął kołysać się na noszach. Wysilek pociemnił mu twarz,



pielęgniarze zwolnili, a Grula zdołał wysunąć rękę spomiędzy pasów, odrzucił prześcieradło, ledwo ją uniósł, a jednak.

– He! – jęknął. Patrzył na Gila i Enkę. – Hep! Nie dajcie się!

§ § §

– Co z nim będzie? – spytał ksiądz Andrzej Gil.

Stali przed szpitalem i patrzyli na strzępy czarnego lasu odcinające się od czerwcowego nieba. Ksiądz doktor trzymał kubek chłodnej herbaty, Enka zaś palił, wydmuchując dym wysoko w górę.

– Nic z nim nie będzie. Pojedzie do normalnego szpitala, gdzie są normalni lekarze, a jeśli to zwykłe zatrucie, to dzień, dwa minie i wypiszą go do domu. Wróci do Krakowa i będzie trzymał nos w papierach.

– Nie tutaj?

– Nie. Już rozmawiałem z Krakowem, niewiele wykonaliśmy i drugi oficer jest po prostu zbędny na tym etapie prac – cytował Enka. – Więc Edek odpadł i zostaliśmy we dwóch, księżę doktorze. Nie wróży to nam nic dobrego.

– My zostajemy?

– Ano zostajemy. Koniecznie. Tak powiedzieli.

Okna w szpitalu już pogasły, gdzieś tylko, chyba z pierwszego piętra, poniosł się krótki urwany krzyk. Światło zapaliło się i zaraz zgasło.

– Nie przypuszczałem, że akurat Grula ma wrażliwy żołądek – rzekł Gil.

Enka się roześmiał. Przypomniał sobie Wasilewskiego.

– Bo nie ma. Szkoda, że ksiądz doktor nie widział go na komendzie, jak zje kilogramy fasolki po bretońsku, gulasz z żołądków drobiowych i co tam jeszcze w barach podają. Powiem lepiej – wymachiwał papierosem – kiedyś jakiś dureń z drogówki założył się z Edziem, kto zje więcej porcji w kantine milicyjnej. Facet zwymiotował po ósmej, a Gruli nawet nie posrało.

Zmierzam, proszę księdza doktora do tego, że Grula się nie struł – ściszył głos do szeptu – Grulę otruto.

Dostrzegł przerażenie w oczach księdza Gila. Dodał pospiesznie:

– Przecież nie na śmierć. Niedługo znów będzie Grulą, jakiego znamy i kochamy. Najpierw myślałem, że chodzi o mnie – podrapał się po nosie. – Tuta szykował tę porcję dla mnie, ale Edzio pospieszył się jak zwykle. Chcą nas stąd wypchnąć, jednego po drugim.

– Tuta?

– No bo kto?

Gil nachylił się do Enki. Coś szeleściło między drzewami, daleko, może duże zwierzę podchodzące nocami pod Szpital Przemienienia. Krzaki się ugięły, mignął krępy kształt. To dzik wędrował w stronę kuchni w poszukiwaniu resztek. Enka wyobraził sobie takiego, jak zwija się i skręca, znalazł w tej wizji pocieszenie.

– Tym razem przecucie myli pana porucznika. Porcja trafiła do kogo powinna, a Grulę sprzątnięto, żebyśmy zostali tutaj sami. Bez świadków – wyszeptał. Spuścił wzrok. Enka wciąż patrzył na dzika, westchnął, przeniósł wzrok na Gila, który wcale nie był z tego zadowolony.

– Mówi ksiądz doktor? Proszę, proszę, nie spotkaliśmy się wczoraj, a wciąż jeden uczy się od drugiego.

§ § §

W dzień po wyborach w Szpitalu Przemienienia Pańskiego trzeszczało i jęczało. Na śniadanie podawali bułki z dżemem, serem żółtym i topionym oraz zupę mleczną tak obrzydliwą, że tknął ją tylko jeden z pacjentów, łysy dziadyga ze zdumiewająco białą klawiaturą zębów, o którym mówiono, że zuje wszystko, a najchętniej ziemię z ogrodu. Nawet Szajbus odsunął od siebie ten talerz. Tuta z resztą pielęgniarzy nie dali przykładu. Tuta

powiedział Ence jeszcze przed salą:

– Dzisiaj świat się skończył.

– Wcale nie dzisiaj, tylko jeszcze wcześniej – odpowiedział natychmiast porucznik Enka.

Frączak wpadł na salę, gdy wszyscy już jedli, zlustrował pacjentów nieobecny wzrokiem, podszedł do Profesora, schylił się jakby miał klęknąć, szepnął parę słów i Profesor uśmiechnął się bez wesołości, nie przestając wsuwać kromki z dżemem. Zaraz dwa stoły pacjentów zaczęły szeleścić, mówiono z pełnymi ustami, okruszki fruwały od twarzy do twarzy. Poza Tutą, po pielęgniarzach spływało to jak po kaczce, w rzeczy samej, próg szpitala mógłby przekroczyć Ojciec Święty z Jezusem i Mahometem urzędnicy w pesteczkę – na takim Tucie, myślał Enka, nie zrobiłoby to wrażenia.

Radio przyniesione, by obwieścić tryumf ekipy rządzącej, grało, mimo że zwycięstwo zmieniło się w masakrę, trupy i kruki wydziobujące oczy niedawnym prominentom. Gorączkowe głosy przestraszonych niezorientowanych dziennikarzy przekazywały informację za informacją – *Solidarność* weszła, tam gdzie mogła, zdjęcie z Wałęsą okazało się kluczem do własnego gabinetu poselskiego, partia przerznięta, Senat wzięty w całości, Urban nie wszedł i nie wejdzie, choćby całował stopy każdemu księdzu od Karpat aż do kościoła Świętej Brygidy. Nawet Enka był zaskoczony, wszyscy na komendzie sądzili, że wolna część wyborów rozłoży głosy mniej więcej po równo, że ludzie są starzy, a tu gównem prawda. Przyglądał się Frączakowi, który siedział przy drugim końcu stołu, i stwierdził, że tylko dwie rzeczy są pewne pod słońcem: absolutna niejadalność zupy mlecznej i fakt, że pan dyrektor ma ze strachu pełne portki. Lekarze szeptali.

Za Frączakiem wsunął się Andrzej Gil, wyraźnie podniecony. Usiadł obok Enki i w pierwszym odruchu sięgnął po zupę mleczną.

– Nie radzę – powiedział mu Enka i dłoń Gila skrzyła w stronę topionego

sera.

– Frączak dopadł mnie na korytarzu i truł przez dziesięć minut – powiedział Gil między kęsami. – Był bardzo miły i pytał, jak miewa się prymas.

– Ale gnida – mruknął Enka.

– Odpowiedziałem, że nie wiem, a potem się zdziwił, nie rozumiał, jak mogę nie interesować się zdrowiem zwierzchnika. To mi powiedział – szeptał, smarując kolejną kanapkę. – Odpowiedziałem, że mój zwierzchnik mieszka w niebie i ma się świetnie, a Frączak zrobił wielkie oczy. Próbował się zaśmiać, ale nie wyszło.

– No, no. Boi się bydlak, że spadnie i dostaje szmergla. Za chwilę będzie szukał sojuszników o tam, przy tym stole – wskazał na jedzących pacjentów. – Niech ksiądz tak się na niego nie gapi, bo kanalia się połapie, że o nim mówimy.

Jedli chwilę w milczeniu.

– Co u Gruli? – zagadnął Gil. Enka zrobił minę, jakby chodziło o kogoś z zupełnie innej planety.

– A dzwoniłem, rozmawiałem z nim. Leży w Pińsku i już narzeka na małe porcje i będzie wracał na komendę. Mówił, że chciał do nas wrócić, ale nie pozwolili. Pewno dzisiaj go wypiszą. Już żona do niego przyjechała razem z dziećmi – dopowiedział Enka. – Przynajmniej tak mi mówił.

– Wygląda pan na niezbyt szczęśliwego z tego powodu.

Enka otarł usta.

– Jestem umordowany, bo próbowałem wyciągnąć coś z Lipińskiego, no i udało mi się tak jak i księdzu doktorowi – szepnął. – Jak pójdziemy na słońce, to księdzu doktorowi poopowiadam.

Cokolwiek Enka chciał powiedzieć, Gil palił się do słuchania – odłożył kromkę wygryzioną w półksiężyc, z braku laku wytarł ręce w tylne kieszenie

spodni i pewno poszliby razem do ogrodu, gdyby z drugiego końca sali nie zerwał się sanitariusz Tuta. Szedł nieśmiało lecz prosto i Enka nie miała wątpliwości, że zmierza ku niemu. Szepnął tylko, żeby Gil poczekał pod tym francowatym aniołkiem i wyszedł Tucie naprzeciw.

Ten pociągnął go na korytarz. Oczy miał wielkie i przestraszone, jak polny gryzoń zagoniony przez kota w kozi róg. Uwagi Enki nie uszło, że nos Tucie się błyszczący niby natarty łojem, a warga się telepie.

– To co my teraz, panie kapitanie, najlepszego zrobimy? Bo Partia wygrała i wszystko w porządku, ale lekarze i pielęgniarze mówią, że już teraz ma być jakoś inaczej?

Enka nawet nie zdążył odpowiedzieć, Tuta się go uczeplił. – Ja się boję, że tego już się nie odkręci i ta nasza Polska, to ja nie wiem, w jakieś bagno się zmieni – nawijał. – Cośmy wszyscy razem zbudowali, to zniszczą znowu, jak za okupacji albo gorzej, cara nam na karki wrzucą. Panie kapitanie, wiem, co zrobić i może moglibyśmy razem... – szukał słów, wywrócił oczami, rzekł wprost – pójdzie pan kapitan do kościoła?

Enka nastawił uszu.

– Jakiego kościoła?

– Któregokolwiek! – cieszył się Tuta. – Może być nawet ten obok.

– A co jest takiego w tym kościele, Tuta, że tam razem pójdziemy? – Enka oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersiach. Obserwował Tutę spod półprzymkniętych powiek.

– To co w każdym, ja myślę, panie kapitanie. Księża są i Pan Jezus. Chodzi o to – zniżył głos do szeptu – że teraz trzeba chodzić, wie pan kapitan i dlatego ja do pana kapitana, bo pan zna duchownych, choćby tego tutaj. Ja sam do niego nie pójdę, ale wiem, że pan zna.

– No tak – bąknął Enka, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy. Korytarzem przemykała Ewa, popatrzył w jej stronę z niemą prośbą o

ratunek. Pomachała mu i poszła.

– Jakbym sam poszedł, to by zaraz szeptano, ale z panem kapitanem to co innego. A pan kapitan zna księży, to wie, co i jak w tych kościołach się robi. No i razem raźniej. A teraz będzie trzeba chodzić i to najlepiej od razu, mówię to panu z dobrego serca, panie kapitanie.

Enka otworzył usta, rozważając kolejne odpowiedzi, odrzucał jedną za drugą, marząc tylko o tym, żeby prasnąć z całej siły w zatroskany Tuci pysk. Poklepał po ramieniu nieszczęsnego sanitariusza i zaraz poczuł się jak facet, któremu ktoś właśnie wskoczył na barana.

– Dobra, Tutuś – powiedział. Oczy byłego posterunkowego rozjaśniły się. – Jak skończy się ten cyrk, obgadamy. A póki co, nie przeżywaj – klepnął go i ruszył w stronę ogrodu. Dodał przez ramię: – Za małą wiarę macie we władzę ludową, panie kolego. Jej pan mszą, modlitwą, kropidłem, nie przegonisz. A jak znajdę chwilkę, to pójdziemy razem, pomodlić się za zdrowie funkcjonariusza Gruli. Dobrze? Jak tylko znajdę czas.

Zostawił słabo pocieszonego Tutę, myśląc, że część personelu tutaj potrzebuje pomocy bardziej niż niejeden pacjent.

### § § §

– Sprawa wygląda w ten sposób, że nie wygląda – rozpoczął Enka. Siedzieli z Gilem obok siebie, a za nimi anioł wylewał wodę z bezdennego dzbana. – Lipiński działał w opozycji, ale na bocznym torze, nie interesował nikogo poza garstką osłów jeszcze głębszych od siebie. Rozumie ksiądz doktor, takich werbuje się za paszport albo karton fajek, sami się zresztą pchają, a wszyscy mają ich w czterech literach, najbardziej ci, przeciw którym spiskują.

Wymachiwał papierosem, a popiół strzepywał wprost do fontanny. Wokoło kręciło się niewielu pensjonariuszy, a żaden nie podchodził na tyle

blisko, by usłyszeć choćby słowo.

– Z tych jęków, z tego całego mamrotania Lipińskiego i jego bandy ostatecznie dowiedziałem się tyle, że panowie popili, pobiadolili na ciężki los ojczyzny, a nasz Lipiński zaprosił ich do siebie za dwa tygodnie, czyli w ten dzień, kiedyśmy ich zwinęli – opowiadał. – Przywitał ich w dziwacznej szacie, ale wszyscy jakoś to przełknęli. Podobno grywał kiedyś w amatorskim teatrze, poza tym postawił wódkę i ściągnął panienkę. Tę Krawczyńską. Wszyscy się do niej kleili, a jedyne go pedała Lipiński natychmiast urznął do nieprzytomności. Ten to rzeczywiście nic nam nie powiedział.

Mówił teraz, patrząc to na ocalałe okno, to na wierzbę obok.

– Lipiński wydobyl absynt, no i zaczął się cyrk. To akurat każdy pamiętał, jak wlewali tę zieloną wódkę do kieliszka, polewali nią cukier, miesza li powoli z wodą i pili. Upili się tym, jak sam ksiądz doktor widział. Przy okazji, próbował ksiądz czegoś takiego?

Po twarzy Gila przemknął cień uśmiechu.

– Trzeba pić bardzo powoli. Tylko tak pan porucznik doceni smak.

– Oni to chyba pili na wiadra – Enka wzruszył ramionami. – A potem Lipiński pokazał im tę Madonnę. Nie wiem, czy ktoś ich zastraszył, czy co, ale żaden pary nie puści. A przecież sami podonosili wcześniej na to spotkanie, więc czegoś tu nie rozumiem.

Gil włożył ręce w kieszenie. Gdzieś z głębi szpitala dobiegł krzyk i zaraz umilkł. Nie pierwszy i nie ostatni tego przedpołudnia.

– Oni nie pamiętają tak naprawdę. Nie wiem, na czym to polega – rzekł z wahaniem. – Jakby każdy miał w głowie skrzynię i coś w niej się tłukło, a oni bali się otworzyć.

Enka zapalił kolejnego papierosa.

– Jakbym sam nie zobaczył, to bym nie uwierzył. Coś mi mówi, że prędzej

daliby sobie palce połamać, niż puściliby farbę. – Westchnął. – No nic, idę ich sobie pooglądać.

Ten ton głosu nie spodobał się księdzu Gilowi.

– Absynt? – rzucił jeszcze Enka. – Muszę zapamiętać. Niech ksiądz doktor mi powie jeden drobiazg – dodał lekko, tak mówi się o pogodzie – choć już o to pytałem: czy jeśli któryś z tych biedaków powiedziałby księdzu prawdę na spowiedzi, przyszedłby ksiądz z tym do mnie czy nie przyszedł?

Gil wyrzucił ze świstem powietrze. W przepoconej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i w zmarniałych spodniach nie miał sobie nic z księdza.

– I bez takich uwag, czuję się tu jak gówno – powiedział.

Enka zawrócił. Słońce świeciło mu w twarz, więc mrużył oczy. Z dwudniowym zarostem zachodzącym na policzki przypominał wielkiego kreta, który zawędrował zbyt daleko od kopca.

– Gdyby ksiądz konsultant pofatygował się choć raz na dół, do mnie, to by sobie ksiądz to i owo pooglądał. A może nawet pomógł.

– Umówmy się, że pan porucznik nie będzie odprawiał mszy świętych, a ja odpuszczę sobie świecenie komuś po oczach i łamanie palców – odparł Gil, wierząc się na murku. Przez twarz Enki przeszedł dreszcz. I niedowierzanie, że padły takie słowa. Krótką chwilę stał z bezradnie opuszczonymi dłońmi, ruszył w stronę Gila, właściwie na Gila, a w dłoni brakowało mu tylko stłuczonej butelki. Jakby nagle obudził się w nim ktoś zupełnie inny. Agresywny i nienawistny. Skręcił tuż przed nim i usiadł, miękki i mokry jak głowa noworodka.

– Zna pan takie powiedzenie, że diabeł zabiera? – zagadnął ksiądz Gil.

Enka już zapalił.

– Zależy co.

– Tak się mówi – wyjaśnił Gil – kiedy na przykład zapomnimy coś, o czym powinniśmy pamiętać. Ważną datę na egzaminie albo kiedy pan sięga



do kieszeni po legitymację, a ona została w domu, właśnie w ten dzień kiedy jest najbardziej potrzebna – ciągnął łagodnym głosem – w czasie, jak pan porucznik wrzeszczał, usiłowałem powiedzieć, że znam podobne amnezje.

– No proszę – Enka wypuścił dym przez zaciśnięte zęby. – Czyli jednak ksiądz doktor jest konsultantem.

Gil roześmiał się smutno.

– Niedokładnie takie, to znaczy nie zawsze amnezja była tak kompletna. No i były to pojedyncze przypadki.

– Zawsze? – zadudnił Enka. – Co to znaczy?

W cyklopiim oknie mignął cień. To kawka przycupnęła na parapecie. Przekrzywiła łepkę, zezując na księdza z milicjantem, załopotana skrzydłami i mała ciemność oderwała się od niezgłębionej.

– Spotkałem kiedyś mnicha z klasztoru zamkniętego. Poddawał się nieustannym postom i umartwieniom. Miał takie zaniki, a wiedział o nich tylko dlatego, że jak się nie modlił, to pisał i znajdował całe strony zapełnione przez siebie, nie rozpoznając ani jednej własnej myśli. Twierdził, że diabeł go prześladował. Teraz już nie żyje – dodał. – Niektórzy opętani mają to samo. Czarna dziura i nic. Pewien chłopak z Rzeszowa nie pamiętał całych tygodni, choć w tym czasie wykręcał własne stawy o 180 stopni, chodził po ścianach i wyzywał mnie w przynajmniej dwóch językach starożytnych. I to wcale nie było zabawne, panie poruczniku.

Enka zakrztusił się papierosem. W jego oczach niepewność walczyła z wesołością.

– Czyli bandzie tego starego pierdoły naprawdę objawił się diabeł? A później „zabrał” im to, co się stało? – zapytał ironicznie Enka. – Dowody na to nie wskazują. Nie znaleziono tam siarki ani odcisków kopyt.

Próżno szukać rozbawienia na twarzy księdza Gila. Minę miał taką, jakby chciał wyrwać Ence dopalającego się peta i wepchać mu w gardło, aż

wyszedłby nosem.

– Konkretnie Lucyfer. To jego próbowali przywołać – mówił szybko, machając rękami, rozganiał dym. – Może pana porucznika śmieszy, ale nie przestałem być księdzem i wierzę w zło osobowe, nawet w kopyta i siarkę, w masę rzeczy, które nawet nie śniły się milicjantom. Trzeba było sobie brać Grulę za konsultanta albo kogoś z Komitetu, a jak padło na mnie, to niech pan się nawet nabija, ale u siebie, w czterech ścianach – ton głosu Gila był dziwny. Równie agresywny, jak Enki przed chwilą. Enka wstał. Kątem oka dostrzegł, że w ogrodzie pojawił się Szajbus. Z rękami złączonymi na plecach chodził od pacjenta do pacjenta i coś im klarował. Zerkał spode łba w ich stronę, ale Enka mógł przysiąc, że wariat nie patrzy na niego, na Gila, ale na fontannę.

– Jaka jest więc księdza teoria? – zapytał. – Jeśli powinienem, to przepraszam. To miejsce doprowadza mnie do obłądu.

– To miejsce ma swoją historię, jak i ludzie tutaj – odpowiedział Gil. – Jeśli mam być szczery, to mnie napawa przerażeniem. Jeśli to nam w czymś pomoże, to moim zdaniem, prawda leży pośrodku. Urznęli się, Lipiński nimi pokierował, po części nie pamiętają, a jak któryś sobie przypomni, to woli umrzeć, niż powiedzieć, co widział.

– Czerwone śwynie! – To Szajbus gnał w ich stronę wielkimi susami, minął Enkę, okręcił się i skierował czarny paluch na statuę anioła. – O wy skurwysyny szatańskie, o wy gnoje, kurwie dupy wam lizać przez wieczność, a nie wędrować do królestwa niebieskiego.

Nie sposób było stwierdzić, kogo właściwie oskarża, siebie, Enkę z Gilem, posąg, wariatów za tym posągiem czy kogoś jeszcze, kto hałasował mu w głowie. Skrzeknął przeraźliwie, przycisnął rękę do brzucha, jakby ten mu rozpruto i musiał zatrzymać jelita. Gil chciał iść w jego stronę, Enka nie pozwolił.

– Nie odczepi się potem – ostrzegł.

Szajbus dostrzegł już o kim mowa, bo wrzeszczał wprost na Enkę:

– Jeden! Dziewięć! Cztery! Jeden! Jeden! Dziewięć! Cztery! Jeden! Noc sylwestrowa! Pamiętajcie, czerwone gnoje, szambo wtedy aż do teraz! Jeden! Dziewięć! Cztery! Jeden! Sylwester zimowy. Ożeż wasza mać!

Enka pomyślał, że gdyby zastrzelić tutaj każdego, kto mówi zagadkami, zostałyby sam w Szpitalu Przemienia i nawet ksiądz doktor gryzłby ziemię. Ale właśnie wzrok Szajbusa padł na księdza doktora, jego spokojne oczy i Szajbus natychmiast zamknął się i poleciał na przełaj, zawracać głowę komuś innemu.

– Skądś znam tę gębę – zastanawiał się Gil.

– Ja też i nawet wiem skąd. Sprawdziłem go, ciekawy facet. – Enka przejechał dłonią po czole, usiłując przypomnieć sobie fragmenty akt. – Straszny mają tu burdel w papierach. Pokażę je księdzu, może coś się wyjaśni, bo dla mnie są tam same pierdoły. Facet nazywa się Pilcha, chyba Adam. Historyk, pracował na uniwersytecie we Wrocławiu i zajmował się Francją, jeździł zresztą do Paryża i to dość swobodnie, więc był pod kimś podpięty – stwierdził Enka, zabębnił w kolano otwartą dłonią – ale się urwał i widzimy go tutaj.

Rozejrzał się po ogrodzie. Pacjenci spacerowali w oddaleniu, tylko jakiś facet w sztruksowych spodniach i koszuli szpitalnej wybałuszał na Enkę przekrwione oczy.

– Za dużo chyba się zastanawiam – mruknął Enka. – Sprawy właściwie nie ma, jest wersja wariatów i pospolita kradzież. A wysłano nas tutaj, w to miejsce – wskazał palcem na ziemię – chyba po to, żebyśmy skakali sobie do gardeł albo czegoś się przestraszyli. Teraz mi to do głowy przyszło, księżę doktorze – szeptał tak, że Gil ledwo go słyszał. – Przecież to nie szpital tylko zwykła katownia, i to taka, o której nikt nie wie. A jednak księdza tutaj

wpuścili.

– Znam to miejsce – odpowiedział natychmiast Gil i to takim głosem, że Ence omal papieros nie wyleciał z ręki. – Jego historia jest prawie tak zabawna jak obecni lokatorzy.

Streścił Ence niewesołą historię zakonnicy, Enka tylko kiwał głową, a na koniec opuścił bezradne ramiona. Rozglądając się po otoczeniu wzrokiem pełnym obrzydzenia, jakby coś pod nosem cuchnęło.

– Pięknie. Po co mi ksiądz jeszcze takie rzeczy opowiada?

– Pamięta pan porucznik, jak pan się czuł po przesłuchaniach ludzi od Lipińskiego, pan albo inni ludzie z komisariatu? Zło zostawia niezatarte ślady, a w tym miejscu było i jest dużo zła. Takie rzeczy opowiadam, żeby pan porucznik o nich pamiętał. I żebyśmy nie poszaleli.

§ § §

Metaliczny dźwięk poniósł się po ogrodzie, za wysokim murem pracował jakiś silnik, jakby ciągnik, coś wielkiego szarpano po ziemi. Znali ten odgłos, a Gil nawet przewidział, co się stanie. Pacjenci znów zbili się w kupę, niczym kurczaki przerażone konturem jastrzębia na niebie, jęcząc i sapiąc, wytrzeszczając przerażone oczy, zaczęli przesuwać się w kierunku drzwi, ale nim do nich dotarli, dźwięk umilkł i pacjenci znieruchomieli. Trwali kilka minut, przytuleni do siebie i oczekujący, aż pierwszy odważny odłączył się od grupy, przygarbiony, podreptał w głąb ogrodu, dreptanie przeszło w bieg i inni także się rozpierzchli. Filemon się roztańczył, a Szajbus rozwrzeszczał.

– Pod lód! Pod lód!

Enka siedział na murku i wodził wzrokiem za księdzem Gilem, który krążył przed nim tak, że jeszcze trochę i deptałby w miejscu. Słońce stało wysoko. Brakowało mu tylko tablicy, kredy i rzędów zachwyconych studentów. Enka powiedział, że w innych okolicznościach by mu takich

narysował.

– Klasztor ufundowała wdowa po powstańcu styczniowym, której nazwiska nie pamiętam – opowiadał Gil. – Nie miała dzieci ani bliskiej rodziny, męża jej zabili, więc spory majątek otrzymały elżbietanki. Może pana porucznika to dziwi, ale niektórzy uznają za stosowne dzielić się z Kościołem dobrami doczesnymi.

– Szkoda, że w drugą stronę to nie działa – wypalił Enka. – Niech ksiądz mówi dalej.

– Elżbietanki opiekują się chorymi, także chorymi psychicznie, a tacy mieli trafić tutaj zgodnie z testamentem. Właściwie byli tu ludzie jak ci teraz. Ludzie, którzy byli zbyt blisko piekła i piekło ich ciągnie.

– Rozumiem. – Głos Enki wskazywał, że milicjant zdążył pożałować niedawnych żartów. Jak na ironię, pacjenci w ogrodzie rwali się ku niebu, jeden próbował wspiąć się na topolę, ale nieustannie zjeżdżał na gładkiej korze, zresztą spod krótkich rękawów wystawały ramiona doskonale wypłukane z mięśni, aż dziw, że zdołał unieść rękę, by podłubać w nosie. Łysy czterdziestolatek, zwany tutaj Filemonem, machał rękami, podskakiwał, ale nigdzie nie poleciał.

– Pierwszą rzeź w tym miejscu urządził patrol kozacki podczas pierwszej wojny światowej – mówił dalej Gil. – Wszystkich zabili, siostry, pacjentów, a byli tak pijani, że nie zwracali nawet uwagi, kogo akurat gwałcą. Po tym wydarzeniu szpital przy kościele Przemienia Pańskiego stracił swój szczególny charakter. Siostry przyjmowały tutaj zwyczajnych chorych z okolicznych wiosek, ale nauczone przykrym doświadczeniem, ewakuowały pacjentów we wrześniu 1939 roku. Szpital uruchomiono po wojnie, tylko po to, żeby Rosjanie zrobili to samo, co kozacy. Całość podpalono. Ruinami zajęła się Polska Ludowa, która nas tu wysłała i mam nadzieję, że niedługo zdechnie.

Enka roześmiał się, bo jeszcze nie słyszał z ust Gila żadnej deklaracji politycznej.

– Polska Ludowa Polską Ludową, a kuria swoje wyniucha – mruknął.

– Kuria wyniuchała nawet kilka trupów w tym miejscu. – Gil promieniał. Część tej jasności udzieliła się porucznikowi Ence. – Najbardziej znanym był niejaki Witold Kulesza-Nowak, były ksiądz patriota, działający z polecenia służb bezpieczeństwa, historyk Kościoła, a potem jego przeciwnik, już po zrzuconiu sutanny. Kulesza, jeszcze jako ksiądz, był kapelanem tego szpitala. Potem jawnie służył swoim mocodawcom, habilitował się i wykładał marksistowską teorię religii, a jako były ksiądz był dla władzy nie do przecenienia. – Spojrzał w niebo. – Zjeździł całe demoludy z wykładami, ale właśnie tutaj znaleźli go powieszzonego.

– Już nie był księdzem? – upewnił się Enka.

– Od kilku lat. Wystąpił z Kościoła jeszcze w latach pięćdziesiątych, a zmarł w sześćdziesiątym piątym. Dowcip w tym, że był przyjacielem i protegowanym Mindera-Koszutskiego, czyli Profesora, któremu teraz tu wszyscy usługują.

– A pozostałe trupy?

– Pacjenci. Kościół nie interesuje się każdym zmarłym, ale losami swoich byłych prominentów i owszem – wyjaśnił Gil.

– Jeszcze trochę i zamienimy się rolami. – Enka podparł się pod boki. Niby to obojętnym wzrokiem spoglądał na dwóch pacjentów, podskakujących synchronicznie po obu stronach ogrodu. – Ile takich cudeniek ksiądz jeszcze przemilczał?

– Trup zimowy! Krew na śniegu! Jeden! Dziewięć! Cztery! Jeden! – to Szajbus wrzeszczał z rogu ogrodu. – O zesz wasza mać! Pod krą! Płyniemy pod krą! Jeden! Finder! Dziewięć! Marcel! Cztery! Kartin! Jeden! Złodziej pierdolony! Pod lód gnoja, pod lód!

Gil westchnął:

– Niczego nie opuszczam. Mam za panem chodzić i truć o historii? Sam nic nie rozumiem. Czemu tu jesteśmy? Co tu robi Profesor i czym naprawdę jest to miejsce?

– To już mówiłem. – Enka sprawiał wrażenie umordowanego rozmową. – Chyba że ksiądz uzna, że miłosierdzie Boże ma plany nawet dla tej kanalii, Frączaka.

Gil pomyślał, że jeśli w planach Boskich jest miejsce dla Frączaka i Szpitala Przemienienia, to trzeba się modlić dłużej, głośniej i klęcząc na rozżarzonych węglach.

– Za to domyślam się, o co chodzi temu nieszczęśnikowi – Gil miał na myśli Szajbusa Pilchę. – Wywrzaskuje nazwiska komunistów zrzuconych w czasie wojny. Marcel, tu chodzi prawdopodobnie o Nowotkę. Pod koniec 1941 roku byli już w Polsce i spędzili razem sylwestra, choć wątpię, żeby tańczyli do białego rana. Słyszałem, że tamtej nocy stało się coś dziwnego, a jeszcze dziwniejsze, że żaden z nich nie dożył końca wojny, ale jaka opcja przejęła władzę, to nie muszę panu porucznikowi przypominać.

– Twierdzi ksiądz, że komuniści, Nowotko z Mołojcami, przywołali diabła w noc sylwestrową? A Lipiński z kolegami próbował to odkręcić? – Enka powstrzymał uśmiech. – Dla mnie to trochę karkołomne.

Gil wyglądał, jakby właśnie upuścił dwie walizki pełne żelaznych sztab, a ten ciężar w cudowny sposób pociągnął w dół też jego szczękę. Sapnął, uniósł prawą dłoń, zaciskał palce, łapał w nie słowa.

– To pan powiedział, panie poruczniku.

Enka otarł czoło. Wyjął papierosa. Ledwo minęło południe. Otwarta dzisiaj paczka już była pusta i przypomniał sobie, jak kobiecina na targu, od której kupował camele, mówiła mu, że za dużo pali i kiedyś to zrozumie. Miał wrażenie, że zdążyli omówić większość problemów współczesnego

świata, Kościoła, milicji i psychicznie chorych. Komunista też wariat, księże doktorze.

– Ta maszyna, która nam tu przeszkadza, to winda. Widać ją świetnie z okna mojego pokoju – odezwał się Enka – jeździ co kilka godzin. Mam też wódkę, i to zimną, pielęgniarki mi ją zachomikowały w zamrażarce za kuchnią. Będzie gęsta jak syrop – zapewnił.

Gil zaraz przypomniał sobie czasy seminarium, kiedy pito w zaciszu czterech ścian i po zmroku. Chciał nawet powiedzieć o tym porucznikowi Ence, ale ten wszedł mu w słowo: – Jak już się poobrażaliśmy, to można też strzelić parę głębszych. I przy tym popatrzeć. – Cisnął niedopałek do fontanny. – Ja to tak widzę, księże doktorze, że albo my, albo Szpital Przemienienia.

Ksiądz Gil idąc do pokoju porucznika Enki, myślał o odwyku.

### § § §

Pokój porucznika Enki był bliźniaczo podobny do tego, w którym rezydował ksiądz doktor habilitowany. Radio nie grało, a nad drzwiami widniał zarys potężnego krzyża, nie dała mu rady farba ani gips, a gdy przyjrzeć się dobrze, nad łóżkiem majaczył cień obrazka. Za oknem jaśniał księżyc, posrebrzając drzewa i metaliczny korpus szybu windy, wyrastający ze szpitalnego muru.

Po flaszcze Bałtyku spływały zimne krople, a gdy Enka rozlał wódkę do kieliszków, na szkle pozostały ślady palców. Etykieta – z żaglowcem, co falom sztormowym się nie kłaniał – odkleiła się i pojechała w dół, pod skosem, tak że dziób okrętu bił prosto w sufit.

– Zdrówko – powiedział porucznik Enka. Stuknęli się, twarz Gila wykrzywiła się, jakby pił naftę albo proszek do prania rozpuszczony w pięćdziesiątce wody. Enka zaś wyduł wargi i przymknął umęczone



pijaństwem oczy. Na te wódkę nie mówiono inaczej niż śmierć marynarza.

– Macie zdrowie, panie poruczniku – powiedział Andrzej Gil. Siedział na taborecie zupełnie nie po księżowsku w dresowych bawełnianych spodniach, w podkoszulku tak spranym i rozciągniętym, że przypominał flagę zdartą z masztu po rejsie dookoła świata. Jedyne światło dawała lampka w rogu pokoju.

– I tak do usrania – powiedział Enka i zaraz dorzucił. – Zastanawiam się, na ile tu utknęliśmy i kiedy połapiemy się, że nic już po nas.

– To już dawno wiadomo – odparł Gil, a winda ruszyła ze zgrzytem, można by pomyśleć, że czyjeś wielkie dłonie rozrywają na strzępy metalowe sztaby. Enka natychmiast zgasił światło. Gdzieś w głębi szpitala zabrzmiał krzyk, który zaraz stłumiono albo stłumił się sam.

Winda stanęła z łoskotem, ogród rozjaśnił prostokąt światła, a zza rogu wyłonił się łysy mężczyzna, którego nazywano Filemonem. Stawiał drobne chwiejne kroki i patrzył gdzieś przed siebie wzrokiem człowieka, który właśnie dostał między oczy. Chwiał się i pewno by upadł, gdyby nie pielęgniarz Tuta, który szedł z tyłu i go podtrzymywał. Gdy stanęli przed windą, Filemon stęzał, jakby się zaparł, otworzył usta i próbował coś powiedzieć. Tuta pchnął go zdecydowanie i słowa Filemona, jakiegokolwiek by nie były, zabrzmiały już w czterech ścianach windy. Za Tutą oddalony o kilka kroków stąpał Profesor w lekkim płaszczu narzuconym na szpitalny strój. Ręce miał splecione z tyłu, a gdziekolwiek błędził jego wzrok, nie oglądał niczego z tego świata. Krok miał koci i miękki, twarz zaciętą, spojrzął jeszcze za siebie, dołączył do pielęgniarza i chorego. Zabrzmiał nieprzyjemny dźwięk zasuwanej kraty i winda pojechała. W ogrodzie znów zapadła księżycowa ciemność.

– Proszę, proszę – cmoknął Enka. – Tutaj nasz profesorek jest ważniejszy od Frączaka z Jaruzelskim do kupy.

Gil tylko skinął głową.

– A ten pielęgniarz? Skąd go pan zna, panie poruczniku? – zapytał i patrzył, jak Enka w półmroku walczy z butelką i kieliszkami. Bałtyk już zrobił się ciepły. Walnęli więc do dna i Enka opowiedział o spotkaniu z Tutą koło Stachowart i o krótkiej pogawędce, która ucięli sobie dzisiaj po śniadaniu. Nalał znowu.

– Tuta to menda i męczący człowiek – wyjaśnił. – Taki, co liże po dupie i patrzy, jakby tu ugryźć. Wolałbym iść na ring i zebrać łomot, niż żeby ten facet siedział tutaj z nami.

Jak echo tych słów zabrzmiał zgrzyt ruszającej windy. Akurat starczyło na szybką kolejkę, a gdy krata się uniosła, wyszedł Profesor, wyszedł Tuta, ale nie było z nimi Filemona. Tuta rozejrzał się konspiracyjnie po oknach i Gil cofnął się w głąb mieszkania. Nawet stąd widział funkcjonariusza Tutę, jak znika za rogiem, by wrócić z łopata i workiem. Łopatę oparł o drzewo, róg worka miał w ręce. Tak wsiadł do windy i zjechał w metalicznym trzasku.

Gil chciał coś powiedzieć, ale tylko przyłożył rękę do pobladłych ust.

## Rozdział szósty

### Jeden! Dziewięć! Cztery! Jeden!

Enka obudził się z myślą, że Tuta to bydlę niespotykane, nawet na tym zbydlęconym świecie. To proste i trafne przemyślenie nie chciało go opuścić pod prysznicem, podczas nakładania skarpetek, a kiedy już w jadalni nadkroił miękką parówkę, jeszcze się wzmogło. Sam Tuta siedział z innymi pielęgniarzami i wsuwał w najlepsze, nie podnosząc głowy. Enka aż syknął.

– I co ja panu zrobię, panie poruczniku? – szepnął Gil takim głosem, jakby namawiał do czegoś nikczemnego.

– Znam takich. Cwaniakują, aż się przecwaniakują, wszystko niby twarde u nich, a jak jaja ściśniesz, to piszczą jak panienki. – Wbił widelec w parówkę, pociekła brudna woda.

Mówił mocnym głosem, z pasją, Gil takiego Enki nie znał, a przynajmniej nie pamiętał.

– ...A jak widzę tego sukinsyna, to mi się coś robi. – Widelec Enki wskazywał na Profesora. Starzec wydawał się zupełnie pochłonięty kanapką z dżemem, którą jadł drobnymi kęsami. Przymykał co chwilę oczy, żuł, wydymał wargi. Enka ciągnął: – Do takiego się dobrać, ech, szkoda słów. Inni nie lepsi. – Zerknął w kierunku Frączaka i zaraz zawiesił wzrok na podkrążonych oczach księdza doktora.

Gil z trudem przeżuwał kanapkę. Co chwilę sięgał po wodę.

– Nie tylko Filemon zniknął – rzekł Gil. Enka zmrużył oczy, przyjrzał się pacjentom. Brakowało Młodego, Profesora i Szajbusa. Enka wsadził sobie całą parówkę do ust, aż zgięła mu się w szczęce, jął żuć, mlaskać i zwrócił się do Frączaka.

– Panie dyrektorze – jeszcze popił, lecz nie przełknął – czy coś się stało z tym biednym człowiekiem, który tyle krzyczy. Z panem Pilchą?

Kąciki ust dyrektora Frączaka opadły i zaraz poszły w górę.

– Zasłabł dziś rano. Nic poważnego – wyjaśnił promienisty Frączak, a Enka aż przełknął z wrażenia. – Lekarz zaniósł mu posiłek do pokoju. Chciał tu iść, ale lepiej, żeby został w łóżku.

– Rozumiem – Enka znów napełnił usta i otworzył teczkę, że niby czegoś tam szuka. Przejechał paznokciem po dokumentach. – To temu damy dzisiaj spokój. Mam nadzieję, że przynajmniej pan... – zawiesił głos, wyrecytował – Filemon Misiak jakoś się trzyma. Chcę porozmawiać z nim, zaraz jak zjemy. Przesłuchiwani go wspominali. Długo tu siedzi? I czemu?

Głosy nad stołami umilkły jak ucięte, w powietrzu można by teraz kogoś powiesić na samym sznurze bez szubienicznego haka, a Enka znalazłby paru do powieszenia. Na przykład dyrektor Frączak, który skamieniał z widelcem w tłustej łapie, szkliste oczy wytrzeszczał na Enkę, a spod posiwiałych włosów wysunęła się kropla potu.

– W izolatce – pisnął. – Misiak jest w izolatce. Miał ciężki atak.

– Ech, co za życie – sapnął Enka – ale to w końcu szpital. Mnie tam wszystko jedno, więc pójdziemy do izolatki.

Frączak kłapnął szczękami.

– Nie można. Nie można. Polepszy mu się, to wtedy. Chory człowiek, rozumie pan, panie poruczniku.

– Aha. – Enka złożył widelec na pustym talerzu. – To mi go, towarzyszu dyrektorze, jakoś na jutro wykurujcie. – Wstał od stołu, skłonił się lekko w stronę lawy z wariatami i zostawił Gila samego. Ledwo dotarł na korytarz, ledwo wydobyl papierosa i zaczął grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu zapalniczki, gdy dopadł go zdyszany dyrektor Frączak.

– Jeszcze raz przepraszam, panie poruczniku. Byłoby łatwiej, to znaczy

mógłbym pomóc, bo od tego jestem, cały personel jest, a was tylko dwóch. – Z trudem łapał powietrze. Enka pomyślał, że Frączaka mógłby zabić szybszy spacer po pół litra. – Także może jakąś listę zrobimy, kto będzie, a kto nie będzie z panem rozmawiał. To by pomogło.

Enka zapalił i usiłował sprawić wrażenie zamyślonego.

– No, to pomoże. – Kiwnął głową. – Co z tym Misiakiem?

– A na co on panu potrzebny? – wypalił Frączak i zaraz uniósł rękę, jakby chciał zakryć sobie usta. – Znaczący, to wariat i nie do pogadania, sam widział pan porucznik, więc nie wiem, może to coś, co w kartach się znajduje, albo ja wiem, lekarze... No, nie wiem, może wyzdrowieje. Powinien.

– Aha – rzekł Enka przez zaciśnięte zęby, nic tylko chwycić tę tłustą szyję i wycisnąć życie. Odegnął czerwień sprzed oczu, korytarz znów był pastelowy, Frączak wielki i przerażony, na ten strach nakleił wąły uśmiech. Enka także się rozpromienił. Poklepał Frączaka.

– Byłoby dobrze, jakby na jutro Misiakowi się polepszyło – powiedział. – Dziś dzwonię do resortu i jeśli tam czegoś nie wymyślą, to jutro byśmy się zwijali. Nic tu po mnie – wzruszył ramionami, niby obojętnie i patrzył, jak Frączak z trudem kontroluje wyraz ulgi, rozlewający się od gadzich oczu na całe oblicze.

– Póki co, jestem do dyspozycji pana porucznika. Może jeszcze na coś się przydam – zażartował – zanim się pożegnamy.

Odwzajemnił uścisk i poczłapał w stronę stołówki.

§ § §

Książdz doktor wciąż żuł kanapkę, wyłącznie przez rozum, popijał trzecią już herbatą i nie mógł pozbyć się paskudnego zapachu z ust. Przecież nie wypił znów tak wiele. Teraz przydałby się właśnie Szajbus, poskakałby i powrzeszczał, zagłuszył szepty znad łyżek, postrącał te ciemne spojrzenia

łypiące na Andrzeja Gila. Leki, duchy i diabeł ich powykrzywiały. Co powinien zrobić? Tu ludzi mordują. Mordują, ale co z tego? Przecież Enka nie wystrzela personelu, a taki Profesor być może umiałby go zabić samym spojrzeniem. Wolne żarty. Równie dobrze ksiądz doktor mógłby pojechać na pierwszy posterunek i zgłosić, że katują niewinnych w swoich katakumbach, a parki i lasy to cmentarze bezimiennych. Idź, księżulku, to przekonasz się, że zdychający wilk wciąż kąsa, odgryzie ci ten święty łeb i spokój. Enka nie da rady, choćby Gula tu przyjechał i wziął go na barana. Czasy się zmieniają, w tym nadzieja. Trzeba porozmawiać z Enką. Może tym razem posłucha, choć warczy i piekli się o wszystko, odkąd tylko dostał w ręce tę przeklętą sprawę. Jest zmęczony. Gil też jest zmęczony, aż słabość mowę odejmuje. To naprawdę nieznośne, widzieć, wiedzieć i nie móc nic zrobić.

Przeżuł ostatni kęs bułki z galaretowatym dżemem i zabrał się z jadalni, chciał zaraz iść poszukać Enki, ale zatrzymał się przy drzwiach i przeczytał, że na obiad wszyscy zjedzą krupnik i łazanki. Krupnik i łazanki, wspaniale i nagle poczuł się częścią czegoś większego – wpadł w rytm Szpitala Przemienia. Śniadanie, ogród, znów żarcie, izolatka, czasem zejście na dół, czasem powrót, czasem nie, tak sennie, aż serce boli. Można oszaleć od życia tutaj, może Frączak z Tutą też byli normalni nim tutaj trafili. I ten ciężar na piersi, Gil poczuł go nagle, coś jakby ogromne, zimne dłonie napierające na klatkę piersiową. Zgiął się i zgięty poszedł.

Spodziewał się zastać Enkę w pokoju albo przed wejściem, tam gdzie palono. Zastukał do drzwi, ale odpowiedziała mu cisza. Kierował się do wyjścia, gdy drogę przeciął mu krzepki trzydziestolatek w lekarskim kitlu. Potrząsnął jego ręką. Sprawiał wrażenie zakłopotanego, jakby był winny wszystkiemu co niedobre w Szpitalu Przemienienia Pańskiego, z dyrektorem Frączakiem i Tutą, małym mordercą, na czele.

Lekarz nazywał się Dariusz Rudzik. Przynajmniej tak się przedstawił.

– Nie wiem, jak zacząć – powiedział. – Muszę prosić księdza o przysługę, ale nie wiem, czy mogę i czy przysługa to dobre słowo.

Gil skinął głową. Dodał słowo zachęty do tego skinięcia.

– Chodzi o Adama Pilchę. O Szajbusa – dookreślił i dodał pospiesznie. – My tu mamy mnóstwo roboty i nie jesteśmy od spełniania życzeń. Z wyjątkiem, może, tego ostatniego.

– Co z Pilchą?

– Oni by na to nie zwrócili uwagi – Rudzik zapewne miał na myśli resztę personelu – ale ja jeszcze za krótko tu pracuję – uśmiechnął się kwaśno, a Gil pomyślał, że to bardzo szczególne miejsce, ten szpital, gdzie lekarz usprawiedliwia się z chęci niesienia pomocy pacjentowi. Rudzik mówił dalej: – Pilcha miał wylew w nocy, sparaliżowało mu prawą połowę. Dziwię się, że dopiero teraz to się stało. No, w każdym razie, to nie koniec kłopotów. – Poskrobał się w nos i próbował nie patrzeć na Andrzeja Gila. – Od kilku godzin szarpie się, jak tylko umie, wrzeszczy i przeklina. Nie sposób dać sobie z nim rady, a z lekami też nie możemy przeholować, bo serce, a chłop i tak jest na wykończeniu. Wie ksiądz, kogo się domaga?

– Mogę sobie wyobrazić.

– Nie, że konkretnego księdza, księżę doktorze. Ale innych tu nie mamy – wyjaśnił Rudzik. – Nic, tylko chce się wypowiedzieć. Ledwo żyje, a wrzeszczy. Połowa ciała sparaliżowana, a czołgał się do drzwi, więc go zwiąaliśmy. Błaga i krzyczy na przemian. Mógłbym go czymś innym uspokoić, ale... – zawahał się – pomyślałem, że co mi szkodzi, a może ksiądz nie odmówi.

– Nie odmówię. Chciałbym tylko... – zaczął Gil, ale lekarz już go nie słuchał. Uśmiechnął się, jakby zrzucił z siebie nieznośny ciężar i szepnął, konspiracyjnie: – Nikomu ani słowa. Oficjalnie tam księdza nie ma. Ksiądz poczeka, po cichu zabiorę klucz.

Odszedł i zniknął za drzwiami. Zabrzmiały stamtąd podniesione, wesołe głosy, przetoczył się śmiech. Gil zdążył pomyśleć, że powinien powiadomić Enkę o tym, gdzie się z doktorem Rudzikiem wybierają. A czy Enka przychodzi do niego z każdą swoją sprawą? To ma być spowiedź, ostatnie namaszczenie, a pałka milicyjna grzechów nie odpuszcza. Poza tym Enka ma swoje kłopoty.

Na korytarzu zjawił się Rudzik. Poklepał się po kieszeni.

– Ksiądz pójdzie za mną, ale nie za blisko. Lepiej, żeby nas razem nie widzieli.

Gil dał znak ręką, żeby Rudzik poczekał i wrócił do siebie, po stułę i kasetkę z sakramentem. Gdy trzymał w rękach to małe pudełeczko, opadły go wątpliwości – czy jednak nie iść do Enki i czy na pewno poradzi sobie z Szajbusem, czemu musi radzić sobie akurat z nim, a wylew przecież mógł jeszcze trochę poczekać.

Poszedł za Rudzikiem na piętro i zaraz, na lewo, szcęknął klucz w zamku i drzwi się otworzyły, na przeciwległą ścianę padł pas trupiego światła. Rudzik natychmiast się odsunął, a gdy Gil położył dłoń na kłamce, pchnął, lekarz cicho wycofał się na parter i zniknął z pola widzenia.

§ § §

Enka siedział na długiej ławce przed pokojem pielęgniarzy, palił spokojnie i niespiesznie, tak też czekał. Kiedy jeden papieros gasł, natychmiast dobywał kolejnego, delikatnie ubijał go o ścianę i zaciągał się głęboko, odginając głowę, a pod półprzymkniętymi powiekami przesuwaly się czerwone migawki o krwi i rzezi. Napinał się nagle i przygryzał wargi, wolna ręka nie mogła sobie znaleźć miejsca i błędziła po kolanach, zaglądała do nosa i ucha, bębniła w ławę i tynk na ścianie. Nawet Ewa, która szła z lekarstwami, chciała się zbliżyć, może przytulić, ale zawahała się i zaraz



odeszła szybkim krokiem. Tak chodzą kobiety dużo starsze od niej.

Czekał, aż się doczekał. W towarzystwie gorylowatego kolegi Remigiusz Tuta opuścił pokój pielęgniarzy, na widok Enki zgiął się w pół, jak sługa przed sułtanem, błysnął uśmiechem, ale oczy miał matowe. Enka wstał. Wypuścił dym nosem. Gorylowaty pielęgniarz odłączył się i poszedł korytarzem, spoglądając za siebie.

– I co tam dzisiaj, panie poruczniku? – Tuta najwyraźniej zdołał przyswoić sobie prawdziwą rangę Zbigniewa Enki. – Słyszałem, że wyjeżdżacie razem z księdzem profesorem?

– Ano, Tuta, będziemy się żegnali – Enka opanował wzburzenie, w jego głosie pobrzmiewał żal i słodycz – ale potrzebuję waszej pomocy. Nie na długo, ale za to teraz.

– Jasne, tak. Tylko zostawię klucze... – Tuta szarpnął się lekko, gdy Enka ujął go za ramię i pociągnął za sobą. Próbował protestować, ale odpuścił. Enka przywołał na twarz melancholijny uśmiech. W te wykrzywione wargi wkładał i wyjmował szluga, jakby były niezdolne do najmniejszego ruchu. Milczeli. Pociągnął Tutę za budynek szpitala do szybu windy, przy którym wciąż stała łopata. Była to saperka, z której zdążyła zejść zielona farba, nadgryzła ją rdza, a ślady świeżej ziemi sięgały styliska. Enka puścił Tutę, pchnął, ten poszedł posłusznie i zabrał łopatę. Zawrócili. Wracając, znów minęli Ewę. To musiał być niecodzienny widok – porucznik milicji w cywilu, za to z petem w gębie spopielonym do filtra, pcha przed sobą bezwolnego pielęgniarza przytulonego do upapranej saperki jak matka do dziecięcia. Otworzyła usta, wypowiedziała bezgłośnie jakieś słowo, a nim zniknęła za pierwszymi lepszymi drzwiami, dała znak, że nie wie, co się dzieje, ale nie puści pary ze swojej ślicznej buzi.

Dotarli do ogrodu. Enka pchnął Remigiusza Tutę, jednocześnie wzmacniając uścisk, więc skołowany pielęgniarz zatoczył się jak urzęnięty.

Łopata wysunęła mu się z dłoni. Podniósł ją natychmiast.

– Dokąd? – zapytał.

– A widzisz, Tuta? Między drzewa.

– Które drzewa? – zagadnął przyjaźnie Tuta głosem małego rozrabiaki, który w życiu nie słyszał o żadnych wybitych szybach i nawet nie wie, że szkło czasem się tłucze. Usiłował patrzeć na wszystko, tylko nie na kępę drzew w rogu ogrodu.

– Te drzewa, Tuta, i nie pogrywaj ze mną – rzekł Enka, a Tuta rzeczywiście nie pogrywał, tylko poszedł przodem, ciągnąc łopatę za sobą. W połowie drogi odwrócił się i rzucił, niby od niechcienia:

– A po co akurat tam, panie poruczniku?

– A bo tam leży człowiek, którego zakopałeś zeszłej nocy, to teraz go wykopiesz, a ja zobaczę, co mu się przytrafiło. I mam nadzieję, że sam wskażesz miejsce, bez mojej pomocy.

Tuta tylko rozdziawił gębę, w jego bezrozumnych oczach zalśniła wilgoć, rozłożył bezradne dłonie, a że nie wiedział co robić, to poszedł. Znaleźli się w cieniu drzew, tam między brzozaami ziemia była inna, świeżo udeptana.

Tuta wbił łopatę, ale jej nie wyciągnął. Zwrócił się w stronę porucznika Enki, wysunął bezbronne dłonie w pojednawczym geście.

– Eeeej, pomyślałem tak sobie, że po co kopać, tracić czas, skoro ja powiem. Sam chciałem powiedzieć panu porucznikowi, ale pan wie, jak tutaj, sam mogłem tu leżeć, a tego byśmy nie chcieli, ja bardzo bym nie chciał – zerknął w stronę wejścia, jakby szukał podpowiedzi lub ratunku, a Enka pomyślał, że jakby walnął w ten zaślimaczony pysk, Tuta wziąłby na siebie winę za wszystkie nieszczęścia tego zasranego świata.

– Świetny pomysł, Tutuś! – pokiwał głową. – Możecie mówić i kopać, no nie? – Zapalił, zmiął pustą paczkę. Poleciała wprost na świeżo wystrzyżony trawnik. – A możemy zacząć od tego, ilu tu już zagrzebałeś, a przede

wszystkim – dlaczego?

Remigiusz Tuta zadrżał, popatrzył na Enkę z wyrzutem i chwycił za łopatę. Pierwsza pięćdziesiątka ziemi poleciała między pnie.

– Nie słuchasz mnie, Tuta – z głosu Enki zniknęły resztki niedawnej łagodności. – Mów, ilu tutaj leży i po co, kto to robi? Nie musisz mówić, że wykonywałeś tylko rozkazy. W twoim przypadku to oczywiste.

§ § §

Gil zostawił za sobą uchylone drzwi. Znajdował się w przedpokoju bez okien, jedyne światło dawała słaba żarówka pod mlecznym kloszem. Stary parkiet trzeszczał, a ksiądz doktor zaraz strącił ręcznik wiszący na aluminiowym ramieniu obok umywalki. Na blacie obok widniały koliste ślady po szklankach z czymś słodkim i gęstym. Przed Gilem wyrastała metalowa ściana, która widziana z bliska okazała się drzwiami z metalową gałką. Nie dobiegał zza nich żaden dźwięk. Przekręcił klamkę, ale nic się nie stało. Szarpnął, znowu nic.

Mordował się tak trochę, nim dostrzegł karteluszek za szkłem na bocznej ścianie. Z trudem odczytał maszynowe, powielane przez kalkę pismo, westchnął coś o zdziwczaniu współczesnego świata i wrócił, by zamknąć drzwi na korytarz. Teraz metalowa gałka przekręciła się bezgłośnie, pchnął ją, jęknął zawias, a powietrze przeciął skowyt Szajbusa.

Adam Pilcha, Szajbus, leżał na szpitalnym łóżku i próbował unieść się na jedynej sprawnej ręce. Niewiarygodne, jak schudł przez ten dzień. Woskowa skóra zwisała na nim, pod nastroszonymi brwiami jątrzyły się ogromne oczy, czerwone niby rany. Szarpnął się, bezskutecznie, bo trzymały go pasy, przechodzące przez łydki, uda i korpus. Jakimś cudem zdołał wyzwolić sprawną rękę i przekręcić się na plecy lecz był zbyt słaby i niezdarły, żeby odpiąć sobie więzy, Szarpał się i wrzeszczał, właściwie połowa twarzy

krzyczała, druga przemieniła się w maskę, a dłoń mu trzepotała jak ryba na brzegu. Gdy dostrzegł Gila, natychmiast umilkł.

Pilcha cuchnął jak wiejski kibel albo szmata do podcierania się. Pidżamę, odrzuconą pościel i pomięte prześcieradło pokrywały plamy, od jasnej żółci po brąz wpadający w czerni. Wokół łóżka, niczym magiczny okrąg, biegła linia śliny przemieszanej z juchą. Pilcha kaszlnął, charknął i taki właśnie lśniący glut rozmazał się jakieś dwa metry od butów księdza Gila.

– Chodź! – skrzeknął. – Nie gryzę. Pół na pół.

Parsknął śmiechem, aż łza poszła ze sprawnego oka. Gil zbliżył się i gdy stał już przy Szajbusie, zorientował się, że przyciska do piersi pudełko z sakramentaliami. Szajbus prychnął i nagle osłabł, opadł na materac, twarz wcisnął w poduszkę. Wielka i wielobarwna plama na niej przypominała Gilowi motyle, które w dzieciństwie wyczarowywał z odrobiny farby i kartki złożonej na pół.

– Zostaw to, zostaw! – szeptał Szajbus. – To akurat nam się nie przyda.

– Powiedziano mi, że potrzebujesz spowiednika – Gil jeszcze nie skończył, a już rozumiał, jak niedorzecznie brzmiały jego słowa w tym miejscu. Szajbus wciąż przyciskał twarz do poduszki, ale zdołał obrócić ją na bok, tak, że nieruchomy policzek pozostawał na dole. Chyba próbował się zaśmiać.

– Spowiedź! Spowiedź! Tylko żywi mogą się spowiadać.

Mrugnął porozumiewawczo.

– Inaczej by mi tu księdza nie ściągnęli, mowy by nie było. Ten lekarz, dobry człowiek, szpital go zniszczy, szpital go schrupie. Taka to już uroda miejsca. Chodź! Chodź! – Ręka mu podskoczyła. – Przysuń sobie stołek i słuchaj.

Gil bez słowa poszedł w róg pokoju i wrócił ze stołkiem. Usiadł ku niezadowoleniu Pilchy jakiś metr od niego. Tu smród był jeszcze znośny.

– Nie odpuszczaj skurwysynom – rzekł Szajbus – ja tu konam, ale nie odpuszczę, kto ma uszy niech słucha, więc słuchaj, księżu doktorze, oby ci łeb nie pękł od tego słuchania. Jeden! Dziewięć! Cztery! Jeden! – Brzmiało to jak ponury żart. – No, spokojnie, nie ma co się bać. To tylko sylwester. Pierwszy wojenny sylwester sowieckich komunistów w Polsce. – Nagle oczy mu przygały – Mówią, że nie mogę, bo zarzygam się w trupa, ale obróćcie mnie na plecy. Tak będzie wygodniej.

Gil pomyślał i zaprzeczył ruchem głowy. Oczy Szajbusa przygały.

– Szlag by cię, klecho, klecho. Ciekawe, jak się z tego wypląecie. A ja skurwysynom nie odpuszczę, wiem od łąt, jak tylko do Francji pojechałem, to wiedziałem. Profesor też wie, ale on jedna banda. Sylwester. Czterdzieści jeden. I na tym sylwestrze Finder, Mołojec, Nowotko, Rutkiewicz, Kartin, Skoniecki – wyliczył – zrzućni na rozkaz Stalina. Nie tylko w bombach ich szkolono, ale i w sprawach diabelskich.

– Przecież to byli komuniści. Nie wierzyli w Boga ani w diabła – wyrwało się księdzu Gilowi.

– Jasne, że nie wierzyli – Szajbusowi nie bardzo szło machanie ręką, więc kiwał tylko kciukiem – mówili, że energie, że prądy, że inna forma materii, bzdury, ten stary cap wierzy w to do dzisiaj. Siedzieli, gnoje, z Sowietami w Puszkinu i uczyli się jakichś rytów kaukaskich, jezydzkich, irańskich, dokładnie nie wiadomo. Wszystko tam mieli, a na sylwestra, zamiast się urznąć i pijaństwem ziemię polską uczcić, zrobili mszę sylwestrową. Mszę dla Arymana. I Aryman, sukinsyn, Polskę od nich dostał i na niej siedzi od lat pięćdziesięciu! O! – wrzasnął. – A mnie tutaj trzymają, bom wariat! Ja nie wariat, ja trup!

Opadł z sił, oddychał z wyraźnym trudem, ciemna ślina sunęła mu po policzku. Dopiero teraz Gil zorientował się, że jedyne słabe światło daje tutaj lufcik przy suficie, a mimo tego widać wszystko, każdą bruzdę i zmarszczkę

na Szajbusowej twarzy.

– Stalin wiedział od samego początku – odezwał się Szajbus suchym szeptem. – Aryman zaraz wziął co swoje, parę lat minęło i wszyscy już nie żyli, a Stalin siedział na rytuale, tym rytuale, co całe kraje popycha do piekła i z rąk go już nie wypuścił, aż w piach poszedł. Badałem, to wiem, Beria też chciał, też się w magię bawił, ale go ubiegli, dlatego tak błagał o życie, gdyby dostał jedną noc... – zawiesił głos i nagle parsknął śmiechem: – ale nie dostał nie? Jaja, księżo doktorze! On jeden wiedział! On jeden! Instruktorów z Puszkino podobno sam rozwalał, jak tylko powiedzieli, o co chodzi.

– A tamci? Ci w Polsce, cała ekipa z Puszkino?

– Ech, oni, garść do garści, każdy znał kawałek i jakoś im wyszło, niektóre rzeczy tak właśnie wychodzą. I zaraz pomarli. Skazali sami siebie, mnie tam ich nie żał, niech sobie ksiądz doktor ich pożałuje, ale dla takich to świeczki i modlitwy szkoda – jakby oprzytomniał, odzyskał równy oddech.

– No, na mnie też – szepnął.

Gil zastanawiał się, czy nie wspomnieć o miłosierdziu Bożym, ale nagle wydało mu się, że Szajbus jest bardzo daleko. Nie w tym pokoju, ale krok poza światem.

– Ten rytuał...

– Ryt Arymana. Co z nim? – zapytał Szajbus, niby to obojętnym tonem.

– Użyto go kiedyś jeszcze?

– No pewnie! Znaleźli go Sowieci w latach dwudziestych, Stalin, Gruzin, wiadomo, wiedział, że coś jest na rzeczy. Tam na Kaukazie – muzułmanie, chrześcijanie, żydzi, jezydzi – co chcesz. Beria, stary dureń, myślał, że wsiądzie na boski rydwan, który zawiezie go na Kreml. A, słuchaj, słuchaj, doktorku – Szajbus mówił tak cicho, że Gil musiał się nachylić – ryt pomaga, nie załatwia wszystkiego. W Hiszpanii próbowali, nie mogli, we Włoszech, Francji, zagrało jak trzeba, tyle że Sowieci tam nie weszli, bali się, oj bali –

syknął – bali się atomu.

Gil próbował jakoś ułożyć to w głowie, że istnieje forma kultu tak diabelska i skuteczna, że poddaje całe kraje woli demona? A jak obok tych ciemnych bogów pojawią się czołgi, to nie ma ludzkiej siły ani takiej modlitwy, żeby odepchnąć zło? Czy dlatego czerwoni trzymali się przy władzy tak długo, wbrew rozsądkowi, prawu i ekonomii? To takie proste – wysłać ludzi na miejsce, wtajemniczyć każdego po części, żeby odprawili, co należy, potem zaraz ich zabić albo wysłać na śmierć... I wejść w żołnierskich butach jak w masło. Kto oprze się takiej potędze?

– To było wszędzie? W każdym kraju?

– Próbowali. W Anglii siatkę rozbito, ale w przyszłych demoludach poszło bezbłędnie, jeśli nie liczyć Albanii. Islam, wiadomo – chrząknął. – Zapamiętaj sobie raz a dobrze, Lucyfer i Aryman grają po przeciwnych stronach, a w Jugosławii Tito trzymał z Aniołem Światła. – Dostrzegł, że niedowierzanie na twarzy księdza Gila przechodzi powoli w rozbawienie i dodał pospiesznie: – Nie trzeba wiedzieć, kim jest diabeł, żeby z nim trzymać. Mickiewicz nie wiedział, Słowacki nie wiedział, a ta siła mesjańska, ta moc Lucyfera – oczy Szajbusa nabrały blasku – ścierała się z nicością, którą przyciągnęły tutaj ruskie.

– Kto wiedział? – zapytał Gil, zły na siebie, że daje się wciągnąć w tę rozmowę.

– Z pierwszych komunistów z grupy inicjatywnej? No, prawie wszyscy – Szajbusem wstrząsnął dreszcz, jakaś kula szła przez gardło, charknął i posłał na ścianę plamę flegmy, krwi i żółci. – Najwięcej Kasman, ten co omal nie został sekretarzem. Najwięcej, ale nie pełny zapis rytuału – uśmiechnął się, jakby przypomniał sobie coś cholernie zabawnego – no, ten który Kasmana wygryzł, Gomułka, nie wiedział. Ale ten był tak głupi, że nie poznałby diabła, nawet gdyby ten wbił mu rogi w dupę.

Szajbus uśmiechnął się, zadowolony z własnej elokwencji. Jego dziąsła podeszły czernią, zęby pożółkły w tych ciemnych gniazdach i sprawiały wrażenie, że można by je powyjmować bez żadnego wysiłku. Dreszcz, który przyszedł gdzieś z rejonów brzucha, był gwałtowniejszy niż poprzednie. Szajbus wypluł gęstą ciemną masę o kulistym kształcie. Wylądowała na podłodze z cichym plaśnięciem.

Przed chwilą nie umiał mówić, tylko wrzeszczeć, co jest grane, pomyślał ksiądz Andrzej Gil.

– Profesor, żaden tam profesor, zwykły złodziej, dogrzebał się do rytuału. Ma już większość albo i wszystko – mówił dalej Szajbus. – Część znalazł, część ukradł, ludzie mu powiedzieli. Siedzi tu wyłącznie, żeby mnie wkurwiać – otworzył oczy, jakby nagle przypomniał sobie coś ważnego. – No i przez tego na dole. Bydlak, złodziej i czarodziej.

Gilowi przypomniał się Prokop.

– Co ci ukradł? Czy ty... – ksiądz Gil zamilkł. W oku Szajbusa błysnęło zrozumienie. I coś jeszcze, jasność wspomnienia pierwszej miłości, pocałunków, odkrywania prawdy.

– Powiem to nawet teraz, chce ksiądz? – Z ogromnym wysiłkiem uniósł sprawną rękę, dłoń utrzymał w pionie. Wyrzucał z siebie kolejne słowa – poprzez symbol Stwórcy, przysięgam, że odtąd będę wiernym sługą... – kasznięcie, ślina na brodzie – najpotężniejszego Archanioła, księcia Lucyfera – splunięcie, śpik z nosa, oczy wywrócone białkami – którego Bóg uczynił panem i władcą tego świata...

– Dosyć! – krzyknął Andrzej Gil.

Szajbus zarechotał i puścił bąka. Coś gniło mu w żołądku. Też mi spowiedź, pomyślał ksiądz doktor.

– Zapieram się Jezusa Chrystusa, kłamcy i wyrzekam się chrześcijańskiej wiary, odrzucam z wzdargą wszystkie jej zasady...



– Chcesz zrobić na mnie wrażenie? – zasyczał Gil, zastanawiając się, czy nie powinien przestrzec Szajbusa o niebezpieczeństwach grożących jego duszy nieśmiertelnej. Nie sposób ogarnąć miłosierdzia Bożego, ale w tym przypadku, jak by powiedziała porucznik Enka, jest już chyba po ptokach.

– Wrażenie! A mogę! – Szajbus beknął i opadł z sił. Leżał na boku, zupełnie nieruchomo. Ledwo ruszał połową ust. – To ja zrobiłem rytuał dla tych twoich patriotów. Zadowolony? Co, warto było przyjść?

Gil nie zebrał się do odpowiedzi. Szajbus mówił dalej:

– Kiedy byłem we Francji, jeszcze młody facet, poznałem tamtejszych komuchów na ruskim żołdzie, dogrzebali się do strzępów tamtej sylwestrowej mszy. Wróciłem, ha! – odsmarkał się w róg prześcieradła – i trzeba mi było coś zaradzić. Lucyfer to światło i wolność. Aryman to bicz faraonów. Poświęciłem się, wróciłem, pracowałem całe lata. Śledzono mnie, straszono mnie, aż trafiłem tutaj, tu zdechnę. Czy było warto? – westchnął. – Bo ja wiem? Chyba jak cholera.

Szapnieniem uniósł głowę.

– Ale rytuał, moja msza Lucyfera, ukończona! Ci durnie mogą o tym coś powiedzieć..

– Sam jesteś dureń, że im go dałeś – powiedział ksiądz doktor Andrzej Gil.

Szajbus znów pierdnął, twarz opanował mu wyraz świętego i najpewniej nieszczerego oburzenia.

– Nie ja! Nie ja! – zapiszczał. – Ja to dla siebie robiłem, nikomu bym nie dał, po co iść tą drogą, po co pchać innych w dolinę cieni? – beknął. – Profesor ukradł moje papiery. Profesor i jego cholerni ubecy zabrali i podrzucili tym biednym kretynom. Tu siedziałem! Mieszkanie mi splądrowali. Siedzę tu, a wiem.

– Profesor tu cię wsadził? – zapytał Gil. Szajbus spróbował się podnieść,

przeszkodziły mu pasy i ułomne ciało, kręcił tylko głową i powtarzał, niemal bezgłośnie: nieważne, nieważne, nieważne.

– Daj mi wody – poprosił – i popraw poduszkę pod głową.

Gil spełnił tę prośbę – zdołał nawet znaleźć czysty kubek, ale go nie zarzygał, podając Szajbusowi. Śmierdziało jak z otwartego szamba, szczypało w oczy i ksiądz doktor musiał się przemóc, by wyjąć mokrą, cuchnącą poduszkę, złożyć ją w połowie i wsunąć pod głowę Szajbusa.

– Pyta ksiądz, dlaczego? No pewnie, że ksiądz pyta! Nie można igrać z ogniem, nie parząc sobie rąk. Polska od pół wieku jest pod wpływem Arymana, co nie znaczy, że Lucyfer – wymówił to imię z namaszczeniem – wypadł z gry. Profesor to wie świetnie, ludzie z resortu też. Energie, siły duchowe, mają swoje sprzężenia i wyładowania, po których pozostają nieaktywne przez jakiś czas. I szło o to, by tę lucyferyczną, prometejską siłę stłamsić rękami pożytecznych głupców.

Mówił to zupełnie spokojnie, tonem wykładowcy, nie plując i nie pierdząc.

– Wiem, co to za jeden, ten Lipiński – ciągnął Szajbus. Pił wodę małymi łykami. – Coś mu się o uszy obilo o sylwestrowym rytuale, niewiele, że komuniści, diabeł, czarna msza, tak kraj wzięli. Skupiał wokół siebie ludzi sfrustrowanych i przejętych kierunkiem dogadywania się z komunistami i tym, że ich tam nie zaproszono. Frajerzy wypadli z gry, tyle, księżę doktorze. Splunął precyzyjnie, bez charknięcia.

– Więc ten stary dureń ubzdurał sobie, że skoro Chrystus milczy, jak to ma w zwyczaju, to trzeba zwrócić się do drugiej strony. Do Lucyfera – wyjaśnił Szajbus. – Wierzył w Boga, ale uznał, że Polsce pomoże tylko diabeł. A dalej było prosto. Profesor ukradł mi moje notatki, jego ludzie podsunęli je Lipińskiemu, staremu pocziwinie, który nie miał pojęcia, z czym się bawi. Rozumie ksiądz doktor?

Ksiądz doktor rozumiał.

– Za jednym zamachem załatwiono trzy sprawy – mówił podekscytowany Szajbus, w kroku pidżamy powiększała się żółtawa plama. Chryste Panie, biedny człowiek, pomyślał ksiądz Gil. A Szajbus nagle się ożywił: – Raz! Udupiono paru działaczy politycznych, chwilowo nieistotnych, ale kto wie, historia lubi niespodzianki, a z tego szamba już się nie wygrzebią. Dwa! Jeśli ktoś wygrzebie sataniczne sprawy sprzed pół wieku albo odkryje, że teraz dzieje się coś podobnego – kichnął potężnie. U nosa zawisł mu szmaragdowy smark – to rzuca się w niego Lipińskim i nikt nie weźmie diabelskiej historii serio. Profesor będzie mógł dokleić sobie rogi i wystąpić w telewizji, nikt mu nie uwierzy. A po cichu zrobi swoje. Trzy! – kaszlnął, śpik zakołysał się i odpadł – energia światła, lucyferyczna siła, została rozproszona. Na moment, na chwilę, ale tej chwili Profesor potrzebuje.

Gil otworzył usta do najważniejszego pytania – potrzebuje, ale do czego? Szajbus szarpnął się gwałtownie, sprawna ręka wystrzeliła w powietrze, tak że dłoń opadła na usta księdza Gila. Cuchnęła śmiercią, na brudnych paznokciach zaschły wielobarwne struktury. Gil wzdrygnął się, a Szajbus docisnął.

– Już nie powiem. Już nie powiem – wyszeptał i zwolnił uścisk.

Opadł na łóżko. Teraz przyciskał rękę do swoich własnych ust.

§ § §

To był cholerny dzień i cholernie nie podobał się porucznikowi Ence. Nie podobał mu się też Tuta, który, odrzuciwszy piędź ziemi, nieruchomiał z opuszczonym styliskiem i tylko ziorał to na Enkę, to na drzwi, to na samotne okno. Potrząsnął głową. Trącił łopatą rozgrzebaną ziemię.

– Kop, mówię – powiedział Enka, który zorientował się, że Tuta właśnie ocenia odległość między miejscem, gdzie stoi, a budynkiem szpitala. I nagle

ruszył, niby że biegnie, a gdy Enka zagroził mu drogę, zamachnął się łopata, wysoko, zza głowy. W oczach miał tępą zaciętość, która przeszła we wściekłość, bo Enka się uchylił. Tuta poderwał łopata do następnego ciosu, którego już nie zadał, łopata poleciała w krzaki, a Remigiusz Tuta – w ciemność.

Rzeczywiście leżał na ziemi i miał taki wyraz twarzy, jakby latami błądził w podziemiach i właśnie wystawił łeb na słońce. Enka kucnął przy nim. Pielęgniarsz próbował się cofać, bez powodzenia.

– Skoro już się postawiłeś, to możemy sobie porozmawiać – rzekł Enka tak łagodnie, jak umiał. Był szczerze zaskoczony odwagą Tuty i zastanawiał się, co zmobilizowało tego tchórza.

– To pierwszy raz! Przysięgam! – wyjęczał Tuta. Nie odrywał wzroku od Enki, ręce złączył ze sobą na znak, że ani w głowie mu fiknąć. – Nie wiedziałem, nie chcę wiedzieć, czemu musiałem trafić akurat tutaj? Nie wiedziałem, myślałem, że mam być zwykłym pielęgniarszem.

– Akurat – mruknął Enka i zaraz dodał. – Możesz być nawet cesarzem chińskim, mnie to nie obchodzi? Rozumiesz mnie, kolego? Nie chcę pastwić się nad tobą. Możesz wyplątać się z tej afery...

– Mi kazali! – Tuta zalał się łzami. – Mi kazali, jak chciałem, żebyśmy poszli do tego kościoła, to dlatego, że sumienie gryzło! Właśnie tak, kochany panie kapitanie!

– Weź Tuta pomyśl, zanim coś powiesz, to było wcześniej – syknął Enka, a Tuta rozryczał się na dobre.

– Profesor kazał iść! On żaden tam pacjent, panie kapitanie ukochany, żaden pacjent, tylko łajdak, co trzęsie tu wszystkim. Schodzi, bo coś jest na dole, ja nie wiem, ja się boję, wczoraj to mi kazał zabrać biednego Filemona, nie wiem, zapaść miał albo leki dali, ledwo szedł przecież! – Tuta jęczał i ocierał łzy. – Poprowadziłem go. Tylko nie na dół, myślałem, tam nigdy nie

chciałem schodzić, znaczy z panem kapitanem to wszędzie!

– Dalej, Tuta – westchnął porucznik Enka.

– Dalej to niewiele, oj, niewiele, jakbym chciał to odkręcić, to bym nie mógł, zjechaliśmy windą we trzech, tam na dole jest dużo pomieszczeń i takie jedno specjalne, metalowa skrzynia, oj, wielka, ciężka, nie wiem, co tam mają, nie pokazali, może pan kapitan by się nie bał, ja nie wszedłbym, nawet gdyby pozwolili. – Przycisnął dłonie do głowy, jakby w obawie, że tam mu pęknie. – Mieli tam uchwyty i do nich przypiąłem biednego Filemona, a Profesor kazał mi spieprzać, jak Boga kocham, panie kapitanie, to spieprzyłem. On tam poszedł, a potem zobaczyłem, och jak ja zobaczyłem biednego Filemona!

Przez moment zanosilo się, że Tuta rzuci się na ziemię i zacznie tarzać się jak mnich pokutny, ale tylko zadrżał, zaskuczał po psiemu i mówił dalej: – Policzki mu popękały i krew poszła z uszu. Nie żył jak przyszedłem, o dobry Boże i dobry kapitanie, takie rzeczy widzieć, to lepiej oczy sobie wydrapać. – Przycisnął ręce do twarzy, szlochał spazmatycznie, wykrztuszał kolejne słowa: – Zabrałem go... musiałem sprzątnąć... tak powiedział... pan kapitan wie, co to znaczy? Sprzątnąć... wczoraj człowiek, dzisiaj śmieć, panie kapitanie. – Stłumił kasznięcie. – Wczoraj człowiek.

Tuta trzymał twarz w dłoniach, ale Enka dostrzegł błysk jego oka, śledzącego jakiś punkt w ogrodzie. Zabrzmiał szmer, blisko, Enka odwrócił się, ale było już za późno. Dostrzegł jeszcze opadającą łopatę, jeszcze spróbował się uchylić, dzięki czemu cios, wymierzony w korpus, spadł dokładnie na jego głowę. W odgłosie uderzenia, jak echo, brzmiał nerwowy chichot Remigiusza Tuty.

§ § §

– Winda i Filemon. Wiesz o tym?

– Filemon? – Szajbus udał zdziwienie. – Coś tak czułem, że zabiorą się za niego.

Szajbus leżał na brzuchu, a Gil usiadł pod ścianą, obok łóżka. Kolana podkurczył pod brodę, a dłonie przyłożył do policzków, jak wiejski świętek lamentujący nad nieszczęściami tego świata. Usadowił się jakiś metr od łóżka, a Szajbus wyświadczył mu tę grzeczność, że nie pluł w tamtym kierunku.

– Słyszał kiedyś ksiądz doktor o niebieskich ludziach? – zagadnął tonem, którym zwykliśmy pytać pasażera w pociągu, czy wiosna tego roku mu się podoba. Gil pokręcił głową.

– Rodzą się tacy, ale bardzo rzadko. Widziałem portret całej rodziny, gdzieś z początku wieku. Niebieski tatuś i bladoniebieskie córeczki, bardzo ciekawe, ale nie wierzę w tłumaczenia, że to wynik jakiejś genetycznej skazy, chyba że skaza wzięła się stąd, że na przykład prababcia została wydupczona przez demona.

Zerknął na księdza, czy ten obruszy się na słowo *wydupczona*.

– Mam na myśli syna anioła i ziemianki, takiego na przykład, jakiego król Dawid położył kamieniem z procy. Mowa o synach anioła Szemihazy, o których czytamy w *Księdze Henocha*. Aniołowie zabawiali się z ziemiankami, a te rodziły trzymetrowych olbrzymów. Pomiot anielski. Nefilimów.

– Znam tę historię – rzekł Andrzej Gil.

Ciałem Szajbusa przeszedł dreszcz niby wyładowanie elektryczne. Podciągnął półmartwe ciało, tak że wystawił głowę za łóżko i zwymiotował. Brązowawa woda pociekła mu po brodzie.

– Zna ksiądz, no pewnie, że zna. *Przysięgnijmy wszyscy i zwiążmy się przekleństwami, że nie zmienimy tego planu, ale doprowadzimy zamiar do skutku*<sup>[13]</sup>, Daniel, Szemihaza, Asael, dwustu aniołów i kara Boska. To dzieje

się do dzisiaj. Aniołowie bywają na ziemi, ci jaśni i ciemni. – Wywrócił oczami, z trudem wypowiadał kolejne słowa: – Dziecko anioła, bękart pod sufit... Trzymają go tutaj, w piwnicach szpitala. Tam jeździ winda. Masz, księżo, odpowiedź, czemu profesorek tutaj siedzi i co stało się z Filemonem. Masz pojęcie? – głos przeszedł w świst. – Mają przykutego do podłogi syna serafina.

Gil nie miał pojęcia, milczał i tylko patrzył na Szajbusa, zastanawiając się, ile zostało w nim zdrowych zmysłów i czy w ogóle jakieś jeszcze są. Wreszcie, odsunął ręce od twarzy i powiedział:

– To nie może być prawda.

A Szajbus się cieszył:

– Jest! Jest! Oczywiście! Urodził się jeszcze przed wojną z wiejskiej idiotki! Znalaziono go u felczera, uratowano przed cyrkiem, niech ksiądz tylko pomyśli, pięć długich lat trzymano go w ziemiankach, dziesiątki ludzi zginęły, tylko po to, by nie wpadł w ręce Niemców. Podobno w lesie, gdzie siedział, wciąż rosną drzewa o błękitnych liściach. Ocalono go. Tu trafił w latach pięćdziesiątych.

– Skąd o tym wiesz?

– Kiedy mnie tu zamknęli, jeszcze czułem się lepiej – odpowiedział. Splunął krwią i Gil utkwiał wzrok w czerwonej meli.

– To jakaś niedorzeczność – oświadczył – nie wierzę, że jakiś anioł chodzi po ziemi w cielesnej postaci, że sypia z kobietami, a jego dziecko przetrzymują komuniści, bo i po co.

– A w mszę sylwestrową wierzysz? A trupa Filemona widziałeś?

– To co innego.

– Gówno prawda – orzekł Szajbus. – Jest w piwnicy, trzymetrowe dziecko. Żre nasze dusze. Zeżarł już Filemona. Myśli ksiądz, że ten był pierwszy?

– No dobrze – zgodził się Gil – ale jakim cudem go trzymają? Jak można spętać coś takiego?

– Żywią go, a trupy chowają w ogrodzie – zapiszczał Szajbus. – Nie mam pojęcia, ilu tam ich leży. Słyszałem, słyszałem – świszcział – że chcieli go na broń! He, zabawne, nie? Nic z tego nie wyszło, ale był człowiek, który zdołał go spętać. Próbował całe lata, pogrzebał wielu ludzi, ale siebie ocalił. Geniusz! Starzec! – wyszeptał.

Zaczął jęczeć i chyba narobił pod siebie, bo smród w izolatce jeszcze uległ natężeniu. Zamknął sobie oczy kciukiem i palcem wskazującym, tak jęczał:

– Słyszę go, słyszę, w bezwietrzne noce, taki słaby głos. Jak u dzieciątka, niesie się z piętra, śpiew czy co, a to przecież niemożliwe, drzwi jak te tutaj, szczelne, nic nie słychać...

– Nefilim?

– E, Nefilim, jak ten płacze, to pnie drzew się skręcają! Starzec! Podobno gdzieś tu jest, zamknięty jak i olbrzym, ale na górze! Starzec! Starzec! Powinien dawno umrzeć, tak jak ja umrę – chlipnął – ale oni są spleceni ze sobą – wpił rękę w poduszkę – anielskie dziecko ze Starcem. Rozumie ksiądz? Ja nic nie zrobię. Ksiądz musi.

– Dlaczego? – Gil wstał. – Czyje konkretnie to jest dziecko?

Szajbus zawahał się z odpowiedzią i w końcu jej nie udzielił – drzwi otworzyły się miękko i w progu stanął korpulentny lekarz z dwoma pielęgniarkami. Nie zdziwił się na widok Gila, chrząknął.

– Tu nie wolno księdzu przebywać.

Zaskoczony Gil skinął głową na znak, że wie i już sobie idzie. Zabrał kasetkę z Najświętszym Sakramentem, której nawet nie otworzył, a gdy robił znak krzyża przed twarzą Szajbusa, ten chwycił go na przegub nadgarstka i przyciągnął do siebie. Szorstki język przejechał po twarzy księdza Gila, Gil chciał się cofnąć, ale wariat trzymał mocno. Pielęgniarki już nadciągali.



Szajbus przestał lizać policzek księdza doktora i wyszeptał pośpiesznie, tak, by nikt nie usłyszał, ani nie dostrzegł ruchu ust:

– Nefilim jest na dole. A jeszcze niżej są drzwi. Nie śmiesz ich otworzyć, jeśli kochasz swoją duszę. Nie śmiesz.

Pielęgniarze oderwali Szajbusa od księdza Gila, tego ostatniego wzięli pod rękę i pociągnęli, zanieśli do wyjścia. Kątem oka widział, jak Szajbus, zupełnie spokojny, daje sobie zrobić zastrzyk, spina się i opada na poduszkę.

Za Gilem zatrzaśnięto drzwi.

# Rozdział siódmy

## Niebieski chłopiec

Przed Gilem drzwi zostały otworzone.

Dyrektor Frączak siedział za biurkiem i wyglądał na zafrasowanego. Przebierał grubymi palcami, a siwy kosmyk, który opadał na jego pomarszczone czoło, wyglądał na sztywny i chłodny jak brudny i poskręcany metal. Gil ruszył w jego kierunku, a coś musnęło go w plecy. Obejrzał się. Jeden z pielęgniarzy natychmiast cofnął się o krok i spuścił wzrok. Gil westchnął.

– Kłopoty, kłopoty – rzekł Frączak. – Zmiany docierają nawet tutaj.

Gil przełknął cierpką ślinę.

– To ciekawe – odparł – myślałem, że tu nic się nie zmienia.

Frączak machnął ręką. Zerkał w kierunku akwarium. Ogromny, podobny do trąby psyk glonojada zamknął się na szybie. Pielęgniarze zniknęli na korytarzu i zaraz spod drzwi poszedł zapach dymu z tanich papierosów. Czekali.

– Niech ksiądz powoli się pakuje. Nasza nyska – chrząknął Frączak – jak tylko zjedzie z zaopatrzeniem, to ksiądz doktora zabierze. Pomyślałem, że chętnie tę noc prześpi ksiądz już we własnym łóżku.

– Mogę wracać z porucznikiem Enką. – Gil podszedł do biurka. Frączak westchnął i odstawił pudełeczko z pokarmem. Wygiął podbródek i można by pomyśleć, że właśnie przełyka coś kwaśnego, żółć przemian na przykład.

– Enka już pojechał.

– Dokąd? – Gil wszedł mu w słowo, a ręka Frączaka, wzniesiona już do lekceważącego machnięcia, zastygła.

– Już pojechał. Przecież to wy razem pracujecie. Wiem, że szukał księdza doktora przez dobrą godzinę, pomagało mu dwóch pielęgniarzy, pielęgniarce, nawet nasz stróż, mimo że to nie ich obowiązki. – Frączak oklapł z powrotem na biurko i patrzył spode łba. – Nikt nie przypuszczał, że akurat poszliście do izolatki, gdzie przychodzić wam nie wolno. Pan porucznik odebrał telefon, powiedział, że wyjeżdżacie i tyle mi wiadomo.

Rozłożył bezradnie ręce, a glonojad oderwał się od szyby, zakręcił ogonem i zniknął między roślinami. Piach podniósł się z dna, a w księdzu Gilu wezbrał strach, niemal fizyczny, niczym kłęb śmiertelnego gazu, gdzieś spod serca aż po gardło.

– Odjechał niecałe pół godziny temu. Przykro mi – rzekł Frączak tym rzadkim tonem, którym informuje się o głównej wygranej na loterii, a przynajmniej o nieszczęśliwym zgonie najbardziej złośliwego pinczera na całym osiedlu. Gil kiwnął głową, powędrował myślami do wczorajszej nocy i ogródka, gdzie nikt nie śmiał chodzić, łopaty i posłusznego Tuty, który zakopałby nawet wszystkich świętych, w rządku, jak zepsute mięso, gdyby tylko mu kazano.

– Mnie też przykro – powiedział, nie bez wahania. – Nie przypuszczałem, że to tak przebiegnie, zwłaszcza w tych trudnych dniach. Rozumie pan, co mówię?

Dyrektor Frączak potrząsnął głową.

– Co mi z tego, że szukał mnie cieć z pielęgniarzem, co z tego, że pan się niby starał? Polska Ludowa to widać taki kraj, gdzie każdy stara się, a wystarać się nie może. Pan sam niedawno – wymierzył palcem w zdumionego Frączaka – biadolił jakie to nieszczęście się stało. Biadolić to my umiemy. Powiem wam, na czym polega problem. Wybory, nieszczęście w Warszawie, a przecież taka Warszawa zaczyna się tu!

Czy Enka jeszcze żyje? Takie pytanie przemknęło mu przez głowę.

Wściekłość ogarniała go całego, podeszła pod skórę, zatrzepotała palcami, osiadła chłodem wzdłuż linii kręgosłupa.

– Tu! – powtórzył. – Polska Ludowa jest tam, gdzie ksiądz, który ją ukochał, gdzie milicjant, który jej strzeże, gdzie lekarz i chory człowiek, tu właśnie mieliście, dyrektorze, swoją Polskę i coście zrobili? Milicjant pojechał, ksiądz się zgubił i jeszcze nie wiadomo, o co właściwie chodzi – nie wierzył, że mówi takie słowa. – A jak pan się dowie, towarzyszu dyrektorze, to będzie zbyt późno, bo Polską Ludową diabli wezmą, z księdzem, z milicjantem i przypuszczalnie także z wami.

Po raz pierwszy, odkąd trafili do Szpitala Przemieniania Pańskiego, Gil miał pewność, że widzi Frączaka, który nie udaje niczego, a nawet jest organicznie do udawania niezdolny. Maski zsunęły się jak skóra z węża, odsłaniając bezdenne zdziwienie. Dyrektor Frączak rozdziawiał usta, a w oczach migotały dwa znaki zapytania. Nie wiedział, co właściwie słyszy, nie rozumiał cudownie i absolutnie, wytrącony ze swojego świata w przestrzeń, której istnienia nawet nie przeczuwał.

Gil odwrócił się i poszedł. Rzucił przez ramię, już przy drzwiach: – Niedługo zwolnię pokój.

Frączak udawał, że go nie słyszy. Być może nie słyszał naprawdę. Gil zamknął drzwi bezgłośnie i wszedł między pielęgniarzy palących w milczeniu po obu stronach korytarza. Drgnęli jednocześnie i Gil już myślał, że zaraz go pochwycą, wrzucą do worka i pošlą na spotkanie ze Stwórcą i nie daj Stwórco, być może porucznikiem Enką. Ale pielęgniarze chcieli po prostu zrobić mu miejsce. Na krótką chwilę Gil uwierzył, że Frączak nie kłamał i Enka naprawdę został odwołany. No skąd, nie bądź durniem, nie zostawiłby cię tutaj, a przynajmniej nie bez pożegnania.

Gdzie teraz jest? Pochowany czy tylko zamknięty? Co znalazł i co trzeba zrobić?

Zatopiony w myślach dotarł do korytarza przy wejściu, gdzie wisiał aparat telefoniczny na żetony, beżowy lakier przeorano brzegami monet aż do gołego metalu. Przyspieszył na jego widok, lecz drogę zastąpił mu Kiepura, który w istocie miał kiepa w gębie, a ręce zaciskał na kiju od miotły. Uderzył nim o podłogę, jego oczy mówiły *nie przejdiesz*. Zmrużyły się i Kiepura poznał, że to nie pacjent, ale ksiądz konsultant. Odsunął się niechętnie, patrzył spode łba, zły, że Gil poznał jego tajemnicę. – Kiepura był bowiem półślepy, jak kura, która dostała przez łeb. Gil nie cieszył się z tej wiedzy, wygrzebał drobne, a jeśli wybierając numer zastanawiał się, czy aparat jest na podsłuchu, to zapomniał o tym, jak tylko usłyszał kojący głos księdza Karkoszki.

Zaczął mówić, co się stało – że pacjent zniknął, prawdopodobnie nie żyje, porucznika Enki nie ma, dyrektor coś kręci i chce jego, księdza, wypchnąć. Wariaci mówią dziwne rzeczy, niekoniecznie dlatego, że są wariatami i zawahał się nawet, czy nie wspomnieć o Profesorze i tym, co mówił Szajbus. Karkoszka wszedł mu w słowo:

– To teraz nieważne.

Tak słodko jak zwykle. To co teraz jest ważne? – pomyślał ksiądz Gil.

– Tu zabijają ludzi. – Zniżył głos do szeptu. – Cały szpital to prywatne, dzikie laboratorium jednego człowieka. Przebrał się za pacjenta, wie ksiądz kto? Piotr Minder-Koszutski, pamiętasz go jeszcze. On...

– Nie chcę tego słuchać...

– Musisz! Jeszcze tego nie rozgryzłem. Zbyszek, porucznik Enka znaczy zniknął, ale...

– Ksiądz niech wraca do Krakowa. Cokolwiek chce ksiądz powiedzieć, powie potem. Trzeba wrócić i zapomnieć o tym miejscu.

Gil aż sapnął. Chciał wierzyć, że Karkoszka mówi to wbrew sobie.

– Kto to wymyślił? Biskup już wrócił ze Szwajcarii?

Chwila ciszy.

– Trzeba księdzu do Krakowa. Dużo się pozmieniało. Wystarczy włączyć telewizję – zrobił pauzę i dodał poważniejszym tonem: – Ksiądz biskup nie odzyskał przytomności po zabiegu i nie wiadomo, czy jeszcze ją odzyska. Nikt też nic nie wymyślił. Patrzę i widzę, że trzeba księdzu wracać. Kościół tego oczekuje.

Kościół, czyli ty, stary capie, pomyślał ksiądz Gil, wydukał podziękowania, spuentował głuchym *Bóg zapłać* i słuchawka wylądowała na widełkach. Ogarnęła go fala gorąca, na miękkich nogach dotarł na zewnątrz. Słońce padało mu na twarz. Spod półprzymkniętych powiek obserwował samochód porucznika Enki, którym ten miał wrócić do Krakowa.

Gil westchnął. Poluzował koszulę, rozpiął kołnierzyk i cienki rzemyk sam wszedł mu między palce. Pot zalewał mu czoło, serce tłukło się w piersi, jedną dłoń przyciskał do zbielejących ust, a drugą wydobył mały okrągły medalik ze srebra. Z jednej strony między kielichem a gołębicą stał święty Benedykt z krzyżem i księgą, z drugiej, widniał sam krzyż równoboczny, a wokół niego litery układały się w dwa półkola: VRRSNSMV – SMQLIV, łaciński skrót: *Idź precz, Szatanie, nie kuś mnie do próżności. Złe jest to, co podsuwasz. Sam pij swoją truciznę.*

Niedługo przyjedzie nyska i będzie mógł zapomnieć o tym miejscu, a jeśli się sprzeciwi, stanie przeciwko wszystkim. Znikąd przyjaciół i sojuszników, czeka tylko drzewo w ogrodzie i grób pod tym drzewem. Kto by tego pragnął, jak może tylko przegrać?

Andrzej Gil schował medalik pod koszulę, ale nie puścił go, nawet gdy zawrócił i szybkim krokiem poszedł przez szpital do ogrodu. Ściany, które mijał, były dziwnie obce, jak oglądane z innego świata, za to trawa zieleniła się cudownie, fontanna tryskała srebrną wodą, a pacjenci rozsypani po nasyconej barwami przestrzeni wbijali w Gila przekrwione spojrzenia. Gdy

wszedł, pielęgniarz, siedzący na jednej z ławek uniósł głowę i zaraz ją opuścił. Umilkły wszystkie rozmowy, zastygł ruch, ludzie przemienili się w białe rzeźby, ale tylko na moment, jakby zwolnić sprężynę, ruszyli z miejsca na mechanicznych nogach. Patrzyli.

Gil dopiero teraz zorientował się, że wciąż zaciska dłoń na medaliku i nie bardzo umie te palce rozprostować. Puścił nie bez wysiłku i stanął w oku następnego zdziwienia – nie wiedział bowiem, czemu tutaj przyszedł ani właściwie jak to zrobił. Nie szedł z własnej woli, coś go pchało, coś dobrego lub złego, jak na sznurku albo łańcuszku od medalika. Oprzytomniał i wszedł między obłąkanych.

Spuszczali oczy, gdy ich mijał, ale wiedział świetnie, że gdy tylko przejdzie, za jego plecami spojrzenia rozpalą się na nowo. Nawet bez nich było gorąco, więc Gil skierował się do fontanny, nabrał wody i przemył twarz. Była bardzo zimna. Najchętniej rozebrałby się i wszedł tam cały.

– Psssss – to brzmiało jak szum wody. – Pssss... Psss... – i znowu. – Psssss... Szukasz go? Szukasz oficera?

Otarł twarz brzegiem koszuli. Zza fontanny wysunęła się Królowa, wysunęła – dosłownie, bo zamiatająca trawę sukienka w ogóle nie zdradzała istnienia kolan albo stóp. Twarz Królowej jeszcze wychudła, policzki zapadły się w sobie, a blade, rozchylone usta odsłaniały ocalałe zęby po bokach pobrudzone nalotem z kawy i papierosów. W środku między dziąsłami ziała ciemność. Stara twarz, przemknęło Gilowi przez głowę, a oczy najstarsze. Kiedyś musiała być przepiękna.

– Żyje? – zapytał i zaraz skarcił się za to, bo po co odsłaniać karty, skoro stara wariatka nic nie może wiedzieć. A ona przymknęła oczy i nim zdążył się zorientować, Królowa na ślepo doń doszła, jej dłoń zamknęła się na jego dłoni. Poczował chłód.

– Pod ziemię poszedł – powiedziała – głęboko pod ziemię – otworzyła

oczy i spojrzała na przerażonego Gila – nie bój się, żyje. Jak długo, tego już nie widzę. Zabrali go. Nie wyszedł ze szpitala. Tyle jeszcze zobaczę – cofnęła się z miną nastolatki, która właśnie pokazuje zaskoczonemu chłopakowi, jakie to wspaniałości ma między nogami. – Hiiiihiiijaaa – zapiszczała. – Hiiiiiii...

Usiadła na brzegu fontanny. Gil nachylił się do niej i zadał najgłupsze z pytań:

– Kim ty właściwie jesteś?

– Kim byłam, może? Tu jestem najwyżej nikim – potrząsnęła głową – nikim, hiiiihiiijaaaaa. Ty jeszcze możesz być kimś, jak się pospieszysz.

– Dlatego cię tu zamknęli? Bo widzisz? Jesteś wiedźmą?

Machnęła lekceważąco ręką, nie, za takie rzeczy nie zamykają. Gil wyszeptał:

– Powiedz mi coś jeszcze – nalegał. – Muszę wiedzieć więcej. Dokąd go zaciągnęli? Na dół, znaczy gdzie – zawahał się i zaryzykował – czy to znaczy, że zabrali go do niego?

Wskazywał palcem w dół. Królowa zrobiła zdziwioną minę, uśmiechnęła się, odsłaniając nagie dziąsła i resztki zębów po bokach.

– Do tego na dole? Eeee tam, hiiijaaaaa! – zachichotała – ludzie mówią dziwne rzeczy o potworach trzymanyh w podziemiu. Ja nie widziałam i nie znam takiego, co widział. Ja dokładnie nie widzę, ale wiem swoje. Tu nie trzeba diabła, aby kogoś pogrzebać.

– A ile trzeba, żeby go wyciągnąć?

– Po co? – zarechotała.

– Przecież to człowiek – szeptał. – Zabiją go!

Syknęła:

– A gdzieś ty był księżulku, jak Filemona zabijali! Każdego mogą, to i oficerka. Zabić, lekami struć, zmienić w zwierzę, kręcisz się i gównem cię to,



księżulku, obchodziło. Gdzie był twój cwany kumpel, kiedy nam trzeba było pomóc, on, hiihiiijaaaa! – Zatrzęsło nią od śmiechu. – Hijjaaa, pielęgniarzki obracał. – Sprzedała mu kuksańca. – Mogłeś się załapać, frajer jesteś, a co!

Coś zgrzytnęło w jej głosie, śmiech urwał się.

– Przecież właśnie próbował wam pomóc, jak go dopadli – wyjaśnił Gil, dodając w myślach *stara idiotko*, za co się skarcił, bo nie wiadomo, co jeszcze Królowa umie wyczytać.

– Coś za coś – powiedziała. – Jakby od razu poszedł do mnie, nie miałby teraz kłopotów.

Gil usiadł obok niej. Zerknął na pielęgniarza, który wydawał się zupełnie obojętny na wszystko, co działo się w ogrodzie. Mógł tu sfrunąć latający spodek, a facet – sądząc z pozy – nawet nie rozkrzyżowałby rąk. Gil uświadomił sobie, że jest sam w tej sprawie, sam i to między wariatami.

– Zrobię, co mogę. I ciebie też o to proszę.

– Profesor wyjechał dziś w nocy – powiedziała poważnie – wziął pielęgniarza i zabrał się jeszcze przed świtem. Wzięli ze sobą Młodego – przejechała sobie dłonią po policzku, głos jej drżał. – Próbowałam zobaczyć, ale nie mogłam. Nie wiem dlaczego. Myślałam, że umrę. Nic, czarna dziura. I zimno. Zło, księżulku, wy może jeszcze wierzycie w takie rzeczy.

Obróciła twarz ku niemu. Powieki wokół oczu miała pomięte jak papier, czerwone od środka. Gil już rozumiał.

– Jak syna go kocham, księżulku – szepnęła. – Młody dureń, stara kurwa, to miejsce. – Odwróciła głowę. – Wiedziałam, że przyjdiesz, odkąd cię zobaczyłam. Zabierzesz mnie stąd. Rozumiesz? Za Młodym i Profesorem, do Warszawy.

Gil skinął głową. Nie wiedział, z czym to się wiąże i wolał nie wiedzieć, zresztą w tej chwili obiecałby nawet, że nauczy się fruwać, potem, daj Boże siły, poleciałby, gdzie kto chce, choćby na pysk.

– Do Warszawy – obiecał.

– Warszawa, tyle wiem. Hiiihiiijaaaa – w Królową powrócił stary duch – a co do ciebie, księżulku, moje ty złote słońce, to pomoże nam Starzec. Taki jest stary, że zapomniałam jak ma na imię, a wyczytać go nie mogę. Pomoże.

– Słyszałem o nim. Co to za facet?

– Nazywają go też Pieśniarzem. Ludzie słuchają tej jego pieśni, że hej, hiiijaaa! – uderzyła pięścią o pięść – znam tylko legendy. Dwa powstania zrobił, jedno w obozie w Gusen w ostatnich dniach wojny, drugi raz tutaj, podobno jak już go zamknęli. Dlatego siedzi po cichu, nie ogląda nikogo, nikogusieńko, ach ten głos! Hiiijaaaajaaa!

– Gdzie on siedzi?

– Tam siedzi! Tam! – wskazała na cyklopie okno, a Gil przypomniał sobie zakneblowaną twarz, którą w nim widział pierwszego popołudnia w ogrodzie. A Królowa dalej w skrzek: – Siedzi tam od lat zamknięty. Ważne to! Zakneblowany! A jeszcze ważniejsze, kto trzyma klucz. Hijajaja! Podpowiem ci, księżulku – błysnęła okiem – ani ty, ani ja.

– Więc kto? – westchnął Gil. Nie mieli dużo czasu.

– Nieważne, kto ma, ważne, kto ukradnie. Ewa, pielęgniarzka – cmoknęła – jak myślisz, zrobiłaby to dla swojego oficerka? A jeśli nie, może zrobiłaby to dla ciebie?

Śmiała się i klaskała, ale jej oczy pozostały nieruchome. Chwyciła księdza Gila za ramię.

– Czemu teraz? – zapytał.

Ich spojrzenia spotkały się.

– Nie śmiałabym cię oszukać, księżulku, nie w tej jednej sprawie. Ludzie mówią, że idą inne czasy, jesteśmy teraz jak ten kamień wyrzucony w powietrze, co na chwilę zawisa. Kraj się zmienia – szeptała – i to miejsce, być może, nie będzie mogło istnieć. Co z nami zrobią, przecież nie puszczą,

nie zamkną nigdzie indziej, wariat też ma usta i swoją prawdę – wzmocniła uścisk – pozarzyna ją nas tu, księżulku, głowa za głową, w piach.

Rozejrzała się gwałtownie. Nic się nie stało, wariaci podwracali głowy.

– Jednego pielęgniarza mniej. Profesor pojechał. Frączak, słodki Frączak spanikował i nie wie, co jest grane, hihijaaaa! Dlatego oficerek żyje. Wszystko się zmienia, jak nie teraz, to nigdy. Idź, księżulku, przecież się spieszysz. Idź!

Jeszcze się wahał.

– Ewę znajdziesz w pokoju pielęgniarzy i będzie tam sama. Jak się nie zgodzi, powiesz jej... Powiesz jej to – przyciągnęła go do siebie, wyszeptała parę słów. – Pójdzie na to jak nic, zobaczysz księżulku! Idź!

Zrobił pierwszy krok do przodu. Klepnęła go w tyłek, ale nawet się nie obejrzał. Szedł przed siebie, jak żywy trup, a głos Królowej cichł za nim:

– Idź! Idź! Razem podpalimy to miejsce! Hiiijaaaahaaaha!

§ § §

– W życiu tego nie zrobię. Nie uwolnię go.

– Wystarczy klucz. Sam pójdę.

– Chyba ksiądz zwariował!

Stali naprzeciw siebie, niesforny kosmyk opadał na czoło Ewy. Próbowwała zachować spokój, ale ręce nie mogły znaleźć sobie miejsca, spojrzenie krążyło po pokoju. Gil za to wyglądał, jakby chciał wtopić się w taboret lub w ścianę, o którą się opierał.

– Przecież to nie o mnie chodzi! Czy ty w ogóle widzisz, co to za miejsce? Zbyszek, twój Zbyszek... – chyba się zagalopował, Ewa popatrzyła na niego zimno.

– Żaden tam mój.

– On tu jest.

– Pojechał po prostu. Co tam ksiądz może wiedzieć? Myślałam sobie, że będzie inaczej, jasne, każda by myślała. – Otarła nos. – Gadać to on umiał, a ja głupia. Tylko czemu ksiądz tu przyszedł i w tym grzebie? Proszę zostawić mnie w spokoju.

Wbrew tym słowom rozryczała się na całego i nie oparła się, gdy Gil ją przytulił. Czuł, jak jej żołądkiem wstrząsają skurcze, drobne palce wpiły mu się w kark.

– On tu jest, na Boga. Jest, jest. – Przytulił ją mocno, chyba za mocno, cofnął rękę. Zastygła w powietrzu. – Weź ten klucz. Ja pójdę, nikt się nie dowie. Słyszysz mnie? Pojedziecie do tego Kazimierza, jak obiecał. – Przypomniawszy sobie, co wyszeptała mu Królowa. Przed oczyma stanął mu Zbychu, może już martwy, zawleczony gdzieś w ciemność, jak pies na dnie świata. Zorientował się, że sam nie powstrzymuje łez, powtarzał tylko: – Pojedziecie, pojedziecie, pojedziecie...

A Ewa odsunęła się, ujęła jego twarz w dłonie. Coś kruszało między nimi.

– Nie – powiedziała. – Razem tam pójdziemy. Twojego starca, nawet diabła, pójdziemy i uwolnimy. – Zerwała się, mechanicznym ruchem spięła włosy: – Proszę księdza. Szlag z tym wszystkim.

Ano, szlag, pomyślał ksiądz Andrzej Gil.

§ § §

Ogród był tak piękny, że mogłaby tam umrzeć, gdyby tylko zostawiono ją w spokoju. Wiatr szeleścił liśćmi, które układały się specjalnie dla niej w twarze i wydarzenia. Gdziekolwiek spojrzała, inni pacjenci odwracali oczy, kora drzew drżała niczym gorąca skóra, a trawa układała się w krzyże i pobielane groby. Królowa patrzyła, a w powietrzu wisiała cisza jak ostrze.

Z zielonych faktur i słonecznych fraktali wyłaniała się ona sama, piękna jak *Casablanca*, o spojrzeniu tak powłóczyście, że mężczyznom podcinało

nogi. Umiała ich czytać, bo cały świat był książką, gdzie zapisano wszystko co się wydarzy. Biały strzęp chmury sunący przez słońce przypominał jej śnieżne czapy nad Tatrami, była młoda, wróżyła u stóp gór.

Pamiętała, jak uczyła się stawiać pierwsze kroki, w wysokiej zimowej kamienicy, gdzie pełno było ciemnych kątów i wysokich szaf, była tam też babcia, niezwykle stara, o niebieskich oczach, które mogły bez strachu spojrzeć na diabła i śmierć. To ona nauczyła ją czytać, wyjaśniła, że fusy i kule to zasłona dymna, czyta się ze świata. Czytanie ma też swoją cenę, nieodmiennie wysoką, ale o tym Królowa słuchać nie chciała. I teraz ma. Hiiiihaaaaaa!

Zaczęła wróżyć i zyskała sławę. Ludzie, którzy do niej przychodzili, jawili się teraz w korze, napięte twarze, ciekawe spojrzenia, a ona, jak to ona, rozkłada przyszłość w kartach i nogi rozkłada. Gdzieś w powietrzu, w tym ogrodzie, wisi ta pamiętna słodycz, przeciw jej starości. Kora tężeje i twarze też potężniejsze, czas przyspiesza. Tych już zna. Ludzie z telewizji, ludzie z pierwszych stron gazet, ludzie czerwoni jak słońce, które przechyla się nad horyzontem, czerwień nie zna przyszłości. Zna ją tylko Królowa.

Ptaki mkną po niebie nad ogrodem, jak przyszłe wydarzenia. Królowa pamięta, co powiedziała tym koronowanym głowom. Koniec, szybki koniec wszystkiego. Teraz wciągnęła wiosenne powietrze, wariat po lewej skrzeknął, więc ona mu odskrzeknęła, hiihaaaaajhhaaa, jak gąsienice grudniowego czołgu. Teraz w szybie cyklopiego okna czarnego mrokiem zimowego poranka widzi jak na dłoni wojsko, tanki, ludzie mkną gdzie mogą, pamiętała, co wtedy było, osiem lat temu, zawsze zapamięta.

– To ja! – powtórzyła w ogród. – Ja pierwsza to zobaczyłam i wszystko przeze mnie.

W brudnej bieli muru szpitala widziała teraz fartuchy i mundury, tynk trzeszczał jej krzykiem. Tak, tu ją zabrali, też mi wdzięczność, ale gdzie

indziej co by z nią było? Dawno by się rozpadła, nie wiedziałyby nawet, że jest, wiedziałyby to drzewo, chmura i słońce. A teraz ma Młodego, to znaczy – miała go – ale ksiądz pomoże. I ogród, w którym można umrzeć.

Królowa osunęła się na trawę, odwracając twarz ku ciemniejszemu słońcu. Nie umrze przecież, ale dobrze się myśli o umieraniu albo i zasypia. Ziemia była miękka, a trawa przyjemna. Kątem oka widziała, jak pielęgniarz zrywa się sprężysto i sunie w jej kierunku, więc zamknęła powieki. Jeszcze się napatrzy. Jej myśli pobiegły do tego młodego księdza, czy wyrwie klucz, za jaką cenę i czy uwolni tamtego człowieka. Ile lat on już tam siedzi z kneblem i w zamknięciu?

Z ciepłej ciemności wyrwało ją szarpnięcie. Twarz pielęgniarza nie zdradzała żadnych emocji. Królowa wybuchnęła śmiechem. Przyjrzał się jej oczom. Otrzeptała się, stała już prosto, dała znak, że wszystko jest w porządku i może iść, a leżała na ziemi, tak bez celu, bo jest wariatką, do ciężkiej cholery. Stał jednak i nie bardzo wiedział, co z nią zrobić. Ruszyła w stronę budynku, a on poszedł za nią, nie zwalniając uchwytu. Jeszcze przed drzwiami wyprzedził ją i pociągnął.

Przed wejściem w chłód spojrzała jeszcze za siebie, na nieruchome figury, kąt cyklopiego okna, lasek pełen trupów, ech, można by tu umrzeć, ale jeszcze nie teraz. Zgarbiła się i poszli korytarzem, a po raz pierwszy odkąd pamiętała, nie było jej do śmiechu. Pielęgniarz też nie sprawiał wrażenia wesołego, ciągnął ją bezceremonialnie i mamrotał pod nosem same brzydkie słowa.

I stało się to, co przewidziała, a na co zabrakło jej nadziei. Z bocznego korytarza wypadł zziębnięty lekarz o twarzy szarej jak papier toaletowy, gnał co sił i machał rękami, a nogi rozrzucał śmiesznie na boki. Za nim gnało czterech pacjentów, jeden nawet kij od miotły trzymał. Lekarz pędził ile sił, ale chorzy z wolna go dochodzili. Dziwny głos brzmiał z głębi budynku.

Pielęgniarz, który prowadził Królową, wahał się, ale krótko. Oceniał siły, pchnął kobietę przed siebie, jakby chciał spowolnić pościg jej miękkim ciałem, i rzucił się w stronę przeciwną do ucieczki. Pech chciał, że akurat stamtąd wypruło dwóch jego kolegów w słuchawkach ochronnych i z pałkami typu lola w łapach. Pielęgniarz nie wyrobił, próbował hamować na posadzce, a tamci wyminęliby go, gdyby tylko chcieli. Tracony łokciem, runął na ziemię, chwycił się parapetu, dłoń miał jednak zbyt śliską, rąbnął głową o ścianę i znieruchomiał.

Za lekarzem kroczył Starzec i ryczał. Całkowicie łysy, z wydatnym nosem i szarymi wargami, osłaniającymi ciemną jamę ust. Bosa, jedyne okrycie dawał mu szpitalny kitel zapinany z tyłu. Kostki i nadgarstki miał poczerniałe od pasów, a jeśli dobrze się przyjrzeć – Królowa dobrze patrzyła – można było dostrzec pasmo bladej i wyschniętej skóry na twarzy, między nosem a brodą, uchem i uchem. Sam nos złamano chyba kilkakrotnie, czoło pokrywały guzy, przez policzek biegła czerwona szrama.

Starzec zawył, a jego głos rozpadł się na dźwięki. Umordowani lekami chorzy zaczęli biec raźniej, unieśli głowy, za to lekarzowi włosy stanęły dęba i pognał dziko, wyciskając resztki sił ze słabnących mięśni. Teraz jego nogi chodziły całkiem cudacznie, jedna odbijała w prawo, a druga rwała się w połowie ruchu, jakby chciała podciąć tę pierwszą i posłać swego właściciela na ziemię.

Królowa przetoczyła się pod kaloryfer, pielęgniarze nie zwrócili na nią uwagi. Przebiegli. Lekarz liczył, że zdąży skręcić w korytarz pośrodku, ale stamtąd, zupełnie niespodziewanie, wyłoniła się druga grupa – dwóch chudych szaleńców, sprawiających wrażenie, że nadają się wyłącznie do przyjmowania ciosów. Lekarz nie zaryzykował i postawił na ratunek u swoich. Pielęgniarze staranowali go bezpardonowo, pierwszy obalił, a drugi podeptał.

Za plecami Starca ukazał się niezwykle widok – oto szedł bledziuchny ksiądz Andrzej Gil, ciągnąc za sobą jeszcze bledszego pielęgniarza Tutę. Trzymał go zupełnie nie po księżowsku, czyli mocno i nie dając sznas na ucieczkę. Twarz Tuty zdradzała, że w życiu nie próbowałby zwiewać, bo jeśli gdzieś teraz jest bezpieczny, to tylko przy księdzu. Starzec wpadł w inny ton, wyższy, niby rozszczepiony. U stóp Królowej, lekarz zaciskał ręce na podbrzuszu i wił się na ziemi.

Ze śmietnika w rogu wystrzelił biały gejzer papierzysk i opakowań po strzykawkach i lekarstwach. Sam kubek pomknął naprzeciw atakujących pielęgniarzy, ale chybił celu. Zaraz potem doniczki zawirowały i poderwały się z parapetów. Głos Starca brzmiał głośniej i głośniej, pękły szyby, poszło szkło. Doniczki śmignęły w powietrzu, jeden z pielęgniarzy oberwał w bark, drugi w szyję. Pierwszy pobiegł dalej, drugi nie.

Wariaci go dopadli. Wywijał pałką ile wlezie, dwóch nawet obalił, a potem do ataku ruszyli ci z bocznego korytarza, niezdarnie jak dzieci spadli na niego, obalili, przygnietli, przepadł na moment, przyciśnięty przez szalone ciała, a jego rżenie zginęło w zawodzeniu Starca. Wariaci rozsunęli się – pielęgniarz nie miał już słuchawek na uszach. Pacjent ze śmieszną mnisią łysinką wykręcił mu głowę, a inny, żyłasty jak zagłodzony drwał, chwycił pałkę i jął bić ile wlezie. W pięty, w uda, tyłek i nerki. Pielęgniarz wył i się szarpał, pacjenci klaskali.

Fruwało stłuczone szkło, niczym niewidzialne noże. Doniczki śmignęły, roztrzaskując się o ściany, wycieraczki poderwały się ku górze, rąbnęły o sufit, a z bocznego korytarza przemknął but i kłęb białych ubrań. Klask! Klask! Wariaci bili i podskakiwali, pielęgniarz jęczał. Klaskanie brzmiało coraz głośniej, a jęczenie słabło.

Andrzej Gil puścił Remigiusza Tutę, ten wytrzeszczał przerażone oczy. Uwolniony, wycofał się rakiem w kąt, osunął przy ścianie i zamarł, zalany



łzami, z nogami przy brodzie. Uniósł drżące dłonie i przycisnął je do skroni. Tak został. Gil nawet na niego nie spojrzał, wyminął Starca i ruszył na pomoc pielęgniarzowi. Coś krzyczał, ale jego głos ginął w ogólnym rejewachu. Osłaniał oczy, szklana drobinka skaleczyła mu przedramię. Starzec uniósł rękę. Szkło spadło na ziemię. Uniósł drugą, zawył i Gil także znieruchomiał.

– Dostyc!

Głos Starca był zdarty od krzyku. Wariaci natychmiast przestali okładać pielęgniarza. Starzec wysunął przed siebie chudą dłoń. Żyły miał pokłute i nabrzmiące. Uwadze Gila nie umknęły postrzępione paznokcie, same palce były powykręcane, nie wiadomo czy od choroby, czy ktoś je wielokrotnie łamał.

– Do izolatki ich! Knebel na pysk!

Uśluchali bez słowa. Gil, który przed chwilą czuł się, jakby ktoś niezwykle silny trzymał go za fraki, zluźował i wrócił po Tutę. Kiedy mijali Starca, ich spojrzenia spotkały się i Gila zmroziło. Ile nienawiści jest w tym człowieku, pomyślał Gil. Po latach walenia głową o ściany, zatkanych ust i karmienia kroplówką, czy mogło zostać coś jeszcze?

Starzec odwrócił się i poszedł. Spod kitla wystawały czarne plamy po odleżynach, głębokie, wchodzące w kość i mięso. Gil westchnął, zastanowił się jeszcze, czy istnieje sposób, aby wykręcił się z tej kabały, szarpnął pochlipującego Tutę i poszedł za Starcem. Pacjenci chwycili za ręce lekarza i pielęgniarzy, ciągnąc ich z mozołem w stronę izolatki. Żaden nie próbował się bronić, tylko lekarz kiwał głową na znak, że nie spodziewał się innego końca dla Szpitala Przemienienia.

Gil powstrzymywał się, by nie reagować. Za późno, na zmianę stron. Zaciskał usta na widok wariatów, goniących za lekarzami. Jeden taki próbował walczyć, mało go nie zadusili stetoskopem, który z niepojętych

przyczyn miał na szyi. Inny, korpulentny doktorek próbował czmychnąć oknem. Dwóch rosyłych wariatów ściągnęło go, założyło dźwignię i na kopach poniosło do zamknięcia. Ciekawe, co z doktorem Rudzikiem, pomyślał Gil, może umknął?

Na wysokości metra w powietrzu pieniała się gaśnica, aż opadła z brzękiem. Szli teraz po białej mazi. Wkoło śmigwały kwiaty i doniczki, świetlówki pod sufitem pękały jedna po drugiej, obsypując ich szklanym deszczem, klamki okien drżały. Pod ścianami kuliły się pielęgniarzy. Jedna, mniej więcej czterdziestoletnia, o ramionach miotacza dyskiem i pośladkach niczym dwa arbuzy, próbowała wycofać się w kierunku schodów do piwnicy. Nikt jej nie zaczepiał. Zniknęła za rogiem, przez rejwach przebijało się jej sapanie, a potem zabrzmiał krzyk i łomot, podobny do tego, który wydaje wór kartofli podskakujący na stopniach. Starzec się rozśpiewał.

Przy kaloryferze klęczała młoda dziewczyna, o prześlicznych oczach i ustach tak brzydkich, że wyglądały na wydrapane w jej ziemistej twarzy. Oceniała sytuację, porwała kij od miotły i runęła na dwóch pacjentów, targających nieprzytomnego pielęgniarza. Najpierw kij ożył i wykręcił jej nadgarstki, potem wariat uderzył dziewczynę w splot słoneczny, niezbyt mocno, właściwie ją klepnął, a ona poleciała hen, przez pół korytarza, a potem pojechała, wrzeszcząc okropnie, pod same drzwi.

Szaleńcy idący korytarzem wrzeszczeli, radośnie kopali pielęgniarzy, między nimi śmigало wszystko, co mogło oderwać się od ziemi, okna trzeszczały, ale z tego obłędu wyłaniał się porządek. Gruby wariat w samych spodniach patrolował ogród, a za broń wziął dechę wyrwaną z ławki, którą przełamał na pół i trzymał jak maczugę. Drzwi wejściowych pilnowało dwóch innych, jeden miał pałkę wyrwaną ochroniarzowi, a drugi siekiere strażacką większą od siebie samego. Zerkali na zewnątrz, gdzie chodziło dwóch kolejnych małpujących milicyjny patrol.

Pielęgniarki i lekarza już zaciągnięto. Grupa ze Starcem na czele skręciła, kierując się do gabinetu dyrektora Frączaka. Ledwo zniknęli, dobiegło ich klaskanie. Radosne, niemal dziecinne. Starzec nawet nie drgnął, ale Gil wiedział kto to, bez oglądania.

To klaskała Królowa. Doniczki już opadły, a ona zanosila się śmiechem. Krew płynąca z rozciętych kolan zdawała się jej nie przeszkadzać. Dotykała swojej twarzy i chichotała. A potem podniosła się, otworzyła okno, wspięła się na parapet i zastygła, zapatrzona w milczący świat.

### § § §

Gil zastanawiał się czy zdoła wykaraskać się z tego ambarasu, a jeśli nie, to czy przynajmniej w części mu się upiecze. Przemknęła nawet myśl o ucieczce z kraju, zostawieniu życia za sobą. I jeszcze – szkoda, że Enka tego nie widzi. Gdziekolwiek jest, na pewno słyszy wrzaski brzmiące z każdego kąta szpitala. Ciekawe, czy domyśla się, czyja to sprawka? Masz być z czego dumny, księżu doktorze habilitowany, nie ma co. Stali przed drzwiami dyrektora. Dwóch krzepkich pacjentów mocowało się z nimi. Kopali, pchali, uderzali barkiem. Nic z tego. Remigiusz Tuta, którego Gil wciąż nie puszczał, miał minę, jakby zastanawiał się, czy im nie pomóc.

Skronie Starca pulsowały. Mrużył oczy, nie nawykł do światła.

– Otwórz – powiedział cicho i miękko. Jakimś cudem jego głos przebił się przez kakofonię dźwięków. Coś poruszyło się po drugiej stronie. Zabrzmiało przeciągłe westchnienie, a potem szuranie przesuwanych mebli, wreszcie szcęknięcie zamka i na progu stanął dyrektor Frączak. Drżał cały, włosy lepiły mu się do poblądłej twarzy, straszliwe też cuchnął. Na spodniach od kroku aż po brzeg nogawek znajdowały się dwie przyczyny tego zapachu, barwy żółtej i ciemnobrązowej.

Pokój był w nieładzie. Frączak zabarykadował się przy pomocy regału,

zrzucając przy okazji książki i papierzyska, których hałda walała się na ziemi. Z biurka, które próbował przepchać, spadło co tylko mogło, a w akcje desperacji Frączak wziął się również za komodę, na której stało akwarium. Na mokrym dywanie trzepotały się ryby.

Widząc Starca, Frączak zaczął dygotać i wybuchnął płaczem. Opuścił bezradne dłonie, a Starzec zrobił krok do przodu i objął przerażonego dyrektora. Był bardzo wysoki i głowa Frączaka spoczęła na jego piersi. Frączak łkał dalej, głośniejsz z każdą chwilą. Z ust księdza Gila i Remigiusza Tuty wydobyły się dwa jakże różne i podobne zarazem westchnienia.

Frączak próbował coś powiedzieć, ale nie zdołał wykrztusić słowa. Chlipał tylko i jęczał na przemian, łydki mu drżały. Bez oporów pozwolił przeszukać się Gilowi i jak na złość, klucze do sejfu znajdowały się w bocznej kieszeni spodni, a wkładanie tam ręki nie należało do przyjemności. Ksiądz wytarł się w zapasowy kitel, zwisający ze ściany. Zapytał Tutę:

– Gdzie?

Tuta zrobił minę tak bezmyślną, że Gil na moment przypomniał sobie, że przecież jest księdzem, a to co robi nie ma za wiele wspólnego z posługą kapłańską i kto powiedział, że wariat jest bliżej Boga niż pielęgniarze? Tuta zaś zorientował się, o co chodzi i drżącym palcem wskazywał na Orła Białego. Godło spoglądało na księdza, wariatów i posranego dyrektora z wyraźnym zadowoleniem.

Tuta, już nieponaglany, zdjął godło i postawił twarzą do ściany. Odślonił się sejf rozmiarów skrzynki na wino, z dwoma zamkami. Gil przekręcił klucz bez oporu. Zabębnił palcem w pokrętło obok.

– Jaki jest kod, Tuta? – zapytał bezsensownie, bo i skąd Tuta miałby to wiedzieć.

Pielęgniarz potrząsnął głową i Gil nie miał wątpliwości, że ten nie kłamie. Zawrócił, a nim zdążył powtórzyć pytanie, dyrektor Frączak zaczął dygotać

jeszcze intensywniej, z ust pociekła mu ślina, na czubku nosa błysnęła śpik. Krztusił się, jakby miał zwymiotować. Jego wzrok błędził, nie śmiał spojrzeć ani na Starca, ani na księdza Gila.

– Nie wiem! – wykrztusił. I zaraz: – Profesor...

Twarz Starca spochmurniała, obnażył zęby, syknął, oczy błysnęły. Wydał z siebie przeciągłe westchnienie i odzyskał spokój, wyglądało to, jakby wkładał go na siebie z najwyższym wysiłkiem. Poblądłe usta ułożyły się w słowo:

– Mów.

Frączak zabeczał, złączył dłonie w błagalnym geście i potrząsnął głową. Bardzo słabo. Gil był z powrotem przy sejfie i wyłapywał z dyrektorowych jęków, chlipań i przeproszania kolejne cyfry i kierunki: szesnaście w lewo, trzynaście w prawo, w lewo znów, ale teraz czterdzieści dwa. Ciemna przestrzeń sejfu stanęła otworem, a Frączak stracił siły, osunął się na kolana z przeciągłym eeeeeee i przycisnął twarz do uda Starca.

Najbardziej rzucały się w oczy obanderolowane banknoty ułożone w murek obfitości na środkowej półce. Były tam chopiny w kostkach, Gil wypatrzył też trochę dolarów, marek i franków. Wyżej leżały papierzyska, jakieś kwity, wreszcie, cel ich wizyty, bielusieńki klucz samotny na najniższej półce. Gil schował go do tylnej kieszeni spodni. Nie musiał nawet rozkazywać Tucie, pielęgniarz zgarbił się, podobny teraz do nieszczęśliwego sługi szalonego naukowca i sam podreptał na korytarz, w stronę szybu windy.

Mijając Starca, Gil wreszcie mu się przyjrzał, czyniąc to wbrew sobie. Nawet gdy go uwalniali, próbował nań nie patrzeć. Teraz Starzec stał jak gwóźdź wbity w świat, z uniesioną głową i swobodnie zwisającymi zdeformowanymi dłońmi. Tylko zerknął na Gila i ksiądz poczuł, że unoszą mu się włosy na plecach. Cała historią tego człowieka było zamknięcie, nie wiadomo jak się zwie, kim jest, ile ma lat, a jeśli kiedykolwiek miał ojca i

matkę, to nikt ich nie pamięta. Równie dobrze może mieć tysiące lat, jęknął Gil w duchu, dobry Boże, z kim ja się sprzymierzyłem?

Poszedł za Tutą, ostatnim, co widział, były dygoczące nogi dyrektora Frączaka, odmawiał modlitwę z każdym krokiem. Dobry Chryste, wybacz mi tę jedną noc. Jeśli kiedyś potrzebowałem Twego głosu, to właśnie teraz.

Chrystus jednak milczał, za to Remigiusz Tuta sapał i kwiczał. Znaleźli się na zewnątrz przed boksem windy. Za nimi łopotały drzewa. Gil przekręcił klucz. Kratownica rozsunała się ze zgrzytem, odsłaniając ciemną, niską niszę. Tuta wsunął się i włączył światło. Trochę pomogło. Mocna żarówka oświetlała brudne, drewniane ściany i metalową podłogę. Weszli. Gilowi winda skojarzyła się z bydlęcym wagonem.

A potem ruszyli w nieznośnym jazgocie. Remigiusz Tuta stanął w rogu, zgarbiony, próbując dać do zrozumienia, że jest zupełnie niegroźny. Gil ze strachem obserwował ściany, każda rysa w drewnie przemieniała się w ślad po paznokciach jakiegoś nieszczęśnika, ciemna plama stawała się krwią. Jechali bardzo długo, przez kratę Gil widział betonowe płyty, jedne wgniecione gdzieś w środku, inne przecięte przez pęknięcia, plamy po farbie, a kiedy myślał już, że nie dojedzie, winda stanęła.

§ § §

Pierwszym, co rzuciło mu się w oczy, był imponujący rozmiar podziemi pod Szpitalem Przemienienia Pańskiego. Korytarz miał szerokość jakichś czterech metrów, podłogę pokrywały tandetne płytki. Światło dawał rząd gołych żarówek, podwieszony pod sufitem na czerwonym kablu. Sam sufit ginął w ciemnościach, Gil wydał więc stłumiony krzyk, próbując ocenić wysokość pomieszczenia. Echo milczało.

Tuta kiwnął, że trzeba iść. Gil zadrzał, wcale nie dlatego, że podziemia napawały go lękiem – chłód, który tu panował, odbierał wiarę, że gdzieś

powyżej może panoszyć się jakaś wiosna. Żałował, że nie zabrał ze sobą choćby lekarskiego kitla. Przypomniawszy sobie o medaliku na szyi, w nim poszukał ciepła.

Im dalej szli, chłód się wzmacniał, za to żarówki nad nimi wisiły gęściej i świeciły mocniej. Gil zastanawiał się, czy Enka ma ogrzewanie w swojej celi, choć po dyrektorze Frączaku spodziewał się raczej nawiewu ze szpitalnej chłodni. Korytarz rozdwajał się przed nimi, a do kabla powyżej dołączył drugi. Na skrzyżowaniu żarówki wisiły tuż koło siebie. Ciekawe, ile to kosztuje i czemu służy? Przypomniawszy mu się Prokop.

Mijali ciemne drzwi z grubej blachy, z małym okienkiem na wysokości oczu. Pokrywała je siatka, choć nie sposób byłoby przepchać przez nie choćby zaciśniętą pięść. Za to klamki sprawiały wrażenie przesadnie solidnych, takich, na które trzeba naciskać całym ciężarem ciała, żeby drgnęły. W żadnym z okienek nie paliło się światło, a część drzwi pozostawała uchylona. Gil mimochodem próbował zerknąć do środka, lecz widział tylko ciemność. Śmierdziało.

Skęcili w rozwidlenie i oczom Gila ukazał się potężny sześcian czy też kostka ze stali ustawiona pośrodku wielkiej kwadratowej hali. Prowadzące tam żelazne drzwi były otwarte. Tu żarówek było jeszcze więcej, całe ich girlandy zwisały na kablach i sznurach, przepuszczanych przez dwie potężne ramy, krzyżujące się nad konstrukcją. Wokoło stało trochę zakurzonego sprzętu – składane krzesła, kij od miotły, wiadra, drucziana siatka zwinięta w rulon i całe sterty papierzysk powiązanych sznurkiem.

Pośrodku konstrukcja miała drzwi niemal identyczne jak te, które przed chwilą mijali. Tylko klamka była inna, okrągła, a zamiast jednej dziurki od klucza widniały cztery, a gdy podeszli, okazało się, że drzwi są zaspawane. Od dachu odchodził cały system metalowych lin podpięty do kółek dźwigu powyżej. Gil zorientował się, że Tuta jednocześnie ciąży w stronę kostki, a

zarazem jej unika. Mruknął mu, że trzeba się spieszyć.

Coś w tej sali nie dawało spokoju. Trudno było wyobrazić sobie przeznaczenie tak dziwnego sześcianu i jeszcze dźwigu, który go podnosił. Gilowi skojarzyła się z monstrualnie powiększoną salą przesłuchań, którą widział na filmach u Enki.

Za sześcianem, w jedynym chyba ciemnym miejscu, stała buda przypominająca nieco kanciapę, w której rezydował Kiepura. Przód był przeszklony, Gil tylko zerknął i dostrzegł telewizorek, dwa krzesła, pulpit z rzędem przycisków i sporą wajchę obok. Z drugiej znajdowało się coś, co można by uznać za odmianę starożytnego krzyża, unowocześnionego przez władzę ludową – cztery splecione obręcze. Pod nimi stała drewniana podpórka, do której prowadziły cztery schodki.

– Już niedaleko – powiedział Remigiusz Tuta.

Poprowadził go w boczny korytarz, za sześcianem. Minęli pomieszczenie magazynowe pełne starych mebli – Gil mógł przysiąc, że rozpoznał konfesjonał, częściowo strawiony ogniem – a im dalej szli, tym robiło się ciemniej i nie musieli mrużyć oczu. Niemal na samym końcu, za szeregiem uchylonych drzwi znaleźli jedyne zamknięte. Przez szybę sączyło się światło.

Porucznik Enka leżał na szpitalnym łóżku. Ręce skrzyżował za głową i gapił się w sufit, niby to obojętnie. Na podłodze leżał niedopałek, popiół mieszał się z kurzem. Na widok księdza Gila Enka przeciągnął się i usiadł na brzegu łóżka.

– Proszę, proszę – wyszczerzył się – już myślałem, że ksiądz o mnie zapomniał.

– To tylko ze zdziwienia, że dał się pan złapać jak dziecko – odparł Gil, z trudem powstrzymując uśmiech. Westchnął z ulgą. Za nim mignęła zgarbiona, pokorna sylwetka Remigiusza Tuty.

– Jego lepiej za plecami nie trzymać – Enka podniósł się niby sprężyście,



a naprawdę nie bez wysiłku. Syknął, strzelił z palców. – Co tam Tutuś wspaniałego? Widzisz, nie przypuszczałeś, że zobaczymy się zbyt szybko. A ja odwrotnie – stanął przed nim – byłem tego pewien.

Tuta zerknął rozpaczliwie na księdza Gila.

– Przecież wam pomagam! – jęknął. – Zawsze pomagałem, panie kapitanie kochany, pan kapitan spyta Jego Eminencję, jak mu pomogłem.

Jego Eminencja Andrzej Gil tylko wzruszył ramionami. Tuta poblądł, widząc, że ksiądz odsuwa się, tak żeby odsłonić celę, czekającą na nowego lokatora. Pisnął. Enka wybuchnął śmiechem i klepnął go, tak po przyjacielsku, że jeszcze odrobina serdeczności połamaby Tucie zębra.

– Widzicie, Tutuś, może to was nauczy szacunku do starszych stopniem.

Wziął go za kołnierz i pchnął przed siebie. Tuta jęknął, odwrócił ku nim przepęknione żałością oblicze i, zapewne uznawszy, że otrzymał już karę, wyprostował się i szedł dumnie, równoprawny członek ekipy, przejmującej władzę w Szpitalu Przemienienia.

Im dłużej Gil mówił, tym Enka szedł wolniej, jego oczy robiły się większe, a usta szersze i bardziej okrągłe. Zerkał co chwilę na księdza, czy to wciąż ten sam człowiek i drapał się po głowie.

– Jakoś się z tego wykaraskamy – powiedział, tak by Tuta nie usłyszał. – Mam przyjaciół. Czasy się zmieniają, może na tym pojedziemy. Spuści się Frączaka i jego ekipę, a ja już przycisnę naszego małego koleżkę, żeby zeznał co trzeba. Powariowali z tymi żarówkami, czy co?

Uwadze Gila nie uszło, że Enka powłóczy lekko jedną nogą, dłoń ma obtartą, a przy każdym słowie dziwnie rusza szczęką. Gasił papierosa i natychmiast wyjmował następnego.

– Jest jeszcze jeden kłopot. Musimy zyskać parę godzin. Pogadam sobie z dyrektorem. Potem zadzwonimy po wsparcie. A jak dobrze pójdzie, dostaniemy i profesorka.

Gil chciał zapytać, skąd Enka ma tę pewność, że pacjenci nie rozszarpią ich na kawałki razem z Tutą i dyrektorem. Nie zdążył, bo Enka zobaczył stalowy sześcian.

– Ej! Tutuś! – zawołał. – Powiedz mi, co to takiego?

Podszedł do zespalanych drzwi i próbował zerknąć przez szybkę. Była zamalowana. Zastukał, próbował ocenić grubość.

– To musi ważyć parę ładnych ton – mruknął. – No, Tutuś! Zapomniałeś języka w gębie, czy wracamy do celi?

Nigdy wcześniej ani później nie widzieli takiego Remigiusza Tuty. Milicjant i pielęgniarz w jednym wyprostował się, zaciśnięte pięści złączył na brzuchu, jakby szykował się do jakiegoś niezwykłego gimnastycznego ćwiczenia. Jego oczy płonęły, żar udzielił się też twarzy i zbielełym ustom. Była więc jakaś prawda, za którą Tuta poszedłby walczyć z całym światem.

– Nie mogę tego panu powiedzieć, panie kapitanie – odpowiedział spokojnie, resztę swej godności upchnął między kolejne słowa. Odgiął głowę. Dodał: – Mogę panu pokazać.

Enka skinął głową, na znak, że się zgadza.

– Pokażę wam – ciągnął Tuta – potem zeznam wszystko, co będzie chcieli. Ale zostawcie mnie w spokoju. Zapomnicie, że kiedykolwiek byłem.

– Ciebie nie sposób zapomnieć, Tuta – odrzekł zimno Enka. – Pokaż, a ja się zastanowię.

Gil próbował protestować, wiedząc, co mogą znaleźć. Dukał i buczał, że mało czasu. Enka tego nie słuchał, nie słuchał Tuta i po prawdzie, ksiądz doktor również nie słuchał siebie samego. Skierowali się w stronę przeszklonej budy. Tuta puścił Enkę przodem, unosząc ręce w geście dobrej woli – pod pulpitem, na specjalnie wydzielonej półeczce leżał paralizator, nóż, długi i tępy, oraz, ku niezmiernej radości porucznika, naładowany pistolet, stara być może jeszcze wojenna TT-ka. Podrzucił go w dłoni i

wepchnął za pasek. Pod ścianą stał kij, którym bez problemu można było rozwalić komuś głowę.

– Ksiądz dobrodziej to weźmie – rzekł porucznik Enka.

Tuta przepchał się do pulpitu, ponaciskał, zapaliła się dioda, a sufitem przeszedł metaliczny chrzest. Z poważną, ale i spokojną miną podszedł do wajchy zerknął na Enkę, czy na pewno tego chce. Chciał.

Nienawykłe do przemocy, bielusieńkie dłonie Remigiusza Tuty wklepały kod, ujęły wajchę. Drgnęła dopiero za trzecim szarpnięciem. Zazgrzytało. Poszła w dół, a sześcian – w górę.

Najpierw ukazało się dziewięć żelaznych lin o grubości nadgarstka. Wychodziły z okrągłych umocowań, tkwiących bezpośrednio w podłodze, na parcianej opasce na każdej nich widniał napis ZREMB. Podłogę, jak i sam sześcian odjeżdżający w górę, wykonano ze stali. Tym większe zdziwienie budziły wgniecenia układające w nieregularny okrąg o średnicy gdzieś trzech metrów – były postrzępione, jakby pijany robotnik zdecydował się spędzić wieczność na tłuczeniu w podłogę młotem do wyburzania ścian.

To, co wyglądało jak dwa płaty mięsa, przegniłe aż do ciemnego fioletu, okazało się stopami wielkości szczupaka o czarnych palcach i dziurach w miejscu paznokci. Sześcian jechał w górę, odsłaniając pałkowate wzgórki kości, które opinały włókna żylastych mięśni. I dalej, kolano jak księżycowy kamień, z odartą błękitną skórą, uda szczupłe, dwa razy dłuższe niż u człowieka, z dwiema symetrycznymi bliznami po wewnętrznych stronach. Krocze bez jednego włosa, ginący w cieniu, opleciony żyłami członek i brzuch, złożony z samych mięśni, ozdobiony nieregularną wyrwą pępka. Widzieli już ogromne dłonie o połamanych palcach i paznokciach, z nienaturalnie krępych kciukiem i kostkami zdartymi do krwi. Jeszcze przedramiona, całe pocięte i ledwo zagojone, dwa wzgórza tarczy klatki piersiowej, drgające jabłko Adama, kształtne kule bicepsów i ogromne barki.

Szyję chudą i muskularną, kark poszerzony kołnierzem mięśni. I twarz o ciemnych oczach, z nosem tak potrzaskanym, że wciśniętym między policzki. Usta miał rozerwane i zabliznione, oczy opuchnięte, martwe ucho zwisało na ciemnym płacie skóry. Oczy pozostawały niemal niewidoczne spod guzów, sińców, zgrubień, potrzaskanych kości. Gule na czole sprawiały wrażenie, jakby coś w nich żyło i mozolnie usiłowało wydostać się na zewnątrz.

Nefilim wydawał się mieć trzy metry wzrostu, ale mógł być wyższy – liny oplatające ramiona zmuszały go do zginania grzbietu. Sterczące łopatki nieco przypominały skrzydła, a między nimi szedł rząd trójkątnych wypustek, niby u smoka. Jego skóra była niebieska, przechodziła od ciemnej głębi wieczornego morza na podbrzuszu i barkach, po błękit rąk i nóg.

Najpierw Gil myślał, że anielski syn drży niczym skrzydła kolibra, ale nie, to migwały jego barwy, tracąc i zyskując na intensywności. Błąd, zamazanie na kliszy świata. Gdzieś z boku zabrzmiał jęk niedowierzania. To porucznik Enka walczył o zachowanie przytomności i resztek milicyjnego światopoglądu.

Nefilim kucnął, dzięki czemu mógł unieść dłoń, odsłaniając wyrwę wokół nadgarstka, aż do kości. Odwrócił ku nim twarz, teraz światło setek żarówek wpadało wprost na nią, ukazując blizny, obicia, guzy i zniekształcenia, zupełnie niepasujące do jego dziwnie pięknego, proporcjonalnego ciała. Gil dostrzegł, że cała szczęka jest wykrzywiona, a z miejsca po nosie sterczą dwa cienkie, zarośnięte już, odłamki kości. Nagle zrozumiał, czemu nefilim tak wygląda – oniemiały patrzył to na zmasakrowane oblicze, to na wgnieciony okrąg w stalowej podłodze. Jezu Chryste, pomyślał, ile cię tu trzymali, a nefilim odpowiedział mu spojrzeniem.

Białe oczy przejechały po księdzu Gilu, ten czuł, jakby rozbierano mu duszę. Zwróciły się ku porucznikowi Ence (zaciśnął usta i próbował osłonić

twarz, jak przed słońcem), by na koniec zatopić się w Remigiuszu Tucie. Na nieruchomej twarzy Tuty niedowierzanie mieszało się z zachwytem, a nefilim przyglądał mu się z rosnącym zainteresowaniem. Przechylił łeb, niby ogromny ptak garbiący się nad ziarnem, kreski oczu rozszerzyły się. Tuta przyłożył policzek do szyby, drżały mu dłonie i kolana. Nefilim kręcił głową, schylił się, jakby chciał pełzać. Liny go zatrzymały.

Otworzył usta, ukazując fioletowy język i bielusieńkie, połamane zęby, nieproporcjonalnie duże, nawet w stosunku do jego ogromnych rozmiarów. Zaczerpnął oddech, przez żyły na przedramionach przeszedł dreszcz. Jabłko Adama pracowało jak tłok. Nagle ksiądz Andrzej Gil odzyskał zdolność ruchu, odepchnął Tutę, tak że ten poleciał na pulpit. Gil dopadł do wajchy i spróbował ją pchnąć ku górze, kuczał, pomagał sobie udami, na próżno i pewno nic by z tego nie było, gdyby nie porucznik Enka. Skoczył w kierunku Gila, szarpnął, wajcha poszła w górę. Nefilim otworzył usta. Żelazny sześcian popędził w dół i opadł dokładnie w chwili, gdy miał zabrzmieć pierwszy dźwięk pieśni.

Leżeli we trójkę. Enka na Gilu, a zapłakany Tuta na pulpicie. Jęczał i szlochał, gryzł palce. Milicjant pomógł księdzu się podnieść. Długo tak stali, patrząc na stalowy bunkier, który zdawał się drzeć, równie nierzeczywisty, co tajemnica, którą skrywał.

– Idziemy – rzekł wreszcie porucznik Enka. Próbował się roześmiać. Włożył papierosa w usta. Przetrzęsął kieszenie w poszukiwaniu ognia. Gil dostrzegł zapalniczkę, która musiała mu wypaść, gdy rzucił się na dźwignię. Podniósł, operatorkę rozświetlił drobny płomyk.

– Dziękuję – wykrztusił Enka. – Przypomniało mi się, jak mówiłeś... – zawahał się, Gil przymknął oczy – no więc są rzeczy, które faktycznie nie śniły się milicjantom.

Więc poszli. Od kostki z anielskim synem bił chłód. Nie śmieli patrzeć w tę stronę. Tuta szedł przodem, a gdyby mogli spojrzeć w jego oczy, dostrzegliby blask zarezerwowany dla tego, czego nie sposób pojąć i co kochamy nad życie. Dlatego też spoglądał w dół, nie zdradzając się niczym. Nikt nic nie mówił, nie przyspieszał kroku. Przed nimi kładły się długie ciemne cienie.

Po lewej znajdował się korytarz, którego Gil wcześniej nie dostrzegł, tak wąski, że dwóch ludzi nie zdołałoby iść nim koło siebie. Chciał go minąć, ale nie potrafił, nie wiedział jednak dlaczego. Zatrzymał się, tamci poszli przodem. Stanął u wejścia. Korytarz był ciemny, ręka księdza doktora odnalazła kontakt. Widział teraz ciągnące się na kilkadziesiąt metrów odrapane ściany, sufit z zardzewiałym kręgosłupem rury i zakręt na końcu.

– Tam nie można iść – zawołał Remigiusz Tuta, ale bez przekonania.

Gil zgarbił się i zniknął w korytarzu.

– Ej! Eeeej! – wrzasnął porucznik Enka. Pobiegł za nim, wyhamował z trudem, zawrócił i pociągnął za przegub zdezorientowanego Tutę. Gil szedł szybko, truchtem, ruszając łokciami, a Enka, zamiast go dogonić, wyrznął głową o wspornik przy rurze, puszczając przy tym taką wiązaną, że nawet Tuta był zdziwiony.

Gil niemal biegł, coś ciągnęło go łagodnie i nieubłagane, ciekawe, wcale się nie męczył. Nie wiedział do czego się zbliża, ale przecież żaden korytarz nie powstał bez powodu. Dotarł do zakrętu i poczuł na ramieniu rękę porucznika Enki.

– Co jest?

– Spieszmy się.

Gil westchnął i wskazał palcem przed siebie.

– Co ci szkodzi? Chciałbym zobaczyć, co tam jest.

Korytarz biegł jeszcze przez kilkanaście metrów, schodząc lekko w dół.

Wieńczyły go mocne żelazne drzwi zamknięte na zasuwę, lecz pozbawione innego zamka. Nad nimi mrugała pobladła żarówka.

Tuta wyzwolił się z uchwytu. Cofnął się do wyjścia i tam czekał.

– Myślałem, że już się napatrzyłeś – rzekł Enka pojednawczo. – Musimy zobaczyć, co u naszych milusińskich.

– Pięć minut poradzą sobie bez nas – mruknął Gil, chciał iść dalej, ale Enka go nie puścił. Ksiądz szarpnął się jeszcze, lecz milicjant trzymał.

– Dajmy spokój. Nie wiadomo, co tam na górze wyrabiają – głos zmiękł porucznikowi Ence – nie możesz mnie raz posłuchać? Nie chcę po prostu, żebyśmy tam wchodzili. Nie teraz. Nie chcę i cześć.

Gil zmrużył oczy. Usta mu się wygięły, błysnął ząb, na czole napięła się żyła.

– Zawsze robię to, co chcesz. Zawsze, zawsze jest na twoje!

Gdzieś z daleka dobiegł jęk Remigiusza Tuty. Enka przyjrzał się uważnie księdzu doktorowi, zwolnił uścisk, cofnął się o krok. W jego ustach pojawił się camel, błysnęła zapalniczka. Nie, Andrzejku, jak chcesz, to idź sobie tam sam. Andrzej zaś spojrział w kierunku drzwi, lśniących, nienadgryzionych rdzą, jakby wstawiono je wczoraj, westchnął i zawrócił, Enka puścił go przodem. Jeszcze zerknął za siebie po raz ostatni na drzwi, które chciał otworzyć. Dobrze, że tego nie zrobił, bo były to drzwi do Pieła.

# Rozdział ósmy

## Kolacja Wolności

Wielkie zmiany nastąpiły w Szpitalu Przemienienia Pańskiego. Personel spacyfikowano i zamknięto w czterech pomieszczeniach: osobno lekarzy, osobno pielęgniarki, gdzie indziej jeszcze pielęgniarzy, a gdy Enka z Gilem powrócili na górę, dowiedzieli się, że kucharki przesiedziały w zamknięciu niecałe dwie godziny, po czym je wypuszczono w niewiadomym celu. Pacjenci pełnili straż przy izolatkach. Przeczesał magazyny i powkładali na siebie wszystko, co kojarzyło się z mundurem: wojskowe kurtki i buty, niebieskie koszule, a jeden grubas, niepokojąco podobny do kurwy babilońskiej z barokowych obrazów, wdział kitel lekarski, na który naszyto pagony z dystynkcją sierżanta. Wraz z dwoma kolegami patrolował korytarz, stając co chwilę przed izolatką i udając, że zagląda w nieistniejące okno. Twarze mieli poważne, czoła marszczyło im poczucie obowiązku.

Porucznik Enka ocenił szanse, pożałował, że nie zabrał ze sobą przynajmniej koszuli od munduru. Miał jednak legitymację i pistolet, który przełożył za pas z przodu, tak, aby był dobrze widoczny. Szttywnym krokiem podszedł do grubasa w kitlu z pagonami, zsalutował, a tamten natychmiast się wyprężył. Brakowało tylko prawej dłoni sztywno wyrzuconej w górę.

– Meldujcie, obywatelu sierżancie – rzekł Enka, nie wierząc własnym słowom.

– Melduję posłusznie, obywatelu kapitanie, że w kwadracie B4 panuje spokój!

Enka nie wiedział, gdzie zaczyna i kończy się taki kwadrat, za to domyślał się, komu zawdzięcza kapitanowanie. Pokiwał głową i zrobił poważną minę.



– Jak więźniowie?

– Melduję posłusznie, że więźniowie są spokojni i nie sprawiają kłopotu. – Grubas spróbował strzelić tanimi trampkami, które nosił. Miał piskliwy, przenikliwy głos.

– Bardzo dobrze – Enka popatrzył na niego z uznaniem. Za jego plecami, ksiądz Andrzej Gil wybałuszał oczy. – Pokażcie mi ich, obywatelu sierżancie.

Grubas posłusznie otworzył pierwszą celę. Tu akurat zamknięto lekarzy i Enka odetchnął z ulgą. Część więźniów miała podbite oczy i rozkwaszone nosy, ale nikomu nie stała się poważna krzywda. Nawet ich nie związano, ale żaden nie myślał o sprzeciwie wobec nowej władzy. Patrzyli na Enkę z mieszaniną niedowierzania i nadziei.

Inaczej pielęgniarze. Tych skrępowano solidnie wszystkim, co nawinęło się pod rękę. Leżeli na podłodze równo niczym snopki w kołchozie. Na widok Enki zaczęli wrzeszczeć i pyskować, że co to ma być, a jak ich teraz uwolni to może nie pójdzie siedzieć, tylko po cichu wypierdolą go z roboty. Jeden, ten sam który powitał go w Szpitalu Przemienienia, próbował doczołgać się do wejścia, twarz przeszła mu z upiornej bieli w czerwień, ale czy pociemniała jeszcze bardziej, nie wiadomo. Enka zatrzaskał drzwi.

Z ulgą stwierdził, że pielęgniarce potraktowano najmiłosierniej. Pacjenci zamknęli je w sali zabiegowej, skąd pospiesznie wynieśli wszystkie ostre narzędzia. Wnieśli za to telewizor, który nie działał, wodę, poduszki i koce zupełnie niepotrzebne w upalny dzień. Znalazły się nawet szachy.

Ewa próbowała udawać, że nie ma nic wspólnego z całym zamieszaniem, nie wie o żadnych kluczach, starcach i donicach latających, niemniej na widok Enki spięła się w sobie. Mrugnął do niej – będzie dobrze, dziewczyno, nie bój nic. Za oknem świeci słońce. Wyobraź sobie, że już jesteś w Kazimierzu nad Wisłą.

Czwarta izolatka stała pusta, a nawet otwarta na oścież. Jeszcze niedawno tu zamknięto kucharki.

– Co to ma znaczyć, obywatelu sierżancie? – huknął, a wariat aż podskoczył.

– Melduję posłusznie, obywatelu kapitanie, że więźniarki z oddziału gastronomicznego zostały czasowo zwolnione, celem wykonania zadań operacyjnych! Zwolnienie podpisał sam Obywatel Przewodniczący!

– Rozumiem – stwierdził zbaraniały Enka, próbując ze wszystkich sił ukryć niepokój o los kucharek. Zadanie operacyjne mogło polegać choćby na zakopywaniu ich żywcem w ogrodzie. – Gdzie aresztantki przebywają w tej chwili?

– W kuchni, obywatelu kapitanie. Spełniają powinności służbowe! – Wyprężył pierś. Enka odetchnął z ulgą. Spróbował spojrzeć na wariata z uznaniem, co było o tyle trudne, że nigdy wcześniej tego nie robił. Poklepał go po ramieniu.

– Jesteście diamentem w koronie stworzenia – powiedział mu, zsalutował i poszedł. Zerknął za siebie i dostrzegł, że wariat znów prowadzi obchód. Jego krok stał się bardziej sprężysty, oczy błyszcząły, a na pozostałych strażników spoglądał z pogardą.

### § § §

Andrzej Gil zrównał się z porucznikiem Enką. Szli w milczeniu, a jeden nie próbował nawet zerkać na drugiego, tylko robili się coraz bledsi, kroki stawiali niepewnie, jakby ściany miały nagle ożyć i wypluwać z siebie potwory. Mijani wariaci kłaniali się im, a przynajmniej zerkali z nabożnością. Większość nosiła na ramionach biało-czerwone opaski, pokryte napisami, które mogliby odczytać jedynie obłąkani – przynajmniej tak sądził ksiądz Andrzej Gil, pocieszając się, że wciąż jest normalny.

Niedawny gabinet dyrektora Frączaka uległ przeobrażeniu. Rybki na podłodze już zdechły, żwiru nie uprzątnięto, za to meble poprzepychano na właściwie miejsce. Pieniądze z sejfu leżały teraz na biurku, w równych rzędach, obok baterii długopisów, ołówków, flamastrów i stert papierzysk pościąganych z regału. Resztę miejsca zajmowały kubki z kawą i pięć różnokolorowych telefonów ściągniętych z innych pomieszczeń. Żadnego nie podpięto, bo i po co – w pierwszych minutach buntu pacjenci poprzecinali kable. Gdyby ktoś próbował usiąść przy biurku, nie zdołałby nawet oprzeć łokci.

Na komodzie obok, jeszcze w szkle i żwirze po akwarium, ustawiono maszynę do pisania, w którą tłukł chudziutki pensjonariusz. Walił w klawisze, jakby chciał je w proch obrócić, a po każdym napisanym zdaniu, wywalał język, skuczał i bił nogami w podłogę. Jak się okazało, przepisywał karty pacjentów, zmieniając choroby na przymioty ducha i ciała, a każde lekarstwo skojarzył z odmiennym narzędziem tortur. W pewnej chwili jął wymachiwać rękami i pisać z radości – znać, że natrafił na siebie.

Wejścia pilnował żylasty pacjent o orlim nosie i rozbieganych oczach.

– Obywatela przewodniczącego jeszcze nie ma. – Poprawił białoczerwoną opaskę, tak by była dobrze widoczna. – Niedługo powinien się zjawić. W czym mogę pomóc? – Uśmiechnął się usłużnie. – Kawy? Herbaty? Może ciasta?

– Szukam kucharek – powiedział porucznik Enka. – Dlaczego je wypuszczono?

Pacjent chrząknął, spojrzął za siebie, wyraźnie poszukując oparcia. Niestety, mężczyzna przy maszynie skończył wpisywać wyjątkowo długie słowo i zaczął wiwatować.

– Przewodniczący zdecydował się na ich uwolnienie. Są niezbędne do przygotowania *Wieczery Wolności i Pojednania*, na którą, ma się rozumieć,

wszyscy są zaproszeni – wyjaśnił. Oczy drżały mu w zupełnie innym rytmie niż dłonie. Przez czoło przeszła fala.

– Wieczera Wolności i Pojednania – powiedział Enka. – Proszę poinformować przewodniczącego, że chcielibyśmy zamienić słówko ciut wcześniej.

– Jasna sprawa – odparł tamten. Złączył dłonie i powtarzał: – Jasna sprawa, jasna sprawa, jasna sprawa...

Dopiero teraz go poznali. Człowiek od Lipińskiego. Wycofali się, a Enka zamknął drzwi, nie chcąc już słyszeć, że niektóre sprawy są jasne – a w domyśle, inne pozostają zaciemnione. Ich oczom ukazał się napis, wykonany na czterech kartkach papieru. Niemożliwie koślawe kalekie litery układały się w słowa: POLSKI KOMITET NARODOWO-NIEPODLEGŁOŚCIOWY.

Enka pociągnął na bok księdza Gila.

– Czemu po prostu oni nie zwieją?

– A dokąd?

– A w cholere – burknął Enka, już bez przekonania. Rozejrzał się bezradnie z miną faceta, któremu ziemia właśnie umknęła spod nóg.

– Niektórzy odeszli – szepnął ksiądz doktor – widziałeś gdzieś tutaj Królową?

O założenie Polskiego Komitetu Narodowo-Niepodległościowego podejrzewali profesora Lipińskiego. Zdaniem porucznika Enki, ludzie jego pokroju zakładają komitet patriotyczny nawet w szalupie ratunkowej i sprzymierzą się z diabłem morskim, żeby zebrać głosy. Niestety, nikt z mijanych pacjentów nie słyszał o Lipińskim, nawet ci, którzy spędzili z nim ostatnią noc na wolności, wzruszali ramionami i dalej pędzili kolportować odezwy, proklamacje i ulotki. W ręce porucznika Enki wpadła serwetka, na której wypisano kalumnie przeciwko obecnej władzy w Szpitalu Przemienienia, tej zbieranie łajdaków i kanalii, zaś sam przewodniczący

miał być *złodziejem, zbrojcem i kurwą bez sumienia*. Serwetkę sygnował Polski Ruch Patriotyczny „Socjalizm”.

Lipińskiego odnaleźli w ubikacji na piętrze. Stał przy oknie i próbował opanować drżące dłonie, tak by móc utrzymać zapalniczkę. Papieros w ustach wypalił się ledwie do połowy, ale Lipiński już podejmował przygotowania w celu zapalenia następnego, tak by ani przez moment nie pozbawiać się dymu. Nie poznał Gila ani Enki, po prawdzie, gdyby dać mu lustro, siebie też by nie rozpoznał, podstarzałego o dekadę i wychudłego z zapadniętymi barkami i oczyma czerwonymi jak królik. Wydawał się widzieć coś zupełnie innego od zasmarkanej ubikacji, popękanych pisuarów i urwanego kranu nad osranym zlewem, jakieś naznaczone śmiercią przestrzenie, pola pełne trupów i doliny cieni. Upuścił niedopałek i zdeptał bosą stopą, zdołał skrzesać ognia. Zaciągnął się.

Kieszenie miał kanciaste od paczek carmenów. Zebrał ich co najmniej dziesięć. Papierosy trzymał też w zanadrzu, a całą ich baterię zgromadził obok na parapecie. Wszystkie paczki odarł z folii i pootwierał, ale żadnej nie uszczuplił. Raptem zasyczał, sapnął. Zwrócił się do niewidzialnej istoty, stojącej pomiędzy Gilem a Enką.

– Czy ja mogę żyć? Jak sądzisz – charknął – czy ja mogę żyć?

Jak echo tych słów, uchyliły się drzwi ostatniej toalety i wyszedł z nich Starzec, choć nie poznali go w pierwszej chwili. Wydawał się mniejszy niż wcześniej, cały zasuszony. Łysa czaszka przypominała jajo, a w jego wielkich pięknych oczach czaiło się zawstydzenie – próbował skorzystać z ubikacji i narobił w gacie. Suwając nogami, zbliżył się do Lipińskiego, ich spojrzenia minęły się. Powyginane palce zamknęły się na paczce carmenów. Lipiński nie protestował.

Starzec zdołał wygrzebać papierosa i włożyć go sobie w poranione usta, ale zupełnie nie potrafił obsługiwać zapalniczki. Jeśli uwalniał gaz, to nie

umiał krzesać i na odwrót, szarpał się, a oczy zaszyły mu łzami. Porucznik Enka, najspokojniej jak umiał, wydobył swoją zapalniczkę i dał ognia. Starzec palił, ale się nie zaciągał. Pas po kneblu zdążył pociemnieć, jakby skóra obumierała.

Starzec spróbował uśmiechnąć się z wdzięcznością. Enka mruknął coś do siebie i pokazywał, jak należy używać zapalniczki tak długo, aż Starzec się nauczył. Oczy mu pojaśniały, napuchłe kąciki warg poszły w górę. Zapalił kolejnego papierosa i chciał oddać zapalniczkę. Enka zamknął na niej jego dłoń, a Starzec jął się krztusić, wcale nie od dymu.

– Dzieeee... Gzieeeeeee... Gdzienguje – wyrzucił najwyższym wysiłkiem. Łzy podeszły mu do oczu. Przyglądał się papierosowi, jakby żałował, że zaraz go wypali. Stracił zainteresowanie Enką, Gilem, a Lipińskim nigdy się nie interesował. Poszedł, poczłapał korytarzem, zgarbiony, złamany, ale przynajmniej z papierosem i zapalniczką, którą nieustannie gasił i zapalał.

### § § §

W ogrodzie pacjenci urządzili Szajbusowi pogrzeb z honorami. Nieszczęsny Pilcha oddał ducha kilka godzin przed buntem i jeśli wierzyć personelowi, nie było w tej śmierci nic tajemniczego. *To dziwne, że żył tak długo*, powiedział Gilowi przytomniejszy z pacjentów, *jak patrzyłeś dobrze, widziałeś jak serce trzepocze mu pod skórą, bach, bach, i trzy razy na sekundę! Czekano się, aż wyskoczy. Wie ksiądz o czym mówię? O jego sercu!*

Grób wykopali mu koło fontanny, daleko od drzew, tą samą saperką, której Tuta użył do zakopania Filemona. Prawdopodobnie nie znaleźli innej. Czterech rosnących pacjentów wniosło ciało, jeszcze na szpitalnym łóżku za to z krawatem u szyi zabranym z szafy dyrektora Frączaka. Szajbus wytrzeszczał oczy nawet po śmierci. Nikt nie potrafił ich zamknąć. Ciało jednak odzyskało spokój, miękkie dłonie splotły się na piersi. Postawili łóżko

obok dołu, a porucznik Enka nawet z kilkunastu metrów widział, że dół jest za mały i czekał, aż ktoś z żałobników wpadnie na pomysł, aby zmarłemu odrąbać głowę lub nogi w kolanie.

Enka poszedłby o zakład, że Gil chętnie zamieniłby się z dowolnym pielęgniarzem, a nawet dyrektorem Frączakiem. Przed ceremonią delegacja pacjentów z biało-czerwonymi opaskami udała się do księdza doktora prosić, by powiedział parę słów i poświęcił ziemię. Gil wił się jak piskorz, ale ustąpił. Chciał pożalić się Ence, że przecież jest księdzem, a nie ma takiej religii, w której Szajbus dostałby zbawienia. Ale ugryzł się w język, bo dawno już nie myślał o sobie jako o księdzu. Nie w tym miejscu. Tu obsługa, pacjenci i goście zmieniali się w cienie własne, a potem – cudze.

Więc Enka stał przy fontannie, wyobrażając sobie, że ma ciemne okulary, zimne piwo oraz gorącą dziewczynę i nasłuchiwał, jak Andrzej Gil znajduje zmarłemu kolejne dobre słowa. Opowiadał o cierniach kaleczących każdego dnia nasze dusze nieśmiertelne, o rozlicznych pułapkach rozstawianych przez Księcia Tego Świata z taką rozmyślnością, że wpadają w nie nawet najroztropniejsi, o oczyszczającej mocy cierpienia, zdolnej zmienić brudny ogryzek węgla w oszlifowany diament, wreszcie długo i mądrze rozprawiał na temat Bożego miłosierdzia, niezgłębionego i znoszącego największą nawet podłość. Mówił z wysiłkiem i wciąż ocierał pot z czoła. W ogrodzie rozpanoszyły się duchota i upał. Niektórzy pacjenci przyglądali się ceremonii skryci w cieniu wejścia do szpitala. Nikt jednak nie poszedł do lasku.

Enka dał znak Gilowi – przynudza i trzeba kończyć. Ksiądz doktor nie zwracając na niego uwagi zmówił modlitwę tak żarliwie i szczerze, że kilku wariatów zaczęło bić brawo i gwizdać na palcach. Niezrażony zrobił znak krzyża nad dołem. Tylko na to czekano. Łóżko z Szajbusem pojechało w górę, przechyliło się i zmarły potoczył się do ziemnej jamy. Znów zabrzmiały oklaski, a jeden z ludzi od Lipińskiego powiedział łamiącym się głosem, jaki

wspaniały był Adam Pilcha, nigdy go nie zapomną, a jego krew męczyńska niczym zaprawa zespoli nowy ład, który zaraz zbudują. Gil wycofał się w cień.

– Świetnie ci poszło – rzekł Enka, nie wiadomo, żartem czy serio.

Szajbus leżał twarzą do dołu i nikt nie pofatygował się, aby go przekreślić. Bose stopy sterczały cudacznie. Poleciała garść ziemi, za nią następna, łopata poszła w ruch, a z nią dwie patelnie, zabrane z kuchni i nim Enka skończył palić, pacjenci już uklepywali ładnie uformowany kopczyk, a człowiek od Lipińskiego umocował w nim krzyż, sklecony ze zdewastowanego na tę okoliczność krzesła. Wokół ramion oplótł białoczerwoną wstęgę, która wisiała wcześniej w jadalni z okazji głosowania.

– Myślisz, że ja go zabiłem? Uwalniając Starca? – mruknął Gil.

– Skąd – odmruknął porucznik Enka. – Izolatka była dźwiękoszczelna.

Gil tylko westchnął, potrząsnął głową, a Enka poczuł się jak dureń. Palił i patrzył jak wariaci z wolna wracają do szpitalnego budynku, drżąc, trzymając się za głowy, płacząc albo rechocząc. Człowiek od Lipińskiego podskakiwał wokół nich. Gil usłyszał, że wykrzykuje jego imię. Słońce świeciło coraz intensywniej, a z mogiły sterczały dwie bose brudne stopy.

§ § §

– Ciekawe, gdzie jest ta moja wybawicielka – Enka rozglądał się za Królową, a w jego słowach nie było ironii. Nigdzie jej nie wypatrzył. Wydawało się, że gdzieś za rogiem brzmi jej śmiech. Albo widać cień.

– Mówiła, że mamy jechać z nią do Warszawy.

– Natychmiast?

Gil przejechał dłonią po czole.

– Wiesz, jak ona gada. Ale to cwana staruszka. Nie znajdziemy jej, póki nie będzie chciała. Ale gdybym był nią, zniknąłbym ze szpitala i czekał, co



się wydarzy. Co my zrobimy.

– Mądra dziewczyna – zgodził się Enka – chodź, zorientujemy się w tym burdelu.

Domyślili się, że przewodniczącym Komitetu Polskiego jest Tomasz Krukowiecki, który po latach pisywania do „Tygodnika Powszechnego” i wiceszefowania w KIK-u wreszcie osiągnął niezależność. Enka rozpoznał, że im ktoś mieści się wyżej w hierarchii nowych władz, tym jego opaska jest bardziej okazała, a Krukowiecki miał dwie nałożone obok siebie. Widząc księdza Gila rozpromienił się, jakby właśnie zjadł słońce, widok porucznika Enki ściągnął mu na twarz czarne chmury.

Siedział na parapecie obok gabinetu Frączaka – obecnie siedziby władz – i wydawał dyrektywy. Kilku pacjentów słuchało go z uwagą, nieustannie podsuwając papiery do podpisania.

– Pan przewodniczący? – zagadnął słodko Enka.

– Nie – potrząsnął głową. – Wykonuję tylko obowiązki w imieniu przewodniczącego Jana Lipińskiego.

Więc jednak, pomyślał Andrzej Gil.

Ten dzień nie chciał się skończyć. Słońce, zamiast sunąć po nieboskłonie, tkwiło wciąż w tym samym miejscu. Panował żar. Część pacjentów paradowała z gołymi klatami, nie zapominając jednak o opaskach naciągniętych na chude ramiona.

– Władza ciąży – rzucił porucznik Enka.

– Nie chodzi o władzę, ale o to, ile mamy do zrobienia – wyjaśnił Krukowiecki. Usadowił się tak, by móc prysnąć w boczny korytarz, gdyby Enka spróbował zrobić mu coś złego. Przybrał poważny wyraz twarzy, złączył ręce jak do modlitwy, ale oczy miał dokładnie takie, jak na przesłuchaniu. Człowiek wrzód, naciśniesz lekko, a wypłynie cuchnąca prawda.

– Właśnie – podchwycił Enka – chętnie byśmy pomogli.

Garbił się i ręce trzymał z tyłu, potulny i niegroźny.

– Po prostu przyjdźcie na wieczerzę wolności – ostatnie słowa Krukowiecki wymówił z namaszczeniem – nie godzi się pracować bohaterom.

– Mogę być i pracującym bohaterem – Enka przypomniał sobie, jak Krukowiecki ślinił się, drżał i jęczał, jeszcze w pokoju przesłuchań – ale chętnie dowiem się, co to za wieczerza.

Zerknął na księdza. Gil trzymał się z tyłu, podobnie jak Krukowiecki, gotowy do natychmiastowej ucieczki. Powiesz bum, pomyślał Enka, pouciekają jak kurczaki.

– Zapraszamy wszystkich do wspólnego ucztowania. Tym razem będzie radośnie! Bo my, zgodnie z poleceniami przewodniczącego Lipińskiego, wybaczymy wszystkie krzywdy i zbudujemy nowy porządek nawet dla tych, którzy wcześniej nas więzili – recytował kolejne słowa, aż dziw, że nie zerkał do kartki. Uśmiechnął się głupkowato i patrzył na Enkę, co on powie.

– Wspaniale. A pielęgniarze?

Krukowiecki się zaperzył.

– Ich na razie nie będzie. Zaniesiemy im jedzenie do izolatki.

– Poza tym uwolnicie wszystkich?

– Oczywiście – przytaknął Krukowiecki. – Panie kapitanie, dużo rozmawiamy o panu w naszym Komitecie – przełknął ślinę – może by pan kapitan zgodził się objąć kierownictwo służb porządkowych? Oczywiście do czasu wyłonienia się demokratycznych struktur.

– Demokratycznych struktur – powtórzył porucznik Enka.

– Oczywiście. Proszę ślicznie, przecież już ksiądz dobrodziej zgodził się być kapłanem naszej słusznej sprawy.

Zza pleców Enki dobiegło przeciągłe westchnięcie. Ksiądz doktor

habilitowany miał minę, jakby właśnie wpatrywał się w lufy plutonu egzekucyjnego. Enka pomyślał, że porozumiewawcze spojrzenie byłoby jak najbardziej na miejscu, a długi przyjacielski uścisk nawet wskazany. Zastanowił się i odparł:

– W takim razie czemu nie mam jeszcze opaski?

Krukowiecki spochmurniał, strzelił z palców, a dwóch wariatów pomknęło do gabinetu, zderzając się w drzwiach. Z wnętrza zabrzmiało szuranie, spadł jakiś ciężar, przekrzykiwali się, brzmiało coś o długopisie. Wrócili z opaską spiętą dwiema agrafkami. Na białym pasku wypisano na niebiesko GENERAŁ MILICJI. Enka wziął opaskę w dwa palce.

– Złożę tę godność w dniu nowych wyborów – obiecał poważnie – a wy, obywatelu, dopilnujcie, żeby nie trwało to zbyt długo.

Krukowiecki wraz z akolitami zniknął w gabinecie. Enka z Gilem milczeli przez chwilę, obserwując pacjentów biegnących po korytarzu. Każdy coś niósł – rulony papierów, godło, kije od flag, krzesła, targano stoły i łóżka szpitalne. Nic z tego nie wynikało, nie zawisł żaden sztandar, niczego nie zbudowano, a pacjenci krążyli szybciej i szybciej, wykrzykując słowa, potem tylko bezładne dźwięki. Szpital Przemieniania Pańskiego rozszczękał się na całego.

Andrzej Gil przyjrzał się porucznikowi Ence. Słowa zbierał dłużej niż zwykle.

– Awansowałeś. Gratuluję – powiedział.

§ § §

Zamknęli się w pokoju księdza doktora. Cień krzyża nad drzwiami nieco pobladł. Usiedli naprzeciw siebie, pili zimną herbatę i czekali, który pierwszy się odezwie. Gil gapił się to na Biblię, to na radio, a Enka utkwiał wzrok w drzwiach do łazienki. Z korytarza dobiegał tupot, ktoś darł się, że wolność i

alleluja.

– Ale szajs – rzekł wreszcie Enka. – Teraz możesz mi powiedzieć, co dalej robimy. Bo to wiemy, prawda? Wiedziałeś, nim wypuściłeś ich wszystkich.

Gil nawet nie drgnął.

– Przepraszam – zreflektował się Enka – pytam po prostu, co z nimi zrobimy. Porozłążą się przecież, jak Królowa.

– Nie wydaje mi się. Może jeszcze ci od Lipińskiego? Mają dokąd. Reszta siedzi tutaj od lat. Nie znają innego życia. Czekać tylko, aż lekarstwa przestaną działać.

– Tym lepiej dla nas. Zadzwoń i zgarną ich wszystkich – zerknął na swoją opaskę. – Żadnych wieczerzy i komitetów. Może nawet...

– Nie ma takiej możliwości – odparł ksiądz doktor. – Mam ci przypomnieć, co tu z nimi robiono? Co jest na dole? Przerażasz mnie teraz – próbował się uśmiechnąć – poza tym skąd zadzwonisz?

– Sam siebie przerażam. – Enka nachylił się do Gila. – Wiem, że teraz są cholernie sympatyczni, wiem, co z nimi robiono, niech to szlag, księżę doktorze, ale przecież nie trafili tutaj bez powodu.

– Powsadzajmy ich w kaftany i będzie spokój.

– Andrzej, ja cię proszę...

– Jak ratowaliśmy ci tyłek, to było wszystko w porządku.

Enka odstawił kubek. Przejechał dłonią po włosach mokrych od potu. Zapalił, a Gil nie protestował.

– Więc mój tyłek nie jest wcale uratowany. Zobaczysz, jak mi podziękują, za takie śliczne rozwiązanie sprawy martwego wariata. Przyjdzie ten twój Profesor i mi łeb ukręci.

– Nie jest powiedziane.

– Jeśli nie połapałeś się, księżę doktorze, jak głęboko wleźliśmy w szambo, to szczęśliwej drogi. – Zaciągnął się. – Pielęgniarsze, cała obsługa ma

przecież rodziny, ktoś się o nich upomni. A my tu siedzimy z opaskami. Zobacysz, jak nam podziękują.

Palce Gila zamknęły się na Biblii.

– Ty zawsze jesteś milicjantem, prawda? – zapytał. – Właśnie przypominam sobie, co to znaczy być księdzem.

Myślał, że Enka po prostu trzaśnie drzwiami albo w księżowską gębę. Ale porucznik w randze generała tylko przyłożył pięści do twarzy, przygryzł kciuk.

– To znaczy, co?

Gil zająknął się i zamilkł. Rozpaczliwie zerknął za okno. Słyszał, że w takich sytuacjach dobrze otworzyć Biblię na przypadkowej stronie i tam szukać porady, ot duchowe koło ratunkowe, które możesz włożyć do kieszeni. Jego ręka była jednak ciężka, a palce niezgrabne.

– Więc właśnie – powiedział Enka – jeśli możemy zrobić coś dobrego, to dać sygnał na zewnątrz, do Gruli, niech Grula rusza z kim trzeba i jedzie tutaj. Potem, Andrzej, niech mnie szlag, jeśli tym ludziom stanie się coś złego. Widziałeś Starca? Na wolności pożyje kwadrans.

– No, tu to sobie pożył – wtrącił Gil.

– Daj teraz spokój. W ogrodzie są trupy. Ileś tam trupów, Profesor to może i sycha, ale i stary cap, związany z ekipą, która właśnie spada. Polecą płotki, taki Frączak, pielęgniarze, sam wiesz, jakie tu szwindle odchodziły. Ujawnimy, to nam się upiecze, pacjenci wygrają lepszą opiekę. Dopilnuję tego. Część na pewno zwolnią do domu lekarze, rozumiesz, normalni lekarze.

– Mówisz jak dziecko. Nie dmuchaj na mnie. A co z tym, co trzymają w piwnicy? Jak sprawa się skończy, wyliżesz rany i nie będzie ci w głowie pomaganie komukolwiek.

Enka spróbował wyrzucić papierosa przez zamknięte okno. Niedopałek odbił się od szyby, żar posypał się na podłogę. Gil pospiesznie przygniótł go

butem.

– Co w takim razie robimy? – zapytał Enka.

Gil opuścił głowę i zaraz podniósł. Oczy miał przygaszone, gotowe by je zdmuchnąć.

– Zrobię to najlepiej jak mogę – obiecał porucznik Enka. Pomógł wstać księdzu, patrzyli chwilę na siebie, owładnięci ogólną niemożnością. Szpital Przemienienia wymuszał bezruch, nic tylko paść na twarz w coś miękkiego i czekać, czekać z nadzieją, że zmiany, nawet na lepsze, zbyt szybko nie nadejdą. Ręka Gila wykonała nieokreślony gest, jakby próbowała chwycić coś w powietrzu, a drzwi łazienki rozchyliły się i stanął w nich Starzec z wypalonym papierosem.

Otworzył usta. Skamienieli, ale Starzec jedynie wciągnął powietrze głęboko do płuc. Rzucił w ich stronę obojętne spojrzenie i po prostu poszedł, zgarbiony i smutny. Miał oczy najpiękniejszej lalki na świecie, dwie kulki do zabawy, nie do patrzenia. Przy drzwiach przystanął, wydobył zapalniczkę, skrzesał jeszcze i odrzucił na łóżko, oddając ją porucznikowi Ence.

### § § §

Na widok Enki wartownicy stanęli na baczność, wyprężyli zmizerowane piersi i zaszalutowali synchronicznie. Stało się tak, ponieważ opaska na ramieniu porucznika pozostawała dobrze widoczna i samo patrzenie na nią uchodziło za zaszczyt. Enka szedł krokiem marszowym, marszczył brwi, a koszulę zapiął pod szyją, jak u munduru. Wskazał na salę, w której trzymano pielęgniarce i rozkazał głosem nieznanym sprzeciwu.

– Otwierać!

Zniknął w środku i powrócił, trzymając za rękę Ewę, niezbyt delikatnie, w końcu to więźniarka, mimowolny współarchitekt złowrogiemu porządku. Nie wiadomo, pojęła o co chodzi, czy zwyczajnie się bała – próbowała się

wyrwać, a szarpanie i jęczenie świetnie jej wychodziło.

– Spocznij – powiedział Enka do wartowników. Pociągnął Ewę na zewnątrz, przed szpital. Tam wejścia pilnowało dwóch kolejnych, spróbowali zagrozić drogę i zaraz rozstąpili się, widząc, kto idzie i jaką ma opaskę. Chwytał Ewę jeszcze mocniej, przyspieszyli, a gdy znaleźli się za murem, przycisnął ją mocno do siebie, obsypał pocałunkami, nie chciał puścić.

– Jesteś moim światem – szepnęła.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć, więc odmruknął:

– A ty moim. Słuchaj mnie, Ewuniu, słuchaj, ja...

Przywarła do jego ust, wtuliła się w ramiona. Otarł jej łzy.

– Już niedługo – obiecał. – Nic ci nie zrobili?

– Bardzo się boję. Jest jasno, a ledwo mogę cię zobaczyć.

Pocałował ją w oczy. Długo. Zwolniła uścisk, oddychała już spokojniej.

– Ewuś, proszę, słuchaj, to ważne. Masz tutaj kluczyki od tego samochodu – wskazał na poloneza. – Umiesz prowadzić? Jak nie umiesz, to i tak pojedziesz, nie śmieję się, no, już, już – położył jej rękę na ustach – do najbliższego aparatu. Rozumiesz? Zapukaj do kogoś, powiedz, że jest pilna sprawa.

Przytaknęła. Wiatr rozwiewał jej włosy. Jest śliczna, że jasna cholera, pomyślał Enka, nawet w takim miejscu, nawet w takiej chwili. Niech cię szlag, dziewczyno, nawet z tym Kazimierzem, zabiorę cię gdzie zechcesz, jeśli tylko się wykaraskam.

– Kochanie, kochanie. Masz tu numer. Dzwonisz na milicję, ale pod ten numer, nie żaden inny i prosisz porucznika Grulę. Tu jest jeszcze jego numer domowy, ale Grula cały czas jest na komendzie – wcisnął jej karteczkę – i mówisz, że dzwonisz ode mnie. Nazywam się Zbyszek Enka – wyszeptał i teraz jemu łzy podeszły do oczu. Chciał je otrzeć, ale Ewa chwyciła jego rękę, wędrującą w górę i przycisnęła do swojego policzka.

– Mów – poprosiła.

– Mówisz Gruli, co zaszło tutaj i że mam kontrolę nad wszystkim. Niech znajdzie kogoś mądrego tutaj w regionie i niech ten mądry sukinsyn, przepraszam, kochanie, niech ten wspaniały człowiek zasuwa tu na białym koniu i z kawalerią – mówił. – Ewuś, a teraz najważniejsze, niech nie strzelają, choćby nie wiem, niech żaden nie wyciąga broni. Bo będzie nieszczęście. Pamiętasz, co się działo. Chodzi o to... – gryzł wargi – żeby nikt już tu nie umarł. Będziemy na stołówce, wszyscy, zgarną ich raz dwa. Rozumiesz mnie? Żeby nikt nie umarł.

Spodziewał się, że Ewa nie drgnie i tak przytulonych ich noc zastanie. Pocałowała go w usta, policzki, zjechała wargami na szyję, chłonęła jego zapach i nagle odbiegła, ich ręce rozłączyły się niechętnie, a gdy odjeżdżała prawdziwie po męsku, wzniecając tumany kurzu, Zbigniew Enka przypomniał sobie, jak zarzekał się, że nigdy, przenigdy nie pozwoli prowadzić kobiecie swojego samochodu.

§ § §

Ksiądz doktor czekał na korytarzu prowadzącym do stołówki. Mijający go wariaci kłaniali się, a nawet przyklękali na jednym kolanie. Od strony izolatek wyłoniła się grupa roślejszych pensjonariuszy – każdy trzymał pałkę lub nogę od krzesła, a między nimi, jak barany wyprowadzane ostatni raz na łąkę, szli lekarze i pielęgniarki. Niejeden łytał ponuro na Gila, zaciskając pięści.

Gil zobaczył porucznika Enkę, który szedł środkiem korytarza niczym miniaturowy sztorm zdolny do narozrabiania w szklance wody. Pet w jego ustach jaśniał, niczym oko cyklonu. Za oknem słońce wreszcie poddało się zachodowi – tylko czerwony rąbek wystawał zza muru, za to pojawiły się chmury, skłębione i smutne. Będzie padać.



– Nie widzę tego – rzekł Gil. Szli na wieczerzę wolności.

Pozornie na drzwiach stołówki nie zaszły żadne zmiany. Nikt niczego nie przybił, a napis *Smacznego* był równie kuszący, co przedtem. Dopiero kładąc rękę na klamce, Gil spostrzegł, że menu już jest inne, zniknęły gdzieś dzemy i parówki, a na kartce, wyrwanej z zeszytu w kratkę, było napisane: *Wieczerza Wolności i Pojednania. Jadłospis.*

I niżej:

---

*Surówka Niepodległość Kotlet Wolności Kompot Nowa Polska Ziemniaki  
Braterstwa*

---

– Smacznego, księżę doktorze – powiedział Zbigniew Enka. Gil otworzył drzwi i weszli w biel, czerwień i szum. Sześć dużych flag zwisało z sufitu, adapter wygrywał pieśni, wcale nie patriotyczne, lecz ludowe i o rzeczach przyziemnych, czyli Jaśku i młynie. Twarze członków komitetu wyrażały powagę i skupienie. W miejscu zarezerwowanym jeszcze wczoraj dla dyrektora Frączaka siedział zobojętniały Lipiński. Bełtał łyżką w talerzu, ale jego usta sprawiały wrażenie stworzonych do jakiś dziwnych celów, a nie mówienia i przeżuwania. Jeszcze chwila, a oderwie się od ziemi, pomyślał ksiądz doktor, Boże, jak on schudł przez te parę dni. Siedzący obok Krukowiecki tryskał za to energią – rozglądał się po sali z zadowoloną miną i nieustannie poprawiał wymięty krawat, zawiązany pod kołnierzem pidżamy.

Część pacjentów zdobyła ubrania na personelu i pozakładała je z lubością ignorując rozmiar – niektórym rękawy kończyły się na przedramionach, innym groziło potknięcie o zbyt długie nogawki. Siedzieli przy tym samym stole, jeśli nie liczyć grupy porządkowej oddelegowanej do pilnowania dawnego personelu. Tych zgromadzono przy dwóch dużych stołach złączonych ze sobą. Dyrektor Frączak odzyskał spokój na tyle, by utrzymać

łyżkę (widelców i noży nie dostali). Dostrzegłszy Gila i Enkę, wbił w nich wzrok pełen nadziei. Wyglądał przedziwnie w zbyt dużym fartuchu zapinanym z tyłu i nałożonym na gołe ciało. Miał stopy jak mała pokryte siwymi kołtunami, a w długie brudne paluchy mógłby schwycić łyżkę, gdyby tylko spadła.

Reszta personelu wyglądała na sponiewieraną, ale nie udęconą. Dwóm lekarzom ciemniały w oczach śliwy, inny miał pękniętą wargę i złamany nos, a wyglądał tak nieszczęśliwie, że wariaci oferowali na migi, że go zoperują. Pielęgniarki wyglądały najlepiej, jeśli nie liczyć zmierzwionych fryzur, połamanych paznokci i policzków poszarzałych jak papier pakunkowy. Zmiana sytuacji nie ruszyła tylko Kiepury. Ciec wsuwał Kotlet Wolności, zapijał Kompotem Nowa Polska, cmokał, siorbał i nie przestałby, nawet jeśli prać by go młotem kowalskim w zapity łeb. Gil zerknął na Enkę, ocenił sytuację i nagle przyszło mu do głowy, że jeśli przypomnieć sobie pierwsze spotkanie w stołówce, to mnóstwo ludzi przepadło: Profesor, Szajbus, Młody, Filemon, Królowa. Oraz Tuta. Właśnie, Remigiusza Tuty nigdzie nie było.

I zaraz na obolały łeb księdza doktora spadło inne skojarzenie – przecież tak działo się wcześniej, u schyłku powstań polskich i pewno nawet w ostatniej reducie zawiązywano komitety. Przeraził się – za chwilę podjadą radiowozy i co dalej? Wyobraził sobie, jak Komitet wstaje, ciągnąc za sobą profesora Lipińskiego, ktoś biegnie po krzyż z grobu w ogrodzie i idą zwartą kolumną procesji prosto pod lufy władzy ludowej. Co ksiądz powinien zrobić w takiej chwili? No co?

– Cisza! Cisza! – Kurkowiecki podniósł się z miejsca, unoszony oklaskami usadowionych obok członków Komitetu. Tylko Lipiński nie klaskał, bo nie mógł złączyć dłoni, poza tym dostrzegł Enkę i kawałek Kotleta Wolności wyjechał mu z ust na talerz. Enka z Gilem nie zdążyli znaleźć sobie miejsc i stanęli oparci o ścianę przy wejściu.

Za oknem panowała ciemność, na horyzoncie błyskało. Zabrzmiało coś jak echo grzmotu, dochodziło z daleka, niby z podziemi.

– Cieszę się, że spotykamy się w tak szczególnym dniu – podjął Krukowiecki – kiedy Polak może wreszcie być Polakiem, a nawet ma taki obowiązek. Dla realizowania tej szansy zawiązał się Polski Komitet Narodowo-Niepodległościowy z przewodniczącym Janem Lipińskim – wskazał na siedzącego obok Lipińskiego, wywołując burzę oklasków. Lipińskim wstrząsnął dreszcz i pobladł jeszcze. Nie śmiał spojrzeć na salę.

– Jaja – powiedział Enka do Gila.

– Ponieważ chwilowo pełnię obowiązki przewodniczącego komitetu, proszę i zaklinam, niech ten kotlet, ta surówka i ten kompot przejdą w energię waszej krwi, niech ożywią wasze umysły i nadadzą żywy rytm waszym sercom. Nie zapominajcie tego smaku i tego wieczoru, niech zostanie z wami na tyle długo, by Polak Polakowi zawsze był Polakiem. Wolność jest już blisko.

Pierwsza kropla spadła na szybę.

– Właśnie, wolność. Długo zastanawiałem się, co to takiego. Dużo się o wolności mówi, a niewielu ją rozumie. I patrzę teraz na nas, jak tu wszyscy siedzimy, ciemżeni i niedawni ciemżyciele, jemy wspólnie ten sam posiłek. Wolność to zdolność wybaczenia, ale nie zapominania. Na wybaczeniu, lecz nie zapomnieniu buduje się każdą niepodległość.

Jego głos nabrał mocy, a im dłużej mówił, tym Lipiński miał większe trudności z opanowaniem drżenia. Ludzie tymczasem tracili zainteresowanie, kolejne głowy odwracały się od komitetu w stronę talerzy, pałaszowano Kotlety Wolności, zagryzano Sałatką Niepodległość a kompot Nowa Polska ginął w starych przecież polskich żołądkach. Krukowiecki nie zwrócił na to uwagi, nie przeszkadzał mu też deszcz bijący o szyby ani pioruny rozświecające wieczorne niebo. Gadałby tak może i do rana, gdyby nie

Starzec, który złożył nóż z widelcem równiutko obok nietkniętego kotleta, wstał i powiedział:

– Dosyć.

Krukowiecki poleciał na krzesło, pchnięty niewidzialną siłą. Zabrzęczały sztućce. Lipiński bił nogami w podłogę, ręce przycisnął do głowy i walił łokciami w blat stołu. Z ust szła mu piania, jakby najadł się mydła, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Oczy wszystkich utkwione były w Starcu. Ten stał po wojskowemu, złączając nogi, dłonie wisiały mu bezwładnie wzdłuż tułowia. Otworzył usta i nic. Jeszcze raz. Powoli od żołądka szła mu papierowa kula, a gdy dochodziła do gardła z impetem opadała na stół. Wreszcie Starzec wykrztusił:

– Co wy robicie durnie? Nic się nie zmieni. – Popatrzył po zebranych. Nikt nie śmiał się odezwać ani nawet wziąć głębszego oddechu. – Poszliście w ciemność i ciemność was weźmie. Śnicie o niej. Gotujcie się. Ciemność i wieczność dla was.

Jan Lipiński runął na kolana i zalał się łzami. Odgiął głowę i z impetem rąbnął czołem o brzeg dołu. Jego płacz i odgłos uderzenia zginął w huku pioruna. Aż ziemia zadrżała, żarówki zamigotały. Gilowi wydało się, że słyszy coś jeszcze, jakieś wołanie na korytarzu.

– Jesteście Polakami. Cieszcie się, że ktoś też ma źle – wycharczał Starzec. Z trudem ruszał szczęką. Wybałuszał oczy przy każdym słowie. – Siedzimy tu razem. Dla nas razem w ciemność. – Popatrzył na struchlałego Frączaka i zaraz na Krukowieckiego. – Za to samo można was kupić. To samo wam pisane.

Porwał szklanekę kompotu i wypił na dwa łyki. Zwrócił się do księdza Gila. Pochylił głowę.

– Dziękuję. Nic mi z wolności. Przynajmniej widziałem jeszcze niebo.

Szepnął, właściwie syknął. Gil nie miał prawa usłyszeć, ale słyszał, jakby

Starzec wrzasnął mu wprost do ucha:

– Tam jest ciemno.

Wył wiatr, teraz deszcz już się rozpadał na całego. Gdzieś w szpitalu brzmiały kroki. Ktoś biegł, pewno spóźnialski na Wieczernę Wolności.

– Mogliście iść, ale siedzicie. Nie pójdziecie – charczał Starzec – leki zabiły wam mózgi, to miejsce – wskazał na podłogę i zabrał sąsiadowi szklanekę – zabiera wam siły. Poczujcie. To na dole. Moc, którą tu zamknąłem – kaszlnął, czarna flegma poleciała na talerz – a ona zamknęła mnie.

Zebrani zamierali z jedzeniem w ustach lub przeciwnie, napychali sobie policzki jednym wielkim kęsem. Zerkali na Starca z nabożeństwem lub z nienawiścią. Lekarz, który wcześniej tak pechowo uciekał, zatkał sobie uszy. Krukowiecki tkwił na krześle, niby przyszpilony, z oczyma nieruchomymi jak dwa gwoździe. Lipiński wbił zęby w stół i zanosił się płaczem.

– Siedzimy na bombie – rzekł Starzec, melodyjnym głosem – wielkie bum i jedziemy do piekła. Biedni głupcy. Z jednego jesteście klucza, magicy, okultyści, telekinetycy, wróże, sataniści, jedna lewa dłoń was wybrała. I co teraz puści? Idźcie w Polskę, nie macie domów ani bliskich, komuniści was zgarnęli, żebyście się po kraju nie pętali. I co teraz? Komuchów nie będzie, to demony też pójda?

– Królowa najwyraźniej zwiąła, to może jednak ma dom – mruknął Enka.

Deszcz osłabł na moment, w księżycowym wyładowaniu pioruna dostrzegli bielusińskie drzewa i upiorną krawędź muru. W powietrzu wirowały liście i paprochy, przemknął ptak, grób Szajbusa spływał wodą z błoćkiem.

To Starzec pierwszy spojrzął na korytarz, za nim popatrzyli inni. A przez otwarte drzwi widzieli jak na dłoni zalanego krwią Remigiusza Tutę, który, półślepy, usiłował znaleźć drogę do stołówki. Musiał coś usłyszeć, poczuć

zapach jedzenia albo i coś dostrzegł przez zalane juchą oczy, bo rzucił się do rozpaczliwego biegu, potknął się o próg i poleciał na twarz prosto w ramiona księdza Gila.

Gil pochwycił go, z trudem utrzymał równowagę, przykleknął, obrócił drżącego Tutę na plecy i podtrzymał mu głowę. Enka kucnął obok. Z trudem poznawał niedawnego pielęgniara – ten bił nogami o ziemię, to unosił ręce, to je opuszczał. Krew płynęła mu z oczu, nosa i uszu, a gdy otworzył usta, splunął czarnym skrzepem.

– Ksiądz – powiedział Remigiusz Tuta i spróbował się uśmiechnąć. Czerwone strużki popłynęły między zębami i zaraz za nimi poszedł cały strumień w twarz Andrzeja Gila.

– Coś ty zrobił? – zapytał porucznik Enka.

Tuta przymknął oczy.

– Tak długo był w zamknięciu... Tyle lat. Biedna istota, myślałem – wykrztusił, nos mu już się wydłużył, oddech stał się płytki – co teraz ze mną będzie?

Ułożyli Tutę na podłodze, Enka bezceremonialnie zerwał dwie flagi zwisające z sufitu, zmiął je i włożył mu pod głowę. Tucie nie polepszyło się od takiego traktowania. Krew wypływała nawet z porów na przedramionach i policzkach, jakby nie mogła już zmieścić się w ciele. Oczy patrzyły już w świat, którego istnienia Tuta nawet nie przeczuwał.

– Czy chcesz się wyspowiadać? – zapytał Andrzej Gil. Tuta załkał na te słowa, rozchylił wargi, wyciągnął upapraną dłoń, dotknął twarzy Gila, przejechał po koszuli, szarpnął, chwycił i tak znieruchomiał, rozchylając wargi i z oczami, które w ostatniej chwili widziały tylko krew. Ksiądz doktor zamknął mu oczy i spróbował rozprostować stygnące palce uczipione do swojej koszuli. To nie koszulę chwycił konający Tuta, ale łańcuszek z medalikiem świętego Benedykta. Gil wyłuskał go z martwiejących dłoni.

– Zabierzcie go – rzekł porucznik Enka. Rozejrzał się trwoźnie, żarówki znów przyciemniały na moment, a grzmot, silniejszy od pozostałych, jakoś nie chciał się skończyć, brzmiał w ścianach, jakby przetaczał się przez szpitalne mury, a cegły budynku jak zęby Lipińskiego szczękały o siebie. Enka z Gilem popatrzyli po sobie, już wiedzieli – wiedział też Starzec, który śledził szklanymi oczyma ruch niewidoczny dla innych, sapnął i pokręcił głową na znak zrezygnowania.

Zagrzmiało, nie przez burzę, to ściana za plecami komitetu wyleciała w powietrze, bez ognia, za to w straszliwym huku. Ostatnie, co widzieli Enka z Gilem, był walący się stół, Krukowiecki rzucający się szczupakiem do przodu, Lipiński skulony na podłodze, ludzie rozpierzchający się na boki. Wszystko przepadło w pyle, cienie niczym duchy przesuwały się powoli w kierunku wyjścia zbite w grupy. Kilka żarówek pękło, flagi i twarze były teraz szare i tylko jeden Starzec pozostał nieruchomy. Reszta szła, czołgała się lub pełzła przez gruz, rzucając spojrzenia za siebie. Pył jął opadać. Z dziury wielkości małego samochodu wyłonił się nefilim.

Nie miał już kajdan na rękach i nic nie zasłaniało nadgarstków, rozoranych praktycznie do kości. Szedł niezdarnie na zgiętych kolanach, chwytając się ścian i mebli. Dłonie miał wielkie jak talerze, z których jedli Kotlety Wolności. Gdyby stanął prosto, uderzyłby łysym łbem o sufit. Chybocząc się, kołysząc głową, ruszył w stronę środka stołówki. Pył wirował w górę przy każdym kroku.

Pacjenci ramię w ramię z personelem wycofywali się niezdarnie, ale im bliżej byli wyjścia, tym bardziej zwalniali, a żaden nie przekroczył progu. Patrzyli. Jeden Starzec został na swoim miejscu – cały szary od tynku, odwrócił obojętną twarz w kierunku nefilima. Dłonie złączył ze sobą, pocierał kciukiem o kciuk. Opuścił wzrok w chwili, gdy olbrzym utkwiał w nim swoje spojrzenie. Starzec cofnął się o krok, zgarbił się, od takiego

wzroku może przecież pęknąć serce, a nefilim był tuż-tuż, zarzucił mu rękę na ramiona. Dzięki temu nie upadł.

Ksiądz doktor szarpnął Enkę, nic tu po nich.

Starzec zacharczał. Syn anioła i człowieka zaczął śpiewać.

Wyszedł od mruknięcia, niby to gwizdu przez bieluchne zęby, nagle szczeka poszła mu w dół i nefilim zawył – nieliczni stojący na linii dźwięku rozpierzchli się na boki i tylko Starzec nie mógł się uwolnić, nawet nie próbował. Krzyk wciąż narastał, brzmiały w nim trąby wojenne, jęki mordowanych, dzwony kościelne i gong na sabat, rozpruwane ciała i gniecione czaszki, grzmot dział, skwierczenie palonej skóry, płacze i zawodzenia więźniów wszystkich czasów, stopione, zbite niehumanitarną siłą w jeden straszliwy dźwięk. Starzec próbował zatkać uszy, na próżno, najpierw koszula pod pachami nasiąkała mu krwią, owalna plama pojawiła się w pachwinach, strużki pociekły do stóp, kaszlnął, strumień poszedł ustami i w okamgnieniu już nie było Starca – buchnęło mu z uszu i nosa, oczy pękły – tylko trup w ramionach nefilima.

Ten wciąż ryczał, można by pomyśleć, że jego płucom nie trzeba powietrza, aż ciało Starca, na którym się opierał, zwiotczało i nefilim runął na nie i na gruz. Zamilkł ze zdziwienia. Potrząsnął łbem, przetoczył się na plecy i potężnym kopniakiem posłał ścierwo Starca w przeciwny róg sali. Zmrużył oczy. Rozpoznał Enkę i Gila. Otworzył usta.

Teraz będzie śpiewał dla niech.

– Spieeeeeerdalać! – wrzasnął porucznik Enka, chwycił zbaraniałego księdza i pociągnął korytarzem. Nigdy wcześniej ani później nie zyskał takiego posłuchu: wariaci i pielęgniarki, lekarze z kucharkami, członkowie komitetu i niezrzeszeni walili przez drzwi, potykając się o siebie, depcząc, a jeden nieszczęsny i niezbyt przytomny szaleniec wybił szybę własną głową i usiłował przepchać się przez kraty.



– Spieeeeeerdalać! – zawył jeszcze Enka, już na końcu korytarza, ciągnąc bezwładnego, a przecież przytomnego Gila. Za nimi sadył spanikowany tłum, gdzieś przez hałas przebijała się burza i wrzaski przerażonych, zamkniętych pielęgniarzy. Za późno, pomyślał jeszcze Enka, mogę już tylko biec. Biegł więc i nie zwalniał, szarpał księdzem, aż ten osunął się na kolana i wywrócił białkami półprzytomnych oczu. Za późno – Enka zawrócił ku niemu i wtedy zalał ich tłum obłąkańców. Ostatnim, co widział, była bielusiańska twarz i ręka sięgająca po zakrwawiony medalik. W tle brzmiało zawodzenie nefilima. Ktoś z tyłu runął i zawirował na podłodze, twarz mu się wgniotła, jakby nadepnięta, strzępy kości ułożyły się w rozgwiazdę.

Enka, odepchnięty, nie zdołał zawrócić, więc pognął ile sił ku wyjściu. Kątem oka dostrzegł, że Gil się pozbierał i na chwiejnych nogach sunie w bok do izolatek pielęgniarzy. Darł się, żeby sobie odpuścić, bo chrześcijańska posługa posługą chrześcijańską, ale jeszcze moment i wszyscy polecą do nieba wraz z całym Szpitalem Przemienienia. Gil nie słyszał albo zignorował. Właśnie skręcał, wbrew tłumowi, gdy nogi podciął mu jeden z tych, których zamierzał uwolnić. Pielęgniarz leciał jednak na oślep, wpadł w tłum i runął na ziemię. Próbował powstać, podnieść się, jak przy robieniu pompek, ale tyłu po nim przebiegło, że nie zdołał.

– Chodź! Chodź! – ryczał porucznik Enka.

Gil pobiegł, właściwie pognął. Wariaci go wyprzedzili, za sobą słyszał tylko jęki i monotony ryk nefilima. Natomiast Enka gnał, sadząc wielkie susy, w biegu już wyszarpnął spluwę i wymachując nią jak pałką, zaczął wrzeszczeć do strażnika przy bramie, żeby otworzył. Strażnik nawet nie drgnął. Stał ze skrzyżowanymi ramionami, pałkę przełożył przez rozdartą dziurkę od guzika i udawał, że pidzama to mundur. Pokręcił głową.

Być może po prostu nie rozpoznał Enki, jego funkcji lub wziął go za szaleńca. Porucznik Enka zdarł więc z ramienia opaskę, naciągnął na pięść i

ryknął, pokazując kim jest i że trzeba go słuchać. Strażnik otworzył szeroko oczy i w tej samej chwili zza rogu wybiegł przerażony tłum. Strażnik aż pisnął, dopadł drzwi, Enka wyleciał pierwszy. Lało jak z cebra, przemókł w okamgnieniu. Oddalił się o kilkanaście kroków od wejścia, wymierzył w drzwi.

Ludzie rozpierzchali się na boki, byle szybciej, między drzewa. Były personel wyraźnie wyprzedził niedawnych podopiecznych – dwóch ocalałych pielęgniarzy pędziło co siłą, a gdy jeden pośliznął się na mokrej ziemi, drugi go podtrzymał. Zaraz za nimi gnali lekarze, równym, niemal medycznym rytmem – jeśli nie liczyć jednego, który próbował utrzymać tempo, jednocześnie zatykając uszy. Zaraz za schodami rozpierzchli się w różnych kierunkach. Dwóch najmłodszych pognało drogą, smagani deszczem, płascy jak cienie na kliszy.

Pielęgniarki pędziły już z pacjentami, zbite w kupie, rozwrzeszczały się dopiero na zewnątrz, machając rękami, jakby ryk nefilima był złym ptakiem, którego można odpędzić. Któraś dostrzegła Enkę, jak mierzy z pistoletu, opierając jedną rękę na drugiej i wrzasnęła, że oszalał, będzie strzelać. Wpadły w pisk, a gdy Enka dał znać ręką, że nie planuje nic złego, było już za późno. Rozbiegły się, jedna padła twarzą do ziemi i zatkała sobie uszy.

Szaleńcy natomiast rozpoznawali Enkę w ostatnim momencie, gdy już mieli się z nim zderzyć. Każdy biegł inaczej – w podskokach, kłusem, jak sprinter przesadzający niewidzialne płotki, złodziej zwiewający z łupem, wreszcie, najsłuszniej, czyli jak owładnięty strachem wariat, machając rękami, wrzeszcząc, sadząc wielkie susy. Znikali szybko za ścianą deszczu, a Enka nie znalazł sposobu, aby ich zatrzymać. W blasku błyskawicy zobaczył ich raz jeszcze, ginących w ciemności, między drzewami.

Ksiądz Andrzej Gil wybiegł jako jeden z ostatnich, chwycił Enkę za ramię i zaczął ciągnąć z powrotem do budynku. Pokazywał na drzwi, ale nie umiał

wykrztusić ani słowa.

– Co z nim? Co tam się dzieje?!

Gil odgarnął włosy, lepiące się do czoła. Złapał oddech.

– Ludzie... Ludzie zostali... – Spojrzał za siebie i nagle stracił siły, opadł na kolana, zupełnie wiotki, aż dziw, że nie poleciał z wiatrem. Lało jak z cebra, więc Enka nie widział łez.

– Niszczy ściany – powiedział Gil. – Niszczy, wyje. – Spojrzał na pistolet, wymierzony w drzwi. Podniósł się, nie bez pomocy ramienia Enki. W szpitalu zgasły światła. Coś trzasnęło. Ryk nefilima przeszedł w przeciągłe zawodzenie. Gil wrzasnął na Enkę, by ten zwiewał, akurat rozbłysło i dostrzegł zaciętą, poważną twarz porucznika. Grzmot zagłuszył odpowiedź.

Ryk brzmiał już bliżej, Gil przycisnął ręce do uszu, a Enką tylko wstrząsnął dreszcz, wykrzywił się i wciąż celował. Przyklęknął na jedno kolano, zaciskał usta, które raptem otworzył ze zdziwienia – w oknach szpitala błysnął ogień i zaraz poszły szyby, szpital zatrzęsł się od wybuchu, część dachu wystrzeliła w górę, błysnął pomarańczowy język i fasada od strony ogrodu runęła pod własnym ciężarem.

Płomień błyskawicznie strzelił z okien na piętrze, objął ocalały dach, błysnął w drzwiach, syczał w deszczu, a ryk nefilima przybrał inny, wściekły ton. Wewnątrz runęła kolejna ściana, wrzasnął człowiek i ocalała część dachu, tam gdzie znajdowały się izolatki, runęła z trzaskiem. Ogień objął ją momentalnie, już pełzył w stronę kościoła, drzewa w ogrodzie także się zajęły. Ostatni głośny trzask doszedł z drugiej strony budynku i ryk nefilima zaczął się oddalać. Jeszcze chwila i ucichł zupełnie.

Ogień objął już cały szpital, wystrzelił w niebo, najwyraźniej nic nie robiąc sobie z ulewy. Coś jeszcze strzeliło w piwnicy, jakby olbrzym klasnął w dłonie i przez środek budynku przemknął biały ognisty podmuch. Mignął jakiś cień, człowiek albo duch. Porucznik Enka opuścił broń. Bardzo powoli.

A potem upuścił na ziemię.

Za ich plecami zajechały nyski policyjne, wysypali się funkcjonariusze. Przekrzykiwali burzę – na ziemię, na ziemię, ręce na głowę! Słyszeli te słowa, słyszeli też kroki, dobiegające przecież z zupełnie innego miejsca, nie stąd, bo i jak? Tu był tylko ogień i krzyk. Wreszcie, niesłychanie powoli, Gil i Enka unieśli ręce, ale nie umieli oderwać wzroku od płonącego po raz ostatni już Szpitala Przemienienia Pańskiego. Pacjenci uciekli, gdzieś przez las biegł syn anielski.

– O kurwa – rzekł porucznik Enka.

– O ja pierdolę – wyrwało się księdzu.

## Ptaki (III)

*Ptak, Który Dziobie odrywa z drzewa ciemny owoc, obraca w dziobie i dobiera się przez łupinkę do smacznej zawartości. Ptak, Który Patrzy czyści pióra i jedno, wirując, opadło na ciemniejszą ziemię.*

- Zostali sami – Ptak, Który Dziobie połyka ziarenko.*
- Przecież zawsze byli sami. Najwyżej zdawało im się coś innego.*
- Co teraz?*
- Już wiesz.*

*Ptak, Który Dziobie przekrzywia główkę:*

- Czy będzie tak jak zwykle? Że Bóg lubi trójcę?*

*Ptak, Który Patrzy wybucha perlistym śmiechem.*

- Och tak! Bóg lubi trójcę i Ten Drugi też!*

*I ptasi śmiech gna w świat, wywraca chmury, uderza o słońce i perli się pod gwiazdami.*

# Rozdział dziewiąty

## Warszawa wzięta!

Słońce świeciło nad Kazimierzem, rozjaśniając brukowany rynecek, po którym jak wielobarwne mrówki rozpełzli się turyści, padało na szpiczaste czerwone dachy, zaglądało w okna galerii, zerkąło do knajp, czy tam przypadkiem nie ma czegoś ciekawego, odbijało się we flaszkach na wystawie sklepu monopolowego i pociemniało okulary fotochromy, a jego blask odejmował pobliskiej Wiśle odrobinę brudu. Środkiem szerokiej rzeki sunęła drewniana barka, woda pieniała się wokół burty, a na pokładzie w równych rzędach stały leżaki. Był też barek i wydzielona przestrzeń, gdzie dzieci mogły biegać do woli, pluć w toń i zrzucić papierowe statki. Na piaszczystym brzegu prężyły się czterdziestoletnie ciała architektów, lekarzy i ekonomistów, ich pocięchy grały w kometkę albo próbowały płoszyć mewy, drepczące między ludźmi w poszukiwaniu pożywienia.

Domki jakby nachylały się do ryneczku, ale wąskie uliczki zbiegały się w kierunku zieloniuchnego wzniesienia, by tam się skurczyć, zrzucić betonową wylinkę i wić się dalej, już w kamieniach i ziemi. Po obu stronach drogi rosły drzewa, tym większe i rzadsze, im bliżej szczytu. Nad nimi śmigały ptaki, trawę przecinał piasek, a na samej łysej czapie wzniesienia stały trzy ogromne krzyże. Jeden, środkowy, był większy od towarzyszy i to właśnie pod nim były porucznik Zbigniew Enka konał od kaca, upału i wściekłości.

Leżeli na grubym kocu, Enka miał na sobie gimnastyczne spodenki adidasa, sandały i obcisłą koszulkę na ramiączkach. Włosy porastały mu ramiona aż po dłonie, gęsto, jakby zdarte z małpiego brzucha. Pod nimi grały mięśnie, a po kulistym bicepsie błędził maleńki palec pielęgniarki Ewy.

Owijając wokół porucznika szczupłe ciało, jej blade kolano wspinało się to na brzuch, to na udo, a druga ręka raz za razem zniknęła pod przepoconą koszulką. Nie sposób było stwierdzić, co porucznik Enka o tym sądził, nic bowiem nie mówił. Oczy zasłaniały mu okulary, dokładnie takie, jakie nosił Sylwester Stallone, upodabniające swojego właściciela do gigantycznej, owłosionej muchy.

– Skarbie? Co skarb? – pytała Ewa.

Wokoło spacerowali ludzie. Nie chcąc przerywać idylli, rozrywali sznur wycieczkowy na kształt litery V. Starsze panie cmokały z niezadowolenia, staruszkowie sapali i klęli na bezbożność (*niech korzysta, póki może, Chrystus Sprawiedliwy skurwysyński łeb z ramion straci*), rodzice puszczali dzieci przodem, dziewczyny łypały w kierunku Enki zalotnie lub zadzierały nosy, że nic ich takie włochate cudeńka nie interesują. Niektórzy mężczyźni puszczali oko.

– No, skarbie... – szeptała Ewa.

A skarb wzdychał tylko, obserwował gęstniejący tłum i zaczynał rozumieć, że niedługo będzie tu tak tłoczno jak na molo w Sopocie. Ręka Ewy znów zniknęła pod koszulką, palec zatoczył kółko wokół pępka. Z piersi Enki dobyło się westchnienie, tak mógłby jęknąć skazaniec zakopany po szyję w piasku, po raz ostatni uwalniając powietrze z płuc. Uniósł się na łokciach i sięgnął po wyplatany koszyk piknikowy. Spomiędzy bułeczek, soczków w kartonach i ciastek, jak królowa życia na morzu miernoty, sterczała flacha koniaku. Enka dotknął jej, lecz nie ruszył.

– Chodźmy lepiej – usiadł – za chwilę nas tutaj zdeptają.

Mina Ewy świadczyła, że w towarzystwie Enki mogłaby nawet zostać zdeptana. Dziewczyna wtuliła się w niego. Odsunął ją łagodnie, pomógł wstać. Złożyli koc, Enka machinalnie wepchał go sobie pod pachę i ruszył w dół do miasta, ocienioną ścieżką, z nosem wbitym w ziemię. Nie widział

drzew, którym cień ów zawdzięczał, intensywnego błękitu nieba, a Ewę dostrzegł dopiero po chwili. Szła za nim, targając koszyk.

Zatrzymał się, otarł czoło, machinalnie zdjął okulary. Łuk brwiowy miał napuchnięty, pod oczyma dwie dojrzałe śliwy, nic tylko zrywać i jeść, a wprawne oko dostrzegłoby, że wargą niedawno jeszcze była pęknięta. Opuchlizna prawie zeszała, nie na tyle jednak, by Enka mógł się uśmiechnąć.

– Chodź – powiedział. – Może już obiad podali.

– Za wcześnie.

Wzruszył ramionami. Ewa wzięła go za rękę.

– Wiem, że za wcześnie. Ale może już jest – mruknął. Okulary wylądowały na nosie i poszli w dół między turystami. Ewa już się nie tuliła, tylko mocno ścisnęła jego dłoń, patrzyła na niego, on w przestrzeń.

Skęcili w lewo i poszli kamienistą drogą ostro pod górę, otoczeni przez wysoką trawę, rzadkie drzewa i murowane domki. Akurat ten, w którym znaleźli pokój, zrobiono z drewna polakierowanego na ciemny brąz. Słońce odbijało się w oknach oszklonej werandy, na ławeczkach przed budynkiem grzało się starsze małżeństwo i Enka uświadomił sobie, że on także się zestarzeje. Dziwne, bo o takich rzeczach nie myślał wcześniej.

Aby dostać się do domku, musieli obejść go naokoło, więc wybrał drogę prostszą – bez wysiłku uniósł Ewę, przełożył przez siatkę (jak piszczała!), podał jej koszyk z kocem, wybił się i zaraz sam był po drugiej stronie. Oko staruszka błysnęło z podziwu i zazdrości, pewno myślał: Młody, silny facet... Ciekawe czy często przyjeżdża tu z takimi?

Pokój mieli na piętrze – weszli przez werandę, mijając stoliki nakryte już do posiłku, przy których nikt nie siedział, jak na widmowym okręcie i dalej do sali telewizyjnej, gdzie para nastolatków: rudowłosa dziewczyna ścięta na krótko i krępy młodzieniec z nochałem jak wygotowany burak kiepowali tanie papierosy do butelki po jabczoku. Dokładnie nad głową dziewczęcia



wisiał ręcznie wykonany napis: OBIEKT DREWNIANY. PALENIE SUROWO WZBRONIONE. Pomachali sobie.

Wędrując po schodach, zderzyli się z pulchną kobieciną w podomce w groszki. Wyszczrzyła się szeroko, pozdrawiając miłych narzeczonych, ale nim Enka przekręcił klucz w zamku, z dołu dobiegły wrzaski i tupot. Kobieta krzyczała o nakazach i zakazach, chłopak darł się, że przecież zapłacił, a teraz co, nie wolno nawet palić w spokoju, u niego w szkole nawet w kiblach można kurzyć, a wino, jak wino, babuśka ma lepsze, babuśka przyniesie. Enka zamknął za sobą i pomyślał, że nigdy nie pozna końca tej historii – babuśka zmięknie czy wywali młodych na zbity pysk? Tak to bywa, niektóre opowieści urywają się w połowie i nigdy nie poznajemy zakończenia.

Ściany pokrywała tandetna boazeria, wisiała też kolorowa podobizna blondwłosego Chrystusa, który, gdy spojrzeć pod odpowiednim kątem, otwierał oczy. Być może dlatego właśnie przepchali dwa łóżka pod okno, gdzie wzrok Zbawiciela nie sięgał. Enka uwolnił się od Ewy i opadł na taboret. Dziewczyna chwyciła go za rękę i pociągnęła w stronę kabiny prysznicowej.

– Skarbie, chodź... Skarb pójdzie?

Enka zaprzeczył ruchem głowy. Tylko westchnęła, zabrała ręcznik z parapetu.. Przycisnęła sobie jego dłoń do policzka.

– Nie zadreńczaj się. Proszę. Będzie dobrze, zobaczysz, a jak nie będzie, to po co zamartwiasz się już teraz?

Westchnął. Próbował nie patrzeć w jej oczy.

– Zbyszek, to przecież nie koniec świata. Przecież nic ci nie zrobią, jak dotąd nie zrobili. Takie rzeczy się dzieją. Wrócisz do pracy. Zobaczysz, jak nie teraz, to kiedyś. Za dwa lata może?

– Myślę, że milicja jakoś poradzi sobie beze mnie.

Rozpromieniła się. Ucałowała go w czoło.

– E tam! A skąd! Ja ci to mówię. No chodź...

Nie drgnął, ale odwzajemnił pocałunek. Odsunęła się łagodnie, z żalem, ale i zrozumieniem.

– Nie bój się, Zbyszek. Zobaczysz, nic ci nie zrobią. Jakby co, to rzucę wszystko i pojedę z tobą, jak mówiłeś. Do Czechosłowacji i dalej, Austrii. Jeszcze dalej. Gdzie będziesz chciał. Na inną planetę polecę – zawróciła, cmoknęła go jeszcze w oba policzki i zniknęła w łazience. Enką zatrzepało, jakby nagle kości mu się pokruszyły albo mięśnie zmieniły się w papier. Tkwił chwilę nieruchomo oparty o ścianę, aż jego wzrok spoczął na butelczynie wciąż sterczącej z koszyka. Bo i gdzie miała pójść? Powitał ją jak dawno niewidzianego kumpla: porwał niecierpliwie, sięgnął po szklankę i zaraz zmienił zdanie. Przyssał się do szyjki. Ledwo pociągnął pierwszy łyk, zabrzmiało pukanie i Enka się zakrztusiła. Diabli nadali.

Wrzasnął, że już idzie, schował butelkę i otworzył drzwi. Na progu stał facet z karteluszkim w ręce. Nosił sprane markowe jeansy i koszulę w kwiaty. Włosy miał ułożone na brylantynie, tak że opadały na kark w sztywnych strąkach. Usta wydawały się stworzone do kieliszka, policzki znaczyły blizny i bruzdy, syrenka na przedramieniu kusiła niebieskim konturem biustu. Skóra wisiała na małych mocnych mięśniach.

– Dzień dobry – mruknął, wysunął karteczkę. – Mam to dać szanownemu panu porucznikowi.

Chciał czmychnąć. Enka, który informowanie, że nie jest już szanownym panem porucznikiem uznał za zbędne, wciągnął go do środka. Drzwi trzasnęły. Karteluszek w dłoni mężczyzny zaczął trzepotać.

– Co to jest? – zapytał Enka.

– Sam sobie zobacz. Nie gryzie – warknął tamten. Próbował zachować spokój, ale tylko zezował do wyjścia, jak by tu prysnąć. Enka przejął kartkę, rozłożył, obrócił jeszcze, jakby w poszukiwaniu tajemnego pisma. Cisnął ją

precz koło koszyka z butelczyną. Pchnął posłańca, niezbyt mocno, dość, by dać do zrozumienia, że z żartami to nie tutaj.

– Powiedziała, że właśnie tak zrobisz – mruknął tamten. – Ale obiecała, że w mordę nie dostanę.

Enka już się zamierzył.

– Kto powiedział?

Szum wody w łazience ucichł.

– Skarbuś? Skarbuś? Ktoś jest u nas? – wołała Ewa. Enka położył palec na ustach. Ani słowa, mówię. Mrukniesz, a zabiję.

– Facet z dołu, pyta, czy u nas nie cieknie! – odkrzyknął, z łazienki dobiegło mruknięcie i woda popłynęła. – Jaka znów ona? Co to za bzdura? – dopytywał Enka. Zmrużył oczy. Wydawało mu się, że gdzieś już widział ten dziobaty pysk.

– Znam cię? – zapytał.

– No jasne – fuknął tamten i zaraz się roześmiał – poznaliśmy się jakiś czas temu, na krótko, ale zapamiętałem. Dwa lata chcieli mi wlepić za tę naszą znajomość, wybronilem się, a co. Grzędziok Mariusz jestem, ale wołają na mnie Słoniątko – przedstawił się, lecz ręce trzymał z tyłu.

– Słoniątko – powtórzył Enka. – Powiedz mi, jakim cudem cię tu wpuścili?

– Drzwi otwarte, to wszedłem, a teraz to bym poszedł. – Słoniątko wskazał na klamkę. – Mogę?

Enka podniósł zmiętą kartkę, rozprostował.

– Powiedziała, że cię tu znajdę – oświadczył Słoniątko. – I że dasz mi tysiąc złotych, boś porządny człowiek.

– Pięćset starczy – Enka, był zbyt skołowany, by odmówić. – Do jasnej cholery, skąd to stare pudło wie takie rzeczy? Masz, masz – wpakował mu banknot w łapę – nie pokazuj się tu więcej. Żeby cię narzeczona nie widziała.

– He! Narzeczona! He! – Słoniątko porwał banknot jak diabeł dobrą duszę, uśmiechnął się szeroko, odsłaniając przegniłe czwórki i już był na zewnątrz, zeskakując po schodach. – Narzeczona! Narzeczona!

– Ej! – krzyknął za nim Enka. Wypadł na korytarz. Mówił, przechylony przez poręcz: – Ja rozumiem, że ona, Królowa, widuje mnie tam czy siam, ale czemu ty pojechałeś, za pięćsetkę?

Słoniątko znieruchomiał, można by pomyśleć, że wyrznął głową w niewidzialną ścianę. Zawrócił i stanął na schodach naprzeciwko Zbigniewa Enki. Dzielili ich tylko balustrada, Enka przykucnął. Z bliska Słoniątko cuchnął wódką, papierosami i wodą toaletową, nie sposób jednak stwierdzić, oblewał się nią czy pił.

– Wiesz, co w życiu najważniejsze? Szczęście, bo cóż innego – mówił. – Ja miałem wiele razy dużo szczęścia, a raz nawet bardzo wiele. I schowałem to szczęście, po pijaku, a potem mnie zamknęli. Pytali, gdzie schowałeś szczęście, gdzie je masz, skurwysynu, trzask w pysk, a ja mówię, że nie wiem i nie kłamię. Taki byłem urżnięty, że zapomniałem. Pod celą chcieli wiedzieć, co z tym szczęściem, gdzie i jakie duże, to odpowiadałem. Ogromne, ale nie wiem gdzie. Jak wyszedłem, szukałem i nie mogłem znaleźć. Więc proszę, Królowo, pomóż mi znaleźć, a podzielę się z tobą moim szczęściem. Tak mi opowiedziała: każdy ma swoje szczęście i nie chcę twojego. Ale jak cię poproszę, zrobisz coś dla mnie. Długo czekała, ale poprosiła. I jestem! – wygrzebał sporta wprost z kieszeni koszuli. Papieros był zmięty i płaski, jak kartka złożona na czworo. Ugniótł tytoń i zapalił.

– I wiesz, co najlepsze – wymierzył w Enkę brudny paluch – nikomu nie jestem już nic winien! Już nic!

Zbiegł po schodach. Przez okno były porucznik Enka i najnieszczęśliwszy ze wszystkich byłych milicjantów w całym Kazimierzu widział, jak Słoniątko, wbrew swemu przezwisku, pędzi drogą, podskakując, ścigając się

z wiatrem, jak dziecko albo szaleniec. Enka zebrał myśli i butelkę z ziemi, tym razem pił długo, aż alkohol podszedł z powrotem do gardła. Z bocznej kieszeni plecaka wygrzebał notes, wyrwał zeń kartkę i coś nagryzmolił.

– Piotruś! – zawołał przez okno. – Pijoooootruuusiu!

Zszedł i przed werandą zderzył się z rzeczonym Piotrkiem, synem gospodyni, który miał nos śmiesznie zadarty i kanciastą głowę. Kiwał nią nieustannie na znak, że zgadza się ze wszystkim, co dzieje się na świecie.

– Masz chwilę, Piotrek? – Enka nie czekał na odpowiedź. – Ślij telegram do Krakowa. Najszybciej jak może być. Najlepiej na jutro, jak tylko dasz radę. Tu – podał mu drugą pięćsetkę – jeszcze trochę. Kup sobie coś. Piwo. Albo lody – miał wrażenie, że twarz zaraz odklei mu się od kości – kup sobie, już co tam chcesz.

Wrócił na górę i czekał z butelką między nogami, aż Ewa wyjdzie spod prysznic. Ewa uwielbiała prysznic, więc gdy wreszcie wysunęła się spod niego naga z płaskim brzuszkiem i prawie że nastoletnimi stożkami piersi, zastała flaszkę w połowie pustą, a Enkę całkiem pijanego.

– Skarbuś? Może skarbuś się położy?

– Skarbuś – westchnął Enka – Skarbuś będzie pił. Jutro wracamy. I cześć. Zaraz rano.

Wstał. Pogładził ją kciukiem po brodzie, jakoś wbrew sobie, z ogromnym wysiłkiem.

– Jeszcze będzie dobrze. Jeszcze będzie normalnie – powiedział i oklapł znowu. Ewa już nic nie powiedziała, tylko przycisnęła się do niego, tak jak umieją robić to tylko młode dziewczyny i która to zdolność wygasa gdzieś między obroną, pierwszą pracą a macierzyństwem. Gładziła go po plecach, brzuchu i piersiach, popijała z gwinta i nie rozumiała, choć chciała zrozumieć, czemu jej Zbyszek wciąż gapi się na zmiętą ulotkę wyborczą. Widniał na niej budynek sejmowy, nad którym łopotała biało-czerwona flaga.

Powyżej biały orzeł wzbijał się ku niebu, zaciskając szpony na czarnej wronie w ciemnych okularach. Solidarnościowe litery składały się na napis: WARSZAWA WZIĘTA!

### § § §

Książd Andrzej Gil szedł w stronę peronów, ale myślami znajdował się gdzie indziej i gdyby nie torba podróżna, oderwałyby się od ziemi, pod niebo wspomnień i wyrzutów sumienia. Właśnie, torba, ostatnio widywał ją częściej niż własny dom. Zawsze trzymał ją spakowaną, na wypadek gdyby znów musiał gdzieś pojechać – choć, gdy go zamknęli, przysięgał sobie, że przez rok nie wystawi nosa za Kraków.

Przystanął przy taksówkach, odetchnął i otarł czoło. Kierowca w zielonym polonezie, łysy facet z ogromnym orlim nosem patrzył na niego z odrobiną nadziei, a książd Gil nagle zrozumiał, że przestaje rozróżniać ludzi: zanika wzrost i płeć, młodość miesza się ze starością, a wszystkie barwy zlewają się w jedną mętną zupę. Dwie pękate kobiety rozdawały kserowane ulotki. Jedna wepchała mu ulotkę w rękę, skłoniła się i błysnęła okiem szelmowsko i lubieżnie.

Wycofała się w kierunku dworcowego budynku. Tam stały jeszcze cztery, skupione wokół flagi na trzymetrowym kiju. Wiał lekki wiatr, ale ta w ogóle nie chciała łopotać, wisiała tylko smętnie, nawet kiedy nią wymachiwano. Gil przyjrzał się ulotce – robiona na lettrasetach, czarno-biała i poszarzała na brzegach, głosiła konieczność przeniesienia stolicy Polski do Piotrkowa Trybunalskiego.

Do kobiet skupionych wokół zdechłego sztandaru dołączył krzepki facet o twarzy tak czerwonej, jakby właśnie wyciągnął ją z piekarnika. Wyprostował się, z tylnej kieszeni wydobył karteluszek złożony na czworo i zaczął recytować mocnym głosem:

---

*A na drzewach zamiast liści Będę wisieć komuniści Zdupcą stąd szybko  
jak przyszli Tako rzecze Rafał Rzyszczuk.*

---

Ludzie odwracali głowy.

Między podróżnymi krokiem paradnym spacerowała chudzinka płci męskiej odziana w szary prochowiec, do którego przyczepione były dziesiątki najróżniejszych pocztówek: z koźmi, widoczkami, smokiem wawelskim i Sukiennicami. Interes się kręcił, co rusz ktoś podchodził, wybierał sobie, a chudzina wydobywał właściwą kartkę z torby przewieszanej na ramieniu.

Gil pociągnął za sobą bagaż i po chwili znalazł się w chłodnej i cuchnącej przestrzeni dworcowego budynku. Z kilkudziesięciu kas w dwóch rzędach działały cztery, przy których kłębił się nerwowy tłum. W takich czasach nie sposób się nie spieszyć, pomyślał Gil, zadowolony, że bilet ma już w kieszeni, nie sposób też nie handlować. Po kątach stały pstrokate stragany, odcinające się wyraźnie od brudnego beżu ścian. Sprzedawano tam wszystko: notesy i kalendarze, pończochy, kasety, książki w błyszczących okładkach, tak różne od toaletowych woluminów zapełniających do niedawna księgarnie, dalej kosmetyki, czekolady, soki z Niemiec w kartonach, trójkątne wafelki z Turcji, tandetne zabawki wzorowane na tych cudownych ludzikach, które dzieciaki do niedawna mogły polizać przez szybę Peweksu.

Wciąż wisiły wyborcze plakaty, te solidarnościowe już wyblakły i się połuszczyły, za to partyjne zdołały ocalić dla siebie odrobinę świeżości. Gil pomyślał, że jeszcze niedawno mówiono tylko o wyborach, a teraz nic, wydarzenia biegną sobie dalej, ktoś pojechał, ktoś został, a prawda jest gdzieś indziej, poza sojuszami i wojnami, które brzmiały w radiu i telewizji. Sprawa energii, sił ponad światem, o ludziach, lecz nie dla nich. Wiedział to.

– Piwo jasne! Piwo jasne! – tak wołał drobnituteński człowiek z plecakiem większym od siebie. Zaraz go opadli, trzech młodych ludzi już zebrało pieniądze, a on zrzucił plecak jednym sprawnym ruchem i wydobył zeń butelki, dwie, sześć, dwanaście, macie chłopcy, ile tylko chcecie. Odprowadzał ich wzrokiem pełnym wzdargy, tak się patrzy na gównojadów, westchnął i spod jeansowej kurteczki wytargał ciemną flaszkę wina bakarat, oderwał plastikowy korek, pociągnął solidny łyk i zaraz powędrował z uśmiechem na twarzy, pokrzykując: – Piwo jasne! Piiiwooo jaaaasne!

Jego głos zginął w nieznośnym zgrzycie. To Cyganiątko usadowione pod filarem usiłowało oczarować zebranych grą na harmonii dwukrotnie większej od siebie. Nie zdołało lub nie chciało objąć jej ramionami, więc stało i naciskało instrument niczym pompę, wyśpiewując cygańskie pieśni przy zgrzytliwym akompaniamencie. Przed nim leżało kartonowe pudło z drobnymi i karton z koślawymi literami: JESTEM ROMANESCU, NIE MAM OJCA ANI MATKA. DAJ AM. Ciekawe, co Enka powiedziałyby na to wszystko, pomyślał Gil i zaraz zrobiło mu się wstyd na samo wspomnienie przyjaciela.

Gilowi poszło lepiej – wyszedł po czterech dniach, a Enka przesiedział w ulu ponad dwa tygodnie. Gil nie przestał też być księdzem, przynajmniej formalnie, a Karkoszka z niezapomnianym uśmiechem kazał mu siedzieć cicho i trzymać pysk na kłódkę: *wyglupił się ksiądz odrobinę i po co to było? Dobrze, że takie czasy, tylko my teraz naprawdę nic nie możemy, nie przy tych stosunkach z władzą, przy tych przepychankach. Byłoby dobrze dla nas wszystkich, gdyby ksiądz mnie posłuchał i nie mówił mi o sumieniu. Nigdy nie kierowałem się niczym innym.* Sam Karkoszka wyglądał na zdziwionego, że Gil tak łatwo się wywinął – promieniał tylko dobrem jak zwykle i powtarzał, że to powinno skończyć się dużo gorzej.

Jak dla kogo – Enka poleciał boleśniej, jest sprawa dyscyplinarna, zawieszenie, za to już niedługo nie będzie pana porucznika, tylko Zbyszek



Enka, bez legitymacji, spluwy i poloneza. Ale skoro miał stawić się na spotkanie, to znaczy, że również nie spotkało go najgorsze.

Właśnie – Zbigniew Enka. Stał pod tablicą rozkładów jazdy z walizką między nogami, rękami splecionymi z tyłu i piersią wypiętą, jakby w oczekiwaniu na order. Gil ruszył w jego stronę i zwolnił, gdy ich spojrzenia się spotkały. Enka uśmiechnął się blado. Uścisnęli sobie ręce, można by pomyśleć, że lata się nie widzieli.

– Wam, księżom, to dobrze. Nawet w pudle nie umiecie schudnąć – Enka poderwał swoją walizkę i poszli w stronę peronów. Za nimi cygańska harmonia rozzgrzytała się na nowo.

– Za to wy, milicjanci... – zaczął Gil i nagle zorientował się, że choćby przywołał wszystkich świętych i błogosławionych, żaden z nich nie pomoże mu powiedzieć czegoś zabawnego. Próbował się powstrzymać, ale nie przestawał zerkać na sińce pod oczami Enki i świeży szew na uchu: – Zbychu – wykrztusił – ale cię natłuki.

– Transport był, jaki był – rzekł Enka.

Jechali pociągiem, który był jak Polska, wielki, brudny i wesolutki, w pierwszych dwóch wagonach siedziało wojsko, dalej naród rozsypany po przedziałach, korytarzach i łazienkach. Gil z Enką wykosztowali się na pierwszą klasę, dzięki czemu siedzieli sami. Widzieli dworzec zza brudnych szyb, ludzi śmigających pomiędzy peronami, facetów z piwem, zagubione babuleńki, a także faceta w skórzanej kurtce bombce, który natychmiast zakrył twarz „Gazetą Wyborczą”, gdy tylko na niego spojrzeli.

– Cześć pracy! – zawołał Zbigniew Enka.

Rozsiedli się naprzeciw siebie. Ku niezadowoleniu księdza przedział okazał się dla palących – świadczyły o tym nie tylko popielniczki pod oknem, ale i osmalone okrągłe dziurki w tapicerce oraz głębokie rozcięcie w jednym z foteli. W postrzępioną gąbkę wciśnięto kiepy, wypalone zapalki,

rozsypano popiół. Enka zapalił. Strzepywał za okno.

– Jeśli myślisz, że podziękuję ci za tę dziewczynę, to jesteś w dużym błędzie. Co ci do łba strzeliło? Kazimierz?

– Znalazła cię.

Enka sapnął. Jeździł palcem po czubku nosa.

– Przynajmniej ksiądz dobrodziej trochę życia zobaczył – powiedział wreszcie, niby wesoło, ale nie zdobył się na uśmiech. Wydobył buteleczkę i dwa małe srebrne kieliszki. Stuknęli się.

– Zawsze mówię, z Boską opatrnością jest trochę łatwiej. Nie ukrywam, że w pierwszej chwili, myślałem, iż to już koniec. Ja i więzienie?

– Areszt.

– Jeszcze lepiej. Rany Boskie, myślałem, przecież to koniec, doktor habilitowany pod celą? Przecież cię zabijają. Pocieszałem się, że ludzie siedzą całe lata, czasem za niewinność, a każde więzienie jest lepsze od Szpitala Przemienienia. Gdybym wiedział, to bym się zapytał księży, którzy siedzieli.

– Inne czasy, inne więzienie – wtrącił Enka. Napełnił kieliszki. Wódka wydawała się czarna.

– Niekoniecznie, panie poruczniku – rzekł Gil i zrobiło mu się głupio – a w opatrność wierzę. Z pięć lat temu do proboszcza u świętego Józefa w Podgórzu przyszedł facet ochrzcić dziecko. Okazało się, że szczęśliwy ojciec, Kaziu Pustułka, złamał po pijaku rękę wikaremu, mamusia była prostytutką, a do tego chrzestny okazał się znanym rabusiem skarbonek, dość powiedzieć – zamoczył usta w wódce, ale nie wypił – proboszcz kazał mu iść precz i to w prostych słowach. Tatuś mu przywalił, chrzestny poprawił, co tu dużo mówić, ja potem to dziecko ochrzciłem, bez kłopotów i pieniędzy. Kolędy mi na chrzcie śpiewali. Piękna rodzina. A proboszcz z Podgórza to zwyczajny łajdak i dobrze, że oberwał.

Konduktor zagwizdał na peronie i pociąg ruszył, wolno, jakby koła żyły i

czuły ból przy każdym obrocie.

– Moja cela była przepelniona i mogłem spać tylko na takim dziwnym podeście pośrodku. Wszedłem z duszą na ramieniu, a tu Kaziu Pustułka siedzi i oczy na mnie wytrzeszcza. Wiedziałem już, że nic mi stać się nie może. Zresztą więźniowie byli podzieleni, opozycja z WiP, Solidarności Walczącej i złodzieje z drugiej strony. Już mieliśmy iść spać, gdy weszło dwóch mundurowych i zapytali, który to ksiądz doktor dobrodziej.

Pociąg już się rozpędził. Kraków zostawał w tyle, a ludzie siedzieli w oknach i patrzyli na pospieszne wzrokiem pełnym nadziei.

– Proszę, proszę – rzekł Zbigniew Enka.

– Przynieśli mi kawę i kanapki. Dużo kanapek. Powiedziałem, częstujcie się panowie, i już miałem dobrze. Niektórzy nawet spowiadać się chcieli. A potem wzięli mnie w obroty i...

Enka dał znak ręką, by na chwilę zamilkł. Pociąg wyraźnie zwalniał, pospieszny, jak to pospieszny, stawał na podkrakowskiej stacyjce, z której wymiotło wszystko z wyjątkiem kurzu. Gil myślał, że pora nalewać, już sięgał po butelkę, a Enka syknął:

– Mów, mów. Głośno i byle co.

Więc ksiądz doktor rozgadał się na cały głos o tym, jakim na dobrą sprawę porządnym człowiekiem był Kaziu Pustułka, a co mądrzejszy duchowny pojmuje, że skazany nie zawsze znaczy grzeszny, wystarczy znaleźć się w nieodpowiednim czasie i miejscu, ale przecież dla każdego Bóg ma ogrom miłosierdzia, nawet dla tego proboszcza, co dostał po pysku, ale z tym będzie trudniej. Proboszcz, musisz wiedzieć, przegrał w karty odrobinę za dużo i odtąd donosił na ludzi i nawet tajemnicy spowiedzi nie szanował. Stary łajdak, siwy jak gołąbek to i pewno patriota.

Tak opowiadał, a Enka cichutko wstał, wysunął się z przedziału i zniknął w korytarzu. Pociąg akurat stanął. Zabrzmiało nerwowe o *Jezu* stłumione

przez ścianę, ze trzy kłaśnięcia jak na koncercie ludowym, potem wrzask, jeszcze kłaśnięcie i raptem Gil dostrzegł, jak facet w kurtce bombce wylatuje z impetem na peron, przewraca się, że omal karku nie złamie, wstaje ciężko i próbuje wracać. Ujrzał jednak coś, co go powstrzymało, podkulił ogon i, powłócząc nogą, oddalił się w stronę przejścia podziemnego. Wargę miał rozbitą i strzykał krwią.

Pociąg ruszył, a do przedziału wrócił Zbigniew Enka, zadowolony, jakby właśnie potknął się o walizkę z milionem dolarów. Walizki nie miał – buteleczkę owszem.

– No i co tam dalej u księdza się działo? – zapytał.

– Niewiele. Przesłuchiwali mnie kilka razy, ale nic nie zrobili. Powiedziałem prawdę, co działo się w szpitalu, jakie miałem podejrzenia i że ciebie zamknęli. Cały czas uśmiechali się, że przecież wystarczyło zaufać władzy ludowej i wszystko byłoby dobrze. Odpowiadałem: przecież to władza ludowa ich mordowała! I tak w kółko. Raz się bałem, bo jeden z nich miał świeżą ranę na rękę. A zdrowa dłoń go świerzbiła, że aż strach.

– Mogę coś o tym powiedzieć – Enka wszedł mu w słowo. – Ci sami wzięli mnie w obroty. Jak widzisz, nie cackali się raczej. Długopis mu w rękę wbiłem. Widzisz, morda nie szklanka – wskazał na blednącą już śliwę pod okiem – a blizna mu zostanie. I może jeszcze przez nerw przeszło. Zapamięta mnie sukinsyn. I wiesz co? Czasy się zmieniają, zobaczymy, kto pójdzie górą, kto dołem.

Zapalił.

– Ja miałem właściwie luźniej. Bałem się i to miałem powody. Ale do anarchistów mnie wsadzili. I planktonu. Anarchiści byli cicho, plankton rozgoniłem, przenieśli mnie do pojedynczej. Nie wiem, jak to dla mnie się skończy – spróbował się uśmiechnąć – po prostu nie wiem.

– Co będziesz robił? – zapytał Gil, choć czuł, że nie powinien.

– Myślałem, że ty mi powiesz. Albo Królowa. Czy inny twój kumpel wariat. Nie, nie mam pojęcia, Andrzej. Zobaczymy. Co będę robił? – przez twarz przeszedł mu dreszcz. – No, napiję się z tobą, a ty mi powiesz, czemu tam jedziemy.

Gil przymknął oczy. Wbił wzrok w okno. Polska była płaska i słoneczna.

– Może dlatego, że obiecałem? A gdyby nie Królowa, mógłbym ci tylko znicz zapalić. Co możemy jeszcze stracić? – wyjął mu z rąk butelkę, nappełnił kieliszki, aż się przelało. – Myślałem, że wiesz lepiej niż inni, że czasem trzeba ratować ludzi.

### § § §

W połowie drogi pociąg zwolnił i oni też zwolnili. W butelce zostało wódki na trzy palce. Sąsiednie przedziały się zapełniły. Ku zgrozie księdza Gila Zbigniew Enka siedział w samym podkoszulku na ramiączkach, z obitym pyskiem i bosymi stopami wyciągniętymi na przeciwległym siedzeniu. Do tego nieustannie zakładał ręce za głowę, odsłaniając gęste włosy pod pachami, niby skalpy zdarte z dzikusa. Ktokolwiek próbował wsiąść do przedziału, wycofywał się na ten widok. Jeden tylko fan muzyki metalowej – w obcisłych spodniach i jeansowej kamizelce, na której nakreślił magiczne znaki – wybrał ich towarzystwo. Wówczas ksiądz doktor habilitowany wałnął piętnastominutowy wykład o świętym Tomaszu, metalowiec pobielał, a gdy przyszedł kontroler, okazało się, że pasażerowi brakuje biletu na klasę pierwszą czy jakąkolwiek inną i zmuszony jest wsiąść na najbliższej stacji. Gil widział go, jak pomstuje na peronie, spluwa, zaciska pięści i nagle wystawia w ich stronę środkowy palec. Odpowiedział znakiem krzyża. Enka parsknął śmiechem.

– Myślę, że Polska potrzebuje mnie trzeźwego – powiedział. Gil popatrzył na niego zdumiony.

– To ciekawe. Mnie się wydawało, że Polska w ogóle nas nie potrzebuje.

– E tam – Enka się przeciągnął – wreszcie kości mnie nie boją. Co tam właściwie się stało?

– Gdzie?

Przejechał ręką po twarzy. Miał długie zaniedbane paznokcie.

– W szpitalu. Spróbuj, Andrzej, odnaleźć się w tej dziwnej sytuacji, że ty znasz się na diabłach i widziadłach – twarz mu pojaśniała, znać, że wpadł na coś niezwykle, w swoim mniemaniu, zabawnego. – Dla mnie to czarna magia – rzucił. – Widziałem dziwne rzeczy, ale nie wiem co.

Gil zmarszczył brwi.

Pociąg z wolna nabierał tempa. Ceglane ciężkie budynki oddalały się z pewnym dostojeństwem. W oknach siedziały grube baby, wąsaci mężczyźni w koszulkach na ramiączkach z wzrokiem pustym i pozbawionym nadziei jak budżet Polski Ludowej. Poniżej tego szklanego wzroku hasała dzieciarnia. Im szybciej pociąg jechał, tym dzieci wydawały się bardziej jednakie: w ubraniach zbyt małych lub dużych, chińskich trampkach na bosych stopach, wężowe kołtuny włosów opadały na chude karki.

– Wyobraź sobie, że to wszystko to kłamstwo. Ostatnie kilkadziesiąt lat naszej historii nie było tym, czym ci się wydawało. O tym cię nie nauczono. Powstanie Polski Ludowej, kolejne przełomy, nawet, a może zwłaszcza, obecne wybory i pozorna wolność... Nie nabieraj się na to.

– To kto? Sowietów? Jakiej służby?

– Kolejna zasłona. W sylwestra 1941 roku grupa sowieckich agentów oddała Polskę Arymanowi. Nazwij go diabłem albo energią, pal sześć – machnął ręką. – Najważniejsze, żebyś uwierzył. Te same arymaniczne siły stały u podstaw potęgi Związku Radzieckiego, cała wojna z Hitlerem była zmaganiem dwóch mocarstw opanowanych przez Arymana, nieważne, słuchaj, Zbyszek – mówił z przejęciem – pętają nas więzy silniejsze niż

sowieckie wojska, niż cała ta nic niewarta idea równości klasowej. To siła starsza niż chrześcijaństwo, niż Żydzi nawet. Robi mi się zimno na samą myśl o niej.

Myślał, że Enka się roześmieje, jak zwykle w takich sytuacjach albo powie coś głupiego. Nie. Siedział ze ściągniętymi ustami, marszczył brwi, zezując to na Gila, to na własne pazury u stóp, czarne jak sam diabeł.

– Co to takiego, ten Aryman? – włożył camela w usta. – Po czym go poznać? Bo jednak tego nie rozumiem.

– Profesor jest jego sługą. Ambasadorem na Polskę – rzekł Gil. – Jeśli zadałbyś mu to pytanie, odpowiedziałby, że to szczególna, bardzo potężna forma energii, przenikająca materialny świat. Cóż, jestem księdzem i mam inne zdanie, ale nie wiem, jak jest z milicjantami. Czym jest Aryman? Popatrz, to przecież jego stulecie. Czasy totalizmu, wielkich wojen, a przede wszystkim roztopienia jednostki w zbiorowości, po tym go poznasz. Dał Stalinowi władzę nad połową świata, opętał Hitlera, chciał krwi. Aryman nie chce, żebyśmy tu rozmawiali. Mamy giąć karki i o sobie zapomnieć. Nie chce tego pociągu, naszej wódeczki, naszej – zawiesił głos na moment – naszej przyjaźni, tylko kolumn niewolników pod jego biczem – zamknął dłoń na kieliszku. – Czy wyraziłem się dość obrazowo?

– Mniej więcej – mruknął Enka. – W takim razie, co w tym wszystkim robił Lipiński?

– Aryman ma wielkiego przeciwnika i jest nim Chrystus. Ale to nie jedyny wróg. Drugim jest Lucyfer, pierwszy anioł, buntownik, anarchista, król egoizmu i sztuki. Chociaż raczej nie wróg, po prostu, dwie połówki magnesu. Przecież Prokop ci o tym opowiadał...

– Pamiętam głównie wierszyki – zażartował Enka i zaraz dodał, już przejęty. – Nieźle to popieprzone.

Napili się. Gil ustawił kieliszki na blacie przy oknie, tak że stykały się

brzegami. Drżały lekko w rytm kół. A pociąg się rozpędził i gnał, terkocząc i podskakując, aż cud, że nie wypadł z torów. Gnali przez las, brązowe pnie przypominały słupy zwieńczone tylko chaotyczną kupą liści. Gil mógł przysiąc, że widzi parę bosych nóg wystających zza drzewa. Tak, nie powinien patrzeć, bo w lesie dokonywał się grzech. Wiekowy pijaczek leżał sobie oparty o pień cały zadowolony popijał wino z butelki i tarnosił własnego zmarniałego fiutka i w tym ruchu była jakaś godność, spokój i ufność w piękno świata – są bowiem rzeczy, którymi nieodmiennie można się cieszyć. Gil nie zdążył przełknąć śliny, pijak i jego szczęście zostali daleko za nimi.

– Po jednej stronie jest Aryman: depersonalizacja, cielesność. Po drugiej, Lucyfer: skrajny indywidualizm i duchowość. Chrystus przekreśla ten podział i dlatego jest przeciwnikiem dla nich obu. Ale Chrystus to Bóg prawdziwy i cichy, działa rozumnie. Nie przyszedł do Lipińskiego. Lipiński – kontynuował, bawiąc się kieliszkami – oszalał z rozpacz. Skoro Bóg milczał, skoro Bóg nie chciał uratować Polski, zwrócił się do diabła. Chrystus, wróg Arymana, milczał. Inny przeciwnik, Lucyfer, zjawił się na wezwanie.

– Nie bardzo im pomógł – zauważył Enka. Jego spojrzenie zdradzało smutek, nie tylko dlatego, że wolna już Polska znajdowała się wciąż pod złowieszczym wpływem, mianowicie rozlał wódkę do kieliszków i butelka wyschła.

– Wytłumaczę ci to na przykładzie. Wyobraź sobie, że nagle musisz podnieść, powiedzmy, dwieście kilogramów. Zrzucają ci je na barki, masz je wypchać jak ciężarowiec. Ty byś się zachwiał, pewno. Mnie by zmiażdżyło. A facet, zawodowy kulturysta, podrzuci i się uśmiechnie. Inna rzecz, że za rok, dziesięć lat, przyjdzie mu zapłacić zdrowiem. Inni płacą duszą. Lipiński nie miał pojęcia, czego się chwyta – wypił, odstawił kieliszek z uśmiechem,



który obudził nadzieję w Zbigniewie Ence. – Byli tacy co wiedzieli. Profesor podsunął mu notatki naszego przyjaciela, Szajbusa. Lucyfer prawdopodobnie ukazał się na moment, może to tylko jego cień był? Wystarczyło.

– Wydawało mi się, że raczej nie są przyjaciółmi – odparł Enka. – Po co robić coś takiego?

Gil zrobił profesorską minę, zamaszystym ruchem otworzył torbę i wydobył dwie butelki piwa Okocim, zawinięte w folię bąbelkową. Jedną podał Zbigniewowi Ence.

– Z dwóch powodów. Mamy czasy przełomu, a energia, powiedzmy, moc lucyferyczna, uległa chwilowemu wyładowaniu. Trzymając się tamtego porównania, nawet najsilniejszy człowiek nie zdoła podnosić ciężaru w nieskończoność. I drugi powód, Zbyszek, chyba ważniejszy. Gdyby ktoś to wyciągnął, tę prawdziwą, sataniczną historię Polski, to co będzie? Nic nie będzie. – Otworzył butelkę. – Pokaże się Lipińskiego, twoi koledzy z komendy poświadczą, a poświadczą, nie wątpię, i wyjdzie na to, że kult diabła to zabawa starych wariatów odsuniętych od wszelkich wpływów, więcej, zboczeńców, alkoholików i idiotów. Jaki sylwester czterdziestego pierwszego? Jaki Aryman? Podejmiesz ten temat, choćbyś miał dowody, nikt nie dopuści cię do głosu, wezmą cię za oszołoma, durnia i fanatyka – uniósł piwo. – Jaki diabeł, Zbyszek, przecież diabła, spisków i właściwie nawet Profesora z Szajbusem nie ma i nie było.

Nastąpiła chwila milczenia. Kilka przedziałów dalej rozśpiewali się żołnierze. Pospieszny znów toczył się leniwie, w oddali majaczyły domy, a mijali szerokie, wielokolorowe pola przedzielone przez drzewa, drogi i pasy zieleni. Pośrodku jednego z nich, jakoś tak biednie obsianego, stał facet w roboczym ubraniu. Naprzeciw niego był koń w coś zaprzężony. W co nie dostrzegli. A facet wyraźnie mówił coś temu zwierzęciu, wymachiwał rękami, giął się w przód i w tył, wreszcie zaczął skakać, podginając nogi,

jakby ubijał niewdzięczną ziemię. Koń kiwał poważnie głową, ale nawet nie drgnął. Można by nawet pomyśleć – jak ksiądz Gil, na przykład – że rolnik wcale nie piorunuje na leniwego czworonoga, lecz wykrzykuje mu prosto w pysk swoje przesrane życie, grubą, wredną żonę, synka tumaną, sąsiada skurwiela, dzieciaroba i oszusta, czerwonych bydlaków i łajdaka w sutannie, tego samego, który za darmo nie ochrzci, za darmo nie pochowa, ale sądzi, że lokalne dziwki powinny pieprzyć się z nim za pół ceny.

– Naprawdę wierzysz w to wszystko? – zapytał Enka. – Przecież to jakiś nonsens. Rozumiem, wariaci, nawet ten potwór z piwnicy. – Rozejrzył się bezradnie. – Chodzi mi tylko o to, żebyśmy nie posuwali się za daleko. Gil patrzył na niego zza szkła.

– Są więc, Zbyszek, trzy wyjścia. Oślepieś lub masz amnezję i zwyczajnie nie pamiętasz, co się wydarzyło. Wyjście numer dwa, jest prawie najprostsze, czyli zwariowałaś, siedzisz gdzieś w piwnicy, może nawet w szpitalu u Frączaka, a twój otumaniony lekami umysł próbuje ci wmówić, że jedziesz ze mną pociągiem do Warszawy. Jest wreszcie możliwość trzecia – zmarszczył czoło – po prostu włącza się w tobie ta część milicjanta, którą ubiła, ukształtowała partia. Innej opcji nie widzę.

Zbigniew Enka aż syknął – a może była to butelka, którą właśnie otworzył. Przymknął oczy, popijał sobie, patrzył za okno, na poszarzałe, podwarszawskie już domy i wyglądał, jakby zjadł granat i właśnie znalazł zawleczkę między zębami.

– Czuję się na styku różnych sił – wyznał wreszcie. – Szarpią mnie i ciągną. Nie mów, że nie. – Westchnął melancholijnie. – Zastanawiam się, co zrobimy, jak wyśiadziemy. Królowa powita nas kwiatami? A może sam Profesor?

– Znajdzie nas – odparł Gil. – Królowa, oczywiście. Nie zapominaj, kim jest i co umie. Przeczekamy... – zawahał się – u mojego przyjaciela,

właściwie, człowieka, którego kiedyś znałem. Studiowaliśmy razem. Miał zostać księdzem, ale chyba nie został. Nie mieszka w zbyt ciekawym miejscu i sam nie jest zbyt ciekawy. Nie znajdą nas tam, nie od razu.

– Dzwoniłeś do niego?

– Z dworca.

– Kurwa mać – sapnął Enka. – Czy ty myślisz, że będziemy tam sami? Nasz koleżka, któremu pomogłem wsiąść, zapomniałeś o nim?

– Nie – zaprzeczył ruchem głowy. Patrzył na Enkę z prawdziwym uznaniem – pamiętam też, że poradziłeś sobie świetnie.

– Zastanawiam się tylko, jakim cudem jeszcze nas nie zamknęli. Czemu w ogóle dali wyjść z pudła – Enka mówił w przestrzeń, niby do nikogo. – To, co mówiłeś o Lipińskim, jak go zmanipulowano. Mądrała, a poszedł w kaftan i cześć. Z nas też są niezłe mądrale, księżę doktorze, to nie wróży nam dobrze, wiesz o tym – napił się porządnie – durniowi łatwiej się wywinąć.

Na to ksiądz Andrzej Gil nie znalazł już odpowiedzi. Wielokrotnie próbował, otwierał usta, niczym zdziwiona ryba, która raptem orientuje się, że już nie jest w wodzie. Wreszcie przestał, pił tylko, szybciej i szybciej, w rytm stukotu kół, kołysania się wagonów. Pił, pili, bo w miejscu, dokąd zdążali, może nie być piwa ani nawet przyjaźni, w tych dziwnych czasach nic nie jest pewne – tak sobie myślał i patrzył, jak wokoło wyrastają ponure dziesięciopiętrowce, jak na horyzoncie majaczy drapieżna iglica Pałacu Kultury.

§ § §

Zobaczyli ich już na dworcu – mężczyznę w ciemnych, tym razem okrągłych okularach i dziewczynę zrobioną na wyzywającą studentkę. Jasne kręcone włosy spięła z tyłu tak, że brwi poszły w górę, nadając jej ślicznej twarzy wyraz ciągłego zdziwienia. Facet tylko pozornie studiował rozkład

jazdy, a ona całkiem otwarcie gapiała się w tłum, niby poszukując kogoś znajomego. Przeszłowała z nogi na nogę, żuła gumę, co nie przeszkadzało jej w paleniu jasnego marlboro – setki. Chwytała filtr kącikiem ust, od niechcienia.

– Idź spokojnie. Normalnie. – rzekł Enka do Gila. – Mój człowiek wywiezie nas stąd.

Gil natychmiast spojrzął za siebie. Dziewczyna także go dostrzegła, na moment ich spojrzenia zderzyły się, aż zgrzytnęło, ksiądz doktor pospiesznie odwrócił głowę, nawet zgarbił się lekko, przyspieszył. Tamci ruszyli krokiem spacerowym. Tajniak trzymał ręce w kieszeniach, łokciami roztrącał przechodniów. Enka poznawał takich na kilometr.

– Na zewnątrz też pewno są – mruknął Enka. – Wiesław nam pomoże. Dzwoniłem do niego. Powinien czekać.

– Wiesio – powtórzył Gil bezmyślnie. Znał kiedyś pewnego Wiesława, starego pijaka, który zaczepił się jako złota rączka na parafii, pracował dobrze i niedrogo, a potem próbował ukraść miedziane rury i poleciał na pysk.

– Nie Wiesio, tylko Wiesław. To nazwisko. Na imię mu Czesław – wyjaśnił Enka, ciskając butelkę po piwie do kosza. – Czesław Wiesław, ale na twoim miejscu nie próbowałbym się śmiać.

Peron Dworca Wschodniego przypominał bardziej zdewastowaną, acz przerośniętą stację w zalanej betonem dziurze i można by pomyśleć, że kiedyś był rzeczywiście maleńki – ot, jeden tor, zadaszenie, budynek dworca jak groszek. A potem, jakimś magicznym sposobem, rzecz zaczęła się rozrastać, tory rozpełzły się w najróżniejszych kierunkach jak żelazny bluszcz, obok nich powyrastały huby peronów, proste, bezsensownie rozsiane słupy i ogromny płaski grzyb dworca nieopodal. Zmierzali wprost do jego brzucha. Jednak, nawet tutaj szarość przegrywała z kolorem – w kioskach

całe ściany zajmowały kasety magnetofonowe, na wystawie stała coca-cola z biovitalem, a ci, którzy kiosków nie mieli, sprzedawali co mogli z łózek polowych, stolików turystycznych i pudeł kartonowych. Menel zaś kupował u profesora lub na odwrót.

Otaczały ich dźwięki, prawdziwa klawiszowa kakofonia wzbogacona rżeniem elektronicznego akordeonu. Wylewało się to z kiosków i łózek polowych, dźwięki brały się ze sobą na łby, kto wyraźniej i głośniej, a wielkim przegranym okazywał się dworcowy megafon, którego dźwięk zmieniał się w kobiecy zgrzyt – coś przyjedzie opóźnione, ale co i o ile, nie wiadomo.

---

*Ten zgiełk zgaśnie w nas Cichym biciem serc Więc chcę jeszcze raz W krajobraz wspomnień wejść I zapamiętać tych chmur wolny taniec Tę barwę piękna I koncert dnia, co trwa, co trwa...*

*Ciao, ciao Italia, ciao arrivederci!*<sup>[14]</sup>

---

Wokalista rozsmakował się w refrenie. Gil z Enką wspinali się po schodach śniących sen o tym, że są ruchome, o wolnym rynku, Niemcach, Amerykanach i Japończykach sunących majestatycznie w dół lub w górę.

– Poznałem go przez syna, studiowaliśmy w Szczytnie – mówił pospiesznie Enka. – To był porządny facet, też Andrzej. Andrzej Wiesław. Nie żyje, niestety. Przejechali go podczas obławy na złodziei samochodów, a konkretnie – rzucił za siebie ukradkowe spojrzenie – kolega z wydziału przejechał.

Na górze było jeszcze barwniej, stary tłuszcz skwierczał, cuchnął i niemal kapał z brązowych frytek. Mięso w hamburgerach mieniło się niczym zboże w słońcu, pęczniały parówki w hot-dogach, co rusz brzmiał dźwięk

otwieranej coli albo szelest papierka drapieźnie zrywanego z batonika. Tu aż dwa magnetofony nadawały tę samą piosenkę. Gdy jeden wchodził w zwrotkę, drugi znajdował się w refrenie.

---

*Lecz uwierz mi, przyjdzie taki czas  
Że wiosna wnet znów połączy nas I  
spotkamy się nagle u stóp gór  
By razem iść szukać własnych dróg*<sup>[15]</sup>.

---

– Jasna cholera – tak skomentował to Zbigniew Enka.

– Idą za nami?

– No pewnie, że idą – zachnął się Enka. – Mieli se zostać? Rozkład czytać? Nic nie rób, pewno jest ich więcej, chociaż nie, raczej nie, dwoje wystarczy. Kurwa puścili nas, ale na smyczy. Mogłem przypuszczać. Wracając do Czesława – z trudem wyminął pękatego faceta w marynarce o nadymanyh ramionach – myślałem, że po tym się załamie, przeżył swoje, ale nie pokazuje. Bo ma jeszcze piątkę innych dzieci, do tego każde jest w milicji i także dlatego Czesiek stoi sobie, gdzie chce i ma w czterech literach całą tę bandę taryfiarzy pod dworcem. Zresztą, hoduje pieczarki. Jeździ, bo lubi.

– Długo go znasz?

Tym razem ksiądz Gil ledwo uniknął zderzenia z chłopakiem w pstrokatej koszuli, który pędził niemal na ślepo, targając magnetowid. Kabel włókł się za nim jak ogon.

– Trochę znam. Polubiliśmy się, jak jeszcze syn żył. A potem zbliżyliśmy się trochę, bardzo mi pomógł, więc mam nadzieję, że teraz też nie odpuści.

Tajniak i tajniaczka utrzymywali dystans, nie kryjąc specjalnie kim są i po co przyjechali. Wędrowali pod prąd, znajdując drogę między ludźmi pędzącymi na perony. Gil pomyślał, że gdyby teraz przyspieszyć, skręcić w

tłum, zgubiliby ten ogon.

– Jeszcze jedno – rzucił Enka – nie znam nikogo, kto waliłby mu per ty, więc mów „panie Wiesławie”. „Panie Czesławie, mogą do niego zwracać się tylko przyjaciele.

---

*Czy normalny facet z bródka, może zostać prostytutką?*

*Ależ owszem, czemu nie, jemu też należy się!*

*Czy normalny facet z wąsem, może zostać dziś alfonsem?*

*Ależ owszem, czemu nie, jemu też należy się!*

*Każdy rolnik postępowy sam zapładnia swoje krowy Każda krowa postępowa rolnikowi dać gotowa!*

*Czy normalny, zdrowy student może raz w tygodniu, z trudem?*

*O niestety, oj nie nie, on w stołówce żywi się!*<sup>[16]</sup>

---

Tak ryczało z potężnej wieży Sharp, ustawionej w okienku budy z kasetami. Trzy identyczne wieże stały na stoisku obok. Pilnowała ich kobiecina w kraciastej spódnicy i krzykliwej bluzce. Wybijała rytm stopą w straszliwym sandale.

Wyszli poza oszklony budynek dworca na otwartą betonową przestrzeń. Na placyku kołowały autobusy, obok stały taksówki, a jeszcze dalej, po drugiej stronie ulicy, ciągnął się najsmutniejszy budynek, jaki w życiu wiedzieli – tak długi, że niemal nieskończony, czteropiętrowy z rzędami kwadratowych okien, jakby wykutych w jednolitej szarej bryle. Tu gasła wszelka radość i nadzieja. Ponura ściana przypominała mur, za którym czai się coś niewyobrażalnie złowrogiego.

Pan Czesław Wiesław nie miał za to nic ze złowrogości. Siedział w pomarańczowym dużym fiacie, drzwi były otwarte i pan Czesław wygrzewał

sobie kolana w słońcu. Spodnie podwinął aż na uda. Mimo upału nosił grubą koszulę w kratę i robotniczą kurtkę ze zmiętym kołnierzem. Na głowie miał przekrzywiony beret z antenką. Zajadał się kanapką, okruszki sypały się jak wióry przy wycinaniu lasu, a pan Czesław nie przestawał mówić, nawet gdy przełykał kolejny kęs. Jego usta poruszały się miarowo, oczy błędziły. Wokół niego na asfalcie wytworzył się półokrąg z niedopałków, kawałków chleba, papierków i wykałaczek.

– Dzień dobry, panie Czesławie – powiedział Zbigniew Enka. Taksówkarz akurat pakował sobie do ust ostatni kawałek kanapki z kiełbasą, przełknął, wyraźnie niezadowolony i odwrócił głowę. Twarz raptem mu się rozpromieniła, wyskoczył z samochodu i wyściskał Enkę.

– Zbychu! No Zbychu! Co cię tak przywiało?! Kto ci tak pysk przemodelował?

Mówił nisko, chrapliwie, jakby każda sylaba zawierała wszystkie tajemnice życia. Zbychu tymczasem wywinął się od odpowiedzi i z uścisku. Wskazał na swojego towarzysza.

– To mój przyjaciel. Andrzej Gil. Ksiądz, doktor i to habilitowany. Porządny człowiek, przede wszystkim.

Czesław Wiesław uśmiechnął się, ale już słabiej i bez cienia życzliwości. Uścisnął mocno wyciągniętą księżowską dłoń.

– Habilitowany? – mruknął. – Proszę, no proszę. Nawet księża się habilitują. – Raptem odzyskał żywotność, cisnął papierek po kanapce gdzie bądź, obiegnął samochód i otworzył tylne drzwi. – Co was do stolicy przywiało? – zaciągał lekko. – Śpicie u mnie? Nie ma problemu przecież wszystko gotowe. Wsiadajcie, wsiadajcie, nie będziemy tu na upale z hołotą stali.

– Może wpadnę potem – Enka usadowił się na przednim siedzeniu. W lusterku widział poważne oblicze księdza doktora. – Pojedziemy tylko na



Pragę. Brzeska. Andrzej ma tam znajomych.

Pan Czesław Wiesław trzasnął drzwiami.

– Proszę, proszę. Ksiądz, habilitowany i jeszcze ma kumpli na Brzeskiej – tym razem rzeczywiście żartował, tylko Gilowi nie spodobał się sposób, w jaki wymawia nazwę ulicy. Tak mówi się o jakiś kazamatach, slumsach czy więzieniu o zaostrzonym rygorze. Nie jest dobrze, pomyślał, a pan Wiesław zapalił silnik.

– Będziemy mieli ogon – rzekł Enka poważnym głosem.

Taksówkarz zgasił silnik, zdjął beret z przepoconej głowy i zapytał jeszcze poważniej.

– Zbyszek, w co ty wszedłeś?

Otaczały ich inne taksówki: skody, polonezy, fiaty, stare warszawy, a w nich zakazane mordy. Żadna nie patrzyła w ich stronę. Enka milczał, składał słowa. Rzekł wreszcie.

– Nie powiem panu, panie Czesławie. Pan wie, że jak można mówić lub nie mówić, lepiej nie powiedzieć. Nie darowałbym sobie. Potrzebujemy tylko dotrzeć na Brzeską. Potrzebujemy – przełknął ślinę – żeby zawiózł nas tam przyjaciel.

– Nie wdepnąłeś w *Solidarność*?

– A skąd, panie Czesławie!

– Firma?

Enka tylko skinął głową. Czesław Wiesław poprawił lusterko, jego bystre oczy błędziły po ludziach i samochodach tak długo, aż wypatrzyły groszkowozielonego poloneza zaparkowanego w cieniu dworcowego budynku.

– No faktycznie. Dzieją się cuda w tej Warszawie. Najpierw małpy, a teraz ty – stwierdził. Przekręcił kluczyk i ruszył powolutku, jak człowiek, który przeżył już wszystko i nigdzie nie musi się spieszyć.

– Małpy? – zagadnął Gil z tylnego siedzenia.

Ruszyli, tamci za nimi również.

– Ano małpy. No, ci wariaci przyjechali, no, cyrkowcy – rzekł Czesław Wiesław od niechcienia. – I pierwszego dnia zaraz goryl im, moi panowie, wymknął się z rąk, że tak powiem. Zamek wadliwy, bo niemiecki, ech, kurwa bladź, tak mówią.

Robił kółko na placu dworcowym, skrył się za autobusami. Wyrzał, nic z tego, groszkowy polonez jechał spokojnie za nimi.

– Nie wiedziałem, że księża interesują się małpami. Cała Warszawa jak nie o wyborach, to o tym gada. Widzieli ją nawet na Łazienkach, ale co tam, jak na mnie, to prysnęła za miasto, tam coś podusi, tu co? – Zerknął we wsteczne. – Choć słyszałem, że żeruje po poddaszach na Starym Mieście. Tfu! Ubić i tyle. A wielka podobno jest.

I przyspieszył, bardzo spokojnie, niemal leniwie, zerkając w lusterko wsteczne. Spokojnie przeszedł na trójkę przed skrzyżowaniem. Tamci też się zebrali.

– Brzeska to bliziutko – rzucił od niechcienia. – Ale sobie pojeździmy.

Skręcił w lewo i raptownie nabrał szybkości, ogon zrozumiał, co się święci, ale było już trochę za późno, Czesław Wiesław dodał gazu i skręcił ponownie, a Gil wyrznął głową o szybę. Pewno zdążyłby się awanturować, ale zamarł z krzykiem na ustach – Czesław Wiesław właśnie wjechał w podporządkowaną, a potem, gładziudko, popędził pod prąd, na łeb, na szyję, a zdaniem Gila po śmierć.

Przecięli dwupasmówkę, taksówkarz pokrzykiwał coś o skurwysynach i wśród własnych wrzasków zdołał wrócić na właściwy pas, za to pomknął przez czerwone światła. Nawet Enka był zdziwony, by nie rzec przejęty – zerkał co chwilę to na Gila, to na niknący pościg. Czesław Wiesław marszczył brwi.

Z przerażeniem Andrzej Gil stwierdził, że kierowca, a w tej chwili władca ich wolności, życia i śmierci, nie tylko zaczyna jechać zgodnie z przepisami, ale też wyraźnie zwalnia. Polonez, niemal już zagubiony na horyzoncie, znów się wyłonił i zaczął ich z wolna dochodzić. Czesław Wiesław zagryzał wargi. Zdrajca? Gil się przeraził.

– Szybciej! Rany Boskie! Szybciej – wyskuczał, bo tylko skuczeć umiał.

Czesław Wiesław mrugnął porozumiewawczo. Prawie się zrównali, już, zaraz tamci mieli ich wyprzedzić, lecz taksówkarz szarpnął za biegi, popędzili do tyłu i natychmiast w prawo, w najbliższą przecznicę. Przez tylną szybę Gil widział, jak pościg baranieje, próbuje zmienić pas i wykręcić, najpierw pojawiły się czerwone światła, potem straszny hałas, zgrzyt metalu i wrzaski. Czesław Wiesław wybuchnął śmiechem.

Andrzejowi Gilowi przyszło do głowy, że najbardziej na świecie boi się diabła, ale zaraz potem jazdy z tym facetem.

# Rozdział dziesiąty

## Lepsza strona życia

Tak dojechali, Gil z sercem w gardle, i nawet Zbigniew Enka zrobił złą minę do dobrej gry. Jeden pan Wiesław zachował spokój. Więcej – chłopięce szczęście rozjaśniało jego pomarszczoną twarz. Śmiał się wszystkimi zębami, które mu jeszcze zostały, przekręcił kluczyk, silnik zgasł. Z bramy natychmiast wyłonił się blondyn w zdartych jeansach i białych adidasach, opalony, jakby właśnie wrócił z serca Afryki. Kolorową koszulę zawiązał w supeł na włochatej klacie. Targał brzęczącą reklamówkę, a w pysku miał peta.

Za nim, z jam i zakamarków wyłazili następni, ulica Brzeska – jeszcze przed chwilą ceglane bezludzie – teraz zapełniła się meliniarzami. Dziad w brudnym płaszczu, za to bosy, targał torbę podróżną na jednym kółku, kobiecina ufarbowana na rudo, za to z odrostami długości łokcia, garbiła się pod ciężarem szmacianej siatki. W oknach za szarymi, czasem przedwojennymi jeszcze szybami, migąły obojętne twarze.

– Nie kupujcie lepiej – poradził pan Wiesław i nagle zmiękł. Patrzył teraz na Enkę jak ojciec. – Idź, Zbysiu, a Michałkowi czasem nie mów, żebyśmy kłopotów nie mieli. Jakbyś jednak je miał, to zaraz przyjeżdżaj – wychylił się przez opuszczoną szybę, niby że się rozgląda, naprawdę, chciał być dostrzeżonym. – Jak was ze mną widzieli, nikt nie śmie was ruszyć.

Enka nie wiedział, co powiedzieć, więc milczał i tylko się ścisnął z panem Wiesławem. Wiesław potrząsnął ręką księdza Gila.

– Pilnuj tego ancymona.

– Z Bogiem, panie Wiesławie – odparł Andrzej Gil.

Wysiedli, meliniarze stanęli w pół kroku, a Enka dał znak ręką, że niczego nie potrzebują. Cofnęli się w półmrok bram i suterren. Fiat pana Wiesława już mknął i zostali sami sobie na Brzeskiej. Pierwszym, co zwróciło ich uwagę, był zapach, szczególne połączenie brudu, potu, moczu i srania po kątach. Gil zorientował się, że gruz także ma swój zapach, nieco podobny do zgniłej papryki. Czuli też przykrą woń ze smażalni *Rybackiej* po drugiej stronie ulicy. Jeśli rzeczywiście przyrządzano tam ryby, pomyślał Gil, to takie, które nie wiedzą, co to morze, wydarte Wiśle lub z innego ścieku. O! Chłopiec wytoczył się stamtąd, ciągnąc psa. Pies miał kaganiec ze sznurka, dzieciak ze dwanaście lat, ale szługa zapalał z wprawą wiarusa Armii Czerwonej. Przedramieniem biegła mu fioletowa blizna i świeży szew.

Brzeska była krótka, lecz w miarę szeroka, dwadzieścia parę kamienic nadgryzionych przez czas. Niektóre okna były wybite, sterczał kit, odłamki szkła i kwiaty uschnięte w doniczkach. Inne znów zatkano tekturą. Na parterze, za grubym szkłem wisiały smętne firanki, głębiej – przewalało się życie, brzęczało szkło, zapalki szurały o draskę, coś pękło, coś gruchnęło i taki głos niósł się z głębokości:

– Złodzieje! Nieroby! Kurna bladź! Robić wam! Robić do krwi! Złodzieje! Zasrańcy!

Właśnie z trzeciego piętra poniósł się ryk, drzwi trzasnęły i runął rower dziecinny prosto na chodnik, rozpadł się, szprychy sterczały, dzwonek, lampka, łańcuch rozprysnęły się jak szkło. Ojciec już był na dole, wypadł z bramy jednym susem, chwycił potrząskane wigry i dalej, jak siłacz w cyrku, mocował się z kołami. Zgiął jedno, drugie, ale ramie już nie podołał. Walił więc kierownicą o ziemię i wrzeszczał. Na balkonie stał chłopiec, wyraźnie cofnięty i tak przerażony, że zapomniał, jak się płacze.

– No co?! – ryknął facet do Enki. Raptem odzyskał spokój i godnym, niemal hrabiowskim krokiem powędrował w stronę innej bramy.

– Złodzieje! Do roboty byście szli! Uczciwie przez życie! Uczciwie! – ktoś wciąż krzyczał.

Nie było tu jednej czystej ściany. Brakowało za to napisów, choćby kredą – może słowo pisane jeszcze nie dotarło w to miejsce. Nie, przecież była biblioteka, podobna bardziej do kolejnej meliny albo punktu skupu, gdzie można przynieść Gorkiego, Tyrmanda albo Putramenta i wymienić na półlitrowkę. Ulicę znaczyły plamy zaschniętej śliny.

– Jesteś pewien, że to tutaj? – zagadnął Enka, a gdy Gil potwierdził, dodał: – To dobrze. Będą szukać wszędzie, ale raczej nie tu.

W bramie szerokiej, takiej, by przejechała furmanka, panował chłód i smród. Na zewnątrz jeszcze zapachy się mieszały, mocz z rybą, wódka z płaczem, płacz też pachnie, jakby co, tu zlały się w gęstą alkoholową zawieszinę. Oto zapach całej imprezy w jednym, perfumy warszawskiej Pragi: pierwszy kieliszek i ostatni, spiroł z meliny, chleb z cebulą, wymiociny, brudna pościel, kackupa, wszystko w jednym, bierz i idź. Pod ścianą stały szklane jeże stłuczonych butelek. Zignorowali schody po lewej (matka karmiła tam dziecko, sutek miała wielki i czarny jak węgiel) i wyszli na podwórko. Tu tynk zdarty był aż do cegły, w rogu wiły się schody przeciwpożarowe, a z kilku okien patrzyły Matki Boskie lub Ojciec Święty, już wyblakłe, wywieszane chyba w próżnej nadziei, że Jan Paweł II znajdzie czas podczas pielgrzymki i wpadnie na podwórko, poustawiać kogo trzeba po kątach. Pod butami chrzęściło im szkło. W rogu, pod murem, dzieci podpały gołębie.

Zniknęli w mroku sutereny. Część drzwi rzeczywiście stała od przedwojnia, wielkie z zalepionymi judaszami i metalowym otworem na listy. Brakowało wycieraczek, a te nieliczne pozostawały przykute do progów. Z wewnątrz brzmiały głosy: ktoś śpiewał lub tańczył, dzieci wrzeszczały. Z okien na półpiętrach widzieli dziurawe dachy.

Niespodziewanie wpadła na nich kobiecina, dosłownie wyłoniła się zza rogu jak duch z butelczyny. Wywróciła oczyma. Bluzkę miała rozpiętą do pasa, ukazując pomarszczoną skórę i rowek między flakami piersi. Szarpnęła Gilem. Zionęła tanim winem, papierosami.

– Pracuj, co! Nie obijaj się! Pracuj, ty złodzieju!

I w śmiech. Puściła, nim Enka zareagował i potoczyła się w dół po schodach, pokrzykując:

– Do roboty, kurwy, złodzieje! Do roboty!

Enka zapalił. Rozejrzał się bezradnie.

– Jesteś pewien, że to tu?

– Liczę drzwi od drugiego piętra – wyjaśnił Gil. Na drzwiach najczęściej brakowało numerów. – Wacek powinien mieszkać jeszcze jedno wyżej.

– Wacek. Skąd wy się właściwie znacie? Pytam, bo słyszałem o tym miejscu. Nie ma już gorzej w całej Warszawie.

Powędrowali po schodach. Poręcz chwiała się we wszystkich kierunkach, nawet w tych, których istnienia nie przeczuwali. Drewno popękało na stopniach, widzieli przez szpary niższe piętra. Nic ładnego.

– Mówiłem ci już. Studiowaliśmy razem – powiedział ksiądz Andrzej. – Był zresztą świetny, bardzo świeży umysł. Tylko cichy. Coś mu chyba nie poszło i studiów nie skończył. Ostatni raz, jak pisał, mówił, że zaczyna jakiś interes z pomocą brata. Brat mieszka w Ameryce, wyjechał kilka lat temu, za pierwszej *Solidarności*. Tak – wskazał drzwi na ostatnim piętrze – to chyba tutaj.

Brakowało wycieraczki, za to judasz nie był zamalowany ani zasłonięty – widzieli wyraźnie korytarz pogrążony w półmroku, róg szafki i pustą flaszkę. Gil nacisnął dzwonek. Nie działał. Tylko gołębie trzepotały się na strychu obok. Nacisnął ponownie, mocniej. Coś zamruczało wewnątrz i zaraz ucichło. Zaczęli więc stukać i tłuc się, bezskutecznie, aż Enka nacisnął

klamkę i drzwi ustąpiły.

Przedpokój był krótki i оголоcony ze wszystkiego, jeśli nie liczyć szafki na buty, pustej i z wybitymi drzwiami, oraz szeregu gwoździ, gdzie – sądząc po cieniach – niegdyś stała szafa. Na gwoździach wisiało zniszczone palto, golf, marynarka z obsmarkanym rękawem oraz szalik, tak śliczny, że nie nadawałby się nawet do podcierania. Enka szedł pierwszy, a gdy pchał następne drzwi, myślał o Prokopie.

Pokój był duży, a przestronności dodawały mu goluteńkie ściany, bez jednego mebla. Wisiało jedynie lustro bez ram, ze dwa zdjęcia, w rogu stał kosz z ubraniami, a pośrodku ciężkie biurko, wydarte chyba z gabinetu zawodowego myśliciela. Panował swoisty porządek – kilkaset butelek po wódce stało w równych rzędach, do tego pozakręcane, niczym żołnierze gotowi na paradę. Uwagę Enki zwróciły dwa słoje – jeden pełen petów i drugi, czarny od kawy, coś jednak nie grało i w pierwszej chwili, nie wiedział co. Tak – w większości melin czy też domów pijackich, w których bywał, panował rozgardiasz nie do opisania, czasem nawet srano do wiader i wywalano zawartość za okno. Tu nie leżał żaden niezbędny papier, żadna wypalona zapałka, można by przysiąc, że butelki przy ścianie ustawiono równo co do milimetra, a gospodarz właśnie skończył zamiatanie.

Na biurku leżała nadgryziona makrela, kawałek zeschłego chleba, a pod nimi stary numer „Życia Warszawy”, z artykułem na pierwszej stronie, opiewającym poprawę warunków życia i ogólną zmianę na lepsze. Obok, między dwiema butelkami – pustą i pełną w połowie – drzemał gospodarz, Wacław Czytajło, niegdyś nadzieja religioznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pierwszym, co zwracało uwagę, była nie karykaturalnie brudna nastroszona czupryna, nie koszulka na ramiączkach czy opuszczone szelki, ani nawet nie spodnie w pepitkę – Czytajło nosił buty z innego świata, marzenie każdego bywalca dyskoteki, błyszczące adidas, na których nie



chciał siadać brud.

Przekręcił głowę i uniósł powiekę, półprzytomne oko przejechało po Ence, który akurat wchodził do pokoju. Czytajło odchylił się niezdarnie, opadł na oparcie, zmarszczył brwi, oceniając intruza. Raptem chwycił flaszkę za szyjkę i zaraz odstawił, by wybrać drugą, już pustą. Uniósł niczym maczugę, stanowczo dla niego zbyt ciężką. Na włosach pod pachami mogłyby bujać się małpy. Enka zatrzymał się zaraz za progiem.

Czytajło, wciąż z uniesioną butelką, z wysiłkiem próbował osiągnąć postawę pionową. Na początku wydawało się pewne, że poleci naprzód i wyróżnie łbem o biurko, ale z pierwszym krokiem szanse przechyliły się – i nie tylko one – w stronę wywrotu ku tyłowi. Wyraźnie próbował cisnąć flaszką, ocenił jednak realnie własne możliwości, odpuścił i ruszył slalomem na Zbigniewa Enkę. Bełkotał coś i wywijał butelczyną, a gdy dotarł na odległość ciosu, za byłym porucznikiem objawiła się zatroskana twarz księdza Andrzeja Gila.

– Jędrus! – beknął Czytajło. Zamarł na moment, odłożył butelczynę na parapet, przyjrzał się bacznie Ence i nagle wyszczerzył się w wyrazie najszczerzej sympatii. Naciągnął szelki, poprawił fryzurę. Gestem zaprosił do środka. W połowie drogi do biurka omal nie upadł, a już na pewno bez pomocy blatu nie dotarłby do krzesła. Usiadł na nim całym ciężarem. Usiłował utrzymać głowę wysoko, ale powieki, brwi, wargi i policzki ciążyły ku dołowi.

– Kopę lat – wykrztusił wreszcie Andrzej Gil.

– No. Kopę – odmruknął Waław Czytajło i zaczął szukać papierosów. Enka poczęstował go jednym i bez pytania zabrał się za otwieranie okna, Gil wodził wzrokiem po pułkach i armiach pustych półlitrowek. Czytajło schwycił jego wzrok, prawie jakby był trzeźwy.

– Muszę zdać surowce wtórne – powiedział.

Kuchnia również świeciła pustkami, nawet szafkę spod zlewu wymiotło. Czytajło z Gilem siedzieli na drewnianych taboretach. Między nimi stał stolik turystyczny, a na nim dwie herbaty w szklankach bez uszek. Zbigniew Enka kuczał i próbował ugotować kiełbaski na kuchence elektrycznej. Reklamówka z zakupami dodawała tu nieco koloru, a w rogu pyszniła się radziecka lodówka zdolna pomieścić żarcie dla całego Komsomołu.

Czytajło westchnął i ją otworzył. Nie było w niej masełka czy też śledzia, tylko wódka, dziesiątki butelek ułożonych w piętrach na wszystkich półkach. Gil postawiłby plusz przeciw farfocłom, że nie zmieściłaby się ani jedna więcej. Czytajło zabrał pierwszą z brzegu i natychmiast zapełnił puste miejsce, czerpiąc z zapasu przy ścianie. Kiwnął na księdza.

– Prądu może?

Gil zaprzeczył, a pełne nadziei spojrzenie Wacława Czytajły obróciło się ku Zbigniewowi Ence.

– A ty może jednak? No, oficer chyba sobie chlapnie, co?

Enka wahał się wystarczająco długo, by rozbudzić w Czytajle płonne nadzieje.

– Na służbie nie piję – odparł melancholijnie. – Nawet jeśli już nie jestem milicjantem.

– Cóż – zarechotał Czytajło – właściwie lubię letnią. – Nalał sobie wódki do herbaty, tak na dwa palce. – Będzie dla mnie więcej, a co?

Tu Gil przyjrzał mu się dokładniej. Nie mógł uwierzyć, że ten facet, o wyglądzie zaniedbanego emeryta, jest jego równolatkiem. Czytajło nos miał czerwony, pękaty, jakby na granicy eksplozji, czerniały w nim węgry niczym łąpki szpilek. Wokół oczu wiły się głębokie zmarszczki, żyły przecięły policzki, uszy wisały smętnie. Czytajło akurat rozpromienił się do jakiejś swojej myśli. Zęby miał w niezłym stanie, już brązowe, ale jeszcze całe.

Raptem przestał się śmiać, kąciaki ust mu opadły. Wbił wzrok w księdza Gila, który właśnie zastanawiał się, skąd Czytajło ma na to wszystko, jakim cudem nie umarł i czy można mu pomóc w jakikolwiek sposób.

– Nie patrz tak na mnie – warknął. – Dlatego nie lubię gości.

Gil znieruchomiał, Enka podniósł głowę znad kielbasek.

– Mam dobre życie. Lepsze niż wielu, nie tylko tutaj, w całej Warszawie – mówił Czytajło. – Jedno mi je mąci, jak ktoś gapi się na mnie, a ja widzę, na dłoni, co sobie myśli: czy temu można jeszcze pomóc? Jak się za to zabrać? Dlatego pisałem, nie zapraszałem. Aż wreszcie zmiękłem – uśmiechnął się pojednawczo. – Przecież możemy sobie siedzieć i będzie przyjemnie.

Napił się herbaty, Enka zabrał się za mycie talerzy, stojących na parapetach. Pogwizdywał sobie cichutko, Gil milczał, zasepiony, a gospodarz się rozgadał.

– Jak Hania odeszła, to myślałem, że jni się świat zawali. Wszystko mnie wkurwiało, studia najbardziej, to je rzuciłem i zaraz poczułem się lepiej. Jak ty tam, Jędrus, wytrzymałeś, z tymi dziadami, ech, te pyski francowate, pluć i walić na zmianę – więc odpluł się za okno i walnął w stół otwartą dłonią – siadłem sobie i pomyślałem, co ze mną będzie, co teraz zrobię?

Palił, jak się okazało, rothmansy w białej paczce, pakowane po dwadzieścia pięć sztuk. Starannie ubił papierosa i polizał bibułkę z jednej strony.

– Wtedy brat odezwał się do mnie. Pojechał na początku lat osiemdziesiątych, najpierw do Włoch, do obozu przejściowego, a potem do Ameryki. I wiecie co? Teraz tłucze miliony w Dolinie Krzemowej. Dosłowne miliony, Jędrus, nie wiem, czy pamiętasz, taki drapichrust był, a teraz nawet wizytownik ma pozłacany. Zostawił mi to mieszkanie i śle dolary co miesiąc. Pisałem mu nawet, że piję za nie, a on mi na to, pij, Wacuś, pij, ile możesz, moje życie tu w Stanach ma wszystko prócz sensu. Więc pij za nas dwóch.

Założył ręce za głowę.

– Zmierzam do tego, że mam dobre życie. Ciche, spokojne. Lepsze niż niejednego faceta z żoną i dziećmi – kontynuował. Strzepnął popiół, niezdarnie, poza obręb popielniczki. Namoczył szmatkę i przetaił stół. Mówił dalej. – A czemu na przykład nie dzieje się na odwrót, czemu nie patrzy się na dzieciaroba z żoną i stanowiskiem jak na ostatniego osła, czemu jemu się nie współczuje, nie organizuje grup interwencyjnych, żeby wyrwać nieszczęśnika z rodzinnych kajdan. Taki to się nacierpi. Trójka bachorów to trzy lata nieprzespane. Żona truje dupę, nawet dziwek nie można ściągnąć na dom, a jak się ściągnie, to gryzie sumienie. Jeszcze pracować musi, to dopiero nieszczęście – piorunował, a Gil nie mógł stwierdzić, żartuje czy mówi serio. – Wstaje o świcie, płaszczy się przed szefem, pilnuje, by koledzy nie podesrali, a jak na własny rachunek robi, w branży prywatnej, to jeszcze gorzej, coś się pokiełbasi i wszystko stracone. Stres. I jeszcze śpi z tą samą babą, co mu się starzeje. Na ile sposobów można loda robić?

Napił się herbaty, właściwie to ją pochłonał dwoma haustami.

– Więc bardzo bym chciał, żeby wszyscy dobrzy ludzie nachodzili rodziny wielodzietne, rodziny partyjne i ratowali kogo mogli. Ty, Jędrus, też możesz, aż może dożyjemy dnia, kiedy matki będą chwalić synów o tak – uderzył w ton podniosły. – „Mój Kazio to porządny chłopak, prawdziwy skarb”. „Pije?”. „I to jak, pani kochana, do tego nie pracuje, odkąd wyszedł z wojska”. „Naprawdę? A u Kowalskich zmartwienie, Marian ostatnio na pół etatu poszedł”. „Jak Kowalska wychowywała, tak ma. U nas w domu zawsze był alkohol. A Kazio jest słodki. Dałam mu ostatnio na panienki, to obiecał, że od przyszłego roku spróbuje zostać narkomanem”.

Czytają skończył i wbił tryumfalny wzrok w księdza doktora. Gil walczył ze śmiechem, co szło mu z trudem, a nawet wcale, gdyż słyszał, jak Zbigniew Enka rechocze nad kiełbaskami.

– Będą już chyba dobre – obwieścił były as milicyjny. Rozłożył talerze na stole, na każdy dał długą kiełbasę, trochę musztardy i pajdę chleba. Oczywiście rozszerzyły się, jakby właśnie w kuchni wylądował statek kosmiczny. Począł, aż wszyscy usiądą, ukroił sobie kawałeczek i żuł długo, ciesząc się zapewne, że wreszcie wkłada do ust coś ciepłego. Ksiądz z gospodarzem jedli w milczeniu, a Enka pałaszował. Nurzał kiełbasę w musztardzie, skórka trzeszczała, tłuszcz pryskał. Czytają skończył jako ostatni, złożył sztucce koło siebie i wytarł usta ściereczką wiszącą przy zlewie.

– Jak długo chcecie zostać? – zapytał.

Enka z Gilem wymienili pytające spojrzenia.

– Właściwie to nie wiemy – powiedział ksiądz doktor.

– Szukamy starej znajomej – dodał Zbigniew Enka.

– Mamy nadzieję, że ona też nas szuka – Gil uświadomił sobie, że mogą tkwić na melinie i najbliższe dwa lata, polewać Czytają, pić z nim, niewiele to da. Po cholere tutaj przyjechali? Za kartką z *Solidarnością*? Trzeba było siedzieć cicho w Krakowie. Z czasem sprawa by przyschła.

– Ostrzegam, że jest tu śmiertelnie nudno. Nie mam radia, telewizora ani żadnych książek, a i ja nie jestem specjalnie ciekawy – zaznaczył Czytają. – Mam za to materace dmuchane, akurat dwa. Nie wyrzuciłem ich, takie rzeczy się przydają. Kupicie sobie koce, tu zaraz na placu. Możecie mieszkać u mnie i do końca świata.

– Tak długo nie posiedzimy – rzekł Enka. Nagle coś zaszeleściło w przedpokoju, zaszurało przy drzwiach. Czytają zerwał się na równe nogi i popędził, omal nie tracąc równowagi na zakręcie. Zniknął im z oczu, słyszeli tylko jak morduje się z zamkiem (Gil zasunął zasuwę, gdy wchodził), otwiera drzwi i ryczy na klatkę:

– Ty skurwysynu! Ty gnoju jebany! Ja ci dam! Lasy giną, a ty co mi tu

wciskasz! Ja cię złapię, zobaczysz! Będę przy drzwiach czekał! No! Wracaj tu! Wracaj skurwysynu!

Kimkolwiek skurwysyn był, wracać nie miał zamiaru, więc Czytajło zatrzasnął drzwi, wściekle strzelił zasuwą i zabrał się do kuchni, mamrocząc przekleństwa. Stał w progu, rozglądając się za butelką. W dłoniach trzęsących się z przepicia lub zdenerwowania trzymał plik kserowanych kartek. Widzieli tylko gwiazdki i jakiś napis.

– Ktoś od paru dni zarzuca mnie tym syfem – cisnął je na blat. Nie miał śmietnika, bo i po co śmietnik komuś, kto nie śmieci. – Bajzel mam w całym przedpokoju przez to. I po co ja się pytam?

Pociągnął z butelki i zapalił rothmansa.

– Przecież, do jasnej cholery ludzie tutaj chodzą co najwyżej na melinę lub do monopola. Na melinę? Melina jest wszędzie. A po co komu wróżka? Przecież każdy tu wie, że zdechnie w pierdłu albo z przepicia.

Dopiero teraz dostrzegli, że gwiazdy na ulotce to nie żadne świecidełka z nieba, ale takie prawdziwe gwiazdy, zdarte z czapki czarodzieja. Gil zmarszczył brwi, Enka rozdziawił gębę i zabrał jeden karteluszek. Chiromancja, frenologia, tarot, horoskopy chińskie, celtyckie i zodiakalne, do tego numerologia, szklana kula, co zechcesz, pełen serwis. Na dole wydrukowano adres, wyżej imię i nazwisko znawczyni nauk tajemnych – Irmina Walewska. Wielkie powykręcane litery układały się w słowo *KRÓLOWA*. I niżej, mniejszymi: *polskich wróżek*.

– Niech mnie cholera – wyrwało się Ence.

Twarz Czytajły ułożyła się w wielki znak zapytania. Znowu drżał, dłonie skakały jak podrażnione prądem, a oczy co chwilę odpływały. Zaparł się na krześle. Chwycił butelkę, upił, ale tylko troszeczkę.

– My właściwie tylko na chwilę – powiedział Andrzej Gil nie swoim głosem. Ulotkę wepchał do tylnej kieszeni. Czytajło natychmiast posmutniał.

Pokiwał głową.

– No jasne. Tak czułem, że wam się tu nie spodoba.

Enka uśmiechnął się przyjaźnie.

– Nie takie rzeczy już widziałem – odparł pojednawczo ksiądz doktor. – Naprawdę, po prostu nie możemy tutaj zostać. Nie mogę tego ci powiedzieć – zawahał się i dodał – wiesz, że zawsze miałem tajemnice.

– Zawsze to wchodziłeś w gówno – przypomniał Czytajło. – Ten sam szajs co na czwartym roku, co?

Gil potrząsnął głową.

– Mniej więcej.

– Chyba musimy iść – cisnął Zbigniew Enka. Melancholijnie gapił się za okno, na ściany z czerwonej cegły, brudne szyby, połamane anteny na dachach i gołębice wlatujące jakby wyżej nad tym miejscem. Z gałęzi na balkon przeskoczyła kuna. Czytajło tymczasem spostrzegł wysuniętą rękę Gila, zerwał się z krzesła, zawołał: – No to przynajmniej strzemienego!

Nie śmieli odmówić. Czytajło błyskawicznie wypłukał trzy szklanki, porwał pół litra z zamrażalnika, nalał każdemu od serca, ocenił, czy przypadkiem nie za mało i dolał jeszcze. Pusta flaszka poszła w kąt.

– To zdrowie!

Podsunał im cebulę i chleb.

# Rozdział jedenasty

## Zdjęcie z Lechem Wałęsą

Szli przez Inżynierską, na Nowej Pradze, a Gila wszystko przyprawiało o mdłości – ludzie, nieustannie się spieszący, słońce, chylące się już ku zachodowi i samo wspomnienie cierpkiej szklanki. Zdążył pojechać pociągiem, z którego Enka wywalił ubeka, ścigać się taksówką z kolejnymi tajniakami i trafić do najbardziej zapitego człowieka na najbardziej zapitej ulicy w Polsce. Fakt, że Enka próbował nadrabiać miną, ale mu nie szło, stanowił niewielkie pocieszenie.

Kluczyli między fiatami i wartburgami na parkingu. Po przeciwległej stronie ciągnął się rząd ceglanych, przedwojennych budynków, równej wysokości, jeśli nie liczyć jednego. Ten się rozszalał, bił w niebo architektonicznymi guzami, kominami, okna na poddaszu były przynajmniej półokrągłe. Resztki napisu na murze przypominały, że działało tu kiedyś towarzystwo akcyjne Wróblewskiego i spółki. Gil pomyślał, że gdyby warszawskie domy zmieniły się w dzieci, ten obrywałby kamieniem na każdej przerwie.

Królowa przyjmowała w narożnej kamienicy na drugim piętrze. Odrapany mur oblegała akurat pstrokata dzieciarnia. Kilku chłopców stało na czujkach a dwóch największych rysowało sylwetkę człowieka niebieską kredą. Jeden trzymał kredę, a drugi oceniał, czy pierwszy dobrze trzyma. Mieli już obrys, oczy, usta i zabrali się za wypełnianie. Zabrzmiał gwizd i natychmiast się rozbiegli, mało kredy nie zgubili. Enka nie wiedział, co ich tak spłoszyło. Rzucił okiem na rysunek. Człowiek był całkiem proporcjonalny, może głowę miał za dużą, stopy za to maleńkie.



### § § §

Otworzyła im staruszka sucha jak mumia, z siwymi lokami zwisającymi bez życia wokół pomarszczonej twarzy. Zmrużyła oczy na ich widok.

– Panowie do madame Irminy?

Poprowadziła ich wysokim i wąskim przedpokojem. Królowa wynajmowała kąt w przedwojennym mieszkaniu – na ścianie wisiały zbrązowiałe modernistyczne portrety, książki piętrzyły się w trzech rzędach na meblościance, a każde wolne miejsce zajmowały bibeloty: cukierniczki, porcelanowe i hebanowe figurki, pudełka po cygarach, ze ścian zwisały Matki Boskie i krucyfiksy. Ostatni raz malowano tutaj ze dwie dekady temu, ściany przybrały kolor zgniłej zieleni, w rogach rozpanoszyła się czerń i pajęczyny. Pośrodku stał wielki stół, a jeden kąt przerobiono na poczekalnię.

– Madame jeszcze przyjmuje. Panowie raczą poczekać – odezwała się staruszka. – Może herbaty? Siądźcie, już, to tylko chwilka. Z cukrem czy bez?

Enka chciał z cukrem, a Gil wcale.

Na poczekalnię składała się stara kanapa o ozdobnych poręczach, z których odszedł już cały lakier, oraz stolik, na którym leżała cukierniczka oraz stos gazet: „Przyjaciółka”, „Kobieta i Życie”, „Stolica”, „Życie Warszawy”. Enka, który dostał już herbatę, zabrał się za kartkowanie. Staruszka zniknęła w swoim pokoju. Gil słuchał.

Zza drzwi, przeszklonych i obitych czarnym sukmem, dochodził niepodrabialny głos Królowej. Ktoś przytakiwał w tle. Słyszał co drugie słowo:

– Pani ciało astralne... dobrej kondycji. Nie widzę powodów... Przecież energie i wola mistyczna świata... Nie przechodzi samo z siebie z zodiaku w zodiak...

I tak dalej. Aż Enka podniósł głowę. Kobięcy głos chrząkał z ukontentowania. Królowa zamilkła, zaszeleściła papierami i powiedziała z mocą:

– Trzydzieści tysięcy.

Coś wewnątrz podskoczyło. Zaszurało. Wymiana szeptów.

– Niech będzie i dwadzieścia tysięcy – w głosie Królowej brzmiała rezygnacja. Dwoje drzwi otworzyło się jednocześnie. Z jednych wysunęła się gospodyni, niosąca najwyższym wysiłkiem talerz z krakersami, drugie otworzyły drogę lampucerze w trwałej, w płaszczu i z apaszką owiniętą dookoła szyi. Za nią sunęła Królowa. Wyglądała o niebo lepiej niż w Szpitalu Przemienienia Pańskiego. W oczach znów tliło się życie, stała prosto, ręce nie drżały. Zerknęła tylko na staruszkę i jej krakersy.

– Panowie razem? – zapytała beznamiętnie.

Przyjmowała w przestronnym pomieszczeniu, gdzie ściany obito na czarno i czerwono, a do okrągłego klosza pod sufit poprzyklejano złote i srebrne gwiazdy. Obok wisały znaki zodiaku rysowane prawdopodobnie na zamówienie, wycięte z tektury i oklejone folią śniadaniową. Na okrągłym zasnutym suknem stole stała szklana kula, czaszka z wydziału medycznego, jeszcze z bolcami w żuchwie, dymiły kadzidła. Jedną ścianę zdobił wykwintny pentagram, drugą – różnorakie pieczęcie o średnicy piłki do koszykówki. Gil znał się na tym wystarczająco dobrze, by stwierdzić, że mają tę samą wartość magiczną, co instrukcja do kosiarki.

Fioletowa kotara nie dopuszczała światła, a regał (pomalowany na heban, a wykonany zapewne z sosny) zapełniały rzędy szacownych woluminów oprawionych w skórę i płótno. Trzeba było wprawnego oka policjanta by stwierdzić, że to żadne książki, ale rekwizyt, fałszywa bateria okładek, podprowadzony z teatralnego lub filmowego magazynu.

– Brakuje tylko skrzeczącego kościotrupa – zauważył porucznik Enka.

W pokoju panował cierpki zapach, którego nie zdołały wyeliminować kadzidła. To cuchnęła kuweta zbita z desek, doskonale skryta pod komodą. Królowa miała dwa koty. Jeden, bury zawadiaka, natychmiast podbiegł im na przywitanie, poniuchał, popatrzył pytająco, po czym wybił się niemal z miejsca na komodę, z komody na regał, żeby pokazać, jaki jest sprawny. Gapił się teraz, usadowiony koło posążka jakiegoś hinduskiego bóstwa. Miał żywe, niemal ludzkie oczy.

Drugi kot nie zwracał na nich uwagi. Był też przeciwieństwem swojego towarzysza, smoliście czarny i tłusty aż do przesady, siedział na parapecie, z szeroko rozstawionymi łapami, jakby zamarły w połowie rozjeżdżania się na boki. Gapił się w ścianę wzrokiem niemożliwie tępym, lecz aktywnym, nieustannie ruszał główką, śledząc wydarzenia niedostępne dla innych.

– Ładne zwierzęta – mruknął ksiądz doktor. – Jak się nazywają?

– Szef i Mała – odpowiedziała, pokazując im miejsce, gdzie mieli usiąść. Włosy skrywała pod cudaczną czapą, jej utuczone ciało otaczała ciemnogrnatowa suknia. Na każdym palcu miała pierścień zwieńczony kamieniem dużym i z pewnością fałszywym. Twarz pokryła grubą warstwą pudru, usta błyszczały tanią czerwienią, oczy podkreśliła grubą warstwą tuszu. Uśmiechnęła się – wystarała się o sztuczną szczękę.

– Jak nas znalazłaś? – zapytał Andrzej Gil.

Rozsiadła się w fotelu.

– To proste. Dłużnicy i wierzyciele zwyczajnie wchodzą na siebie. A ja przecież jestem wróżką – zarechotała. – A wiecie, co to znaczy? Przyszłość widzę! Przyszłość! Właśnie tak. – Założyła nogę na nogę, a usta wykrzywiła przedziwnie, nie wiadomo, do płaczu czy do śmiechu.

– Za wszystko się płaci – oświadczyła. – Za was tutaj też zapłaciłam, a co, przecież wy, ty, jesteście taką siłą, co musi być w ruchu, taka moja rola, popychać, drażnić, jątrzyć. Jesteście raną, ja palcem, co w niej dłubie, ech,

oficerku, co oficerek tak patrzy. Dajże się wygadać starej wariatce. Mogłam być twoją matką, wiesz o tym?

Enka, chłopak z bidula, nawet nie drgnął. Szef wskoczył mu na kolana, wyciągnął łapy jak sfinks, rozmruczał się cały.

– Co widziałaś? – zapytał.

– Nie co widziałam, synuś, co oddałam? Jak byłam młoda, to mi się zdawało, że można Bogu ściągnąć spodnie, zobaczyć przyszłość w Jego jajcach – patrzyła na księdza doktora. – Wszyscy w szpitalu tak myśleli i patrzcie, jak skończyli. E tam, cena, syneczki moje, bardzo wysoka. Popatrz księżu, popatrz oficerku. Mi to w głowę poszło, głową zapłaciłam – przejechała dłonią po chuście – a inni jeszcze gorzej. Młody leczył, widzieliście, brał za to pieniądze, myślał, tylko pieniądze, a potem, hiiih, dzieciaczki moje, okazało się, że choroby także wziął! Daru nie wolno sprzedawać, dar zawsze niszczy, ale sprzedany za trzech! Tak, księżulku, jakbyś Chrystusa za pieniądze ludziom dawał.

Gil omiótł wzrokiem pokój: gwiazdki na kloszu, zasłony, pentagram i koty, których magią było piękno.

– Sama handlujesz – rzucił.

– Sprzedawałam, dawno temu. Teraz nie. Skąd miałam wiedzieć, jak płyniesz rzeką w słońcu, to zapominasz o prądach, ostrych kamieniach, głębi pod tobą, heeeech, ale głębia pamięta, kamienie też. Więc sprzedawałam, brałam pieniądze, a to? – Machnęła ręką. – Przecież zwykłe żarty – syknęła – żarty sobie z nich robię. Znam ludzi, wystarczy spojrzeć i zaraz poznasz, że ma kłopot, wiesz gdzie szukać, żadna mi to magia. Synki moje, ja poznam po kobiecie, że w ciąży, choć brzucha jeszcze nie ma, więcej, płęć powiem, więc płacą, płacą. Parę pytań, wszystko powiem, choć nie widzę, nie czytam! Żadna wróżka ze mnie, zwykła terapeutka. Hiiih!

– Nie boisz się, że tu cię znajdą? – zapytał Enka. Leniwie głaskał kota.

– A przyszedłbyś tu szukać? – prychnęła i dodała łagodniej: – Podrap go za uchem, bardzo to lubi.

Enka zaczął drapać, a Szeff przymknął oczy. Gil wodził wzrokiem za Małą, która niezgrabnie zsunęła się z parapetu, uderzyła o ziemię z zupełnie niekocim łomotem i podreptała w stronę miski. Ogon sterczał jej jak bambus.

– W takim razie, jak nas znalazłaś? – zagadnął Andrzej Gil.

Zachichotała.

– Koty mi powiedziały. Daj lepiej papieroska, oficerku.

Wydobył camele i podsunął jednego. Chwyciła w dwa palce, przyciągnęła do siebie, jakby w obawie, że zaraz jej zabiorą. Rozejrzała się, przestawiła szklaną kulę i wysunęła podstawkę, która okazała się płytką miedzianą popielniczką z przedwojnia.

– Ano, widziałam was, ściągnęłam tutaj. Kosztowało sporo.

Ostrożnie uniosła spódnicę nad kolana. Łydki owijał ciasny bandaż, pod którym sterczała gaza, a spod niej wychodziła płatanina grubych żyłaków, tak gęsta, że sprawiała wrażenie jednej plamy. Z większych odchodziły mniejsze, wijąc się ku dołowi, niknąc za kozaczkami. Enka zasłonił ręką usta. Gil tylko zmarszczył brwi. Na moment z Królowej opadła maska. Widzieli teraz starą, przejętą umieraniem kobiecinę, o spękanych ustach, najtańszych zębach i oczach, które najlepiej radziły sobie z płakaniem. Za każdy dar trzeba zapłacić.

– Bóg nie jest dla mnie dobry – powiedziała.

Gil podrapał się pod nosem, zmarszczył czoło:

– Bóg jest dobry dla każdego, rozumie tylko, że nie zawsze jesteśmy dobrzy dla siebie.

– Ładnie powiedziane – lód aż trzeszczał w jej głosie – wpuścił psy do klatki i daje, żryjcie się do woli, a jak dasz się rozszarpać, jakoś się dowleczesz, to może, powtarzam, może dostaniesz ochłap do zucia przez

wieczność. I co jeszcze ci da? Dziurę w głowie, żebyś nie pamiętał o rozszarpanych, hiiih, tych, których sam rozdarłeś na strzępy? Wiesz czego brakuje, przerwy, podziału na rundy, odpoczynku – nachyliła się w stronę księdza Gila, ostatnie słowa wysyczała przez zęby – brakuje po prostu miłosierdzia.

– Miłosierdzie nie polega na tym, że dostajemy co akurat chcemy. Bóg to nie Caritas ani maszynka na życzenia.

– Cholerna szkoda. Nie chcę nic dla siebie, księżulku, dla Młodego chcę miłosierdzia. Królowa niech zdechnie, Młody niech żyje, czy o tak dużo proszę? Ja złe rzeczy robiłam. Patrzyłam tam, gdzie nie można. Wydałam Starca, siedział przeze mnie – dodała, zaskakująco lekko. – Ale Młody co złego zrobił, to z głupoty. Nie wiedział. To jest miłosierdzie, księżulku, nie krzyż i kazanie. Wybaczenie gówniarzom, którzy nie wiedzą, co czynią. A Młody dla mnie jak syn.

Gil już otworzył usta, ale, zamiast odpowiedzieć, syknął, bo Zbigniew Enka kopnął go w kostkę.

– Bóg Bogiem, a Młodego wyciągniemy, gdziekolwiek jest – rzekł pojednawczo. – Czy lekarz widział twoje nogi? Nie odpuszczałbym tego na twoim miejscu.

Zarechotała.

– A bo to pierwszy raz, synuś? Czekał, czekał, zobaczysz coś ładnego.

Zdjęła chustę, odsłaniając włosy ufarbowane na czarno, rzadkie, ale czyste. Nad czołem, w miejscu gdzie mężczyznom robią się zakola, miała dwie blizny długie na zapalę.

– Cokolwiek mnie dręczy, Bóg czy diabeł, ma cholerne poczucie humoru. Miałam raka, jeszcze nim trafiłam do szpitala – mówiła – dwa guzy na głowie, wycięli bez problemu, ale zrozumcie, synkowie, one były mięciutkie, jak tyłek dziecka. Rogi, rozumiecie, rogi mi rosły, za to co robię. A to? –

opuściła spódnicę – o takich pierdołach nie warto myśleć. Jak ciebie widziałam w piwnicy – wskazała na Enkę – przez dwa dni krew mi z nosa szła.

– W takim razie, gdzie jest Młody? – zapytał Zbigniew Enka. Szef na jego kolanach właśnie zmieniał pozycję. Obrócił się pyszczkiem w kierunku księdza doktora i patrzył poważnie żółtymi oczyma.

– Widziałam ciebie, u tego uśmiechniętego sukinsyna – Gil domyślił się, że chodzi o księdza Karkoszkę. – Nie wierz mu w ani jedno słowo. Zdradził cię przecież. No a ciebie, synuś, to widziałam w Kazimierzu, pod krzyżami i w domu, to dobra dziewczyna jest, bardzo cię kocha i bardzo przestanie.

Enka mruknął coś pod nosem. W tej chwili nie bardzo przejmował się uczuciami Ewy, martwił się za to, czy trzecie oko Królowej jest zdolne wnikać do sypialni, a nawet pod kołdrę.

– Wiedziałam też że się zjawicie, do tego nie trzeba być wróżką. Ale Młodego, nie. Nie umiem. A może?

– Może co? – zagadnął Gil.

– Czarna dziura, niemoc i tyle, księżulku, pewnych rzeczy nie przeskoczysz. Widzę, gdzie nie widzę. Patrzyłam na Warszawę, jeździłam ze znajomym taksówkarzem. I jest jedno miejsce, którego nie mogę dostrzec. Próbuje, lecz nie potrafię. Tam, wierzę w to, trzymają Młodego.

– Gdzie? – zapytali jednocześnie. Enka się roześmiał.

Spod stołu Królowa wydobyła mapę Warszawy, już zużytą na zgięciach i porysowaną kredkami w kilku kolorach. Wzdłuż ulic biegły czarne pospiesznie namalowane linie, niektóre miejsca zakreślono na pomarańczowo. Mniej więcej w środku mapy widniało wściekle czerwone koło uczynione kilkoma gwałtownym pociągnięciami. Aż papier się przedarł. Nie trzeba znać Warszawy, by poznać to miejsce. Enka nachylił się, mrużąc oczy. Tak. Próbował się roześmiać, ale tylko obrócił zdumioną twarz ku

Królowej.

Na mapie zakreślono budynek Sejmu.

§ § §

Pałac papierosa, Królowa wyglądała jak czarownica z mrocznej baśni, makijaż trochę się rozmył, cienie pojechały w dół, tworząc niemal trupie oczodoły. W nich błyszczały oczy starej kapłanki, takiej, co wróży z bijących jeszcze serc, zniewala książąt, katów, biskupów. Filtr carmena, naznaczony czerwoną szminką, nikł w ciemnych ustach.

– Naprawdę nie widzicie, co tutaj się dzieje? – zapytała. Obaj patrzyli melancholijnie na płachtę mapy. Pierwszy wzrok podniósł Zbigniew Enka.

– Co masz na myśli?

– To, że ktoś próbuje wjechać na starym diable w nową epokę – odpowiedziała natychmiast. – Nic nowego, ale czasy mamy szczególne. Dzieje się więcej niż zwykle, dziwni ludzie się pojawiają. Starzy stalinowcy z innej baśni, ich następcy przejęci kaukaską magią próbują... Próbują co? – nachyliła się do Gila i Enki – już nie ma wątpliwości. Czasy zmieniły się nieodwołalnie, więc starzy partyjniacy, zepchnięci na boczny tor, próbują ocalić coś dla siebie. Władzę, pieniądze. O związkach z Kaukazem słyszeliście. – To było stwierdzenie, nie pytanie.

– Jaki Kaukaz? Jaka partia? Mogę uwierzyć, że jeden z drugim bawił się w diabelstwo, ale spiski? To jakaś bzdura – denerwował się Enka. Wziął głębszy oddech. – Za dużo tego. Może wolniej. Ksiądz doktor się zna, ja niekoniecznie.

Dmuchnęła dymem wprost w kryształową kulę.

– Magia arymaniczna, której służy Profesor, wywodzi się z Kaukazu – wyjaśniła. – Prawdopodobnie zetknął się tam z grupami Jezydów, dziwaczną grupą religijną.



– Najwięcej jest ich w Iraku. Wielu Kurdów, powiedzmy, odnajduje się w tradycji Jezydów, zresztą jak są Jezydarni nie są już Kurdami – wtrącił Andrzej Gil, a Enka zrobił bezbrzeżnie durną minę. Królowa mówiła dalej:

– Właściwie, to nie wiadomo co o nich sądzić, a że żyją w niespokojnym regionie, mało kto ma zdrowie i serce do badania ich religijności, zresztą, nie wiadomo, co by powychodziło. Stary, różnorodny kult z mrocznym jądrem. – Oczy jej zapłonęły. – Sami mówią o sobie, że są ludźmi wybranymi przez Boga.

– To nic nowego – mruknął Enka.

– Profesor jeździł na Kaukaz i prawdopodobnie spotkał grupę Jezydów, od której dostał, ukradł, wydobył, nie wiem przecież, rytuał arymaniczny, który potem zmodyfikował. A może to nie Profesor, tylko ktoś kto stał za sylwestrem 1941 roku? Tego już się nie dowiemy.

Książd Gil dopiero teraz uchwycił zmianę, jaka zaszła w Królowej. Jeszcze pół godziny wcześniej trzęsa się, jakby przechodził przez nią prąd, chichotała nieznośnie, wywracała oczyma i nieustannie wymachiwała bladymi ramionami. Teraz siedziała niemal nieruchomo, z dłońmi złożonymi na kolanach, tylko prawa wykonywała mechaniczny ruch, unosząc papierosa do ust. Jej oczy przenosiły się z Enki na Gila, nieustannie, ale twarz pozostała kamienna, posągowa. Pomnik kobiety.

– Przed pół wieku Polską rządziły arymaniczne siły. Teraz czują się zagrożone, w powietrzu wisi wszystko, czego się boją, wolność, indywidualność, zerwane kajdany. Nie trzeba czcić diabła, żeby połapać się w tej zmianie. – Jej głos się nasilił. – Sejmowy rytuał powinien wzmocnić, a może nawet zachować arymaniczne wpływy w regionie.

Enka akurat grzebał w paczce ze stołecznymi. Królowa zabrała mu papierosa z ręki. Dał ognia jej, a potem sobie, Gil wycofał się w róg pokoju, jak cień. Były porucznik stał na lekko rozstawionych nogach z wysuniętą

głową i lewą dłonią schowaną za plecami.

– Nie chcę wyjść na durnego glinę – zerknął za siebie – dwa lata temu bym się roześmiał. Teraz, wiem, znaczy domyślam się – spuścił wzrok – że pewne rzeczy nie są takie znów oczywiste. Widziałem duchy, półnionoła, opętanych, dziwne ptaki<sup>[17]</sup>, to jedno, a drugie, uwierzyć, że jeden rytuał...

– Kaukaski rytuał – dopowiedziała Królowa.

– Wiem, wiem – rzucił, a ona parsknęła śmiechem, starym, wariackim. Enka przygryzł wargi. – Nie wierzę, że jeden rytuał zmieni losy kraju. Choćby przyszedł na niego sam diabeł. Jak do Lipińskiego.

– Powiedz to Lipińskiemu – odezwał się ksiądz doktor.

– Kaukaskie rytuały sataniczne należą do najkrwawszych, ale i najbardziej skutecznych. Przykład, oficerku? To masz przykład. Kiedy tuż przed nadciągającą wojną Stalin mordował swych oficerów, wszyscy łapali się za głowę, tylko Hitler ręce zacierał. Pięć lat później Sowieci już wygrywali wojnę. Stalin wiedział, co robi. Poświęcenie wojowników, rozumiesz, synuś? Najlepszych, najdzielniejszych wojowników dać na ołtarz, wypruć im serca, oto cena zwycięstwa. Hiii! – zapiszczała, na moment była starą Królową, którą znali jeszcze ze Szpitala Przemienienia Pańskiego, kobietą, która rozpadała się wraz z każdym oddechem. Gil nagle poczuł, że też się rozpadnie, aż mu się w głowie zakręciło, usiadł – właściwie osunął się po Ence. Chciał powiedzieć, że już wierzy i rozumie, że historia to coś innego, niż im się zdawało, a komuniści użyją wszystkich sił, łącznie z niematerialnymi, żeby trwać przy władzy, jak ścierwojad przy truchle, lepiej nawet, materializm dialektyczny jest bardziej dialektyczny niż się komukolwiek zdawało. Ale tylko tkwił na krześle, a przez ściśnięte gardło chciało przejść jedno, jedyne słowo, za to powtarzane aż do znudzenia:

– Durne, durne, durne, durne...

Enka obejmował mu głowę.

– No, durne – przyznała Królowa – większość rzeczy prawdziwych jest durna. Miłość, powołanie, morderstwo, pieprzenie, prawda, oficerku? Czuję, jak energie zbiegają się do jednego miejsca, łapie się na nie kto może, komuniści, patrioci – zawahała się – ja wielu rzeczy nie rozumiem. Idzie tym razem o miliony ludzi. Oni to odczuwają, wszyscy – aż wskazała za okno, oddała niepewnie: – Czuję, że w grze jest ktoś jeszcze.

– Nie rozumiem tego na przykład. – Zbigniew Enka zdawał się słuchać głównie własnych myśli. – Czemu Profesor nie poderzwał Młodemu gardła jeszcze w Szpitalu Przemienienia? Z Filemonem nie miał kłopotów. A już w ogóle nie pojmuję, czemu czeka do tej pory? Wyglądał mi na faceta, który ma wszystko zapięte na ostatni guzik.

Zabrał na wpół spalonego papierosa z brzegu popielniczki.

– Profesor jest mądry, w szczególny sposób, bo to potwór, a dopiero potem mądrala – oświadczyła – wszystko ma swoją porę. Nawet różdżkarz wie, że najlepiej szukać wody w przededniu wigilii św. Jana. To tylko tradycja, naprawdę chodzi o optymalny układ gwiazd. Można też śledzić same energie albo spróbować wyliczyć przyszłość. Nie wszystko przeczytać, za to wszystko można nazwać na wiele sposobów.

– Też liczysz? – w głosie Gila brzmiała troska.

Nawet na niego nie spojrziała.

– Nie widzę wszystkiego, a ludzie w rodzaju Profesora umieją się maskować. Więc domyślałam się tylko, że planował zostać nieco dłużej w Szpitalu Przemienienia. Przyspieszyliście jego wyjazd. – podrapała się w czoło, mówiła teraz do Gila. – Nie, nie liczę, coś liczy we mnie. Widzę teraz, to coś pokazuje mi jutro. Widzę tutaj, widzę też tam – wargę jej zadrżała. – Nie prosiłam o to.

– Współczuję serdecznie, ale co tak naprawdę z tego wynika? – zaburczał Enka nisko i bezradnie. – Z Sejmu, Kaukazu, komunistów i Profesora?

– Rytuał najprawdopodobniej odbędzie się po pierwszym posiedzeniu Sejmu. Na to wskazują zwyczaje kaukaskich czarowników, a także stan nefilima, któregoście widzieli – zrobiła efektowną pauzę, podczas której Enka zdążył pomyśleć, czy Królowa nie pogrywa z nimi podobnie, jak ze swoimi klientami. Zmrużyła oczy, rzuciła: – Gdzie to będzie, już wiecie.

– Durne – powtórzył Andrzej Gil. Otworzył okno na oścież i przysunął się w jego stronę z całym siedzeniem.

– No, durne – przyznała – słyszałeś ostatnio o czymś durnym, co się nie sprawdziło?

Zbigniew Enka podszedł do okna. Gapił się na podwórko beznadziejnym wzrokiem. Zupełnie zapomniał o strzepywaniu popiołu, zabrudził sobie koszulę i spodnie, a w miejscu, gdzie siedział, na dywanie pozostał szary półokrąg.

– W Sejmie, ale gdzie? – denerwował się. – Sejm, słuchajcie, to nie jest sobie sala, gdzie siedzą nasi wspaniali posłowie, to cały kompleks, gabinety poselskie, szatnie, sale konferencyjne, pewno i hotele, żarcie jakieś, te sprawy? Gdzie to dokładnie będzie?

Tylko wzruszyła ramionami.

– Nie widzę Sejmu, więc domyślam się, że będzie to w Sejmie. Dotąd było.

– Jak to dotąd? – zapytał ksiądz Gil słabym głosem. Odzyskał nieco kolorów na twarzy, ale siedział dalej niepewnie, jakby fotel wyposażono w rzędy ostrzy, które mogły wysunąć się w dowolnej chwili. Zerkał za otwarte okno. Chłonał powietrze Warszawy.

– Pierwszy rytuał, jak pewnie wiecie, dokonał się w czasie wojny, na Chłodnej, z udziałem członków pierwszej grupy komunistów zrzuconych do nas ze Związku Radzieckiego. Byli do tego przeszkoleni, a rytuał, którego użyli, również pochodził z Kaukazu. Sejmu nie można było oczywiście

wykorzystać, ale dwanaście lat później, po śmierci Stalina, owszem. To nas udupilo. Być może próbowano ingerować wcześniej, ale wiem, że Profesor zorganizował rytuał w 1980 roku. Cofnąć czasu nie cofnął, ale zatrzymał pewne sprawy, nadzieja w ludziach zgasła, wprowadzono stan wojenny, sił starczyło na najpotężniejszy chyba zryw sił arymanicznych. O, synki, to jest Aryman, żelazna rękawica i za pysk wszystkich, czołgi. Na dziesięć lat zapewnili sobie spokój. Teraz Profesor chce zrobić to ponownie.

– Czemu Młody? – chciał wiedzieć ksiądz doktor.

– A czemu nie? Kto o niego zapyta? He? No kto zatroszczy się o takiego? – skrzeknęła gniewnie i zaraz odzyskała spokój. – Poza tym, na żertwę zawsze brali ludzi jeśli nie ze Szpitala Przemienienia, to z programu, którego szpital jest częścią. Mnie nie wzięli, bo jestem za stara. Ot co, stare pudło, co miłości ma tylko na jednego człowieka. Nie, synki? Było mi lepiej siedzieć w domu.

Ostatnie słowa wypowiedziała w ciszę. Gil wciąż siedział, napinając wszystkie mięśnie, czoło przecinała mu strużka potu, za to Enka stał przy oknie, w pełni opanowany i najwyraźniej zastanawiał się, czy zapalić papierosa, którego miętosił w ręce, czy jeszcze poczekać. Trzeba się z nim spieszyć, bo zaraz się skończy. Miał papierosa, a tani tytoń sypał się na ziemię.

– Powiedz mi lepiej, jak tam wejdziemy – zapytał, znać było obawę, że o tę część planu on, Enka, będzie musiał zatroszczyć się samodzielnie. Królowa zaś wyglądała, jakby czekała tylko na to pytanie, twarz jej pojaśniała i przybrała wyraz dziewczynki, która właśnie słyszy, że pójdą na grandę, narwą jabłek i będą zmykać przed rozjuszonym psem. Zerwała się i dopadła kotary przy oknie.

– Jak to jak? – ucieszyła się. – Jak wszyscy! Na Wałęsę!

Gil i Enka pobledli, jakby jednocześnie odessało im krew z twarzy i dłoni.

Królowa wydobyła bowiem karton z naklejoną sylwetką przewodniczącego Solidarności, starannie przycięty. Lech Wałęsa miał dziwną minę, Matkę Boską w klapie i najpiękniejsze wąsy na całym świecie. Prawą rękę wyciągał do uścisku. Nim którykolwiek zdążył choćby otworzyć gębę, na stoliku obok kuli do wróżb wylądowały dwie podniszczone, lecz wyprasowane marynarki, brylantyna, okulary w rogowej oprawie, brzytwa, pędzel do golenia oraz mydło.

– Mamy sobie gardła popodrzynać? – wykrztusił Zbigniew Enka. Królowa tymczasem zsunęła pentagram ze ściany, wygrzebała z szafy statyw i jęła nań nakręcać aparat Zenit 12 z lampą błyskową. Nie wiadomo, co ksiądz doktor otworzył szerzej, usta czy oczy. Przybrał pozycję, jakby właśnie stał na ruchliwej drodze i szykował się do uskakiwania przed rozpędzonymi samochodami.

– Z wykształcenia jestem technikiem fotografikiem – pochwaliła się. – Nie martwcie się, Lechu będzie na tych zdjęciach bardziej żywy, niż wy.

– Durne – rzekł Gil. A Enka oderwał się od okna, wykonał półobrót i zaczął pokrzykiwać: – Nie! Nie! Nie!

Popatrzyli na niego.

– Czy ta kula ci na głowę spadła? – pytał Enka. – Może lepiej, o, pomóż mi Andrzej! No już! – zaczął szarpać się ze stołem. Gil nie drgnął – no dalej! – zachęcał – polecimy na tym dywanie może, co? Na pewno fruwa! Wylądujemy na dachu Sejmu, a ty każesz mu zeznać Pismo Święte wraz z tymi, no, apostatami albo lepiej, pani wróżka zmieni go w żabę! Przecież tak się nie robi! Wiem, jestem milicjantem!

– Byłeś milicjantem – przypomniała Królowa i chyba tego pożałowała, bo w oczach Enki coś błysnęło złowrogo, aż zagrzmiało prawie i przez moment wydawało się, że oficer rzuci się na nią i zadusi. Zrobiła krok do tyłu.

– Zbyszek ma trochę racji – wyrwało się Gilowi. – Co, jak nas

zatrzymają?

– Trochę racji? – pieklił się Enka. – Może i nie jestem milicjantem, co nie znaczy, że mam skakać na jaja w wilczy dół. No ludzie! – Wymachiwał papierosem, wytrzepując resztki tytoniu. – Mam jakieś znajomości w Warszawie, ty też, może nawet jaśnie pani nie żyje na pustyni, więc zabierajmy się stąd do ludzi, którzy nam pomogą. Znam takiego Staszka, on się przy Solidarności kręcił...

– Takiego Staszka – powtórzyła Królowa.

– Staszka! Lepszy żywy Staszek niż Wałęsa z papieru.

Poczerwieniał na pysku. Zaciskał pięści.

– Staszek cię wyda. Prawie każdy cię wyda w tym mieście. A jak złościsz się na mnie, naprawdę złościsz się na siebie – powiedziała spokojnie. Dalej ustawiała aparat.

– Rany Boskie – Głos księdza Gila niemal zginął w awanturze. Nie wiadomo też, czy ksiądz miał na myśli wrzeszczącego Enkę, czy tekturowego Wałęsę ustawionego przy ścianie i aparat naprzeciwno.

– Otóż gównu! – darł się Enka – wiem, kto zacz, ja znam ludzi bez kart i trików, do cyrku z tym! Kurwa! Czemu mnie to spotyka? – Nagle coś w nim zgrzytnęło, kolana zadrżały. – Myślałem, że skoro tłukę się przez Polskę, będziesz miała lepsze pomysły.

– A skąd! Hiiiiha! – Podskoczyła, znalazła się przy nim. Ucałowała w powieki. Nie protestował. – hiiii – znów się śmiała – synuś, synuś, czegoś ty się spodziewał? Zapomniałeś, że wariatka jestem? Ale ciemnię mam!

Enka wyzwolił się z jej uścisku, znalazł oparcie w ramieniu księdza Gila, w ogóle tego dnia podtrzymywali się wzajemnie, zerknął jeszcze na Wałęsę, potem w niebo wzrokiem człowieka, który nie pragnie niczego ponad uwierzenie w Boże miłosierdzie. Otarł twarz. Zapalił i zakrztusił się dymem. Gil ciążył ku otwartemu oknu.

– Może ksiądz dobrodziej przodem? – zachęciła Królowa. – Pokażę łazienkę. Włosy zrobimy, okularki? Zaraz będzie z ciebie, chłopczyku, polityk, że buty spadają. No już, już. A ty, synku – to było do Enki – odsapnij chwilę, dobrze? Zrozumiesz, że innego wyjścia nie ma i cześć.

Tymczasem Enka schował głowę w dłoniach, próbował się nie kiwać, a wszystko wokoło brzmiało niczym ziemia sypana niespiesznie na wieko trumny. Czerwona plama sprzed oczu ustępowała i nagle usłyszał, że ktoś, niedaleko powtarza w kółko cztery słowa: *Nazywam się Zbigniew Enka, Nazywam się Zbigniew Enka. Nazywam się Zbigniew Enka.*

Był to on sam.

§ § §

Nastał wieczór, na stole leżały wysuszone odbitki. Co Gil na nie spojrzął, musiał przełknąć ślinę. Wałęsa wyszedł jeszcze po ludzku, w każdym razie był mniej płaski od księdza doktora, nerwowo zerkającego w obiektyw. Ksiądz doktor miał ulizane włosy i okulary stanowczo za duże, takie jakie mógłby nosić Lipiński, gdyby był jeszcze starszy. Za to Enka wyglądał, jakby właśnie dostrzegł wymierzoną w siebie lufę i szykował się do przekonującego unoszenia rąk.

– To się nie uda – rzekł Gil.

Królowa tylko się wyszczerzyła.

– On ma rację – włączył się Enka. Obracał w palcach swoje zdjęcie – nie chcę się już złościć, ale naprawdę, znam się na tej robocie. Jeśli jakiś dureń wpuści nas do Sejmu na zdjęcie, to ja jestem bóg rzymski.

– Może i jesteś, synuś. Skoro z wyborcami się udało, to my wyrolujemy straż marszałkowską, czy jak jej tam. Poza tym – tryumfalnie błysnęła sztuczną szczęką – będziemy jeszcze mieli to.

Z fałdów spódnicy wydobyła sfatygowaną legitymację i podała księdzu



Gilowi. Ten obrócił ją w palcach, policzki mu się obsunęły.

– Chryste Panie – szepnął i podał Zbigniewowi Ence. Ten zaś tylko rzucił okiem i wykrztusił to, co wszyscy gliniarze świata mówią w takich chwilach. Była to legitymacja poselska, bardzo dobrze podrobiona, taki Grula by na pewno nie rozpoznał. Wmontowano w nią zdjęcie Królowej, wyraźnie odmłodzonej i zadowolonej z życia. Poniżej było napisane:

*Wiwianna Orczykowa. Poseł na Sejm PRL. Chrześcijańska Unia Jedności.*

### § § §

Enka mył zęby w zimnej wodzie, myśląc, kim naprawdę jest, co robi, jak to wszystko się skończy i czy ksiądz Gil musiał pluskać się tak długo, że opróżnił bojler. Aż zęby bolały od chłodu. Bolał też kark od spania na karimacie między szklaną kulą a tekturowym Wałęsą, bolał brzuch po wczorajszych kiełbaskach, wreszcie bolało życie i to tak, jakby serce Enki szykowało się do pęknięcia na dwie połowy.

Kim ja jestem, myślał, patrząc w lustro. Trzydzieści cztery lata połamane w jeden dzień, ni to milicjant, ni łowca duchów, panienek – może, ale tak na zimno. Dokąd idę? Co mnie ciągnie? Może, nie, na pewno, to tylko złudzenie, że mogę coś rozgryźć, złapać diabła za ogon, naprawdę coś mnie pcha, a ja nie wiem dokąd. Co zostanie z mojego życia? Puste mieszkanie? Ksiądz? Więzienna cela? Jeśli mnie zabiją, a przecież zabiją, o czym będę myślał w tej ostatniej chwili? Nie śmierć jest straszna, ale ten moment, gdy trzeba pomyśleć o czymś ważnym, czymś dobrym, co się zrobiło, co żal stracić, a ja to co? Kto pozna mojego trupa? Kto przyjdzie na mój grób?

Zastygł na chwilę ze szczoteczką w gębie, jakoś nie mógł patrzeć w lustro, więc wodził bezmyślnie wzrokiem po łazience. Był tu wannobrodzik, stworzony zapewne z myślą o karłach, w którym nie sposób było nawet wygodnie usiąść, terma podobna do niewypału, osmarkana umywalka i

póleczka, na której stał pokryty osadem kubek do płukania ust i pasta Biały Ząbek. Enka pomyślał, że wolałby myć zęby błotem.

I jeszcze ten upał, myślał, mogłaby już przyjść jesień, jesień jest przyjemna, deszczowa, można tkwić w domu i mieć wszystko w dupie, w ogóle zmiana pór roku to coś pewnego, w odróżnieniu od życia. Nic oczywiście z tego nie wyjdzie, jesienią najpewniej będę siedział, dziwne, że jeszcze mnie nie zapuszkowali, może czekają, tylko na co? Jakie więzienie? Dla mnie w tym kraju nie będzie miejsca nawet w ulu, więc skończę jako ochroniarz w Stanach albo trup w Wiśle. Jaka różnica?

Skończył myć zęby i jął upodabniać się do posła z Chrześcijańskiej Unii Jedności, a przynajmniej do własnego wyobrażenia o nim. Założył, nie bez wahania, paskudny garnitur, w którym natychmiast się poczuł jak matematyk z podstawówki, który kiedyś chciał być kimś, a przez dwadzieścia lat awansował z pijaka na alkoholika pierwszego sortu. Przygłodził włosy, nałożył okulary. Tak. Rzeczywiście, być może są na świecie ludzie, którzy w ten sposób wyobrażają sobie posła z opozycji: marynarka jak wysłużony żagiel, paskudna fryzura, świński ryj. Rzeczywiście, jestem nie do poznania, przemknęło mu przez głowę – okulary postarzały go o dekadę, wyglądał, jakby od dwóch miesięcy nie zajmował się niczym innym, jak radosnym świętowaniem przemian Okrągłego Stołu.

Trzeba było iść, ale jakoś nie mógł opuścić łazienki. Pójdziemy i co? Jeśli nawet znajdzie się pajac dość głupi, by nas wpuścić do Sejmu, to co dalej zrobimy? Będziemy szperać w piwnicach? Wyjdę na trybunę? Zastukam po kolei do każdych drzwi hotelu sejmowego? Przecież nawet nie jestem milicjantem.

A kiedyś było tak kurwa ślicznie, była praca, dziewczyny, zamykało się różne kanalie, a we mnie panował spokój, taka cudowna pewność wszystkiego, a teraz kij mi w oko. Przecież kiedyś, dawno temu, był też świat

bez księdza doktora, choć teraz trudno w to uwierzyć, jakbym czytał wspomnienia pradziadka czy coś podobnego, właśnie ten świat, w którym kupowanie piwa trapistów z Belgii starczało za całą duchowość. A teraz? Widziałem latające przedmioty, duchy, istotę, która nie ma prawa istnieć, i ludzi po prostu niemożliwych i sam, psiakrew, staję się po prostu nieprawdopodobny. Oto stoję teraz przed lustrem w mieszkaniu jakiejś staruchy, w kieszeni mam zdjęcie z fałszywym Wałęsą i zaraz będę jechał do Sejmu w towarzystwie księdza i starej wariatki, a to po to, by uratować cudotwórcę i byłego sługusa resortu z rąk profesora, komunisty, satanisty i prawdopodobnie zjadacza dzieci. Kim ja jestem?

Kim ja jestem?

Już stał w drzwiach. Zawrócił i spojrzał jeszcze raz w lustro. Kim ja jestem? Skąd u diabła biorą się takie pytania? Andrzej ma jednak trochę lepiej, w końcu to ksiądz, a jak się wierzy, że facet z krzyża zdjęty może ożyć i wpaść do kumpli z wizytą, to anielski bękart wydaje się błahostką.

§ § §

Być może ksiądz doktor habilitowany zgodziłby się z tą opinią, gdyby miał okazję ją usłyszeć. Siedział jednak w ciszy, patrząc na Królową. Stawiała pasjansa, po jej ustach błędził niepewny uśmiech. Miała trwałą dobrze zrobioną, suknię zamieniła na szarą spódnicę i czarną miękką bluzkę z broszką przypiętą w miejscu serca. Makijaż był mniej wyrazisty niż poprzednio, ale wciąż mocny, jakby chronił jej twarz przed rozpadnięciem. Im dłużej Gil na nią patrzył, tym mniej rozumiał, czego naprawdę chce ta kobieta, co przeszła i jakim cudem, święty Boże, pozostaje w jednym kawałku. I nagle przyszło olśnienie – przypomniał sobie tę galerię martwych za życia, którą widział w Szpitalu Przemienienia Pańskiego. Królowa była inna, zniszczona, o zmasakrowanej duszy i sercu, ale żywa mocnym, dobrym

życiem. Tacy ludzie w lepszym świecie cieszyliby się na przykład z pięknego dnia, patrzyliby innym w oczy, śmiali się, czuli. Wariat jest obcy. Ona nie.

Jakim cudem jest taka spokojna? Przecież każdemu przewróciłoby się w głowie od tych niesamowitości, myślał, sam omal nie oszalałem. Tego nie uczą na teologii, owszem, jest diabeł, co krąży jak lew ryczący, ale teraz ten ryk aż uszy rozrywa, czuć smród jego sierści, odór z paszczy, powietrze drży. Tak nie powinno być, a jak to opowiedzieć? Nie wiem. Przecież jeśli ta sprawa się skończy i jakimś cudem, z pomocą Bożą i całej kupy świętych, wyjdą z tego cało (Dobry Panie, czuwaj nad Enką, ale i mnie nie zapomnij), będzie musiał o tym komuś opowiedzieć, na przykład biskupowi Rurakowi, jeśli ten będzie żył. Jak streścić to wszystko? Nie uwierzą nawet najżyczliwsi, zwłaszcza jeśli rozmowa, spowiedź nawet, odbędzie się w więziennej celi.

Nagle przeraził się, że Rurak już umarł albo się nie wybudzi. Ostatni życzliwy człowiek, na Karkoszkę nie ma co liczyć, ech, on i jego uśmiech. Kupili go, przynajmniej tak twierdzi Królowa. A jak się uśmiechał! – Gil wściekał się w głębi serca, myśląc o swoim przełożonym dosadnie, a nawet nie po chrześcijańsku.

W drzwiach stanął Zbigniew Enka. Popatrzyli po sobie. Obaj w dziwnych garniturach, z przylizanymi włosami, zupełnie do siebie niepodobni. Zaśmiali się jednocześnie. Zza Enki wysunęła się staruszka, niosąc tacę z herbatami. Oczy jej pojaśniały z zachwytu: – Panowie tak ślicznie teraz wyglądają! A pani Wiwianna to prawdziwa dama! – powiedziała zachwycona. Gil z Enką wymienili spojrzenia. Podziękowali za herbatę, Enka nawet trzymał już szklanekę z uszkiem, gdy za oknem zabrzmiał klakson. Trzy razy, bardzo głośno. Królowa poderwała się znad kart.

– Już przyjechał! – zdziwiła się. – Proszę, proszę. Chodźcie na dół.

Twarz staruszki gwałtownie poszarzała. Wodziła oczyma za szklanką w ręce porucznika Enki.

– Ojej! Trzeba wylać... Może jeszcze pięć minut panowie zostaną?

Królowa energicznie potrząsnęła głową.

– Niech pani nie wylewa. Lubię zimną herbatę – Enka zdobył się na wesoły ton, a Gil zrobił grobową minę. Ruszyli do wyjścia jednocześnie, jakby mieli to wyćwiczone. Staruszka zastąpiła im drogę, jej ręka miękko powędrowała w górę, dotknęła czoła Andrzeja Gila i bardzo powoli nakreśliła znak krzyża. Ksiądz minę miał kamienną, myślami przebywał gdzie indziej. Zbliżyła się do Enki, ten stał już z miną skazańca, ale gdy tylko dotknęła jego czoła, coś w nim się zmieniło. Popatrzył w jej oczy, ujął za rękę, pocałował.

– Dziękuję – szepnął.

§ § §

Andrzej Gil gapił się i nie mógł przestać. Enka natomiast uniósł brew i pokręcił głową, cmokając z zadowolenia. Na podwórku stał bowiem czarny mercedes z elektrycznymi szybami i lusterkami. Otoczony przez pył i szarość wyglądał na pojazd z innej planety. Takie auto jest jak piękna dziewczyna, nawet ksiądz się za nią obejrzy. Za kierownicą siedział facet w letnim garniturze. U szyi wisiał mu potworny buraczkowy krawat. Radio grało *Neverending story*, a Enka, choć nie znał angielskiego, dałby sobie głowę uciąć, że facet śpiewa nieludzkie pierdoły. Wiedział też, że kierowca to taksówkarz i to z dziada pradziada, jeden z tych, którzy mają szacunek do dryndy jak myśliwy do strzelby, a ksiądz do Biblii. Dziadek woził, tato woził, wożę i ja, a dzieci też będą taksówkarzami, choćbym miał ich dwa tuziny.

Na widok Królowej kierowca skinął głową i ściszył radio. Enka usiadł z

przodu, a jego uwadze nie uszła welurowa tapicerka. Dzięki klimatyzacji w mercedesie panował przyjemny chłód i Enka ucieszył się, gdyż nie oczekiwał nawet takiej przyjemności. Gil wciśnięty w tylne siedzenie wyglądał, jakby właśnie szykował się na ukrzyżowanie.

Przez całą jazdę kierowca nie odezwał się nawet słowem ani na nich nie spojrzął, śledząc drogę zza ciemnych okularów. A Warszawa wokół rozkwitała tysiącem barw. Z budek pełnych kaset magnetofonowych grała zachodnia muzyka, na stołach i łózkach leżały książki, na rogach kobiety handlowały ubraniami. Ludzie już nie wiedzieli, jak się rozbierać, dziewczyny odsłaniały ramiona i nogi aż po pępek, mężczyźni prężyli mięśnie, paru przeszło z gołym torsem i nawet emeryci, zazwyczaj opatuleni w marynarki i swetry, przerzucili się na koszule, jakby godząc się z nieuchronnością zmian. Szarość bruku i kamienic niknęła, zgnieciona, rozprasowana pod ciężarem gumy turbo, całych stosów ubrań, flag z okładkami płyt, naszywek i błyszczących czasopism sprowadzanych z Zachodu. Stanąwszy na światłach, widzieli wyraźnie dziarskiego grubaska, który oferował chyba wszystkie pisma dwóch kontynentów: były gazetki pornograficzne z Niemiec, angielskie wydanie Playboya, rząd pism dla kobiet, wreszcie nieprawdopodobna ilość niemieckiego Bravo i Popcornu, z których uśmiechały się gwiazdy. Obok grubasa akurat leciało dwóch chłopców, z których każdy niby wielką świętość targał plik katalogów samochodowych wydrukowanych na grubym kredowym papierze.

A ludzie kręcili się, jakby Warszawa była ulem, a Stadion Dziesięciolecia wielogłową królową. Każdy gdzieś pędził, to z teczką, to plecakiem, z rękami pełnymi czegoś tam, co czasem pozostawało trudne do rozpoznania. Jeszcze niedawno wszystko było jak w czarno-białym telewizorze, ludzie pośnięci, a teraz oczy płonęły, dziewczyny śmiały się do chłopców i na odwrót, w bramach strzelały kapsle, a pijacy dyskutowali żywo, całym ciałem,

strzykając śliną i poklepując się nawzajem. Gil nabrał wrażenia, że jeszcze moment i całe miasto wzniesie się ku górze, a w ziemi zostanie tylko głęboka czarna blizna po Warszawie.

Minęli już plac Trzech Krzyży z tęgim kościołem i, traf chciał, dwoma krzyżami. Na schodach przed świątynią, ksiądz kłócił się z handlarzem, który akurat próbował rozłożyć tutaj swoje zegarki. Sądząc po ruchach ich ciał – machanie rękami, miotanie głową, a nawet podskakiwanie – rozmowa szła na ostro, a w pewnej chwili do kłótni włączył się żebrak dotąd siedzący przed wejściem. Nadciągał z godnością co najmniej profesorską, unosząc brudną brodę i zaraz ją coś klarować, pomagając sobie rękami. Tamci patrzyli na niego w osłupieniu. Nim zniknęli Gilowi z oczu, ksiądz pomyślał, że pogodziło ich zdziwienie.

Mijali już budynki kompleksu sejmowego, a Enka, który siedział z przodu, widział białą kopułę, maszt i flagę okręconą wokół masztu niczym żagiel albo przycięta płetwa. Można by pomyśleć nawet, że jeszcze trochę i Sejm ruszy ospale przez miasto, miażdżąc ludzi i zwierzęta. Enka spodziewał się tłumów, może nawet demonstracji, ale Wiejską wałęsały się co najwyżej małe grupki ciekawskich przechodniów. Między nimi sadził susy jakiś zabłąkany fotoreporter. Aparat zwisał mu z szyi niby czarny kamień, a marynarka, którą narzucił na siebie, wyglądała na zdartą z martwego Chińczyka. Nieco dalej dwóch milicjantów ciągnęło pijaczka w stronę radiowozu. Ten wrywał się i wrzeszczał wniebogłosy. Na głowie miał rogatywkę, a do piersi przyciskał flagę biało-czerwoną. Kiedy funkcjonariusz próbował mu ją zabrać, zaczął szarpać się i gryźć go po rękach. Mignęła pałka. Na bramach złociły się orły, w ścianach prężyły się gryfy.

Gil, który rzadko bywał w Warszawie, a w te rejony nigdy się nie zapędził, myślał, że Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej to miejsce osobne, trochę jak kościół na placu Trzech Krzyży, który przed chwilą

minęli, tylko spotworniały i gigantyczny, rzucony na jakiś plac defilad albo koło muru jednostki wojskowej. Tymczasem kompleks sejmowy wyrastał z Gierkowej szarzyzny, makabryczności nierównego asfaltu, czteropiętrowych budynków mieszkalnych o balkonach jakby przytartych lub niedokończonych i zaraz dachy pięły się w górę, parkingi stawały się głębsze, ludzie ładniejsi i bardziej nasyceni. Tak, myślał Gil, on naprawdę wyrasta z kraju. I nagle skarcił sam siebie, bo ksiądz nie powinien myśleć o takich rzeczach.

Wjazdu bronił szlaban, obok niego stała budka i strażnik, który zwrócił uwagę na ich mercedesa. Rzeczywiście, pod Sejm podjeżdżały renówki, audiki oraz fordys, ale było też dużo wołg, skód i polonezów. Nawet ciemnogrnatowe BMW wyglądało przy ich mercedesie jak krewny nawet nie ubogi, lecz wynędzniały, zapuszczony, pełen wszy i pyłu. Królowa rozglądnęła się zdenerwowana, szepnęła coś kierowcy, ten nawet nie drgnął. Wymieniła z Enką nerwowe spojrzenie. Cóż trochę za późno na zmiany, za nimi już jechał polonez, dobrze, że chociaż świeżo od lakiernika. Kierowca zwolnił i zjechał na bok, wpuszczając błyszczące nowiusieńkie volvo, które odebrało mercedesowi choć część niechcianej chwały.

Enka z satysfakcją stwierdził, że Gil gwałtownie skulił się w fotelu, przyciskając twarz niemal do policzka Królowej, zupełnie tym nie przejętej. W volvo siedział bowiem biskup albo ktoś, kto zdaniem Enki, biskupa przypominał. Miał twarz uduchowioną i poważną, z tłustej brody zwisały całe girlandy skóry, że można by je prawie wokół ramienia okręcać. Głowę zdobiła piuska, a oczy sprawiały wrażenie już zwróconych ku wieczności.

– Zwalnia – zażartował Enka.

Gil pisnął i zaraz fuknął gniewnie, gdy połapał się, że został okłamany. Królowa syknęła, na znak by się uspokoili, ale Ence wesołość przeszła z innego powodu. Widział ze swojej strony, jak z samochodu przy szlabanie wysuwa się ręka z legitymacją, strażnik tę legitymację otwiera i studiuje



dokładnie, marszcząc przy tym czoło. Wydał wargi, coś powiedział, a ręka wysunęła się ponownie, tym razem z papierzyskami. Strażnik zagłębił się z uwagą służbisty, coś tam pomamrotał i, nie bez pewnego żalu, dał wolną drogę.

– Szlag – wyrwało się Ence. Kręcił głową, jakby coś uwierało go w gardle. Gil wyglądał jeszcze gorzej – wytrzeszczał oczy, ledwo łapał oddech, po skroniach synchronicznie spływały mu dwie krople potu. Za to Królowa była spokojna, a kierowca ani drgnął. Jeszcze zdążyli przetrzeć twarz księdzu doktorowi, jeszcze Gil podał dokumenty, które, dzięki ci Panie, potem nie przesiąkły. Wartownik zasalutował wysłużonym ruchem. Wiedzą, pomyślał ksiądz Andrzej Gil, wiedzą jak nic.

Jako pierwszą wartownik wziął legitymację należącą do Enki, wydobył włożone za obwolutę zdjęcie z Wałęsą i zaczął się na nie gapić, przybierając tępy, najwyraźniej służbowy wyraz twarzy. Przeszedł do legitymacji, lecz coś wyraźnie mu nie pasowało – wybałuszał oczy, syczał pod nosem, a nawet bezradnie zerknął w kierunku kolegi, spacerującego sobie kilkadziesiąt metrów dalej.

Już chciał go wołać, gdy z samochodu za nimi wypadł facet z elegancko przystrzyżonym ciemnym wąsem i sprężystym krokiem ruszył w stronę wartownika. Unosił lekko ramiona przy każdym kroku, a wnioskując po jego minie, Zbigniew Enka nabrał przekonania, że zaraz wąsacz wyszarpienie splewę z za poły marynarki i zabije wartownika. Nie była to splewa jednak, tylko legitymacja podobna do tych, które sami mieli.

– Miły panie, jestem posłem i bardzo się spieszę – syczał takim głosem, jakim zazwyczaj wyklina się bliźnich od najgorszych. – Może raczy pan zrozumieć, że mam jeszcze naradę klubu przed posiedzeniem inauguracyjnym. Czy pan naprawdę nie rozumie takich rzeczy? – wycedził, zerkając na oniemiałego Gila. – Czy my tu wyglądamy na agentów jakichś?

Jak pan myśli?

Strażnik przyglądał mu się uważnie, legitymacji mniej uważnie i poszukał ratunku w smutnym szarym człowieku, który siedział nieruchomo wewnątrz budki przy szlabanie. Człowieczek uniósł się, poczłapał do posła, przyglądał mu się, ale legitymacji – wcale.

– Jechać! – mruknął i wrócił do cienia, nie czekając, co stanie się dalej. Strażnik zasalutował i oddał legitymację Zbigniewowi Ence. Ruszyli, a nim stanęli na parkingu, ksiądz doktor zdążył rozważyć wszystkie znane aspekty tej prostej prawdy, że szczęście przewyższa rozum, tak jak miłosierdzie Boskie, stoi nad ludzką litością.

§ § §

Wysiedli z samochodu, ogarnięci gorącem i poczuciem beznadziei. Ostatnie samochody znajdowały sobie miejsce, a z nich wytaczali się posłowie, niektórzy zupełnie zagubieni, inni niosący teczki jak piknikowy koszyk, wreszcie nastawieni na walkę – ci szli z głowami wysuniętymi do przodu, napinając pod garniturami mięśnie kapturowe i zaciskając pięści. Szli tak po czerwonej kostce w kierunku wejścia głównego. Brązowe drzwi odcinały się wyraźnie od bieli ścian. Po nich pięły się rośliny i kielichy, po drzwiach zaś – esy i floresy. Za nimi stało dwóch potężnych facetów.

– Smutni – warknął Enka.

Królowa dała kierowcy kartkę starannie złożoną na pół, ten jeszcze staranniej schował ją do wewnętrznej kieszeni. Chwilę później już jechał w stronę innego wyjścia, bez słowa pożegnania albo uniesienia ręki. Enka obserwował mężczyzn stojących przy wejściu. Tu nie było już żartów, wystarczyło spojrzeć, by wiedzieć, że nie wpuszczają tych, którzy wejść nie powinni. Enka zdążyłby się tym zmartwić, ale miał też inne rzeczy do patrzenia.

Po parkingu tańczył ksiądz doktor Andrzej Gil. Pierwszy pląs wykonał na widok biskupa gramolącego się z samochodu. Wielebny biskup wylazł, ciężko sapiąc przy tym i wydymając wargi. Niby od niechcienia rozejrzał się po parkingu, a Gil jednym susem znalazł się za samochodem. Szli w tym samym kierunku, biskup wciąż się oglądał, więc nieszczęsny Gil nieustannie szukał bezpiecznej przestrzeni za Królową, między innymi ludźmi, krzyżował przy tym stopy, garbił się, gwałtownie odskakiwał, aż Enka pociągnął do siebie.

– Czyś ty na łeb upadł? – warknął. – Leż za mną jak musisz!

Gil posłusznie wykonał polecenie.

– Co to za patafian? – Enka kiwnął palcem. Biskup maszerował w bezpiecznej odległości, otoczony przez dwóch facetów w cywilu i jednego pod koloratką, dziwnie do siebie podobnych. W ogóle nie widział Gila, zresztą nie dostrzegłby, gdyby na Sejmie wylądował statek kosmiczny, zaglądał bowiem w głąb siebie, w niezmierzone pokłady dumy, jakby był co najmniej kardynałem albo podawał buty samemu papieżowi.

– Ksiądz biskup... Antałowicz – Gil z wysiłkiem przypomniał sobie to nazwisko. – Znamy się. Co mam odpowiedzieć, jak zapyta, skąd wzięłem się w Sejmie, dokąd idę? Czekać! Możemy poczekać chwilę przy innym samochodzie?

– Przecież on się nie obejrzy, nawet gdyby archanioł Michał ugryzł go w dupę – rzekł Enka. – Andrzej, jak cię proszę, wracaj mi tu do pionu.

– Co z tego? Nawet jak przejdziemy, tam są szatnie, Bóg wie co! Zobaczy nas! – pisnął Gil. Enka zrobił minę, jakby właśnie chciał dać mu w pysk i pewno powiedziała by coś nieuprzejmego, gdyby nie Królowa. Ta odwróciła się płynnie, kiwnęła tylko, szepnęła: – Do przodu! Ale już!

Nie śmieli protestować. Gil, przejęty nie na żarty, stwierdził, że kierunek, w którym zdążają, jest jedynym, którego chciał uniknąć, wprost na biskupią

dupę. Odzyskał pion i wciąż skryty za Enką próbował dotrzymać kroku. Niemal przytulili się do siebie, a Królowa zatrzymała się tuż za mężczyzną w szarym garniturze. Ten nie zwrócił na to uwagi, nie spuszczał wzroku ze swojego pryncypała. Na uchu miał czarną bulwę wielkości pestki od czereśni, tak fascynującą, że Gil na moment zapomniał, jak bardzo się boi.

Strażnicy czy też smutni, jak nie wiedzieć czemu nazywał ich Enka, rozprawili się już z posłami. Biskup z towarzystwem byli następni. Błyskawicznie Królowa objęła faceta za ramię i przyłożyła nos do jego lśniącego potem karku dokładnie w miejscu gdzie kończą się włosy. Nie zwolnił kroku, za to ona zeszywniała, jakby nagle usłyszała coś strasznego. Zachwiała się, Enka już wyciągał rękę, aby uchronić ją przed upadkiem, ale ona tylko westchnęła, cofnęła nos i dłoń. Szepnęła mężczyźnie do ucha parę słów, pokiwał poważnie głową i coś odszepnął. Wyglądali już na dobrych znajomych, których od przyjacielskiego obściskiwania się powstrzymuje tylko trud czekania w kolejce, co nie uszło uwadze pilnujących. Jeden nawet brew uniósł, a drugi się ucieszył, jak od biskupa, to swoi, można wpuścić.

Królowa przeszła między strażnikami, za nią wsunął się wyprostowany Zbigniew Enka. Ksiądz doktor odzyskał spokój na tyle, że stawiał nogi prosto, dłonie trzymał sztywno po bokach. Próbował nie patrzeć na smutnych, ale kiedy był już za nimi, spojrzął przez ramię. Potężny strażnik patrzył na niego ze zdziwieniem, może nawet współczuciem – to przecież takie dziwne, facet wchodzi z samym biskupem, a jednak się boi.

Wewnątrz było białe, marmurową podłogę pokrywały geometryczne wzory. Dokładnie naprzeciw drzwi, którymi weszli, stała ciemna ława, a na niej figurka siedzącego mężczyzny. W szklanej szafie pyszniły się laski marszałkowskie. Obok były schody na piętro, z pokręconą złotawą poręczą. Biskup położył na niej rękę pełną pierścieni i zaczął wspinać się z miną wyczerpanego alpinisty.

Enka chciał iść dalej, w obawie że ktoś z ochrony jeszcze się rozmyśli. Królowa, która jeszcze przed chwilą trzymała się prosto, nagle zgarbiła się, jakby ktoś wskoczył jej na plecy. Suwając nogami, dotarła do paskudnej brązowej pufy. Opadła na nią, oczy miała zamknięte. Oddychała szybko, lecz płytko, jej czoło stało się niemal fioletowe, usta sine. Położyła sobie na kolanach małą skórzaną torebkę, ale to Enka musiał ją otworzyć. Wśród paprochów odnalazł małą fiolkę, Królowa otworzyła oczy i kiwnęła głową. Włożył jej pastylkę w usta. Nitrogliceryna.

– Wody? – zapytał ksiądz Gil. Nie chciała. Wzięła kilka głębszych oddechów, jej wzrok odzyskiwał ostrość, czoło zbieleło. Enka, zdezorientowany, rozglądał się po korytarzu, gdzie panowała nerwowa krzątanina. Dziennikarze przepychali się przez siebie, posłowie pędzili na oślep, smutny o szyi grubszej niż stuletnia sosna klarował coś brodatemu staruszkowi. Staruszek wysłuchał uważnie, podziękował i poszedł, by zaraz wrócić najwyraźniej z tym samym pytaniem.

– Co ty zrobiłaś? – szepnął Gil.

Królowa popatrzyła na niego, jak na idiotę.

– Odczytałam go. Synuś, toż mówiłam – nabrała powietrza – że w Sejmie czytać nie mogę.

– Właśnie.

– W Sejmie, Jędrus, a nie przed Sejmem, poza tym człowiek to co innego. Dotknę, coś mu wezmę, może będzie lepszy. Hiiiiii – przycisnęła dłoń do ust, żeby stłumić śmiech. Prawa ręka wisiała zaś bezwładnie, mały palec napuchł, a pod paznokciem zbierała się krew. Królowa syknęła.

– Co mu powiedziałaś? – do rozmowy włączył się Enka. Obok ochroniarz wciąż rozmawiał ze staruszką, który, wyraźnie ucieszony klepał go po łokciu.

– Wasilewski będzie za pięć minut. To usłyszał.

– Kto to taki, ten Wasilewski? – zaciekał się Gil. – Pomoże nam?

Wzrok Królowej świadczył, że gdyby mogła, zmieniłaby księdza doktora w najbardziej uczoną żabę pod słońcem.

– Skąd mam wiedzieć? On czekał na jakiegoś Wasilewskiego, mówił to parę minut temu, ja to odczytałam, powiedziałam co trzeba no i weszliśmy, więc o co, synuś, chodzi?

Akurat w tej chwili przed nimi przedfilował Wasilewski w garniturze i z plikiem luźnych papierów pod pachą. Wiedzieli, że to on, jakby miał nazwisko wymalowane na czerwonym czole.

– Co dalej? – Enka dopytywał gorączkowo. – Co widzisz tutaj?

– Toż nic nie widzę, mówię ci przecież, tu nie czytam. Czuję jedynie, że ktoś, coś raczej, próbuje nas wypatrzyć. Może już to zrobiło? Powietrze jest gęstsze niż gdzie indziej – powiedziała ze smutkiem, wysuwając prawą dłoń przed siebie. Odzyskała władzę w palcach, ale fiolet sięgnął już nadgarstka, paznokcie poczerniały.

– Nic nie możesz zrobić? Naprawdę nic? – naciskał Enka beznadziejnie i łamiącym się głosem. Właśnie w tej chwili – nie wiadomo, czemu akurat nie w innej – coś przemieniło się nieodwracalnie w pocziwym Zbyszku. Zrozumiał, że jeśli nawet sprawa skończy się dobrze, oni wrócą do domu, Królowa z Młodym popędzą w karocy ku zachodzącemu słońcu, a diabeł pociągnie Profesora za jajca na samo dno piekła, to powrót do starego świata i tak nie będzie możliwy. Dookoła, gdziekolwiek nie pójdzie, będą żyły demony, wróżki, a on, daj Boże, porucznik, nie zdoła zatrasnąć drzwi przed nimi. Spróbował poszukać pocieszenia w oczach księdza doktora, ale napotkał tylko mieszaninę złości i poczucia tryumfu. Dzięki piękne, księżo doktorze, pomyślał, i co z tego, że wyszło na twoje?

– Synuś, ja pierdołę, weź mi tu nie przeżywaj – warknęła – toż mówię, że nie mogę tu czytać, nawet gdybyście dali mi wiadro fusów i wypatroszoną

krowę. – Musiała dostrzec w twarzy Enki jeszcze promyk nadziei, bo piekliła się dalej: – Nie, z człowieka też nie umiem, nawet gdybym zrobiła mu loda i jakimś cudem nie dostała przy tym zawału.

Gil wyraźnie się speszył. Szepnęła coś pojednawczo i podniosła się z pufy. Ruszyła szybkim krokiem. Enka z Gilem stali.

– No chodźcie, dzieciaki! – Kiwnęła chorą ręką. – Dalej, dalej, nie ma co czekać, zaraz się zacznie! No! – skrzeknęła, nie przejmując się ludźmi wokoło. – Chyba nie gniewacie się na gderanie starej wariatki, co?

Nie gniewali się, to i poszli na górę i szerokim korytarzem w kierunku sali sejmowej. Mijali wysokie drzwi z mosiężnymi tabliczkami, buty tłukły się o podłogę, a za oknem, cóż, było zielono jak zwykle o tej porze roku, liście ścigały się ze sobą w zawodach o najgłębszą, najbardziej żywą barwę. Zaś równusieńki trawnik wcale tutaj nie pasował. Gil pomyślał, że na miejscu widziałby raczej trawy, rozszarpane wiatrem kolczaste badyle, kwiaty między nimi.

Królowa bezbłędnie torowała sobie drogę pomiędzy ludźmi, których gęstniejąca kolumna zmierzała, by obserwować pierwsze posiedzenie Sejmu, a nawet w nim uczestniczyć. Przyspieszyli, żeby się z nią zrównać, w obawie, że zaraz garniturowa masa posłów, pismaków, tajniaków i przybłędów oddzieli ich od siebie. Dziwne – to nie tropiciel, Enka, ale Gil dostrzegł kartkę w dłoni Królowej. Zerknęła na nią co parę kroków.

– Co to takiego? – zagadnął ksiądz doktor. Enka został z tyłu.

– Mapa – odpowiedziała obojętnie. – Całego kompleksu sejmowego.

– Dokładna przynajmniej? Warto było?

Wyszczrzyła się jak nutria.

– Nie zrobiłam nic specjalnego. Po prostu ją dostałam, a jest tak dokładna, na ile pozwala alzheimer Gorzałczanej. To ta starowinka, u której mam pokój – wyjaśniła. – Pracowała tutaj przez całe życie, trzydzieści lat na kuchni, pięć

jako babcia klozetowa. Zadowolonyś, synku?

Nie czekając na odpowiedź, wybiła się do przodu. Gil zrównał się z Enką, opowiedział o mapie. Były porucznik tylko wzruszył ramionami.

– No i co z tego? Chyba dobrze, że ją ma?

Gil szeptał:

– Nie dziwi cię to? Najpierw ten mercedes, teraz mapka? Przecież ona – rzekł z wahaniem – nie mówi nam wszystkiego, kupę rzeczy ukrywa...

Królowa doszła już do drzwi na galerię. Piętro niżej posłowie zasiadali w swoich ławach. Królowa zasłoniła wejście, a krępy jegomość o twarzy kamiennej, wyciosanej zapewne w czynie społecznym lat pięćdziesiątych, odbił się od jej biustu i sobie poszedł.

– Pewnie, że ukrywa – rzekł ciepło Enka. – Im więcej, tym dla nas lepiej.



# Rozdział dwunasty

## Andrzej Gil traci rozum

Na galerii trwała dystyngowana walka o miejsca. Ludzie podsiadali się bezgłośnie, usta rzucały nieme przekleństwa, z oczu błyskały pioruny, wszystko w ciszy towarzyszącej wydarzeniom mającym pozór istotności. Ludzie ze straży marszałkowskiej szukali w przejściach miejsca na dostawki, a jeden stał, kompletnie zbaraniały, ze stołkiem pod pachą. Królowa już wypatrzyła miejsce, niestety krępy jegomość wsunął się za nią i zdołał wyprzedzić. Był wyraźnie starszy od niej i nieustannie marszczył krzaczaste brwi. Wymienili parę słów, Królowa dotknęła go delikatnie w bark, lekko i bez żadnych czarów. Zrobił krok w bok, ustępując miejsca, a ślinił się przy tym z lubieżnością prawie profesorską.

– No ładnie – rzekł Enka – myślałem, że nasza pani jest już po wszystkich przecenach.

Gil przytaknął bezrozumnie. Nikt, nawet sam ksiądz doktor nie wiedział, gdzie zbłądziły jego myśli. Za to ciało kluczyło pomiędzy rzędami siedzeń, usiłując znaleźć miejsce możliwie blisko Królowej. Krążyłby tak aż do końca obrad, gdyby nie Enka, który wypatrzył dwa miejsca tuż przy filarze. Zdążył nawet przed krępy jegomościem, który widząc, że została mu tylko dostawka, nie krył oburzenia. Enka nie miał zaś nawet cząstki uroku Królowej.

Usiedli koło siebie i natychmiast spostrzegli Profesora. Siedział w łoży po drugiej stronie sali, w doskonale dopasowanym garniturze i tryskał witalnością. Przeobraził się od czasu pobytu w Szpitalu Przemienienia Pańskiego – brodę miał krótszą, mięką i elegancko przystrzyżoną, włosy

zaczęte do tyłu, okularami przesłonił surowe oczy. Usadowił się w pierwszym rzędzie i przewiesił dłonie przez barierkę z takim lekceważeniem, że brakowało w nich tylko kiepa. Wlepili w niego wzrok. Enka skubała nerwowo dolną wargę.

Coś wybiło Profesora z samozadowolenia. Zabrał ręce z barierki i oparł się o krzesło, znieruchomiał na parę sekund, by zacząć żywo patrzeć najpierw po posłach niżej, potem po galerii. Enka gładko – a Gil niezgrabnie – przycupnęli za filarem dokładnie w chwili, gdy po ich miejscach przejechał wzrok Profesora. Królowa kryła się za łysym facetem w pierwszym rzędzie. Jeśli Profesor nawet ich dostrzegł, nie dał po sobie poznać. Jeździł wzrokiem po kolejnych łóżach, zanurkował nim nawet pod pustą mównicę, zlustrował kosz biało-czerwonych róż w rogu i dał sobie spokój. Usiadł jak wcześniej, zawieszając wzrok gdzieś pod sufitem.

Gil i Enka siedzieli wystarczająco blisko, by widzieć, co dzieje się na dole. Fotele dla prezydium pozostawały puste. Za nimi, biały orzeł, łysawy bez niczego na głowie rozpościerał skrzydła w radosnej nadziei, że czasy się zmieniają i może jednak korona się znajdzie. Naprzeciw ostatni posłowie zajmowali miejsca, mieszał się szelest słów i papierków. Po lewej stronie zasiadał aparat partyjny, trochę w prawo sojusznicy ze Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego. Prawą stronę okupowali koncesjonowani katolicy. Prawdziwi zwycięzcy, posłowie Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego znaleźli miejsca na tylnych ławkach w środku sali. Gil z Enką widzieli tylko ich pierwszy rząd.

Wybiła dwunasta i zebranych zaszczylicili prominenci – Jaruzelski w nieodłącznych okularach, z łysiną jakby łojem natartą, kręgosłupem żołnierza, ale dłońmi zaniepokojonego dziecka, które dyskretnie, choć gorączkowo, próbuje się czegoś chwycić. Malinowski, o nalanej twarzy i okularach w plastikowych oprawkach, patrzył prosto przed siebie, gdzie wiły

się znane tylko jemu drogi i skrzyżowania. Jeszcze Józwiak, ponury, ale i z jakąś dziwną wiarą w to, że zdezorientowanie może stać się początkiem czegoś dobrego. Zenon Komender przepadł, niewyraźny, może dlatego, bo najstarszy. I Lech Wałęsa. Enka przyglądał mu się uważnie i zachodził w głowę, czy to ten sam człowiek, którego zawsze miał za karykaturę polityka, człowieka i nawet wąsacza, z którego naśmiewał się z Grolą po pijaku. Widziany na żywo, właściwie się nie zmienił, choć – jak głosiły milicyjne legendy – miał zwyczaj tężeć i rosnąć w miejscach publicznych. Za to Gil odczuwał coś, co zabijał telewizor, potężną, niemal zwierzęcą siłę wiecowego przywódcy, którego można przegadać, wywieźć na manowce, okręcić w gładkiej gadce, ale który jak ryknie przez megafon, to nie ma zmiłuj, martwi wstaną i za nim pójdą.

Enka szepnął coś do Gila, lecz jego słowa zginęły w burzy oklasków, a na mównicę wytoczył się marszałek senior i rozpoczął przemówienie. Niektórzy jeszcze klaskali.

– Wynudzimy się tutaj – powiedział Zbigniew Enka. Gil nieustannie zerkał na Profesora.

– Nie zdążymy. Myślisz, że Królowa wie, co robi?

– Jak na mnie, wie – odmruknął, kiwając głową w kierunku Profesora, który patrzył sobie na marszałka seniora i uśmiechał się od ucha do ucha. – Tego kolegę już mamy zapunktowanego. Ma łajdak poczucie humoru. Do czasu, księżę doktorze.

A marszałek senior ciągnął monotonnym głosem:

– ...że mamy aparat wytwórczy i miliony zdolnych ludzi, którym, na Boga, trzeba dać okazję...

– Proszę. Więc już o Bogu można – ucieszył się złośliwie ksiądz Andrzej Gil. Enka nie przestawał kląć na Profesora, jak to chętnie wstałby teraz, chwycił waźniaka za brodę, zaciągnął do sracza i tam pokazał wszystkie

czary, jakich nauczył się podczas pracy na komendzie.

– Niedoczekanie twoje – powiedział mu Gil.

– Kto wie? – odszepnął mu Enka, zdumiewająco radośnie. – Widzisz, ja patrzę na to w ten sposób. Wątpię, że Bóg istnieje, właściwie jestem pewny, że nie. Już na pewno ani ksiądz, ani ja nie spotkamy go w tym życiu. Więc próżna nadzieja. A kto wie – rozmarzył się – może ja rzeczywiście spuszczyć łomot Profesorkowi?

Ksiądz doktor podrapał się po głowie.

– Dobrze. Ale ja zawsze mogę się o to dla ciebie pomodlić. Chociaż z punktu widzenia miłosierdzia – nie wypada.

Enka zamilkł i słuchał. Marszałek senior opuścił już mównicę, a zaprzysiężenie trwało w najlepsze, w jeszcze lepsze się skończyło i posłowie przeszli do konkretów. Chodziło o wybór marszałka, takiego prawdziwego, a nie seniora, jak Enka się domyślił. Padło nazwisko Kozakiewicza, ku wielkiemu zaskoczeniu samego zainteresowanego. Za chwilę jednak jękający się głos zaproponował zgłoszenie jeszcze jednego kandydata, choćby po to, by posłowie mogli sobie wybrać. Takiego jednak nie znaleziono.

Chwilę później, zadowolony, a nade wszystko zaskoczony Kozakiewicz zabrał się do dziękowania. Stanąwszy na mównicy, wyjął przygotowaną wcześniej kartkę i z niej odczytał wyrazy wdzięczności za funkcję, którą tak niespodziewanie go obdarzono. Dziękował wszystkim, którzy głosowali na niego albo i przeciw niemu, pod warunkiem, że kierowali się własnym sumieniem, nie ulegając żadnemu naciskowi. Wówczas odezwał się ten sam poseł, który narobił rabanu przy bramce – że to wszystko sugeruje coś paskudnego, bo on głosował przeciw, a sumienie ma w porządku. Dopiero na trybunie sejmowej było widać jak bardzo przypomina fryzjera z małego przedwojennego miasteczka.

Wybrano wicemarszałków, a potem na mównicę wyszedł premier i

atmosfera zaczęła gęstnieć – jedni twierdzili, że rząd powinien ustąpić już teraz, inni, że lepiej zaczekać do wyboru prezydenta. Enka siedział z otwartą gębą, jego dłoń błędziła po spodniach w poszukiwaniu niewidzialnego papierosa. Popatrzyli z Gilem po sobie. Królowa wzruszyła ramionami. Tymczasem z mównicy ryczał już facet w dżinsowej kurtce, z głosem zdartym, jakby ostatnie pół wieku spędził, wyjąc ze zgrozy nad społeczeństwem. Pomstował na warunki życia, zgubny wpływ pieniądza, a zwłaszcza na podwyżki czynione bez głowy, a co gorsza, serca. Odpowiadał mu gruby facet w obcisłym garniturze – mówił o strajkach, że ludzie podatków nie płacą, a nawet wykupują cukier. Gil miał wrażenie, że w pewnej chwili podskoczył, jakby niewidzialna siła szarpnęła go ku górze.

Królowa podniosła się i zaczęła wycofywać się ku wyjściu. Gil z Enką podążyli za nią, ksiądz doktor czuł się, jakby wpadli właśnie z wizytą na planetę marionetek. Nieustanny słowotok, przerzucanie się pomysłami, a przecież takie to puste, myślał, nic nie wynika z niczego, a gdy zamknęli za sobą drzwi, sala ginęła w burzy oklasków.

### § § §

Pierwszym, co Gil stwierdził, gdy znaleźli się na zewnątrz, był podmuch zimnego wiatru z nieokreślonego źródła. Okna były przecież zamknięte, zresztą pęd powietrza schodził z góry, prawie spod sufitu. Chciał zapytać Enkę, czy czuje to samo, ale Królowa pociągnęła ich korytarzem, szybko, żeby zniknąć, nim z łoży wyłoni się Profesor. Biała, śliska podłoga zdawała się biec nieco krzywo, załamując się kilkanaście metrów przed nimi w łagodnym łuku, Gil poszedłby o zakład, że gdyby położyć na niej kulkę z łożyska, ta potoczyłaby się, nabierając prędkości. Z kolei boczne ściany rozszerzały się tuż pod chwiejnym sufitem. Szli szybko, lecz korytarz nie chciał się skończyć, jakby był dłuższy niż Gil ocenił to w pierwszej chwili.

Posiedzenie się skończyło i za nimi bezładnie z sali posiedzeń wysypywali się posłowie, dziennikarze, ochrona, a także ciury sejmowe wyraźnie zabłąkane wciśnięte w fatalnie skrojone garnitury. Rozbrzęczało się jak w ulu, ktoś machał rękami, ktoś pędził, lawirując między ludźmi. Trącił Gila w bark, uniósł rękę w przeproszającym geście, mignęły oczy bez tęczówek i gość popędził dalej, sadząc trzymetrowe susy na nogach cienkich i długich jak szczudła.

Dotarli do pomieszczenia barowego wyłożonego zielonym dywanem, gdzie posłowie posilali się i gaworzyli przy niskich brązowych stołach. Dopiero napływali, lokując się w grupach po trzy, cztery osoby. Tylko stolik pośrodku – niewyróżniający się niczym poza położeniem – pozostawał pusty, by zaraz zaludnić się tak szybko, że Gil z Enką nie wiedzieli, kiedy to się stało. Usiadło tam czterech mężczyzn, jeden tęgi, zapewne opozycjonista, o dłoniach czerwonych jak rabarbar, drugi z włosami na brylantynie i twarzą nocnego stróża, trzeci, inteligencik w zamszowej marynarce, na którą niezdarnie wyłaził kołnierz czarnej koszuli. Czwarty wydawał się być trochę z boku – starszy facet w fotochromach, z brodą i szczęką wysuniętą niczym szuflada. Wodził oczami, gryzł zimną fajkę i bawił się kieliszkiem koniaku.

Wokół nich krążyli dziennikarze, zespoleni w dziwacznym niemal tanecznym rytmie, podchodzili, pytali o coś i cofali się miękko, robiąc miejsca dla następnych. W ich beżowych dłoniach śmigały beżowe długopisy, marynarki przechodziły z beżu w brąz i w beż na powrót, a im kto bardziej garbił się nad stolikiem prominentów, tym stawał się bardziej beżowy. Gilowi zdało się nawet, że sam zmienia kolor. Pismak, który uzyskał już odpowiedź i zmierzał do wyjścia, gwałtownie poczerwieniał na twarzy, marynarka staje się ciemnogrnatowa, krawat zaś błękitny. Inni podchodzili i odchodzili – ksiądz doktor pomyślał, że gdyby spojrzeć z góry, zbieranina przybrałaby kształt gwiazdy z żywymi, regularnie rozchodzącymi się

promieniami. I zaraz zobaczył taką gwiazdę koło siebie na podłodze, niby-ornament – koło i ostre ramiona, niby-strzały.

Gapiłby się tak dalej, gdyby nie Królowa, która pociągnęła go w stronę windy. Minał sprzątaczkę, jak gdyby nigdy nic, szorującą podłogę i dostrzegł, że końcówki palców prawej dłoni ma urżnięte równiutko, jak gilotyną. Zamiast paznokci sterczały poczerńiałe wypustki, niby krótkie szpony. Podniosła oczy, błysnęło bielmo. Dalej, dwóch dziennikarzy kłóciło się zawzięcie – wyższy opierał się o ścianę, układając palce w diabelskie rogi. Stojącą obok wysoką popielniczkę otaczał równy krąg popiołu.

Gil poczuł, że kręci mu się w głowie, więcej – że głowa jakimś sposobem okręca się na szyi. Wziął głęboki oddech. Powietrze drapało w płuca. Enka go podtrzymał i właśnie w tej chwili wpadła na nich młoda dziennikarka. Że była dziennikarką, poznali zaraz po pliku papierów pod pachą i dyktafonie wielkości cegły. Zbaraniały Gil gapił się na nią i ktoś z zewnątrz mógłby pomyśleć, że poczciwy ksiądz doktor wbija wzrok w słusznych rozmiarów dekolt. Nie – Gil nie mógł oderwać wzroku od wisiora w kształcie miecza z symbolami siedmiu planet na głównej i ostrzu, który spoczywał spokojnie w rowku między piersiami. Dziennikarka, miast przeprosić, fuknęła, odsunęła bezceremonialnie ogłupiałego Gila i tyle ją widzieli.

– Ej, co z tobą – pytał porucznik Enka. Królowa dała znak, by przestał, Enka odburknął coś nieprzyjemnego, a Gil wykorzystał ich nieuwagę i poszedł na oślep przed siebie. Dopadli go jednocześnie, gdy stał przed tablicą z ogłoszeniami i dygotał. Wodził oczyma po kartkach pozornie rozrzuconych bez ładu i składu, a jednak składających się w nieregularny kwadrat. Ktoś do tego przejechał po tablicy kredą, kreśląc trójkąty zetknięte wierzchołkami. Nie wiadomo, czy to one przeraziły Gila, czy może doklejone na dole zaproszenie na konferencję poświęconą dziedzictwu narodowemu, nakreślone ręcznie i to niemałym wysiłkiem – litery były gotyckie i równe

jak pismo techniczne.

Wzięli Gila pod rękę i zaciągnęli w kierunku knajpy sejmowej, gdzie akurat było pusto, jeśli nie liczyć łysego gościa, zainteresowanego głównie butelką jacka danielsa. Enka kłął na czym świat stoi i nieustannie rozglądał się na boki – to świetnie, że robimy z siebie widowisko, może od razu zaczniemy tańczyć, śpiewać, a ty, Jędrus, skropisz Kiszczaka wodą święconą.

– Ja pierdołę – szepnęła Królowa.

Gil dotarł do stolika już samodzielnie, Enka podał mu wody, choć oczywiście zawisły na puszce piwa Faxe z importu. Wolno przejechały po blacie baru, zielonych oparciach stołków, aż spuścił głowę i zlał się potem. Z początku Enka nie wiedział, co tak go przeraziło, dopiero po chwili dostrzegł, że Gil trzęsie się na widok zwykłego talerza z resztkami obiadu, który zostawił ktoś, kto siedział tu wcześniej. O co chodzi, myślał Enka, przyjrzał się dobrze i uznał, że na upartego ornament pośrodku przypomina swastykę, ale nie taką jakiej używali Niemcy – z trzema ramionami, zwróconą w przeciwną stronę, o łagodnych łukach zamiast kantów. Tak, to swastyka, ale czego on się boi?

– Wiem, czego się boisz – powiedziała Królowa. – Też to widzę, kochany, możesz być spokojny, zobaczysz dużo więcej, więc rany Boskie, jakoś wytrzymaj.

Enka bez słowa zabrał talerz i odstawił na bar. Na twarz Gila z wolna wróciły kolory, pokiwał głową, spróbował się uśmiechnąć. Zorientowali się w jednej chwili, że facet dwa stoliki dalej nie pije już jacka danielsa, ale siedzi z łokciami na stole, pięściami przyciśniętymi do policzków i gapi się prosto na nich. Gil znów zaczął dyszeć, tym razem płytko i krótko, uspokoił się dopiero złożony głowę na ramieniu Królowej, a gdy wstał – bo musiał wstać przecież – wydawało mu się, że podłoga zmienia się w sunącą z wolna, bieluchną magmę, nogi grzęzną w niej aż po kostki, coś niepokojąco,



rytmicznie uderza w głębinach. Zapadła ciemność i Gil ocknął się dopiero w windzie.

Jechali w dół. Enka stanął w taki sposób, by zasłonić Gila przed wzrokiem ewentualnych ciekawskich i tylko szeptał, *weźże się chłopie w kupę, weźże się chłopie w kupę* na przemian z *udawaj pijanego*. Zagubiony wzrok Gila błędził po suficie, jakby śledząc sekundową wskazówkę niewidzialnego zegara. Co chwilę łapał gwałtownie powietrze i wypuszczał je nosem. Enka klepnął go po twarzy, brzmiało to, jakby plaster szynki upadł na mokrą podłogę, Gil sapnął, przeciągnął dłonią po oczach.

– Lepiej już? – pytał Enka. – No, lepiej?

– Ten człowiek. Widzieliście go? To zły człowiek był. To miejsce... – odzyskiwał oddech. – To straszne miejsce, prawda?

Oczy Królowej mówiły, że to prawda i w jakiś, dziwaczny sposób Gil znalazł w tym pocieszenie.

Winda stanęła na najniższym poziomie, Gil zaś mocno na nogach, pierwszy krok wykonał jeszcze z pomocą Enki, dalej już samodzielnie, uwolniony od przyjacielskiego wsparcia i wrogich spojrzeń, poszedł po brązowej podłodze pod niskim sufitem podziemnym przejściem do hotelu sejmowego. I tylko od czasu do czasu zwalniał i odchyłał głowę, jakby próbował ją oprzeć o grubą rurę, ciągnącą się po lewej stronie. Nie ma przypadków, są tylko znaki.

§ § §

Jeśli były porucznik Enka widział kiedykolwiek coś równie nijakiego jak korytarz w hotelu sejmowym, to chyba tylko kierownika całego budynku, który pędził wprost na nich z chlebem i solą. Biel jego twarzy zdawała się wręcz wypływać z bezbarwności ścian, okładzina drewnopodobna udzieliła barwy spodniom i marynarce, a krawat wisiał u szyi równie smętnie, co

biało-czerwona flaga zwisająca za oknem w bezwietrznym powietrzu. Kierownik hotelu sejmowego miał również buty, z których połyskiem mogły rywalizować jedynie mosiężne klamki, a Enka skojarzył sobie, że facet rozpada się nieustannie, ze sto razy na sekundę i składa na nowo z barw, które go otaczają. Co ci chodzi po głowie, pomyślał zaraz, jeśli ty nie zachowałeś resztek zdrowego rozsądku, to kto je zachowa?

Kierownik, widząc, że ktoś nadchodzi, zwolnił do marszu, w przedziwny sposób łącząc dumę z pokorą – krok na przykład miał sprężysty, niby u generała, za to oczy potulnie spuszczone, wargi rozchylone lekko i głowę, która potakiwała sama z siebie. Zmiany następowały płynnie, nogi flaczały i przechodziły w drept starego sługi, za to kark unosił głowę, oczy nabierały blasku, a wargi wydymały się w grymasie lekceważenia. Niósł przed sobą tackę, sól przytrzymał prawym, a chleb lewym kciukiem. Zbliżył się, okiem znawcy dusz ludzkich ocenił, z jakim kalibrem ludzi ma do czynienia, płynnie przeszedł w bieg i nawet trącił Gila przy mijaniu.

Królowa zerkała na kartkę z planem, marszcząc nos i coś sobie mrużąc, Gil gapił się przed siebie, Enka zaś usiłował wychwycić, co jest nie tak z kolejnymi pokojówkami, które mijali. Jedna była nawet młoda ze zgrabnym tyłeczkiem, brzuszkiem w miarę płaskim, chociaż zdaje się po ciąży, i buzią prawdziwego aniołka. Wystarczyło jednak spojrzeć w oczy: to były oczy kata, oprawcy, do tego tępego w swej zaciętości; takie spojrzenie widzisz pod czarnym kapturem albo u ulicznego zbira. Tu znów inna, dużo starsza, co już się posypała – pchała akurat wózek z czystą bielizną. Miała mocny makijaż, fryzurę z teledysku Sandry i śpika, maleńkiego, lśniącego niczym brylant na czubku czerwonego nosa. Enka nie potrafił oderwać od niego wzroku, taki był jasny, a pokojówka spostrzegła, że cieszy się zainteresowaniem, i posłała w jego stronę zmęczone acz zalotne spojrzenie.

– Gdzie idziemy? – chciał wiedzieć Enka.

– Czwarte piętro – odparła Królowa i natychmiast przyspieszyła, jakby nie chciała słyszeć następnych pytań. Enka nie dał za wygraną i znów się z nią zrównał. Za jego plecami człapał zobojętniały ksiądz Andrzej Gil.

– Co masz na tym planie? Czarną mszę? Portret Profesora.

Otoczyła go ramieniem i Enka stwierdził, że Królowa pachnie jak prawdziwa kobieta, taka, których nie spotyka się w naszych skurwiałych czasach.

– Synuś, dojdźcie do pokoju, naszego pokoju. Rytuał będzie gdzieś wysoko, nie może być nad nim żaden człowiek. A my posiedzimy, poczekamy, kapujesz, synuś? Posiedzimy sobie.

Synuś nie kapował, gdyż już nie słuchał. Jego uwagę przykuło teraz dwóch mężczyzn, zawzięcie majstrujących coś przy korkach, na rogu korytarza. Mieli szerokie plecy i poobijane ręce, do tego mordy ledwo ociosane, usta grube. Nie, w tym kraju czasem do spalonej żarówki wysyła się czterech fachowców, ale to żadni elektrycy. Albo sądzą, że posłowie to durnie, albo w takich miejscach nie muszą się kryć, pomyślał i posłał Gilowi porozumiewawcze spojrzenie, którego Gil nie zrozumiał.

Skręcili, tracąc tajniaków z oczu. Królowa syknęła, strzeliła z palców i już manipulowała przy drzwiach jednego z pokoi. Im gorzej jej szło, tym mocniej szarpała, wreszcie prawie uwiesiła się na klamce. Enka błyskawicznie znalazł się przy niej, odsunął delikatnie choć z szacunkiem i już gmerał przy zamku. W jego ręce błysnął drucik, drucik zniknął w szczelince i drzwi stanęły otworem. Enka zmiął drucik w palcach i pokazał drogę, tylko jego oczy mówiły, że z każdym ruchem jest coraz mniej milicjantem, mniej i mniej.

Wbrew wyobrażeniom o luksusach posłowania, pokój przypominał nieco te znane z ośrodków wypoczynkowych o ciut wyższym standardzie, takie, gdzie kierownik magazynu figluje z dyrektorką poczty albo dwóch

poruczników w milczeniu zalewa się w trupa. Pod ścianą, stały dwie wersalki, przedzielone stolikiem, jedna postrzępiona na brzegu, jakby potarmoszona przez kota; naprzeciw nich znajdował się w miarę nowoczesny telewizor Unitry, a obok biurko z obrotowym krzesłem. Enka wypatrzył osobną łazienkę i małą lodóweczkę, gdzie z trudem weszłaby półlitrowka, za to Gil utkwiał wzrok w obrazie, wiszącym pośrodku pustej ściany. Była to reprodukcja *Stańczyka*, właściwie *Stańczyka w czasie balu na dworze królowej Bony wobec straconego Smoleńska* Matejki, taka, jaka wisi w co drugiej szkole: w drewnianych ramach, przekrzywiona i obcięta – stopy błazna kończyły się już za obrazem. Gil przypomniał sobie człowieka nad jackiem danielsem, który przyciskał sobie pięści do twarzy – te same oczy i cienie pod nimi, gładkie czoło, ostry nos, postura.

– Mój Boże – powiedział do siebie, lecz tak, by inni słyszeli. – Mój Boże – powtórzył już głośniejszym głosem i odkrył, że nikt się nim nie interesuje. Enka siedział z tępym wyrazem twarzy, bawiąc się aluminiowym nożem do masła, który znalazł na podłodze. Królowa obesła pokój, sprawdziła łazienkę, przeniosła niski stolik, obok postawiła krzesło. Gil ze zdumieniem spostrzegł, że na stole pojawia się flaszka eksportowej żytniej, a obok niej lądują trzy metalowe kieliszki. Nawet Enka uniósł brwi i został już tak, ze zdziwioną miną, bo Królowa napełniła kieliszki i natychmiast wylała ich zawartość w łazience. Siadła na wersalce, kiwnęła na księdza.

– Chodź, synuś. Trochę poczekamy.

I czekali.

Czas włókł się jak w upalny dzień, godziny rozwadniały się w minutach, słońce zdawało się znieruchomieć na niebie, a ciszę rozpraszały jedynie głosy z korytarza – strzępy rozmów, kroki, krzyki, żarty pokojówek. Raz ktoś nacisnął klamkę i zaraz odszedł, znać, że się pomylił. Wódka stała i nikt jej nie ruszał, przynajmniej dzięki niej – myślał ksiądz doktor – jakiś dureń

może weźmie nas za posłów.

Nie chcąc myśleć o gorzałce, o szansie, by znów poczuć się dobrze, wlepił wzrok w obraz i przywoływał w pamięci mężczyznę z sejmowej knajpy, szkoda, że Stańczyk na obrazie miał czapkę, bo może pod nią jest też łusy. Próbował sobie wyobrazić, jak wyglądałoby, gdyby wstał, czy przypadkiem barki na obrazie nie są jednak za wąskie, nos za szpiczasty, aż pomieszało mu się wszystko i nie rozpoznawał ani faceta w swojej głowie, ani błazna tuż przed sobą.

Królowa znieruchomiała z zamkniętymi oczyma, oparta o ścianę dłonie złożyła na piersi. Oddychała równo, spokojnie i tylko kiedy brzmiał hałas z korytarza, leniwie unosiła powieki. Enka przeciwnie, krążył po pokoju, stawał przy oknie, gapił się na Warszawę, bawił się kieliszkiem i pluł do ustępu.

Gwar na korytarzu robił się coraz większy, a odgłosy brzmiały także z sąsiednich pokoi. Ktoś krzychał podniesionym głosem niezrozumiałe słowa, śmiał się i krzychał znowu, kieliszki uderzały o siebie, raz coś spadło i się stłukło, zaśmiała się panienka, bynajmniej nie posłanka – to był licealny śmiech.

Gwałtownie ściemniało, chmura przysłoniła słońce i Enka przypomniał sobie burzę nad Szpitalem Przemienienia Pańskiego. Ostre lato w tym roku, pomyślał, dobrze, że burze w lecie kończą się szybko. Gdzieś na horyzoncie błyskawica przecięła niebo.

– Zbieramy się – oznajmiła Królowa.

Wstali jednocześnie, Enka z Gilem nałożyli okulary i marynarki. Piorun uderzył już blisko, światło przygasło na moment. Królowa prosiła, żeby się pospieszyli, Gil więc poszedł przodem z głową opuszczoną nisko i w ostatniej chwili poprosił Enkę, by jeszcze nie zamykał drzwi. Chciał powiedzieć, że bardzo przeprasza, bo mógł załatwić to wcześniej, nie od dziś

ma kłopoty, zwłaszcza w takiej sytuacji, więc prosi tylko o minutkę, tak, księża mają słabe pęcherze, ale zdołał wykrztusić tylko ciche, stłamszone:

– Sracz.

– Szlag by cię – westchnął Zbigniew Enka.

Gil wrócił do pokoju, nie palił nawet światła, ale zamiast do łazienki, podszedł do obrazu, drążącymi dłońmi ujął go za ramę i zdjął ze ściany. Może spodziewał się skrytki, sejfu albo napisów w nieznanym języku – na widok gładziutkiej ściany westchnął z ulgą. Sprawdził jeszcze tył obrazu, ot, gładka deska, lecz gdy szykował się do odwieszenia go na miejsce, znów błysnęło i w tym elektrycznym blasku na ścianie pokazał się kozioł o kobiecych piersiach, ze skrzydłami, jedną dłonią w górze, a drugą na dole.

### § § §

Szli w górę po zaklętych schodach i korytarzach, a ludzie wylewali się z pokoi. Na ostatnim stopniu między trzecim a czwartym piętrem ujrzeni na przykład dwóch facetów – jednego o grubo ciosanej twarzy, z twardymi palcami, słowem żołnierza, który siedział obok drobniuteńkiego bruneta z lekkim zarostem i świętym medalikiem wywalonym na koszulę. Między nimi stał litr wyborowej, pili z gwinta na zmianę, szybciucho, a żołnierz zwieszał głowę, zalewał się łzami, ryczał spazmatycznie, jaką jest świnią, jakim potworem, komu służył, skurwysyn, dobrze, że ojciec tego nie widział, biedny, kochany tatuś, taką kurwę wychował, po co było to wszystko, po co ma ten dom i furę, jak serce nieczyste, krew na rękach, o ja nieszczęsny, przeklęty, marny proch. Blondyn objął mu głowę, pocałował w środek czoła, przytulił: – Kaziu, nie mów tak, kochany, tyś dobry człowiek, dobrzy ludzie błędzą, źli wcale, chodź tutaj, mordo moja, serducho masz ciepłe, no pysiu, nie martw się.

Oczy Kazia napełniły się łzami, z dziecinną radością porwał butelczynę,

przechylił i napił się, że hej.

Ludzie wylegli na korytarze z pokoiów, podwieszani jeden pod drugim, taszczący się nawzajem, objęci i szczęśliwi, każdy z butelką lub kieliszkiem, niektórzy upaprani sałatkami, z papierosami w gębach, posypani popiołem. Mężczyzna o wyglądzie starego rolnika, niewątpliwie zasłużony działacz ludowy, coś tam klarował młodemu związkowcowi, mocząc sumiaste wąsy w koniakówce.

Dwóch młodych targało pijanego środkiem korytarza. Zwiślał bezwładnie na ich ramionach, sunąc nogami. Niespodziewanie uniósł głowę, wyrwał się i popędził z radosnym krzykiem w stronę drzwi, skąd brzmiały odgłosy imprezy. Niestety, źle obliczył odległość, wyrznął czołem o framugę i osunął się po niej. Przyjaciele, klnąc na czym świat stoi, podnieśli go, otrzepali i ruszyli dalej. Nie uszli nawet do połowy korytarza. Facet zerwał się znowu, popędził, zniknął w innym pokoju, wrzeszcząc radośnie. Zabrzmiał dźwięk upadku i brzęk tłuczonego szkła.

Przy schodach prowadzących na ostatnie piętro odbywało się prawdziwe zgromadzenie. Ludzie kucali na podłodze lub siedzieli po turecku – głównie młodzi, choć trafił się też szczupły sześćdziesięciolatek z cofniętą szczęką – zgromadzeni wokół krzesła, na którym usadowił się ponury mężczyzna o minie udzielnego księcia, z cygarem w tłustej łapie i dziewczyną na kolanach. Dziewczyna obejmowała go za szyję, twarze mieli blisko siebie, dym wydawał się jej nie przeszkadzać. Mogła mieć ze trzydzieści lat, rozchyłała ostre usta, proste jasne włosy opadały na łopatki, a z szyi na taśmie zwiślała legitymacja prasowa.

Mężczyzna zwrócił uwagę na Enkę, Gila i Królową, każdemu przyjrzał się uważnie, tymi zimnymi oczami mordercy i zaraz się rozpromienił, nikt ciekawy to przecież, nawet uśmiech posłał i dalej mówił swoje. Czubkiem cygara wskazał na czarnego johnny'ego walkera u swych stóp, ktoś ze

zgrupowanych podsunął butelczynę dziewczynie, ta napełniła setkę, podała. Wypił szybko, sapnął i wtulił twarz w jej szyję, jego szept – *moja Monia, moja Monia* – pozbawiony czułości syk chwilowego właściciela zmroził serce nawet porucznikowi Ence.

Weszli na ostatnie już schody, tu dym papierosowy zgęstniał, więc Gil zakaszłał i omal nie potknął się o bezwładnego posła – znać po legitymacji – chrapiącego w pozycji siedzącej, z odchyłoną głową i intensywnie pracującą grdyką. Jeszcze paru tutaj piło, szeptało, ochroniarz zaś szczał na półpiętrze z kieliszkiem w zębach. Enka pomyślał, że gdyby tylko sprzedać mu prztyczka w ucho, buc głupi poleciałby po stopniach. Wyobrażał sobie tłuste ciało, jak odbija się od schodów, jak bezwładne ręce kręcą się w powietrzu, jak w ustach pęka bąbelki śliny, a zaraz po nim ząb po uderzeniu o ścianę i z tą właśnie trzaskającą myślą dotarł na ostatnie piętro.

Tu na korytarzu nie było nikogo, za to drzwi od kilku pokoiów pozostawały uchylone, rzucając na dywan mdły promień światła. Z każdego dochodziły odgłosy przyjemnego życia – tylko ten najbliższy kusił ciszą i spokojem. Tam zajrzeli najpierw, przez szparę. Na podłodze walały się butelki, niedopałki papierosów, pleciony pasek od spodni oraz paskudne reformy. Między tym rozgardiaszem kręciła się równie paskudna pokojówka: marszczyła nos, cmokała i potrzasała wydatnym podgardlem, którego obfitość z powodzeniem zastępowała brak innych krągłości.

– Ty – Królowa wskazała na Enkę. Ten nie rozumiał. Gil tak, westchnął więc: – Chryste Panie.

I gdzieś pomiędzy Chrystusem a Panem Enka pojał, czego się od niego oczekuje, rozpaczliwie próbował szukać ratunku, ale nie znalazł go ani w zatroskanym obliczu Gila, ani w surowych oczach Królowej. Westchnął, popatrzył z wyrzutem, który przeszedł w jawną pretensję, gdyż Gil uśmiechnął się złośliwie i po księżowsku. Idź, no już.



Więc Zbychu poszedł z butelką soplipy i kieliszkami, zaszedł pokojówkę od tyłu i zaraz zaświergolił coś w ucho. Zatrzepotała się cała, od stóp, przez workowatą sukienkę, podgardle, aż po krótkie rzęsy. Nie słyszeli, co jej mówił, widzieli za to, jak dziewczyna natychmiast się gniewa, odstawia szciotkę, sięga po kieliszek, coś odszeptuje, a Enka błyszczy uśmiechem, choć po skroniach sunie mu pot. Królowa ruszyła, ostatnim, co Gil widział, były jej wyciągnięte dłonie.

Zatrzasnął drzwi. Ktoś szedł.

Z wnętrza dobiegły odgłosy szamotaniny, urwany krzyk. Królowa coś szeptała. Gil nie chciał tego słuchać i poczuł wstyd, że jeszcze przed chwilą nabijał się ze Zbyszka. Usiadł przy ścianie, z kolanami pod brodą i głową skrytą w dłoniach, ludzie przechodzili obok, ocierali się o jego buty, a ksiądz doktor pocieszał się, że wygląda zwyczajnie, jak kolejny pijak zmieniający Polskę.

– Dobrze synuś, już dobrze.

Popatrzył na nią pytająco. Podniósł się na ramieniu Zbycha.

– Nic jej nie będzie – zapewniła.

– No – zawtórował Enka, tak blady, że niemal przeźroczysty – związała ją, zakneblowała i zostawiła w łazience. Niech teraz ksiądz dobrodziej modli się do wszystkich świętych, żeby jej nie znaleźli, nim podniesiemy żagle.

Gil pomyślał, że lista spraw, o które musi się pomodlić, ulega niebezpiecznemu wydłużeniu. Dopiero teraz dostrzegł, że Królowa przebrała się za pokojówkę – włosy zaczesła do tyłu i nałożyła fartuch na suknię, dłoń oparła na rączce wózka na śmieci.

– Spokojnie, spokojnie – powtarzała – mówię przecież, że nie zrobilibyśmy jej krzywdy. Szybciej teraz. Musimy sprawdzić pokoje.

Już chciała iść. Gil złapał ją za ramię.

– Co ty myślisz? Że wejdziemy sobie tak po prostu i zastaniemy

Profesora. Co on zrobi? Ucieszy się, wódki poleje?

Pocałowała go w czoło, bez lekceważenia, nie, żeby zbyć. Prosto i czule.

– Nie bój się, synuś. Teraz musimy się tylko dowiedzieć, w których pokojach nie ma go na pewno.

W pierwszym po prawej z pewnością nie było Profesora, za to faceci i panienki w dziwnym, półsensnym ruchu. Gil otworzył usta. Nikt nie zwracał uwagi na nich troje, stojących na progu. Starzy mężczyźni siedzieli bądź leżeli w rozpiętych koszulach, spuszczonej spodniach, jeden grubas pozostał w garniturze i tylko z rozporoka sterczał mu członek, sztywny i lśniący jak świeca. Inny, nagusieńki, z zapadniętą klatką piersiową i o ramionach wiszących chyba na samej skórze, tulił się do wymalowanej dziwki, obejmował ją za twarz, skubał wywalone sutki i chował załamane policzki w jej ramionach. Ktoś krążył wokół stołu, rozchełstany, dwie panienki ujeżdżały jednego faceta, jedna siedziała na twarzy, druga na kroczu, unosiły się rytmicznie, lecz bardzo powoli, jakby ważyły całe tony, opadały zaś swobodnie, lekkie jak piórko.

Centralne miejsce zajmował stół i leżąca na nim dziewczyna, naga, jeśli nie liczyć podwiązek, owoców i kieliszków zgromadzonych na jej piersiach, udach i brzuchu. Oczy zakryła plasterkami jabłka, usta miała spokojne, mimo tej maskarady wydawała się młoda. I przy tym kwiecie kokosił się młody poseł, jeszcze o twarzy nastolatka, miętosił co trzeba, zerkał na kolegów, na samą dziwkę i szło mu coraz gorzej. Ktoś tańczył przy łazience, z której dochodziły jęki, ktoś właśnie trysnął, niby w zwolnionym tempie, na brzuch dziewczyny tak płaskiej, że mogła być chłopcem. Facet przy cyckach rozplakał się na dobre, grubas w garniturze uśmiechał się, jakby jego myśli były ciekawsze niż to, co dzieje się wokoło, fioletowy dzióbek mrugnął perlistym okiem. Druga dziewczyna dopadła płaczącego, jednym ruchem ściągnęła mu spodnie i wpiła usta między pośladki.

W następnym pokoju również bawiono się wesoło, choć z mniejszą wyobraźnią. Wokół stolika na czterech identycznych krzesłach siedziało czterech identycznych facetów: wszyscy w brązowych garniturach i błyszczących lakierkach, z czarnymi krawatami, włosami na brylantynie, o ziemistych twarzach, z wielkimi nosami; jeden miał wąsy, dwóch brudną skórę wokół grubych warg, trzeci moźdżeszową brodę – różni a jednak tacy sami. Na środku stała bateria flaszek i cztery kieliszki, co dziwne, zupełnie różne. Akurat wzniesli toast, wypili na komendę i synchronicznie ryknęli: – Hurra!

Zamilkli na moment. Gil wytrzeszczał oczy. Brodacza otrzepało, otarł usta i zaraz je rozchylił, najwyraźniej usiłując coś powiedzieć, sądząc po przejęciu w oczach, coś ważnego. Wąsacz uniósł palec na znak, żeby poczekać, zapelnili kieliszki. Unieśli.

– Hurra!

Tak w kółko.

Dwa następne pokoje były puste, w kolejnym znów odchodziła popijawa, lecz w innym charakterze. Pomieszczenie było większe, przy ścianach stały szafy, niby na książki, przy stole siedziało z dziesięć osób, tym razem każdy z innej bajki: ptasi staruszek w wielkich okularach, gruby blondyn z wąsem, z dwóch przestraszonych młodzieńców, jeszcze inni. Wódki było niewiele, przed każdym ze zgromadzonych stała butelka mineralnej, w popielniczkach piętrzyły się niedopałki. Kiedy ktoś mówił, reszta milkła i tylko czekała, napięta, by wystrzelić ze słowem. Na widok Enki, Gila i Królowej lekko przycichli, aż człowiek podobny do ptaka zaskrzeczał:

– Wy od Waldka? Dobry Jezu, radźcie coś.

Gil potrząsnął głową, tamten spostrzegł własną pomyłkę, odwrócił wzgardliwie głowę. Enka zamknął drzwi i cofnął się pijanym krokiem, nadymał zresztą usta, jakby właśnie planował zwymiotować, podobny do

włochatej żaby, wielkiej i przerażonej. Gil zaś poczuł, że zaraz się rozpadnie, pęknie na strzępy mięsa i duszy, pojął też, że nie modlił się odkąd wszedł do tego przeklętego budynku. Jął prosić Boga, by pozwolił jakoś mu wytrwać w jednym kawałku. Potem to i do klasztoru pójdę, nawet na kolanach, zjem piach z Częstochowy, posypię się popiołem, ale teraz, w tej chwili, pozwól być mi silnym, nie dla mnie Chryste, ale dla nich, dla Królowej, Młodego, Zbyszka, Boże w Trójcy jedyny. Nie daj mi pęknąć, nie daj mi pęknąć. A Bóg wysłuchał prośb Andrzeja Gila i zamiast niego pękł Zbigniew Enka.

Zrobił się trupio blady, można by pomyśleć, że zmartwieje i runie, sztywny niczym kukła. Ledwo wypychał powietrze ze ściśniętych płuc. Przejechał ręką po mokrych włosach, wbił oczy w śłup, zagryzł wargi aż zbielały, czoło mu zapulsowało, naprężył mięśnie i raz za razem krótkimi szarpnięciami wyrzucał pięści, jakby boksował się z całym niebem. Nos mu się pomarszczył, żyły na szyi się naprężyły, a ze ściśniętych ust wydobyło się syknięcie:

– Kurwa.

Kopnął w powietrze, drugi raz już w ścianę, po korytarzu potoczyła się metalowa popielniczka, Enka kurwował dalej, całkiem czerwony, jakby urwał się z pierwszomajowego pochodu, a gdy uniósł nad głowę doniczkę z parapetu, do akcji wkroczył Andrzej Gil. Chwycił Zbycha za nadgarstki, ten mógł uwolnić się bez trudu, ale doniczką nie cisnął.

– To jest przecież popierdolone – dyszał – najbardziej popieprzona rzecz na całym świecie. Co wy myślicie, co jest w tych pokojach? Poszaleliśmy – pisnął odłożył doniczkę i chwycił własną głowę – wszyscyśmy poszaleli, glina, wiedźma i ksiądz!

Opadł plecami na ścianę, osunął się przy niej. Chichotał, z oczu szły mu łzy.

– Glina, wiedźma i ksiądz! Glina, wiedźma i ksiądz – powtarzał. –

Poginiemy po tych pokojach. Ślicznie poginiemy.

Uklękli przy nim, Królowa otarła mu czoło i szeptała coś, czego Gil nie mógł zrozumieć, na pewno żadne zaklęcie, lecz słowa pocieszenia.

Zbigniew Enka uspokoił się błyskawicznie, jakby tylko czekał na jakieś dobre słowo, w zamian na zewnątrz rozszalała się burza. Zza ściany wody nie widzieli nawet chmur, tylko czarną zupę rozświetlaną przez blade błyskawice. W dole przygasła Warszawa, nawet światła w korytarzu zamrugały, gdzieś blisko przetoczył się grzmot i zamilkły wszystkie głosy w pokojach, by zaraz powrócić, ale już bez dawnej siły. Gil znów się modlił, już pełen wahania: Boże, daj mi znak. Jeden, może być maleńki.

– Niczego tu nie wyczekamy, kochani. Trzeba iść – powiedziała Królowa.

Błysnęło i światła zgasły w całym korytarzu, tylko spod drzwi były słabe smugi. Królowa rozejrzała się spłoszona, a Gilowi przypomniał się Prokop. Nie zdążył się odezwać, bo wszystko wróciło do normy, lampy u sufitu rozbłysły synchronicznie, poza jedną pośrodku korytarza. Drzwi obok spowił cień.

– Niech mnie – rzekł Zbigniew Enka, bardzo powoli. Nikt go nie słuchał. Nie mogli oderwać oczu od drzwi, przecież zwyczajnych z najzwyczajniejszym numerem pod słońcem – 609 – nad którymi żarówka przepaliła się na skutek wyładowania elektrycznego. Drzwi jednak ciemniały coraz bardziej, numerek na nich przestał być już widoczny, a wkrótce zniknęła też tabliczka. Bił stamtąd chłód, jakby lód rozsypano i biło lodowe serce. Enka zamknął oczy przekonany, że go mają. Otworzył – to nie było złudzenie, spojrzeli na siebie, tak, widzieli to wszyscy, szarą materię gromadzącą się przed pokojem.

Królowa ruszyła, oni za nią na palcach przerażeni każdym dźwiękiem. Gil próbował iść z tyłu. Za oknem zniknęły nawet światła zalane taflą wody. Po ścianie od framugi do framugi przebiegł cień niby wąż, coś strzeliło – pewno

kabel poszedł. Królowa dotarła do drzwi, zza nich brzmiał głos, jakby ktoś rozmawiał sam ze sobą. Przyłożyła dłoń. Cofnęła zaraz z bezradnym, przerażonym wyrazem twarzy.

– Są – szepnęła.

Nikt się nie odezwał.

Królowa otrzępywała rękę, jak przy oparzeniu. Enka pociągnął ją w głąb korytarza. Wraz z gęstniejącą ciemnością sam korytarz jakby malał, ściany robiły się słabe, zbyt słabe, by zatrzymać siłę próbującą dostać się do środka.

– Co teraz mamy robić? – zapytał, patrzył w górę, najwyraźniej oczekując cudu niebieskiego. Królowa nie odpowiedziała, rozejrzała się na boki i poprawiła kosmyk włosów, który opadł jej na czoło. Gil był tuż obok. Enka powtórzył pytanie i znów odpowiedziała mu cisza.

– Pięknie – mruknął. – Nic? To znaczy zupełnie nic? Kartka się skończyła? Może odwróć...

Urwał, bo korytarz oddychał niezwykle regularnie, jakby ten rytm znał od zawsze. Sufit ugiął się lekko, ściany wydymały się i kłęsy, podłoga drżała. W kątach gromadziła się szarość niby pleśń, pełzła ku dołowi, oplatała kable, wchodziła na okienne framugi, zupełnie bezgłośnie strzępiąc się i dzieląc. Nieustannie odrywały się od niej płatki, opadały, wirując, i znikwały, nim dotknęły ziemi. Jeden minął rękę Enki o włos – były milicjant poczuł zimno, jakby trącił kostkę azotu.

Dywan przeszedł z drżenia w falowanie, przecięły go szare bruzdy, rozdzieliły się na mniejsze i pobiegły przed siebie, odcinając kolejne skrawki. Szarość momentami znikwała, ujawniając wąskie jamy o ostrych brzegach. To z nich bił chłód. Zbili się przy sobie. Płatek, wielki jak liść kasztanowca wirował wprost na księdza Gila, ten nie odważył się go odtrącić, dmuchnął i płatek zmienił lot.

– Ściągnęłaś nas z krańców Polski. Włamaliśmy się do Sejmu na

pieprzonego Wałesę, wyspindraliśmy się tutaj chyba po coś – głos mu się załamał, sufitem przesunął się płaski kształt niczym zwierzę pod dywanem – nie po to chyba, by rozłożyć ręce.

Królowa rzeczywiście ręce rozłożyła. Jej oczy zrobiły się szkliste. Pierwsza łza zatańczyła na rzęsach, lecz nawet jej brakowało odwagi, by popłynąć w dół.

– Mogliśmy wcześniej zapytać – powiedział ksiądz Andrzej Gil. – Pytałeś o wszystko, tylko nie o to.

Szarość wpełzła już na ściany, zajęła dywan i zabrała się za drzwi. Gilowi skojarzyło się, że tak wyglądają stare, zniszczone domy, gdzie ludzie nie mieszkają przez dziesiątki lat i wszystko niknie w wielkim ujednoliceniu. Żarówki, jedna po drugiej, bladły. Enka zadarł głowę.

– Wcześniej wszystko grało.

Łza uwolniła się z oka Królowej. Rozkrzyżowała ramiona w przepaszającym geście i wykonała chwiejny ruch, urwany w połowie, w stronę schodów, jakby nagle zaczęła spieszyć się do domu. Enka bez słowa znalazł się przy niej, położył dłoń na ramieniu, przycisnął do siebie. Coś szepnął. Gil nigdy nie dowiedział się co.

Szarość przesuwała się dalej, odsłaniając ściany i dywan na nowo. Pozostawiła tylko pociemniałe smugi i odebrała kolor. Dywan, dawniej czerwony, stał się ledwie beżowy, biel ściany pociemniała. Ciemność gęstniała u progu pokoju 609 i to co szare, przeszło w czerń niczym woda. Kto wejdzie, zatone po duszę.

Z wnętrza dobiegały szepty. Enka wciąż obejmował Królową, ta oplótła go ramionami, które w słabym świetle sprawiały wrażenie należących do stulatki. Na dźwięk głosu zza drzwi poszukała ratunku w oczach Enki, wyraz jej przerażonej twarzy mówił, że dokładnie rozumie słowa, które padają. Nie. Rozumiał je Gil.

Coś przyciągnęło go do ściany, uniósł ręce nad głowę i rozczapierzył palce. Był zupełnie przytomny, za to przerażony tym, co się z nim dzieje. Skręcił głowę. Przyłożył ucho do tynku.

– Tak na dole, jak i w górze – szepnął, jakby powtarzał czyjeś słowa.

– Ej! – zawołał Enka, próbując wyzwolić się z uścisku Królowej. Wyraźnie słyszał głos zza ściany, rytm słów był podobny do tych, które powtarzał Gil, lecz Enka nie rozpoznawał języka. Kojarzył mu się z arabskim czy jakimś podobnym, takim, jakie słyszy czasem w programach o Bliskim Wschodzie.

– Kuzhan, kuzhan, kuzhan, Malak Taus, ziemski pan zniszczenia Aryman, kuzhan, kuzhan, kuzhan – powtarzał Gil coraz szybciej. – Poświęcam ci ziemię i życia, i krew, i czas, i miejsce, kuzhan, kuzhan, kuzhan – kłapał ustami.

– Nie, nie, nie – szeptała Królowa. Nie chciała puścić Enki, więc odepchnął ją brutalnie, przytrzymał za wyciągniętą rękę, by nie upadła i puścił znowu.

– Człowiek znów zwierzęciem – rzekł Gil.

Enka go dopadł. Ksiądz pojechał w górę, po ścianie, tak że buty wisiały pół metra nad podłogą. Jęknął: – Zwierzę musi być zdrowe.

Enka się nie wahał – chwycił Gila za ramiona, szarpnął, obalił na ziemię, samemu upadając pod jego ciężarem. Coś chrupnęło. Nie wiedział w kim. Gil leżał, miał zamknięte oczy, na czole ciemniał mu siniak. Enka trzepnął go w twarz. Spróbował podnieść, a Gil otworzył oczy i wpił mu palce w ramiona. Przycisnął do siebie i w ucho zaśpiewał swoim głosem nie swoją melodię:

*W samym przepaści niezgłębionej środka, W samym ciemności najgrubszym zarodku Osiadł Aryman, jak złodziej ukryty, Gniewny jako lew, jak węź jadowity, Onego czasu nadął się i dźwignął, I wielką ciemność piersiami wyrzygnął, I po ciemności, jak pająk po sieci, Szczebłował w górę,*



*tam, gdzie bóstwo świeci.*

---

*Oparł się o dnia i nocy granice.*

*Wynurzył głowę i podniósł źrenice.*

*A skoro ujrzał w samym niebios środku, W samym jasności najczystszej zarodku Oromadesa, co wśród tworów świeci Jak wśród gwiazd słońce, jak ojciec wśród dzieci; Skoro na widok przedwiecznego słońca Zły duch pomyślił o szczęściu bez końca: Ta myśl, ogromna jako świata brzemie, Z takim ciężarem padła mu na ciemię, Że stracił siłę, runął na dół głową Przez wieki wieków i osiadł na nowo W samym przepaści niezgłębionej środku, W samym ciemności najgrubszym zarodku<sup>[18]</sup>.*

---

Zamilkł. Splunął.

– Kuzhan, kuzhan, kuzhan! – zaskrzeczał Gil, dostał w mordę, lekko lecz punktowo. Natychmiast oprzytomniał, nawet pomacał się po bolącym policzku, popatrzył przepaszająco na Enkę i ten sam wzrok pełen żalu do siebie przeniósł na ścianę i drzwi czarne już jak górnik.

– Jezu Chryste – powiedział z bezbrzeżnym zdziwieniem – ja naprawdę słyszałem to wszystko.

– Co słyszałeś?

Enka pomógł mu wstać na nogi.

– Kurdyjski. – Gil otrzepał sobie spodnie. – To był kurdyjski, tak przynajmniej mi się wydaje.

Zapadło milczenie. Stali przed poczerniałymi drzwiami, ciemność wypełzła tu też na ściany, przybierając kształt wielkiego liścia, nakładając się cienką, wypukłą warstwą. Ktoś dalej mówił po drugiej stronie, szare pasma z wolna odpadały, kurcząc się na podłodze niczym przypiekana folia. Nawet nie patrzyli po sobie, nieruchomi, z niewidzialnymi ciężarami w

opuszczonych dłoniach. Na ich plecach wyrastały widmowe garby, sznury ciągnęły głowy ku ziemi, stopy zatoneły w błocie, oczy i kolana zamarzły. Gil próbował się ruszyć. Tylko zapytał.

– Jaki plan?

Z wysiłkiem, jakby zrzucała z siebie wszystkie niewidzialne pęta, Królowa zrobiła krok do przodu, cofnęła się o dwa, do przodu i o dwa. Brała rozbieg, mierzyła w drzwi, przekrzywiając bark i pochylając głowę. Enka zagroził jej drogę, ruszał się płynnie, ale dyszał podnosząc nogi. Gil coś tam szeptał, że drzwi zabite są na zabój, Enka złożył się i kopnął. Jeszcze na pół gwizdka. Starczyło. Zawiasy prasnęły, zabrzmiał łomot, drzwi runęły, a z nimi, Królowa, Gil i Enka.

Z wnętrza poszedł zimny podmuch powietrza, Enka wykonał fikołka, za który w innych okolicznościach otrzymałby dożywotni kontrakt do cyrku dla siebie i wszystkich potomków, a jak przyrznął, odgłos upadku brzmiał być może nawet na sali sejmowej. Gila powietrze pchnęło w pierś, przejechał na butach i wywrócił się specjalnie, chroniąc głowę, lecz nie chroniąc łokci. Zaskuczał i zwinął się na ziemi. Królowej zwiąło czepek z głowy, oklapła ciężko na cztery litery, z rozkraczonymi nogami i zdziwioną miną, jakby niespodziewanie usunięto jej dywan spod nóg.

# Rozdział trzynasty

## Trzy pieśni

Kształtem i rozmieszczeniem mebli ten pokój hotelowy nie różnił się od pozostałych. Arabeski – stalowosine, splatające się w obręcze, trójkąty, smugi gwiazd i magiczne symbole – pokrywały sufit, ściany, podłogę, kotary przysłaniające okno, nawet odbiornik radiowy stojący na pomazanej półeczce. Całość wyglądała jak uchwycona w ruchu, koła zaraz miały zacząć się kręcić, a gwiazdy dalej wędrować po nieboskłonie, od podłogi do sufitu. Jedno okno pozostawało otwarte, wpuszczając deszcz i wiatr. Woda spływała po słupach rusztowania, plandeka łopotała, gotowa do lotu. Jedynym niepomalowanym sprzętem była stareńka walizka lekarska. W jej otwartej paszczy ziały igły, strzykawki, lancety, skalpele.

Obok, na specjalnie przesuniętym stoliku, stała filiżanka pokryta tym razem fabrycznymi arabeskami, puszka kawy, czajnik, obok grudka haszyszu w folii, łyżka, zapalniczka i miseczka z olejem. Pośrodku pokoju klęczał Profesor, bosy, w spodniach i białej koszuli. Rękawy podwinął za łokcie, na nadgarstkach zabrzęczały bransolety. Mruczał coś, uniósł głowę i obrócił się ku nim, powoli niczym maszyna. Jego ciało pokrywały precyzyjne malunki: szlaczki, rozety, wielokąty, kwiaty, we wnętrzu jednej dłoni miał wilka, drugiej – rybę. Malunki wchodziły pod koszulę, pociemniając jej biel, zapępniały też dziką twarz Profesora. Na każdym policzku wyrosło mu drzewo. Biała broda była mokra od deszczu i potu, krople spadały z niej za każdym razem, gdy nią potrząsnął. Twarz miał już starą, lecz ciało krzepkiego pięćdziesięciolatka o muskularnych przedramionach i ubitej klatce piersiowej. Za nim leżał Młody przywiązany do wersalki. Miał na

sobie tylko buty i spodnie, tors poczerniał, tak gęsto był pomalowany. Na przedramionach miał po trzy nacięcia, płytkie, krew ledwo z nich szła. Tylko jedno miejsce pozostało nagie, otoczone podwójną rozetą. Serce. Enka spał się w sobie, a w głowie rozbłysła dziwaczna myśl – po cholere pchali się tutaj przez Sejm, podziemia i piętra, skoro wystarczyło wspiąć się po rusztowaniu?

Profesor minę miał taką, jakby zdziwił się nie ich obecnością, ale tym, że zjawili się tak późno. W ręku błyszczał mu skalpel. Jego szept brzmiał przez burzę.

– Nic nie pojmujecie, prawda? Nic a nic? – mówił z poważną miną. Ruszał skalpelem, nie wiedząc chyba, czy schować go, czy pokazać lepiej. – Nie wiecie nawet, o co idzie ta bitwa. Trochę przeszliśmy razem, więc myślę, że docenicie, jeśli powiem, że możecie odejść i nie wrócić więcej. Zapomnicie. Wybaczcie, ale nikt nigdy nie da wam życia za tak małą cenę.

Popatrzył poważnie spod czoła zmarszczonego po profesorsku. To Enka zaśmiał się pierwszy, po prostu parsknął, jakby właśnie usłyszał znakomity kawał, bił ręką o udo i się krztusił. Gil zarechotał jak echo, równo i trochę ciszej, brakowało tylko by uniósł palec i wskazał idiotę winnego tego rozbawienia.

– Hiijaaahaaaha! – zachichotała Królowa, ciszej niż wcześniej w Szpitalu Przemienienia. Oczy miała smutne i szkliste, nie odrywała ich od nieprzytomnego Młodego. Profesor westchnął i też się uśmiechnął. Ten uśmiech zasiał ciszę w pokoju. Nie zmieniając grymasu, Profesor odwrócił się, zgarbił nad Młodym, kościsty łańcuch kręgosłupa napiął koszulę. Ręka ze skalpelem pojechała w górę. Kuzhan, kuzhan, kuzhan, Malak Taus. A Królowa ryknęła.

Enka kiwnął się, jak ogłuszony młotem, Gil chwycił za brzuch, ten krzyk brzmiał stalą i krwią, pękniętym sercem, nie, to nie jedna kobieta krzyczała,

ale miliony, ludzkie cienie, już pomarłe, korowód kobiet, których dzieci zarżnięto, poduszono, spopielono w piecach ofiarnych i komorach gazowych, których małe główki rozprysnęły się o ściany i posadzki. Tak, we wrzasku trzaskały kości, rozpruwano brzuchy, lęk uniósł się w siarkowym kłębie, od gardła do serca. Oczy Królowej wyszły na wierzch, twarz niemal się rozpadła na zmarszczki i pęknięcia, usta oplotły ją prawie po uszy, a Profesor machnął ręką trzykrotnie i kobieta zamilkła. Zakrzuszyła się, zgarbiła. Enka ją podtrzymał.

Profesor stracił zainteresowanie całą trójką, uklęknął przodem do Młodego i złożył dłonie do modlitwy, nie wypuszczając skalpela. Enka przekazał Królową Gilowi i poszedł na Profesora z pięściami. Nie sądził, że staruszek sprawi mu kłopot, ale nawet doń nie dotarł. Profesor rozrzucił ramiona i zakreślił niemal dokładny półokrąg. Enka chciał iść dalej, ale nie mógł, choć nogi unosił, nie wyrosła też przed nim żadna ściana, za to myśl o kolejnym kroku była niewyobrazalna – jak to, tak zwyczajnie pójść?

Wykładzina, wcześniej gładka, zmierzwiła się i zaczęła falować w okręgu zamykającym całą trójkę. Gil spróbował się ruszyć, nie zdołał przejść kręgu. Sapnął i chwycił Enkę za ramiona, by wypchnąć go z kręgu. Nie, cofnął się w ostatniej chwili. Znał takie czary. Jezydzka tradycja. Ktoś wyciągnięty z kręgu zapada w śpiączkę i umiera. Królowa charczała.

Profesor zaczął szeptać w nieznanym języku, bardzo śpiewnie, słowo przechodziło w słowo, aż stało się jednym, jakby Profesor w ogóle nie brał oddechu. Pot spływał mu po karku i skroniach, ręce zbieleły.

Kuzhan, kuzhan, kuzhan, Malak Taus, kuzhan, kuzhan, kuzhan, Malak Taus. Skalpel drżał, a deszcz oszalał, już nie krople, nie strugi, ale fale wody wpadały do pokoju, plandeka z rusztowania poleciała hen, w Warszawę. Okno się tłukło.

Kuzhan, kuzhan, kuzhan, Malak Taus.

Najpierw Gil myślał, że to przywidzenie – cień pojawił się w pokoju. Początkowo bardzo niewyraźny, jak dym, co prawie się rozwiął. Z każdym słowem Profesora nabierał konkretności, najpierw uzyskał wyraźny kontur, potem wyodrębniły się nogi, pół ludzkie, pół zwierzęce, nagie od kolan w dół, wyżej porośnięte szczecina. Profesor wciąż się modlił, raz, raz, słowo jak pieśń kościelnych dzwonów i już, tors się zarysował z dumnie sklepioną klatką piersiową i mglistymi sutkami, z barków wyrastały żyłaste ramiona na plecach splecione. Na krótkiej szyi dumnie unosił się łeb koński w koronie z piór i rogów. Nabierał barw, wchodził w błękit, ale Gil wciąż widział przez niego otwarte okno, deszcz i rusztowanie. Nagle przypomniał sobie, zrozumiał.

*Byłem, jestem obecny teraz, a mój koniec nie nastąpi nigdy*, szepnął w myślach, a na głos dodał: – Adramelek. Pomóż nam Chryste. To Malak Taus.

Enka odwrócił głowę. Nie wiedział, co to Adramelek czy Melek Taus, ale domyślał się, że nic dobrego.

Głos Profesora przeszedł w zawodzenie, widzieli już wyraźnie chrapy na pysku Melek Taus, żyły na ramionach, długie palce zakończone paznokciami jak ze szkła. Za nim jął formować się okrąg z setek pawich piór o wielkich okach ciemniejących ku środkowi. Gil słyszał o nim: Malak Taus, ten w którego ogonie objawiał się Aryman, Anioł Paw, któremu składano ofiary z dzieci przez wieki na Bliskim Wschodzie, niezniszczalny, nieśmiertelny, król materii, o Miłosierny Boże, Wielki Kanclerz Piekła, tutaj, w hotelu sejmowym.

Anioł Paw wyciągnął półprzezroczystą szyję, przejechał wzrokiem po Gilu, Ence i Królowej.

Gil, wbrew ciału i głowie, rzucił się na kolana, a Enka pomyślał, że klesze odbiło na amen, skoro bije pokłon potworowi. Ale Gil porwał się na rzecz niemożliwą – próbował schwycić wijące się nitki na brzegach okręgu,

wyrwać je i otworzyć im drogę do Młodego i Profesora. Na próżno – nitki unikały jego palców, a nim bardziej próbował je schwycić, tym intensywniej mu umykały. Enka opadł koło niego, na próżno, choć rwał garściami, ani kosmyk nie został w dłoniach.

Profesor śpiewał już pełnym głosem dziwną pieśń, mało szatańską, za to przepiękną, pełną tęsknoty za wielkimi przestrzeniami, wieczornym słońcem, ogniem trzaskającym w ognisku. Takie melodie niosą się przez bezkres oceanu i wędrują pod gwiazdy, nie znają słów, ich rytmem jest wszechświat.

Pieśń biegła już nie tylko z ust Profesora, ale z całej jego głowy i barków, rozchodząc się równomiernie, brzmiąc tak samo silnie przed nimi i za nimi. Wbrew sobie, Gil poczuł, że łzy ciekną mu po policzkach, obrócił się ku Ence. Też miał wilgotne oczy. Młody się poruszył, rzucił nieprzytomną głową.

Wraz z pieśnią, Melek Taus się rozrastał. Nogi miały grubość bali, głowa sięgała prawie sufitu. Już nie ciemniał, przybrał kolor wieczornego nieba, za to zgęstniał, przez jego ciało ledwo widzieli ściany i okno. Opuścił łeb, ogon, przepiękny i jasny, który zaraz zadrżał, jakby był jedną taflą, jego kontury się zatarły. Przeszła przez niego fala, niby po głębokiej wodzie i nagle zrobiło się lodowato. Ogon drżał cały, barwy zlały się w błękitną zupę i z tej zupy płynnie wyłonił się nos, wydatny podbródek, wściekłe usta i puste oczy. Dalej zarys szczupłych ramion i drobna naga sylwetka, na wpół widoczna, ludzka w kształtach i zarazem odczłowieczona. Aryman zjawił się po ofiarę.

Profesor zgarbił się jeszcze w pokłonie. Przekrzywił głowę, tak by zerkać to na Młodego, to na swojego boga, który, wyłaniając się z piór, nabierał ostrości. Aryman miał oczy bez źrenic i tęczęwek. Profesor uniósł skalpel spowity teraz niebieskim blaskiem i zastygł, niby dla przedłużenia tej

niezwykłej chwili. Może to tylko złudzenie, może Gil nie umiał patrzeć przez łyzy, ale mógł przysiąc, że na ułamek sekundy usta Arymana rozchyliły się.

Pieśń rozsadzała już uszy, Profesor wył, kołysząc się z nożem, w lampie trzasnęła żarówka, Enka chwycił się za głowę. Barwa Arymana jeszcze pociemniała, był już niemal fioletowy, gdy przez jego ciało i widmowe pióra przeszła ręka, głowa i tors nefilima.

Aryman zniknął, przesłonięty przez półanioła. Pieśń zamarła w ustach Profesora, skalpel wypadł mu z dłoni, drasnął płyciutko pierś Młodego i potoczył się po podłodze. Nefilim zrobił krok do przodu i już widzieli go całego, tak wielkiego, że musiał się schylać. Za nim falował pawi ogon, jakby wyrastał mu wprost z ciała. Wciąż był piękny, po grecku, mimo oszpeconej twarzy, a gdy wyciągał ręce po struchlałego Profesora, jego mięśnie zaśpiewały zupełnie nową melodię.

Profesor wiedział, że wszelki opór jest bezcelowy, dał się unieść ogromnym dłoniom i zerknął, przerażony, w stronę księdza Gila. Wisiał metr nad ziemią, majtał tylko nogami, jego twarz znalazła się tuż przy twarzy nefilima, coś chyba próbował mówić, ale Gil widział tylko jego oszalałe ze strachu oczy, oczy kogoś kto świetnie wie, co robi w życiu i gdzie po śmierci czekają na niego. Rozwarł usta, stary i bezsilny, woreczek po człowieku, zęby nefilima wbiły się w czoło i szczękę Profesora. Zamknęły się błyskawicznie, trysnęła krew, anielski syn odchylił głowę, a w zębach trzymał skórę zdartą z twarzy starca. Przeżuł ją i odrzucił.

Profesor żył jeszcze, bił rękami o uda, oczy mu ocalały. Próbował spojrzeć na Gila, lecz nefilim był nieubłagany – bezceremonialnie chwycił go za ramiona, rąbnął nogami o ziemię jak workiem kartofli, podrzucił do góry, tak że głowa uderzyła o sufit, zostawiając ślad czerwonej rozgwiazdy, ręce i nogi przy tym rozkraczyły się niczym u pajaca. Nefilim powtórzył ruch, góra i dół, raz za razem, aż uda i piszczele popękały, czaszka trzasnęła, za nią kark i



otwarty czerep Profesora opadł między łopatki, zwisając na mięśniach i ścięgnach. Błękitne dłonie jeszcze chwilę maltretowały ciało człowieka, któremu zawdzięczały pół wieku cierpienia, ścisnęły je jak ciasto i prasnęły w kącie pokoju, jak coś niepotrzebnego.

Melek Taus, który pobladł, poszarzał już w momencie, gdy zjawił się nefilim i zamilkła pieśń Profesora, w chwili jego śmierci zaczął się kurczyć i rozpadać. Stracił kontury, ogon zafalował, zmienił się w bezbarwny okrąg i zniknął, za nim poszły nogi i korpus, jeszcze barki trzymały się trochę, ale poleciały w niebyt, potem łeb i tylko korona pozostała chwilę, wisząc w powietrzu, by rozwiać się bez śladu.

Nikt nie śmiał się odezwać. Nefilim stał chwilę. Najwyraźniej dopełniwszy zemsty nie wiedział, co dalej uczynić. Spostrzegł dwóch naraz, obrócił się przodem, ukazując zachlapaną juchą tors, czerwoną mordę i ramiona upaprane po łokcie. Zbliżył się bez wahania, ale zatrzymał się tuż przed linią kręgu. Węszył. Zmrużył oczy.

Najpierw popatrzył na Enkę i Enka widział sam siebie, oczyma nefilima: siebie jako niemowlę na śmietniku, potem w bidulu, jak zbierał łomot i łomot rozdawał, pierwszy raz w mundurze, pierwszy strzał, pierwszy trup, kobiety, od nieporadności do męskich sukcesów, bezsenne noce, puste butelki, języki z tych butelek, za młodu jeszcze i spacer, te potworne spacer ulicami pustego Krakowa, kiedy nie można było zasnąć, tak głowa pękała. To był siedemdziesiąty dziewiąty, tak? Straszny rok. Nefilim patrzył już głębiej w intymność, dzikie sny i trzepanie konia w kiblu ogólniaka.

Teraz Gil. Anielski syn zwrócił ku niemu wszystkowidzące oczy. Kim jesteś, księżu doktorze, skąd się wziąłeś, po której grasz stronie? Toż patrzyłeś diabłu w twarz i uciekasz. Trup na twoim sercu się rozkłada, trup dziewczyny, boś Boga wybrał, a o ludziach zapomniał. Możesz jeździć do Brazylii i na Haiti, wypędzać diabły i gonić je tu po piętrach, nie, tej rany to

nie zamknie, nie proś o to Boga, bo już jesteś rozdarty, tu Bóg nie pomoże, On ci, głupi chłopcze kościółkowy, tę kartę do talii wsunął.

Królowa? Nie. Jeszcze nie. Nefilim odsunął się o krok. Widział teraz ich jednocześnie, Enkę i Gila i oni widzieli się nawzajem. Który raz się zobaczyli? Który raz stali razem na krawędzi świata? Ech, moje stare dusze, starsze niż najstarsze miecze, tak stare jak pierwsza wojna, dusze z czasów, gdy sam Bóg spacerował między ludźmi, zaznacie wy kiedyś spokoju? Wiecie kim jesteście? Patrzcie w siebie nawzajem, nie pojmiecie, poczujecie. Krew wasza mać, krew wasza mać.

Odwrócił się do Królowej. To trwało ułamek sekundy, ujrzał ją całą, najpierw młodą i piękną, kiedy faceci padali jak drzewa przy wyrębie, jej wróżby, dary, wejście w politykę, wielką zdradę całego kraju, na koniec szpital i miłość, tak, tę miłość matki bez dziecka, która przywiodła ją aż tutaj. Ona też go widziała wcześniej, dlatego tutaj przyszli, wiedziała, może czuła. Dlatego to wszystko. I dlatego właśnie nefilim wybrał ją.

Chwycił za kibić, jak dziecko lalkę. Wrzasnęła, zaparła się nogami jak tylko mogła, a on pociągnął ją tak szybko, że nie zdołali pomóc. Ryła obcasami dywan, piszczała, zacisnęła ręce na niebieskim przedramieniu. Nefilim szarpnął jeszcze i przeciągnął przez krąg. W jednej chwili zmartwiała, zaczerpnęła jeszcze powietrza i zwiotczała mu w uścisku. Głowa opadła na bok. Oczy miała zamknięte. Oddychała.

Nefilim zignorował Enkę, Gila, Młodego i ścierwo Profesora, wpakował sobie Królową pod pachę i wyskoczył przez okno. Ostatnim, co widzieli, była jego łapa zaciśnięta wokół rusztowania. Zwolnił uścisk i przepadł w nocy.

§ § §

Gil siedział w kucki, Enka położył się na boku. Twarz obrócił ku sufitowi,

pozwalając, by obmywał ją deszcz. Oczy miał zamknięte. Za to Gil patrzył w przestrzeń. Na łóżku przez sen wił się Młody.

– Zdechł – rzekł wreszcie Enka. – Powiedz mi lepiej, czemu nie jest mi wesoło z tego powodu?

– O czym myślisz? – szepnął Gil.

– Myślę o tym, że kiedyś ktoś tu przyjdzie, znajdzie tego tam – kiwnął na Młodego – plus trupa i nas w kręgu, błagających, żeby go przerwać i dopiero potem skuć i wpakować do mamra. Nie tak miało być – westchnął, dorzucił szczerze. – Żal mi jej, stary, co ci mam powiedzieć?

– Zawsze... kiedy czujemy... że wszystko... skończy się dobrze... – dyszał Gil – i kiedy potem... koniec przychodzi... zastanawiamy się, czy... psia krew... to zakończenie jest dobre czy nie.

– Święte słowa. – Enka próbował się uśmiechnąć. Wygrzebał połamanego papierosa, urwał filtr, zapalił. Gil zmarszczył czoło, jak aktor w niemym filmie, który intensywnie nad czymś medytuje. Na czworakach dotarł do skraju kręgu. Oczy mu się zaświeciły.

– Nie, Zbyszek! Ani trochę! Niech mnie, a to sprytna baba! Zbyszek, to jeszcze nie koniec! Zobacz! Zobacz!

Na czworakach ruszył przed siebie, nabrał powietrza i przekroczył krąg. Otrzeptał się, wstał, gestem zachęcił skołowanego Zbycha. Enka tylko łypał oczyma, jakby zdziwiony, że on, przecież milicjant, a boi się czarów. Przyglądał się linii roztańczonych nici (wirowały teraz słabiej, gnąc się ku ziemi), uśmiechnął się, już wiedział – Królowa nie zapierała się ile wlezie, by dać opór nefilimowi. Nikt by nie zdołał. Obcasy ciągnięte po dywanie przerwały krąg.

Dopadli Młodego. Enka uniósł mu głowę, Gil wpadł do łazienki, wrócił z mokrą gąbką, pośpiesznie spróbował zetrzeć symbole z ramion, lecz nie zdołał. Henna. Ciałem chłopaka wstrząsnął dreszcz, Młody poruszył palcami,

oczy pod powiekami śledziły jakiś cel. Enka klepnął go w policzek. Nie pomogło. Podniósł wzrok na Gila.

– Andrzej, ja nie wiem. On jest opętany może? Duch jakiś, zakęcie? – dopytywał się, zakłopotany. – Jakiś demon, czy co?

Ksiądz doktor wybałuszył oczy i wskazał zestaw – filiżankę, brązową grudę na stoliku.

– Co ty? Haszysz. – Uniósł grudę, podsunął Ence pod nos. – Afgański chyba.

Enka tylko pokręcił głową, nie zastanawiając się, skąd Gil ma taką wiedzę o narkotykach. Obrócili Młodego na bok, plecami do ściany, podkurczyli nogę, rękę dali pod tyłek, a Gil – bo na niego padło – włożył mu dwa palce w usta. Młody zabalgotał i zwymiotował ciemną ciecz o zapachu lekko przypominającym żywicę. Otworzył oczy, zamrugał, spodziewał się bowiem wszystkiego, tylko nie Enki i Gila. Otworzył usta, ale mówienie szło mu równie słabo, co próby odzyskania pionu. Uniósł się ledwo i runął na łóżko.

– Kawa. Dużo kawy – rzekł ksiądz Andrzej Gil.

Wlali w niego trzy kawy, nim zdołali go podnieść.

Wywracał oczyma i próbował mówić dziwne rzeczy, coś o pielęgniarzach, że dzielą się na złych i dobrych, o sprzedajnym Frączaku, no i gdzie jest Profesor, bo trzeba by mu do dupy nakopać, choć to staruszek i mądry człowiek. Zaciągnęli go do łazienki, wsadzili łeb pod zimną wodę. Mokry, posadzony na brzegu łóżka, chłęptał kawę, otrzepywał się i nagle spojrzał na Zbigniewa Enkę.

– Jesteś taki wspaniały – powiedział.

Gil wlepiął wzrok w grudkę haszyszu, na jego twarzy odbijało się przejęcie, przerażenie, lecz i echa dawnych miłych wspomnień ze studenckiego dorabiania w Holandii.

Nie poszedłby o własnych siłach, wzięli go więc pod ramiona i wyciągnęli

na korytarz. Ten wyglądał już normalnie, szara materia przepadła i tylko gruby, łysy facet z haczykowatym nosem leżał pośrodku korytarza niby na plaży, bił nogami i śpiewał *Międzynarodówkę*. Przekroczyli go, Enka butem trącił i facet podniósł głowę, zamrugał, wyraźnie ich nie poznał i otworzył usta najpewniej po to, żeby zawołać kolegów. Gil uśmiechnął się doń promieniście i zanucił:

---

*Wyklęty powstań, ludu ziemi, Powstańcie, których dręczy głód.  
Myśl nowa blaski promiennymi Dziś wiecie nas na bój, na trud<sup>[19]</sup>.*

---

Facet wyraźnie się zawahał, zastanawiał się – swoi czy nie? Enka nie dała mu czekać, zawtórowała, a Młody wybijał rytm nogą:

---

*Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata, Przed ciosem niechaj tyran drży!  
Ruszymy z podstaw bryłę świata, Dziś niczym, jutro wszystkim my!*

---

Twarz łysego rozpromieniała czystym szczęściem, zebrał w sobie siły, uniósł się na łokciach i jął zawodzić ochrypłym głosem, razem z Gilem i Enką. Nagle zza drzwi obok dobiegły trzy jeszcze pijane głosy, dalej z pokoju wytoczyło się dwóch ludowców objętych czule i po przyjacielsku, za nimi zaś rozśpiewana dziwka, o sutkach czarnych jak robotniczy chleb. Kołysała biustem do refrenu.

---

*Bój to jest nasz ostatni, Krwawy skończy się trud, Gdy związek nasz bratni  
Ogarnie ludzki ród.*

---

Już cały korytarz śpiewał, posłowie wytaczali się na zewnątrz, pogięci, na czworakach, kobietach, półnaczy lub naczy całkowicie, śliscy, z krawatami w pasie, o lśniących torsach, w poplamionych garniturach, półprzytomni wyli tę pieśń, klaskali i tulili się do siebie. Gil z Enką pociągnęli Młodego po schodach, lecz *Międzynarodówka* ich wyprzedziła, nim dotarli na piętro poniżej, ono już się rozśpiewało: żołnierz z blondynem, grubas z blondynką na kolanach i jego akolici, mnóstwo bezimiennych, nawet tajniacy, którzy wcześniej udawali, że naprawiają korki.

---

*Nie nam wyglądać zmiłowania  
Z wyroków bożych, z pańskich spraw.  
Z własnego prawa bierz nadania  
I z własnej woli sam się zbaw!*

---

Szli dalej, a zza każdych drzwi brzmiała ta sama pieśń, śpiewana krzywo, niezdarnie bądź czystym tenorem, wyskrzeczana, zwymiotowana wraz z wódką, wypłakana w ramiona kolegi z opozycji, wyskuczana, wyjęczana, zagryziona ogórkiem, przepita, przepalona, przegrana i zwycięska, im niżej tym mocniej, aż budynek zaczął wibrować, drżeć, stawać się niewyraźnym, a może Gilowi i Ence tylko tak się zdawało, bo oglądali go przez łyzy.

§ § §

Pieśń słyszeli jeszcze na zewnątrz, z tym że ulegała postępującemu rozmyciu. Ostatnie piętra przerobiły już całą i wyrzaskiwały pierwszą zwrotkę od początku, środkowe były przy refrenie, a parter śpiewał jeszcze o tym, że *dziś lud roboczy wsi i miasta w jedności swojej stwarza moc*. Młody już przebierał nogami, unosił głowę i rozglądał się po okolicy. A było na co patrzeć – po parkingu biegali ogłupiali ochroniarze, ktoś dzwonił, a ktoś jeszcze wrzeszczał na niewinnego. W miejscu, gdzie wcześniej tkwił szlaban

i budka, przy której kłócił się wąsaty poseł, widniała wyrwa, z której sterczały resztki drutów, kabli, blachy i drewna, Enka mógł przysiąc, że sterczą tam również skrwawione kości strażnika. Jakaś straszliwa siła złamała pobliskie drzewo, płot był wygięty, a dach pobliskiej łady zrównano z resztą karoserii.

Grupa ludzi z Biura Ochrony Rządu przemierzanych ze strażą marszałkowską pędziła właśnie w kierunku budynku sejmowego, inni zmierzali do hotelu, zajmując stanowiska przy drzwiach, skąd Gil i Enka właśnie wyszli. Z daleka, nisko, nadciągały światła helikopterów, a Wiejską pręła już karetka na sygnale i trzy suki.

– Nic tu po nas – powiedział Zbigniew Enka, a Młody parsknął śmiechem.

Burza osłabła, niebo trochę się przejaśniło, ale nim dotarli do zrujnowanej budki, zdążyli przemoknąć, misternie ułożone poselskie fryzury zmieniły się w ukwiały mokrych strąków, okulary zalała woda, a że nieśli Młodego, nie mieli jak ich przetrzeć. Gil słyszał, jak Enka klnie i stwierdził, nie bez zdziwienia, że mu wtóruje pod nosem.

Borowcy włali się do wnętrza hotelu poselskiego. Pieśń zamarła. Trudno wymyślić coś głupszego, niż wyprowadzenie na zewnątrz kilkuset pijanych gości, lecz paru z nich samych wyszło i zbaraniało na widok zjeżdżającej się milicji, biegających ludzi i helikoptera, który zdążył nadlecieć i krążył nad kompleksem sejmowym. W oknach hotelu pojawiły się twarze. Ktoś wrzeszczał, strzelił korek od szampana. Większość okien była już ciemna, za to w jednym na ostatnim piętrze płonęło intensywne czerwone światło.

Z dołu wyglądało niczym wielkie czerwone ślepie z ledwo widoczną poprzeczną źrenicą złączenia ram okiennych. Blask promieniował na elewację budynku, w rogach okna zdawał się ją pożerać, a zgrubienia na firance dawały pozór żyłek i pęknięć na chorym białku. Cień przesunął się za nim, niby ludzki, bo z głową, o szerokich ramionach, ale rogi i skrzydła nie

miały z człowiekiem nic wspólnego. Ramię albo szpon szarpnęło za czarną kotarę, ta opadła i oko się zamknęło.

– Ty, co to takiego? – Zbigniew Enka wskazał okno. Gil uniósł głowę i nie odpowiedział.

Młody znów zaczął rechotać, oczy miał nieprzytomne. Enka uniósł mu głowę za włosy i szepnął, że jak zaraz się nie uspokoi, wszyscy będą mieli przesrane i to równiuśko, jak na wojnie albo w kasynie. Młody tym nie bardzo się przejął, obiecał, jaki to będzie grzeczny i dalej w śmiech. Oczy mu łzawiły, dolna warga opadła bezwładnie, a z wargi dyndała ciemna nitka śliny.

– Przynajmniej się nie odzywaj – poprosił ksiądz doktor Andrzej Gil.

Przy rozwalonej stróżówce dwóch młodych milicjantów usiłowało ogrodzić teren, taśma leciała im z rąk, a próbowali patrzeć na wszystko, tylko nie na krwawy rozgardiasz pod stopami. Trzeci funkcjonariusz, piegowaty, z zadartym nosem, taki ucziak, miał sprawdzać wychodzących. Trząśł się przy tym, jakby właśnie zobaczył swoją duszę na talerzu, a nad nią diabła z nożem i widelcem. Enka poszedł przodem.

– Dokumenty – wykrztusił rudzielec. Nienaturalnie unosił głowę i Enka zorientował się, na co rozpaczliwie próbuje nie patrzeć. Wnętrze rozpieprzonej budki przypominało rubin, krew jeszcze płynęła, dwie nogi leżały skrzyżowane ze sobą, obok wałała się miednica owinięta różańcami flaków, połamane ramiona i tors rozerwany jednym szarpnięciem. W lewo skręcał krwawy ślad szeroki na kilkadziesiąt centymetrów, Enka wypatrywał w nim kawałek ucha, skórę, kilka zębów, wszystko w krwi i brudzie. Powiódł wzrokiem. Głowa, a raczej to co z niej zostało, leżała pod drzewem, starta w skosie od podbródka po lewe oko, nefilim musiał nią szorować po ziemi, a potem cisnął jak niepotrzebną zabawkę – głowę do wycierania.

– ...kumenty – powtórzył rudzielec. Enka zabrał od Gila fałszywą



legitymację, podał także swoją. Rudzielec chwycił je w drżące dłonie, tę Gilową natychmiast upuścił. Podniósł, ledwo zerknął i zwrócił z przeproszącą miną.

– A on? – wskazał na Młodego, który akurat kiwał głową i nucił piosenkę o tym, że ktoś nie dał się, zesrał się w kalinowym lesie. Enka przybrał stropiony wyraz twarzy.

– Znajomy dziennikarz – odparł śpiewnie. – Mieliśmy małą imprezkę w pokoju, tu z kolegą – wskazał kciukiem na Gila – no i trochę przeholował, zdarza się, prawda? Ej, każdy jest człowiekiem – ścisnął Młodego za tyłek – chyba nie będziecie robili z tego jakichś historii? Szczególnie teraz...

Rudy milicjant pewnie do wczoraj myślał, że te cholerne pedały, podobnie jak głowy rozsmarowane po asfalcie zdarzają się tylko w filmach na RTL, więc kiwnął głową, można iść. Nie zrobili dziesięciu kroków, gdy dobiegł ich znajomy odgłos – gliniarz wymiotował w krzaki, nie wiedzieli jednak, czy to przez trupy, czy z innego powodu. Gil gapił się na Enkę z mieszaną przerażenia i podziwu.

– On musi się obudzić – rzekł Enka i potrząsnął Młodym. – No, kolego, koniec spania. Zwijamy manatki. Idziemy na pociąg, rozumiesz mnie? Wiesz, co to takiego, pociąg, mój kolego?

Młody skinął głową.

– Tuf, tuf! – powiedział i nagle oczy mu się rozjaśniły. Uśmiechnął się, otarł usta. – Tak, wiem.

Omali nie upadł, podtrzymali go, przywrócili do pionu – stał już bez pomocy. Paczka cameli Zbigniewa Enki wydawała się nie kończyć, więcej, można by pomyśleć, że z każdym nieszczęsnym wydarzeniem przybywa w niej papierosów. Włożył sobie jednego do ust, rozglądał się, paląc bez użycia rąk.

– Dworzec będzie tam – wskazał. – Im szybciej się stąd zabierzemy, tym

szybciej zdołamy zapomnieć.

Ostatnie słowo zginęło w dźwięku klaksonu. Obejrzeni się. Obok stał stary fiat z włączonym silnikiem, a z siedzenia kierowcy kiwał na nich krępy jegomość, ten sam, w którego towarzystwie Królowa oglądała posiedzenie Sejmu. Sprawiał wrażenie zupełnie nieprzejętego rozgardiaszem dookoła, ot, człowiek, który zrobił swoje i wraca do domu.

– Panowie dokąd? – zawołał. – Podwieźć mogę.

Andrzej Gil odparł, że na dworzec, jegomość uniósł brew, jakby ze zdziwienia, że w Warszawie istnieje takie miejsce, i dał znak ręką, żeby wsiadali. Gil usadowił się z przodu, Enka posadził Młodego, sam usiadł, a Młody natychmiast złożył mu głowę na kolanach. Ruszyli. Jadąc, mijali kolejne karetki, nyski i cywilne pojazdy z kogutami pędzące na łeb, na szyję w stronę kompleksu sejmowego. Zbiegali się też fotoreporterzy w próżnej nadziei na miejsce zaraz pod nagłówkiem gazety – wystarczyło, że milicjanci zobaczyli kogoś z aparatem lub wystarczająco sponiewieranego, by wyglądać na przedstawiciela prasy, kazali zawracać, a jak ktoś pyskował, trafiał do suki.

Jegomość wyglądał na takiego, co dostaje zawału przy każdym skrzyżowaniu, niemniej pruł równo przez Warszawę, jakby duży fiat miał zaraz dostać skrzydeł. Gil z przyjemnością stwierdził, że kierowca jest trzeźwy. Zerknął do tyłu. Enka miał obojętną minę, Młody mamrotał coś na kolanach.

– Ludziom trzeba pomagać, co? – odezwał się kierowca. – Posiedzenie mieliśmy, skonany jestem. Ale powiem wam, że ludzie to czasem dziwni są, nie rozumieją, że ktoś lubi tak, a ktoś inaczej. Ja do was nic nie mam, naprawdę, bawicie się, jak chcecie, przecież ten chłopak też dorosły. No Jezus Maria! – walnął dłonią o kierownicę. – Przecież mamy dwudziesty wiek!

– Święte słowa – rzekł zimno Zbigniew Enka i zdjął okulary.

– Ja tam to wiele widziałem, ech, człowiek był młody to nie tylko patrzył. – Jedną rękę trzymał na kierownicy, drugą memłął długą siwiejącą brodę. – Waszych to znałem, Iwaszkiewicza, no, Waldorffa to do dziś, a słuchajcie, taką historię wam powiem. W Krakowie na Rakowicach to taki facet leży, porządny gość, z jego kochankiem go zresztą pochowali. Był publicystą katolickim, należał do Rady Państwa, ale dusza nie gość. Nazywał się, tak, wiem, Zawiejski. Właśnie tak.

Wziął zakręt, aż ich zarzuciło. Gil zerkał w lusterko, poprawiał mokre włosy i zastanawiał się czy dwóch starszych gości wlokących młodego zawsze w kręgach sejmowych wiąże się z homoseksualizmem. Deszcz przestał padać. Powietrze pachniało ozonem.

– No i ten Zawiejski, pocziwina, ujął się za studentami w sześćdziesiątym ósmym. Starszy był, to się nie bał, a powinien. Z funkcji państwowych ustąpił i jakoś tak przypadkiem, słuchajcie – zaśmiał się głucho – parę dni potem dostał wylewu. A jak wylew, to i szpital, prawda? No i z tego szpitala, moi panowie to on wyszedł, ale oknem, samobójstwo, powiedzieli. Dziwna sprawa, bo do okna, którym skoczył, z trudem doszedłby ktoś młody, jak wy, panowie, a co dopiero dziad po wylewie. Leży sobie teraz z tym swoim, a ja się zastanawiam, czy Bóg przyjął go do siebie i co? Smutna historia, prawda, ale rzeczywiście tak było.

Młody podniósł się na te słowa i przyglądał się umykającym warszawskim domom z wyraźnym zdziwieniem.

– Bywa – zauważył przytomnie Gil. – Daleko jeszcze ten dworzec?

Facet nie odpowiedział, nawet nie zerknął, gapiąc się przed siebie. Wypadli na podporządkowaną, przed nimi błyszczał już Pałac Kultury, a Gil zobaczył aparat słuchowy w uchu staruszka. Można by mu wywrzeszczyć dziesięć przykazań prosto w ucho, pomyślał Gil, poweselał i uśmiech zamarł

mu na ustach: widział Młodego, przytomniejącego na tylnym siedzeniu i zaraz zobaczył Królową, jak znika za oknem porwana przez nefilima. O takie szło zakończenie? Wygraliśmy czy przegraliśmy, Zbyszku? Co mi powiesz, jak siądziemy na spokojnie?

– A swoją drogą, czasy się zmieniają i ludzie też. Pomyślelibyście kiedy? Panowie są posłami? A skąd?

– Jesteśmy chrześcijanami – burknął Enka. Stary nawet się nie obejrzał: – Kiedyś to każdy był mocny, ci komuniści, a nie? Ja w opozycji, zawsze, zawsze i myślałem, że im rady nie damy. Jeśli zaś damy, to łby urwiemy razem z Amerykanami. Teraz? Och, kochani – potrząsnął głową – spotykam takich twardogłowych i każdy się w pas kłania. Taką szychę spotkałem przed posiedzeniem, jeden z tych, co lubią siedzieć z tyłu. Wiekowy gość, bardzo ważny. Minder-Koszutski – mruknął, przypominając sobie nazwisko – słyszeli panowie o nim? Nazywają go Profesorem.

Gil potrząsnął głową.

– Ten to był nieprzejednany, teraz milutki, gniew się jak smark na wietrze. Oni zaraz całkiem władzę oddadzą, zobaczycie. Chcą współpracować z patriotami, z opozycją. Dadzą nową Polskę zbudować. – Pociągnął nosem i dorzucił z nadzieją w głosie: – Nie przypuszczałem, że takiego dnia doczekam.

– Przez tamto skrzyżowanie pchał się nie będę. – Staruszek zjechał na pobocze obok Pałacu Kultury. – Stąd macie dwa kroki, złapcie sobie pociąg i nie włączcie się byle gdzie.

Młody poszedł o własnych siłach i nawet jak potknął się o chodnik, przytomnie złapał równowagę, czepiając się kobieciny pędzącej dziarsko z teczką pod pachą. Enka podziękował staruszkowi, który jeszcze opowiadał o tym, że komuniści wcale nie są tacy źli, tylko trzeba ich poznać, poznałby lepiej, gdyby pił, ale co z tego, skoro nie może, bo ma by-passy. Gil poszedł

w milczeniu, z opuszczoną głową. Czuł się skazany przez Boga, świat i siebie samego.

Enka akurat rozmawiał z Młodym.

– Jesteś przytomny? Utrzymasz się prosto? Dasz radę iść?

Młody kiwnął głową. Zdołał nawet odgarnąć włosy z czoła. Ze zdziwieniem przyglądał się pieczęciom i nacięciom na przedramionach.

– Masz gdzie jechać? Masz kogoś?

Popatrzył pytająco. Enka wypuścił ze świstem powietrze.

– Dasz radę dojść na pociąg?

– Jasne. – Młody próbował się uśmiechnąć. Enka wcisnął mu w garść zwitek banknotów.

– Masz tu na bilet, tylko nie przepij. Co tam, i na przepicie starczy. Jedź gdzie możesz, do przyjaciół jakichś. Nie ufaj im za bardzo. Przeczekaaj. Nie znasz nas, nigdy nie wiedziałeś. Ani w szpitalu, ani w Warszawie. No, już, idź mi stąd.

– Chcesz go tak puścić? – wtrącił się Gil.

– To znaczy jak?

Ksiądz doktor wskazał pozacierane malunki na przedramionach Młodego i blizny poczerńnięte od skrzepniętej krwi. Bladej twarzy i cieni pod oczyma wskazywać nawet nie musiał.

– Bez jaj – ostrzegł Enka – poradzi sobie. Prawda, że dasz sobie radę?

Gil założył mu swoją marynarkę, ale Młody był myślami gdzie indziej. Miętosił pieniądze w dłoniach, nie wiedząc, co z nimi uczynić.

– Gdzie Barbara? – zapytał wreszcie.

Ludzie pędzili, ocierając się o siebie, matki ciągnęły swoje dzieci, będąc zarazem ciągniętymi przez zaaferowanych małżonków, trochę ich minęło, nim Gil i Enka uświadomili sobie, że Królowa także ma imię.

– Ona była z wami, prawda? – dopytywał Młody. – Przecież o tym śniłem.

– Głos mu zamarł, gdyż z oczu Gila wyczytał, że owszem, Królowa doprowadziła ich aż do pokoju Profesora i tam przydarzyło się coś niedobrego. Zamarł, z pieniędzmi w wyciągniętej dłoni. Pociągnęli go na pobliski murek, gdzie nocni przydworcowi handlarze właśnie zwijali swój majdan. Młody słuchał, a Gil opowiadał ściszym głosem wydarzenie po wydarzeniu, od przyjazdu do Warszawy przez rajd po tym mieście, płataninę zdarzeń, która skończyła się z nefilimem znikającym za oknem, trzema kawami i śpiewaniem *Międzynarodówki*. Młody zwiesił głowę.

– Znajdziecie ją, prawda?

– Nie wiemy, gdzie – odparł natychmiast Enka.

Warkot helikoptera brzmiał już wyraźniej. Dwóch facetów w czarnych ubraniach przebiegło między Gilem a Enką, krzycząc na siebie nawzajem.

– Mnie znaleźliście – cisnął Młody. *Ja pierdolę*, powiedziały oczy Enki, a powtórzyło to już całe jego ciało, od brudnych butów po zmokniętą czuprynę.

– Jak szukaliśmy ciebie, mieliśmy ją. Mieliśmy Barbarę – powiedział. Huk helikopterów, przynajmniej trzech, zagłuszał jego słowa – bez niej nie damy rady. Wątpię, wybaczyć, co teraz powiem... – zaczął Enka i nic nie powiedział, może dlatego, że zabrakło mu słów, a może ze względu na dwie nyski, które zaparkowały koło nich z piskiem opon. Z niebieskich pudeł na kółkach wysypali się milicjanci, Enka już nie wiedział czy podnosić ręce, niebiescy jednak ich minęli, przeskoczyli murek i popędzili w kierunku Pałacu Kultury.

– Nie miej do nas żalu, ale też nie dziękuj – zaczął Andrzej Gil. – Coś ciągnęło nas przez tę sprawę, od szpitala aż tutaj. Gdyby nie ta istota, ten... ten stwór, już byś nie żył. Nie przeszkodzilibyśmy Profesorowi. Wiesz, to dziwne. Jestem księdzem, pomyślałbyś? Nas uczą do takich chwil. A teraz – na jego ramię spadła łapa Enki, strącił ją, dokończył – teraz nie wiem, co powiedzieć.

Enka przywalił mu ponownie, aż ksiądz stracił oddech, a jak go złapał, zaraz znów puścił. Warszawa tonęła w półmroku rozcieńczonym przez światła samochodów i autobusów, latarnie paliły się na pomarańczowo, wysoko błyszczały lampy dwóch helikopterów, kierujące się wprost na Pałac Kultury i Nauki. Gdzieś w jednej trzeciej bocznego skrzydła uczepiony pod oknem wisiał nefilim z Królową pod pachą. Gil wiedział, że to Królowa, choć z dołu przypominała ciemną plamkę, drobinę w niebieskich ramionach. Nefilim wspinał się skokami, wyrzucając się ku górze na wolnej ręce. Zawisał w powietrzu na ułamek sekundy i chwycił się następnego parapetu. Łeb miał zwrócony ku górze i nic nie robił sobie z nadbiegających milicjantów, krzyków przechodniów i szumu śmigieł helikopterów.

– Małpa! Małpa! – krzyczano.

– O żesz jaja! – wrzasnął karzełkowaty handlarz, jeszcze chwilę temu zajęty pakowaniem książek do torby podróźnej, cisnął cały majdan i popędził na oślep przez ulicę do swojego samochodu. Cudem uniknął kół rozpędzonej suki, dopadł celu, zamiast wsadzić w zamek kluczyki, wyrzucił je sobie metr nad głowę, wrzasnął na siebie samego i chwycił je w locie. Moment później grzebał w bagażniku, wyrzucał zeń siatki i paprochy, aż znalazł czarną torbę, chwycił pod pachę i popędził z powrotem, zostawiając otwarty bagażnik skody.

Zajechały kolejne radiowozy i transporter opancerzony. Z samochodu w pośpiechu zaczęto wynosić coś, co z daleka wyglądało jak kawał złomu, a okazało się karabinem maszynowym NSW, tak ciężkim, że sześciu milicjantów z trudem złożyło go na wózku. Popędzili zaraz w kierunku Pałacu Kultury. Nie tylko oni.

Wokoło gromadzili się przechodnie, ale większość nie podchodziła zbyt blisko, wcale nie ze strachu – z daleka lepiej widzieli pałac i nefilima zdobywającego kolejne piętra. Tylko grupa Japończyków, prowadzona przez

kobietę małą nawet jak na Azjatkę, próbowała dostać się pod samą Salę Kongresową. Tłumaczka wdała się w kłótnię z milicjantami, a że nie mieli zbyt wiele wspólnych słów, próbowano rozmawiać ciałem i dolarami. Ostatecznie Japończycy stanęli kilkadziesiąt metrów od pałacowych schodów. Nefilim zaś dotarł na szczyt skrzydła, odbił się miękko i kontynuował wędrówkę po fasadzie, poruszając się skosem, szybciej niż wcześniej. Wydawało się, że nieznane siły wspomagają go w tym wysiłku, że chwyta się powietrza i krzyków z dołu, zwinny niczym wielki kocur. Na moment światło padło na jego plecy, aż głosy ludzi zamarły.

Handlarz dopadł gapiów, z niemal dzieciennym uśmiechem otworzył torbę, ukazując, co ma do sprzedania – lornetki ledwo nadające się na szkolne przedstawienie, czarne z dużymi brudnymi szklami. Sprzedałby wszystkie, gdyby nie Enka, który podbiegł doń, powiedział, że jest z milicji i takimi rzeczami się nie handluje i zamknąć zawsze może, a potem tłumacz się człowieku, ile masz ochotę. Handlarz otworzył usta do przeprosin, a Enka zwyczajnie wyjął mu lornetkę z torby i pokazał plecy. Tamten został z otwartą gębą i wyrazem niewysłowionej ulgi, która, płynnie jak nefilim pokonujący kolejne piętra, przeszła w zimną złość.

Pojawiły się też trzy karetki, parkując z boku, przy autobusach. Sanitariusze wysiedli i skamienieli, widząc, dokąd przyjdzie im iść. Popędzili z noszami i torbami lekarskimi, wyraźnie zazdroszcząc kierowcom, którzy gapili się, pełni zdziwienia, z papierosami w ustach.

Zajechały kolejne radiowozy, ale z nich, zamiast funkcjonariuszy, wysypali się staruszkowie – z plamami wątrobowymi na mordach, o laskach, jeden na wózku nawet, siwi jak Gierek, bądź łysi jak Jaruzelski, zbili się w zwartą grupę, której przewodził staruszek z sumiastym wąsem i podbródkiem tak wysuniętym, że mógłby nim piwo otwierać. Podeszedł do milicjantów, wyszarpnął jakiś papier i dał pod nos. Nie pomogło, więc jego wrzask



usłyszeli nawet Enka z Gilem, sto metrów dalej. Teraz cała grupa jęła wyjmować papierki, legitymacje i nimi wymachiwać, aż milicjant zbaraniał i ich puścił.

– Pewnie ludzie od Profesora – szepnął Gil.

– Srał ich pies. – Enka podał mu lornetkę. Królowa żyła, leżała bezwładnie, nieprzytomna.

Młody, który spinał się odkąd zobaczył nefilima, wystrzelił do przodu i pognał w kierunku Pałacu Kultury, roztrącając gapiów. Pewno by go dopadł, ale bieganie po haszyszu wciąż nie szło mu najlepiej, tak że Enka dogonił go bez trudu, chwycił za kołnierz. Młody miał minę jakby chciał mu przysolić.

– No i co zrobisz? Jak pomożesz, włącząc znowu w ich łapy?

– Widział ją wcześniej – wykrztusił Młody. Wracali już do Gila. – Kiedy mnie szukała, musiał ją zobaczyć, tak jak ona jego. Basia jest bliżej tamtego świata niż wy, mało kto... – głos mu się załamał. Kiwnął na nefilima, który osiągnął już połowę wysokości budynku. – Jest bliżej niego, po prostu.

– A po kiego ciula on się tam wspina? – Enka pomyślał na głos. Nie uzyskał odpowiedzi ani od Młodego, który zamilkł i się trząsał, ani od Gila, który zaciskał pobielające palce na lornetce i nie puściłby jej, chyba żeby mu dłonie odrąbali. Enka westchnął. Żałował, że nie zabrał dwóch.

Milicjanci ustawili się w kordonie, snajperzy zajęli pozycje, nikt nie strzelał. Czekano na rozkaz. Dwa helikoptery zataczały małe koła wokół pałacu i nie wiadomo dlaczego jeden otworzył ogień – może poszedł rozkaz z dołu, może strzelec nie wytrzymał albo zrozumiał, że to nie żadna mała, ale coś dużo groźniejszego i nie wolno dopuścić go na szczyt budynku, nawet za cenę życia. Poszła długa seria, kule trafiły w bark, plecy, pod udem. Nefilimem zatrzęsło i omal nie puścił Królowej. Zatrzymał się, obnażył kły. Zabrzmiała druga seria. Anielski syn odpowiedział rykiem.

Na dole słyszeli jedynie okruch tego dźwięku – paru gapiów padło na

ziemię, snajperowi karabin wysunął się z dłoni, pospadały aparaty, ale nikt nawet nie jęknął. Z góry szedł dźwięk podobny do przeciągłego grzmotu, nieco wyższy, bardziej płynny, urwał się nagle i nefilim ruszył ku górze już wolniej. Krew zapaskudziła fasadę. Helikopter wykonał jakby próbę skrętu i zaczął wirować wokół własnej osi. Oderwał się od budynku i ciągle zniżając lot, poleciał nad miasto. Ludzie wskazywali go palcami, a gdy spadł, zakryli usta. Runął niemal bezgłośnie albo dźwięk nie doszedł pod pałac. Zabrakło też wybuchu czy błysku, po prostu uderzył gdzieś między budynki, jęknęła stal i koniec.

Przez lornetkę Gil widział trzy głębokie rany, czarną krew na murze i błękitnym ciełe. Nefilim wspinał się uparcie, ale każde podciągnięcie kosztowało go więcej wysiłku niż poprzednie. Coraz gorzej radził sobie z Królową, omal mu się nie wymknęła, gdy przeskakiwał taras – zwolnił za bardzo uchwyt, poleciała, przytrzymał za włosy.

– Po co on tam się pcha? – zapytał Enka.

Młody potrząsnął głową, nie ma pojęcia, może z piekielnej złośliwości? Gil oderwał lornetkę od twarzy. Miał minę faceta, który właśnie dowiedział się, że ma raka albo że świat skończy się w najbliższy piątek.

– Dobry Boże. On idzie do ojca – przyłożył rękę do ust. – Dlatego wspina się na najwyższy budynek, jaki znalazł. Ku górze. Pod niebo. Jezus Maria.

– Po co mu Królowa? – słowa Gila nie zrobiły wielkiego wrażenia na Zbigniewie Ence.

– Nie wiem, jako dar, który dajemy komuś, kogo dawno nie widzieliśmy. Zbychu, czy ty naprawdę nie rozumiesz – obrócił ku niemu przerażone oczy – on idzie zawołać swojego ojca, ale ojciec już nie jest w niebie. On o tym nie wie. Nie przeczuwa nawet. Jego ojciec jest... – wyczuł pytanie w twarzy przyjaciela. Spróbował zdobyć się na uśmiech, ale równie dobrze mógłby uczyć się fruwać – ojciec jest w zupełnie innym miejscu.

– Lucyfer – wymknęło się Ence.

Gil nie odpowiedział i tylko patrzył przez lornetkę.

Drugi helikopter zataczał kręgi dużo szersze niż wcześniej, nikomu strzelanie nawet przez myśl nie przeszło. Nefilim pokonał już taras i dotarł do samego szczytu, chwycił się anteny, a Królową bezceremonialnie wepchał sobie między kolana. Uwolnioną rękę uniósł ku ciemnemu niebu, odgiął głowę, przez moment wydawało się, że skoczy, ale nie. Zaśpiewał prosto w gwiazdy.

Przez lornetkę, w świetle wojskowych reflektorów, Gil widział nieprzytomną twarz Królowej. Helikopter zachwiał się, jakby pilot nie umiał zapanować nad emocjami, szef ekipy od Profesora zastygł z otwartą szczęką tuż obok nieruchomego oficera milicji, któremu rozkaz w gardle skamieniał. Snajperzy opuszczali karabiny, Japończycy zapomnieli o robieniu zdjęć, a człowieczek, który wcześniej sprzedawał lornetki, stał z palcami przyciśniętymi do oczu, paznokieć wbił się w skroń, pociekła krew. Enka miał minę niedowiarka – zmrużone oczy, zmarszczone czoło, rozchylone usta – za to skronie mu drżały, pot zalewał kark, a twarz miał niczym flaga polska, pół białą i pół czerwoną. Stawały samochody, ludzie drżeli, płynęły łzy.

Pieśń zdawała się płynąć nie z ust, lecz całego ciała, niby jęk wieloryba, lecz zwielokrotniony, ściśnięty, szalenie tęskny – brakowało melodii, lecz nie sposób było nie słuchać, nie było słów ani rytmu, lecz tylko przejmujące zawodzenie. Pieśń krążyła, wzrastała jak płomień, powietrze zaczęło drżeć, zrobiło się parno, sam nefilim wyglądał jakby rósł od samej mocy swego głosu, choć był przecież tylko plamką na tle wielkiej szpicy. W jego głosie brzmiała niewysłowiona nadzieja, cierpienie i skarga nieszczęsnej istoty, nieskończenie samotnej, wrzuconej w świat, do którego nie przynależy, nie kocha i nie rozumie. Niebo jednak milczało. Nadzieja zmieszała się ze

zwątpieniem, w pieśni zgrzytnął brud. Nefilim drżał z wysiłku, przez chwilę można by pomyśleć, że szykuje się do skoku.

Jego ciało wibrowało, mięśnie klatki piersiowej i barków drżały, jakby drażnione ogniem, pieśń wzmocniła się jeszcze, ale w innym już tonie – szarpanym, dzikim, przemieniła się w krzyk rozpacz, na który nikt nie zna słów, aby odpowiedzieć. Milknął teraz i wył znowu, trzepał głową i szarpał za maszt, którego się trzymał. Wreszcie, głos mu się załamał, rozdarł się i potrzaskał na tysiące westchnień, jęków, szlochów, muskularne ciało zwiotczało, głowa opadła i uniosła się raz jeszcze, już niema, w niewysłowionej skardze do obojętnego nieba. W tej właśnie chwili, na przekór sytuacji i własnej wierze, ksiądz doktor Andrzej Gil zrozumiał nefilima.

Warszawa się zatrzymała – tak jak wcześniej, anielska pieśń wymiotła inne dźwięki, tak teraz wygniotła je cisza. Nie szumiały silniki samochodów, nie furkotał już helikopter, nikt nic nie mówił, nawet serca były bezgłośnie. Na miasto spadł bezruch, ludzie zeszywnieli, nawet ptaki, zdawało się, wisiały w powietrzu. Stał Enka, stał Gil, Młody tylko usta otwierał. Sam nefilim tkwił nieruchomo na szczycie Pałacu Kultury, do głębi siebie świadom nieodwracalności klęski.

A gdy rozsunał kolana, wszystko przyspieszyło.

Spomiędzy nóg wyśliznęła się Królowa, nikt nie słyszał jej krzyku. Rąbnęła o dach, przetoczyła się, po nim. Poleciała nogami w dół na wyższy taras, czarny kształt ledwo do człowieka podobny pędzący przez ostatnie kilkanaście metrów życia. Nikt nie widział, jak upadek się kończy. Balkon przesłonił.

Nie utrzymali Młodego. Wyrwał się Ence, Gila odtrącił i popędził wprost na Pałac Kultury. Enka nawet nie zdążył zakląć, wrzasnął na księdza, żeby czekał tam gdzie stoi i pognał za Młodym. Gil odwrócił wzrok tylko na

chwilę, ale już ich nie było.

Nim Królowa upadła, obermilicjant wrzasnął coś najpierw przez krótkofalówkę i zaraz potem do swoich. W nefilima poszedł ogień – pruli do niego z helikoptera, z karabinków snajperskich, jeden Japończyk nawet kamieniem rzucił, oficerowie wyszarpnęli krótką i też strzelali, choć z tej odległości trafić było nie sposób. Wąsacz od Profesora coś wywrzaskiwał, ale nikt nawet na niego nie spojrział, dopadł więc pierwszego z brzegu milicjanta i próbował mu wyszarpać broń. Milicjant nawet nie spojrział kto to, tylko uderzył z łokcia, prosto w nos, ten pękł, jakby był z wapna. Wąsacz opadł na kolana, jął wić się z bólu. Swoi odciągnęli go w kierunku karettek. Milicjant spojrział na niego, przez twarz przebiegło mu zdziwienie – rany Boskie, uderzyłem staruszka – które płynnie przeszło w obojętność. Było się pchać, stary głupcze?

Nefilim przyjmował kule z pozoru obojętne, dopiero trafiony serią w brzuch zgiął się i machnął ręką w próżnej chęci strącenia helikoptera. Próbował oganiać się od kul niczym od much, nabierał powietrza do krzyku i wypuszczał bezgłośnie, zbierając kolejną ranę. Patrzył to w dół, to na nienawistne niebo, to wreszcie na światła helikoptera, lecz wcale nie dostrzegł żołnierzy ustawiających pospiesznie karabin na tarasie obok miejsca, gdzie powinna spaść Królowa. Gil ledwo ich widział, za to wydało mu się, że widzi kogoś jeszcze. Sanitariuszy, którzy przyszedli pozbierać Królową. Modlił się, żeby żyła. Jeszcze trochę. Nikt nie będzie biegał po takim upadku, ale może dotrwa do sakramentów.

Helikopter zamilkł. Kula snajperska trafiła nefilima pod lewe oko, krew poszła przez policzek aż na klatkę piersiową. Niebieska dłoń odruchowo puściła maszt i dziecię anielskie poleciało bezwładnie, z szeroko rozstawionymi nogami, za Królową. Wylądował miękko, mrugnął, widział dobrze, a i inni wiedzieli, że nie zrobili mu jeszcze poważnej krzywdy.

Wyprostował się, niebieski, piękny i pokaleczony. Warknął tylko w stronę helikoptera – ten akurat milczał, strzelec musiał zmieniać taśmę – koncentrując się na żołnierzach z karabinem maszynowym. Skręcili je w ostatniej chwili, poszła seria w szeroki tors, kule, jedna po drugiej, wchodziły pod skórę, płytko, nefilim zawył, pierwszy raz z prawdziwego bólu. Próbował skoczyć do przodu, dwóch snajperów trafiło go jednocześnie, w usta i bark. Działko wciąż strzelało, nefilim ryknął znowu, prawie po ludzku, już próbował tylko kryć się przed kulami. Osłaniał oczy i krocze, przestrelili mu dłonie. Całe strzępy niebieskiego mięsa odchodziły z ramion ud i łydek, a dowódca na dole krzyczał do zdarcia płuc – strzelać do oporu!

Ledwo co widząc, bo krew zalewała mu oczy, nefilim ocenił sytuację, zawrócił i skoczył, niemal na oślep, na niższą kondygnację – niebieska smuga na tle budynku, brocząca posoką. Upadł bezwładnie, na twarz, a gdy próbował się podnieść, strzelec w helikopterze, który skończył już mordować się z taśmą, posłał celną serię wzdłuż kręgosłupa. Nefilimem zatrzęsło, kopał nogami, ręce splótł na głowie. Zdołał przetoczyć się na plecy, tylko po to, by oberwać znowu, w szeroką pierś i szyję, ta kula weszła głęboko, z rany bluznął prawdziwy czarny gejzer.

Strzelcy z dołu nie mogli go osiągnąć, Gil widział tylko żołnierzy przy działku wraz z helikopterem prujących do niewidzialnego celu. I nagle zobaczył nefilima ponownie – jakimś cudem okaleczony stwór zdołał podnieść się na nogi. Jęknął głucho, aż zaboląły uszy, cofnął się – co on robi? I ruszył, ciężkim truchtem, wyciskając wszystko z umierających mięśni, znów śpiewał, cichuteńko, nie dla ojca, nie dla świata, jedynie dla siebie. Wyskoczył na balustradę, odbił się od kamienia i poleciał, wciąż śpiewając, z rozpostartymi dłońmi. Przez moment wisiał w powietrzu, pieśń zabrzmiała głośniej, w lornetce Gila błysnęła jego twarz, zmieniona w papkę mięsa i kości, w której gasło przejmujące oko. I to oko, patrzące dalej, poza ludzi

przed pałacem, nagle się zamknęło. Poleciał w dół, ludzie ledwo zdążyli się rozstać, prasnął między radiowozem a człowiekiem, który kazał go zestrzelić, twarzą do dołu, odwrócony od nieba, które także się od niego odwróciło.

Gilowi lornetka wypadła z palców, ruszył w kierunku miejsca upadku i zaraz stanął – milicjanci błyskawicznie utworzyli kordon wokół ciała. Wąsacz z rozbitym nosem patrzył na wszystko z niemym przerażeniem. Wokoło krążyli sanitariusze z noszami. Inni wypadli z Pałacu Kultury, nieśli jakieś ciało, ale Gil nie zobaczył, kto to, ani czy prześcieradło zakrywa twarz. Wycofał się na miejsce, gdzie kazał czekać mu Enka.

Wrócili fotoreporterzy, tym razem napierając ławą. Weszli w milczący sojusz z ekipą Profesora i szli razem, licząc, że milicja ich przepuści. Jeden nawet podniósł kamień. Tymczasem kordon się zwęził. Nie puszczą. Gila w jednej chwili dopadły ostatnie dni i omal nie upadł ze zmęczenia. Pogrzebał w kieszeni za chusteczką i odwrócił głowę, żeby przez chwilę nie patrzeć w stronę Pałacu Kultury. Chusteczka się nie znalazła, za to ksiądz doktor świetnie zobaczył, kto idzie w ich stronę.

§ § §

Był to olbrzymi mężczyzna w skórzanej kurtce naciągniętej na obcisły podkoszulek, miał też dżinsy podobne do tych, które nosił Enka, z tą różnicą, że Zbyszek schowałby się chyba cały w jednej tylko nogawce. Twarz mężczyzny spowijał cień, Gil wypatrzył tylko orli nos i wydatną brodę. Nie wiadomo skąd przyszedł, ale kierował się wprost na milicyjny kordon.

Mężczyzna uniósł dłoń i Gil poczuł się ciężki, niezdolny nie tylko do podniesienia nogi, ale nawet ruszenia palcem. Mógł tylko patrzeć i tak z ogromnym wysiłkiem, powieki same się zamykały. Nie był jedyny, kordon skamieniał, podobnie, jak dziennikarze i arymaniści – niektórzy w półkroku

ze stopą w powietrzu. Nawet helikopter wisiał nieruchomo. Ani jeden samochód nie pędził ulicą, zniknęły ptaki, nic nie mąciło ciszy. W tym księżycowym bezgłosie Gil poczuł obecność siły, o której istnieniu wiedział, którą przeczuwał, ale nigdy wcześniej nie doświadczył.

Mężczyzna przyspieszył, w jego ruchach znać było furję. Odepchnął gapia, który zagroził mu drogę, niemal cisnął przewodniczką grupy Japończyków, walnął kogoś pięścią w brzuch. Ludzie padali bezgłośnie, jak worki, nie próbując się osłaniać. Gil zdobył się na modlitwę, kruchą jak on sam – nie błagał o innych, ale o siebie, żeby ten mężczyzna, sprawca nieszczęść, nasienie zamętu, nie spojrział w jego stronę. Zabić, owszem, niech zabija, ale pozwoli odwrócić głowę. Mężczyzna tymczasem dostrzegł niebieską krew przelewającą się za kordonem, splunął. Rzucił się do przodu, dorwał pierwszego z brzegu milicjanta i złamał mu rękę na kolanie. Drugiemu rozwalił twarz wielką pięścią, dwóch zagradzających drogę po prostu cisnął kilkanaście metrów w bok, przeniósł wzrok na wąsacza od Profesora i jakby go poznał – płynnym ruchem kciuka wepchał jabłko Adama głęboko w gardło. Staruszek stał jak wcześniej, tylko oczy zrobiły mu się szkliste.

Dotarł już do kordonu, wyrwał pierwszemu z brzegu milicjantowi karabin, przywalił kolbą byłemu właścicielowi i tak utorował sobie drogę. Uklęknął nad martwym nefilimem, przyłożył dłoń do czoła, ucałował w oczy i usta, zmiękł i złożył mu na piersi własną głowę. Trwało to krótko. Mężczyzna chwycił trupa pod pachami, zarzucił go sobie na ramiona bez żadnego wysiłku. Dłonie i stopy syna zwisały tuż nad ziemią, a ojciec poszedł z nim, zgarbiony, by zniknąć za schodami przejścia podziemnego.

§ § §

Świat odzyskał życie dużo szybciej niż ksiądz doktor. Milicjant ze



złamaną ręką wył tak, że mogli go usłyszeć nawet w helikopterze. Japończycy zbierali się z ziemi, a wąsacz wywalił oczy, kaszlnął i runął w ramiona swoich akolitów. Ułożyli go na ziemi, rozbiegli się w poszukiwaniu sanitariuszy, lecz z tego co Gil się napatrzył na okaleczenia, fatygowali ich po próżnicy. Akurat trzy karetki ruszyły na sygnale, wioząc rannych, pierwsze dwie pomknęły ulicą, a trzecia zatrzymała się tuż przy Andrzeju Gilu, który od nowa uczył się widzieć, czuć i myśleć.

Pomyślał więc, że musi wyglądać jak siódme nieszczęście, skoro sanitariusze stają tak sami z siebie. Szyba pojechała ku dołowi i Gil ze zdumieniem stwierdził, że w karetkce siedzi Młody, ubrany w biały kitel, a obok Enka za kierownicą najwyraźniej udaje przejętego pielęgniarza. Już chwycił za klamkę, Enka warknął zniecierpliwiony, że tu nie ma miejsca, trzeba jechać z tyłu, razem z Królową.

– Szybciej! – rzucił. – Nim tamci się połapią, co im zapieprzyliśmy. I znajdą sanitariuszy w suce.

Gilowi nie trzeba było więcej, a gdy zobaczył Królową, ścisnęło mu się serce. Leżała przypięta do noszy, przykryta prześcieradłem, które zdążyło nasiąknąć krwią. Na czole miała wielki plaster, spod którego wyłaziła sina masa, miękka niczym galareta. Oczy ginęły w sińcach, jucha szła z nosa, usta były opuchnięte, a nie trzeba było lekarza, by stwierdzić, że nogi, rysujące się pod prześcieradłem, trzymają się głównie na skórze i ścięgnach. Królowa oddychała płytko. Gil bał się jej dotknąć.

Karetkka ruszyła, Enka prowadził, jakby jechał po życie i Gil omal nie upadł na potrzaskane ciało. Rozpaczliwie rozglądał się w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby pomóc, a co lekarze trzymają zazwyczaj pod ręką. Chociaż zastrzyk na zmniejszenie bólu.

Ledwo otworzył usta do modlitwy, Enka zahamował z piskiem, karetkka wskoczyła przednim kołem na chodnik i stanęła. Gil pozbierał się z podłogi,

rozmasował czoło, którym wyrznął o ścianę, uklęknął.

Drzwi otworzyły się z impetem i stanął w nich zaaferowany Młody. Patrzył przejęty na Królową. Zbliżył się do niej, bezceremonialnie odepchnął Gila, nie zwracając uwagi na modlitwę. Ksiądz wylądował na czterech literach, rozkraczając nogi i podpierając się dłońmi. Do karetki wpadł też Enka, ale pozostał w progu i zerkał, czy ktoś się nie zbliża. Stali w nieoświetlonym zaułku, pod rzędem ciemnych okien.

– Pospiesz się – powiedział Enka do Młodego, ale ten go nie słuchał. Pochylił się nad ciałem, coś mamrotał pod nosem, czoło miał gładkie jak szkło. Gryzł wargę, wyciągnął dłoń, dotknął palcem policzka Królowej, pokręcił głową. Błyskawicznie, jak zwierzę wyuczone sztuczki, zerwał plaster z czoła, ukazując miękką, fioletową opuchliznę, już poprzecinaną czerwonymi smugami. Przyłożył do niej rękę, syknął, palce mu zbieleły. Za to paznokcie przejęły odrobinę fioleto. Opuchlizna najpierw pobladła, stała się sina, a potem zaczęła cofać się, z brzegów ku środkowi, odsłaniając zdrową skórę. Królowa wydeła usta. Z jej piersi wydobyło się westchnienie. Młody współwzdychał.

Zrobił chwiejny krok do tyłu. Ksiądz już wiedział co robić. Zdarł prześcieradło. Królowa spódnice miała zadartą prawie pod krocze, buty musiały spaść. Nogi przypominały nieświeże mięso, jedna stopa wyglądała jak kawał zgniłej szynki, druga sterczała, wygięta w bok. Kolana zniknęły pod kożuchem opuchlizny, pod lewym sterczała kość. Uda pokrywały głębokie zadrapania, ginące w ciemnym fiolecie, można by pomyśleć, że wystarczy lekko nacisnąć tę opuchliznę, a pęknie jak nieświeży owoc. Enka odwrócił głowę.

Ręce Młodego zaczęły krążyć od czubków palców po krocze Królowej. Minę miał taką, jakby za wszelką cenę usiłował powstrzymać wymioty: nadymał policzki, oczy łzawiły. Oddychał ciężko, lecz płytko, rozszerzając

dziurki w nosie. Zakrzywił palce, zaczął dociskać ranę za raną, a te blade, nienakładane, spod opuchlizny wychodziło różowiatkie ciało, które zaraz opinała skóra. Noga naprostowała się płynnie, kość cofnęła się ruchem maszyny, uda skłębły, Młody zaś już dotarł do korpusu, dysząc, sapiąc, zalewając się potem, uciskał łono, brzuch, piersi i szyję. Gil ocierał mu czoło, Enka zaś zerkał w stronę ulicy, wykonując ruch, jakby poszukiwał pistoletu w kieszeni kurtki.

Młody skończył, zatoczył się i upadłby, gdyby nie ksiądz doktor Andrzej Gil. Znieruchomiał w jego ramionach, całkiem mokry.

– Już? – dopytywał Enka.

Młody potrząsnął głową, a Gil w pierwszej chwili nie rozumiał, o co jeszcze może chodzić – rany i opuchlizny zniknęły z ciała Królowej, wyglądała lepiej niż kiedykolwiek wcześniej, pogrążona w głębokim śnie. Tak, sen, ksiądz doktor już rozumiał, nie obudzi się z niego tak zwyczajnie, to śpiączka, w którą zapadła po opuszczeniu kręgu.

Usta Młodego usiłowały skłecić jakąś prośbę, Gil zrozumiał, a jak zbliżył się z butelką wody, Młody wyrwał mu ją z rąk, pociągnął potężny łyk, resztę wylał sobie na kark i serce. Westchnął. Pocałował Królową w czoło, dał znak Gilowi, by go podtrzymał. Skóra na jego czole sprawiała wrażenie martwej, można by ją zerwać jednym szarpnięciem.

Młody wbił rękę pod Królową, u dołu pleców, jęknął, nogi się pod nim ugięły, przymknął oczy, jakby liczył do pięciu, wyszarpnął. Teraz dociskał miednicę, tuż nad łonowym wzgórkim, a z ust, prosto na brudną, zakrwawioną bluzkę Królowej, skapywała brązowa ślina. Jęknął boleśnie, jakby coś pękło mu w środku, chwycił oddech, Gil otarł mu skronie.

Przyłożył dłoń do mostka, zacisnął palce na ubraniu, pojechał w górę, ku sercu, w rejony tarczycy, nagle znieruchomiał, powietrze zamarło mu w płucach, z nosa pociekły dwie strużki krwi, opłynęły usta, dając wrażenie

czerwonych wąsów. Młody sapnął, oderwał rękę, znieruchomiał znowu, poleciał do tyłu niczym manekin. Gil go podtrzymał, a Młody się odepchnął.

Pochylił się nad głową Królowej, przyłożył kciuki do jej czoła, tupął lewą nogą. Odgiął głowę. Jęknął, zawył, prychnął, wyrzucając z siebie krew, ślinę i flegmę. Przesunął się niemal w powietrzu trochę w prawo i złożył dłonie na czubku jej głowy, napiął mięśnie, jakby próbował zmiążyć czaszkę i odskoczył. Opadł na brzeg noszy. Chciwie łapał powietrze. Wyrwał Gilowi butelkę z ręki. Pił, a Królowa otworzyła oczy.

Zamrugła, wciąż niepewna, czy nie śni, minę miała, jakby właśnie wróciła z jakiegoś złego, mrocznego miejsca i wciąż czuła na plecach jego chłód. Jej wzrok odzyskał ostrość, zobaczyła Młodego, jak ten dochodzi do siebie, ociera krew spod nosa, Gil kawałkiem mokrej gazy przemywa mu czoło. Młody zbliżył się do niej, delikatnie wziął za rękę, ucałował, a ona podniosła się z wysiłkiem, objęła jego głowę i przyciągnęła sobie do serca. Całowała go w czoło, wpięła rękę we włosy. Objął ją delikatnie.

– Moje dziecko, moje dziecko – powtarzała.

Patrzyli teraz na siebie, ona głaskała go po twarzy, on objął ją za stare dłonie.

– Brawo! – odezwał się Zbigniew Enka, niby surowo, ale głos mu miękł. – Wyciągnijcie się jeszcze trochę, to zaraz pościskamy się wszyscy z milicją.

– Ty jesteś milicja – zauważył Andrzej Gil.

– Byłem. I to nam nie pomoże. Już, już, idziemy. – Trącił Młodego. Mówił, jakby to, że pięć minut wcześniej Królowa nie mogła nawet powieką ruszyć, należało do innej, gorszej rzeczywistości. Uśmiechnął się do nich i był to pierwszy prawdziwie serdeczny uśmiech, który Gil widział u Zbigniewa Enki. Były milicjant pomógł wstać Królowej. Młody jej nie puścił.

– Szybciej – rzucił Enka – na wszystko będzie czas w pociągu.

Przeszli wspólnie kilkadziesiąt metrów prawie do pierwszej przecznicy. Enka powiedział, że teraz muszą się rozdzielić, trzech facetów i ubrudzona, ochlapana krwią kobieta aż proszą się o zapuszkowanie. Królowa pokiwała głową. Wyglądała w tej chwili jak zła czarownica z bajki. Ucałowała ich w policzki, najpierw Gila potem Enkę, ten nawet się nie odsunął.

– Dziękuję – powiedziała.

Młody nie miał za grosz powściągliwości Królowej. Rzucił się im na szyję, wyściskał najpierw księdza, potem byłego oficera. Jeszcze jednego podziękowania nie skończył, a już wyjeżdżał z następnym, że teraz to zawsze mogą na niego liczyć i gdyby coś się działo, gdyby trzeba było, to swoje życie na szali też złoży. Królowa go odciągnęła i odeszli, już bez słowa, raz Młody wspierał się o Królową, raz ona o niego.

Camel w paczce Zbigniewa Enki okazał się być ostatnim. Pusty kartonik poleciał na chodnik. Gil zerknął na przyjaciela i przeniósł wzrok na Młodego człapiącego z Królową w sobie tylko znanym kierunku. Warszawa ma tysiąc dziur, w których zaszyją się bez śladu, nie, ta dwójka da sobie radę, myślał Gil i przyszło mu nagle do głowy, że poza tarciami energii, demonami, szaleństwem, szpitalami przemienienia, diabelską furją, czarcią wersją historii jest siła, która wymyka się wszelkiemu złu i tą siłą jest miłość. Bez niej nic, a wszystko przez nią, powiedział sobie, a Zbigniew Enka klepnął go w plecy i powiedział, żeby spierdalali.

Wiał ciepły wiatr.

§ § §

W drodze na dworzec Gila opadły inne, mniej wesołe myśli. Czy nie za łatwo im poszło, byli wszędzie, a wszystko rozegrało się poza nimi? Ocalili Młodego, Królową, ale czy Polskę także? Zerknął na Zbigniewa, ten szedł w poczuciu odfajkowanego obowiązku, rozglądał się tylko za kioskiem, żeby

kupić papierosy. Gil grzął w wątpliwościach – łatwo ich uwolniono, w Warszawę weszli jak w masło, a za kawalerię robił anielski syn, którego niebiescy zdjęli natychmiast, jak przestałbyć potrzebny.

Przeszli przez ulicę, przed nimi wyrastała ciemna bryła Dworca Centralnego. „Coś tutaj nie pasuje”, zastanawiał się Gil. Przypomniało mu się czerwone światło w hotelu sejmowym, a po nim słowa Prokopa i wszystko, co kiedykolwiek słyszał o Lucyferze i Arymanie. Jeśli pierwszy sprzeciwia się Duchowi Świętemu, oferując iluzję zamiast Prawdy Jedynej, jeśli drugi jest wrogiem Chrystusa, stawia nienawiść przeciwko miłości, to kto sprzeciwia się Bogu Ojcu jedynemu? „O czym ty, Andrzej, właściwie myślisz?”

Mijał ludzi o trupio pustych oczach – nie widział takich wcześniej, kobiety z dłońmi tak sztywnymi, że mogły być martwe, mężczyzn bez śladu ambicji i pożądania, dzieci bez radości, kobiety o ciałach nadętych sztuczną urodą, z uśmiechami namalowanymi na twarzy, prawdziwy trupi korowód tych, co odeszli za życia. Przecież ludzie nie byli tacy wcześniej! Oto przemknął młody chłopiec, może lat szesnaście, z blizną na twarzy, bransoletką na ręce i oczach podbitych wściekłym kurewskim makijażem. Posłał wyszminkowany uśmiech, komu, może Ence, bo Enka się skrzywił. Gdzieś obok dziwki stara z młodą tulą się jak gołębice, ukradły sobie nawzajem wszelką nadzieję, przepiły, przećpały, nie ma nic. W cieniu, gdzie lamp nie ma, narkomani rozłożyli już plecaki, buty schowali pod głowy, śpią, tylko jeden wciąż tańczy z dłońmi przyłożonymi do ust. Oto pustka, która dusi, pustka, która przytłacza. Co się stało?

– Sorat – zrozumiał Andrzej Gil.

– Co znowu? – pytał Enka.

Tak, Sorat, Trzecia Siła, wróg Boga Ojca. Nicość i wielka ciemność, niszczyciel ja, ten, który przychodzi po Lucyferze i Arymanie. Znał go.

Słyszał. Prawie się zobaczyli, tam, przez czerwone światło hotelu sejmowego. „Co myśmy zrobili”, jęknął Gil w duchu. „Co myśmy zrobili?”

– Pospiesz się – ponaglał Enka. – Kupimy bilety na pierwszy lepszy pociąg. Pomyślimy w przedziale, co dalej. Może nawet się prześpimy.

Ostatnie jego słowo znikło w głuchym huku, jakby olbrzym klasnął w muskularne dłonie gdzieś w rejonach kompleksu sejmowego. Fala lodowatego powietrza przemknęła Warszawą, Gila zapiekły policzki, ale Enka tylko zwolnił, rozglądając się z zaciekawieniem. Za chłodem poszło drżenie, zadzwoniły szyby w budynku dworcowym, zafalowały druty tramwajowe, ludzie stawali i patrzyli sobie pod stopy, kamyczki podskakiwały na żwirze i dzwoniły o szyny tramwajowe, a przerażone ptaki poderwały się do lotu. Gil zachwiał się i poczuł słodycz w ustach.

Za chłodem i drżeniem poszła ciemność. Gasły światła w nielicznych oknach i samochodach, zbaraniał kierowcy rozpaczliwie skręcali na pobocze, ciemniały latarnie, poczerniał Pałac Kultury, latarnie padały jedna za drugą. Gdy zgasła ta tuż obok, Gil spróbował zasłonić się ramieniem, jakby w obawie, że szkło eksploduje i wydrapie mu oczy. Nawet Enka przystanął zdumiony, lecz nim się przyjrzał, światła wróciły, a o wydarzeniu świadczyły tylko przerażone ptaki, pogłupieli ludzie i stłuczka dwóch syrenek na przejściu dla pieszych.

Enka pociągnął Gila do kas, ustawił obok jak kukłę i zajął miejsce w kolejce. Gil przymknął powieki. Nie potrzebował ludzi ani mocnego światła wylewającego się ze wszystkich stron. Tręcali go żebracy i starcy, a on tkwił w środku betonowej bryły zupełnie obojętny, myślał i rozumiał już, kto na tym skorzystał, kto ich wpuścił w maliny – tak jak arymaniści wykołowali lucyferian, tak sami zostali bez spodni i z ręką w nocniku. „Czy naprawdę przegraliśmy z kretelem”, zapytał siebie i zaczął się zastanawiać, co zapamięta z tej historii. Zerknął z ukosa – Enka już dopchał się do kasy.

Niedawne wspomnienia zlały się w mroczną zupę pełną noży, a na wierzch niespodziewanie wypłynęło wycie Królowej, w chwili gdy skalpel błysnął w dłoni Profesora, potem zobaczył Młodego zgarbionego nad jej pokaleczonym ciałem i wreszcie ich dwoje sprzed chwili, idących i wspartych o siebie. Coś jednak wygraliśmy, pocieszył się, przynajmniej pokazałem diabłu, że nie ma tak łatwo. Uśmiechnąłby się do tej myśli, gdyby nie Enka, piorunujący na Bogu ducha winną kasjerkę.

– Do Kutna! Jak to do Kutna?

Wziął bilety i poszli między brudnych i szczęśliwych rezerwistów.



# Epilog

## Enka i Gil

Był dopiero przedostatni dzień września, ale w sali wykładowej siedziało pięcioro studentów zasłuchanych w księdza Gila, który łagodnie ich opieprzał. Przez okno wpadało słabnące słońce, nad tablicą wisiał krzyż, a Gil składał książki do teczki i groził palcem, trochę na serio a trochę dla hecy.

– *Lectio prima et ultima brevis* – powiedział na koniec. – A jak jeszcze raz szanowni państwo zażyczą sobie odrabiania zajęć przed początkiem roku akademickiego, doniosę na was do dziekana i to na każdego z osobna – zagroził i zapiął zamek w torbie. Śmiech, który poniósł się po sali, urwał się jak ucięty, bo Gil miał twarz poważną, jakby czytał własny nekrolog. Wyszedł bez słowa, zszedł spokojnie po schodach, Marian Żółtek ukłonił mu się w pas. Chwilę później Gil cieszył się już ciepłem, niemyśleniem i spacerem w kierunku filharmonii. Nie nacieszył się jednak specjalnie, bo nawet nie doszedł do Plant. Zapiszczały opony.

– Ksiądz pojedzie z nami – zabrzmiało.

Gil podskoczył i odwrócił się gwałtownie. Ze świeżo polakierowanego srebrnego niczym gwiazdka z nieba poloneza śmiała się gęba Zbigniewa Enki. Wyglądał na zadowolonego i wypoczętego. Uwadze Gila nie umknął ciemny kogut na dachu.

– Myślałem, że czasy wożenia księży w bagażnikach szczęśliwie dobiegły końca – odpowiedział miękko.

– A gdzie tam. – Enka machnął ręką z papierosem. – Z bagażnikiem zgoda, ale teraz mamy prikaz z samego ministerstwa, trzeba wozić, księżę

doktorze, na uroczystości państwowe i resortowe. No już, wskakuj. Przejdziemy się.

Uchylił drzwi od strony pasażera, kiwnął. Gil wsiadł, a Enka zabrał mu teczkę z kolan i cisnął na tylne siedzenie. Przy przedniej szybie wisiała zielona choinka, która, nawet za swej nowości nie wytlumiłaby zapachu papierosów, Gil zwrócił też uwagę na nowiutkie radio grające zachodnie szlagiery. Enka przyciszył i popędzili Zwierzyniecką, alejami Trzech Wieszców, aż pod hotel Cracovia przy samych Błoniach. Parking był pusty. Enka zaparkował w cieniu, nie gasząc silnika, podał księdzu mineralną.

– No to mów, Jędrus, co miałeś mówić.

Gil zrobił zdziwioną minę i się nie odezwał.

– Obiecałeś, że powiesz, co wiesz, w październiku – cisnął Enka. Gil uchylił okno.

– Mamy koniec września. Poza tym obiecałem tylko, że jak poukładam sobie wszystko w głowie, to spróbuję z tobą o tym pogadać.

– Gadanina – prychnął Enka. – Nie bądź taki skrupulant i miej w łaskawej pamięci niedawne braterstwo broni Kościoła i milicji, co? Mów zaraz. Wiesz, że dzisiaj przestało istnieć ZOMO? Taka okazja ci się nie trafi.

Gil zrozumiał już, że Enka nie odpuści. Poszukał ratunku na zewnątrz, w grupach studentów sunących radośnie do pobliskiego akademika i psach ujadających po Błoniach, zerknął nawet w stronę własnej torby z książkami i papierami. Wiedział, co ma powiedzieć. Nie wiedział jednak, jak.

– Zbychu – zaczął tonem wykładowcy – spróbuj sobie wyobrazić, że nasz świat jest częścią czegoś większego. Spróbuj sobie zwizualizować taki konstrukt, coś małego zawiera się w czymś większym. To co my widzimy, siedząc w tej małej części, jest zupełnie inne, gdy patrzysz z perspektywy całości. Gdy wychodzisz z naszego świata w resztę bytu – strużka potu popłynęła mu po plecach – wszystko wygląda zupełnie inaczej. To co

widzimy lub o czym myślimy, będąc tutaj, siebie nawzajem, tego psa, a także Boga i Szatana, pojmujemy naszym kalekim umysłem. Tak naprawdę nie możemy o tych siłach nic powiedzieć.

Zamilkł, bo dostrzegł, że Enka przestał nawet udawać zrozumienie i bawił się bezmyślnie papierosem. Gil westchnął:

– Ja tak nie mogę. Nie wiem, od czego zacząć. Jak tak ma to wyglądać, to będzie trzeba napisać od nowa historię Polski i nie tylko.

Enka podniósł brew.

– No pewnie. I tak napiszą. To mów, tylko jaśniej. Przecież widziałem to i owo.

– Kojarzysz faceta o nazwisku Steiner? Rudolf Steiner?

– Kto to taki? – Enka drapał się po uchu z miną, jakby próbował sobie przypomnieć dawnego podejrzanego.

– Wariat, który znał się na ludziach. Kiedy zobaczył Hitlera, jeszcze w latach dwudziestych, przeraził się śmiertelnie, rozpoznał w nim bowiem wcielenie Arymana. Potem przewidział dojście Hitlera do władzy, wskazał datę.

– Nosa miał – burknął Enka. – Co z nim?

Gil obrócił się w stronę Enki.

– Steiner opisał siły, z którymi się zetknęliśmy, kojarząc je z imionami Lucyfera, Arymana oraz Nihil – zaakcentował to ostatnie. – Diabeł, Zbychu, ma tę cechę, że działa poprzez ludzi. Nasz wiek był czasem Arymana. Hitler, Stalin, to co działo się w Chinach i Kambodży. Rozumiesz, o czym mówię? O zrównaniu człowieka ze zwierzęciem i totalnej kontroli.

– Gadaliśmy o tym. – Enka nie wytrzymał i zapalił papierosa.

– Czas Arymana dobiega końca. Poznajemy to choćby po rozpaczliwej postawie Profesora. Nie udało się i będzie inaczej.

– Jak?

– Po prostu inaczej – uśmiechnął się ksiądz doktor Andrzej Gil.

– No dobrze – Enka otworzył popielniczkę koło kierownicy – ludzie od Lipińskiego próbowali przywołać Lucyfera, ale nie wyszło, Profesor wyłożył się na ostatniej prostej, sam mówisz, że Aryman, te siły znaczy się, raczej się zwijają. To kto wchodzi? Ten, no...

– Nihil – wtrącił Gil i zamilkł. Enka patrzył na niego pytająco. Bawił się gałką od radia, przeskakując między stacjami. Gil westchnął. Wydobył z kieszeni marynarki niewielką książkę w twardej oprawie i obracał ją w dłoniach.

– Nie widzisz, Zbyszek, że prowadzono nas jak po sznurku, wyłaziliśmy z każdej kabały, jeszcze głupio się ciesząc, a każdy kogo potrzebowaliśmy, znajdował się natychmiast? Użyto nas, przyjacielu. Nie wiem kto, ale ktoś, kto stał jeszcze wyżej, nad Profesorem.

– Nie jestem ślepy – rzekł Enka – za łatwo uszedł nam ten numer w Szpitalu Przemienienia. Czekał – skubał skórę na brodzie – jeśli tak, to tej nocy, w Sejmie, musiał być jeszcze jeden rytuał. Kurwa mać! Tak! – Strzelił palcami. – Czerwone okno! Czerwone okno w hotelu sejmowym! A niech mnie.

– Pamiętam je – rzekł Gil, patrząc na Enkę z podziwem.

– Ale kto? Kto nas tak przekreślił? – mówił Enka. – Ktoś na tyle mocny, żeby wyciszyć spalenie szpitala, burdel w Warszawie, trupa w hotelu sejmowym. Kto? Firma? Wojsko? – wyliczał. – Liberałowie z partii? Solidaruchy chyba za słabe.

– Może wszyscy po części. Inaczej by nie przeszło – zamyślił się Gil. – Lipiński zwrócił się ku Lucyferowi z rozpaczą. Profesor czuł, że porządek, którego był architektem, wali mu się na łeb. Obaj znaleźli się na marginesie nowej ekipy. Ci, którzy wadzili nas za nos, są teraz u władzy. Porozumieli się ponad podziałami, bo i ich interesy są ponadpartyjne.

– Inne kraje? – zagadnął Enka. Zatrzymał pokrętko radia na stacji nadającej stare piosenki. Gil tylko potrząsnął głową, zaczynając chwilę milczenia. Gapili się przed siebie, na zapelniający się powoli parking, Enka tylko ruszał szczęką, aż opuścił wzrok i dostrzegł książkę w rękach księdza doktora. Wyjął ją ostrożnie i zaczął się przyglądać. Było to piękne, angielskie wydanie w twardej oprawie z perską miniaturą na okładce. W pstrokatych kolorach odmalowano dwa ptaki na drzewie. Jeden majstrował coś dziobem przy gałęzi, a drugi patrzył w bok, zasłaniając część głowy skrzydłem. Enka podrzucił książkę w dłoni i oddał księdzu.

– Ładna okładka – zauważył. – Co to takiego?

– Ptak, który dziobie i ptak, który patrzy – ksiądz Gil wyjaśnił natychmiast, nabrał powietrza i dodał lekko, na wydechu – jeden umrze a drugi żyć będzie.

Enka zerknął w lusterko.

– Groźnie to zabrzmiało. Któremu się nie poszczęści?

Gil wzruszył ramionami.

– Jak doczytam, to ci odpowiem – rzekł, a Enka zakrztusił się dymem. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zamilkł, zasłuchany w wiadomości. Radiowiec odbębnił już politykę i nieszczęścia na świecie, przechodząc do ciekawostek. Oto rekordowa wygrana dużego lotka przypadła mieszkańcom Warszawy, sześćdziesięcioośmioletniej kobiecie i pewnemu taksówkarzowi, niestety obaj szczęściarze pragną pozostać anonimowi. Enka słuchał, Gil się roześmiał i uniósł rękę, jakby trzymał w niej kieliszek.

– Proszę, proszę – cieszył się Enka. – Swoją drogą, myślałem, że więcej od ciebie wyciągnę.

– Też mi za wiele nie powiedziałaś – rzekł Andrzej Gil obojętnym głosem. Zamknął palce na książce, zakrywając ptaki.

Enka zrobił idiotyczną minę:

– A co ja mam do gadania?

– Konkrety, w odróżnieniu ode mnie. Czemu na przykład nie wyleciałeś z milicji? Ten piękny samochodek sam się przecież nie odnowił.

– A to zabawa historia. Każdego z nas dopada przeszłość, no nie? – Trącił Gila, a ten spochmurniał. – No i mnie dopadła akurat przyjemnie. Słuchaj – rozmarzył się, ćmiąc papierosa niczym poeta oczekujący na zupełne natchnienie – kiedy byłem bardzo młodym i bardzo naiwnym milicjantem, przywieźli chłopaka do spalowania. Jakiś gnojek z Wolności i Pokoju. I padło na mnie. Miał pełne portki. No to go zlałem, ale na dziesięć procent, większość ciosów szła w pustkę, a on załapał grę i mi wrzeszczał, jakbym go ze skóry obdzierał. Potem o tym po prostu zapomniałem.

Puszczął kółka z dymu i umiał w większą obręcz wpuścić mniejszą.

– Okazało się, że ten chłopaczek mnie pamięta i to cenna pamięć, bo teraz hop-siup i został podsekretarzem w MSW. Sprawie łeb ukreślił, a wczoraj widzieliśmy się w Krakowie. Jak to czasem bywa – głos mu spowaźniał – coś za coś i rąsiał rąsiał – wydobył teczkę z kieszeni w drzwiach. – Mam dla ciebie, Jędrusiu, pewną propozycję.

Gil zamrugał, jednocześnie nachylając się do Enki i kładąc dłoń na klamce poloneza.

– Ja wiem, że to wariacko brzmi, ale tym z góry bije na dekiel. – Enka wymachiwał papierami. – Chyba się amerykańskich filmów naoglądali, bo chcą, no wiesz, zrobić specjalną komórkę w milicji do dziwnych spraw. Seryjni mordercy, takie tam – ściszył głos, wyraźnie niepewny tego, co chce powiedzieć. – Dziwne trochę to wszystko.

– Zapewne pracujesz w tej komórce – zapytał Gil słodziutko, każde słowo aż kapowało lukrem. Lecz oczy miał matowe, zatarte.

Enka kiwnął głową, jakby przed czymś próbował się uchylić.

– No, będę pracował, razem z Grulą, plus eksperci, zaprzysiężeni,

zamknięta lista i tu właśnie mam sprawę do ciebie, Jędrus. Nie zgodziłbyś się? – Spuścił głowę, łypał na Gila. – Rok temu facet w Kaczowie ukrzyżował dwie kobiety i odtąd wymagają specjaliści religioznawcy. – Oceniał stopień zdumienia Gila. – Tu są dokumenty do podpisania. Nie daj się prosić, przecież ja zwariuję z jakimś ciulem nad głową.

Podsunał Gilowi pismo pod nos. Ten złożył je na pół bez czytania.

– Bez zgody przełożonych nie mogę.

– Ale jest zgoda! – uradował się Enka. – Papiery już poszły do biskupa Ruraka, zgodził się bez problemu, ale powiedział, że decyzja zależy od ciebie.

Gil odchylił głowę na oparcie, wciągnął powietrze przez nos. Czuł, że serce bije mu szybciej, a upał, mimo że przecież mieli jesień, staje się już nie do wytrzymania. Zerknął na Enkę, ten przybrał pozę wyczekującą.

– Weź zawieź mnie do kurii. Sam z nim pogadam.

– Z Rurakiem czy jak mu tam?

– Po prostu zawieź mnie – jęknął Gil, jęknął też silnik i pomknęli Krakowem, zamykać, otwierać rozdziały, czytać własne życie.

§ § §

Enka został w samochodzie, choć Gil niemal błagał go, żeby poszedł w cholerę. Polonez lśnił przed Urzędem Miasta, a nad nim kołował papierosowy dym, wylatujący z za opuszczonej szyby. „Niech cię szlag”, myślał Andrzej Gil, zupełnie nie po chrześcijańsku, „co ja powinienem teraz zrobić? Z tobą czekają mnie tylko kłopoty. Nie pójdę, będę do końca życia żałował”. Co za życie – westchnął do siebie i poszedł do kurii, na ślepo, roztrącając studentów kotłujących się we wrześniowym ulu, ćmiących papierosy i przekrzykujących się nawzajem. Co oni wiedzą? Co mogą wiedzieć?

Przeszedł ulicę skosem, unikając rozpędzonego tramwaju i wiekowej taksówki, skoczył na chodnik, zorientował się, że biegnie, zwiewa, to myśli go goniły. Czemu Rurak pakuje go w nową kabałę? Ma to związek ze zniknięciem księdza Karkoszki? Czy z ludźmi, którzy ich wystawili? Gdy biskup wrócił ze Szwajcarii, wypowiedział Gila, więc wie to i owo.

Gil schronił się w cieniu bramy kurii krakowskiej, z niepokojem patrzył na schody, którymi musiał pójść po radę i na rozmowę. Nagle zdał sobie sprawę, że niepotrzebnie się zadręcza, decyzja została podjęta, przecież Enka czeka. Zrobiło mu się gorąco, jakby zabrał w sobie słońce z ulicy. Czy dobrze robię? Poprosił Boga o znak i zaraz się przeraził, że jeszcze Bóg posłucha. Żeby odwlec rozmowę, zerknął jeszcze raz na dokument, który zdążył nasiąknąć potem. Przeczytał, zjechał na dół i nagle się uśmiechnął, nie, zakrztusił się ze śmiechu. *Mam szczerą nadzieję, że kompetencja i kryształowy charakter księdza doktora habilitowanego przysłużą się budowaniu nowej wolnej Polski*, przeczytał. I podpis wnioskodawcy, zamaszty, ręczny, nie faksymile: *Major MO Jerzy Anioł*.

Gil wepchnął złożoną na czworo kartkę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wszedł na schody, lżejszy z każdym kolejnym krokiem. Na drugim piętrze miał wrażenie, że w cudowny sposób unosi się nad ziemią, a gdy położył rękę na kłamce biskupiego gabinetu, przez środek pleców przeszło mrowienie. Zerknął za okno, ale ze swojego miejsca nie mógł zobaczyć srebrnego poloneza. Porozmawia z Rurakiem i wróci, ale w taki dzień, kiedy wszystko naprawdę się rozpoczyna, nie ma co pędzić. Enka przecież poczeka.



# **Ptaki (IV)**

*Ptaki spały*

# Przypisy

---

[1] Leszek Kolankiewicz, *Dziady. Teatr święta zmarłych*, Słowo/ Obraz. Terytoria 1999

[2] za: Kolankiewicz, op.cit.

[3] *Odyseja*, przeł. Lucjan Siemieński

[4] tamże

[5] tamże

[6] Iz. 14,12

[7] Ez. 1, 24

[8] Ez. 28,14

[9] Iz. 14,13

[10] Ap. 12, 4-9

[11] Kabaret „Pod Egidą” sł. Jan Pietrzak, muz. Włodzimierz Korcz

[12] Siekiera, *Misiowie puszyści*, Ton Press, 1986, słowa T. Adamski

[13] Księga Henocha, 4

[14] Top One, *Ciao Italia*

[15] Bayer Full, *Blondyneczka*

[16] Polskie Orły, *Cztery razy po dwa razy*

[17] zob. opowiadanie *Ogień i blask*

[18] A. Mickiewicz, *Aryman i Ormuzd*, 1830

[19] fragmenty *Międzynarodówki*: Eugene Pottier